

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HONORIUSZ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

IV

**Studia obyczajowe
SCENY Z ŻYCIA PRYWATNEGO**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

HONORIUSZ BALZAC

**KOBIETA PORZUCONA
HONORYNA
BEATRIX**

Przełożyli
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY
JULIAN ROGOZIŃSKI

Tytuły oryginałów francuskich:
LA FEMME ABANDONNEE
HONORINE
BEATRIX

KOBIETA PORZUCONA

Przełożył
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*KSIĘŻNEJ D'ABRANTES
JEJ ODDANY SŁUGA
H. DE BALZAC*

OD TŁUMACZA

KOBIETA PORZUCONA – GOBSECK – BANK NUCINGENA¹

Trzy opowiadania zawarte w tym tomie szczególnie będą interesujące dla polskich balzalistów (a liczba ich rośnie, widzę to z przyjemnością z każdym dniem!), ile że wszystkie trzy powiadają nam o dalszych losach postaci tak dobrze znanych czytelnikom z „Ojca Goriot”. Ale niemniej interesujące będzie rzucić okiem na daty tych utworów: „Kobieta porzucona” powstała w roku 1832, a „Gobseck” w roku 1830; oba na parę lat przed napisaniem „Ojca Goriot”, a na długo przed poczęciem planu „Komedii ludzkiej”! Rzucą to światło na sposób wylęgania się tego olbrzymiego tworu w mózgu Balzaka: kształtowały się już poszczególne człony, nim stęzał kręgosłup i nim uświadomiła mu się koncepcja całości.

Pierwsze z tych opowiadań nasuwa jeszcze inną refleksję. Byłoby mianowicie ciekawe studium do napisania, pod tytułem: „Pierwiastek subiektywny »Komedii ludzkiej«” lub coś w tym rodzaju; wyłuskanie pierwiastka zwierzenia, spowiedzi z tego tak obiektywnego i epickiego na pozór dzieła. Ten młody Gaston de Nueil, którego „wyczerpanego pracą” wysłano na prowincję, gdzie poznaje kobietę mającą tak zaważyć na jego życiu, mimo woli przywodzi nam na myśl samego Balzaka, którego po wyczerpującej próbie paryskiej matka ściągnęła do Villeparisis. Tam poznaje ową panią de Berny, której położenie w stosunku do Balzaka po dziewięciu latach tyle ma analogii z wątpliwościami pani de Beauséant, iż list tej ostatniej mógłby być łatwo uszczknięty z jej autentycznej, tak wzruszającej i bolesnej korespondencji. Balzac poznał wszystkie emocje nieśmiałej miłości wobec kobiety, która mu wówczas imponowała wszystkim; później przebyli oboje, mimo że z mniej tragicznym zakończeniem, wszystkie szarpania się kochanków, którzy, wedle słów łacińskiego poety, „żyć ani z sobą, ani bez siebie nie mogą”. Ale warunki ich życia były inne; pani de Berny, starsza zresztą od Balzaka o lat dwadzieścia parę, przyjęła rolę najwierniejszej przyjaciółki, w zamian zaś zachował on w swoim sercu nigdy nie wygasły kult dla tej, która w jego ustach i pod jego piórem nosi zawsze miano *Dilecta*.

Wobec tego przede wszystkim *ludzkiego* charakteru analizy dość dziecinną wydaje się polemika stoczona w swoim czasie przez dwóch akademików, czy ta wielka dama Balzaka zachowuje się w pierwszym swoim widzeniu z Gastonem dosyć jak *dama*. Chodziło tu wię-

¹ Wymienione trzy opowiadania wyszły w Bibliotece Boya (Arcydziała Literatury Francuskiej) w jednym tomie. W niniejszym wydaniu „Gobseck” ukaze się w t. V, a „Bank Nucingena” w t. XII. (Red.).

cej o kobietę niż o damę, należało zaś poniekąd do literackiego konwenansu, iż delikatniejsze uczucia demonstrowało się na cieplarnianym życiu wielkiego świata. Zresztą wszak i królowa, kiedy jej się spodoba ładny chłopiec, który nie zawsze jest królem, odkłada swoją koronę. Natomiast w tym pierwszym zetknięciu pani de Beauséant z Gastonem przedziwnie oddany jest ów styl „romantyczny”, pod którego wpływem tak mężczyznom, jak kobietom zdarzało się zakłamać w sztucznej i męczącej sytuacji, z której sami nie wiedzieli, jak wybrnąć. Sposób, w jaki pani de Beauséant wyprowadza Gastona do Szwajcarii, jest arcydziełem finezji psychologicznej.

„Bank Nucingena” to znowuż inny świat. To jeden z najbardziej esencjonalnych i najbrutalniejszych zarazem komentarzy do „Komedii ludzkiej”. Nie oszczędził w nim Balzac swego bohatera, do którego ma wyraźną słabość i którego oglądamy zwykle w sympatycznym świetle: Rastignaka. Kto zna Rastignaka, młodego studenta z „Ojca Goriot”, a potem widzi go błyszczącym dandysem, dyplomata, wreszcie mężem stanu, temu brakuje ogniwa łączącego fazy tej paryskiej egzystencji, czuje jakąś lukę. „Bank Nucingena” wypełnia tę lukę w sposób odbierający wszelkie złudzenia. Możemy tylko podziwiać ojcowską pobłażliwość Balzaka wobec młodego arywisty i jeszcze raz uśmiechnąć się z owej „drogi cnoty”, na którą uciekł był przed pokusami Vautrina. Z tych dwóch bandytów, galernika i salonowca, nie wiadomo doprawdy, który jest niebezpieczniejszy. Ale Balzac to żywioł, któremu niełatwo jest wtłoczyć kaftan bezpieczeństwa m o r a l n o ś c i ; wiele bardzo ostrych poglądów, które dla ostrożności kładzie w usta swoim cynikom, to są – trzeba się z tym pogodzić – jego własne poglądy... Pamiętajmy zawsze, że Balzac wzrastał w epoce gloryfikacji Korsarza; otóż prosta transpozycja: dla Balzaka korsarz paryski posiada ten sam romantyzm co dla Byrona morski. Pamiętajmy wreszcie, że było to nazajutrz po owej gigantycznej lekcji niemoralności, jaką dał światu Napoleon.

„Bank Nucingena” i technika jego operacji dostępnejsze są nam może dziś niż kiedykolwiek: przebyliśmy wszak niedawno gorączkę akcyjną i owe „grabki”, o których mówi Balzac, przejechały się po wszystkich po trosze, zostawiając im w biurku na pamiątkę kolekcję pięknie rytowanych kolorowych obrazków. Mimo to nie dość ufałem sobie co do technicznych szczegółów i uważałem za potrzebne poddać pod tym względem mój przekład łaskawej kontroli wielkiego finansisty a mego dobrego przyjaciela, p. Witolda Kadena, któremu na tym miejscu za jego uprzejmość składam serdeczne podziękowanie.

W roku 1822, z początkiem wiosny, lekarze paryscy wysłali do Dolnej Normandii młodego człowieka, który świeżo przeszedł chorobę zapalną, spowodowaną wyczerpaniem nauką lub może życiem. Rekonwalescencja wymagała zupełnego spokoju, łagodnego pożywienia, chłodnego klimatu i zupełnego braku wrażeń. Bujne łąki Bessin oraz bezbarwne życie prowincji zdawały się tedy najodpowiedniejsze. Przybył do Bayeux, ładnego miasteczka o dwie mile od morza, do jednej ze swych krewniaczek, która przyjęła go z ową serdecznością właściwą ludziom nawykłym żyć samotnie, dla których przybycie krewnego lub przyjaciela staje się zbawieniem.

Pomijając drobne różnice, wszystkie małe miasteczka są do siebie podobne. Za czym, po kilku wieczorach spędzonych u swojej kuzynki, pani de Sainte-Sevère, lub u osób, z którymi ona żyła, młody paryżanin, baron Gaston de Nueil, poznał niebawem ludzi, których to zamknięte towarzystwo uważało za całe miasto. Gaston de Nueil odbył przegląd tego niewzruszonego personelu, który defiluje przed okiem obserwatora w licznych stolicach owych dawnych stanów, tworzących wczorajszą Francję.

Była tam przede wszystkim rodzina, której dostojność, nieznane o pięćdziesiąt mil dalej, uchodzi w danym powiecie za niezaprzeczone i wielce starożytne. Ta panująca rodzina w miniaturze spowinowacana jest, mimo że nikt się tego nie domyśla, z rodami takimi, jak Navarreins, Grandlieu, ociera się o Cadignanów i czepia się Blamont-Chauvry. Naczelnik tego zamkniętego rodu jest zawsze zagorzałym myśliwym. Pozbawiony form, gnębi wszystkich swoją nominalną wyższością; toleruje podprefekta tak, jak znosi podatki; nie uznaje żadnej z nowych potęg stworzonych przez wiek dziewiętnasty i podnosi jako potworność polityczną fakt, że prezydent ministrów nie jest szlachcicem. Żona jego zadziera nosa, mówi głośno, miała wielbicieli, ale komunikuje regularnie co Wielkanoc; córki wychowuje źle, uważa, że za wszystko starczy im ich nazwisko.

Ani żona, ani mąż nie mają zresztą najmniejszego pojęcia o nowoczesnym zbytku: liberię mają jak z teatru, staromodne srebra, meble, powozy, jak również obyczaje i mowę. Ta zmurzała pompa dosyć się zresztą godzi z prowincjonalną oszczędnością. Słowem, jest to dawna szlachta, bez praw lennych, bez sfory i galonów; wszyscy pełni reweransów między sobą, wszyscy oddani dynastii, którą widują jedynie z daleka. Ten historyczny dom incognito zachował myszkę starego gobelinu. W takiej rodzinie wegetuje niechybnie jakiś wuj albo brat, generał, kawaler orderów, dworak, który zdobywał Hanower z marszałkiem de Richelieu i którego znajdujecie tam niby zabłąkaną kartkę starego pamfletu z czasu Ludwika XV.

Przeciwieństwo do tych wykopalisk stanowi rodzina bogatsza, ale mniej starożytna. Państwo spędzają w zimie dwa miesiące w Paryżu, skąd przywożą lekki ton i kaprysy sezonu. Pani lubi się stroić, ale zawsze jest nieco sztywna i zawsze spóźnia się z modą. Mimo to drwi

sobie z otwartej rubaszości swoich sąsiadów, srebra są u niej nowoczesne, ma groomów, Murzynów, kamerdynera. Najstarszy syn ma tilbury, nie robi nic, ma majorat; młodszy jest audytorem w Radzie Stanu. Ojciec, bardzo wtajemniczony w intrygi ministerialne, opowiada anegdoty o Ludwiku XVIII i pani de Cayla; lokuje pieniądze w pięcioprocentowej rencie, unika rozmowy o gatunkach jablecznika, ale popada jeszcze niekiedy w manię prostowania cyfry okolicznych majątków; jest członkiem Rady Generalnej, ubiera się w Paryżu i nosi krzyż legii honorowej. Słowem, szlachcic ten zrozumiał Restaurację i robi interesiki w Izbie; ale rojalizm jego jest mniej czysty niż rojalizm rodziny, z którą rywalizuje. Abonuje „Gazetę” i „Debaty”². Tamta rodzina czyta tylko „Quotidienne”.

Ksiądz biskup, dawny generalny wikariusz, lawiruje między tymi dwiema potęgami, które mu oddają cześć należną religii, ale dają mu niekiedy uczuć moralną zamieszczony przez dobrego La Fontaine'a na końcu bajki o „Ośle obładowanym relikwiami”. Biskup nie jest szlachcicem.

Następnie idą gwiazdy drugorzędne, szlachta zażywająca dochodu od dziesięciu do dwunastu tysięcy rocznie, eks-kapitanowie okrętu albo rotmistrze kawalerii, albo w ogóle nic. Człapią konno po gościńcach, coś niby proboszcz jadący z sakramentami, niby kontroler podatków na objeździe. Prawie wszyscy służyli w paziach albo w muszkietierach i dożywają spokojnie dni na swoim folwarczku, więcej troszcząc się o wyrąb lasu albo o jablecznik niż o monarchię. Mimo to paplą o konstytucji i o liberałach między dwoma robami wista albo przy partii tryktraka, skoro już obliczą wyczerpująco posagi i skombinują małżeństwa zgodnie z genealogią, którą umieją na pamięć. Żony ich dmą się i przybierają dworskie miny w swoich plecionych bryczuszkach; sądzą, że są ubrane, kiedy się wystroiły w szal i czepeczek; kupują dwa kapelusze na rok, ale po dojrzałym namyśle, i każą je sobie przywozić z Paryża przez okazję; są zazwyczaj cnotliwe i gadatliwe.

Koło tych filarów arystokratycznego klanu skupia się kilka dobrze urodzonych starych panien, które rozwiązały problem zмумifikowania ludzkiej istoty. Robią wrażenie, że są przypiętowane do domu, gdzie się znajdują: twarze ich, toalety stanowią część budynku, miasta, prowincji; są jej tradycją, pamięcią, duchem. Wszystkie mają coś sztywnego i monumentalnego; umieją uśmiechać się i potrząsać wymownie głową i od czasu do czasu mówią coś, co uchodzi za dowcip.

Paru bogatych łyków wśliznęło się w to miniaturowe Saint-Germain³ dzięki swoim arystokratycznym przekonaniom albo swemu majątkowi. Ale mimo ich czterdziestu lat mówi się tam o nich: „Ten chłopak ma zasady!” I robi się z nich posłów. Zazwyczaj cieszą się poparciem starych panien, ale też gada się o tym.

Wreszcie paru księży, których przyjmuje się w tym wybranym towarzystwie dla ich sukienki lub dla ich rozumu i dlatego, że owe szlachetne osoby, nudząc się między sobą, wprowadzają do swoich salonów element mieszczański, tak jak piekarz dodaje drożdży do ciasta.

Suma inteligencji skupiona we wszystkich tych głowach składa się z pewnej ilości dawnych pojęć, do których miesza się parę nowych myśli, wypiekanych wspólnie co wieczór. Podobne do wody ciekącej z kurka, frazesy wcielające tę myśl mają swój codzienny wpływ i odpływ, swój wiekuisty ruch, ściśle jednaki: kto słyszy ich pusty szmer dzisiaj, usłyszy go jutro, za rok, wiecznie. Wyroki ich, wydawane niezmiennie o sprawach tego świata, tworzą tradycyjną wiedzę, do której nikt nie ma mocy dodać kropelki inteligencji. Życie tych rutynistów kręci się w sferze przyzwyczajzeń równie zakrzepłych jak ich poglądy religijne, polityczne, moralne i literackie.

Skoro ktoś obcy dostanie się do tego kółka, każdy mówi mu nie bez odcienia ironii: „Nie znajdzie pan tu zabaw swego paryskiego świata!” – i każdy wymyśla na życie swoich sąsia-

² „Gazeta [Francuska]”, „Debaty” [Journal des Débats] i wspomniana dalej „Quotidienne” [Gazeta Codzienna] – rojalistyczne dzienniki z okresu Restauracji.

³ Saint-Germain – dzielnica Paryża zamieszkiwana od w. XVIII przez arystokrację.

dów, starając się dać do zrozumienia, że on jest wyjątkiem w tym towarzystwie, które silił się jakoby nadaremnie zmienić. Ale jeśli, nieszczęściem, ów obcy potwierdzi w najlepszej wierze sąd, jaki ci ludzie mają o sobie wzajem, natychmiast będzie uchodził za człowieka złego, bez czci i wiary, za zepsutego paryżanina, jak zresztą wszyscy paryżanie.

Kiedy Gaston de Nueil pojawił się w tym świątku, gdzie przestrzegano bardzo ściśle etykiety, gdzie wszystko harmonizowało z sobą, gdzie wszystko było jawne, gdzie walory rodowe i terytorialne notowane były jak kursy giełdowe na ostatniej stronie dzienników, zważono go z góry na nieomylnych szalach miejscowej opinii. Już krewniczka jego, pani de Sainte-Sevère, ogłosiła cyfrę jego majątku, cyfrę jego nadziei, rozpostarła jego drzewo genealogiczne, zachwaliła jego znajomości, jego dobre wychowanie, skromność. Znalazł przyjęcie ściśle takie, do jakiego mógł sobie rościć prawo; przyjęto go jak dobrego szlachcica, bez ceremonii, bo miał dopiero dwadzieścia trzy lata, ale kilka młodych panienek i ich matki robiły do niego słodkie oczy. Miał osiemnaście tysięcy renty w ziemi w dolinie Auge, a ojciec miał mu wcześniej lub później zostawić zamek Manerville z przynależnościami. O jego wykształceniu, przyszłości politycznej, jego wartości osobistej, talentach nie było nawet mowy. Ziemie były dobre, dzierżawy pewne; były tam wyborne plantacje, naprawy i podatki ciążyły na dzierżawcach, jabłonie miały po trzydzieści osiem lat, ojciec wreszcie był w trakcie kupna dwustu morgów lasu przylegających do jego parku, który chciał otoczyć murem: żadne widoki ministerialne, żadna sława ludzka nie mogła walczyć z takimi korzyściami. Czy przez złośliwość, czy przez wyrachowanie, pani de Sainte-Sevère nie pisnęła nic o starszym bracie Gastona, a sam Gaston też o nim nie wspominał. Ale ten brat to był suchotnik; wszystko wróżyło, że będzie niebawem pochowany, oplakany, zapomniany.

Gaston de Nueil zrazu bawił się tymi figurami, zbierał z nich niejako wzorki do swego albumu w całej smakowitej prawdzie ich kościstych, ostrych, pomarszczonych fizjonomii, w uciesznej oryginalności ich strojów i gestów; rozkoszował się prowincjonalizmem gwary, ubóstwem myśli i charakterów. Ale wiodąc przez jakiś czas ową egzystencję, podobną do życia wiewiórki obracającej swą klatkę, uczył brak kontrastów w tym życiu wytyczonym z góry, jak życie mnichów w klasztorze, i popadł w stan, który nie jest jeszcze nudą ani wstrętem, ale zawiera w sobie prawie wszystkie ich objawy. Po lekkich cierpieniach tego przesilenia dokonywa się w osobniku zjawisko transplantacji na grunt, który mu jest przeciwny, gdzie musi zmarnieć i wieść charłacze życie. W istocie, o ile go nic nie wyrwie z tego świata, przyjmuje nieznacznie jego obyczaje i dostraja się do jego pustki, która mu się udziela i zjada go. Już płuca Gastona przyzwyczyły się do tej atmosfery. Już doznawał niejakiego roślinnego szczęścia w tych dniach pędzonych bez trosk i bez myśli, zaczynał tracić pamięć owego krążenia soków, owego nieustannego zapłodnienia umysłu, w które tak namiętnie rzucił się w sferze paryskiej, i miał skamienieć wśród tych skamieniałości i zostać tam na zawsze, jak towarzysze Odysa, rad ze swej tłustej powłoki.

Pewnego wieczora Gaston de Nueil siedział między starszą damą a jednym z generalnych wikariuszów diecezji, w salonie z boazeriami malowanymi na szaro, wyłożonym fajansowymi kafelkami, ozdobionym paroma portretami rodzinnymi, zaludnionym czterema stolikami do gry, dokoła których szesnaście osób paplało grając w wista. Tam, nie myśląc o niczym, ale trawiąc jeden z owych pysznych obiadów, będących specjalnością prowincji, spostrzegł, iż zaczyna się godzić z tym trybem życia. Rozumiał, czemu ci ludzie posługują się wczorajszymi kartami, tasują je na wytartym suknie i jak dochodzą do tego, że w końcu nie ubierają się ani dla siebie, ani dla drugich. Widział pewną filozofię w jednostajnym ruchu tego mechanicznego życia, w spokoju tych logicznych przyzwyczajzeń i nieświadomości wykwintu. Rozumiał niemal bezcelowość zbytku. Paryż ze swymi namiętnościami, burzami, uciechami był już w jego pamięci niby wspomnienie dzieciństwa. Szczerze podziwiał czerwone ręce, skromną i wylęknioną minę młodej osoby, której twarz z pierwszego rzutu oka wydała mu się głupia, wzięcie bez wdzięku, całość odstręczająca, a minki bardzo śmieszne. Już przepadł.

Przeniesiony z Paryża na prowincję, miał opaść z gorączkowej egzystencji paryskiej w zimne życie prowincjonalne, gdyby nie jedno zdanie, które obilo mu się o uszy i przejęło go nagle wzruszeniem podobnym temu, o jakie by go przyprawił jakiś oryginalny motyw wśród przerywek nudnej opery.

– Wszak pan był wczoraj u pani de Beuséant? – rzekła stara dama do głowy prowincjonalnej dynastii.

– Byłem dziś rano – odparł. – Zastałem ją bardzo smutną i tak cierpiącą, że nie mogłem jej namówić do nas na jutro na obiad.

– U pani de Champignelles? – wykrzyknęła stara dama z odcieniem zdumienia.

– U mojej żony – rzekł spokojnie szlachcic. – Czyż pani de Beuséant nie wie, że się z domu burgundzkiego? Po kądzieli, to prawda, ale ostatecznie to nazwisko pokrywa wszystko. Moja żona bardzo ma dużo sympatii do wicehrabiny, a biedna kobieta żyje tak długo samotnie, że...

Wymawiając ostatnie słowa margrabia de Champignelles spoglądał spokojnie i chłodno po osobach, które słuchały przyglądając mu się; ale prawie nie podobna było zgadnąć, czy on robi ustępstwo dla nieszczęść, czy dla szlachectwa pani de Beuséant, czy mu pochlebia przyjmować ją u siebie, czy też chce przez dumę zmusić miejscową szlachtę i damy, aby ją zaczęli przyjmować.

Wszystkie panie zdawały się naradzać z sobą, wymieniając spojrzenia; ale głęboka cisza, jaka naraz zapanowała w salonie, nie mniej jak miny obecnych wyrażała potępienie.

– Ta pani de Beuséant czy to może ta sama, której przygoda z panem d'Ajuda-Pinto narobiła tyle hałasu? – spytał Gaston sąsiadki.

– Właśnie – brzmiała odpowiedź. – Przybyła, aby zamieszkać w Courcelles po ślubie margrabiego d'Ajuda; nikt jej tu nie przyjmuje. Jest zresztą zbyt inteligentna, aby nie czuć swego fałszywego położenia, toteż nie próbowała bywać nigdzie. Pan de Champignelles i kilku panów złożyli jej wizytę, ale przyjechała jedynie pana de Champignelles, może z powodu ich pokrewieństwa, przez Beuséantów. Stary margrabia de Beuséant zaślubił pannę de Champignelles, ze starszej linii. Mimo że wicehrabina de Beuséant uchodzi za córkę domu burgundzkiego, pojmuje pan, że nie możemy dopuścić tu kobiety separowanej z mężem. To są stare pojęcia, ale jesteśmy na tyle głupi, że się ich trzymamy. Wicehrabina tym bardziej godna jest potępienia w swoich wybrykach, że pan de Beuséant to człowiek doskonale wychowany, człowiek dworski w każdym calu; doskonale można było się z nim porozumieć. Ale ta kobieta to szalona głowa...

Pan de Nueil słyszał głos swojej sąsiadki, ale już jej nie słuchał. Bujał w świecie tysięcznych fantazji. Czy istnieje inne słowo, aby wyrazić powab przygody miłosnej, w chwili gdy się uśmiecha wyobraźni, gdy w duszy lęgną się mgliste nadzieje, przeczucia niewymownych upojeń, lęków, burz, mimo iż nic jeszcze nie karmi ani nie utrwała tego kapryśnego mirażu? Duch buja wówczas, płodzi niemożliwe projekty, daje zawczasu kosztować rozkoszy namiętności. Ale może zarodek namiętności zawiera ją całkowicie, jak nasienie zawiera piękny kwiat z jego wonią i bogactwem kolorów. Pan de Nueil nie wiedział, że pani de Beuséant schroniła się do Normandii po skandalu, który budzi u kobiet zgorszenie połączone z zazdrością, zwłaszcza gdy czar młodości i urody usprawiedliwia niemal błąd będący jego przyczyną. Istnieje jakiś niepojęty urok we wszelkim rozgłosie, z jakichkolwiek zrodziłby się źródół. Zdaje się, że dla kobiet, jak niegdyś dla rodów, sława zbrodni maże jej wstyd. Tak samo jak jakaś rodzina chlubi się swymi ściętymi głowami, tak ładna i młoda kobieta staje się powabniejsza przez wątpliwą sławę szczęśliwej miłości lub okropnej zdrady. Im godniejsza współczucia, tym więcej budzi sympatii. Jesteśmy nielitościwi jedynie dla pospolitych spraw, uczuć i przygód. To, co ściąga spojrzenia, wydaje się wielkie. Czyż nie trzeba w istocie wznieść się nad drugich, aby być widzianym? Otóż tłum doznaje mimo woli uczucia szacunku wobec wszystkiego, co nad nim góruje, nie żądając zbytnio rachunku z środków.

W tej chwili Gaston de Nueil czuł, że go prze ku pani de Beauséant tajemne działanie tych przyczyn lub może ciekawość, potrzeba wprowadzenia jakichś wzruszeń w swoje obecne życie, słowem owa masa pobudek niepodobnych do określenia, a które wyraża się niekiedy słowem fatalność. Wicehrabina de Beauséant wyrosła przed nim nagle, otoczona tłumem czarownych obrazów: była nowym światem, przy niej z pewnością trzeba się było lękać, spodziewać, walczyć, zwyciężać. Musiała stanowić kontrast z osobami, które Gaston widział w tym parafiańskim salonie; słowem, to była kobieta, a nie spotkał jeszcze kobiety w tym zimnym świecie, w którym rachuba zastępowała uczucie, gdzie grzeczność była już tylko powinnością i gdzie najprostsze myśli miały coś zanadto jaskrawego, aby je można było wygłaszać lub znosić. Pani de Beauséant budziła w jego duszy wspomnienie młodzieńczych marzeń oraz najżywszych uczuć uśpionych na chwilę.

Gaston de Nueil był roztargniony przez resztę wieczoru. Myślał o sposobach dostania się do pani de Beauséant, a z pewnością nie było sposobu. Uchodziła za niezmiernie inteligentną. Ale o ile osoby inteligentne mogą się dać porwać rzeczom oryginalnym lub subtelnym, o tyle są wymagające, umieją wszystko zgadnąć; w niebezpiecznej pogoni za ich łaską ma się więc tyleż szans, aby się zgubić, co aby wygrać sprawę. Przy tym wicehrabina z rodową dumą musiała łączyć godność, jaką nakazywało jej położenie. Głęboka samotność jej życia była z pewnością najmniejszą zaporą wzniesioną między nią a światem. Prawie niepodobieństwem było tedy obcemu, choćby z najlepszej rodziny, dostać się do niej. Mimo to nazajutrz rano pan de Nueil skierował się spacerem w stronę pałacyku w Courcelles i kilka razy obszedł ogród, który go otaczał. Zmamiony złudzeniami tak naturalnymi w jego wieku, patrzył przez szczeliny albo ponad mury, przystawał w zadumie przed zamkniętymi żaluzjami lub badał te, które były otwarte. Wierzył w jakiś romantyczny przypadek, kombinował jego przebieg nie bacząc na niemożliwości, aby dostać się do nieznajomej. Tak przechadzał się przez kilka poranków wielce jałowo, ale za każdą taką wyprawą ta kobieta stojąca poza światem, ofiara serca zagrzebana w samotności, rosła w jego myśli i wciskała się w jego duszę. Toteż serce Gastona biło nadzieją i radością, kiedy przypadkiem, obchodząc mury Courcelles, usłyszał ciężki krok ogrodnika.

Myślał o tym, aby napisać do pani de Beauséant; ale co powiedzieć kobiecie, której nie widział na oczy i która go nie znała? Zresztą Gaston nie dość wierzył w siebie; przy tym, jak często młodzi ludzie jeszcze pełni złudzeń, śmiertelnie lękał się straszliwej wzgardy milczenia i drżał na myśl, ile widoków ma ta jego pierwsza proza miłosna, iż będzie rzucona w ogień. W końcu, po wielu dzikich projektach, składając coraz to nowe romanse i łamiąc sobie głowę, wymyślił szczęśliwy sposób, jeden z tych, które znajduje się w końcu wśród mnogości innych i które najniewinniejszej kobiecie zdradzają siłę namiętności, z jaką mężczyzna się nią zajmował. Często przesady towarzyskie stwarzają między kobietą a jej wielbicielem tyleż realnych zapór, ile wschodni poeci stworzyli ich w rozkosznych fikcjach swoich bajek, a najfantastyczniejsze ich obrazy rzadko są przesadą. Toteż w naturze, jak w świecie wróżek, kobieta musi zawsze należeć do tego, kto umie dotrzeć do niej i wyzwolić ją z położenia, w którym usycha. Najbiedniejszego żebraka zakochanego w córce kalifa z pewnością nie dzieliła od niej większa przepaść niż ta, która znajdowała się między Gastonem a panią de Beauséant. Wicehrabina żyła w absolutnej nieświadomości aproszów, jakie kopał dokoła niej pan de Nueil, którego miłość rosła od wszystkich przeszkód, strojących improwizowaną kochankę w powaby właściwe wszystkiemu, co dalekie.

Pewnego dnia, ufając swemu natchnieniu, położył nadzieję w miłości, która miała trysnąć z jego oczu. Wierząc, iż słowo wymowniejsze jest od najnamiętniejszego listu, licząc też na wrodzoną ciekawość kobiecą, poszedł do pana de Champignelles, zamierzając go wyzyskać dla swego zamiaru. Powiedział szlachcicowi, że ma ważne i delikatne zlecenie do pani de Beauséant, ale nie wiedząc, czy ona czyta listy pisane nieznanym pismem lub czy użyłyby zaufania obcemu człowiekowi, prosi go, aby za pierwszą bytnością spytał wicehrabiny, czy

raczy przyjąć Gastona. Prosząc margrabiego o tajemnicę w razie odmowy, podsunął mu bardzo sprytnie, aby nie taił przed panią de Beauséant argumentów, które mogłyby przemawiać za przyjęciem. Czyż on, Gaston, nie jest człowiekiem honoru, lojalnym, niezdolnym dopuścić się niewłaściwości lub nawet nietaktu! Nadęty szlachcic, którego próżnostki Gaston umiał pogłaskać, padł całkowicie ofiarą tej dyplomacji miłosnej, dającej młodemu człowiekowi tupet i obłudę starego ambasadora. Próbował wprawdzie przejrzeć tajemnicę Gastona, ale ten, mocno zakłopotany jego ciekawością, przeciwstawił normandzką chytrych z ręcznym pytaniami pana de Champignelles, który jako francuski rycerz pochwalił jego dyskrecję.

Margrabia popędził z miejsca do Courcelles, z owym pośpiechem, z jakim ludzie w pewnym wieku kwapią się oddać przysługę młodym kobietom. W położeniu, w jakim się znajdowała pani de Beauséant, zlecenie tego rodzaju musiało ją zaintrygować. Toteż mimo że szukając w swoich wspomnieniach nie widziała żadnej racji, która by mogła sprowadzać do niej pana de Nueil, nie widziała też żadnej przeszkody, aby, go przyjąć, wywiedziawszy się wprzód przezornie o jego pozycję w świecie. Bądź co bądź zaczęła od tego, że odmówiła, następnie przedyskutowała ten światowy problem z panem de Champignelles, sondując, czy on zna pobudki tej wizyty; w końcu cofnęła swoją odmowę. Dyskusja oraz musowa dyskrecja margrabiego podrażniły jej ciekawość.

Pan de Champignelles, nie chcąc się wydać śmieszny, twierdził, jak człowiek świadomy, ale dyskretny, że wicehrabina musi doskonale znać powód tej wizyty, mimo iż zupełnie szczerze szukała go nadaremno. Pani de Beauséant kombinowała związki między Gastonem a ludźmi, których on wcale nie znał, gubiła się w niedorzecznych domysłach i pytała sama siebie, czy widziała kiedy pana de Nueil. Najszczerzy albo najzręczniejszy list miłosny nie byłby wywarł takiego wrażenia co ta zagadka bez słów, która zaprzętnęła panią de Beauséant na kilka zawodów.

Skoro Gaston dowiedział się, że może odwiedzić wicehrabinę, był równocześnie uszczęśliwiony, że tak rychło uzyskał gorąco upragnione szczęście, i bardzo zakłopotany, jak wybrnąć ze swego podstępu.

„Ba! – powiadał sobie ubierając się – ujrzyć ją, to wszystko.”

Mijając bramę Courcelles miał nadzieję, że znajdzie jakiś sposób rozwiązania gordyjskiego węzła, który sam zadzierzgnął.

Gaston był z liczby tych, którzy wierząc we wszechpotęgę konieczności idą zawsze naprzód; w ostatniej chwili, znalazłszy się w obliczu niebezpieczeństwa, szukają w nim natchnienia i znajdują siły, aby je zwyciężyć. Przystąpił z osobliwym staraniem do toalety. Wyobrażał sobie, jak większość młodych ludzi, że od jednego lepiej lub gorzej ułożonego pukła zależy jego triumf, nie wiedząc, że u młodego wszystko jest urokiem i powabem. Zresztą kobiety wybrane, do których należała pani de Beauséant, wrażliwe są jedynie na powab umysłu i charakteru. Wielki charakter schlebia ich próżności, przyrzeka im wielkie uczucie i uświęca niejako wymagania ich serca. Dowcip bawi je, odpowiada subtelnościom ich natury; „mają uczucie, że ktoś je rozumie. A czegoż chcą kobiety, jeśli nie tego, aby je bawić, rozumieć i ubóstwiać? Ale trzeba dobrze zastanowić się nad życiem, aby zrozumieć wyższą kokieterię, jaka mieści się w niedbałości o strój i w oszczędnym szafowaniu dowcipem za pierwszym widzeniem. Kiedy stajemy się szczywanymi dyplomatami, jesteśmy za starzy, aby korzystać z naszego doświadczenia. Podczas gdy Gaston, nie dość ufając w dary swego umysłu, szukał powabów w stroju, pani de Beauséant również instynktownie zajęta się toaletą i mówiła sobie poprawiając włosy: „Bądź co bądź nie chcę wyglądać na straszidło”.

Dowcip, osoba i wzięcie pana de Nueil miały ową naiwną oryginalność, która daje szczególny smak lada gestowi i myśli, pozwala wszystko powiedzieć i wszystko każe przebaczyć. Był wykształcony, bystry, fizjonomię miał sympatyczną i ruchliwą jak jego wrażliwa dusza. W żywych oczach przebijało uczucie, tkliwość, a serce jego, z gruntu dobre, nie zadawało im kłamu. Postanowienie, jakie powziął wchodząc do Courcelles, było tedy w zgodzie z jego

otwartym charakterem i gorącą wyobraźnią. Mimo odwagi, jaką daje miłość, nie mógł wszakże pohamować gwałtownego bicia serca, kiedy, przebywszy duży dziedziniec w kształcie angielskiego ogrodu, przybył do sali, gdzie pokojowiec, spytawszy go o nazwisko, znikł i wrócił, aby go wprowadzić.

– Pan baron de Nueil.

Gaston wszedł wolno, ale dość zręcznie, rzecz trudniejsza jeszcze w salonie, gdzie jest jedna kobieta, niż gdzie ich jest dwadzieścia. Przy kominku, na którym mimo pory roku błyszczał wielki płomień i na którym znajdowały się dwa zapalone świeczniki rzucając łagodne blaski, spostrzegł młodą kobietę, siedzącą w modnej berzerce z bardzo wysokim grzbietem. Niskie siedzenie pozwalało głowie przybierać rozmaite pozy pełne wdzięku i elegancji, nachylać ją, skłaniać, prostować leniwo, jak gdyby to było ciężkie brzemie, wreszcie zginać nogi, pokazywać je lub chować w długich fałdach czarnej sukni. Wicehrabina chciała położyć na okrągłym stolczku książkę, którą czytała, że jednak równocześnie zwróciła głowę ku panu de Nueil, książka spadła pomiędzy stolik a berzerkę. Nie zwracając na to uwagi wicehrabina wyprostowała się i pochyliła głowę odpowiadając na ukłon młodzieńca, lekko, prawie nie podnosząc się z berzerki, w której tonęła jej kibić. Podała się naprzód, poprawiła żywo ogień, po czym schyliła się, podniosła rękawiczkę, którą wzięła niedbale w lewą rękę, szukając drugiej przelotnym spojrzeniem; prawą ręką, białą, niemal przezroczystą, bez pierścionków, wiotką, o cienkich palcach i różowych, doskonale owalnych paznokciach, wskazała Gastonowi krzesło. Skoro nieznamy gość usiadł, zwróciła ku niemu głowę pytającym i zalotnym ruchem, którego subtelności nie podobna wyrazić; była życzliwość w tym ruchu pełnym wdzięku, mimo że opanowanym, świadczącym o starannym wychowaniu oraz codziennym nawyku do rzeczy w dobrym smaku.

Te skomplikowane ruchy nastąpiły po sobie w jednej chwili, płynne i miękkie, i zachwyliły Gastona owym połączeniem sztuki i swobody, jakim ładna kobieta stroi arystokratyczne wzięcie wielkiego świata. Pani de Beauséant tworzyła zbyt wymowny kontrast do marionetek, z którymi żył od dwóch miesięcy swego wygnania, aby nie stała się dlań ucieleśnieniem marzeń; toteż urok jej pobił w jednej chwili wszystkie kobiety, które podziwiał niegdyś. Wobec tej damy, w tym salonie, urządzone w guście salonów Saint-Germain, pełnym rozrzuczonych po stołach bogatych drobiazgow, książek, kwiatów, Gaston odnalazł się w Paryżu. Stapał po prawdziwym paryskim dywanie, oglądał wytworny typ i delikatne kształty paryżanki, jej subtelny wdzięk i jej obojętność na szukane efekty, które tak szkodzą kobietom z prowincji.

Wicehrabina de Beauséant była to blondynka z białą cerą i czarnymi oczami. Nosiła szlachetnie czoło, czoło upadłego anioła, który pyszni się swym upadkiem i nie chce przebaczenia. Włosy jej, obfite i upięte wysoko nad dwoma pasmami, które obejmowały to czoło szerokim kręgiem, przydawały jeszcze majestatu tej głowie. W falistych liniach tych złocistych włosów wyobraźnia widziała książęcą koronę burgundzką, a w błyszczących oczach tej wielkiej damy cały majestat jej domu: dumę kobiety silnej tylko na to, aby odepchnąć wzgardę lub zuchwalstwo, ale pełnej tkliwości dla lubych uczuć. Owal tej małej głowy, cudownie osadzonej na długiej białej szyi, rysy delikatnej twarzy, cienkie wargi i ruchliwa fizjonomia zachowały wyraz uroczej ostrożności, odcień przybranej ironii, która miała coś z przebiegłości i impertynencji. Trudno było jej nie przebaczyć tych dwóch kobiecych grzechów, myśląc o jej nieszczęściach, o namiętności, która omal nie kosztowała jej życia i o której świadczyły bądź zmarszczki, za najmniejszym poruszeniem fałdujące jej czoło, bądź bolesna wymowa oczu wzniesionych do nieba. Czyż to nie było imponujące i działające na wyobraźnię zjawisko widzieć w olbrzymim milczącym salonie tę kobietę odciętą od całego świata, która od trzech lat żyła w tym zakątku, z dala od miasta, sama ze wspomnieniami młodości świetnej, szczęśliwej, namiętnej, niegdyś wypełnionej zabawami, hołdami, obecnie zaś wydanej na łup strasznej pustki? Uśmiech tej kobiety zdradzał wysokie poczucie swej wartości. Nie będąc ani

matką, ani żoną, odtrącona przez świat, pozbawiona jedyne go serca, przy którym serce jej mogłoby bić bez wstydu, nie czerpiąc w żadnym uczuciu pomocy potrzebnej jej zwątpiałej duszy, musiała znajdować siłę w sobie samej, żyć własnym życiem i wyrzec się wszelkiej nadziei, prócz tej, jaka została porzuconej kobiecie: czekać śmierci, przyspieszać jej krok, mimo pięknych dni, jakie jej jeszcze zostały. Czuć się stworzoną dla szczęścia i ginąć nie doznając go, nie dając go?... kobieta! Co za męczarnie!

Pan de Nueil uczynił te spostrzeżenia z szybkością błyskawicy i czuł się bardzo zawstydzony sobą w obliczu największej poezji, w jaką może się oblec kobieta. Urzeczony potrójnym blaskiem piękności, nieszczęścia i szlachetności, stał niemal osłupiały, zadumany, podziwiając wicehrabinę, ale nie znajdując nic do powiedzenia.

Pani de Beauséant, której zdumienie to nie było zapewne niemiłe, wyciągnęła doń rękę ruchem miękkim, ale rozkazującym, po czym, przyzywając uśmiech na pobladłe wargi, jak gdyby chcąc być jeszcze posłuszną swej płci, rzekła:

– Pan de Champignelles uprzedził mnie o poselstwie, którego pan tak uprzejmie się podjął. Byłoby to od...

Słyszając te straszliwe słowa Gaston zrozumiał jeszcze lepiej śmieszność swej sytuacji, nie-takt, nieuczciwość swego postąpienia wobec kobiety tak nieszczęśliwej. Zaczerwienił się. Wzrok jego, nabrzmiały tysiącem myśli, zmacił się, ale nagle, z ową siłą, jaką młode serca umieją czerpać w poczuciu swych błędów, uspokoił się. Przerzywając pani de Beauséant gestem pełnym pokory, odpowiedział wzruszonym głosem:

– Pani, nie zasługuję na szczęście widzenia pani: oszukałem panią niegodnie. Uczucie, jakim byłem posłuszny, mimo iż bardzo żywe, nie może usprawiedliwić nędznego podstępu, który mi dał dotrzeć do pani. Ale jeżeli pani pozwoli mi powiedzieć sobie...

Wicehrabina obrzuciła pana de Nueil spojrzeniem pełnym dumy i wzgardy; podniosła rękę, aby pociągnąć za dzwonek, zadzwoniła; zjawił się służący; wówczas, patrząc z godnością na młodego człowieka, rzekła:

– Jakubie, poświeć panu.

Podniosła się dumnie, skinęła Gastonowi głową i schyliła się, aby podnieść upuszczoną książkę. Ruchy jej były równie suche, równie zimne, jak te, którymi go przyjęła, były miękkie, wytworne i wdzięczne. Pan de Nueil podniósł się, ale stał w miejscu. Pani de Beauséant spojrzała nań jeszcze raz, jakby dla powiedzenia: „Co! jeszcze pan tutaj?”

Spojrzenie to smagało tak dotkliwym szyderstwem, że Gaston zbladł jak człowiek bliski omdlenia. Łzy zakręciły mu się w oczach, ale powstrzymał je, osuszył je w ogniu swego wstydu i rozpacz, popatrzał na panią de Beauséant z przebłyskiem dumy, który wyrażał wraz i rezygnację, i pewną świadomość swej wartości; wicehrabina miała prawo go ukarać, ale czy powinna była? Po czym wyszedł. Kiedy mijał przedpokój, przenikliwość jego i wyostrzona namietnością inteligencja pozwoliły mu ogarnąć całą grozę położenia.

„Jeżeli opuszczę ten dom, nie będę mógł nigdy tu wrócić, na zawsze pozostanę dla niej durniem. Nie podobna jest kobiecie – a to jest kobieta! – nie odgadnąć miłości, jaką budzi; czuje może mglisty i mimowolny żal, że mnie tak szorstko odprawiła, ale nie wolno jej, nie może odwołać swego wyroku; do mnie należy ją zrozumieć.”

Z tą myślą Gaston zatrzymał się na ganku, wydał cichy okrzyk, obrócił się żywo i rzekł:

– Zapomniałem czegoś!

I wrócił do salonu, wiodąc za sobą służącego, który, pełen uszanowania dla barona i świętych praw własności, dał się zupełnie zwieść naturalności tonu, jakim zdanie to było wyrzeczone. Gaston wszedł po cichu, nie oznajmiony. Kiedy wicehrabina, myśląc może, że intruzem jest służący, podniosła głowę, ujrzała przed sobą pana de Nueil.

– Jakub mnie oświecił – rzekł z uśmiechem.

Uśmiech jego, nacechowany na wpół smutnym wdziękiem, odejmował tym słowem wszystko, co w nich było żartem; akcent, którym były wyrzeczone, musiał wnikać do duszy.

Pani de Beauséant była rozbrojona.

– Zatem niech pan siada – rzekła.

Gaston chciwie pochwycił krzesło. Oczy jego, rozszerzone szczęściem, tryskały blaskiem tak żywym, że wicehrabina nie mogła wytrzymać tego spojrzenia, spuściła oczy na książkę i syciła się tą wciąż nową rozkoszą, iż jest dla mężczyzny źródłem jego szczęścia: uczucie niezniszczalne u kobiety. Gaston odgadł panią de Beauséant. Kobieta jest tak wdzięczna, gdy spotka człowieka zestrojonego z tak logicznymi kapryсами jej serca, człowieka, który pojmuje sprzeczne na pozór odruchy jej myśli, ulotne zawstydzienia jej wrażeń, to trwożnych, to zuchwałych, zdumiewającą mieszaninę kokieterii i naiwności!

– Pani – wykrzyknął z cicha Gaston – zna pani mój błąd, ale nie zna pani moich zbrodni. Gdyby pani wiedziała, z jakim szczęściem...

– Niech pan uważa – rzekła podnosząc tajemniczym gestem paluszek do nosa, który musnęła lekko; po czym drugą ręką uczyniła gest jakby do dzwonka.

Ten ładny ruch, ta pełna wdzięku groźba obudziły zapewne smutną myśl, wspomnienie szczęśliwych chwil życia, czas, gdy wszystko mogło być tylko urokiem i tylko rozkoszą, gdy szczęście usprawiedliwiała kaprysy jej myśli, tak jak dawało powab najdrobniejszemu jej ruchowi. Zmarszczyła czoło, twarz jej, tak słodka w blasku świateł, przybrała posepny wyraz; popatrzała na pana de Nueil z powagą wolną od chłodu i rzekła jak kobieta głęboko przejęta znaczeniem swoich słów:

– Wszystko to jest bardzo niedorzeczne! Był czas, gdy miałam prawo być wesoła do szaleństwa, gdy byłabym mogła śmiać się z panem i przyjąć pana bez obawy; ale dziś życie moje zmieniło się bardzo, nie jestem już panią swoich uczynków, muszę się nad nimi zastanawiać. Jakiemu uczuciu zawdzięczam pańskie odwiedziny? Czy to ciekawość? W takim razie płacę bardzo drogo kruchą chwilę szczęścia. Czyżby pan już n a m i ę t n i e kochał kobietę niechybnie spotwarzoną, której pan nigdy nie widział na oczy? Pańskie uczucia byłyby wówczas oparte na braku szacunku, na błędzie, któremu przypadek dał sławę.

Rzuciła książkę na stół ze wzgardą.

– Jak to! – rzekła objawszy Gastona straszliwym spojrzeniem – więc dlatego, że byłam słaba, świat chce, abym nią była ciągle? To okropne, upokarzające. Czy pan przychodzi, aby się nade mną litować? Jest pan zbyt młody, aby współczuć z cierpieniami serca. Niech pan to wie, mój panie, wołę wzgardę od litości, nie chcę być przedmiotem niczyjego współczucia.

Nastała chwila milczenia.

– A więc widzi pan – podjęła, zwracając głowę ku niemu z wyrazem łagodności i smutku – jakiegokolwiek uczucie kazało panu wdzierać się nieopatrznie w moje ustronie, obraża mnie pan. Jest pan zbyt młody, aby być zupełnie wyzutym z dobroci, odczuje pan tedy niewłaściwość swego kroku, przebaczam go panu i mówię do pana teraz bez goryczy. Nie wróci pan już tutaj, nieprawdaż? Proszę pana o to, choć mogłabym rozkazać. Gdyby pan odwiedził mnie Jeszcze raz, nie byłoby ani w pańskiej, ani w mojej mocy przeszkodzić, aby całe miasto uważało pana za mego kochanka, i dorzuciłby pan do moich zgryzot nową ciężką zgryzotę. Nie pragnie pan tego, sądzę.

Zamilkła, patrząc nań z prawdziwą godnością, która go zmieszała.

– Zbłądziłem, pani – rzekł wzruszonym głosem – ale zaprawdę, nieopatrzność, żywa potrzeba szczęścia są w moim wieku wadą i zaletą. Teraz – dodał – rozumiem, że nie powinienem był starać się pani widzieć, a mimo to pragnienie moje było bardzo naturalne...

Starał się opowiedzieć raczej gorąco niż dowcipnie męki, na jakie skazało go jego musowe wygnanie. Odmalował stan młodego człowieka, którego ogień płonie bez pokarmu; dał do pojęcia, że godzien byłby tkliwego uczucia, a mimo to nigdy nie zaznał rozkoszy miłości, której przedmiotem byłaby kobieta młoda, piękna, pełna smaku, subtelna. Wytłumaczył swoje zuchwalstwo, nie siląc się go usprawiedliwić. Pochlebił pani de Beauséant dowodząc jej, że wciela dla niego typ kochanki ustawicznie, ale na próżno marzony przez większość

młodych ludzi. Następnie, mówiąc o swoich rannych przechadzkach dokoła Courcelles, o szalonych myślach, jakie go ogarniały na widok pałacyku, do którego wreszcie się dostał, obudził owo nieokreślone pobłażanie, jakie kobieta znajduje w swym sercu dla szaleństw, których jest źródłem...

Napełnił namiętym głosem tę zimną samotnię, gdzie wnosił gorący poryw młodości i wdzięk myśli, zdradzający staranne wychowanie. Pani de Beauséant od zbyt dawna była pozbawiona wzruszeń, jakie dają szczerze a subtelnie wyrażone uczucia, aby nie odczuć żywej przyjemności. Mimo woli patrzyła na wyrazistą twarz pana de Nueil i podziwiała w nim ową piękną ufność duszy, której nie rozdarły jeszcze ani okrutne nauki świata, ani nie zżarty nieustanne rachuby ambicji lub próżności. Gaston była to młodość w swoim kwiecie; objawił się jej jak człowiek niepospolity, który jeszcze nie zna swoich wysokich przeznaczeń.

Tak więc oboje czynili wzajem o sobie refleksje bardzo niebezpieczne dla ich spokoju i starali się je sobie ukryć. Pan de Nueil poznawał w wicehrabinie jedną z owych rzadkich kobiet, wciąż padających ofiarą własnej doskonałości i swojej niewyczerpanej tkliwości; kobiet, których urocza piękność jest najmniejszym czarem, skoro raz dozwoliły przystępu do swej duszy, gdzie uczucia są nieskończone, gdzie wszystko jest dobrocią, gdzie instynkt piękna kojarzy się z wciąż nowymi natchnieniami miłości, aby oczyścić rozkosz i uczynić ją niemal świętą: cudowna tajemnica kobiety, wspaniały dar tak rzadko używany przez naturę! Wicehrabina znowuż, słysząc szczerzy akcent, z jakim Gaston mówił jej o goryczach swej młodości, odgadywała cierpienia, jakie nieśmiałość narzuca wielkim, dwudziestopięcioletnim dzieciom, kiedy praca uchroniła je od zepsucia i od zetknięcia ze światem, którego przemądrzałe doświadczenie niweczy młodzieńcze przymioty. Dostrzegała w nim marzenie wszystkich kobiet, człowieka, w którym nie istnieje jeszcze ani egoizm rodzinny i majątkowy, ani ów egoizm zabijający w końcu w pierwszym pączku poświęcenie, honor, oddanie, szacunek dla samego siebie. Tak rychło wędzną te kwiaty duszy, które zrazu wzbogacają duszę subtelnyymi, mimo że silnymi wzruszeniami i krzepią w mężczyźnie uczciwość serca!

Raz zapuściwszy się w bezkresy uczucia, zaszli bardzo daleko w teorii, wysondowali oboje głębokość swoich dusz, zbadali szczerłość swych wrażeń. Egzamin ten, mimowolny u Gastona, był u pani de Beauséant rozmyślny. Posługując się wrodzonym lub nabytym sprytem, wygłaszała, nie szkodząc samej sobie, sądy przeciwne własnym, aby poznać myśli pana de Nueil. Była tak dowcipna, tak urocza, była tak bardzo sobą z młodym człowiekiem, który nie mroził jej ufności, gdyż nie sądziła, aby go jeszcze ujrzała w życiu, że po jakimś jej rozkosznym odezwaniu Gaston wykrzyknął naiwnie:

– Och, pani, w jaki sposób ktoś mógł panią porzucić?

Wicehrabina zamilkła. Gaston zaczerwienił się, myślał, że ją obraził. Ale ona była po prostu zaskoczona pierwszą głęboką i szczerą przyjemnością, jakiej doznała od dnia swego nieszczęścia. Najrzęczniejszy uwodziciel nie uczyniłby swoją sztuką postępu, jaki pan de Nueil zawdzięczał temu krzykowi serca. Ten naiwny krzyk młodego chłopca uniewinnił ją we własnych oczach, potępiał świat, oskarżał tego, który ją porzucił, i usprawiedliwiał samotność, na jaką się skazała. Rozgrzeszenie świata, wzruszająca sympatia, szacunek, tak upragnione, tak okrutnie odmawiane, słowem najtajniejsze jej pragnienia, ziściły się w tym okrzyku, strojnym w najśłodsze pochlebstwa serca oraz w podziw, zawsze chciwie smakowany przez kobiety. Był tedy ktoś, kto ją pojął i zrozumiał; pan de Nueil dawał jej niewinną sposobność uczynienia sobie piedestału ze swego upadku. Spojrzała na zegar.

– Och, pani – wykrzyknął Gaston – niech mnie pani nie karze za mą nieopatrzność. Jeżeli mam mieć tylko jeden wieczór, niech pani raczy nie skracać go jeszcze.

Uśmiechnęła się z komplementu.

– Ale – rzekła – skoro już się nie mamy zobaczyć, cóż znaczy jedna chwila więcej albo mniej? Gdyby się pan zakochał we mnie, to byłoby nieszczęście.

– Już się stało – rzekł smutno.

– Niech mi pan tego nie mówi – rzekła poważnie. – W każdym innym położeniu przyjmowałabym pana z przyjemnością. Będę z panem mówiła szczerze, zrozumie pan, czemu ja nie chcę, czemu nie mogę pana widywać. Sądzę, że pan jest zbyt szlachetny, aby nie czuć, że gdyby mnie bodaj podejrzewano o drugi błąd, stałabym się dla całego świata kobietą godną wzgardy, pospolitą, stałabym się podobną do innych. Życie czyste i bez skazy objawi mój prawdziwy charakter. Jestem zbyt dumna, aby nie próbować żyć wśród świata jak istota wyjątkowa, ofiara praw w moim małżeństwie, ofiara mężczyzn w mojej miłości. Gdybym nie została wierną samej sobie, zasłużyłabym na potępienie, które mnie przygniata, i straciłabym własny szacunek. Nie wzniosłam się do tej wysokiej cnoty, aby należeć do człowieka, którego nie kochałam. Skruszyłam, wbrew prawom, więzy małżeństwa: to był błąd, to była zbrodnia, wszystko, co pan chce, ale dla mnie te więzy równały się śmierci. Chciałam żyć. Gdybym była matką, byłabym może znalazła siły, aby znieść męki małżeństwa narzuconego przez konwenans. W osiemnastym roku my, biedne dziewczęta, nie wiemy prawie, co z nami robią. Zgwałciłam prawa świata, świat mnie ukarał; postąpiliśmy oboje sprawiedliwie. Byłam młoda, byłam piękna... Zdawało mi się, że spotkałam człowieka równie kochającego, jak zdawał się namiętny. Byłam bardzo kochana przez chwilę!...

Urwała.

– Myślałam – podjęła – że mężczyzna nie powinien nigdy porzucić kobiety w moim położeniu. Porzucono mnie, sprzykrzyłam się widocznie. Tak, naruszyłam z pewnością jakieś prawo przyrody, byłam zbyt kochająca, zbyt oddana albo zbyt wymagająca, nie wiem. Niezłoty mnie oświeciło. Długi czas oskarżałam, potem zgodziłam się być jedyną winowajczynią. Rozgrzeszyłam tedy swoim kosztem tego, do którego czułam żal. Nie byłam dość zręczna, aby go utrzymać: los ukarał mnie ciężko za mą niezręczność. Umiem tylko kochać; jak myśleć o sobie, kiedy się kocha? Byłam niewolnicą, kiedy powinnam była stać się tyranem. Ci, którzy mnie znają, mogą mnie potępić, ale będą mnie szanować. Moje cierpienia nauczyły mnie, aby się już nie narażać na porzucenie. Nie rozumiem, jakim cudem istnieję jeszcze, zniósłszy męki pierwszego tygodnia, jaki nastąpił po tym ciosie, najokropniejszym w życiu kobiety. Trzeba było żyć trzy lata samej, aby mieć siłę mówienia tak, jak ja mówię w tej chwili o mym bólu. Agonia kończy się zazwyczaj śmiercią; to była agonia bez zakończenia w grobie. Och! Wiele wycierpiałam!

Wicehrabina podniosła oczy w sufit, któremu zwierzyła wszystko to, czego nie powinien był usłyszeć nieznajomy. Sufit jest to najłagodniejszy, najpowolniejszy, najbardziej oddany powiernik, jakiego kobieta może znaleźć wówczas, gdy nie śmie patrzeć na swego partnera. Sufit buduaru to instytucja. Czyż to nie jest konfesjonał, choć bez księdza? W tej chwili pani de Beauséant była wymowna i piękna; trzeba by powiedzieć: zalotna, gdyby to nie było zbyt silne słowo. Oddając sobie sprawiedliwość, kładąc między sobą a miłością najwyższe zapory, bodła ostrogą wszystkie uczucia mężczyzny: im wyżej stawiała cel, tym lepiej ukazywała go spojrzaniu. Wreszcie opuściła oczy na Gastona, zgasiwszy w nich zbyt wymowny wyraz, jaki im dały wspomnienia cierpień.

– Niech pan przyzna, że powinnam zostać zimna i samotna – rzekła spokojnie.

Pan de Nueil czuł gwałtowną chęć, aby upaść do nóg tej kobiety wzniosłej wraz rozsądkiem i szaleństwem; lękał się wydać jej śmiesznym, powściągnął tedy swoje podniecenie i swoje myśli; bał się zarazem i tego, że nie potrafi ich dobrze wyrazić, i bał się jakiejś miazdzącej odmowy albo drwin, których lęk mrozi najpłomienniejsze dusze. Gwałt zadany uczuciom, w chwili gdy wydzierają się z jego serca, sprawił mu ów głęboki ból, który znają ludzie nieśmiały i ambitni, często zmuszeni dławić swoje pragnienia. Mimo to przerwał milczenie i rzekł drżącym głosem:

– Niech mi pani pozwoli poddać się jednemu z największych wzruszeń mego życia i wyznać uczucie, jakie pani we mnie budzi. Pod pani wpływem serce moje rośnie! Chciałbym poświęcić pani życie, dać pani zapomnieć o wszystkich zgryzotach lub kochać panią za

wszystkich tych, którzy cię nienawidzili lub zranili. Ale to jest poryw serca, którego nic dzisiaj nie usprawiedliwia i który powinien bym...

– Dość – rzekła pani de Beauséant. – Zaszliśmy oboje za daleko. Chciałam, tłumacząc panu jej smutne przyczyny, złagodzić, o ile w mej mocy, odprawę, do której jestem zmuszona, a nie ściągać komplementy. Zalotność jest do twarzy jedynie kobiecie szczęśliwej. Wierzaj mi pan, pozostanmy sobie obcy. Później, kiedyś dowie się pan, że nie trzeba zadzierzgać więzów, które z konieczności muszą się kiedyś zerwać.

Westchnęła lekko, czoło jej zmarszczyło się, ale natychmiast odzyskało czystość swego zarysu.

– Cóż to za męczarnia dla kobiety – podjęła – nie móc towarzyszyć ukochanemu mężczyźnie we wszystkich fazach jego życia! A ta jej głęboka zgryzota czyż nie musi odbijać się straszliwie w sercu tego mężczyzny, jeżeli ją bardzo kocha? Czyż to nie jest podwójne nieszczęście?

Nastała chwila milczenia, po której rzekła z uśmiechem, wstając, aby zmusić do wstania swego gościa:

– Nie spodziewał się pan, idąc do Courcelles, usłyszeć kazania?

Gaston uczył się w tej chwili dalej od tej niezwyklej kobiety niż w chwili przybycia. Przypisując urok tej rozkosznej godziny zalotności pani domu, radej popisać się dowcipem, skłonił się zimno wicehrabinie i wyszedł zrozpaczony. Po drodze baron starał się odgadnąć prawdziwy charakter tej istoty giętkiej i twardej jak sprężyna; ale widział w niej kolejno tyle odcieni, że nie podobna mu było wytworzyć sobie o niej prawdziwego sądu. Akcenty głosu brzmiały mu jeszcze w uszach, a wspomnienie używało tyle czaru jej gestom, minkom, spojrzeń, iż zawrócił sobie jeszcze bardziej głowę od tych rozważań. Piękność wicehrabiny błyszczała dlań jeszcze w ciemnościach, doznane wrażenia budziły się jedne od drugich aby go na nowo oczarować, odsłaniając mu uroki ciała i duszy nie dostrzeżone zrazu. Pograżył się w owej zadumie, w której najjaśniejsze myśli zderzają się z sobą i wtrącają duszę w krótki napad szaleństwa. Trzeba być młodym, aby odkryć i zrozumieć tajemnice takich wzlotów, w których serce, nękanie przez myśli najrozumniejsze i najbardziej szalone, poddaje się ostatniej, która je uderzy, rozpacz lub nadziei, wedle woli nieznannej potęgi. W dwudziestu trzech latach człowiekiem włada prawie zawsze uczucie skromności, nieśmiałość, wzruszenia iście dziewczęce; boi się źle wyrazić swą miłość, widzi jedynie trudności i lęka się ich, drży, że nie zdołał być miłym; byłby śmiały, gdyby tak nie kochał; im bardziej czuje cenę szczęścia, tym mniej wierzy, aby ukochana zechciała mu go łatwo użyzyć; może zanadto zresztą poi się własną rozkoszą, lęka się, że nie zdoła jej udzielić... Kiedy, nieszczęściem, bóstwo jego jest imponujące, ubóstwia je w tajemnicy i z dala; jeżeli ona nie umie odgadnąć jego miłości, miłość umiera. Często ta gorączkowa miłość, zmarła w młodym sercu, pozostaje w nim lśniąca złudzeniami. Któryż mężczyzna nie ma owych dziewiczych wspomnień, które później budzą się, wciąż bardziej urocze, i przynoszą obraz doskonałego szczęścia? – Wspomnienia podobne do dzieci, które zmarły w kwiecie wieku, dając poznać rodzicom jedynie uśmiechy. Pan de Nueil wrócił tedy z Courcelles miotany uczuciem brzemennym w gwałtowne decyzje. Pani de Beauséant już się dlań stała warunkiem istnienia: raczej umrzeć niż żyć bez niej! Jeszcze dość młody, aby odczuwać ów bolesny urok, jaki idealna kobieta rzuca na świeże i namiętne dusze, przeżył burzliwą noc, jedną z tych, w których młodzi ludzie przebiegają drogę od szczęścia do samobójstwa, od samobójstwa do szczęścia, chłoną całe życie upojeń i zasypiają wyczerpani. Nieszczęsne noce, w których największym nieszczęściem, jakie się może trafić, jest to, że się człowiek budzi filozofem. Zbyt szczerze zakochany, aby zasnąć, pan de Nueil wstał i zaczął pisać listy, z których żaden go nie zadowolił; spalił wszystkie.

Nazajutrz krążył dokoła parku v Courcelles, ale o zmroku: bał się, aby go wicehrabina nie spostrzegła. Uczucie, jakiego doznawał w tej chwili, wiąże się z tak tajemniczymi strunami duszy, że trzeba być jeszcze młodym albo też znajdować się w podobnym położeniu, aby po-

jąc wszystkie jego nieme rozkosze i kaprysy: rzeczy, które przyprawiłyby o wzruszenie ramion ludzi na tyle szczęśliwych, iż zawsze widzą pozytywną stronę życia. Po okrutnych wahaniach Gaston napisał do pani de Beauséant następujący list, który może uchodzić za wzór frazeologii miłosnej i da się porównać do rysunków, jakie potajemnie dzieci robią na imieniny rodziców; podarek okropny dla innych, z wyjątkiem tych, którzy go otrzymują.

Pani!

Ma Pani tak wielką władzę nad moim sercem, nad moją duszą i moją osobą, że los mój zależy dziś całkowicie od Pani. Niech Pani nie rzuca mego listu w ogień. Niech się Pani zdobędzie na tyle życzliwości, aby go przeczytać. Może przebaczysz mi pierwsze zdanie, czując, że to nie są pospolite ani interesowne oświadczenia, ale wyraz naturalnego faktu. Może wzruszy Cię skromność moich prośb, rezygnacja płynąca z poczucia własnej niższości, waga decyzji Twojej dla mego życia. W moim wieku Pani, umiem tylko kochać, nie wiem zgoła ani co może się podobać kobiecie, ani co na nią działa; ale mam dla niej w sercu bezgraniczne ubóstwienie. Ciągnie mnie nieodparcie do Pani bezmierna rozkosz, jaką Pani we mnie budzi; myślę o Pani z całym egoizmem, jaki nas ciągnie tam, gdzie czujemy płomień życia. Nie czuję się godnym Pani. Nie, wydaje mi się niemożliwe, abym ja, młody, nieświadomy, nieśmiały, mógł Pani dać bodaj tysiączną cząstkę szczęścia, jakie chłonałem, słuchając Pani, patrząc na Panią. Jesteś dla mnie jedyną kobietą w świecie. Nie pojmując życia bez Pani, postanowiłem opuścić Francję i iść rzucać na kartę moją egzystencję póty, póki jej nie przegram w jakimś szalonym przedsięwzięciu, w Indiach, w Afryce, sam nie wiem gdzie. Czyż miłości bez granic nie trzeba mi zwalczać czymś nieskończonym? Ale jeżeli raczysz mi zostawić nadzieję, nie abym do Ciebie mógł należeć, ale że pozyskam Twą przyjaźń – zostaję. Pozwól spędzić przy sobie, bodaj rzadko, jeżeli tak każesz, parę godzin podobnych tej, którą Pani skradłem. To wątpliwe szczęście, którego żywych rozkoszy może mi wzbronić najłżejsze zbyt gorące słowo, wystarczy może, aby stłumić wrzenie mojej krwi. Czy przeceniłem Twą wspaniałomyślność, błagając, byś zezwoliła na stosunek w którym zyskuję wszystko tylko ja? Potrafisz jednak pokazać temu światu, któremu poświęcasz tyle, że ja jestem dla Pani niczym. Pani jest tak inteligentna i taka dumna! Czego się Pani może obawiać? Chciałbym teraz otworzyć Ci moje serce, aby Cię przekonać, że moja pokorna prośba nie kryje żadnej ukrytej myśli. Nie mówiłbym Ci, że miłość moja jest bez granic, w chwili gdy proszę Cię, Pani, o użyczenie mi Twojej przyjaźni, gdybym miał nadzieję, że zdołam Ci udzielić głębokiego uczucia zagrzebanego w moim sercu. Nie, będę przy Tobie wszystkim, czym zechcesz, bylebym był przy Tobie. Jeżeli mnie odtrącisz, a możesz to uczynić, nie będę szemrał, wyjadę. Jeżeli później inna kobieta odegra jakąś rolę w moim życiu, wówczas miałaś słuszość; ale jeżeli umrę wierny mej miłości, pożałujesz może trochę! Nadzieja Twego żalu złagodzi moje męczarnie i będzie jedyną zemstą niezrozumianego serca...

Trzeba nie być obcym żadnemu z lubych nieszczęść młodości, trzeba było uganiać na wszystkich białoskrzydłych chimerach, jakie drażnią swym niewieścim zadem płomienne wyobraźnię, aby zrozumieć mękę, jakiej pastwą stał się Gaston de Nueil, odkąd złożył swoje pierwsze ultimatum w ręce pani de Beauséant. Widział Wicehrabinę zimną, ironiczną, żartującą z miłości, jak ludzie, którzy w nią już nie wierzą. Byłby chciał cofnąć swój list, wydawał mu się niedorzeczny, przychodziło mu do głowy tysiąc myśli nieskończenie lepszych, bardziej wzruszających niż jego chłodne frazesy, te przekłete frazesy wymędrkowane, sofistyczne, pretensjonalne, ale na szczęście dość lichy przecinkowane i pięknie wypisane koszlawym pismem. Próbował nie myśleć, nie czuć, ale myślał, czuł i cierpiał. Gdyby miał trzydzieści lat, upiłby się, ale ten naiwny jeszcze młodzian nie znał ani miłosiernego opium, ani innych środków schyłkowej cywilizacji. Nie miał tam przy sobie nikogo z owych zacnych przyjaciół pa-

ryskich, którzy umieją tak pięknie mówić: „Petusie, to nie boli!”⁴ – podając ci butelkę szampana lub też ciągnąc cię na orgię, aby złagodzić męczarnie niepewności. Wyborni przyjaciele, zawsze w nędzy, kiedy ty jesteś bogaty, zawsze u wód, kiedy ich szukasz, zawsze stracili ostatniego ludwika w grze, kiedy ich o niego prosisz, ale zawsze mający najlepszego konia, aby ci go sprzedać; poza tym najmilszy chłopcy w świecie i zawsze gotowi puścić się z tobą na jedną z owych śliskich ścieżek, na których trwoni się czas, duszę i życie!

W końcu pan de Nueil otrzymał z rąk Jakuba list zapieczętowany pachnącym lakiem z herbem Burgundii, pisany na welinie i wionący ładną kobietą.

Natychmiast pobiegł do siebie, aby się zamknąć i odczytać swój list:

Karze mnie Pan bardzo surowo i za względność, z jaką starałam się Panu złagodzić przykrość odmowy, i za urok, jaki zawsze wywiera na mnie inteligencja. Zaufałam młodzieńczej szlachetności, a Pan mnie zawiódł! A wszak ja mówiłam z Panem, jeżeli nie z wylaniem, co nie miałyby sensu, to w każdym razie szczerze; przedstawiłam Panu moje położenie, aby wytłumaczyć Pańskiej młodej duszy mój chłód. Im bardziej mnie Pan zainteresował, tym żywszą była przykrość, którą mi pan sprawił. Jestem z natury tkliwa i dobra; ale życie czyni mnie złą. Inna kobieta spaliłaby Pański list bez czytania; ja przeczytałam i odpowiadam. Odpowiedź moja przekona Pana, że jeśli nie jestem nieczuła na uczucie, jakie zrodziłam, bodaj mimo woli, daleka jestem od dzielenia go, a dalsze postępowanie dowiedzie Panu. Jeszcze o wiele lepiej szczerości mej duszy. Chciałam przy tym, dla pańskiego dobra, posłużyć się niejako tą władzą, którą mi Pan daje nad swym życiem, a pragnę posłużyć się nią tylko raz, aby zedrzeć zasłonę, która Panu zakrywa oczy.

Mam blisko trzydzieści lat, drogi Panie, a Pan ma ich zaledwie dwadzieścia dwa. Sam Pan nie wie, czym będą pańskie myśli, kiedy pan dojdzie do mojego wieku. Przysięgi, które rzucaś tak łatwo dzisiaj, mogą się Panu wydać wówczas bardzo ciężkie. Dzisiaj, chętnie wierzę, oddałby mi Pan bez żalu całe swoje życie, umiałby Pan umrzeć nawet dla przelotnej przyjemności, ale w trzydziestu latach doświadczenie odjęłoby Panu siłę do codziennych poświęceń, a dla mnie byłoby głębokim upokorzeniem przyjmować je. Pewnego dnia wszystko, sama natura nawet, nakaże Panu porzucić mnie, a powiedziałam to Panu: wolę śmierć niż opuszczenie. Widzi Pan, nieszczęście nauczyło mnie rachować. Rozumuję, nie umiem czuć. Zmusza mnie Pan do powiedzenia, że Pana nie kocham; że nie powinnam, nie mogę, nie chcę Pana kochać. Minęłam okres, gdy kobieta ustępuje ślepym odruchom serca; nie umiałabym już być ową kochanką, jakiej Pan szuka. Pocięch spodziewam się od Boga, nie od ludzi. Zresztą zbyt jasno czytam w sercach przy smutnym świetle zawiedzionej miłości, aby przyjąć przyjaźń, której Pan żąda, którą Pan ofiarowuje. Ludzi Pana własne serce, ufa Pan o wiele więcej mojej słabości niż własnej sile. Wszystko to, to jest głos instynktu. Przebaczam Panu ten dziecinny podstęp. Pan jeszcze nie jest zań odpowiedzialny. Nakazuję Panu w imię tej jednodniowej miłości, w imię Pańskiego życia, w imię mego spokoju, zostać w kraju, nie łamać chlubnego i pięknego życia dla złudzenia, które musi zgasnąć. Później, kiedy spełniając swój prawdziwy los rozwinie Pan wszystkie uczucia, jakie czekają mężczyznę, oceni Pan moją odpowiedź, która w tej chwili razi Cię może oschłością. Odszukasz wówczas z przyjemnością starą kobietę, której przyjaźń będzie Ci z pewnością miła i cenna; nie zużyją jej ani namiętności, ani rozczarowania, szlachetne i godziwe myśli uchowają ją czystą i świętą. Żegnam Pana, niech Pan mi będzie posłuszny, z tym przeświadczeniem, iż Pańskie triumfy wniosą niejaką słodycz w mą samotnię, i niech Pan myśli o mnie jedynie tak, jak się myśli o nieobecnych.

⁴ Petusie, to nie boli – słowa te miała wyrzec żona Petusa, uczestnika spisku przeciw cesarzowi Klaudiuszowi (I w.), kiedy po wykrzyciu sprzysiężenia, namawiając męża do samobójstwa, sama wpiersz się przebiła mieczem.

Przeczytawszy ten list Gaston de Nuell skreślił następujące słowa:

Pani, gdybym przestał Panią kochać, godząc się z Pani rozkazu stać się pospolitym człowiekiem, niech Pani przyzna, że byłbym godnym mego losu. Nie, nie usłucham Pani i przysięgam Pani wierność, którą rozwiąże jedynie śmierć. Och! Weź moje życie, chyba że się nie lękasz zagoryczyć swego życia wyrzutem...

Kiedy służący pana de Nueil wrócił z Courcelles, młodzieniec spytał:

- Komu oddałeś list?
- Samej pani wicehrabinie, siedziała w powozie, wyjeżdżała...
- Do miasta?
- Nie zdaje mi się, proszę pana. Berlinka pani wicehrabiny zaprzężona była w pocztowe konie.
- A! wyjeżdża – powiedział baron.
- Tak, panie baronie – odparł służący.

Natychmiast Gaston poczynił przygotowania, aby jechać za panią de Beauséant. Zawiodła go aż do Genewy, nie wiedząc, że on za nią jedzie. Wśród tysiąca myśli, oblegających go w czasie tej podróży, jedna pochłaniała go szczególnie, mianowicie: „Dlaczego ona odjechała?” Dookoła tego zdania osnuło się tysiąc komentarzy, z których wybrał oczywiście najpochlebniejszy:

„Jeżeli wicehrabina chce mnie kochać – myślał – nie ulega kwestii, że jako inteligentna kobieta woli Szwajcarię, gdzie nikt nas nie zna, od Francji, gdzieby się nią zajmowano”.

Niektórym uczuciowym ludziom nie podobałaby się kobieta dość sprytna, aby wybrać sobie teren, ale to są grymaśnicy. Zresztą nic nie dowodzi, aby przypuszczenie Gastona było prawdziwe.

Wicehrabina wynajęła mały domek nad jeziorem. Kiedy się tam rozgościła, pewnego pięknego wieczora, o zmierzchu, Gaston się zjawił. Jakub, lokaj na wskroś arystokratyczny, nie zdziwił się widząc pana de Nueil i oznajmił go jak służący przywykły wszystko rozumieć. Słyszając to imię, widząc młodego człowieka, pani de Beauséant upuściła książkę, którą miała w ręce, zdumienie jej dało Gastonowi czas, aby podejść i rzec głosem, który wydał się jej upajający:

- Z jakąż rozkoszą najmowałem konie, które panią wiozły!

Być tak cudownie wysłuchaną w swoich tajemnych pragnieniach! Gdzież jest kobieta, która by nie uległa takiemu szczęściu? Włoszka, jedna z owych boskich istot, których dusza jest na antypodach paryżanki i którą z tej strony Alp osądzono by jako głęboko niemoralną, powiadała, czytając francuskie romanse: „Nie rozumiem, po co ci biedni kochankowie tracą tyle czasu na mozolenie się z tym, co powinno być sprawą jednego popołudnia”. Czemu powieściopisarz nie mógłby, za przykładem tej zacnej Włoszki, nie męczyć nadto swoich słuchaczy ani swego tematu? Byłoby tu wprowadzanie parę uroczych rysów zalotności, lube odwłoki, na jakie pani de Beauséant zechciała skazać szczęście Gastona, aby upaść z wdziękiem, jak starożytnie dziewice; może też aby się sycić słodyczami pierwszej miłości i doprowadzić ją do najwyższego napięcia potęgi i siły. Pan de Nueil był jeszcze w wieku, gdy mężczyzna daje się wziąć na te kaprysy, na tę grę, która tak podnieca kobiety i którą przedłużają, bądź to aby wytargować swoje warunki, bądź aby się dłużej sycić swą władzą, której rychłe uszczuplenie przeczuwają instynktem. Ale te drobne ceregiele alkowiane, mniej liczne niż formalności konferencji londyńskiej, zajmują w historii prawdziwej miłości zbyt mało miejsca, aby o nich wspominać.

Pani de Beauséant i pan de Nueil spędzili trzy lata w willi nad Jeziorem Genewskim, którą wynajęła wicehrabina. Żyli tam sami, nie widując nikogo, nie zajmując sobą nikogo, pływając łódką, wstając późno, słowem szczęśliwi tym szczęściem, o którym marzymy wszyscy. Domek ich był skromny, z zielonymi żaluzjami, otoczony szerokim balkonem z płóciennym daszkiem: prawdziwy domek kochanków, mieszkancko z białymi kanapami, cichymi dywa-

nami, świeżymi obiciami, gdzie wszystko lśniło radością. Z każdego okna jezioro ukazywało się w innej postaci; w oddali góry i ich mgliste, barwne, ulotne kontury; nad nimi piękne niebo, przed nimi długi obrus wody kapryśnej, zmiennej. Wszystko dokoła zdawało się marzyć, wszystko im się uśmiechało.

Poważne sprawy powołały pana de Nueil do Francji: brat i ojciec jego umarli; trzeba było opuścić Genewę, Kochankowie kupili ten dom, byliby chcieli skruszyć góry i spuścić wodę z jeziora, aby zabrać wszystko z sobą. Pani de Beauséant udała się za panem de Nueil. Spieniężyła swój majątek, kupiła w sąsiedztwie Manerville znaczną posiadłość, przylegającą do majątku Gastona, i tam mieszkali razem. Pan de Nueil oddał bardzo rycersko matce swojej dochód z Manerville w zamian za swobodę, jaką mu zostawiła w trybie życia. Majątek pani de Beauséant znajdował się tuż koło miasteczka, w jednej z najładniejszych okolic doliny Auge. Tam kochankowie wzniesli między sobą a światem zapory, których ani przesady społeczne, ani ludzie nie mogli przebyć, i odnaleźli swoje piękne dni z Szwajcarii. Przez całych dziewięć lat kosztowali szczęścia, którego nie ma potrzeby opisywać; zakończenie tej przygody pozwoli z pewnością odgadnąć wszystkie jego słodcze tym, których dusza zdolna jest zrozumieć poezję i modlitwę w tysiącu ich odcieni.

Tymczasem margrabia de Beauséant (ojciec jego i starszy brat umarli), mąż pani de Beauséant, cieszył się doskonałym zdrowiem. Nic lepiej nie działa na nasze zdrowie niż pewność, iż uszczęśliwilibyśmy kogoś naszą śmiercią. Pan de Beauséant był to jeden z owych ironicznych i upartych ludzi, którzy, podobni właścicielom dożywocia, znajdują jedną przyjemność więcej budząc się co rano w doskonałym zdrowiu. Poza tym wielki galant, nieco metodyczny, ceremonialny, wyrachowany, zdolny oświadczyć swą miłość kobiecie równie spokojnie, jak lokaj powiada: „Dano do stołu”.

Ta notatka biograficzna co do osoby margrabiego ma na celu podkreślić brak wszelkich widoków na połączenie margrabiny z panem de Nueil.

Otóż po tych dziewięciu latach szczęścia, najładniejszych, jakie kobieta zdołała kiedy przeżyć, pan de Nueil i pani de Beauséant znajdowali się w położeniu równie naturalnym i równie fałszywym jak to, w którym tkwili od początku tej przygody: moment fatalnego przesilenia, moment, który trudno jest uchwycić, ale którego terminy można oznaczyć z matematyczną ścisłością.

Hrabina de Nueil, matka Gastona, nie zgodziła się nigdy uznać pani de Beauséant. Była to oschła i cnotliwa kobieta, która wielce legalnie dopełniała szczęścia nieboszczyka pana de Nueil. Pani de Beauséant rozumiała, że ta czcigodna matrona musi być jej wrogiem i że będzie się starała wyrwać Gastona z tego niemoralnego i bezbożnego życia. Byłaby wołała sprzedać majątek i wrócić do Genewy. Ale to by znaczyło okazać nieufność Gastonowi, nie była zdolna do tego. Zresztą on właśnie bardzo się zapalił do posiadłości Valleroy, gdzie rozpoczął różne melioracje. Czyżby to nie znaczyło wyrwać go z owego mechanicznego szczęścia, którego kobiety pragną zawsze dla swych mężów, a nawet dla kochanków? Pojawiła się w okolicy niejaka panna de la Rodière: dwadzieścia dwa lata i czterdzieści tysięcy franków renty. Gaston spotykał tę herytierę w Manerville za każdym razem, kiedy obowiązki go tam sprowadzały. Osoby te były tedy niby cyfry w równaniu arytmetycznym, a następujący list, doręczony pewnego ranka Gastonowi, wytłumaczy okropny problem, który od miesiąca pani de Beauséant siliła się rozwiązać.

Aniele mój drogi, pisać do Ciebie, kiedy żyjemy serce przy sercu, kiedy nas nic nie dzieli, kiedy pieszczoty tak często służą nam za słowa, a słowa są również pieszczotami, czyż to nie jest niedorzeczność? Otóż nie, jedyny mój. Są pewne rzeczy, których kobieta nie może wymówić w obliczu swego kochanka: sama myśl o nich odbiera jej głos, ściąga jej wszystką krew do serca: staje się bez siły i bez myśli. Czuć się tak koło Ciebie, to mi sprawia ból, a często tak się czuję. Czuję, że moje serce powinno być dla Ciebie tylko prawdą, że nie po-

winnam Ci ukrywać żadnej myśli, nawet najprzelotniejszej; zanadto kocham tę miłą swobodę, z którą mi jest tak dobrze, aby pozostać dłużej skrepowaną i nieswoją. Toteż zwierzę Ci moje obawy; tak, obawy. Wysłuchaj mnie, nie rób tego żartobliwego ta ta... którym mi zamykasz usta z ową bezceremonialnością, która lubię, bo w Tobie wszystko mi się podoba.

Drogi małżonku wobec nieba, pozwól mi sobie powiedzieć, że wymazałeś wszelką pamięć cierpień, pod których brzemieniem życie moje ugięło się niegdyś. Poznałam miłość jedynie przez Ciebie. Trzeba było Twojej niewinnej młodości, Twojej czystej a wielkiej duszy, aby zadowolić serce kobiety wymagającej. Drogi mój, często drżałam z radości na myśl, że przez tych dziewięć lat, tak szybkich i tak długich, zazdrość moja nie zbudziła się ani razu. Miałam wszystkie kwiaty Twej duszy, wszystkie Twoje myśli. Nie było najłżejszej chmurki na naszym niebie, nie wiedzieliśmy, co to ofiara, zawsze byliśmy posłuszni natchnieniom serca. Kosztowałam szczęścia bez granic. Łzy, które wilżą tę kartę, czy Ci wyrażą całą mą wdzięczność? Pragnęłabym to pisać na kolanach. Otóż to szczęście dało mi poznać męczarnię okropniejszą, niż była niegdyś męka opuszczenia. Drogi mój, serce kobiety ma bardzo głębokie zakamarki: do dziś sama nie znałam granic mego serca, jak nie znałam granic miłości. Największe nieszczęścia, jakie mogą spaść na nas, jeszcze są lekkie w porównaniu z samą myślą o nieszczęściu tego, kogo kochamy. A gdybym to ja była przyczyną tego nieszczęścia, czyżby nie można umrzeć od tej myśli?... Oto co mnie droczy. Ale ta myśl wlecze za sobą drugą, jeszcze o wiele cięższą; a ta myśl kała piękno miłości, zabija ją, czyni z niej upokorzenie, plami na zawsze życie. Ty masz trzydzieści lat, a ja czterdzieści. Ileż lęków ta różnica wieku budzi w kochającej kobiecie? Ty mogłeś, zrazu mimo woli, później poważnie, uczuć ofiarę, jaką uczyniłeś wyrzekając się dla mnie wszystkiego. Pomyślałeś może o swojej karierze, o małżeństwie, które siłą rzeczy musi pomnożyć Twój majątek, pozwoli Ci zażywać jawnego szczęścia, mieć dzieci, spadkobierców, żyć w świecie i zająć w nim zaszczytne miejsce. Może zdławiłeś te myśli, szczęśliwy, że dla mnie, bez mojej wiedzy, poświęcasz świetne małżeństwo, majątek, przyszłość. W swej młodzieńczej szlachetności chciałeś zostać wierny przysięgom, które nas wiążą jedynie w obliczu Boga. Wspomniałeś moje dawne cierpienie; owo nieszczęście, z którego mnie wyrwałeś, posłużyło mi za tarczę. Zawdzięczać Twoją miłość litości! Ta myśl jest dla mnie jeszcze okropniejsza niż obawa, że Ci łamię życie. Ci, którzy umieją zaszytletować kochankę, są bardzo miłośni, kiedy ją zabijają, w chwili gdy jest szczęśliwa, niewinna, w pełni złudzeń... Tak, śmierć lepsza jest od tych dwóch myśli, które od kilku dni trawią potajemnie moje godziny. Wczoraj, kiedy mnie spytałeś tak łagodnie: „Co tobie?” – Twój głos przyprawił mnie o dreszcz. Zdało mi się, że wedle zwyczaju czytasz w mojej duszy; czekałam Twoich wynurzeń wyobrażając sobie, że dobrze odgadłam rachuby Twego rozsądku. W dobroci Twojej, mimo że do niej przywykłam, zdało mi się, że widzę przymus, ciężar, który dźwigasz. W tej chwili drogo opłaciłam moje szczęście; uczułam, że natura zawsze nam sprzedaje skarby miłości. W istocie, czyż los nas nie rozłączył? Powiedziałeś sobie: „Prędzej czy później, muszę opuścić tę biedną Klarę, czemu się z nią nie rozstać w porę?” To zdanie było wypisane na dnie Twego spojrzenia. Odeszłam, aby się wypłakać z dala od Ciebie. Kryć Ci moje łzy! To pierwsze łzy, jakie zgryzota wycisnęła mi od dziecięciu lat, a jestem za dumna, aby Ci je pokazać, ale nie oskarżałam Cię. Tak, masz słuszność, nie powinnam być tak samolubna, aby wiązać Twoje życie, świetne i długie, z moim, niebawem użytym... Ale gdybym się myliła?... Gdybym wzięła zadumę miłosną za trzeźwość rozsądku?... Och, aniele mój, nie zostawiaj mnie w niepewności, ukarż Twą zazdrosną żonę; ale wróć jej świadomość jej i Twojej miłości: cała kobieta jest w tym uczuciu, ono uświęca wszystko. Od przybycia Twojej matki, odkąd ujrzałeś u niej pannę de la Rodière, stałam się pastwą wątpień, które są dla nas hańbą. Zadaj mi ból, ale nie oszukuj mnie: chcę wszystko wiedzieć, i to, co mówi Twoja matka, i co Ty o tym myślisz! Jeśli się zawahałeś między czymkolwiek w świecie a mną, wracam Ci wolność... Skryję Ci mój los, będę umiała nie płakać przy Tobie, tylko nie chcę Cię już widzieć... Och, nie mogę, serce mi pęka

Siedziałam martwa i otepiąta przez kilka chwil. Drogi mój, nie mam dumy wobec Ciebie, Tyś taki dobry, taki szczerzy! Nie byłbyś zdolny zranić mnie ani oszukać; ale powiesz mi prawdę, choćby najokrutniejszą. Czy chcesz, abym Ci ułatwiła Twoje wyznanie? A więc, moje serce, pocieszy mnie bardzo kobieca myśl. Czyż nie posiadałam w Tobie istoty młodej i wstydlivej, sam wdzięk, samą piękność, samą delikatność, Gastona, którego żadna inna nie może już znać, a którym ja się rozkosznie syciłam... Nie, nie będziesz już kochał nikogo tak, jak mnie kochałeś, jak mnie kochasz; nie, nie mogę mieć rywalki. Kiedy będę myślała o naszej miłości – a to jest moja cała myśl – wspomnienia moje będą wolne od goryczy. Czyż będzie jeszcze kiedy w Twojej mocy czarować kobietę owymi dziecinnymi figlami, młodocianymi igraszkami młodego serca, ową zalotnością duszy, wdziękiem ciała i owym błyskawicznym porozumieniem rozkoszy, słowem – cudownym orszakiem, który towarzyszy młodzieńczej miłości? Teraz jesteś mężczyzną, będziesz szedł swoją drogą, obliczając wszystko. Będziesz miał zajęcia, troski, ambicje, zgryzoty, które ją pozbawią owego ciągłego i niezmiennego uśmiechu, jaki zawsze stroił dla mnie Twoje wargi. Twój głos, dla mnie wciąż tak słodki, będzie czasami opryskliwy. Twoje oczy, zawsze rozjaśnione na mój widok niebiańskim blaskiem, będą się często chmurzyły dla NIEJ. A wreszcie, ponieważ nie podobna jest kochać tak, jak ja Ciebie kocham, ta kobieta nigdy nie będzie Ci się podobała tak, jak ja Ci się podobałam. Nie będzie tak wciąż czuwała nad sobą, jak ja czuwałam, ani nie będzie tak nieustannie wmyślała się w Twoje szczęście, które tak nauczyłam się rozumieć. Tak, człowiek, serce, dusza, które ja znałam, nie będą już istniały; pogrzebię je w moim wspomnieniu, aby się nimi sycić jeszcze i aby żyć szczęśliwa tym pięknym, minionym życiem, nie znanym wszystkim oprócz nas.

Mój drogi skarbie, jeśli wszakże nie miałeś najlżejszej tęsknoty za swobodą, jeśli miłość moja Ci nie ciąży, jeśli obawy moje są urojeniem, jeżeli jestem dla Ciebie zawsze Twoją EWA, jedyną kobietą na świecie, wówczas po przeczytaniu tego listu przybądź! Przybiegnij! Och! Ukocham Cię w jednej sekundzie więcej, niż Cię kochałam – tak mi się zdaje – przez tych dziewięć lat. Po daremnej męczarni podejrzeń, o które się obwiniam, każdy dzień dodany do naszej miłości, tak, jeden dzień, będzie całym życiem szczęścia. Zatem, mów! Bądź szczerzy, nie zwódź mnie, to byłaby zbrodnia. Powiedz! Chcesz odzyskać wolność? Czyś się zastanowił nad swym życiem? Żałujesz? Ja powodem Twego żalu? Nie przeżyłabym tego. Powiedziałam Ci: kocham Cię na tyle, aby przelożyć Twoje szczęście nad moje, Twoje życie nad moje. Porzuć, jeśli możesz, cudne wspomnienia naszych dziewięciu lat szczęścia, iżby nie wpływały na Twoje postanowienie; ale mów! Poddam Ci się jak Bogu, temu jedynemu pocieszycielowi, który mi zostaje, jeśli Ty mnie opuścisz.

Kiedy pani de Beauséant dowiedziała się, że jej list znajduje się w rękach Gastona, popadła w przygnębienie tak ciężkie i w zadumę tak głęboką wskutek nadmiaru myśli, że była jakby uśpiona. Cierpiała owym bólem, którego siła nie zawsze jest w stosunku do sił kobiety i który jedynie kobiety znają. Podczas gdy nieszczęsna Klara czekała swego losu, pan de Nueil czytał jej list mocno zakłopotany, wedle wyrażenia używanego przez młodych ludzi w tego rodzaju krytycznych chwilach. Niemal już ustąpił naleganiom matki i powabom panny de la Rodière, młodej osoby dość nijakiej, prostej jak topólka, białej i różowej, prawie niemej w myśl programu zaleconego wszystkim pannom na wydaniu; ale jej czterdzieści tysięcy franków renty w ziemi dostatecznie przemawiały za nią. Pani de Nueil, wspomagana szczerym macierzyńskim przywiązaniem, starała się sprowadzić syna do cnoty. Zwracała mu uwagę, jak pochlebnym jest dlań wybór panny de la Rodière, której nadarza się tyle bogatych partii; czas pomyśleć o swoim losie, tak piękna sposobność nie zdarzy się już; miałyby w ten sposób kiedyś osiemdziesiąt tysięcy renty w ziemi; majątek stanowi najlepsze pocieszenie; jeżeli pani de Beauséant kocha go dla niego samego, pierwsza powinna namawiać go do małżeństwa. Słowem, dobra matka nie zapominała o żadnym ze sposobów, jakimi kobieta może

wpłynąć na mężczyznę. Toteż doprowadziła syna do tego, że się wahał. List pani de Beauséant przyszedł w chwili, gdy miłość Gastona walczyła przeciw wszystkim pokusom życia uregulowanego zgodnie z pojęciami świata; ten list rozstrzygnął walkę. Postanowił rzucić margrabinę i ożenić się.

– Trzeba być mężczyzną! – powiedział sobie.

Potem wyobraził sobie ból, jaki postanowienie jego zada kochance. Męska próżność jak również sumienie kochającego człowieka powiększały jeszcze ten ból, zdjęła go szczerza litość. Odczuł nagle to olbrzymie nieszczęście i uważał za potrzebne, za miłosierne złagodzić tę śmiertelną ranę. Miał nadzieję, iż zdoła doprowadzić panią de Beauséant do spokoju i do tego, iż sama zacznie go namawiać na to okrutne małżeństwo. Chciał ją stopniowo oswoić z myślą o koniecznym rozstaniu, ukazując wciąż między nimi pannę de la Rodière jak widmo, poświęcając zrazu swoje zamiary, aby dać jej sobie wmówić potem. Aby osiągnąć swój cel w tym litosnym dziele, posuwał się aż do tego, że liczył na szlachetność, na dumę margrabinę, na piękne przymioty jej duszy. Odpisał jej, aby uspić jej podejrzenia. List! Dla kobiety, która z intuicją prawdziwej miłości łączyła najdelikatniejszą wrażliwość kobiecą, list był wyrokiem. Toteż kiedy Jakub wszedł i zbliżył się do pani de Beauséant, aby jej podać trójgraniasto złożony papier, biedna kobieta zadrżała jak schwytna jaskółka. Nieznany chłód przeszedł ją od głowy aż do stóp, spowijając ją w lodowaty całun. Jeżeli nie przybiegał do jej kolan, jeżeli nie przychodził zapłakany, blady, kochający, wszystko przepadło. A jednak tyle jest nadziei w sercu kobiet, które kochają! Trzeba dużo ciosów sztyletu, aby je zabić, kochają i krwawią aż do ostatniego.

– Czy jasnie pani potrzebuje czego? – spytał Jakub z cicha, odchodząc.

– Nie – rzekła.

„Pocziwy człowiek – pomyślała, ocierając łzę – on mnie zgaduje, on, służący!”

Przeczytała: *Droga moja, dręczysz się urojeniami...* Kiedy ujrzała te słowa, gęsta zasłona rozpostarła się na oczach margrabinę. Tajemny głos serca krzyczał jej: „On kłamie”. Następnie, ogarniając wzrokiem całą pierwszą stronę z ową gorączkową jasnością, jaką daje namietność, przeczytała u dołu te słowa: *Nic nie jest postanowione...* Obracając konwulsyjnie kartkę, ujrzała wyraźnie ducha, który podyktował zawile zdania tego listu, gdzie nie znalazła już porywu miłości; zmięła list, podarła, zwinęła, pogryzła go, rzuciła w ogień i wykrzyknęła:

– Och! Nikczemny! Żył ze mną, nie kochając mnie już!...

Po czym wpółmartwa osunęła się na kanapę.

Pan de Nueil wyszedł napisawszy swój list. Kiedy wrócił, zastał Jakuba na progu. Jakub oddał mu list, mówiąc:

– Pani margrabinę nie ma już w zamku.

Pan de Nueil zdziwiony rozdarł kopertę i przeczytał:

Pani, gdybym przestał Panią kochać, godząc się z Pani rozkazu stać się pospolitym człowiekiem, niech Pani przyzna, że byłbym godnym mego losu. Nie, nie usłucham Pani i przysięgam Pani wierność, którą rozwiąże jedynie śmierć. Och! Weź moje życie, chyba że się nie lękasz zagoryczyć swego życia wyrzutem...

Był to list, który napisał do margrabinę, w chwili gdy wyjeżdżała do Genewy. Pod spodem Klara Burgundzka dodała: *Jest pan wolny.*

Pan de Nueil wrócił do matki do Manerville. W trzy tygodnie później odbył się jego ślub z panną Stefanią de la Rodière.

Gdyby ta historia, tak pospolicie prawdziwa, kończyła się tutaj, byłaby to niemal mistyfikacja. Czyż prawie każdy mężczyzna nie ma bardziej zajmującej do opowiedzenia? Ale głośne a niestety prawdziwe zakończenie, ale wszystko, co zdoła obudzić wspomnienia w sercu tych, którzy znali niebiańskie rozkosze bezgranicznej miłości i skruszyli ją sami lub też stra-

cili przez jakąś okrutną fatalność, osłoni może to opowiadanie przed krytyką. Margrabina de Beauséant nie opuściła swego zamku w chwili rozstania z panem de Nueil. Dla mnóstwa przyczyn, których sekret trzeba zostawić sercu kobiet – każda zresztą wybierze te, które jej będą odpowiadać – Klara mieszkała tam dalej po ślubie pana de Nueil. Żyła w tak zupełnej samotności, że służba, z wyjątkiem pokojowej i Jakuba, nie widywała jej. Wymagała w domu bezwarunkowej ciszy, opuszczała swój apartament jedynie, aby się udać do kaplicy, gdzie ksiądz z sąsiedztwa przychodził odprawiać dla niej mszę co rano. W kilka dni po ślubie hrabia de Nueil popadł w apatię, która mogła równie dobrze wyrażać szczęście, jak nieszczęście. Matka jego mówiła wszystkim:

– Syn mój jest bardzo szczęśliwy.

Pani Gastonowa de Nueil, podobna do wielu młodych kobiet, była trochę bezbarwna, łagodna, cierpliwa; zaszła w ciążę w miesiąc po ślubie. Wszystko to było zgodne z utartymi pojęciami. Pan de Nueil był dla niej bardzo dobry, tylko w dwa miesiące po rozstaniu z margrabinią stał się nadzwyczaj smutny i zadumany. – Ale on zawsze był poważny – powiadała matka.

Po siedmiu miesiącach tego mdłego szczęścia zaszły wypadki, lekkie na pozór, ale ogarniające tyle obszarów myśli i świadczące o tak wielkich wstrząsach duszy, iż trzeba nam je opowiedzieć po prostu i zostawić każdemu swobodny ich wykład. Jednego dnia pan de Nueil, polując na ziemiach Manerville i Valleroy, wrócił przez park pani de Beauséant; kazał zawołać Jakuba, zaczekał na niego, kiedy zaś lokaj przyszedł, spytał:

– Czy pani margrabina zawsze lubi dziczyznę?

Kiedy Jakub dał twierdzącą odpowiedź, Gaston wręczył mu dość znaczną sumę, popartą drobiazgowym tłumaczeniem, aby uzyskać od niego drobną usługę: chodziło o to, aby podać do stołu margrabiny ubitą zwierzynę. Jakubowi zdało się dość obojętne, czy jego pani będzie jadła kuropatwę zabita przez gajowego, czy przez pana de Nueil, zwłaszcza iż hrabia żądał, aby margrabina nie знаła pochodzenia zwierzyny.

– Zabiłem to na jej gruncie – mówił.

Jakub pomagał przez kilka dni w tym niewinnym oszukaństwie. Pan de Nueil wychodził rano na polowanie i wracał do domu aż na obiad, nie zabiwszy nic nigdy. Tak minął cały tydzień. Gaston ośmielił się na tyle, iż napisał do margrabiny długi list i przesłał go. List zwrócono mu nie otwarty. Była prawie noc, kiedy służący margrabiny mu go odniósł. Naraz hrabia wypadł z salonu, gdzie na pozór słuchał „Kaprysu” Hérolda⁵, masakrowanego na fortepianie przez żonę, i pobiegł do margrabiny z szybkością człowieka, który pędzi na schadzke. Wskoczył do parku przez znajomy sobie wyłom w murze, szedł zwolna przez aleje, zatrzymując się chwilami jak gdyby dla powstrzymania głośnego bicia swego serca, po czym doszedłszy do zamku przystanął, nasłuchując. Sądził, iż cała służba jest przy stole. Posunął się aż do pokojów pani de Beauséant. Margrabina nie opuszczała nigdy sypialni, pan de Nueil zdołał dotrzeć do drzwi bez najmniejszego hałasu. Tam ujrzał przy blasku dwóch świec margrabinę bladą, wychudłą, siedzącą w wielkim fotelu, z pochylonym czołem, z obwisłymi rękami, z oczyma utkwionymi w przedmiocie, którego zdawała się nie widzieć. Był to ostatni wyraz bólu. Była w tej postawie nieokreślona nadzieja, ale nie wiadomo było, czy Klara Burgundzka patrzy w grób, czy w przeszłość. Może łzy pana de Nueil zabłysły w ciemnościach, może oddech jego rozległ się głośnie, może wstrząsnęło nim mimowolne drżenie lub może obecność jego nie mogła nie wywołać zjawiska *intussuscepcji*, będącej zarazem chlubą, szczęściem i dowodem prawdziwej miłości. Pani de Beauséant obróciła zwolna twarz ku drzwiom i ujrzała dawnego kochanka. Hrabia postąpił kilka kroków.

– Jeżeli pan się zbliży – krzyknęła margrabina, blednąc – rzucę się przez to okno!

⁵ Louis-Joseph H é r o l d (1791–1833) – kompozytor francuski.

Skoczyła do zasuwki, otworzyła okno i stała z nogą na gzymsie, z ręką na balustradzie, z głową zwróconą do Gastona.

– Wyjdź pan, wyjdź pan – krzyczała – albo skacze!

Na ten straszliwy krzyk pan de Nueil, słysząc poruszenie wśród służby, uciekł jak złoczyńca.

Wróciwszy do domu hrabia napisał bardzo krótki list i kazał służącemu zanieść go do pani de Beauséant, polecając mu powiedzieć margrabinie, że chodzi tu o życie i śmierć jego pana. Gdy lokaj odszedł, pan de Nueil wrócił do salonu i zastał tam żonę, która dalej dukała nad „Kaprysem”. Usiadł, czekając na odpowiedź. W godzinę potem, po ukończeniu „Kaprysu”, małżonkowie siedli naprzeciw siebie w milczeniu po dwu stronach kominka. Służący wrócił i oddał swemu panu list nie rozpieczętowany. Pan de Nueil przeszedł do przyległego buduaru, gdzie wracając z polowania zostawił strzelbę, i zastrzelił się.

To szybkie a fatalne zakończenie, tak sprzeczne z obyczajami młodej Francji, jest naturalne.

Ludzie, którzy dobrze zaobserwowali lub też rozkosznie doświadczyli zjawisk towarzyszących doskonałemu zespoleniu dwojga istot, rozumieją łatwo to samobójstwo. Kobieta nie urabia się, nie nagina się w jednym dniu do kaprysów namiętności. Rozkosz, niby rzadki kwiat, wymaga starań najwyrafinowańszej hodowli; jedynie czas, harmonia dusz mogą wy dobyć z niej wszystkie możliwości, zrodzić owe tkliwe, subtelne słodycze, co do których żywimy mnóstwo przesądów, uważając je za zrosnięte z osobą, której serce nam ich użycza. To cudowne porozumienie, ta ślepa wiara i błogosławiona pewność, iż doznaje się osobliwego lub nadzwyczajnego szczęścia przy ukochanej istocie, to poniekąd tajemnica trwałych przywiązań i długich namiętności. Przy kobiecie posiadającej geniusz swej płci miłość nie jest nigdy nawykiem: jej cudowna tkliwość umie oblekać kształty tak różnorodne, wkłada tyle sztuki w swoją naturę lub naturalności w swoje sztuki, że staje się równie potężną wspomnieniem co obecnością. Przy niej wszystkie kobiety bledną. Trzeba było drzeć, że się utraci miłość tak rozległą, tak wspaniałą, lub też stracić ją, aby znać całą jej cenę. Ale jeżeli poznawszy ją człowiek wyrzekł się jej, aby popaść w jakieś zimne małżeństwo, jeżeli kobieta, z którą spodziewał się znaleźć te same słodycze, dowiedzie mu paroma owymi faktami zagrzebanymi w mrokach sypialni małżeńskiej, że nie odrodzą się już one dla niego, jeżeli ma jeszcze na wargach smak niebiańskiej miłości, a zranił śmiertelnie swą prawdziwą małżonkę na rzecz społecznej chimery, wówczas trzeba mu umrzeć lub też zdobyć się na ową materialną, samolubną, zimną filozofię, która budzi wstręt w kochających duszach.

Co się tyczy pani de Beauséant, napoiwszy kochanką obficie miłością przez dziewięć lat, nie sądziła zapewne, aby rozpacz jego posunęła się aż do samobójstwa. Może sądziła, że tylko ona jedna będzie cierpieć. Była zresztą najzupełniej w prawie uchylić się od najwstrętniejszego podziału, jaki istnieje, który żona może znosić przez wzgląd na wysokie racje społeczne, ale którym kochanka musi się brzydzić, ponieważ czystość jej miłości jest całym jej usprawiedliwieniem.

Angoulême, wrzesień 1832

HONORYNA

Przełożył
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

*PANU ACHILLESOWI DEVÉRIA
Z SERDECZNĄ PROŚBĄ O PAMIĘĆ
DE BALZAC*

Jeżeli Francuzi w tym samym stopniu nie lubią podróży, w jakim Anglicy je lubią, może i ci, i ci mają słuszość. Wszędzie znajdzie się coś lepszego niż Anglia, gdy niezmiernie trudno jest z dala od Francji odnaleźć urok Francji. Inne kraje mają wspaniałe krajobrazy, mają może więcej komfortu, niż się go znajduje we Francji, która najwolniej robi postępy w tej mierze. Inne kraje olśniewają niekiedy wspaniałością, wielkością, oszałamiają zbytkiem; nie brak im wdzięku ani szlachetności, ale życie duchowe, żywość myśli, dar rozmowy i a t t y c y z m tak pospolity w Paryżu, ale owo szybkie zrozumienie tego, co się myśli, a czego się nie mówi, geniusz domyślników będący połową francuskiego języka – tego nie spotka się nigdzie. Toteż Francuz, którego żart tak mało już znajduje zrozumienia, usycha na obczyźnie niby przeschcepione drzewo. Emigracja, jeśli chodzi o nasz naród, jest nonsensem. Wielu Francuzów, z tych, o których tutaj mowa, przyznaje, iż z rozkoszą ujrzeni celników na granicy kraju rodzinnego, co może się wydać najprzesadniejszą hiperbolą patriotyzmu.

Ten mały wstęp ma na celu przypomnieć Francuzom, którzy podróżowali, ową rozkosz, jakiej doznali, kiedy czasami zdarzyło się im odnaleźć całą ojczyznę, istną oazę w salonie jakiegoś dyplomaty – przyjemność, którą niełatwo zrozumieją ci, co nigdy nie opuszczali asfaltu Boulevard des Italiens i dla których lewy brzeg Sekwany nie jest już Paryżem. Odnaleźć Paryż! Czy wy wiecie, co to jest, o paryżanie!? To znaczy odnaleźć – nie kuchnię z Rocher-de-Cancalle, przysmaki, jakie Borel ma dla smakoszków znawców, bo ta kuchnia istnieje tylko przy ulicy de Montorgueil – ale podanie, które ją przypomina! To znaczy odnaleźć francuskie wina, które są mitem poza Francją; są tak rzadkie, jak kobieta, o której tu będzie mowa! To znaczy odnaleźć nie modny koncept – bo koncept ulatnia się między Paryżem a granicą – ale to inteligentne, dowcipne, krytyczne środowisko, w którym żyją Francuzi, od poety do robotnika, od księżnej do ulicznika.

W roku 1836, w czasie pobytu sardyńskiego dworu w Genui, dwaj paryżanie, mniej lub więcej sławni, mogli jeszcze mniemać, że są w Paryżu znalazłszy się w pałacu wynajętym przez francuskiego generalnego konsula na wzgórzu, na ostatniej falistości Apeninów między bramą Św. Tomasza a ową słynną latarnią, która w *keepsakes*⁶ zdobi wszystkie widoki Genui. Pałac ten jest to jedna z owych wspaniałych will, w których szlachta genueńska topiła miliony w czasach potęgi tej arystokratycznej republiki. Jeżeli gdzie zmierzch jest piękny, to z pewnością w Genui, kiedy deszcz padał tak, jak tam umie padać, strumieniami, przez całe rano, kiedy lazur morza idzie o lepsze z lazurem nieba, kiedy cisza panuje na wybrzeżu i w gaju okalającym willę, w marmurach, z których ust woda spływa tajemniczo, kiedy gwiazdy

⁶ *Keepsakes* (ang.) – modne w pierwszej połowie XIX w. ilustrowane antologie poezji i prozy, przeznaczone na upominki.

błyszczą, kiedy fale Śródziemnego Morza idą jedna za drugą niby wyznania kobiety, której wyrwasz je słowo po słowie. Powiedzmy wręcz: ta chwila, w której balsamiczne powietrze wypełnia wonią płuca i marzenia, kiedy rozkosz, widzialna i ruchliwa jak atmosfera, ogarnia cię na fotelu, wówczas gdy z łyżeczką w ręce smakujesz lody albo sorbety, mając miasto u swoich stóp, piękne kobiety przed sobą – te godziny *à la* Boccaccio zdarzają się tylko we Włoszech i nad brzegiem Śródziemnego Morza.

Wyobraźcie sobie u stołu: margrabiego di Negro, gościnnego przyjaciela wszelkiego talentu w podróży, i margrabiego Damaso Pareto, dwóch Francuzów przebranych za genueńczyków, generalnego konsula w otoczeniu żony pięknej jak Madonna i dwojga dzieci milczących, ponieważ zmorzył je sen, ambasadora Francji i jego żonę, pierwszego sekretarza ambasady, który sądzi, że jest przeżyty i złośliwy, wreszcie dwóch paryżan, na których pożegnanie wydano ten wspaniały obiad, a będziecie mieli obraz, jaki przedstawiała terasa willi w połowie maja. Nad obrazem tym dominowała jedna osoba, sławna kobieta, na której skupiały się od czasu do czasu spojrzenia, heroina tej improwizowanej fety. Jeden z Francuzów to był słynny pejzażysta Leon de Lora, drugi – słynny krytyk Klaudiusz Vignon. Obaj towarzyszyli tej kobiecie, jednej z najgłośniejszych reprezentantek płci pięknej w obecnej dobie, pannie des Touches, znanej w literaturze pod mianem Kamila Maupin. Panna des Touches wybrała się do Florencji w jakimś interesie. Wiedziona ową uroczą dobrocią, która ją cechuje, zabrała z sobą Leona de Lora, aby mu pokazać Włochy, i dotarła aż do Rzymu, aby mu pokazać Campagna Romana. Przybywszy przez Simplon, wracała przez Corniche do Marsylii. Zatrzymała się, wciąż dla pejzażysty, w Genui. Oczywiście generalny konsul chciał przed przybyciem dworu godnie przywitać w Genui osobę, którą majątek, nazwisko i pozycja wyróżniają nie mniej niż talent. Panna des Touches, która знаła Genuę do najmniejszej kapliczki, zostawiła pejzażystę opiece dyplomaty oraz dwóch genueńskich margrabiów, oszczędzając swój czas dla siebie. Mimo że ambasador był bardzo wytwornym pisarzem, sławna kobieta wymówiła się od jego uprzejmości, lękając się tego, co Anglicy nazywają *exhibition*⁷, ale schowała pazurki samoobrony, skoro wspomniano o pożegnalnym dniu w willi konsula. Leon de Lora zwrócił uwagę towarzyszce, że jej obecność jest jedynym sposobem podziękowania ambasadorowi i jego żonie, dwóm genueńskim margrabiom, konsulowi i jego małżonce. Za czym panna des Touches uczyniła ofiarę z jednego z owych dni zupełnej swobody, niełatwych do uszczknięcia w Paryżu tym, na których oczy świata są zwrócone.

A teraz, skorośmy objaśnili to zebranie, łatwo pojąć, że wszelka etykieta była zeń wygnana, zarówno jak i wiele kobiet, i to z najznamienitszych, ciekawych sprawdzić, czy męskość talentu Kamila Maupin nie szkodzi wdziękowi ładnej kobiety, czy, jednym słowem, spodenki wzięły górę nad spódnicą. Od obiadu aż do dziewiątej – do chwili, gdy podano lekką wieczerzę – o ile rozmowa była na przemian wesoła i poważna, wciąż ożywiona konceptami Leona de Lora, mającego sławę jednego z najdowcipniejszych ludzi w Paryżu, to – przez dobry smak, który nie zdziwi nikogo w takim zespole – niewiele było mowy o literaturze; ale wreszcie motyli kapryś francuskiej werwy musiał sfrunąć na ten przedmiot choćby po to, aby musnąć ów temat tak bardzo narodowy. Ale zanim dojdziemy do momentu rozmowy, w którym zabrał głos generalny konsul, nie od rzeczy będzie rzec słówko o jego rodzinie i o nim.

Ten dyplomata, człowiek może trzydziestoczteroletni, żonaty od sześciu lat, był żywym portretem lorda Byrona. Sława tej fizjonomii uwalnia od opisu powierzchowności konsula. Trzeba tylko zaznaczyć, że jego marzący wyraz nie był pozą. Lord Byron był poetą, a dyplomata był poetyczny; kobiety rozumieją tę różnicę, która tłumaczy – nie usprawiedliwiając ich zresztą – niektóre ich kaprysy. Uroda ta, połączona z przemiłym charakterem, z nawykiem samotności i pracy, oczarowała pewną genueńską herytierę. Genueńska herytierka! Wyrażenie to wywoła może uśmiech w Genui, gdzie córki nie dziedziczą na równi z synami i gdzie tym

⁷ Exhibition (ang.) – pokaz, wystawa.

samym kobieta rzadko jest bogata; ale Onorina Pedrotti, jedyne dziecię bankiera bez męskich spadkobierców, jest wyjątkiem. Mimo wszystkiego, co w takim samorzutnym uczuciu pochlebne jest dla mężczyzny, generalny konsul nie kwapił się do małżeństwa. Jednakże, po dwóch latach, dzięki zabiegom ambasadora w czasie pobytu dworu w Genui, małżeństwo przyszło do skutku. Młody człowiek pokonał swoje wahania nie tyle pod wpływem wzruszającego przywiązania Onoriny Pedrotti, ile wskutek tajemniczego wydarzenia, jednego z owych przeżyć, tak rychło zagrzebanych pod codziennym biegiem spraw, że później najnaturalniejsze postęпки wydają się niezrozumiałe. Ten splot przyczyn oddziaływa bardzo często na najpoważniejsze wypadki historyczne. Taka była przynajmniej opinia Genui, gdzie dla wielu kobiet odludne życie i melancholia francuskiego konsula tłumaczyły się jedynie słowem miłość. Zauważmy mimochodem, że kobiety nigdy nie skarżą się, kiedy są ofiarami innej miłości, poświęcając się bardzo łatwo dla wspólnej sprawy. Onorina Pedrotti, która byłaby może znienawidziła konsula, gdyby nią był wzgardził bez przyczyny, kochała – może więcej nawet – *suo sposo*⁸ wiedząc, że jest zakochany. Kobiety uznają pierwszeństwo w sprawach serca. Wszystko jest wybaczone, o ile idzie o miłość. Nie można być bezkarnie dyplomata: *sposo* był dyskretny jak grób; tak dyskretny, że genueńscy kupcy dopatrywali się wyrachowania w zachowaniu młodego konsula, któremu herytiera byłaby się może wymknęła, gdyby nie odgrywał tej roli chorego z urojenia na miłość. Jeżeli to była prawda, kobiety uznały tę prawdę za zbyt niską, aby w nią uwierzyć. Panna Pedrotti uczyniła tedy ze swej miłości pociechę, utuliła te nieznanne cierpienia w łożu włoskich pieszczot i tkliwości. *Il signor* Pedrotti nie miał zresztą przyczyn skarżyć się na wybór, do którego zmusiła go ukochana córka. Potężni protektorowie czuwali z Paryża nad karierą młodego dyplomaty. W myśl obietnicy danej ojcu przez ambasadora, zamianowano generalnego konsula baronem i komandorem legii honorowej. Niebawem *il signor* Pedrotti otrzymał z rąk króla Sardynii tytuł hrabiowski. Posag panny wynosił milion. Co się tyczy dóbr *casa*⁹ Pedrotti, szacowanej na dwa miliony zdobyte w handlu zbożem, te przypadły nowożeńcom w pół roku po ślubie, pierwszy bowiem i ostatni z hrabiów Pedrotti umarł w styczniu r. 1831.

Onorina Pedrotti jest to piękna genuenka, a genuenka to jeden z najwspanialszych typów włoskich, o ile jest piękna. Tworząc grób Juliusza, Michał Anioł znalazł swoje modele w Genui. Stąd ta obfitość, to szczególne rozmieszczenie piersi w postaciach Dnia i Nocy, które tylu krytykom wydaje się przesadne, ale które jest właściwe Liguryjkom. W Genui piękność istnieje dziś już tylko pod *mezzaro*, jak w Wenecji widuje się ją już tylko pod *fazzio*¹⁰. Objaw ten powtarza się u wszystkich upadłych narodów. Szlachetny typ spotyka się tam już tylko wśród ludu, jak po pożarze miasta medale kryją się w popiołach. Ale będąc wyjątkiem pod względem majątkowym, Onorina jest też wyjątkiem i jako patrycjuszowska piękność. Przypomnijcie sobie Noc, którą Michał Anioł umieścił pod swoim Myślicielem, ubierzcie ją w dzisiejsze suknie, zwińcie te piękne, długie włosy dokoła wspaniałej, nieco śniadej twarzy, ożywcie iskierką ognia te marzące oczy, otulcie bujną pierś w szal, zahartujcie w kwiaty długą, białą suknię, wyobraźcie sobie, że ten stojący posąg siedzi i że założył ręce podobne do rąk panny Georges¹¹, a będziecie mieli przed sobą panią konsulową z sześciolatnim chłopcem, pięknym jak pragnienie matki, oraz z czteroletnią dziewczynką na kolanach, piękną jak typ dziecka mozolnie szukany przez rzeźbiarza Davida na ornament grobowca. To sympatyczne stadło ściągnęło dyskretną uwagę Kamila Maupin. Wydało się pannie des Touches, że konsul ma minę nieco roztargnioną jak na człowieka zupełnie szczęśliwego. Mimo iż przez cały dzień małżeństwo przedstawiało obraz doskonałego szczęścia, autorka pytała samą sie-

⁸ *Suo sposo* (wł.) – swego małżonka.

⁹ *Casa* (wł.) – dom, firma.

¹⁰ *Mezzaro* (wł.) – czarny jedwabny welon należący do narodowego stroju w Genui; *fazzio* (*fazzuoli*, wł.) – chusteczki.

¹¹ Panna *Georges* (1787–1867) – wybitna tragiczka Komedii Francuskiej.

bie, czemu jeden z najdystyngowańszych ludzi, jakich znała i spotykała w paryskich salonach, tkwi jako konsul w Genui, posiadając z górą sto tysięcy franków renty! Ale z mnóstwa drobiazgów, które kobiety umieją łowić z inteligencją arabskiego mędrca w „Zadigu”¹², stwierdziła równocześnie najtkliwsze przywiązanie męża. Tak, te dwie piękne istoty będą się kochały wiecznie, do końca swoich dni. Pisarka powiadała sobie tedy na przemian: „Co w tym jest? – Nie ma nic!” – zależnie od poszlak dostrzeżonych w zachowaniu się konsula, który, powiedzmy nawiasem, posiadał absolutny spokój Anglików, dzikich, mieszkańców Wschodu i wytrawnych dyplomatów.

Kiedy rozmowa zeszała na literaturę, potracono temat, który zawsze znajduje się na składowie w tym kramie: błąd kobiety! Niebawem wyłoniły się dwie opinie: kto ponosi winę za błąd kobiety, mężczyzna czy kobieta? Trzy obecne damy, ambasadorowa, konsulowa i panna des Touches, występując w charakterze istot nieskazitelnych, były bezlitosne dla kobiet. Mężczyźni próbowali dowieść tym pięknym kwiatom płci słabej, że kobieta może zachować nawet po upadku jakieś cnoty.

– Jak długo będziemy w ten sposób grali w ciuciubabkę? – rzekł Leon de Lora.

– *Cara vita* (moje drogie życie), idź połóż dzieci i przyślij mi przez Ginę czarny portfel, który leży na biurku – rzekł konsul do żony.

Konsulowa wstała bez słowa sprzeciwu, co dowodzi, że bardzo kochała męża, rozumiała bowiem na tyle po francusku, aby się domyślić, że mąż ją wyprawia.

– Opowiem wam historię, w której odgrywam pewną rolę i po której będziemy mogli dyskutować, bo wydaje mi się dzieciństwem krajać urojonego nieboszczyka. Do sekcji trzeba trupa.

Wszyscy przybrali pozy chętnych słuchaczy, tym bardziej iż nagadali się dosyć i rozmowa zaczynała słabnąć; taki moment to gratka, którą powinien chwytąć ktoś, kto chce opowiadać. Oto co opowiedział konsul:

– Kiedy ukończyłem dwadzieścia dwa lata i złożyłem doktorat praw, wuj mój, sędziwy ksiądz Loraux, wówczas z górą siedemdziesięcioletni, uznał, że trzeba mi znaleźć protektora i skierować mnie na jakąś drogę. Przechacny ten człowiek, o ile to w ogóle nie był święty, uważał każdy swój rok za osobliwy dar Boga. Nie potrzebuję wam mówić, jak łatwo było spowiednikowi jednej z królewskich wysokości umieścić młodego człowieka, wychowanego przezeń, jedyne dziecko jego siostry. Jednego dnia tedy, pod koniec roku 1824, czcigodny starzec, od pięciu lat proboszcz przy Blancs-Manteaux w Paryżu, zaszedł do pokoiku, który zajmowałem na plebanii, i rzekł:

– Ubierz się, dziecko, przedstawię cię osobie, która cię bierze jako sekretarza. Jeżeli się nie mylę, osoba ta zdoła mnie zastąpić, w razie gdyby Bóg powołał mnie do siebie. Odprawię mszę o dziewiątej, masz trzy kwadranse czasu, bądź gotów.

– Wuju – rzekłem – mam się więc pożegnać z tą izdebką, w której byłem od czterech lat tak szczęśliwy?...

– Nie zostawię ci żadnego majątku – odparł.

– Czyż nie zostawisz mi talizmanu swego nazwiska, pamięci swoich uczynków?...

– Nie mówmy o tym dziedzictwie – rzekł z uśmiechem. – Nie znasz jeszcze na tyle świata, aby wiedzieć, że niełatwo byś zrealizował zapis tego rodzaju; skoro natomiast zaprowadzę cię dziś do hrabiego...

(Pozwólcie mi, państwo, że nazwę mego protektora jedynie chrzestnym imieniem: hrabia Oktaw).

– Skoro cię zaprowadzę do hrabiego Oktawa, zapewnię ci rzetelną protekcję. Jeżeli – a nie wątpię o tym – spodobaś się temu zacnemu mężowi, jego poparcie będzie z pewnością tyleż

¹² „Z a d i g” – filozoficzne dzieło Woltera, napisane w r. 1748.

warte, co majątek, jaki byłbym ci zebrał, gdyby ruina szwagra i śmierć siostry nie zaskoczyły mnie niby piorun z jasnego nieba.

– Czy jesteś, wuju, spowiednikiem hrabiego?

– Gdybym nim był, czyż mógłbym mu cię zalecać? Któryż ksiądz poważiłby się korzystać z sekretów, które posiadał przy konfesjonale? Nie, tę protekcję zawdzięczasz ministrowi sprawiedliwości. Będiesz tam, drogi Maurycy, jak u ojca. Hrabia daje ci dwa tysiące czterysta franków pensji, mieszkanie w pałacu oraz tysiąc dwieście franków miesięcznie strawnego; nie będziesz siadał przy jego stole, a nie chce, byś jadał osobno, aby cię nie skazywać na podrzędne stanowisko. Przyjąłem tę propozycję, dopiero gdy uzyskałem pewność, że sekretarz hrabiego Oktawa nie będzie nigdy czymś w rodzaju służącego. Będiesz miał masę pracy, bo hrabia pracuje wiele, ale wyjdiesz stamtąd przygotowany do najwyższych stanowisk. Nie potrzebuję ci zalecać dyskrecji, pierwszej cnoty człowieka, który się chce poświęcić karierze publicznej.

Osądźcie, państwo, moją ciekawość! Hrabia Oktaw zajmował wówczas jedno z najwybitniejszych stanowisk w sądownictwie, posiadał zaufanie następczyni tronu, która uzyskała dlań właśnie godność ministra stanu. Wiódł egzystencję mniej więcej podobną do egzystencji hrabiego de Sérisy, którego znacie, zdaje mi się, wszyscy, ale mniej rozgłośną, mieszkał bowiem na Marais, przy ulicy Payenne, i nie przyjmował prawie nigdy. Jego ascetyczne obyczaje i wyteżona praca zabezpieczały jego życie prywatne od kontroli publiczności.

Pozwólcie, bym w kilku słowach odmalował swoje położenie. Znalazłszy w poważnym prowizorze kolegium Św. Ludwika opiekuna, na którego wuj przelał swoje prawa, ukończyłem szkoły w osiemnastym roku życia. Wyszedłem z kolegium równie czysty, jak żarliwy seminarzysta wychodzi z Saint-Sulpice. Na łożu śmierci matka moja wzięła od wuja przyrzeczenie, że nie zostanę księdzem, ale byłem tak pobożny, jak gdybym miał oblec sukienkę zakonną. Kiedym wyszedł z kolegium, ksiądz Loraux wziął mnie do siebie i zapisał mnie na prawo. Przez cztery lata studiów, wymaganych do uzyskania stopni, pracowałem wiele, zwłaszcza poza suchą niwą jurysprudencji. Odstawiony od literatury w kolegium, gdzie mieszkałem u prowizora, musiałem ugasić zdławione pragnienia. Najpierw przeczytawszy kilka nowoczesnych arcydzieł, pochłonałem z kolei dzieła minionych wieków. Oszalałem na punkcie teatru, długi czas chodziłem do teatru co dzień, chociaż wuj dawał mi tylko sto franków na miesiąc. Oszczędność ta, do której zmuszała starca jego tkliwość dla biednych, miała ten skutek, iż utrzymała pragnienia młodzieńcze w godziwych granicach. W chwili gdy wstępowałem do hrabiego Oktawa, nie byłem niewiniątkiem, ale uważałem swoje rzadkie wybryki za zbrodnię. Wuj był to człowiek tak prawdziwie anielski, tak lękałem się go zmartwić, iż w ciągu tych czterech lat ani razu nie spędziłem nocy poza domem. Zaczny człowiek nie kładł się nigdy przed moim powrotem. Ta macierzyńska troskliwość miała większy skutek niż kazania i wymówki, jakimi w purytańskich rodzinach urozmaica się życie młodych.

Żyjąc z dala od rozmaitych światów, z których składa się Paryż, znałem kobiety z towarzystwa i z miasta tylko o tyle, o ile je widywałem na przechadzce albo w łoży, i to na odległość, gdyż sam bywałem na parterze. Gdyby mi ktoś w owym czasie rzekł: „Zobaczysz Kamila Maupin albo Canalisa”, uczułbym istny żar w głowie i wnętrznościach. Sławni ludzie byli dla mnie niby bogowie; nie wierzyłem, aby mogli mówić, chodzić, jeść jak inni ludzie. Ileż baśni z tysiąca i jednej nocy kryje się w takiej młodej głowie!... Iluż cudownych lamp trzeba się chwycić, nim się zrozumie, że prawdziwą cudowną lampą jest albo traf, albo praca, albo talent! Dla niektórych ten sen na jawie trwa krótko, dla mnie wciąż trwa jeszcze! W owym czasie zasypiałem zawsze jako wielki księżę Toskanii – milioner – kochanek księżniczki – albo sławny! Tak więc miejsce u hrabiego Oktawa, własnych sto ludwików na rok, to znaczyło – niezależność. Widziałem nadzieję wejścia w towarzystwo, poszukiwania w nim tego, czego moje serce pragnęło najgoręcej: protektorki, która by mnie uchroniła od niebezpiecznej drogi, jaką puszczają się niechybnie w Paryżu dwudziestoletni chłopcy, choćby

najtroskliwiej wychowani. Zacząłem bać się samego siebie. Zaciekle studia nad prawem narodów, w których się pograżyłem, nie zawsze wystarczały, aby zdławić me wściekle pragnienia. Tak, czasami zanurzałem się myślą w życie teatru, zdawało mi się, że mógłbym być wielkim aktorem, marzyłem o oklaskach i miłości, nie znając zawodów ukrytych za kurtyną, jak wszędzie zresztą, bo każda scena ma swoje kulisy. Czasami wypadałem z kipiącym sercem zapuszczając się w Paryż niby myśliwiec w knieję; postanawiałem się przyczepić do jakiej ładnej kobiety, iść za nią aż do bramy, szpiegować ją, napisać do niej, oddać się jej całkowicie i zdobyć ją siłą swej miłości. Biedny wuj, to serce trawione miłosierdziem, to siedemdziesięcioletnie dziecko, rozumny jak Bóg, naiwny jak geniusz, zgadywał zapewne rozterki mojej duszy, mawiał zawsze: „Ej, Moryś, ty jesteś też biedny, masz dwadzieścia franków, idź się zabawić, ty nie jesteś księdzem!” – ilekroć czułem, że sznurek, na którym mnie trzymał, zbyt jest napięty i może trzasnąć. Gdybyście mogli widzieć wówczas ogniki, jakie złościły jego szare oczy, uśmiech, który łagodził jego miłe usta, słowem: cudowny wyraz tej dostojnej twarzy, której brzydotę uszlachetniał duch apostołski! Za całą odpowiedź ścisnąłem księdza, tak jakbym uściskał matkę.

– Nie będziesz miał zwierzchnika – mówił wuj w drodze na ulicę Payenne – będziesz miał w hrabi Oktawie przyjaciela; ale on jest nieufny lub, aby rzec trafniej, przezorny. Przyjaźń tego męża stanu można zdobyć tylko z czasem; mimo swej bystrości i znajomości ludzi dał się oszukać temu, którego miejsce masz zająć, i omal nie stał się ofiarą nadużycia. To ci wystarczy jako wskazówka, jak się masz zachować.

Kiedyśmy zapukali do olbrzymiej bramy pałacu tak wielkiego jak pałac Carnavalet, otoczonego dziedzińcami i ogrodem, dźwięk ten rozległ się w pustce. Gdy wuj pytał starego szwajcara w liberii o hrabiego, ja tymczasem ogarnąłem żarłocznym spojrzeniem dziedzińiec. Brak zarośnięty był trawą, trawa puszczała również ze ślicznych ornamentów na ścianach oraz z dachu stromego jak w Tuileryach. Balustrady na wyższych piętrach były nadzarte czasem. Poprzez wspaniałą arkadę ujrzałem drugi dziedzińiec, gdzie znajdowały się budynki gospodarskie o przegniłych bramach. Stary woźnica czyścił tam stary powóz. Z flegmy woźnicy łatwo było zgadnąć, że zamożne stajnie, w których niegdyś rżało tyle koni, obecnie mieszczą ich najwyżej parę. Wspaniała fasada zdała mi się martwa niby front gmachu będącego własnością państwa lub Korony i oddanego na publiczny użytek. Podczas gdy szliśmy z wujem, z loży szwajcara (był tam jeszcze nad drzwiami napis „Pukać do szwajcara”) rozległ się dzwonek. Na ten znak wyszedł z ganku lokaj w liberii takiej, jaką nosi Labranche w Komedii Francuskiej w starym repertuarze. Wizyta była czymś tak rzadkim, że służący kończył jeszcze naciągać surdut, otwierając drzwi zaszkłone małymi szybkami. Po obu stronach drzwi ściana była okopcona od dymu świeczników. Z przedsionka, którego nie powstydziliby się Wersal, widać było schody, jakich się już nie będzie we Francji budowało nigdy, schody, które zajmują tyle miejsca, co cały nowoczesny dom. Kiedyśmy szli po kamiennych stopniach, zimnych jak groby i po których osiem osób mogłoby iść rzędem, kroki nasze rozlegały się pod pustym sklepieniem. Miało się wrażenie, że się jest w katedrze. Poręcze bawiły oko cudami ślusarstwa, w których wypowiedziała się wyobraźnia jakiegoś artysty z czasów Henryka III. Spowici lodowatym płaszczem, który nam spadł na ramiona, mijaliśmy przedpokoje, salony w amfiladzie, z posadzką bez dywanów, umeblowane owymi cudnymi antykami, które z takiego salonu dostają się wprost do antykwariusza. Wreszcie przybyliśmy do wielkiego gabinetu pomieszczonego w bocznym skrzydle, którego wszystkie okna wychodziły na ogród.

– Ksiądz proboszcz od Blancs-Manteaux i jego siostrzeniec, pan de l'Hostal! – oznajmił drugi Labranche, którego opiece oddał nas ów teatralny lokaj w przedpokoju. Hrabia Oktaw, ubrany w spodnie ze strzemiączkami i szary flanelowy surdut, wstał od ogromnego biurka, zbliżył się do kominka i dał mi znak, abym usiadł. Ujął wuja za ręce i uściskał je.

– Mimo że sam należę do Św. Pawła, nie mogłem nie słyszeć o proboszczu Blancs-Manteaux i szczęśliwy jestem, że mogę go poznać.

– Ekscelencja bardzo łaskaw – odparł wuj. – Przyprawiam panu jedyne krewne, jaki mi został. Daję go w podarku Waszej Ekscelencji, a równocześnie mam uczucie, że daję memu chłopakowi drugiego ojca.

– Będę mógł panu odpowiedzieć w tej mierze, księżę proboszczu, wówczas kiedy się z pańskim siostrzeńcem wypróbujemy wzajem – odparł hrabia. – Jak panu na imię? – rzekł, zwracając się do mnie.

– Maurycy.

– Jest doktorem praw – wtrącił wuj.

– Pięknie, pięknie – rzekł hrabia, przyglądając mi się od stóp do głów.

– Księżę proboszczu, mam nadzieję, że najpierw dla swego siostrzeńca, a później dla mnie uczyni mi pan ten zaszczyt, aby stale przychodzić do mnie w poniedziałek na obiad. To będzie nasz obiad, nasz rodzinny wieczór!

Zaczęli rozmawiać o religii z punktu widzenia politycznego, o instytucjach dobroczynnych, o zmniejszeniu liczby występków, ja zaś mogłem do woli przyjrzeć się człowiekowi, od którego zależał mój los. Hrabia był średniego wzrostu; nie podobna mi było ocenić jego budowy pod luźnym ubraniem, ale wydał mi się szczupły i chudy. Twarz była koścista i zapadła, rysy subtelne. Dość duże usta wyrażały zarazem ironię i dobroć. Czoło, może za szerokie, przerażało jak czoło szaleńca, tym bardziej iż klóciło się z resztą twarzy, zakończonej krótkim podbródkiem, bardzo bliskim dolnej wargi. Niebieskie oczy, żywe i inteligentne, jak oczy księcia de Talleyrand, którego miałem później sposobność podziwiać, posiadały – również jak oczy księcia – zdolność milczenia, tak iż chwilami stawały się zupełnie martwe. To podkreślało jeszcze niezwykłość tej twarzy, nie bladej, ale żółtej. Cera ta zwiastowała porywczy charakter i gwałtowne namiętności. Włosy już posrebrzone, starannie uczesane, mieniły się na głowie czarnymi i białymi pasmami. To staranne uczesanie osłabiało podobieństwo, jakie znajdowałem między hrabią a owym nadzwyczajnym mnichem, którego Lewis skopiował ze Schedoniego w „Konfesjonale czarnych pokutników”, utworze, moim zdaniem, wyższym od „Mnicha”¹³. Hrabia był ogolony, widać wcześniej wybierał się do sądu. Dwa czteroramienne świeczniki opatrzone abażurami stały po dwóch stronach biurka, a świece ich, jeszcze płonące, świadczyły wymownie, że dygnitarz ten wstaje przede dniem. Ujrzałem ręce jego, kiedy pociągnął taśmę, aby zadzwonić na lokaja; były bardzo piękne, białe jak ręce kobiety...

(Opowiadając wam tę historię – wtrącił konsul – zmieniam pozycję i tytuły bohatera, zachowując wszakże analogię sytuacji. Stan, ranga, zbytek, majątek, sposób życia, wszystkie te szczegóły są prawdziwe; ale nie chcę uchybić ani swemu dobroczyńcy, ani obowiązkowi dyskrekcji).

– Zamiast się czuć tym, czym byłem – ciągnął konsul po pauzie – czyli, biorąc społecznie, robakiem wobec orła, doznałem na widok hrabiego nieokreślonego uczucia, które dziś umiem sobie wytłumaczyć. Genialni artyści...

(Skłonił z wdziękiem głowę przed ambasadorem, sławną kobietą i dwoma paryżanami).

– ...Prawdziwi mężowie stanu, poeci, wodzowie, słowem – ludzie naprawdę wielcy, są prości, a prostota ich sprawia, że czujemy się z nimi na równej stopie. Państwo wszyscy, tak górujący nad innymi myślą, zauważyliście może – rzekł, zwracając się do swoich gości – jak bardzo uczucie zmniejsza odległości stworzone przez społeczeństwo. Jeżeli my jesteśmy niżsi od was inteligencją, możemy wam dorównać oddaniem w przyjaźni. Wedle temperatury (darujcie mi to słowo) naszych serc czułem się równie blisko mego protektora, jak byłem odeń daleko stanowiskiem. Dusza ma swój dar jasnowidzenia: przeczuwa ból, zmartwienie, radość, niechęć, nienawiść drugiej osoby. Doznałem nieokreślonego uczucia, spostrzegając u hrabiego te same rysy, co u mego wuja. Cnota, spokój sumienia, czystość myśli przeobraziły wuja:

¹³ Matthew Gregory Lewis (1775–1818) – pisarz angielski, autor m. in. „Mnicha”, gdzie bohaterem jest zbrodniczy dominikanin; Lewis wzorował się na pełnych grozy powieściach Anny Radcliffe (1764–1823), jak wymieniony przez Balzaka „Konfesjonal”, którego bohater, mnich Schedom, jest przestępcą i rozpustnikiem.

z brzydkiego zrobił się bardzo piękny. Na twarzy hrabiego stwierdziłem odwrotną metamorfozę: na pierwszy rzut oka mógł mieć lat pięćdziesiąt pięć, ale po uważnym przyjrzeniu się poznałem młodość zagrzebaną pod lodami zgrzyoty, pod mozołem zaciekłych studiów, pod gorączką zdławionej namiętności. Na jakieś odezwanie się wuja oczy hrabiego odzyskały na chwilę świeżość, na ustach wykwitł uśmiech podziwu, który mi zdradził jego prawdziwy, jak sądzę, wiek: czterdziestkę. Spostrzeżenia te zrobiłem nie wówczas, ale później, przypominając sobie szczegóły wizyty. Lokaj wniósł tacę, na której znajdowało się śniadanie hrabiego.

– Nie dzwoniłem o śniadanie – rzekł – ale możesz zostawić. Idź pokaż panu jego pokoje.

Udałem się za lokajem, który mnie zaprowadził do ładnego mieszkanka, położonego pod terasą, między dziedzińcem a oficyną, nad korytarzem łączącym kuchnię z głównymi schodami pałacu. Kiedy wróciłem do gabinetu, zanim otworzyłem drzwi, usłyszałem z ust wuja ten wyrok:

– Mógłby popełnić błąd, bo naturę ma bardzo gorącą, a wszyscy jesteśmy ułomni, ale nie jest nic a nic zepsuty.

– No i cóż – rzekł hrabia, spoglądając na mnie z sympatią – podoba się panu, co? Tyle jest mieszkań w tych koszarach, że gdyby panu tam nie było dobrze, pomieściłbym pana gdzie indziej.

– U wuja miałem tylko jeden pokój – odparłem.

– Zatem może się pan przeprowadzić dziś wieczór – rzekł hrabia. – Na przewiezienie studentckiego mienia wystarczy zapewne dorożka? Dziś zjemy sobie obiad we trójkę – dodał, spoglądając na wuja.

Wspaniała biblioteka przylegała do gabinetu hrabiego; zaprowadził nas tam, pokazał mi małe, ozdobione obrazami ustronie, które niegdyś musiało służyć za modlitewnię.

– Oto pańska cela – rzekł. – Tu będziesz sobie siedział, kiedy będziemy pracowali razem, bo zresztą nie chcę pana więzić na łańcuchu.

Wyszczególnił mi rodzaj i czas moich zajęć. Słuchając hrabiego poznałem w nim wielkiego męża stanu. Miesiąc blisko zajęło mi obycie się z nowym środowiskiem, wejście w moje obowiązki oraz oswojenie się z charakterem hrabiego. Z natury rzeczy sekretarz obserwuje człowieka, któremu służy. Upodobania, namiętności, charakter, manie tego człowieka stają się dlań przedmiotem mimowolnego studium. Zespolenie tych dwóch inteligencji jest zarazem mniej i więcej niż małżeństwem. Przez trzy miesiące obaj z hrabią Oktawem obserwowaliśmy się wzajem. Dowiedziałem się ze zdumieniem, że hrabia ma dopiero trzydzieści siedem lat. Czysto zewnętrzny spokój jego życia oraz stateczne prowadzenie się wpływały nie tylko z głębokiego poczucia obowiązku i ze stoicyzmu. Obcując z tym człowiekiem, niepospolitym dla tych, co go dobrze znają, uczułem rozległe głębie pod jego pracą, pod jego uprzejmością, pod maską stałej zyczliwości, pod jego pozorną rezygnacją, tak podobną do spokoju, że można się było omylić. Podobnie jak gdy idziemy przez las, dźwiękiem, jaki wydaje pod nogą, grunt zdradza lity kamień lub próżnię, tak samo egoizm ukryty pod kwiatami grzeczności oraz podziemia wyżłobione nieszczęściem dźwięczą pusto w zetknięciu z codziennym życiem. Ból, a nie zniechęcenie, mieszkał w tej naprawdę wielkiej duszy. Hrabia zrozumiał, że czyn, że fakt są najwyższym obowiązkiem człowieka. Toteż szedł swoją drogą mimo tajemnych ran, patrząc w przyszłość pogodnym okiem, niby męczennik pełen wiary. Jego tajony smutek, gorzki zawód, od którego cierpiał, nie zawiodły go w filozoficzne wartości niedowiarstwa; ten dzielny mąż stanu był religijny, ale bez żadnego popisu; chodził na pierwszą mszę, którą się odprawiało u Św. Pawła dla robotników i dla bogobojnej służby. Nikt z jego przyjaciół, nikt na dworze nie wiedział, że on tak wiernie przestrzega praktyk. Żył w Bogu tak, jak wielu szanownych ludzi żyje w rozpuście, w głębokiej tajemnicy. Toteż kiedyś miałem ujrzeć hrabiego na szczycie nieszczęścia o wiele wynioślejszym niż ten, na którym przebywają ludzie uważający się za najciężej doświadczonych, drwiący sobie z wiar i namiętności drugich, ponieważ zwyciężyli własne, i grający na wszystkich tonach ironii i

wzgardy. Nie drwił sobie wówczas ani z tych, co jeszcze biegają za nadzieją w bagna, w które ona wiedzie, ani z tych, co drapią się na jakiś cypel, aby się odosobnić, ani z tych, co trwają w walce, czerwieniąc arenę swoją krwią i ścieląc ją swymi złudzeniami. Widział świat w jego całości, górował nad myślami, słuchał skarg, wątpił o przywiązaniu, a zwłaszcza o poświęceniu; ale ten wielki, ten surowy sędzia współczuł z nimi, podziwiał je nie przemijającym entuzjazmem, ale milczącym skupieniem, współdziałem przejętej duszy. Był to jak gdyby jakiś Manfred¹⁴ katolicki i wolny od zbrodni, kryjący ciekawość w swej wierze, topiący lody żarem wulkanu bez ujścia, rozmawiający z gwiazdą, którą on jeden widział!

Dostrzegłem wiele rzeczy ciemnych w jego życiu. Chował się moim oczom nie jak podróżnik, który idąc znika chwilami w rozpadlinach i wyrwach nierównego gruntu, ale jak śledzony tyralier, który chce się utaić i szuka kryjówki. Nie mogłem sobie wytłumaczyć jego częstych zniknięć, w chwili gdy najbardziej pochłonięty był pracą. Nie krył się z tym przede mną, powiadał: „Niech pan kończy za mnie” – i zostawiał mi swoją robotę. Człowiek ten, tak zagrzebany w potrójnych obowiązkach męża stanu, sędziego i mówcy, ujął mnie jednym upodobaniem, które zdradza piękną duszę i które mają prawie wszyscy ludzie subtelni: miłością do kwiatów. Jego ogród i gabinet pełne były najrzadszych roślin, ale zawsze kupował je już zwiędłe. Może lubował się w tym obrazie swego losu?... Był zwiędły tak jak te kwiaty bliskie zgonu, których zgniłe niemal zapachy wprawiały go w dziwne upojenie.

Hrabia kochał kraj, poświęcił się sprawom publicznym z furią serca, które chce oszukać inną namiętność, ale studia, praca, w której się zatopił, nie wystarczały mu: toczyły się w nim straszliwe walki, z których i mnie dosięgło kilka ułomków. Słowem, czuć było w nim rozpaczliwe parcie ku szczęściu; i miałem wrażenie, że powinien być szczęśliwy; ale gdzie była przeszkoda? Czy kochał? Oto pytanie, które sobie zadawałem. Osądźcie, jakie kręgi cierpienia myśl moja musiała przebyć, zanim doszła do tak prostego, a tak straszliwego pytania! Mimo wysiłków zwierzchnik mój nie zdołał tedy ukryć odruchów swego serca. Pod jego surową pozą, pod milczeniem męża stanu szamotała się namiętność powściągnięta z taką siłą, że nikt, z wyjątkiem mnie, towarzysza jego stołu, nie odgadł tego sekretu. Godłem jego, można rzec, było: „Cierpię i milczę”.

Szacunek i podziw, jakie szły za nim, przyjaźń pracowników równie wytrwałych jak on, hrabiego de Granville i de Sérisy, wszystko to nie miało nań żadnego wpływu: albo nie zdradzał im nic, albo wiedzieli wszystko. Niewzruszony, z głową wzniesioną dumnie, kiedy był wśród ludzi, hrabia odślaniał c z ł o w i e k a jedynie w rzadkich chwilach, kiedy sam w swoim ogrodzie, w gabinecie przypuszczał, że go nikt nie widzi. Wówczas stawał się dzieckiem, dawał upust łzom dławionym pod togą, wybuchom, które, źle zrozumiane, zaszkodziłyby może opinii jego jako męża stanu. Kiedy wszystko to stało się dla mnie pewne, hrabia Oktaw zachował dla mnie cały urok zagadki, a zarazem obudził we mnie tyle przywiązania, co gdyby był moim rodzonym ojcem. Czy pojmujecie ciekawość zdławioną szacunkiem?...

Co za nieszczęście zmiądzżyło tego mędrca oddanego od osiemnastego roku życia, jak Pitt¹⁵, naukom, których wymaga władza, a zarazem pozbawionego ambicji, tego sędziego, który znał prawo narodów, prawo polityczne, prawo cywilne i karne i który umiał w nich znaleźć broń przeciw wszystkim niepokojom i błędom, tego głębokiego prawodawcę, poważnego pisarza, pobożnego samotnika wiodącego życie bez zmayı? Zbrodniarz nie mógłby być ciężiej pokarany ręką Boga: zgryzota wydarła mu sen, sypiał nie więcej niż cztery godziny! Co za walka toczyła się w owych godzinach, które biegły na pozór spokojnie, pracowicie, bez zgiełku i szmeru, a w czasie których zachodziłem go nieraz na tym, że mu pióro wypadło z ręki, głowa tonęła w dłoniach, oczy lśniły jak dwie gwiazdy, a niekiedy wilżyły się łzami? W jaki sposób woda z tego żywego źródła płynęła po błyszczącym żwirze tak, aby jej podziem-

¹⁴ M a n f r e d – bohater poematu dramatycznego Byrona pod tymże tytułem, napisanego w r. 1817.

¹⁵ William Pitt, zwany Młodszy (1759–1806) – angielski mąż stanu, zacięty wróg rewolucji francuskiej i Napoleona.

ny ogień nie wysuszył?... Czy było tam, jak na dnie morza, granitowe łożo między nią a centrum globu? Czy wulkan ten miał wybuchnąć wreszcie?

Czasami hrabia popatrzył na mnie szybko z bystrą i mądrą ciekawością, z jaką jeden człowiek przygląda się drugiemu, gdy szuka współnika; następnie unikał moich oczu, widząc, iż otwierają się niby usta, które chcą odpowiedzi i które mówią niejako: „Mów pierwszy”. Czasami w owych chwilach smutku hrabia Oktaw stawał się chmurny i opryskliwy. Jeśli mnie zranił wtedy, umiał to naprawić, nie prosząc o przebaczenie, ale obejście jego stawało się słodkie aż do pokory chrześcijanina. Skoro się przywiązałem po synowsku do tego człowieka, tak tajemniczego dla mnie, a tak zrozumiałego dla świata, któremu słowo o r y g i n a ł starczy za wytłumaczenie wszelkich zagadek serca, przeobraziłem postać tego domu. Obojętność na wszelkie sprawy dochodziła u hrabiego w prowadzeniu własnych interesów aż do niedorzeczności. Posiadając blisko sto sześćdziesiąt tysięcy franków renty, nie licząc płac związanych z jego urzędami, z których trzy nie podlegały prawu o kumulacji, wydawał tylko sześćdziesiąt tysięcy, z czego połowę co najmniej zagarniała służba. Z końcem pierwszego roku odprawiłem wszystkich tych buhajów i poprosiłem Jego Ekscelencję, aby przez swoje stosunki pomógł mi w znalezieniu uczciwych ludzi. Z końcem drugiego roku hrabia, lepiej żywiony, lepiej obsłużony, cieszył się nowoczesnym komfortem; miał piękne konie należące do jednego ze służących, któremu płaciłem tyle a tyle na miesiąc od konia; obiady jego w dzień przyjęć, dostarczane przez Cheveta za umówioną cenę, przynosiły mu zaszczyt; na codzień zaś gotowała doskonała kucharka, której dostarczył wuj i której pomagały dwie dziewczyny kuchenne. Wydatki na dom, oczywiście nie licząc nowych nabytków, nie przekraczały trzydziestu tysięcy; mieliśmy o dwóch służących więcej, a skrzętność ich wróciła pałacowi całą jego poezję, bo ten stary pałac, tak piękny w swej sędziwości, posiadał majestat, który niweczyło niechlujstwo.

– Nie dziwię się już – mówił, patrząc na ten rezultat – majątkom, jakie robili moi ludzie. W ciągu siedmiu lat miałem dwóch kucharzy, którzy założyli wspańiałe restauracje!

– Stracił pan w siedem lat trzysta tysięcy franków – odparłem. – I to pan, urzędnik, który podpisuje w trybunale oskarżenia o zbrodnie, protegował pan kradzież w swoim domu!

Z początkiem r. 1826 hrabia poznał mnie już zapewne dosyć; byliśmy z sobą tak blisko, jak mogą być dwaj ludzie, z których jeden jest podwładnym drugiego. Nie wspominał nic o mej przyszłości, ale starał się mnie uczyć jak mistrz i ojciec. Często kazał mi gromadzić materiały do swych najtrudniejszych prac, sporządzałem czasem jego raporty, a on mi je poprawiał, wskazując różnicę między swoim pojmowaniem prawa, między swymi zapatrywaniami a moimi. Kiedy wreszcie dokonałem pracy, którą mógł podać jako swoją, radość jego starczyła mi za nagrodę, a on spostrzegł, że ja ją biorę tak jak trzeba. Ta drobna okoliczność wywarła na tej tak surowej na pozór duszy nadzwyczajne wrażenie. Hrabia osądził mnie, mówiąc językiem sądowym, w ostatniej instancji, objął mnie za głowę i ucałował w czoło.

– Maurycy – wykrzyknął – nie jesteś już moim pomocnikiem, nie wiem, czym mi jeszcze będziesz; jeśli życie moje się nie zmieni, może zastąpisz mi syna!

Hrabia Oktaw wprowadził mnie do najlepszych domów paryskich, gdzie bywałem za niego, w jego powozie i z jego służbą, w owych nazbyt częstych wypadkach, gdy mając jużjechać, odmieniał zdanie i kazał wołać dorożkę, aby śpieszyć... dokąd?... Oto tajemnica. Ze sposobu, w jaki mnie przyjmowano, czułem życzliwość hrabiego oraz wagę jego rekomendacji. Troskliwy jak ojciec, pokrywał wszystkie moje potrzeby tym hojniej, iż skromność moja kazała mu wciąż myśleć o mnie. Pewnego wieczora pod koniec stycznia r. 1827 w domu hrabiny de Sérisy grałem z tak upartym niepowodzeniem, że przegrałem dwa tysiące franków, a nie chciałem ich brać z mego konta. Nazajutrz powiedziałem sobie: „Czy iść poprosić wuja, czy wyznać wszystko hrabiemu?”

Zdecydowałem się.

– Wczoraj – opowiedziałem mu przy śniadaniu – grałem bardzo nieszczęśliwie, zaciętrzewiłem się, stawiałem wciąż dalej, zostałem dłużny dwa tysiące franków. Czy pan hrabia pozwoli mi wziąć tę sumę na rachunek mojej pensji?

– Nie – odparł z przemiłym uśmiechem. – Kiedy się grywa w towarzystwie, trzeba mieć osobny fundusz na grę. Weź sześć tysięcy franków, zapłać długi, a odtąd będziemy grali do spółki, bo jeżeli musisz mnie reprezentować od czasu do czasu, przynajmniej twoja ambicja nie powinna cierpieć z tego powodu.

Nie podziękowałem hrabiemu. Podziękowanie wydałoby mu się czymś zbytecznym. Ten odcień może objaśnić charakter naszego stosunku. Mimo to nie mieliśmy jeszcze do siebie nieograniczonego zaufania, nie otworzył mi owych bezmiernych przestrzeni, które odgadłem w jego tajemnym życiu, ja zaś nie spytałem go: „Co panu jest? Co pana dręczy?”

Co on robił przez te długie wieczory? Często wracał pieszo lub dorożką, gdy ja wracałem powozem, ja, jego sekretarz! Więc ten człowiek tak nabożny był ofiarą ukrywanego starannie zepsucia? Czy obracał wszystkie zasoby swej inteligencji na rzecz zazdrości, przemyślniejszej niż zazdrość Otella? Czy żył z kobietą niegodną jego? Jednego rana wracając z jakiegoś magazynu, gdzie miałem zapłacić rachunek, pomiędzy Św. Pawłem a ratuszem ujrzałem hrabiego Oktawa wiodącego z jakąś starą kobietą tak żywą rozmowę, że mnie nie spostrzegł. Fizjonomia tej starej obudziła we mnie dziwne podejrzenia, tym bardziej uzasadnione, iż nie widziałem, aby hrabia robił jaki użytek ze swych oszczędności. Czyż to nie okropne? Pozwalałem sobie sądzić swego chlebobdawcę! „W tej chwili wiedziałem, że ma do ulokowania przeszło sześćset tysięcy franków; jeśli je ulokował w papierach państwowych, zaufanie jego do mnie we wszystkim, co się tyczyło interesów, było tak zupełne, że nie mogłem o tym nie wiedzieć.

Czasami hrabia przechadzał się rano po ogrodzie, chodząc w kółko jak człowiek, dla którego przechadzka jest hipogryfem, służącym za wierzchowca melancholijnej zadumie. Chodził, chodził, tarł ręce tak, jakby chciał skórę z nich zetrzeć! A kiedy go znieścacka spotkałem na zakręcie alei, widziałem jego twarz rozpromienioną. Oczy jego, tracąc zwykłą turkusową oschłość, przybierały ów aksamitny ton, który mnie tak uderzył za pierwszą bytnością zdumiewającym kontrastem dwóch tak różnych spojrzeń: człowieka szczęśliwego i człowieka nieszczęśliwego. Czasami w takich chwilach chwycił mnie za ramię, szedł ze mną kilka kroków, po czym mówił: „I cóż mi powiesz?...” – zamiast wylać swą radość w moje otwierające się dlań serce. Częściej zresztą, zwłaszcza od czasu gdy ja mogłem go zastąpić i sporządzać zań raporty, nieszczęśliwy siedział godziny całe, przyglądając się złotym rybkom, które pluły się we wspaniałym marmurowym basenie, otoczonym klombem najpiękniejszych kwiatów. Ten mąż stanu znajdował dziwną przyjemność w tym, aby machinalnie rzucać rybkom pokruszoną bułkę.

A oto jak wyszedł na jaw dramat tej duszy, tak głęboko znękanej, tak niespokojnej, w której – niby w kręgu zapomnianym przez Danta w jego „Piekło” – leży się straszliwe rozkosze.

Generalny konsul zamilkł na chwilę.

– Pewnego poniedziałku – podjął – zdarzyło się, iż prezydent Granville i pan de Sérisy, wówczas wiceprezydent Rady Stanu, przyszli do hrabiego Oktawa na jakąś naradę. Tworzyli oni we trzech komisję, której ja byłem sekretarzem. Wszystkie akta potrzebne do rozważenia kwestii politycznej, poufnie przedłożonej tym panom, znajdowały się na stole w bibliotece. Panowie de Granville i de Sérisy zdali na hrabiego Oktawa wstępne przejrzanie dokumentów służących za podstawę ich pracy. Aby sobie oszczędzić przenoszenia tych dokumentów do pana Sérisy, prezesa komisji, postanowiono się zebrać przy ulicy Payenne. Kancelaria królewska przywiązywała wielką wagę do tej pracy, która głównie spoczywała na mnie i której miałem zawdzięczać w ciągu tego roku nominację na referendarza.

Mimo iż panowie de Granville i de Sérisy, których tryb życia bardzo podobny był do życia mego zwierzchnika, nie jadali nigdy poza domem, dyskusja przeciągnęła się do tak późna, że

lokaj wywołał mnie, aby oznajmić: „Ksiądz proboszcz od Św. Pawła i ksiądz proboszcz od Blancs-Manteaux są w salonie od dwóch godzin”. Była dziewiąta!

– Musicie panowie – rzekł, śmiejąc się hrabia Oktaw – zostać na księżym obiedzie. Nie wiem, czy Granville zdoła pokonać swą niechęć do sutanny.

– To zależy od księży.

– Och, jeden to mój wuj, a drugi to ksiądz Gaudron – odrzekłem. – Niech pan będzie bez obaw, ksiądz Fontanon nie jest już wikarym u Św. Pawła...

– Zatem do stołu – rzekł prezydent de Granville. – Dewotami się brzydę, ale nie znam nic równie miłego jak człowiek naprawdę pobożny.

I udaliśmy się do salonu. Obiad był przemiły. Ludzie naprawdę wykształceni, politycy, którym praktyka życia daje i bogate doświadczenie, i wymowę, umieją cudownie opowiadać, kiedy umieją. Nie istnieje u nich nic pośredniego: albo są ciężcy, albo są wspaniali. W tej miłej zabawie ksiązę Metternich jest takim samym mistrzem jak Karol Nodier¹⁶. Dowcip wielkich polityków, oszlifowany jak diament, jest jasny, błyszczący i bystry. Wuj mój, pewien, że ze strony tych trzech niepospolitych ludzi nie grozi żaden niewłaściwy wybryk, puścił wodze swemu dowcipowi, delikatnemu, miłemu i subtelnemu jak u wszystkich ludzi nasykłych kryć swą myśl pod sukienką. Możecie mi wierzyć, że nie było nic gminnego ani czczego w tej rozmowie, którą, jako wrażenie, chętnie bym porównał do muzyki Rossiniego. Ksiądz Gaudron był to, jak powiadał pan de Granville, raczej św. Piotr niż św. Paweł, wieśniak pełen wiary, cały jakby czworograniasty, ciężki. Jego nieświadomość życia i literatury ożywiła rozmowę swymi naiwnymi zdziwieniami i niespodzianymi pytaniami. W końcu gawęda zesłała na ranę społeczną, którą wspomnieliśmy właśnie: na wiarołomstwo! Wuj podniósł sprzeczność, jaką twórcy kodeksu, jeszcze pod wpływem burz rewolucji, stworzyli pomiędzy prawem cywilnym a prawem kościelnym, z której to sprzeczności, jego zdaniem, płynie wszystko zło.

– Dla Kościoła – rzekł – wiarołomstwo jest zbrodnią, gdy dla waszych trybunałów to tylko występki. Wiarołomstwo udaje się w karecie do policji poprawczej miast zasiąść na ławie oskarżonych w sądzie karnym. Napoleońska Rada Stanu, zdjeta pobbłazaniem dla występnej kobiety, była bardzo nierozsądna. Czyż nie trzeba było w tym uzgodnić prawa cywilnego z prawem Kościoła i wtrącić jak niegdyś występłą kobietę na resztę dni do klasztoru?

– Do klasztoru! – odparł pan de Sérisy. – Najpierw trzeba by stworzyć klasztory, a w owym czasie przerabiano klasztory na koszary. A przy tym, księżę proboszczu, jak można?... Dawać Bogu to, czego społeczeństwo nie chce!...

– Och – rzekł pan de Granville – ksiądz nie zna Francji. Trzebaż było zostawić mężowi prawo wniesienia skargi; otóż nie było ani dziesięciu skarg w ciągu roku.

– Ksiądz proboszcz ujmuje się za swoim świętym, bo to Chrystus stworzył cudzołóstwo – dodał hrabia Oktaw. – Na „Wschodzie, w tej kolebce ludzkości, kobieta była tylko przyjemnością i wówczas była tylko rzeczą, nie żądano od niej innych cnót prócz posłuszeństwa i piękności. Stawiając duszę ponad ciałem, nowoczesna rodzina europejska, córka Jezusa, wymyśliła nierozzerwalne małżeństwo, uczyniła zeń sakrament.

– Och! Kościół zdawał sobie sprawę ze wszystkich trudności! – wykrzyknął pan de Granville.

– Ta instytucja wydała nowy świat – podjął hrabia z uśmiechem – ale obyczaje naszego świata nigdy nie pójdą torem owych krajów, gdzie kobieta dojrzała jest do małżeństwa w siódmym roku, a bardzo zgrzybiała w dwudziestym piątym. Kościół katolicki zapomniał o potrzebach połowy kuli ziemskiej. Mówmy tedy wyłącznie o Europie. Czy kobieta jest wyższa od nas, czy niższa? Oto jądro kwestii w stosunku do nas. Jeżeli kobieta jest niższa od nas, wówczas wznosząc ją tak wysoko, jak to uczynił Kościół, trzeba było równocześnie straszli-

¹⁶ Charles N o d i e r (1780–1844) – jeden z pierwszych romantyków francuskich, poeta, powieściopisarz, nowelista i znawca folkloru.

wych kar na wiarołomstwo. Toteż niegdyś postępowano w ten sposób. Klasztor – albo śmierć, oto całe dawne prawodawstwo. Ale od tego czasu obyczaje zmieniły prawo, jak zawsze. Tron posłużył za łożo cudzołóstwu, a postępy tej miluchnej zbrodni znaczyły upadek dogmatów. Dziś, kiedy Kościół wymaga od występnej kobiety jedynie szczerzej skruchy, społeczeństwo zadawała się piętnem zamiast kaźni. Prawo skazuje jeszcze winnych, ale ich już nie przestrasza. Słowem, istnieją dwie moralności: moralność świata i moralność kodeksu. Tam gdzie kodeks jest słaby, uznają to wraz z drogim proboszczem, świat jest zuchwały i szydery. Mało jest sędziów nie mających ochoty popełnić występku, który gromią dosyć łagodnym zresztą piorunem swoich „zważywszy”. Świat, który przeczy prawu i w swoich zabawach, i w swoich obyczajach, i w swoich przyjemnościach, surowszy jest od kodeksu i od Kościoła: świat karze niezręczność popierając obłudę. Wedle mnie, ustawy małżeńskie należałoby przebudować od podstaw. Może prawo francuskie byłoby doskonałe, gdyby córki wyłączono od dziedzictwa.

– Znamy wszyscy kwestię do gruntu – rzekł, śmiejąc się hrabia de Granville. – Ja mam żonę, z którą nie mogę żyć. Sérisy ma żonę, która z nim nie chce żyć. Ciebie, Oktawie, twoja porzuciła. Streszczamy tedy we trzech wszystkie wypadki małżeńskiego sumienia, toteż będziemy składali bez wątpienia komisję, jeżeli kiedy wróci się do rozwodów.

Widelec hrabiego Oktawa padł na szklanę, zbił ją, zbił talerz. Hrabia, błady jak śmierć, skierował na prezydenta de Granville piorunujące spojrzenie, pokazując oczami mnie: podchwyciłem to spojrzenie.

– Daruj mi, przyjacielu, nie widziałem Maurycego – rzekł prezydent de Granville. – Sérisy i ja byliśmy twymi powiernikami, jak poprzednio byliśmy twymi świadkami, nie sądziłem tedy, iżbym popełnił niedyskrecję mówiąc o tym w obecności tych dwóch czcigodnych kapłanów.

Pan de Sérisy zmienił rozmowę, opowiadając wszystko, co uczynił, aby pozyskać serce swojej żony, nie mogąc tego osiągnąć. Starzec ten zakończył wnioskiem, iż nie podobna ująć w reguły ludzkich sympatii i antypatii, i stwierdził, iż prawo tym jest doskonalsze, im bardziej zbliża się do praw naturalnych. Otóż natura nie troszczy się zupełnie o związki dusz, jej celem jest utrwalenie gatunku. Zatem obecny kodeks postąpił bardzo roztropnie zostawiając ogromne pole przypadkowi. Wydziedziczenie córek, o ile istnieją męscy spadkobiercy, byłoby wyborne, czy jako ochrona przed zwyrodnieniem rasy, czy jako gwarancja szczęścia w małżeństwie przez usunięcie potwornych związków, a przesunięcie punktu ciężkości na zalety duszy i ciała.

– Ale – dodał, machając ze zniechęceniem ręką – jak można ulepszyć prawo tam, gdzie kraj ma pretensję zwołać siedmuset czy ośmuset prawodawców!... Ostatecznie – dodał – jeśli ja padłem ofiarą, mam dziecko, które zostanie po mnie...

– Zostawiając zupełnie na boku religię – odparł wuj – pozwolę sobie zwrócić uwagę Waszej Ekscelencji, że natura winna jest nam tylko życie, a społeczeństwo winno jest nam szczęście. Czy pan jest ojcem? – spytał.

– A ja, czy mam dzieci? – rzekł głucho hrabia Oktaw, którego akcent sprawił takie wrażenie, że poniechano rozmowy o kobietach i o małżeństwie.

Wypiwszy kawę dwaj mężowie i dwaj. księża wysunęli się, widząc biednego Oktawa pożązonego w melancholii, która nie pozwoliła mu zauważyć tego zniknięcia. Protektor mój siedział w berzerce przy kominku w pozycji człowieka zrozpaczonego.

– Znasz tajemnicę mego życia – rzekł, widząc, żeśmy zostali sami. – Po trzech latach małżeństwa, pewnego wieczora, kiedy wróciłem do domu, wręczono mi list, w którym hrabina oznajmiła mi swoją ucieczkę. List ten nie był pozbawiony szlachetności; kobiety umieją zachować pewną godność, nawet popełniając ten straszliwy występki... Dziś o żonie mojej mówi się, że zginęła na morzu, uchodzi za umarłą. Żyję samotnie od siedmiu lat!... Dość na dziś wieczór, Maurycy. Pomówimy o moim położeniu, skoro się oswoję z myślą, że mogę z

tobą mówić o tym. Kiedy się cierpi na chroniczną chorobę, czyż nie trzeba przyzwyczać się do polepszenia? Często polepszenie wydaje się odmianą choroby.

Udałem się na spoczynek mocno wzruszony; tajemnica nie tylko nie była wyjaśniona, ale wydawała mi się tym ciemniejsza. Przeczuwałem jakiś niezwykły dramat, w przeświadczeniu, że nic pospolitego nie mogło zajść między kobietą, którą hrabia wybrał, a charakterem takim jak on. Okoliczności wreszcie, które popchnęły hrabinę do porzucenia człowieka tak szlachetnego, tak miłego, tak wybornego, tak kochającego, tak godnego kochania, musiały być co najmniej szczególne. Słowa pana de Granville były niby pochodnia rzucona w podziemia, nad którymi kroczyłem tak długo, a mimo że ten płomień oświecał je bardzo słabo, oko moje mogło zmierzyć ich rozmiary. Tłumaczyłem sobie cierpienia hrabiego, nie znając ani ich głębi, ani goryczy. Ta żółkła twarz, te wyschnięte skronie, ta nadludzka praca, te chwile zadumy – najmniejsze szczegóły życia żonatego samotnika wystąpiły w pełnym świetle tej godziny dumania, które jest niby zmierzchem snu i w którym pogrążyłby się, tak jak ja, każdy czujący człowiek. Och, jak bardzo kochałem mego biednego zwierchnika; wydawał mi się wzniosły! Wyczytałem poemat melancholii, wyczułem nieustanne bicie tego serca, które posądziłem o martwość. Czyż bezmierny ból nie dochodzi zawsze do bezwładu? Czy ten dygnitarz, rozporządzający taką władzą, zemścił się? Czy sycił się wolną agonią? Czyż w Paryżu nie jest istnym cudem gniew wrzący przez dziesięć lat? Co czynił Oktaw od czasu tego wielkiego nieszczęścia, bo rozstanie się małżonków jest wielkim nieszczęściem w naszej epoce, w której życie domowe stało się – czym nie było dawniej – kwestią społeczną? Parę dni trzymaliśmy się w rezerwie – wielkie bóle bowiem mają swą wstydlivość – ale wreszcie, jednego wieczora, hrabia rzekł poważnym głosem: „Zostań”.

Oto jak brzmiało mniej więcej jego opowiadanie:

W chwili gdy wróciłem z kolegium do tego starego pałacu, ojciec mój miał pupilkę, bogatą, ładną, liczącą szesnaście lat. Wychowana przez moją matkę, Honoryna budziła się właśnie do życia. Pełna dziecinnego wdzięku, marzyła o szczęściu tak, jakby marzyła o nowym stroju; a może szczęście było dla niej strojem duszy? Pobożność jej miała w sobie jakąś młodzieńczą radość, wszystko bowiem, nawet religia, było poezją w tym naiwnym sercu. Przyszłość ukazywała się jej jako ustawiczne święto. Była niewinna i czysta, żadne pragnienie nie zmąciło jej snu. Wstyd i zgrzyota nie skaziły jeszcze jej lica ani nie zwilżyły spojrzenia. Nie szukała nawet tajemnicy swoich mimowolnych wzruszeń w piękny dzień wiosenny. Poza tym czuła się słaba, stworzona do posłuszeństwa i czekała małżeństwa, mimo iż go nie pragnęła. Jej pogodna wyobraźnia nie znała zepsucia – może potrzebnego – jakie sączy literatura, kreśląc obrazy namiętności: nie znała świata ani żadnych jego niebezpieczeństw. Drogie dziecko tak dalece nie cierpiało w życiu, że nawet nie miało sposobności wyrobić sobie charakteru. W niewinności swojej byłaby szła bez obawy pośród węzów, jak owa idealna postać, w której malarz pewien upostaciował niewinność. Nigdy czoło nie było bardziej pogodne i uśmiechnięte zarazem. Nigdy usta z taką naiwnością nie zadawały pytań, których zupełnie nie rozumiały znaczenia. Żyliśmy jak brat z siostrą. Po roku, raz w ogrodzie, kiedyśmy stali przy tym basenie z rybkami i rzucali im bułkę, rzekłem:

– Czy chcesz, abyśmy się pobrali? Ze mną będziesz robiła, co będziesz chciała, gdy inny mężczyzna uczyniłby cię nieszczęśliwą.

– Mamo – rzekła do mojej matki, która wyszła naprzeciw nas – ułożyliśmy z Oktawem, że się pobierzemy...

– W siedemnastym roku?... – odparła moja matka. – Nie, zaczekajcie jeszcze półtora roku, a jeżeli po tym upływie czasu będziecie się sobie podobać, ha, jesteście równi majątkiem, urodzeniem, będzie to wraz małżeństwo z rozsądku i ze skłonności.

Kiedy miałem dwadzieścia sześć lat, a Honoryna dziewiętnaście, pobraliśmy się. Szacunek dla ojca i matki, starców z dawnego dworu, bronił nam urządzić modniej ten pałac, zmienić

jego umeblowanie; zostaliśmy tu tak jak wprzód jako dzieci. Jednakże bywałem w świecie, wtajemniczałem żonę w życie, uważałem sobie za obowiązek kształcić ją. Zrozumiałem później, że małżeństwo zawarte w tych okolicznościach, co nasze, kryje rafa, o którą rozbija się wiele uczuć, wiele rozmów, wiele istnień. Mąż staje się pedagogiem, profesorem – i miłości ginie pod linią, która wcześniej czy później ją drażni: kobieta młoda i ładna, cnotliwa i wesoła, nie uznaje innych wyższości prócz tych, którymi obdarzyła ją natura. Może w czym zawińnię? Może w trudnych początkach małżeństwa przybrałem ton bakalarski? Może, przeciwnie, popełniłem ten błąd, że zawierzyłem bezwzględnie jej czystej naturze i nie pilnowałem żony, w której wszelki bunt zdawał mi się niepodobieństwem? Niestety! nie wiemy jeszcze, ani w polityce, ani w pożyciu domowym, czy mocarstwa i rodziny giną przez zbytek zaufania, czy przez nadmiar surowości. Może jako mąż nie ziściłem dziewczęcych marzeń Honoryny? Czyż człowiek wie w dniach szczęścia, w czym błądzi?

(Przypominam sobie tylko z grubsza zarzuty, jakie sobie stawiał hrabia ze szczerością anatoma szukającego przyczyn choroby, które uszły oka jego kolegów: ale jego pobłażliwość zdała mi się wówczas godna dobroci Chrystusa rozgrzeszającego cudzołożnicę).

W półtora roku po śmierci ojca, który zmarł na kilka miesięcy przed matką (podjął po pauzie), przysłała straszliwa noc, w której zaskoczył mnie pożegnalny list Honoryny. Jaka poezja uwiodła tę kobietę? Czy to były zmysły, czy magnetyczna siła nieszczęścia lub geniuszu: która z tych sił omotała ją i porwała? Nic nie chciałem wiedzieć. Cios był tak straszny, że przez miesiąc byłem jak ogłuszony. Później rozsądek radził mi zostać w mej nieświadomości, a nieszczęścia Honoryny zanadto mnie pouczyły w tej mierze. Dotąd, Maurycy, wszystko jest bardzo pospolite, ale wszystko się zmieni od jednego słowa: ja kocham Honorynę, nie przestałem jej ubóstwiać! Od dnia jej ucieczki żyję wspomnieniami, przechodzę myślą słodczyce, na które Honoryna była z pewnością obojętna.

– Och – dodał, widząc zdumienie w moich oczach – nie rób ze mnie bohatera, nie uważaj mnie za takiego głupca, jakby powiedział pułkownik napoleoński, abym nie szukał rozrywek! Niestety, moje dziecko, byłem albo zbyt młody, albo zbyt zakochany; nie mogłem znaleźć innej kobiety w całym świecie. Po straszliwym zmaganiu się z sobą chciałem się oszołomić: szedłem z moim złotem w dłoni aż do progu Niewierności: ale tu wzniosło się przede mną niby biały posąg wspomnienie Honoryny. Kiedy sobie przypominałem nieskończoną delikatność tej miękkiej skóry, przez którą widać było obieg krwi i drżenie nerwów, kiedy widziałem tę niewinną główkę, równie naiwną w wilię mego nieszczęścia, co w dniu, kiedy jej rzekłem: „Czy chcesz, abyśmy się pobrali?”... kiedy sobie przypominałem jej zapach niebiański jak zapach cnoty, kiedy ujrzałem myślą blask jej spojrzenia, ł a d n o ś ć jej ruchów, uciekałem jak człowiek, który chciał sprofanować grób i który widzi wstającą zeń duszę zmarłego.

Na Radzie Stanu, w trybunale, w nocy marzę o Honorynie tak nieustannie, że trzeba mi nadzwyczajnej siły duszy, aby mieć świadomość tego, co robię, co mówię. Oto tajemnica moich prac. I przy tym nie więcej czułem gniewu na nią, niż ojciec na ukochane dziecko widząc je w niebezpieczeństwie, w którym znalazło się przez nieostrożność. Zrozumiałem, że uczyniłem ze swojej żony poemat, którym syciłem się z takim upojeniem, iż wierzyłem, że ona dzieli to upojenie. Och, Maurycy, miłość bez rozumu to u męża błąd, który może sprowadzić wszystkie zbrodnie żony! Zostawiłem prawdopodobnie odłogiem siły tego dziecka, kochanego jak dziecko; zmęczyłem ją może swoją miłością, zanim wybiła dla niej godzina kochania! Zbyt młoda, aby przeczuć poświęcenie matki w wierności żony, wzięła tę pierwszą próbę małżeństwa za samo życie, i nadąsane dziecko przeklinało bez mej wiedzy życie, nie śmiejąc się skarżyć przede mną, może przez wstyd! W tym okrutnym położeniu znalazła się bez obrony wobec człowieka zdolnego trafić do jej serca. A ja, ten mądry sędzia – jak mówią o mnie – ja, który mam dobre serce, ale który miałem zajętą głowę, zrozumiałem zbyt późno

zdeptane prawa niewieściego kodeksu, przeczytałem je w blaskach pożaru, który pochłaniał mój dom. Stworzyłem wówczas w mym sercu trybunał, w imieniu prawa: bo prawo czyni męża sędzią; rozgrzeszyłem żonę, a potępiłem siebie. Ale wówczas miłość przybrała u mnie postać namiętności, owej nikczemnej i bezwzględnej namiętności, jaka czasem ogarnia starców. Dziś kocham straconą Honorynę tak, jak się kocha w sześćdziesiątym roku kobietę, której się chce za każdą cenę, i czuję w sobie siły młodzieńca. Mam odwagę starca, a nieśmiałość młodego chłopca. Mój drogi, świat ma tylko szyderstwo dla tego okropnego położenia. W sytuacji, w której świat rozczuła się nad kochankiem, w mężu widzi tylko niedołęstwo; drwi sobie z tych, co nie umieli zachować żony nabytej pod baldachimem kościoła i w obliczu szarfy mera. I trzeba mi było milczeć. Sérisy jest szczęśliwy. Pobłażliwości swojej zawdzięcza rozkosz widzenia swej żony, opiekuje się nią, broni jej, że zaś ją ubóstwia, kosztuje szczęścia dobroczyńcy, który nie troszczy się o nic, nawet o śmieszność, którą roztopia w swoich ojcowskich słodyczach. „Nie rozwodzę się tylko przez wzgląd na moją żonę!” – mówił mi raz, kiedyśmy wychodzili z rady ministrów. Ale ja!... ja nie mam nic, nawet śmieszności, której bym stawił czoło, ja, który istnieję jedynie przez miłość bez pokarmu, ja, który nie umiem rzec dwóch słów do kobiety z towarzystwa, ja, którego prostytutka brzydzi, ja, wierny przez urzeczenie! Gdyby nie religia, zabiłbym się. Wyzwałem do walki otchłań pracy, rzuciłem się w nią i wyszedłem z niej żywy, płonący, gorejący, postradawszy sen!...

(Nie mogę sobie przypomnieć słów tego tak wymownego człowieka; ale namiętność dawała mu poryw o tyle jeszcze wyższy od krasomówstwa, że gdy mówił, czułem, że i mnie, jak jemu, łzy spływają po twarzy! Osądźcie moje wrażenie, kiedy po pauzie, w czasie której ocieraliśmy łzy, hrabia zakończył tym wyznaniem:)

To jest dramat mojej duszy, ale to nie jest dramat rozgrywający się w tej chwili w Paryżu! Dramat wewnętrzny nie obchodzi nikogo. Wiem o tym i ty uznasz to kiedyś, ty, który płaczesz ze mną w tej chwili; nikt nie sprawdza swoim sercem ani swymi nerwami cudzej boleści. Miara naszych bólów jest w nas. Ty sam rozumiesz moje cierpienia jedynie przez daleką analogię. Czy możesz mnie sobie wyobrazić, jak koję ataki rozpaczy patrząc na miniaturę, na której mój wzrok ogląda i całuje jej czoło, jej uśmiech, owal jej twarzy, na której wdycham białość jej cery i która mi pozwala niemal czuć, dotykać czarnych pukli włosów? Czy widziałeś mnie, kiedy się zrywam z nadzieją, kiedy się wije pod tysiącem grotów rozpaczy, kiedy brnę w błocie Paryża, aby zmęczeniem zabić swą niecierpliwość? Miewam ataki nerwów, jak ludzie ginący z wycieńczenia; napady szaleńczej wesołości, wstrząsy mordercy, gdy spotka brygadiera żandarmów. Słowem, życie moje jest nieustannym paroksyzmem lęku, radości, rozpaczy. Co się tyczy dramatu, oto dramat. Ty myślisz, że ja jestem zajęty Radą Stanu, Izbą, trybunałem, polityką! Och, Boże, siedem godzin nocy starczy na wszystko, tak bardzo życie, które wiodę, wyostrzyło moje zdolności. Honoryna to moja wielka sprawa. Odzyskać żonę to moja jedyna praca; strzec jej w klatce, w której się znajduje, tak aby nie wiedziała, że jest w mojej mocy, zaspokajać jej potrzeby, czuwać nad odrobiną przyjemności, na jakie sobie pozwala, być bez ustanku koło niej jak sylf, nie pokazując się ani nie zdradzając niczym, gdyż cała moja przyszłość byłaby stracona, oto moje życie, moje prawdziwe życie.

Od siedmiu lat nie położyłem się ni razu nie poszedłszy popatrzeć na światło jej lampy lub na jej cień na firankach. Opuściła mój dom nie chcąc wziąć nic prócz sukni, którą miała na sobie. Biedne dziecko posunęło szlachetność do głupoty. Toteż w półtora roku po jej ucieczce kochanek, przerażony ostrym, zimnym, posepnym i cuchnącym obliczem nędzy, porzucił ją jak nikczemnik! Ten człowiek liczył zapewne na szczęśliwą i wygodną egzystencję w Szwajcarii i we Włoszech, jaką fundują sobie wielkie damy, gdy rzucają mężów. Nędznik zostawił to drogie stworzenie w ciąży, bez grosza! W r. 1820, w listopadzie, uprosiłem najlepszego położnika w Paryżu, aby odegrał rolę przedmiejskiego chirurga. Uprosiłem proboszcza parafii,

w której ona mieszkała, aby dbał o jej potrzeby, tak jakby szło o dzieło miłosierdzia. Utaić nazwisko żony, zapewnić jej incognito, znaleźć jej gospodynię, która by mi była oddana i która by była inteligentną powiernicą, ba!... to była praca godna Figara. Pojmujesz, iż odkryć schronienie żony było dla mnie drobnostką. Po trzech miesiącach odrętwienia raczej niż rozpacz, myśl, aby się poświęcić szczęściu Honoryny, biorąc Boga za świadka mojej roli, stała się jednym z owych poematów, które się lęgną jedynie w sercu kochanka m i m o w s z y s t - k o . Wszelka absolutna miłość żąda pokarmu. Czyż nie miałem obowiązku chronić tego dziecka – winnego jedynie wskutek mej nierozwagi – od nowych nieszczęść, słowem, pełnić rolę anioła stróża? Po siedmiu miesiącach karmienia niemowlę umarło, szczęściem dla niej i dla mnie. Honoryna była przez dziewięć miesięcy między życiem a śmiercią, opuszczona w chwili, w której najbardziej potrzebowała ramienia mężczyzny, ale to ramię – rzekł, wyciągając rękę gestem anielskiej energii – rozpostarło się nad jej głową.

Pielęgowano Honorynę tak, jak gdyby była w swoim pałacu. Kiedy odzyskawszy zdrowie pytała, kto i jak ją ratował, odpowiadano: – Miejscowe siostry miłosierdzia – Towarzystwo ochrony matek – Proboszcz wzruszony jej losem. – Ta kobieta, której duma staje się aż wadą, rozwinęła w swoim nieszczęściu siłę oporu, którą niekiedy nazywam uporem muła. Honoryna postanowiła zarabiać na życie! Moja żona pracuje!... Od pięciu lat mam ją na oku przy ulicy Saint-Maur, w ślicznym mieszkanku, gdzie wyrabia kwiaty i modele. Myśli, że sprzedaje wytwory swej wykwintnej pracy kupcowi, który jej płaci tyle, iż dzień pracy przynosi jej dwadzieścia franków; i nigdy, od sześciu lat, nie powstało jej w głowie najlżejsze podejrzenie. Pokrywa wszystkie swoje potrzeby mniej więcej po trzeciej części kosztu, tak iż przy sześciu tysiącach franków żyje, jakby miała piętnaście tysięcy. Lubi kwiaty i płaci sto talarów ogrodnikowi, który bierze ode mnie tysiąc dwieście franków rocznej pensji i który mi przedstawia co kwartał rachunki po dwa tysiące franków. Przyrzekłem temu człowiekowi ogród i domek przylegający do domku odźwiernego przy ulicy Saint-Maur. Nabyłem tę posiadłość pod nazwiskiem pisarza trybunału. Jedna niedyskrecja pozbawiłaby ogrodnika wszystkiego. Honoryna ma swoją willę, ogród, wspaniałą cieplarnię, wszystko za pięćset franków rocznie. Żyje pod nazwiskiem swojej służącej, pani Gobain, owej dyskretnej jak grób staruszki, którą znalazłem i która się do niej przywiązała. Ale tę wierność, tak jak wierność ogrodnika, podsyłam obietnicą nagrody w dniu triumfu. Odźwierny i jego żona kosztują mnie straszliwie drogo dla tych samych przyczyn. Słowem, od trzech lat Honoryna jest szczęśliwa, sądzi, że własnej pracy zawdzięcza swoje wspaniałe kwiaty, toalety, dobrobyt. – Och, wiem, co mi powiesz – wykrzyknął hrabia, widząc pytanie w moich oczach i na moich ustach. – Tak, próbowałem. Żona moja mieszkała przedtem na Przedmieściu Św. Antoniego. Jednego dnia, kiedy, na słowo tej Gobain, uwierzyłem w widoki pojednania, wysłałem list, w którym starałem się ją zmiękczyć, list zaczynany dwadzieścia razy! Nie będę ci opisywał swoich wzruszeń. Chodziłem z ulicy Payenne na ulicę de Reuilly jak skazaniec, którego wiodą z Pałacu Sprawiedliwości do ratusza, ale on jedzie na wózku, a ja szedłem pieszo!... Była noc, mgła, a ja szedłem naprzeciw pani Gobain, która miała mi powiedzieć, co zrobiła żona. Poznawszy moje pismo, Honoryna rzuciła list w ogień, nie czytając.

– Pani Gobain – rzekła – nie chcę tu być od jutra!...

Te słowa, nie byłoż to pchnięcie sztyletu dla człowieka znajdującego niewysłowione rozkosze w oszukaństwie, za pomocą którego dostarcza jej najpiękniejszego lyońskiego aksamitu po dwanaście franków łokieć, bażantów, ryb, owoców za dziesiątą część ceny, jej, kobiecie dość nieświadomej życia, aby myśleć, że dwieście pięćdziesiąt franków to jest wystarczająca suma, aby opłacić panią Gobain, kucharkę godną biskupa!...

Zaszedłeś mnie czasami, jak zacierałem ręce, jak gdyby w przystępie szczęścia. To wówczas, kiedy mi się udał jakiś podstęp iście teatralny. Oszukałem właśnie żonę, posłałem jej przez modniarkę indyjski szal, dany do odprzedaży jakoby przez aktorkę, która go ledwie miała na sobie; otóż w tym szalu, ja, ten poważny dygnitarz, którego masz oto przed sobą,

przespałem jedną noc! Słowem, dzisiaj życie moje streszcza się w dwóch słowach, którymi można wyrazić najgwałtowniejsze cierpienie: kocham i czekam! Posiadam w pani Gobain wiernego szpiega tego ubóstwianego serca. Chodzę co noc rozmawiać ze starą, dowiedzieć się od niej wszystkiego, co Honoryna robiła w ciągu dnia; usłyszeć najmniejsze słowo, które wyrzekła, jeden okrzyk bowiem może mi wydać tajemnice tej duszy, która stała się głucha i niema.

Honoryna jest pobożna, chodzi na mszę, modli się, ale nigdy nie chodzi do spowiedzi i do komunii; przeczuwa, co by jej ksiądz powiedział. Nie chce usłyszeć rady, rozkazu wrócenia do mnie. Ten wstręt do mnie przeraża mnie i zdumiewa, bo nigdy nie wyrządziłem Honorynie najmniejszej krzywdy: byłem zawsze dla niej dobry. Przypuśćmy, że byłem nieco niecierpliwym, kształcąc ją, że moja męska ironia zraniła słuszną dumę młodej dziewczyny. Czy to jest powód, aby trwać w postanowieniu, które może natchnąć jedynie najokrutniejszą nienawiść?

Honoryna nie powiedziała nigdy pani Gobain, kim jest; zachowuje bezwarunkowe milczenie w kwestii swego małżeństwa, tak że ta zacna i godna kobieta nie może rzec ani słowa w mojej obronie, bo ona jedna w całym domu zna moją tajemnicę. Inni nie wiedzą nic; żyją pod grozą prefekta policji oraz we czci dla ministra. Nie podobna mi tedy wnikać w to serce; cyta dela jest moja, ale nie mogę do niej wejść. Brak mi wszelkich środków działania. Gwałt zgubiłby mnie na zawsze! Jak zwalczać racje, których się nie zna? Napisać list, dać go do skopiowania publicznemu pisarzowi i przesłać Honorynie? Myślałem o tym. Ale czyby to nie znaczyło dać powód do trzeciej zmiany mieszkania? Ostatnie kosztuje mnie sto pięćdziesiąt tysięcy. Nabyłem je zrazu na nazwisko sekretarza, którego ty zająłeś miejsce. Nieszczęśliwy nie wiedział, jaki ja mam lekki sen; zaskoczyłem go, jak otwierał fałszywym kluczem kasę, w której schowałem jego deklarację; zakaszlałem, przeraził się; nazajutrz zmusiłem go, aby sprzedał dom wskazanemu przeze mnie człowiekowi, i wyrzuciłem go za drzwi. Och! gdybym nie czuł w sobie wszystkich szlachetnych przymiotów, zadowolonych, szczęśliwych, kwitnących, gdyby rola moja nie miała czegoś z boskiego ojcostwa, gdybym nie rozkoszował się pełnią swego oddania, bywają chwile, w których uwierzyłbym w jakąś monomanię. Są noce, w których słyszę sygnały szaleństwa; lękam się owych przejść od słabej nadziei, która niekiedy błyszczy i wyciąga ręce, do zupełnej rozpacz, która spada tak nisko, jak tylko człowiek spaść może. Przemyslałem przed kilku dniami okrutną historię Lowelasa i Klaryssy¹⁷, powiadając sobie: „Gdyby Honoryna miała ze mną dziecko, czyż nie musiałaby wrócić do mego domu?” Słowem, tak dalece wierzę w szczęśliwą przyszłość, że przed niespełna rokiem kupiłem jeden z najpiękniejszych pałaców w dzielnicy Saint-Honoré. Jeśli zdobędę z powrotem Honorynę, nie chcę, aby wracała do tego pałacu ani do tego pokoju, z którego uciekła. Chcę pomieścić swoje bóstwo w nowej świątyni, w której by mogła uwierzyć w życie zupełnie nowe. Pracuję nad tym, aby zrobić z tego pałacu cud wykwintu i smaku. Opo wiadano mi o poecie, który, oszalawszy prawie z miłości do pewnej śpiewaczki, kupił w zaraniu swej miłości najpiękniejsze łóżko w Paryżu, nie wiedząc, jak aktorka przyjmie jego miłość. Otóż istnieje najzimniejszy z sędziów, prawników, człowiek, który uchodzi za najpoważniejszego doradcę Korony, a w którym ta historia poruszyła wszystkie fibry serca. Mąż stanu rozumie tego poe tę, który swój ideał karmi materialną możliwością. Na trzy dni przed przybyciem Marii Ludwiki Napoleon tarzał się w łożu małżeńskim w Compiègne... Wszystkie potężne namiętności mają jednakie objawy. Ja kocham jak poeta i jak cesarz!...

Słyszac te słowa, zląkłem się, czy obawy hrabiego Oktawa nie ziściły się: wstał, chodził, gestykulował, ale zatrzymał się nagle, jak gdyby przerażony swym wybuchem.

– Jestem bardzo śmieszny – dodał po długiej pauzie, żebrząc spojrzeniem współczucia.

¹⁷ Historia Lowelasa i Klaryssy – to powieść Samuela Richardsona (1689–1761) pt. „Klaryssa Harlowe”, historia pięknej i szlachetnej dziewczyny, prześladowanej przez rodzinę i uwiedzonej przez Lowelasa.

– Nie, panie, jest pan bardzo nieszczęśliwy...

– Och, tak – rzekł, ciągnąc dalej – bardziej, niż przypuszczasz! Sądząc z gwałtowności moich słów, możesz i powinieneś wierzyć w najsilniejszą namiętność fizyczną, skoro od dziewięciu lat paraliżuje ona całą mą naturę; ale to jest nic w porównaniu z ubóstwieniem, jakie we mnie budzi dusza, dowcip, wzięcie, serce, wszystko, co w kobiecie nie jest kobietą; słowem, te uroczę bóstwa stanowiące orszak Miłości, z którymi spędza się życie i które są codzienną poezją ulotnej rozkoszy. Widzę, mocą jakiegoś spojrzenia wstecz, owe wdzięki serca i umysłu, na które mało zwracałem uwagi w dniach swego szczęścia, jak wszyscy ludzie szczęśliwi! Dzień po dniu poznałem rozmiar mojej straty, poznając boskie przymioty tego kapryśnego i samowolnego dziecka, które stało się tak silne i dumne pod ciężką ręką nędzy, pod ciosem najnikczemniejszej zdrady. I ten niebiański kwiat usycha samotnie i w ukryciu! Och, prawo, o którym mówiliśmy – podjął z gorzką ironią – prawo to oddział żandarmerii, to żona moja ujęta i doprowadzona tu siłą!... Czy to nie znaczy odzyskać trupa? Religia nie ma na nią wpływu; bierze z niej jedynie poezję, modli się, nie słuchając nakazów Kościoła. Ja wyczerpałem całą łagodność, całą dobroć, całą miłość... Już nie mam sił. Istnieje już tylko jeden środek: chytrłość i cierpliwość, z jaką ptasznicy łapią w końcu najbardziej nieufne, najpłochliwsze, najtrudniejsze i najrzadsze ptaki. Toteż, Maurycy, kiedy niewinna niedyskrecja hrabiego de Granville odsłoniła ci tajemnicę mego życia, ujrzałem w końcu w tym wydarzeniu wskazówkę losu, ów wyrok, którego słuchają i którego żebrzą gracze w chwili, gdy waży się ich fortuna... Czy masz dla mnie dość serca, aby się zdobyć na najromantyczniejsze poświęcenie?...

– Widzę, do czego pan zmierza, panie hrabio – przerwałem – zgaduję pańskie intencje. Poprzedni pański sekretarz chciał naruszyć pańską kasę; znam serce obecnego; mógłby się zakochać w pańskiej żonie. Czy zechce go pan pchać w nieszczęście, wysyłając go w ogień? Kłąć rękę w żar i nie sparzyć się, czy to możliwe?

– Dziecko z ciebie – odparł hrabia. – Poślę cię tam w odpowiednim rynsztunku. W domku ogrodnika przy ulicy Saint-Maur, wolnym w tej chwili, osiedli się nie mój sekretarz, lecz krewniak, baron de Hostal, referendarz.

Po chwili, którą przetrwałem w zdumieniu, rozległ się dzwon, powóz zajechał przed ganek. Niebawem lokaj oznajmił panią de Courteville z córką. Hrabia Oktaw miał bardzo liczną rodzinę po kądzieli. Pani de Courteville, jego krewniaczka, była wdową po sędzi trybunału Sekwany, który zostawił ją z córką, a bez majątku. Czym mogła być dwudziestodwuletnia kobieta przy dwudziestoletniej dziewczynie, pięknej tak, jak można by sobie wymarzyć idealną kochankę?

– Będąc baronem, referendarzem i sekretarzem kanclerskim, w oczekiwaniu czegoś więcej i otrzymując ten stary pałac jako wiano, czy będziesz miał dość powodów, aby się nie zakochać w hrabinie? – szepnął, biorąc mnie za rękę i przedstawiając mnie paniom.

Byłem olśniony nie dobrodziejstwami, o których nie śmiałybym marzyć, ale Amelią de Courteville, której piękność uwydatniała jeszcze owa wyszukana toaleta, jaką matki nakładają córkom, kiedy chodzi o zdobycie męża. Nie mówmy zresztą o mnie – rzekł konsul po pauzie.

W trzy tygodnie później zamieszkałem w domku ogrodnika, odświeżonym, urządzonej i umeblowanym z ową szybkością, która wyraża się w trzech słowach: Paryż! robotnik francuski! pieniądze! Byłem tak zachwycony, jak tylko hrabia mógł tego pragnąć dla swego bezpieczeństwa. Czy spryt dwudziestopięcioletniego chłopca starczy na rzecz, którą podejmowałem i w której chodziło o szczęście przyjaciela? Wyznaję, iż wiele w tym liczyłem na wuja: hrabia pozwolił mi go przypuścić do sekretu w razie, gdybym uznał, że pomoc jest potrzebna. Przyjąłem ogrodnika, zrobiłem się maniakiem kwiatów, z istną furią monomana zająłem się osuszaniem bagna i przygotowaniem go do hodowli kwiatów. Jak zwariowani Holendrzy lub Anglicy, i ja podawałem się za m o n o f l o r y s t ę. Hodowałem specjalnie dalię, gromadząc wszystkie jej odmiany. Domyślcie się państwo, że linię mego postępowania do najdrobniej-

szych szczegółów wytyczył mi hrabia, który całą inteligencję skupił na najmniejszych okolicznościach tragikomedii mającej się rozegrać przy ulicy Saint-Maur. Skoro tylko hrabina udała się na spoczynek, prawie co wieczór, między jedenastą a dwunastą, Oktaw, pani Gobain i ja odbywaliśmy naradę. Słyszałem, jak stara zdawała Oktawowi sprawę z najdrobniejszych postępów żony; wywiadywał się o wszystko, o posiłki, o zajęcia, o humor, o jutrzejszy obiad, o kwiaty, które ma na warsztacie. Zrozumiałem, co to jest miłość w rozpacz, kiedy się składa z potrójnej miłości, zrodzonej z głowy, z serca i ze zmysłów. Oktaw żył tylko tę godzinę. Przez dwa miesiące, które zajęły mi moje prace, nie spojrzałem na willę, gdzie mieszkała sąsiadka. Nie spytałem nawet, czy mam sąsiadkę, mimo że ogrody nasze dzielił prosty parkan, pod którym hrabina kazała posadzić cyprysy już wysokie na cztery stopy.

Pewnego ranka pani Gobain oznajmiła hrabinie katastrofę: oryginał, zamieszkały od niedawna w sąsiedztwie, postanowił wznieść pod koniec roku mur między dwoma ogrodami. Nie będę wam malował ciekawości, jaka mnie pożerała. Ujrzyć hrabinę!... Przy tym pragnieniu bladła rodząca się miłość do Amelii. Mój zamiar wzniesienia muru był straszliwą groźbą. Ogródek Honoryny, pozbawiony przestrzeni, stawał się niby korytarzem wciśniętym między jej willę a mój mur. Willa ta, niegdyś przeznaczona na świątynię rozkoszy, podobna była do pałacu z kart: miała nie więcej niż trzydzieści stóp na sto. Fasada, pomalowana z niemiecka w pnące kwiaty aż do pierwszego piętra, przedstawiała uroczy okaz owego stylu Pompadur, tak dobrze nazwanego *rococo*. Do domu wiodła długa aleja lipowa. Ogródek hrabiny i mój ogród tworzyły jakby siekiere, której rączkę stanowiła ta aleja. Mój mur miał odciąć trzy czwarte siekiery.

Hrabina była w rozpacz; w zakłopotaniu swoim rzekła:

– Moja dobra Gobain, co to za człowiek, ten amator?

– Hm – odparła – nie wiem, czyby się go dało ułagodzić, bo robi wrażenie człowieka, który nie cierpi kobiet. To siostrzeniec pewnego paryskiego księdza. Wuję jego widziałam tylko raz, godny starzec, dobrze po sześćdziesiątce, bardzo brzydki, ale dziwnie miły.

Możliwe (tak przynajmniej gadają), że to proboszcz podsyca w siostrzeńcu tę pasję do kwiatów – z obawy, aby nie wpadł w co gorsze...

– Jak to?

– A no tak, nasz sąsiad jest trochę tego... – rzekła Gobain, pokazując na głowę.

Spokojni wariaci są to jedyni ludzie, co do których kobiety nieżywią żadnych obaw sercowych. Zobaczycie w dalszym ciągu, jak trafnie postąpił hrabia, przeznaczając mi tę rolę.

– Ale co mu jest? – spytała hrabina.

– Za wiele studiował – odparła Gobain – i zdziwaczał. Wreszcie -jeżeli już pani chce wszystko wiedzieć, co o tym gadają w sąsiedztwie – ma powody, aby nie lubić kobiet...

– Ba – rzekła Honoryna – wariatów mniej się boję niż rozsądnych ludzi, pogadam z nim. Powiedz mu, że proszę, aby przyszedł. Jeśli mi się nie uda, pomówię z tym księdzem.

Nazajutrz po tej rozmowie, przechadzając się po wytyczonych ścieżkach, ujrzałem, iż na pięterku firanki są odsunięte i kobieca twarz wygląda ciekawie. Pani Gobain podeszła do mnie. Spojrzałem w stronę willi i uczyniłem brutalny gest, jak gdybym mówił: „Et! ja sobie drwię z waszej pani!”

– Proszę pani – rzekła Gobain, która wróciła, aby zdać sprawę z poselstwa – wariat prosił mnie, żebym go zostawiła w spokoju, utrzymując, że każdy jest panem w swoim domu, zwłaszcza o ile nie jest żonaty.

– Ma słuszość – rzekła hrabina.

– Tak, ale powiedział w końcu: „Przyjdę” – kiedym mu przedstawiła, że robi wielką przykrość osobie żyjącej zupełnie samotnie i znajdującej rozrywkę w hodowaniu ulubionych kwiatów.

Nazajutrz gest pani Gobain oznajmił mi, że jestem oczekiwany. W chwili gdy hrabina przechadzała się po śniadaniu, wyłamałem płot i podeszedłem do niej. Byłem ubrany z wie-

ska: stare flanelowe spodnie ze strzemiączkami, grube saboty, stara kurtka myśliwska, kaszkiet na głowie, licha chustka na szyi, ręce ubabrane ziemią i motyka w rękę.

– Proszę pani, to właśnie pani sąsiad – krzyknęła Gobain.

Hrabina nie przestraszyła się. Ujrzałem wreszcie kobietę, którą postępowanie jej oraz zwierzenia hrabiego uczyniły mi tak interesującą. Było to w pierwszych dniach maja. Czyste powietrze, błękitne niebo, zieloność pierwszych liści, zapach wiosny tworzyły ramę dla tej wcielonej boleści. Skorom ujrzał Honorynę, zrozumiałem miłość Oktawa oraz prawdę tego wyrażenia: „Niebiański kwiat!” Białość jej uderzyła mnie od pierwszej chwili swym osobliwym odcieniem bieli, jest bowiem tyleż kolorów białych, co czerwonych i niebieskich. Kiedy się patrzyło na hrabinę, oko dotykało niemal tej delikatnej skóry, pod którą płynęła krew błękitnymi żyłkami. Za najmniejszym wzruszeniem krew ta rozlewała się pod skórą niby lekka i różana fala. Kiedyśmy się spotkali, promienie słońca, przedzierające się przez wiotkie liście akacji, okalały Honorynę ową żółtą i płynną aureolą, jaką Rafael i Tycjan, jedyni z malarzy, umieli otoczyć głowę Madonny. Ciemne oczy wyrażały tkliwość i wesołość, ogień ich rzucał blask aż na twarz, poprzez długie, spuszczone rzęsy. Ruchem miękkich powiek Honoryna siała jakiś czar, tyle było uczucia, godności, lęku, wzdargy w sposobie podnoszenia lub opuszczania tych firanek duszy. Mogła człowieka zmrozić lub ożywić jednym spojrzeniem. Jej popielate włosy, niedbale związane, obejmowały czoło godne poety, szerokie, silnie sklepione, marzycielskie. Usta oddychały rozkoszą. Wreszcie – przywilej rzadki we Francji, ale pospolity we Włoszech – zarysy tej głowy miały coś szlachetnego, zdolnego oprzeć się działaniu czasu.

Mimo iż szczupła, Honoryna nie była chuda, a kształty jej zdały mi się z tych, które zdolne są obudzić jeszcze miłość, wówczas gdy pozornie jest wyczerpana. Zasługiwała na przydomek „milutkiej”, należała bowiem do rodzaju drobnych kobiet, które można brać, pieścić, porzucać i brać na nowo jak kotkę. Jej małe nóżki czyniły na piasku im tylko właściwy szelest, harmonizujący z szumem jej sukni; tworzyło to jakąś muzykę kobiecą, która wnikała w serce i sprawiała, iż poznałoby się jej chód wśród tysiąca kobiet. Postawa jej wyrażała jej szlachecki rodowód tak majestatycznie, że na ulicy najzuchwalsi proletariusze ustępowali jej z drogi. Wesoła, tkliwa, dumna, imponująca – nie można było wyobrazić jej sobie inaczej niż z tymi przymiotami, które wykluczały się na pozór, a mimo których pozostała dzieckiem. Ale dziecko mogło się stać silne jak anioł: i jak anioł, raz drażnięta w swojej istocie, musiała być nieubłagana. Chłód jej twarzy musiał być śmiercią dla tych, do których te oczy wprzód się uśmiechały, dla których te wargi rozchyliły się, których dusza chłonęła melodie tego głosu, dającego, osobliwym swoim akcentem, słowom całą poezję śpiewu. Wdychając zapach fiołków, który ją spowijał, zrozumiałem, w jaki sposób wspomnienie tej kobiety przygwoździło hrabiego na progu rozpusty i jak nie można było nigdy zapomnieć tej, która była w istocie kwiatem dla dotyku, kwiatem dla spojrzenia, kwiatem dla powonienia, kwiatem niebiańskim dla duszy... Honoryna rodziła poświęcenie, poświęcenie rycerskie i bez nagrody. Na jej widok mówiło się sobie: „Pomyśl, a odgadnę, powiedz, a usłucham. Jeśli moje życie ofiarowane w męce może ci dać jeden dzień szczęścia, weź moje życie, będę się uśmiechał jak męczennicy na stosie, przyniosę bowiem ten dzień Bogu, jako zakład, który uzna ten Ojciec, poznając ucztę zastawioną swemu dziecięciu”. Wiele kobiet stwarza sobie sztucznie fizjonomię i zdoła osiągnąć wrażenie podobne temu, które ogarnia na widok hrabiny, ale u niej wszystko płynęło z rozkosznej naturalności, i ta naturalność, niepodobna do naśladowania, szła wprost do serca. Jeśli mówię o niej w ten sposób, to dlatego, że chodzi wyłącznie o jej duszę, o jej myśli, o subtelności jej serca, i miałibyście mi za złe, gdybym jej nie naszkicował.

Omiał nie zapominałem swojej roli człowieka współzalonego, brutalnego i wyzutego z rycerskości.

– Mówiono mi, że pani lubi kwiaty.

– Jestem kwiaciarką, proszę pana – odparła. – Wyhodowawszy kwiaty, kopiuję je niby matka, która by była na tyle artystką, aby móc malować swoje dzieci... Czyż to nie mówi panu dostatecznie, że jestem biedna i niezdolna opłacić ustępstw, które chcę zyskać u pana?

– I czym się dzieje – odparłem z powagą sędziego – że osoba tak dystygowana uprawia podobne rzemiosło? Czy, jak ja, stara się pani zatrudnić palce, aby dać spoczynek głowie?

– Zostańmy przy kwestii muru – odparła z uśmiechem.

– Właśnie jesteśmy przy fundamentach – rzekłem. – Czyż nie muszę wprzód wiedzieć, która z naszych dwóch zgryzot lub, jeśli pani woli, z naszych dwóch manii winna ustąpić drugiej?... Och, jaki ładny bukiet narcyzów; są tak świeże jak dzisiejszy ranek!

Trzeba wam wiedzieć, że hrabina stworzyła tam sobie istne muzeum kwiatów i krzewów, do którego wnikało jedynie słońce. Urządzenie tego sanktuarium podyktował geniusz artysty, a uszanowałby je najnieczulszy z kamieniczników. Klomby kwiatów obmyślane z całą sztuką ogrodniczą i tworzące istne bukiety działały kojąco na duszę. Ten ogród zamknięty, samotny wydzielał kojące balsamy, budził same słodkie myśli, wdzięczne, rozkoszne nawet obrazy. Czuło się tam owo niezatarte piętno, jakie nasz prawdziwy charakter wyciska na wszystkich rzeczach, kiedy nas nie zmusza do posłuszeństwa rozmaitym, potrzebnym zresztą, obłudom, których wymaga społeczeństwo.

Spoglądałem kolejno na pęk narcyzów i na hrabinę zdając się bardziej rozkochany w kwiatach niż w niej, aby nie wypaść z roli.

– Kocha pan tedy kwiaty? – spytała.

– To są – rzekłem – jedyne istoty, które nie zawodzą naszych starań i naszej tkliwości.

Wypaliłem tak gwałtowną tyradę, kreśląc paralelę między botaniką a światem, że znaleźliśmy się o tysiąc mil od muru granicznego. Hrabina musiała mnie wziąć za istotę cierpiącą, zranioną, godną współczucia. Mimo to po półgodzinie sąsiadka sprowadziła mnie do pierwotnej kwestii: kobiety bowiem, o ile nie kochają, posiadają zimną krew starego adwokata.

– Gdybym zostawił parkan – rzekłem – poznałaby pani wszystkie sekrety hodowli, które pragnę ukryć; szukam niebieskiej dali, niebieskiej róży, szaleję za niebieskimi kwiatami. Czyż kolor niebieski nie jest ulubioną barwą szlachetnych dusz? Żadne z nas nie jest u siebie; równie dobrze można by zrobić furtkę ze sztachet, która by łączyła nasze dwa ogrody... Pani lubi kwiaty, będzie pani oglądała moje, ja będę oglądał pani kwiaty. U pani nie bywa nikt, u mnie bywa jedynie mój wuj, proboszcz od Blancs-Manteaux.

– Nie – rzekła – nie chcę nikomu dać prawa wchodzenia o każdej porze do mego ogrodu, do mnie. Niech pan przychodzi, pana zawsze przyjmę, jak sąsiada, z którym chcę utrzymywać dobre stosunki, ale zbyt kocham swą samotność, aby ją ograniczać w jakiegokolwiek mierze.

– Jak pani chce! – rzekłem. To mówiąc, przesadziłem jednym susem parkan. – Na co furtka? – wykrzyknąłem znalazłszy się na swoim gruncie, podchodząc do hrabiny i szydząc z niej gestem oraz minami szaleńca.

Dwa tygodnie nie dałem znaku życia. Pod koniec maja, pewnego pięknego wieczora, zdarzyło się, iż przechadzając się wolno znaleźliśmy się oboje po dwóch stronach parkanu. Skorośmy się zbliżyli, trzeba było wymienić jakieś uprzejme słowa; wydałem się hrabinie tak przygnębiony, zatopiony w tak bolesnej zadumie, że jąla mnie pocieszać słowami podobnymi do śpiewu, którym piastunki usypiają dzieci. Wreszcie przesadziłem płot i drugi raz znalazłem się przy niej. Hrabina zaprosiła mnie do domu, chcąc obłaskawić mój smutek. Wszedłem tedy do tego sanktuarium, gdzie wszystko było w harmonii z kobietą, którą starałem się wam odmalować. Panowała tam urocza prostota. Wewnątrz była to bombonierka wymyślona przez sztukę osiemnastego wieku na pełną wdzięku rozpustę wielkiego pana. Jadalnia położona na parterze pokryta była freskami cudownie przedstawiającymi pnące się kwiaty. Klatka schodowa była uroczo zdobiona obrazami utrzymanymi w jednym tonie. Salonik naprzeciwko jadalni był dziwnie zniszczony, ale hrabina przybrała ściany obiciami z dawnych parawa-

nów. Do saloniku przylegała łazienka. Na piętrze był tylko jeden pokój z gotownią oraz biblioteka zmieniona na pracownię. Kuchnia znajdowała się w piwnicy; do willi wchodziło się przez ganek po kilku stopniach. Galeryjka oraz girlandy kwiatów w stylu Pompadour zasłaniały dach, z którego widać było jedynie ołowiane ornamenty. Miało się uczucie, że się jest o sto mil od Paryża. Gdyby nie gorzki uśmiech, który igrał chwilami na pięknych, czerwonych wargach tej bladej kobiety, można by wierzyć w szczęście tego fiołka zagrzebanego w lesie kwiatów.

W kilka dni doszliśmy do zażyłości, jaką zrodziło sąsiedztwo oraz pewność hrabiny co do mej obojętności na punkcie kobiet. Jedno spojrzenie zniweczyłoby wszystko, toteż nigdy w moich oczach nie powstała myśl o niej! Honoryna chciała widzieć we mnie starego przyjaciela. Jej obejście płynęło ze współczucia. Spojrzenia, głos, słowa, wszystko mówiło, że jest o tysiąc mil od zalotności, na jaką najcnotliwsza kobieta pozwoliłaby sobie może w podobnym wypadku. Niebawem dozwoliła mi wstępu do uroczej pracowni, w której robiła swoje kwiaty. Było to schronienie pełne książek i osobliwości, strojne jak buduar, gdzie zbytek podnosił popospolitość narzędzi służących do rzemiosła. Hrabina zdołała z czasem przystroić poezją to, co jest niejako na antypodach poezji – fabrykę. Ze wszystkich rzeczy, jakie mogą wyrabiać kobiety, sztuczne kwiaty są może pracą, której szczegóły pozwalają rozwinąć najwięcej wdzięku. Przy kolorowaniu kobieta musi siedzieć schylona przy stole i oddawać się z pewną uwagą temu niby-malarstwu. Haft uprawiany tak, jak go uprawia robotnica, która chce nim zarobić na życie, jest przyczyną suchot albo skrzywienia kręgosłupa. Rytowanie nut jest jedną z najbardziej wyczerpujących prac wskutek dokładności, uwagi, inteligencji, jakich wymaga. Szycie, haft dają ledwie półtora franka dziennie. Natomiast wyrób kwiatów i modniarstwo wymagają mnóstwa ruchów, gestów, pomysłów nawet, które sprawiają, iż ładna kobieta zostaje w swojej sferze: jest jeszcze sobą, może rozmawiać, śmiać się, śpiewać lub myśleć.

To pewna, że było poczucie sztuki w sposobie, w jaki hrabina rozkładała na długim sosnowym stole miriady kolorowych płatków, przeznaczonych do kwiatów, które obmyślała. Kubki do kolorowania były z białej porcelany, zawsze czyste, ustawione tak, aby oko mogło natychmiast znaleźć potrzebny odcień w gamie tonów. Szlachetna artystka oszczędzała w ten sposób swój czas. Ładny hebanowy sekretarzyk inkrustowany kością słoniową, ze stoma weneckimi szufladkami, zawierał stalowe matryce, którymi wycinała listki i płatki. Wspaniała waza japońska zawierała kłajster, któremu nigdy nie dała kwaśnieć, a do wazy tej przymocowana była na zawiaskach pokrywka tak lekka i sprawna, że hrabina podnosiła ją końcem palca. Drut mosiężny schowany był w stoliczku do pracy, pod ręką. Przed jej oczami stał w wazoniku z weneckiego szkła, rozkwitły niby kielich na łodydze, żywy model kwiatu, z którym próbowała walczyć. Zapalała się do arcydzieł, podejmowała prace najtrudniejsze, najdrobniejsze grona, korony, paprocie, słupki o najkapryśniejszych kształtach. Ręce jej, zwinne jak myśl, biegły od stołu do kwiatu niby ręce artysty po klawiszach. Palce jej były niby palce wróżki, tyle pod wdziękiem gestu było w nich siły, z jaką skręcały, ścisnęły, wyciągały materiały potrzebne do tej pracy, odmierzając z nieomylnym instynktem każdy ruch. Mogłem ją podziwiać bez końca, jak buduje kwiat, którego składniki znajdowały się przed nią, jak owija, udoskonala łodygę, jak przymocowuje do niej listki. Objawiała prawdziwy talent malarski w swoich śmiałych przedsięwzięciach, kopiowała liście zwiędłe, liście pożółkłe, mocowała się z kwiatami polnymi, najprostszymi ze wszystkich – a najbardziej skomplikowanymi w swej prostocie.

– Ta sztuka – mówiła – Jest dopiero w dzieciństwie. Gdyby paryżanki miały nieco owego geniuszu, który harem rozwija w kobietach Wschodu, dałyby wymowę kwiatom, które kładą na głowę. Zrobiłam dla swojej artystycznej przyjemności zwiędłe kwiaty z liśćmi koloru florentyńskiego brązu, takie jak się widuje przed zimą albo po zimie... Czy taki wianek włożony na głowę młodej kobiety, której życie jest chybione albo którą pożera tajemna zgryzota, nie miałby swojej poezji? Ile rzeczy mogłaby wyrazić kobieta strojem głowy? Czyż nie ma

kwiatów dla pijanych bachantek, kwiatów dla sztywnych dewotek, kwiatów zachmurzonych dla znudzonych kobiet? Tak, botanika wyraża wszystkie wrażenia i wszystkie myśli duszy, nawet najdelikatniejsze!

Używała mnie do wyciskania kwiatów, do wycinania, do przygotowywania drutu na łodygi. Moja rzekoma potrzeba rozrywki uczyniła mnie rychło bardzo zręcznym. Rozmawialiśmy pracując. Kiedy nie miała nic do roboty, czytywałem jej nowe książki; nie wolno mi było wypaść z roli, odgrywałem zaś człowieka zmęczonego życiem, chmurnego, sceptycznego, cierpkiego. Powierzchność moja ściągała na mnie przemile żarciki z powodu mego podobieństwa, czysto zewnętrznego zresztą – z wyjątkiem ułomnej nogi – do lorda Byrona. Uchodziło za rzecz ustaloną, że jej nieszczęścia, co do których chciała zachować najgłębsze milczenie, zasunęłyby w cień moje, mimo że już przyczyny mojej mizantropii mogłyby zadowolić Younga¹⁸ i Hioba. Nie będę się rozwodził nad wstydem, jaki mnie dręczył, kiedy wystawiałem na pokaz, niby żebrak uliczny, fałszywe rany serca, aby obudzić współczucie tej czarującej kobiety. Zrozumiałem rychło rozmiar mego poświęcenia, pojmując całą nikczemność szpiegostwa. Dowody sympatii, jakie otrzymałem wówczas, byłyby pocieszyły największe niedole. Ta urocza istota, wyrwana ze świata, samotna od tylu lat, posiadająca poza sferą miłości skarby serca do rozdania, ofiarowała mi je z dziecięcym wylaniem. To jej współczucie byłoby pewnie bardzo gorzkie doświadczonemu człowiekowi, który by ją kochał, gdyż, niestety, było ono samą litością, samym miłosierdziem. Jej zaparcie się miłości, lek przed wszystkim, co się nazywa szczęściem kobiety, buchały z równą siłą, co naiwnością. Te szczęśliwe dni przekonały mnie, że przyjaźń kobiet o wiele wyższa jest od ich miłości.

Dawałem sobie wydzierać zwierzenia swoich zgryzot ze wszystkimi ceregielami, na jakie pozwalają sobie młode panny, nim usiądą do fortepianu, tak bardzo świadome są nudy, jaką to grozi. Jak się państwo domyślacie, konieczność zwyciężenia mej niechęci do zwierzeń zmusiła hrabinę do zacieśnienia naszego stosunku, ale widziała we mnie tak żywy obraz własnej swej antypatii do miłości, że zdawała się rada z przypadku, który zesłał na jej bezludną wyspę rodzaj Piętaszka. Może samotność zaczynała jej ciążyć. Ale nie było w tym żadnej kokieterii, nie miała już nic z kobiety, nie czuła w sobie serca, chyba w idealnym świecie, w który się chroniła. Mimo woli porównywałem z sobą te dwie egzystencje, życie hrabiego będące całe czynem, ruchem, wzburzeniem, i życie hrabiny bierne, beczynne, nieruchome. Mężczyzna i kobieta pozostali cudownie wierni swej naturze.

Mizantropia moja pozwalała mi na cyniczne wycieczki przeciw mężczyznom i kobietom; folgowałem w nich sobie w nadziei, iż ściągnę tym Honorynę na grunt zwierzeń, ale nie dała się chwycić w żadną pułpkę. Zaczynałem rozumieć ten upór m u ł a , częstszy, niż się myśli, u kobiety.

– Mieszkańcy Wschodu mają słuszność – rzekłem jednego wieczora – że zamykają kobiety, uważając je tylko za narzędzie rozkoszy. Europa ciężko pokutuje za to, że wam pozwoliła stać się częścią społeczeństwa i że was dopuściła do niego na stopie równości. Według mnie, kobieta jest to najnieuczciwsze i najpodlejsze ze stworzeń. Stąd zresztą jej uroki. Ładna przyjemność polować na zwierzę domowe! Kiedy kobieta obudziła w mężczyźnie miłość, jest dlań na zawsze święta, jest w jego oczach obleczona tajemniczym przywilejem. U mężczyzny wdzięczność za minione rozkosze jest wieczna. Skoro spotka swoją kochankę, postarzała albo niegodną jego, kobieta ta zawsze ma prawa do jego serca. Ale dla was, kobiet, mężczyzna, któregoście kochały, jest niczym; co więcej, popełnia zbrodnię nie do darowania: tę, że żyje!... Nie śmiecie tego wyznać, ale wszystkie macie w sercu myśl, którą popularna potwarz, nazwana tradycją, przypisuje damie z „Wieży w Nesle”¹⁹: Co za szkoda, że nie

¹⁸ Edward Young (1683–1765) – poeta angielski, autor posępnych i pełnych melancholii utworów, jak np. „Noce”.

¹⁹ Wieża w Nesle – do wieży Nesle w Paryżu przywiązana jest legenda, jakoby Małgorzata Burgundzka, królowa Nawarry, miała tam urządzać orgie, a potem strącać swych kochanków do Sekwany; legenda ta bywała

można się karmić miłością tak, jak się karmi owocami. I że, po skończonym posiłku, nie może kobiecie zostać jedynie poczucie rozkoszy!...

– Bóg – rzekła – zachował pewnie to doskonałe szczęście dla raj. Ale – dodała – jeżeli pańskie rozumowanie wydaje się panu bardzo dowcipne, ma ono dla mnie tę wadę, że jest fałszywe. Co to są kobiety, które zdolne są odmieniać miłość? – rzekła, patrząc na mnie tak, jak Madonna Ingresa patrzy na Ludwika XIII ofiarującego jej swoje królestwo²⁰.

– Jest pani bezwiedną komediantką – rzekłem – gdyż samo to spojrzenie, które pani na mnie rzuciła w tej chwili, zapewniłoby sławę aktorce. Ale pani, tak piękna, musiałaś wszak kochać; zatem zapominasz.

– Ja – odparła, uchylając moje pytanie – ja nie jestem kobietą: ja jestem zakonnicą, która ma siedemdziesiąt dwa lata.

– W jaki sposób tedy może pani twierdzić stanowczo, że pani czuje silniej ode mnie? Niedole kobiet mają tylko jedną postać, za nieszczęścia uważają jedynie zawody serca

Spojrzała na mnie łagodnie i zrobiła jak wszystkie kobiety, które, wciśnięte między dwoje drzwi dylematu lub pochwycone w szpony prawdy, upierają się mimo to przy swoim. Rzekła:

– Jestem zakonnicą, a pan mi mówi o świecie, w którym nie mogę już stąpić nogą.

– Nawet w myśli? – rzekłem.

– Czy świat jest tak godny zazdrości? – odparła. – Och, kiedy moja myśl zacznie błędzić, idzie wyżej... Anioł doskonałości, piękny Gabriel, często śpiewa w moim sercu – rzekła. – Gdybym była bogata, i tak pracowałabym, aby nie siadać zbyt często na barwne skrzydła Anioła lecąc w krainę fantazji! Są zadumy, które dla nas kobiet są zgubą! Zawdzięczam swoim kwiatom wiele spokoju, mimo że nie zawsze zdolne są mnie zająć. Są dni, w których duszę moją ogarnia jakieś oczekiwanie; nie mogę odpędzić myśli, która mnie oblega i paraliżuje mi palce. Mam uczucie wówczas, że się zbliża jakieś wielkie wydarzenie, że życie moje ulegnie zmianie, wsłuchuję się w pustkę, wpatruję się w ciemność, nie bawi mnie praca i, po tysiącnych udrękach, wracam do życia... Do zwykłego życia. Czy to jest przecucie nieba? Nie wiem.

Po trzech miesiącach walki dwóch dyplomatów, ukrytych pod maską młodzieńczej melancholii, z kobietą, którą jej wstręt do życia czynił niezwykłą, oświadczyłem hrabiemu, że nie podobna wywabić tego żółwia ze skorupy i że trzeba strzaskać szylkret. Poprzedniego dnia, w przyjacielskiej dyskusji, hrabina wykrzyknęła:

– Lukrecja²¹ wypisała sztyletem i krwią pierwsze prawo kobiety: **W o l n o ś ć !**

Z tą chwilą hrabia zostawił mi wolną rękę.

– Sprzedałam za sto franków kwiaty i czepeczki, które zrobiłam w tym tygodniu! – rzekła z radością Honoryna pewnej soboty, kiedy ją odwiedził w saloniku na parterze, gdzie rzekomy właściciel dał odnowić wszystkie złocenia. Była dziesiąta. Lipcowy zmierzch oraz wspaniały księżyc rozlewały mgliste blaski. Smugi woni pieściły duszę, hrabina dzwoniła w dłoni pięcioma sztukami złota otrzymanymi od rzekomego komisanta mód, też będącego narzędziem Oktawa. Znalazł mu go sędzia Popinot.

– Zarabiać na życie bawiąc się – rzekła – być wolną, gdy mężczyźni zbrojni w swoje prawa chcieli nas zrobić niewolnicami! Och, co sobotę ogarnia mnie przyływ dumy. Słowem, kocham złoto pana Gaudissart, jak lord Byron, pański sobowtór, kochał złoto księgarza Murray.

– To nie jest rola kobiety – odparłem.

wielokrotnie tematem utworów literackich, m. in. dramatu Dumasa-ojca i Gaillardeta pt. „Wieża w Nesle”.

²⁰ M a d o n n a I n g r e s a – mowa o obrazie francuskiego malarza Dominique Ingres (1780–1867), pod tytułem „Ślub Ludwika XIII”.

²¹ L u k r e c j a – Rzymianka, która, obrażona przez syna Tarkwiniusza Pysznego, popełniła samobójstwo; często cytowany w literaturze przykład kobiety, która woli śmierć niż hańbę.

– Ba! czyż ja jestem kobietą? Ja jestem chłopiec obdarzony tkliwą duszą, oto wszystko; chłopiec, którego żadna kobieta nie może udęczyć...

– Pani życie jest zaprzeczeniem całej pani istoty – rzekłem. – Jak to, pani, którą Bóg obdarzył skarbami czucia i piękności, nie pragnie czasem...

– Czego? – spytała, zaniepokojona odezwaniem, które pierwszy raz klóciło się z mą rolą.

– Ładnego dziecka z kręcącymi się włosami, biegającego wśród tych kwiatów, niby kwiat życia i miłości, i wołającego: „Mamo!...”

Czekałem odpowiedzi. Przeciągająca się cisza dała mi odgadnąć straszliwe wrażenie moich słów, wrażenie, którego nie dostrzegłem w ciemności. Hrabina osunęła się na kanapę; nie zemdlała, ale zastygła w ataku nerwowym, którego pierwszy dreszcz, łagodny jak wszystko w niej, podobny był (mówiła mi później) do działania najsubtelniejszej trucizny. Zawołałem panią Gobain; przysłała, zaniósła swą panią na łóżko, rozsznurowała, wróciła ją nie do życia, ale do świadomości okropnego bólu. Przechadzałem się, płacząc w alei pod domem, wątpiąc o pomyślnym obrocie. Chciałem się zrzec tej roli ptasznika, roli tak niebacznie przyjętej. Pani Gobain, która zeszedłszy ujrzała moją twarz we łzach, pobiegła szybko na górę i rzekła:

– Co się stało, proszę pani? Pan Maurycy płacze rzewnymi łzami, zupełnie jak dziecko!

Lękając się, że nasze zachowanie mogłoby być fałszywie tłumaczone, hrabina zdobyła się na nadludzką siłę, narzuciła peniuar, zesłała i rzekła do mnie:

– To nie pan jest przyczyną ataku; miewam od czasu do czasu takie spazmy, rodzaj skurczu serca!...

– I pani chce kryć przede mną swoje zgryzoty?... – rzekłem, ocierając łzy, głosem, którego nie podobna udać. – Czyż mi pani nie wyznała przed chwilą, że byłaś matką i że miałaś nie-szczęście stracić dziecko?

– Mario! – krzyknęła nagle, dzwoniąc.

Zjawiła się pani Gobain.

– Światła i herbaty – rzekła z zimną krwią urodzonej lady, opancerzonej dumą przez owe nieludzkie wychowanie angielskie, które znacie.

Kiedy Gobain zapaliła świece i zamknęła żaluzje, twarz hrabiny stała się niema; jej niezwalczona duma, jej indiańska powaga odzyskały swoją władzę. Rzekła:

– Czy pan wie, czemu ja tak lubię lorda Byrona?... Bo cierpiał tak, jak cierpią zwierzęta. Na co skarga, kiedy nie jest elegią jak skarga Manfreda, gorzkim szyderstwem jak don Juan, marzeniem jak Childe Harold? Nikt nie dowie się nic o mnie!... Moje serce jest poematem, który niosę Bogu!

– Gdybym zechciał... – rzekłem.

– Gdyby? – powtórzyła.

– Nie obchodzi mnie nic – odparłem – nie jestem zdolny do ciekawości, ale gdybym chciał, znałbym jutro pani tajemnice.

– Niech pan spróbuje! – rzekła ze źle ukrywanym niepokojem.

– Serio?

– Oczywiście – rzekła, potrząsając głową – chcę wiedzieć, czy ta zbrodnia jest możliwa.

– Po pierwsze, pani – odparłem, pokazując jej ręce – czy te piękne paluszki, które dostatecznie świadczą, że pani nie jest młodą dziewczyną, były stworzone do pracy? A potem, pani nazywa się pani Gobain, pani, która przy mnie kiedyś, otrzymując list, powiedziała do Marii: „Masz, to dla ciebie”. Maria jest prawdziwą panią Gobain. Zatem kryje pani swoje nazwisko pod nazwiskiem gospodyni. Och, pani, z mojej strony niech się pani niczego nie obawia. Ma pani we mnie najoddańszego przyjaciela, jakiego pani będzie miała kiedy... P r z y j a c i e l a , rozumie pani? Biorę to słowo w jego świętym i szlachetnym znaczeniu, tak sponiewieranym we Francji, gdzie wołamy nim naszych wrogów. Ten przyjaciel, który by panią bronił przeciw wszystkiemu, pragnie, abyś była tak szczęśliwa, jak powinna być kobieta taka jak pani. Kto wie, czy ból, który pani zadałem, nie był rozmyślny?

– Owszem – odparła z zuchwałą groźbą – chcę tego; niech pan będzie ciekawy i niech mi pan powie, czego pan zdołał dowiedzieć się o mnie; ale – dodała, wznosząc palec – powie mi pan także, jakimi sposobami zdobył pan te wiadomości. Trwałość wątlęgo szczęścia, jakiego tu zażywam, zależy od pańskich informacji.

– To znaczy, że pani ucieknie...

– Natychmiast – wykrzyknęła – i do Nowego Świata...

– Gdzie pani będzie – przerwałem – wydana na łup namiętności, jakie pani będzie budzić. Czyż nie jest właściwością geniuszu i urody błyszczeć, ściągać spojrzenia, budzić żądze i złe namiętności? Paryż jest pustynią bez Beduinów, Paryż jest jedynym miejscem, gdzie można ukryć swoje życie, kiedy się ma żyć z pracy. Na co się pani skarży? Czym ja jestem? Jednym służącym więcej; jestem panem Gobain, oto wszystko. Jeżeli panią czeka jaki pojedynek, świadek może być pani potrzebny.

– Mniejsza, niech się pan dowie, kim jestem. Powiedziałam już: c h c ę ! Obecnie proszę o to – dodała z wdziękiem (który panie macie na zawołanie – rzekł konsul, spoglądając na kobiety).

– A więc jutro, o tej samej godzinie, powiem pani, czego się dowiedziałem – odparłem. – Ale czy mnie pani nie znienawidzi? Czyżby pani miała uczynić tak jak inne kobiety?

– Cóż robią inne?...

– Narzucają nam olbrzymie poświęcenia, a kiedyśmy je spełnili, wymawiają je nam w jakiś czas później jako zniewagę.

– Mają słuszość, jeżeli to, czego od was żądały, wydało się wam poświęceniem... – odrzekła filuternie.

– Niech pani zastąpi słowo poświęcenie słowem wysiłek, i...

– To będzie impertynencja.

– Niech mi pani wybaczy – rzekłem – zapomniałem, że kobieta i papież są nieomylni.

– Mój Boże – rzekła po pauzie – dwa słowa wystarczą, aby zmącić ten tak drogo kupiony spokój, którego zażywam ukradkiem...

Wstała, nie zwracała już na mnie uwagi.

– Dokąd iść? – rzekła. – Co począć?... Czy będzie mi trzeba opuścić to gniazdko usłane z takim staraniem po to, aby w nim dokończyć moich dni?

– Dokończyć dni? – rzekłem z widocznym przerażeniem. – Czy pani nigdy nie pomyślała, że przyjdzie chwila, gdy pani nie będzie mogła pracować, gdy cena kwiatów i modeli obniży się przez konkurencję?...

– Mam już tysiąc talarów oszczędności – rzekła.

– Mój Boże, ileż wyrzeczeń zawiera ta suma? – wykrzyknąłem.

– Do jutra, niech mnie pan zostawi teraz – rzekła. – Dziś wieczór nie czuję się już sobą, chcę zostać sama. Czyż nie trzeba mi skupić sił na wypadek nieszczęścia, bo gdyby pan się czego dowiedział, to znaczy, że i inni wiedzą, a wówczas... Żegnam pana – rzekła krótko z rozkazującym gestem.

– Jutro bitwa – rzekłem z uśmiechem, aby nie wyjść z żartobliwego tonu, jaki nadałem tej scenie. Ale, oddalając się aleją, powtarzałem: „Jutro bitwa!” I hrabia, którego jak co wieczór, spotkałem na bulwarze, powtórzył: „Jutro bitwa!”

Niepokój Oktawa równy był niepokojowi Honoryny. Przechadzaliśmy się z hrabią do drugiej w nocy wzdłuż rowów Bastylji, jak dwaj generałowie, którzy w wilię bitwy obliczają wszystkie szanse, badają teren i pojmują, iż w pełni walki zwycięstwo zależy od szczęśliwie pochwyconego przypadku. Obie istoty, rozłączone tak gwałtownie, miały spędzić tę noc bezsennie; jedno w nadziei, drugie w obawie spotkania. Dramaty życia leżą nie w wydarzeniach, ale w uczuciach; rozgrywają się w sercu lub, jeśli wolicie, w tym olbrzymim świecie, który należałoby nazwać światem duchów. Oktaw i Honoryna żyli, działali wyłącznie w tym świecie wielkich duchów.

Byłem punktualny. O dziesiątej wieczór wpuszczono mnie pierwszy raz do ślicznego pokoiku, białego z niebieskim, do gniazdka tej zranionej gołąbki. Hrabina spojrzała na mnie, chciała przemówić i przestraszyła się uszanowania, jakie odbijało się na mej twarzy.

– Pani hrabino... – rzekłem, uśmiechając się poważnie.

Biedna kobieta wstała, osunęła się na fotel w boleści godnej pędzla wielkiego malarza.

– Jest pani – rzekłem – żoną najszlachetniejszego i najbardziej poważanego z ludzi: człowieka, który uchodzi za wielkiego, ale który większym jest wobec pani niż w oczach wszystkich. Pani i on to dwa wielkie charaktery. Jak pani sądzi, gdzie pani się znajduje? – spytałem.

– U siebie – odparła, otwierając oczy zmartwiałe od zdumienia.

– U hrabiego Oktawa! – odparłem. – Wywiedziono panią w pole. Pan Lenormand, pisarz trybunalski, nie jest właścicielem, ale człowiekiem podstawionym przez męża pani. Cudowny spokój, którym się pani cieszy, jest dziełem hrabiego, którego opieka wnika w najdrobniejsze szczegóły pani życia. On panią ocalił w oczach świata, podał prawdopodobne powody pani zniknięcia; objawia nadzieję, że pani nie zginęła w rozbiciu „Cecylii”; na okręcie tym puściła się pani na Hawanę, aby czuwać nad spadkiem po sędziwej krewnej, która mogłaby o pani zapomnieć. Udała się tam pani rzekomo w towarzystwie jego dwóch krewniaczek i starego intendenta! Hrabia opowiada, że wysłał tam swoich agentów i że otrzymał listy, które dają wiele nadziei... Aby panią ukryć oczom świata, rozwija tyle ostrożności, co pani sama... Słowem, jest pani posłuszny...

– Dosyć – odparła. – Chcę wiedzieć już tylko jedno. Od kogo pan ma wszystkie te szczegóły?

– Och, pani... po prostu wuj mój umieścił u komisarza policji naszego okręgu pewnego ubogiego chłopca jako sekretarza. Ten młody człowiek powiedział mi wszystko. Gdyby pani dziś wieczór opuściła potajemnie wille, mąż dowiedziałby się, dokąd się pani udała; opieka jego poszłaby za panią wszędzie. W jaki sposób inteligentna kobieta mogła uwierzyć, że kupcy kupują kwiaty i czepeczki po cenie, w jakiej je sprzedają? Niech pani zażąda tysiąca talarów za bukiet, a dostanie je pani! Nigdy czułość matki nie była przemyślniejsza niż czułość męża pani. Dowiedziałem się od stróża, że często hrabia przystaje za tym żywopłotem, kiedy wszyscy śpią, aby się wpatrywać w światło twojej nocnej lampki! Pani kaszmirowy szal wart jest sześć tysięcy franków... Pani modniarka sprzedaje pani niby to starzyznę, która w istocie pochodzi z najlepszych fabryk... Słowem, jest pani tu ucieleśnieniem Wenery w sieci Wulkanu, ale uwięziłaś się sama, i to dzięki zabiegom wzniosłej szlachetności, wzniosłej od siedmiu lat i o każdej porze...

Hrabina drżała tak, jak drży schwytna jaskółka, kiedy uwięziona w dłoni wyciąga szyję i rozgląda się błędnym okiem. Wstrząsały nią nerwowe dreszcze, patrzyła na mnie nieufnie. Suche jej oczy rzuciły światło niemal gorące: ale była kobietą!... Przyszła chwila, że łzy znalazły sobie drogę; zapłakała nie dlatego, aby była wzruszona, ale zapłakała nad swą niemocą, płakała z rozpacz. Sądziła, że jest niezależna i wolna, a małżeństwo ciążyło na niej jak więzienie.

– Pójdę – mówiła przez łzy – on mnie do tego zmusza, pójdę tam, dokąd już nikt, to pewna, za mną nie pójdzie!

– Och – rzekłem – pani chce się zabić... Musi mieć pani chyba bardzo ważne powody, aby nie chciała wrócić do hrabiego Oktawa.

– Och, tak!

– Zatem niech mi je pani powie, niech je pani powie mojemu wujowi, znajdzie pani w nas dwóch oddanych doradców. O ile mój wuj jest księdzem w konfesjonale, nie jest nim nigdy w salonie. Wysłuchamy pani, spróbujemy znaleźć jakieś rozwiązanie problemów, które pani postawi: jeśli pani jest ofiarą jakiegoś nieporozumienia, zdołamy mu może położyć koniec. Dusza pani zdaje mi się czysta; jeśli pani popełniła jakiś błąd, odpokutowała go pani... Sło-

wem, pomyśl pani, że masz we mnie najszczęśliwszego przyjaciela. Jeśli chcesz uciec przed tyranią hrabiego, podam pani sposoby takie, aby nie znalazł pani nigdy.

– Jest przecie klasztor – rzekła.

– Tak, ale hrabia, który tymczasem został ministrem stanu, postarałby się, by pani nie przyjęto do żadnego klasztoru w świecie. Mimo że jest bardzo potężny, ja panią ocalę od niego, ale kiedy mi pani udowodni, że nie możesz, że nie powinnaś doń wrócić. Och, niech pani nie myśli, że uchodząc przed jego władzą, popadnie pani w moją – oddałem, widząc jej spojrzenie nieufne i pełne bezgranicznej dumy. – Będzie pani miała spokój, samotność i niezależność, słowem, będzie pani równie swobodna i szanowana, co gdybyś była złą i brzydką starą panną. Ja sam nie będę mógł pani widywać bez jej zezwolenia.

– Jak? jakim sposobem?

– To mój sekret. Nie zwodzę pani, może pani być pewna. Niech mi pani udowodni, że to życie jest jedyne, jakie pani może prowadzić, że jest lepsze niż życie hrabiny Oktawowej, bogatej, świetnej, w jednym z najpiękniejszych pałaców w Paryżu, ukochanej przez męża, szczęśliwej matki... a daję za wygraną...

– Ależ – rzekła – czyż który mężczyzna potrafi mnie zrozumieć!?

– Nie – odparłem. – Toteż wezwałem religię, aby nas rozsądziła. Wuj mój jest to święty liczący siedemdziesiąt pięć lat. To nie jest wielki inkwizytor, to święty Jan; ale dla pani stanie się Fénelonem; Fénelonem, który mówił do księcia Burgundzkiego: „Jedź, Wasza Wysokość, cielecinę w piątek, ale bądź chrześcijaninem”.

– Nie, klasztor jest moją jedyną ucieczką i jedynym schronieniem. Żaden człowiek, nawet św. Augustyn, najtkliwszy z ojców Kościoła, nie zdołałby wnikać w skrupuły mego sumienia, które są dla mnie nieprzebytym kręgiem dantejskiego piekła. Kto inny niż mój mąż, inny, mimo że najniegodniejszy tej ofiary, posiadał całą mą miłość! Nie miał jej, bo jej nie wziął: dałam mu ją, jak matka daje dziecku cudowną zabawkę, którą dziecko łamie. Nie było dla mnie dwóch miłości. Dla niektórych dusz miłość się nie da próbować: albo jest, albo jej nie ma. Kiedy się pojawi, kiedy zakwitnie, jest całkowita. Więc tak, tych osiemnaście miesięcy to było dla mnie osiemnaście lat, włożyłam w nie całą swą duszę; nie zubożyła się swoim wylewem, wyczerpała się w tym zwodnym pożyciu, w którym ja tylko byłam szczerą. Dla mnie czara szczęścia nie jest ani wypróżniona, ani próżna, nic już nie może jej napełnić, bo jest strzaskana. Opuściłam pole bitwy, nie mam już broni... Wydawszy się tak na łup, czym jestem? Resztką uczyty. Dano mi tylko jedno imię, Honoryna, jak miałam jedno tylko serce. Mąż mój miał młodą dziewczynę, niegodny kochanek miał kobietę, nie ma już nic! Pozwolić się kochać?... Oto wielkie słowo, które pan powie. Och, jestem jeszcze czymś i buntuję się na myśl, abym miała być prostytutką! Tak, widziałam jasno w łunie pożaru i, wie pan... mogłabym może ulec miłości innego, ale Oktaw... och! nigdy.

– Och, pani go kocha – rzekłem.

– Szanuję go, czcę, poważam, nie uczynił mi najmniejszej krzywdy, jest dobry, tkliwy, ale nie mogę go już kochać... Zresztą – rzekła – nie mówmy o tym. Dyskusja spłaszcza wszystko. Wytłumaczę panu na piśmie swoje pojęcia w tym przedmiocie: w tej chwili dławią mnie, mam gorączkę. Wszystko, co widzę, te rzeczy, o których myślałam, że zdobyte są moją pracą, przypominają mi teraz to, o czym chciałam zapomnieć. Och! chciałabym uciec stąd, jak uciekałam z domu.

– Aby się udać dokąd? – rzekłem. – Czy kobieta może istnieć bez opiekuna? W trzydziestym roku, w całej krasie piękności, z bogactwem sił, których pani nie podejrzewa, z pełnią tkliwości w sercu chce pani iść na pustynię, w której mogę panią ukryć?... Żyj bez obawy. Hrabia, który przez pięć lat ani razu się tu nie pokazał, nie wejdzie tu nigdy inaczej jak za pani zgodą. Dziewięć lat jego szczytnego życia są rękojmnią twego bezpieczeństwa. Może pani tedy rozważyć z całym spokojem, ze mną i z moim wujem, swoją przyszłość. Mój wuj jest równie potężny jak minister stanu. Niech się pani tedy uspokoi, niech pani nie przesadza swe-

go nieszczęścia. Kapłan, którego głowa pobieliała w kapłaństwie, nie jest dzieckiem; on panią zrozumie, on, który od pięćdziesięciu lat jest powiernikiem wszystkich namiętności i który waży w swych dłoniach tak ciężkie serca królów i książąt. Jeśli jest surowy w swojej stule, wobec pani kwiatów będzie równie słodki jak one i pobleźliwy jak jego boski Pan.

Opuściłem hrabinę o północy i zostawiłem ją spokojną na pozór, ale posępną, ważącą tajemne zamiary, niepodobne do przeniknięcia. Spotkałem hrabiego o kilka kroków, na ulicy Saint-Maur; opuścił umówione miejsce na bulwarach, party niezwykłą siłą.

– Cóż za noc spędzi to biedne dziecko? – wykrzyknął, skorom mu opowiedział całą scenę.
– Gdybym ja tam poszedł, gdyby mnie nagle ujrzała!

– W tej chwili byłaby zdolna wyskoczyć oknem – odrzekłem. – Hrabina jest z owych Lukrecyj, które nie przeżyją gwałtu, nawet ze strony człowieka, któremu by się oddały.

– Jesteś młody – odparł. – Nie wiesz, że w duszy nękaney tak okrutną rozterką wola jest jak fala jeziora, na którym szaleje burza; wiatr zmienia się co chwila, a fale biją to o jeden brzeg, to o drugi. Dziś w nocy tyleż jest widoków, że Honoryna rzuciłaby się w moje ramiona, co żeby wyskoczyła oknem.

– I pan by przyjął tę alternatywę? – rzekłem.

– Chodźmy – odparł. – By doczekać jutrzejszego wieczora, mam w domu dawkę opium, którą mi przygotował Desplein, abym mógł spać.

Nazajutrz w południe stara Gobain przyniosła mi list, powiadając, że hrabina wyczerpana położyła się o szóstej i dzięki miksturze sporządzonej przez aptekarza śpi.

– Oto ów list, zachowałem jego kopię. Pani – rzekł konsul, zwracając się do Kamila Maupin – znasz wszystkie zasoby sztuki, wszystkie sztuczki stylu i wysiłki wielu pisarzy nie pozbawionych zręczności, ale uzna pani, że literatura nie umiałaby znaleźć takich kart w swoim sztucznym łonie! Nic nie jest równie straszliwe, jak prawda. Oto co pisała ta kobieta, a raczej ta boleść:

Panie Maurycy!

Wiem wszystko, co mógłby mi powiedzieć Pański wuj, nie widzi on jaśniej od mego sumienia. Sumienie jest w człowieku tłumaczem Boga. Wiem, że jeśli się nie pojednam z Oktawem, będę potępiona: taki jest wyrok religii. Prawo nakazuje mi bezwarunkowe posłuszeństwo. Jeśli mąż mnie nie odtrąci, wszystko jest w porządku, świat uważa, że jestem bez zmy, co bądź bym uczyniła. Tak, w małżeństwie to jest wzniosłe, że społeczeństwo uświęca przebaczenie męża; ale zapomniało, że trzeba, aby to przebaczenie było przyjęte. Z punktu widzenia religii, prawa, świata powinnam wrócić do Oktawa. Biorąc po ludzku, czyż nie jest okrucieństwem odmawiać mu szczęścia, pozbawiać go dzieci, wykreślać jego rodzinę ze złotej księgi parów? Mój ból, mój wstręt, moje uczucia, cały mój egoizm (bo wiem, że jestem egoistką), wszystko należy powieścić dla rodziny. Będę matką, pieszczoty moich dzieci osuszą mi łzy, Będę bardzo szczęśliwa, będę z pewnością szanowana, będę przejeżdżała dumna, bogata, w błyszczącym powozie! Będę miała służbę, pałac, dom, będę królową tyłu zabaw, ile tygodni w roku. Świat przyjmie mnie dobrze. Słowem, nie tylko wrócę w niebiosa patrycjatu, ale nawet z nich nie zstąpiłam. Tak więc Bóg, prawo, społeczeństwo, wszystko w porządku. „Przeciw komu się upierasz?” – powiadają mi z wysokości nieba, kazalnicy, trybunału i tronu, do którego dostojnego pośrednictwa uciekłyby się w potrzebie hrabia. Pański wuj opowie mi nawet o specjalnej łasce niebios, która spłynie w serce moje wówczas, gdy zaznam słodczy spełnionego obowiązku. Bóg, prawo, świat, Oktaw pragnął, abym żyła, nieprawdaż? Otóż, jeżeli nie ma innych przeszkód, moja odpowiedź przecina wszystko: Nie będę żyła! Wrócę bardzo biała, bardzo niewinna, gdyż będę spowita w całun, strojna nieskalaną białą śmierci. Nie ma w tym najmniejszego upór u m u ł a . Ten upór, o który mnie pan winił żartem, to u kobiety pewność, wizja przyszłości. Jeśli mój mąż pod wpływem miłości jest na tyle wzniosły, że chce o wszystkim zapomnieć, ja nie zapomnę! Czy zapomnienie zależy od nas?

Kiedy wdowa wychodzi za mąż, miłość czyni z niej dziewicę; zaślubiła człowieka, którego kocha; ale ja nie mogę kochać hrabiego. Wszystko tkwi w tym, rozumie pan? Za każdym razem, kiedy moje oczy spotkają jego oczy, będę w nich widziała swój błąd, nawet kiedy oczy męża będą pełne miłości. Wielkość jego przebaczenia będzie mi świadczyła o wielkości mej zbrodni. Spojrzenia moje, wciąż niespokojne, będą czytały niewidzialny wyrok. Będę miała w sercu wspomnienia, które będą walczyć z sobą. Nigdy małżeństwo nie zbudzi we mnie okrutnych rozkoszy, śmiertelnego szału namiętności; zabiję męża chłodem, porównaniami, które będzie odgadywał, mimo że będą ukryte na dnie mego serca. Och, w dniu, w którym w zmarszcze na czole, w osmuconym spojrzeniu, w niedostrzegalnym geście dojrzę jakąś mimowolną, zdławioną nawet wymówkę, nic mnie nie wstrzyma, legnę ze strzaskaną głową na bruku, który wyda mi się łaskawszy od mego męża. Podejrzliwość moja może się stać przyczyną tej okrutnej i słodkiej śmierci. Umrę może jako ofiara jakiegoś zniecierpliwienia Oktawa spowodowanego innymi sprawami, zmylona fałszywym podejrzeniem. Gorzej! objaw miłości wezmę może za objaw pogardy! Cóż za podwójna męczarnia! Oktaw będzie wciąż wątpił o mnie, ja o nim. Będę mu przeciwstawiała, zupełnie mimo woli, niegodnego rywala, człowieka, którym gardzę, ale który dał mi poznać rozkosze wyryte we mnie ognistymi rysami, rozkosze, których się wstydzę i o których pamiętam na wieki. Czyż dosyć odsłoniłam serce swoje przed Panem? Nikt nie zdoła mi dowieść, że miłość da się rozpocząć na nowo, bo ja nie chcę i nie mogę przyjąć niczyjej miłości. Młoda dziewczyna jest jak kwiat, który zerwano: ale kobieta występna jest jak kwiat, który zdeptano nogami. Pan kocha kwiaty, pan powinien wiedzieć, czy podobna jest naprostować tę łodygę, ożywić te zwiędłe kolory, wprowadzić soki w te delikatne kanaliki, których cała siła żywotna płynie z ich linii doskonale prostej... Gdyby jakiś botanik podjął tę operację, czy ów geniusz wygładziłby fałdy tej zmiętej sukienki? Gdyby odbudował kwiat, byłby Bogiem! Jeden Bóg może mnie odnowić! Piję gorzki kielich ekspiacji: ale pijąc go, straszliwie zgłębiłam tę prawdę: „Odpokutować nie znaczy wymazać”. W moim ustroniu, sama, jadłam chleb zwilżony łzami, ale nikt nie widzi mnie, jak go jem, jak płaczę. Wrócić do Oktawa znaczyłoby się wyrzec swoich łez, łzy moje byłyby dlań obrazą. Och, ileż cnót trzeba zdeptać – nie aby się oddać, ale aby się wrócić mężowi, którego się zdradziło! Któż je policzy? Jeden Bóg, bo On jeden jest powiernikiem i twórcą owych straszliwych skrupułów, od których pobledliby anieli. Pójdę dalej. Kobieta ma odwagę wobec męża, który nie wie nic; wkłada wówczas dziką siłę w swoje udanie, oszukuje, aby dać podwójne szczęście. Ale czy zobopólna świadomość nie jest upadlająca? Ja miałabym zmienić upokorzenia na szały? Czyż moja powolność nie wydałaby się w końcu Oktawowi rozpustą? Małżeństwo oparte jest na szacunku, na poświęceniach z jednej i z drugiej strony, ale ani Oktaw, ani ja nie będziemy się mogli szanować nazajutrz po naszym pojednaniu: on mnie pokala miłością starca do kurtyzany, ja będę cierpiała wiekuisty wstyd, że jestem rzeczą zamiast być damą. Nie będę w jego domu cnotą, ale rozkoszą. Oto gorzkie owoce błędu. Zaścieliłam sobie łóżko małżeńskie, w którym tarzałabym się po żarzących węglach, łóżko bez snu. Tutaj mam godziny spokoju, godziny w których zapominam, ale w Jego pałacu wszystko mi będzie przypominało płamę, która hańbi mą ślubną szatę. Kiedy tu cierpię, błogosławię swoje cierpienia, powiadam Bogu: „Dzięki!” Ale u niego będę pełna lęku, kosztując uciech, które mi się nie należą. Wszystko to, niech mi Pan wierzy, to nie jest rozumowanie, to poczucie duszy bardzo przestronnej, bo od siedmiu lat żłobi ją boleść. Czy mam wreszcie Panu uczynić to straszliwe wyznanie? Wciąż czuję, jak mi kasa łono dziecię poczęte w szale i rozkoszy, w wierze w szczęście, dziecko, które karmiłam siedem miesięcy, którym będę brzemienią całe życie. Gdyby nowe dzieci czerpały w mym łonie pokarm, piłyby łzy, które, zmieszane z mlekiem, zatrąłyby je... Mam pozory lekkomyślności, wydają się panu dzieckiem... Och, tak: mam pamięć dziecka, tę pamięć, którą odnajduje się na krawędzi grobu. Tak więc, widzi Pan, w tym pięknym życiu, któremu świat i miłość męża chcą mnie wrócić, nie ma ani jednej sytuacji, która by nie była fałszywa, która by nie kryła zasadzek, która by nie

otwierała przepaści, dokąd stoczyłabym się szarpana nielitościwymi głazami. Oto pięć lat wędruję po stepach swej przyszłości, nie znajdując dogodnego miejsca dla swego żalu, bo duszę mą wypełnia szczery żal. Na wszystko to religia ma swoją odpowiedź, umiem ją na pamięć. Te cierpienia, te trudności są moją karą, a Bóg da mi siłę zniesienia ich. To, widzi Pan, jest argument dla pewnych dusz, pobożnych, obdarzonych siłą, której mi brak. Między piekłem, w którym Bóg nie przeszkodzi mi błogosławić Mu, a piekłem u hrabiego Oktawa już wybrałam.

Jeszcze jedno słowo. Gdybym była młodą panną i miała dzisiejsze doświadczenie, mój mąż byłby tym, którego bym wybrała, ale to jest właśnie przyczyna mej odmowy: nie chcę się rumienić wobec tego człowieka. Jak to, ja będę wciąż na kolanach, a on będzie stał dumny! A jeśli zmienimy postawę, on wyda mi się godzien wzgardy. Nie chcę, aby się lepiej obchodził ze mną dla mego błędu. Anioł, który ośmieliłby się na pewne swobody, na które ludzie odważają się, kiedy są wobec siebie bez skazy, ten anioł nie istnieje na ziemi, jest w niebie! Oktaw jest pełen delikatności, wiem, ale nie ma w tej duszy (choćby była największa, to jest dusza człowieka) rękami nowego życia, które bym wiodła w jego domu. Niech Pan tedy przyjdzie powiedzieć mi, gdzie znajdę tę samotność, ten spokój, to milczenie przyjazne nieszczęściom bez ratunku; wszak mi Pan przyrzekł.

Skopiuwawszy list, aby zachować ten pomnik w całości, poszedłem na ulicę Payenne. Niepokój zwyciężył siłę narkotyku. Oktaw chodził jak szalony po ogrodzie.

– Niech pan na to odpowie – rzekłem, podając list. – Niech pan się stara uspokoić świadomą wstydlivością. To trochę trudniej niż podejść wstydlivością nieświadomą samej siebie, wydaną na łup przez ciekawość.

– Moja jest!... – wykrzyknął hrabia, którego twarz promieniała w miarę, jak czytał. Czując, że jego radość ma świadka, dał mi znak, abym go zostawił samego. Zrozumiałem, że nadmiar szczęścia, jak nadmiar bólu, podlega jednakim prawom; wyszedłem, aby przyjąć panią de Courteville i Amelię, które miały być tego dnia na obiedzie. Mimo całej urody panny de Courteville uczułem na jej widok, że miłość ma trzy oblicza i że kobiety, które budzą w nas miłość pełną, są bardzo rzadkie. Porównując mimo woli Amelię z Honoryną, widziałem więcej uroku w kobiecie występnej niż w czystej dziewicy. Dla Honoryny wierność nie była obowiązkiem, ale koniecznością serca, gdy Amelia miała wyrzec z pogodną twarzą uroczyste przysięgi, nie znając ani ich doniosłości, ani zobowiązań. Kobieta wyczerpana, wpółumarła, grzesznica, którą trzeba by odkupić, zdawała mi się wzniosła, drażniła wrodzoną szlachetność męczyzny, żądała od serca wszystkich jego skarbów, od siły wszystkich jej zasobów; wypełniała życie, wносиła w szczęście pierwiastek walki, gdy Amelia, czysta i pełna ufności, miała się zamknąć w sferze spokojnego macierzyństwa, gdzie przyziemność miała być poezją, gdzie duszy nie czekała walka ani zwycięstwo. Pomiedzy równinami Szampanii a śniegami Alp, pełnymi burz, ale wspaniałymi, któryż młody człowiek wybrałby wapienną i spokojną płaszczyznę? Nie, takie porównania są fatalne i niebezpieczne na progu merostwa. Niestety, trzeba poznać życie, aby wiedzieć, że małżeństwo wyklucza namiętność, że rodzina nie może się wspierać na burzach namiętności. Namarzywszy się o romantycznej miłości z jej niezliczonymi fantazjami, nasyciwszy się okrutnymi rozkoszami ideału, miałem przed oczyma skromną rzeczywistość. Cóż chcecie, uzalście się nade mną! Miałem dwadzieścia pięć lat, zwątpiłem o sobie, ale powziąłem męskie postanowienie. Wszedłem do pokoju hrabiego pod pozorem uprzedzenia go o przybyciu kucynek, ujrzałem go odmłodzonego blaskiem nadziei.

– Co tobie, Maurycy? – spytał uderzony zmianą mojej twarzy.

– Panie hrabio...

– Nie nazywasz mnie już Oktawem, ty, któremu będę winien życie, szczęście!

– Drogi Oktawie, jeśli zdołasz wrócić hrabinę jej obowiązkom, wystudiowałem ją dobrze... (Popatrzył na mnie tak, jak Otello musiał popatrzeć na Jagona, kiedy Jagonowi udało się wsą-

czyć w głowę Murzyna pierwsze podejrzenie.) Nie powinna nigdy mnie ujrzeć, nie powinna wiedzieć, że Maurycy był twoim sekretarzem, nie wymawiaj nigdy mego imienia, niech go jej nikt nie przypomina, inaczej wszystko byłoby stracone... Zamianowałeś mnie referendarzem, uzyskaj tedy dla mnie jakieś stanowisko za granicą, jakiś konsulat, i nie chciej już swatać mnie z Amelią... Och, bądź bez obawy – dodałem, widząc, że się wzdrygnął – dogram do końca swoją rolę...

– Biedne dziecko!... – rzekł, ujmując mnie za rękę, ściskając ją i wstrzymując łzy, które zwilżyły mu oczy.

– Dałeś mi rękawiczki – odrzekłem, śmiejąc się – ja ich nie włożyłem, oto wszystko.

Ułożyliśmy się wówczas, co mam robić wieczór w willi, dokąd udałem się niebawem. Było to w sierpniu, dzień był gorący, burzliwy, ale burza zawisła w powietrzu. Niebo podobne było do mosiądzu, zapachy kwiatów snuły się ciężko, czułem się jak w łaźni. Złapałem się na tym, że pragnąłem, aby hrabina wyjechała do Indii. Była w białej muślinowej sukience z niebieskimi kokardami, z gołą głową, w spadających na twarz puklach. Siedziała na drewnianej ławeczce pod drzewem. Nogi, wsparte na drewnianym taboreciku, wystawały odrobinę spod sukienki. Nie wstała, wskazała mi miejsce obok, mówiąc:

– Nieprawdaż, życie jest dla mnie bez wyjścia?

– Życie, które pani sobie stworzyła – rzekłem – ale nie to, które ja chcę pani stworzyć; bo jeżeli pani zechce, może pani być szczęśliwa...

– W jaki sposób? – rzekła. Cała jej osoba wyrażała pytanie.

– Pani list jest w rękach hrabiego.

Honoryna wyprężyła się jak spłoszona łania, uskoczyła o sześć kroków, uszła kawałek, przystanęła chwilę i w końcu usiadła sama w salonie, dokąd udałem się za nią, zostawiwszy jej czas na oswojenie się z tym pchnięciem sztyletu.

– Pan, przyjaciel! Powiedz pan, zdrajca, może szpieg mojego męża? (Instynkt kobiet dorównywa przenikliwości wielkich ludzi!)

– Trzeba było odpowiedzi na pani list, nieprawdaż? A tylko jeden człowiek mógł ją napisać... Odczyta pani tedy odpowiedź, droga hrabino, a jeśli pani nie znajdzie wyjścia po tej lekturze, szpieg dowiedzie pani, że jest przyjacielem; umieszczę panią w klasztorze, skąd władza hrabiego cię nie wydrze; ale nim do tego przyjdzie, wysłuchajmy przeciwnej strony. Istnieje prawo boskie i ludzkie, któremu nawet nienawiść winna być posłuszna, a które nakazuje nie potępiać nie wysłuchawszy. Dotąd sądziła pani rzecz jak dzieci, zatykając sobie uszy. Siedmioletnie poświęcenie ma swoje prawa. Odczyta pani tedy odpowiedź, jaką pani prześle mąż. Doręczyłem mu przez wuja kopię pani listu, a wuj zapytał go, jaką byłaby jego odpowiedź, gdyby żona napisała doń taki list. Tak więc nie zdradziła się pani. Poczciwiec sam przyniesie list hrabiego. Przy tym świętym człowieku i przy mnie, przez poczucie godności wobec samej siebie, powinna pani przeczytać; inaczej będzie pani kapryśnym i rozzłoszczonym dzieckiem. Uczyni pani to poświęcenie światu, prawu, Bogu.

Nie widząc w tym ustępstwie zamachu na swą wolność, Honoryna zgodziła się. Cała praca kilku miesięcy zbudowana była dla tej minuty. Ale czyż piramidy nie kończą się ostrzem, na którym siada ptak?... Hrabia pokładał wszystkie nadzieje w tej rozstrzygającej godzinie i doczekał się jej. We wspomnieniach całego mego życia nie znam nic straszliwszego niż wejście mego wuja o dziewiątej wieczór do tego saloniku Pompadour. Ta głowa, której srebrne włosy odbijały od czarnego stroju, ta twarz promieniejąca niebiańskim spokojem wywarły czarodziejski wpływ na Honorynę: uczuła niby chłodzący balsam na swoich ranach, oświecił ją odblask tej bezwiednie błyszczącej cnoty.

– Książd proboszcz od Blancs-Manteaux – rzekła Gobain.

– Czy przychodzisz, drogi wuju, z posłannictwem pokoju i szczęścia? – spytałem.

– Zawsze znajduje się spokój i szczęście słuchając przykazań Kościoła – odparł wuj, podając hrabinie następujący list:

Droga moja Honoryno!

Gdybyś była raczyła nie wątpić o mnie, byłabyś przeczytała list, który Ci przesłałem przed pięciu laty, byłabyś sobie oszczędziła pięciu lat daremnej pracy i wyrzeczeń, które mnie przyprawiały o rozpacz. Proponowałem Ci tam układ, którego punkty niweczą wszystkie Twoje obawy i czynią możebnym nasze pożycie. Wiele rzeczy sobie wyrzucam; przez tych siedem lat zgryzoty zrozumiałem wszystkie swoje błędy. Źle pojmowałem małżeństwo. Nie umiałem odgadnąć niebezpieczeństwa, wówczas gdy Ci groziło. Anioł był w moim domu. Pan powiedział mi: „Strzeż go dobrze!” – i Pan skarał moje płoche zadufanie w sobie. Nie możesz sobie zadać najłżejszego ciosu, aby nie ugodzić i mnie. Łaski dla mnie, droga Honoryno. Tak dobrze zrozumiałem Twoje skrupuły, że nie chciałem Cię sprowadzać do starego pałacu przy ulicy Payenne, gdzie mogę mieszkać sam, ale na który nie mógłbym patrzeć z Tobą. Z przyjemnością stoję inny dom w dzielnicy Saint-Honoré, dokąd w nadziejach swoich prowadzę nie kobietę zdobytą dzięki jej nieświadomości życia, nabytą mocą prawa, ale siostrę, która pozwoli mi złożyć na swym czole pocałunek, jaki ojciec daje co dzień ukochanej córce. Czy wyzujesz mnie z prawa, które umiałem zdobyć w dniach Twojej rozpacz, prawa czuwania z bliska nad Twymi potrzebami, przyjemnościami, nad całym Twym życiem? Kobiety mają swoje własne serce, zawsze pełne przebaczenia, serce matki. Ty nie znałaś innej matki prócz mojej, która byłaby Cię sprowadziła do mnie; ale w jaki sposób nie odgadłaś, że ja mam dla Ciebie i serce mojej matki, i serce Twojej! Tak, droga, moje przywiązanie nie jest ani małostkowe, ani zrzędne, ono jest z tych, które zgryzocie nie zostawiają czasu na osmucenie twarzy ubóstwianego dziecka. Za kogo Ty bierzesz towarzysza swego dzieciństwa, Honoryno, skoro sądzisz, że byłby zdolny przyjmując pocałunki dawane ze drżeniem, żyć między radością i niepokojem? Nie lękaj się, że będziesz musiała znosić lamentsy pełzającej namiętności; zapragnąłem Cię mieć przy sobie dopiero wtedy, gdym się upewnił, że potrafię Ci zostawić pełną wolność. Duma Twoja przecenia trudności; będziesz mogła brać udział w życiu brata albo ojca, bez cierpień i bez radości, jeśli zechcesz, ale nie spotkasz koło siebie ani szyderstwa, ani obojętności, ani niewiary w Twoje intencje. Ciepło, w którym będziesz żyła, będzie zawsze łagodne i równe, bez burz i bez nawałnic. Jeżeli później, zyskawszy pewność, że jesteś u siebie, jak byłaś w swojej willi, zechcesz wnieść w mój dom inne czynniki szczęścia, radości, rozrywek, rozszerzysz ich krąg wedle upodobania. Tkliwość matki nie zna ani pogardy, ani litości, czymże ona jest? Miłością bez pragnienia; otóż u mnie podziw skryje wszystkie uczucia, w których chciałabyś widzieć obrazę. W ten sposób będziemy mogli oboje zachować poczucie godności. Z Twojej strony życzliwość siostry, serdeczność przyjaciółki zdołają nasycić ambicję człowieka, który chce być Twoim towarzyszem, a tkliwość jego będziesz mogła mierzyć miarą wysiłków czynionych dla jej ukrycia. Żadne z nas nie będzie zazdrosne o przeszłość, mamy wszak oboje tyle rozsądku, aby patrzeć tylko przed siebie. Jesteś tedy u siebie, w swoim pałacu, jak byłaś przy ulicy Saint-Maur; nietykalna, samotna, zajęta, czym zechcesz, rządząca się własną wolą; ale będziesz miała w dodatku naturalną ochronę, którą zmuszasz w tej chwili do najszlachetniejszych wysiłków miłości; będziesz miała szacunek, który tyle przydaje blasku kobiecie, i majątek, który Ci pozwoli czynić tyle dobrego. Honoryno, kiedy zapragniesz niepotrzebnego rozgrzeszenia, poprosisz o nie; nie narzuci Ci go ani Kościół, ani prawo; będzie ono zależało od Twojej dumy, od Twego własnego popędu. Moja żona mogłaby się obawiać tego, co Ciebie przeraża, ale nie moja przyjaciółka i siostra, wobec której jestem obowiązany do najwyszukańszych względów. Widzieć Cię szczęśliwą będzie dla mnie wystarczającym szczęściem, wszak kosztowałem go przez te siedem lat. Ach, Honoryno, rękojmią mego słowa są wszystkie te kwiaty, które robiłaś, troskliwie przechowane, podlewane mymi łzami. Te kwiaty są, niby q u i p o Peruwian²², historią

²² Quipo Peruwian –peruwiańskie pismo węzłowe; były to kolorowe sznurki, rozmaicie łączone i wiązane, służące jako mnemotechniczny sposób utrwalenia dat, danych statystycznych itd.

naszej męki. Gdyby ten tajemny pakt nie odpowiadał Ci, drogie dziecko, prosiłem świętego człowieka, który się podjął, doręczyć ten list, aby nie dodał ani słowa na mą korzyść. Nie chcę zawdzięczać Twego powrotu ani grozie, jaką obudziłaby w Tobie religia, ani nakazom prawa. Chcę otrzymać jedynie od Ciebie samej to skromne i proste szczęście, o które Cię proszę. Jeśli zechcesz upierać się przy tym, aby mnie skazywać na smutne i wyzute z wszelkiego braterskiego uśmiechu życie, jakie wiodę od dziewięciu lat, jeśli zostaniesz w swej pustyni sama i niewzruszona, wola moja ugnie się przed Twoją. Bądź przekonana: tak samo nie zakłócę Twego spokoju, jak nie zakłóciłem go dotąd. Postaram się, aby wypowiedziano mieszkaniu półgłówkowi, który się wmieszał do Twoich spraw i który może sprawił Ci przykrość...

– Księżę proboszczu – rzekła Honoryna, kończąc list, który schowała za gors, i zwracając się do mego wuja – dziękuję i skorzystam z upoważnienia hrabiego, aby zostać tutaj...

– Och! – wykrzyknąłem. Wykrzyknik ten ściągnął na mnie niespokojne spojrzenie wuja oraz bystre spojrzenie hrabiny, które objaśniło mnie, co do jej pobudek. Honoryna chciała się przekonać, czy byłem komediantem i szpiegiem; miałem tę smutną satysfakcję, że oszukałem ją swoim wykrzyknikiem, jednym z owych krzyków serca, na których kobiety znają się tak dobrze.

– Och, Maurycy – rzekła – pan umiesz kochać!

Błyskawica załśniła w moich oczach, stanowiła ona nową odpowiedź, która byłaby rozproszyła niepokój hrabiny, gdyby go jeszcze zachowała. W ten sposób hrabia posługiwał się mną do ostatniej chwili. Honoryna wzięła list hrabiego, aby go dokończyć. Wuj dał mi znak, wstałem.

– Zostawmy panią – rzekł.

– Idzie już pan, panie Maurycy? – rzekła, nie patrząc na mnie. Wstała, udała się za nami, czytając ciągle, na progu ujęła mnie za rękę, ucisnęła ją bardzo serdecznie i rzekła:

– Zobaczymy się...

– Nie – odparłem, ściskając jej rękę tak, że omal nie krzyknęła. – Pani kocha męża. Jutro jadę.

I odszedłem spiesznie, zostawiając wuja, do którego rzekła:

– Co panu Maurycemu jest?

Biedny ksiądz dopełnił mego dzieła pokazując na głowę i serce, jak gdyby mówiąc: „Ma źle w głowie, niech mu pani wybaczy!”

Mówił większą prawdę, niż sam przypuszczał!

W tydzień potem wyjechałem z nominacją na wicekonsula w Hiszpanii do wielkiego handlowego miasta, gdzie mogłem w krótkim czasie przebyć szczyble kariery konsularnej, do której ograniczyłem swoje ambicje. Skoro się tam zagospodarowałem, otrzymałem list hrabiego:

Drogi Maurycy, gdybym był szczęśliwy, nie pisałbym do Ciebie, ale zacząłem nowe życie męczarni, stałem się z powrotem młodym pragnieniem, z całą niecierpliwością człowieka, który przekroczył czterdziestkę, z całym rozsądkiem dyplomaty, który umie miarkować swą namiętność. Kiedy Ty odjeżdżałeś, nie dopuszczono mnie jeszcze na ulicę Saint-Maur, ale list od niej przyrzekł mi rychłe pozwolenie. Był to melancholijny i łagodny list kobiety, która lęka się wzruszeń spotkania. Odczekawszy więcej niż miesiąc, ośmieliłem się pojawić spytawszy przez panią Gobain, czy Honoryna zechce mnie przyjąć.

Usiadłem w alei koło jej domu, ukryłem twarz w dłoniach i tak spędziłem prawie godzinę.

– Pani chciała się przebrać – rzekła Gobain, pragnąc ukryć niezdecydowanie Honoryny pod pozorami zaszczytnej dla mnie kokieterii. Przez dobry kwadrans wstrząsało nas nerwowe drżenie, równie silne jak to, które chwyta mówców na trybunie; wymieniliśmy tylko urywane zdania, jak ludzie zaskoczeni, którzy udają rozmowę.

– Widzisz, Honoryno – rzekłem z oczyma pełnymi łez – pierwsze lody pękły i tak drzę ze szczęścia, że powinnaś mi przebaczyć bezład moich słów. To będzie trwało długo!

– Nie ma w tym zbrodni, aby się kochać w swojej żonie – odrzekła, uśmiechając się z przymusem,

– Użycz mi tej łaski, abyś już nie pracowała jak wprzód. Wiem od pani Gobain, że żyjesz od trzech tygodni ze swoich oszczędności. Masz własnych sześćdziesiąt tysięcy franków renty; jeśli mi nie zwrócisz serca, nie zostawiaj mi przynajmniej swego majątku!

– Od dawna już – odrzekła – znam twoją dobroć...

– Gdybyś miała ochotę zostać tutaj – odparłem – i zachować niezależność, jeżeli najgorętsza miłość nie znajdzie łaski w twoich oczach, nie pracuj przynajmniej...

Podąłem jej trzy obligi, każdy na dwanaście tysięcy franków renty, wzięła je, rozwinęła obojętnie, a przeczytawszy, rzuciła mi tylko spojrzenie za całą odpowiedź. Zrozumiała, że ja nie pieniądze jej daję, ale wolność.

– Jestem zwyciężona – rzekła, podając mi rękę, którą ucałowałem – odwiedzaj mnie tak często, jak będziesz miał ochotę.

Tak więc przyjęła mnie jedynie przez gwałt zadany sobie. Nazajutrz zastałem ją opancerzoną w sztuczną wesołość; trzeba było dwóch miesięcy, nim pokazała prawdziwy charakter. Ale wówczas nastał rozkoszny maj, wiosna miłości, która dała mi niewymowne rozkosze; nie bała się już, obserwowała mnie. Niestety! Kiedy jej zaproponowałem, aby się udać do Anglii, zacząć w oczach świata wspólne życie, aby wróciła do swego stanowiska, zamieszkała w swoim nowym pałacu, chwycił ją lęk.

– Czemu nie zostać zawsze w ten sposób? – rzekła.

Poddałem się, nie mówiąc słowa. „Czy to doświadczenie?” – pytałem sam siebie, rozstając się z nią. Idąc od siebie na ulicę Saint-Maur, ożywiałem się, miłość wzdykała mi serce, powiadałem sobie, jak mówią młodzi ludzie: „Dziś wieczór może ulegnie...” – Cała ta sztuczna lub prawdziwa siła pierzchała za jednym uśmiechem, za jednym rozkazem tych dumnych i spokojnych oczu, których nie mąciła namiętność. To straszne słowo, któreś mi powtórzył: „Lukrecja napisała swoją krwią i sztyłem pierwsze prawo kobiety: wolność!” – przychodziło mi na pamięć, mroziło mnie. Czulem bezwzględnie, jak bardzo zezwolenie Honoryny było nieodzowne i jakim niepodobieństwem było wydrzeć je. Czy ona odgadywała burze, które mną miotają, zarówno kiedy wracał od niej, jak kiedy do niej szedłem? Przedstawiłem jej wreszcie swoje położenie w liście, nie mając odwagi o nim mówić. Honoryna nie odpowiedziała, zrobiła się tak smutna, że udałem, jak gdybym nie napisał był tego listu. Było mi strasznie przykro, że ją mogłem zmartwić; przeczytała to w moim sercu i przebaczyła mi. Dowiesz się jak. Trzy dni temu przyjęła mnie pierwszy raz w swojej sypialni, owej białej z niebieskim. Pokój był pełen kwiatów, strojny, rześście oświetlony, Honoryna przywdziała toaletę, w której było jej cudownie do twarzy. Włosy okalały lekkimi puklami te lica, które znasz; paproć stroiła głowę, miała białą muslinową suknię, białą szarfę z długimi bujającymi końcami. Wiesz, jak jej jest uroczo w takim prostym stroju; ale tego dnia to była panna młoda, to była Honoryna z pierwszych dni. Radość moja ostygła natychmiast, bo ta fizjonomia miała wyraz straszliwej powagi, ogień żarzył się pod tym lodem.

– Oktawie – rzekła – kiedy zechcesz, będę twoją żoną; ale wiedz, że to poddanie się ma swoje niebezpieczeństwa; mogę się zdobyć na rezygnację...

Uczyniłem gest.

– Tak – rzekła – rozumiem cię, rezygnacja cię obraża, ty chcesz tego, czego ja dać nie mogę: miłości! Religia, współczucie sprawiły, że odstąpiła od swych ślubów samotności, jesteś tutaj!

Przerwała chwilę.

– Zrazu – ciągnęła – nie żądałeś więcej, obecnie chcesz swojej żony. A więc oddaję ci Honorynę taką, jaką jest, i nie łudząc cię co do tego, czym będzie. Co się ze mną stanie? Zostanę

matką! Pragnę tego. Och, wierzaj mi, pragnę gorąco. Próbuj mnie przeobrazić, zgadzam się, ale jeśli umrę, mój drogi, nie przeklinaj mej pamięci i nie mień uporem tego, co ja bym nazwała kultem ideału, gdyby nie było prostsze nazwać owo nieokreślone uczucie, które mnie zabije, kultem boskości! Przyszłość mnie już nie obchodzi, ty bierzesz ją na siebie, zastanów się!...

Usiadła w owej pogodnej pozie, którą się tak zachwycęłaś, i patrzyła na mnie pobladłego z bólu, który mi sprawiła: krew mi zastygła w żyłach. Widząc skutek swoich słów, wzięła moje ręce, zatrzymała je w swoich i rzekła:

– Oktawie, ja cię kocham, ale inaczej, niż ty pragniesz być kochany; ja kocham twoją duszę... Ale wiedz o tym, kocham cię na tyle, aby umrzeć w twojej służbie jak niewolnica wschodnia i bez żalu. To będzie moja pokuta.

Zrobiła więcej: uklękła na poduszce przede mną i w przystępie szczytnego miłosierdzia rzekła:

– Ostatecznie, może i nie umrę?

Oto od dwóch miesięcy walczę. Co czynić? Serce mam zanadto przepełnione, potrzebuję serca przyjaciela, aby w nie rzucić ten krzyk:

– Co czynić?

Nie odpowiedziałem nic. W dwa miesiące później dzienniki oznajmiły przybycie na angielskim okręcie hrabiny Oktawowej, wróconej rodzinie po wydarzeniach podróży, opowiedzianych dość naturalnie, aby ich nikt nie podawał w wątpliwość. Kiedy przybyłem do Genui, dostałem kartę zawiadamiającą o szczęśliwym połogu hrabiny, która dała mężowi syna. Trzymałem list w rękach przez dwie godziny, na tej terasie, siedząc na tej ławce. W dwa lata później, nękany przez Oktawę, przez panów de Granville i de Sérisy, moich protektorów, przynębionych stratą wuja, zgodziłem się pojąć żonę.

W pół roku po rewolucji lipcowej otrzymałem następujący list, który oto macie i który kończy historię tego małżeństwa:

Panie Maurycy, umieram, mimo iż jestem matką, a może dlatego, że jestem matką. Dobrze odegrałam swą rolę kobiety: szczęście moje było równie szczere, jak łzy wylewane w teatrze przez aktorki. Umieram za Społeczeństwo, za Rodzinę, za Małżeństwo, jak pierwsi chrześcijanie umierali za Boga. Nie wiem, z czego umieram, szukam przyczyny z dobrą wiarą, bo nie jestem uparta, ale pragnę Panu odmalować swoją chorobę, Panu, coś mi sprowadził niebiańskiego chirurga, swego wuja. Poddałam się jego słowom, był moim spowiednikiem, pielęgnowałam go w ostatniej chorobie, ukazał mi niebo, nakazując dalej pełnić obowiązki. I pełniłam obowiązki. Nie potępiam tych, które zapominają; podziwiam je jako natury silne, potrzebne, ale ja mam kalectwo pamiętania! Tej miłości serca, która nas zespała z ukochaną istotą, tej miłości nie mogłam czuć dwa razy. Do ostatniej chwili, wie Pan o tym, krzyczałam Panu, krzyczałam w konfesjonale, memu mężowi: „Miejcie litość nade mną!...” Wszyscy byli bez litości. I ot, umieram. Umieram, rozwijając niesłychane męstwo. Nigdy żadna kurtyzana nie była weselsza ode mnie. Mój dobry Oktaw jest szczęśliwy, pozwalam jego miłości karmić się mirażami mego serca. W tej straszliwej grze zużywam swoje siły; aktorka zbiera oklaski, zachwyty, obsypywana jest kwiatami, ale niewidzialny rywal przychodzi co dnia po swoją ofiarę, po strzęp mojego życia. Rozdarta, uśmiecham się! Uśmiecham się do dwojga dzieci, ale starsze, umarłe, triumfuje! Mówiłam już Panu: umarłe dziecko zawoła mnie i ja idę do niego. Pożycie bez miłości to rola, w której dusza moja bezcześci się w każdej godzinie. Płakać albo oddać się swym marzeniom mogę tylko wówczas, kiedy jestem sama. Obowiązki światowe, dom, dziecko, szczęście Oktawa nie zostawiają mi ani chwili na to, aby się skrzepić, aby zaczerpnąć siły, jak to czyniłam w swej pustelni. Ustawiczna czujność sprawia, iż serce moje zawsze jest zaskoczony; nie umiałam wzwycząć duszy do tej czujności z nastą-

wionymi uszami, z kłamliwym słowem, z baczny wcięż okiem. To nie ukochane usta piją moje łzy i błogosławią moje powieki, to chustka je zbiera; to woda, a nie ukochane wargi, chłodzi moje rozpalone oczy. Gram komedię moją duszą i może dlatego umieram! Kryję zgryzotę tak troskliwie, że nie znać jej na zewnątrz; musi wszak coś toczyć, toczy więc moje życie. Powiedziałam lekarzom, którzy odkryli moją tajemnicę:

– Zróbcie, abym umarła z jakiejś prawdopodobnej choroby, inaczej pociągnęłabym do grobu męża.

Ułożyliśmy tedy wspólnie z panami Bianchon i Desplein, że umieram z rozmiękczenia jakiejś tam kości, którą nauka dokładnie opisała. Oktaw myśli, że ja go ubóstwiam! Czy Pan mnie dobrze rozumie? Toteż lękam się, aby nie poszedł za mną. Piszę do Pana z prośbą, abyś był w potrzebie opiekunem młodego hrabiego. Dołączam tu kodycył, w którym wyrażam tę prośbę; zrobi Pan z niego użytek, aż w chwili gdy będzie potrzebny, bo może ja sobie pochlebiam. Moje tajemne poświęcenie zostawi może Oktawa w rozpacz, ale żywym! Biedny Oktaw, życzę mu żony lepszej niż ja bo zasługuje na to, aby go kochać. Skoro mój duchowy szpieg się ożenił, niech pamięta to, co mu kwiaciarka z ulicy Saint-Maur przekazuje jako naukę: „Niech Pańska żona rychło zostanie matką! Wtrąć ją w najpospolitsze troski gospodarskie; nie pozwól jej hodować w sercu tajemniczego kwiatu ideału, niebiańskiej doskonałości, w którą ja wierzyłam, zaczarowanego kwiatu o płomiennych kolorach, którego wonie budzą wstręt do rzeczywistości. Ja jestem święta Teresa, której nie było dane karmić się ekstazą w mrokach klasztoru z boskim Jezusem, z aniołem nieskazitelny, skrzydlatym, iżby mógł przybywać i uciekać w porę. Widział mnie Pan szczęśliwą pośród moich ukochanych kwiatów. Nie powiedziałam Panu wszystkiego; widziałam miłość kwitnącą pod Pańskim udanym szaleństwem, kryłam Panu swoje myśli, swoje poezje, nie wpuściłam Pana do mego pięknego królestwa. A więc będzie Pan kochał moje dziecko dla mojej miłości, gdyby miało kiedy znaleźć się bez ojca. Niech Pan zachowa moje sekrety, tak jak grób je zachowa. Niech Pan nie płacze po mnie; od dawna już umarłam, jeżeli św. Bernard prawdę mówi, że nie ma życia tam, gdzie nie ma miłości.

– I – rzekł konsul, chowając listy i zamykając portfel na kluczyk – hrabina umarła.

– Czy hrabia żyje jeszcze? – spytał ambasador. – Bo od rewolucji lipcowej znikł z areny.

– Czy przypomina pan sobie, panie de Lora – rzekł generalny konsul – że widział mnie pan, jak odprowadzałem do statku...

– Człowieka o siwych włosach, starca? – rzekł malarz.

– Starca czterdziestopięcioletniego, jadącego szukać zdrowia, wrażeń do południowych Włoch. Ten starzec to był mój biedny przyjaciel, mój protektor, który przejeżdżał przez Genewę, aby się ze mną pożegnać, aby mi powierzyć swój testament... Mianuje mnie opiekunem swego syna. Nie potrzebowałem mu zwierzać życzenia Honoryny.

– Czy wiedział, że jest mordercą? – spytała panna des Touches barona de Hostal.

– Domyśla się prawdy – odparł konsul – i to go zabija. Zostałem parę chwil na statku, który go wiozł do Neapolu; barka miała mnie odwieźć z powrotem. Długo zatrzymały nas pożegnania, które, obawiam się, są ostatnie. Bóg wie, jak człowiek kocha powiernika swej miłości, kiedy tej, która ją budziła, już nie ma. Taki człowiek posiada, mówił mi Oktaw, czar, strojny jest jakby w aureolę. Skorośmy zeszli na dziób okrętu, hrabia popatrzył na Morze Śródziemne, przypadkowo było ładnie; zapewne wzruszony tym widokiem, rzekł mi te ostatnie słowa:

– W interesie natury ludzkiej czyż nie powinno by się dociec, co za nieprzeparta potęga każe nam poświęcać niebiańską istotę, wbrew naszemu rozumowi, dla najbardziej przelotnej rozkoszy?... Słyszałem w sumieniu swoim krzyki; Honoryna nie krzyczała sama. I chciałem tego!... Pożerają mnie zgryzoty! Umierałem przy ulicy Payenne z rozkoszy, których nie

kosztowałem!... We Włoszech umrę z tych, których zaznałem! Skąd bierze się ten dysonans między dwiema naturami, śmiem powiedzieć, jednako szlachetnymi?

Głębokie milczenie zaległo na terasie.

– Czy ona była cnotliwa? – spytał konsul dwóch kobiet.

Panna des Touches wstała, ujęła konsula za ramię, odciągnęła go o kilka kroków i rzekła:

– Czy mężczyźni też nie są winni, że zbliżają się do nas, że biorą młodą dziewczynę za żonę, zachowując w sercu anielskie obrazy, porównując nas z nieznanymi rywalkami, z doskonałościami zaczerpniętymi często nie z jednego wspomnienia i znajdując nas wciąż niższymi od ideału?

– Miałaby pani słuszność, gdyby małżeństwo wspierało się na miłości; i to był błąd dwojga istot, których niebawem już nie będzie. Małżeństwo z miłością, pełną miłością u obojga małżonków, to byłby raj.

Panna des Touches opuściła konsula i podeszła do Klaudiusza Vignon, który jej rzekł do ucha:

– Troszkę jest zarozumiały ten pan de l'Hostal.

– Nie – odszepnęła – nie domyślił się jeszcze, że Honoryna byłaby go kochała. Och! – rzekła, widząc nadchodzącą konsulową – żona słyszała wszystko, biedny człowiek!...

Wybiła jedenasta, goście wracali pieszo brzegiem morza.

– Wszystko to to nie jest życie – rzekła panna des Touches. – Ta kobieta to jeden z najrzadszych wyjątków, a może najpotworniejszy wyjątek inteligencji, perła! Życie składa się z rozmaitych wydarzeń, z przeplatających się bólów i rozkoszy. Raj Dantego, ten wzniosły wyraz ideału, ten nieustający błękit, znajduje się tylko w duszy, a żądać go od życia to rozkosz, przeciw której protestuje wciąż cała natura. Dla takich dusz wystarczy sześć stóp klasztornej celi i kłęznik.

– Ma pani słuszność – rzekł Leon de Lora. – Ale mimo iż jestem ladaco, nie podobna mi nie podziwiać istoty, zdolnej, jak ta kobieta, żyć tuż obok pracowni malarskiej na poddaszu, nie wyszedłszy ani razu, nie widząc żywej duszy, nie dotknąwszy stopą ulicznego błota.

– Widywało się to przez kilka miesięcy – rzekł Klaudiusz Vignon z głęboką ironią.

– Hrabina Oktawowa nie jest jedyną – odrzekł ambasador pannie des Touches.

– Pewien człowiek, nawet człowiek polityczny, jadowity pisarz, był przedmiotem podobnej miłości, a kula pistoletowa, która go zabiła, dosięgła nie tylko jego: ta, którą kochał, zamknęła się w klasztorze.

– Zdarzają się jeszcze wielkie dusze w naszej epoce! – rzekła panna des Touches, która stała przez kilka chwil oparta w zadumie o balustradę.

Paryż, styczeń 1843

BEATRIX

Przełożył
JULIAN ROGOZIŃSKI

POŚWIĘCONE SARZE²³

²³ S a r a – Angielka Sarah Lowell (1804–1883), żona hr. Guidoboni-Visconti, przyjaciółka Balzaka.

W pogodny czas, nad Morzem Śródziemnym, gdzie rozpościerało się ongi wytworne królestwo Twojego imienia, poprzez gazę wód morskich prześwituje niekiedy kwiat morski, arcydzieło natury: koronka nitek zabarwionych purpurą, ciemnym brązem, różowością, fioletem czy złotem, świeżość żyjącej plecionki, aksamitna tkanka – wszystko to wędnie, jeśli ktoś ciekawy wyjmie kwiat i położy go na piasku. Podobnie słońce rozgłosu obraziłoby Twoją niekłamana skromność. Winienem tedy, przypisując Ci to dzieło, zamilczeć nazwisko, które z pewnością stanowiłoby jego dumę, ale dzięki temu półmilczeniu Twoje prześliczne ręce będą mogły je pobłogosławić. Twoje szlachetne czoło pochyli się nad nim rozmarzone, Twoje oczy pełne macierzyńskiej miłości uśmiechną się doń, gdyż będziesz tu obecna i utajona zarazem. Jak owa perła flory morskiej, pozostaniesz na piasku gładkim, sypkim i białym, wśród którego rozkwita Twoje piękne życie, zasłonięte falą – przezroczystą jedynie dla kilku przyjaciół i dla kilku ludzi dyskretnych.

Pragnąłbym złożyć u Twoich stóp dzieło na miarę Twoich przymiotów; ale że to rzecz niemożliwa, spróbuję – na pociechę sobie – odwołać się do instynktu macierzyńskiego, powierając je Twojej opiece.

DE BALZAC

CZEŚĆ PIERWSZA

OSOBY

We Francji, a zwłaszcza w Bretanii, mamy dziś jeszcze kilka miast całkiem odsuniętych od ruchu społecznego, który nadaje dziewiętnastemu stuleciu jego fizjonomię. W braku stałej i szybkiej komunikacji z Paryżem miasta te, połączone z podprefekturą albo stolicą departamentu, siedzibą ich władz, zaledwie jakimś marnym traktem, spoglądają na nową cywilizację przeciągającą mimo nich i słuchają jej pogłosów, będąc jak gdyby na spektaklu: dziwią się i nie aprobują; i bądź dlatego, że się jej lękają, bądź że z niej kpią, dochowują wierności dawnemu obyczajowi, który pozostawił w nich głęboki ślad. Kto podróżując, zechciałby się zabawić w archeologa-moralistę i zamiast przyglądać się kamieniom obserwowałby ludzi, odnalazłby gdzieś na wsi prowansalskiej wizerunek czasów Ludwika XV, w głębi Poitou cofnąłby się w okres Ludwika XIV, a w zaściankach Bretanii spotkałby się z epoką jeszcze dawniejszą. Z większości tych miast opadła już świetność, o czym nie wspominają wcale historycy, bardziej zajęci faktami i datami niż obyczajem – a jednak wspomnienie o nich żyje nadal w pamięci, i tak na przykład Bretończyk, nie zatraciłszy swojego charakteru narodowego, nie dopuszcza, by zaginęło to, co dotyczy Bretanii. Niejedno z tych miast było stolicą państewka feudalnego, hrabstwa czy księstwa, które podbiła Korona albo podzielili spadkobiercy, kiedy wygasła linia męska. Głowy stały się rękami, gdy odebrano im możliwość działania. Ręka, pozbawiona soków życiodajnych, usycha i wegetuje. Jakoż od trzydziestu lat te wizerunki wieków dawnych zaczynają zacierać się i zanikać stopniowo. Nowoczesny przemysł, pracując dla mas, niszczy coraz częściej twory starodawnej sztuki, której produkcja była czymś całkiem osobistym, zarówno dla odbiorcy, jak dla rzemieślnika. Mamy f a b r y k a t y, nie mamy już d z i e ł. Do rzędu tych zjawisk retrospekcji zaliczają się też w połowie budynki historyczne. Dla dzisiejszego przemysłu monumentem historycznym jest kamieniołom, kopalnia saletry albo magazyn bawełny. Jeszcze kilka lat, i te dawne grody tak zmienią charakter, że spotykać je będziemy już tylko w ikonografii literackiej.

Guérande to jedno z owych miast, które zachowały bez jakichkolwiek zmian swoją fizjonomię feudalną. Sama ta nazwa obudzi tysiące wspomnień w pamięci artystów, malarzy i myślicieli mogących podążyć aż nad ocean, gdzie pyszni się ten wspaniały klejnot feudalizmu, wzniesiony jakby po to, by rozkazywać morskim namuliskom i wydmom, stanowiący wierzchołek trójkąta, w którego dwóch pozostałych kątach znajdują się dwa nie mniej cieka-

we klejnoty: Croisic i miasteczko Batz. Oprócz Guérande tylko Vitré w centrum Bretanii i Avignon na południu Francji zachowały wśród naszej epoki nienaruszony kształt średniowieczny. Dziś jeszcze Guérande opasują potężne mury, w szerokich fosach jest pełno wody, w blankach nie dojrzyś ani jednej szczyby, strzelnice nie zarosły krzakami, bluszcz nie rzucił swojego płaszcza na czworokątne lub okrągłe baszty. Są tu trzy bramy, w których widnieją pierścienie po bronach; dostaniesz się do miasta tylko po zwodzonym moście z belek okutych stalą; most ów nie podnosi się już, lecz mógłby się jeszcze podnosić. W roku 1820 posypały się gromy na radę miejską, która nad fosami posadziła topole, aby ocienić promenadę. Radni odpowiedzieli, że już sto lat temu piękną i długą esplanadę ciągnącą się od strony wydm na wałach fortecznych, jakby wczoraj wykończonych, przerobiono na planty ocienione wiązami, pod którymi mieszkańcy lubią zażywać chłodu. Domy nie podległy tu żadnej odmianie, nie wzrosły i nie zmały. Fasady żadnego z nich nie dotknął młot architekta ani pędzel tynkarza, żaden nie osłabł pod nadbudowanym piętrzem. Wszystkie zachowały swój pierwotny charakter. Kilka z nich spoczywa na drewnianych filarach wspierających krużganki, pod którymi krążą przechodnie; deski uginają się tu, lecz nie łamią. Kupcy mieszkają w domkach niskich, o fasadach obłożonych łupkiem. Drzewo, dziś już przeważnie spróchniałe, zespoliło się z rzeźbionymi obramowaniami okien; z poprzecznych belek wychylają się nad filarami dziwaczne twarze, belki wydłużają się na węglach niby fantastyczne zwierzęta tchnące wielką myślą sztuki, która podówczas umiała ożywić martwą materię. Te starocia, wytrzymałe na wszystko, wabią oko malarza brunatnymi tony i zatartym rysunkiem, które tak lubi pędzel. Ulice są tutaj takie same jak przed stu laty; że jednak ludność przerzedziła się mocno i osłabł ruch, podróżnik zaciekawiony tym miastem, pięknym jak starodawna, wybornie zachowana zbroja, będzie zwiedzał je nie bez melancholii, idąc ulicą niemal pustą i popatrując w okna, które zalepiono gliną, by nie płacić od nich podatku. Ulica ta kończy się warowną, zamurowaną w głębi bramką, nad którą wyrasta kępa drzew ułożona wykwinicie ręką przyrody bretońskiej, tak bujnej i hojnej, że niełatwo znalazłbyś podobną nawet we Francji. Malarz czy poeta siadają tu zadumani, rozkoszując się głęboką ciszą, jaka panuje pod nie zniszczonym jeszcze sklepieniem tej bramki, dokąd nie nadlatują żadne odgłosy spokojnego grodu i skąd poprzez strzelnice, przy których czuwali niegdyś łucznicy i kusznicy, rozpościera się w całej swojej świetności widok na kraj tak bogaty, że przypominają się witraże wyobrażające pola i lasy. Niesposób tu się przechadzać nie rozmyślając o zwyczajach i obyczajach minionego czasu, każdy kamień mówi tu o nich; pojęcia średniowieczne do dziś tkwią tutaj pod postacią zabobonu. Jeśli przypadkiem pojawi się żandarm w lamowanym kapeluszu, obecność jego stanowi anachronizm, przeciwko któremu buntuje się myśl nasza; ale najrzadziej spotkacie tu współczesną istotę albo współczesny przedmiot. W odzieży nawet nie dominuje moda dzisiejsza; to, co z niej przyjęli mieszkańcy, pasuje w pewnym sensie do ich zastygłych obyczajów i zmartwiałej fizjonomii. Rynek roi się od strojów bretońskich, charakterystycznych jak rzadko, które zjeżdżają rysować artyści. Biel płócien, które noszą solnicy, ludzie wydobywający sól ze słonych mokradeł, kontrastuje żywo z błękitem i brązem sukien chłopskich, z oryginalnymi ozdobami zachowywanymi przez kobiety, trzymające się świecie tradycji. Te dwie klasy, a także marynarze w kapotach i w kapelusikach z lakierowanej skóry, są nie mniej różne od siebie niż kasty w Indiach, szanują nadal dystans dzielący mieszczaństwo, kler i szlachtę. Tu wszystko jest wciąż jeszcze rozgraniczone; tu hebel rewolucji natrafił na masy zbyt sękaty i twarde, by je zrównać: wyszczerbiłby się tylko, jeśli nie złamał. Znajdziecie tu w ludziach cechę niezmienności, jaką natura wyposażyla gatunki zwierzęce. Toteż nawet po rewolucji listopadowej Guérande pozostało miastem oddzielnym, z gruntu bretońskim, żarliwie katolickim, cichym, skupionym, miastem, dokąd nowe idee mają trudny przystęp.

Zjawisko to tłumaczy się położeniem geograficznym. Nasz prześliczny gród rządzi salinami produkującymi sól zwaną w całej Bretanii solą z Guérande, a której wielu Bretończyków przypisuje wyborną jakość tutejszych sardynek i masła. Łączą go z Francją współczesną

tylko dwie drogi: jedna prowadząc przez Saint-Nazaire dochodzi do Savenay, miasta powiatowego, od którego zależy Guérande; druga wiedzie do Vannes, a stamtąd nad Morbihan. Komunikacja lądem odbywa się drogą powiatową, a morzem – z Saint-Nazaire do Nantes. Z drogi lądowej korzystają tylko urzędnicy administracji. Szybciej i częściej podróżuje się przez Saint-Nazaire. Owóz Guérande dzieli od tego miasta przestrzeń co najmniej sześciu mil, której nie obsługują dylizanse – i nie bez przyczyny: do karetki pocztowej nie wsiada i trzech pasażerów rocznie. Między Saint-Nazaire i Paimboeuf rozlewa się ujście Loary, na cztery mile szerokie. Mierzeje na Loarze czynią nawigację parostatków dość kapryśną, poza tymi zaś przeszkodami w roku 1829 na cyplu Saint-Nazaire nie istniała przystań; w miejscu tym, ozdobionym granitowymi rafy, oślizgłymi skały i olbrzymimi kamieniami służącymi za naturalną fortyfikację malowniczości kościołowi, podróżni musieli zbierać manatki i wskakiwać do czółen, jeśli morze było wzburzone, albo, przy pięknej pogodzie, podążać pieszo, hycając z głazu na głaz aż na molo, które podówczas budowali saperzy. Przeszkody te, niezbyt zachęcające amatorów, straszą może dziś jeszcze. Przede wszystkim administracja dokonuje swoich dzieł niespiesznie; ponadto mieszkańcy tych ziem, wyciętych na mapie Francji niby ząb i zawartych między Saint-Nazaire a miasteczkami Batz i Croisic, godzą się dość łatwo z tymi trudnościami, odstręczającymi obcych od ich kraju. Rzucone na skraj kontynentu, Guérande nie daje więc żadnych perspektyw i nikt tam nie przyjeżdża. Szczęśliwie z tego zapomnienia, troszczy się tylko o siebie. Ogromne ilości towaru – produkcja solin dostarczających skarbowi nie mniej niż milion podatku – przechodzą przez Croisic, miasto półwyspiarskie, które łączy z Guérande bądź dróżki wiodące wśród lotnych piasków (ścieżka wytyczona za dnia – zaciera się w nocy), bądź barki nieodzowne do przeprawy przez cieśninę, jaką utworzyły wody morskie wdarłszy się w piach nadbrzeżny; stanął tu port Croisic. A więc nasze urocze miasteczko to Herkulanum feudalizmu – Herkulanum bez całunu lawy. Wznosi się martwe, mając tę jedynie rację bytu, że go nie zburzono. Jeśli obejrzawszy pejzaż pełen solin przybędziecie do Guérande od strony Croisic, odczuwacie przejmujące wzruszenie na widok tych olbrzymich fortyfikacji, całkiem jeszcze nowych. W niemniejszym stopniu urzeknie was malowniczość położenia i naiwny wdzięk okolic, jeśli przyjedziecie od strony Saint-Nazaire. Kraj to wokół cudowny: ukwiecone żywopłoty, przewiercień, bukszpan, róże i inne piękne krzewy. Rzekłbyś, ogród angielski, narysowany ręką wielkiego artysty. Ramę tej bogatej przyrody, tak cichej i odwiedanej nieczęsto, choć wdzięcznej jak bukiet fiołków albo konwalia w leśnym gąszczu, stanowi pustynia afrykańska obrzeżona oceanem, lecz to pustynia bez drzew, bez traw i bez ptaków, na której w dni słoneczne solnicy w białym odzieniu, z rzadka rozsiani wśród posepnych mokradeł, gdzie warzy się sól, przypominają Arabów spowitych w burnusy. Tak to Guérande, ze swoim pięknym pejzażem lądowym, ze swoją pustynią, z portem Croisic po prawej, a miasteczkiem Batz po lewej, nie jest w niczym podobne do tego, co podróżni widują we Francji. Te dwa oblicza natury, tak kontrastowe, a zarazem tak zjednoczone w jednym z ostatnich obrazów życia feudalnego, robią silne, choć bliżej nie określone wrażenie. Miasto działa na duszę jak narkotyk na ciało; jest milczące jak Wenecja. Nie kursuje tu żaden pojazd publiczny prócz rozklekotanej bryki wożącej pasażerów, towar i listy z Guérande do Saint-Nazaire i z powrotem. Bernus, jej właściciel, jest od roku 1829 totumfackim tej wielkiej gminy. Jeździ, kiedy chce, zna go cała okolica, załatwia wszystkim interesy. Pojawienie się ekwipażu wiozącego jakąś damę przez Guérande do Croisic albo kilku panów, którzy cierpiąc na zastarzałą chorobę udają się do morskich kąpiel, skuteczniejszych, dzięki skałom półwyspu, niż kąpiele w Boulogne, Dieppe czy Sables, jest ogromnym ewenementem. Chłopi ściągają tu konno, większość przywozi w workach wiktuały. Sprowadza ich tu przede wszystkim, podobnie jak solników, nieprzemozna chęć kupienia klejnotów charakterystycznych dla tej kasty, którymi obdarowują swoje bretońskie narzeczone, tak samo jak białym płótnem albo sukniem, z jakiego szyje się tutejszy strój. Na dziesięć mil wokół Guérande to gród znakomity, gdzie podpisano traktat słynny w historii, klucz od wybrzeża, miasto pełne śladów – nie mniej

wyraźnych niż w miasteczku Batz – świetności, która dziś zagubiła się w pomroce czasów. Klejnoty, sukno, płótno, wstążki, kapelusze fabrykuje się gdzie indziej, ale dla wszystkich nabywców pochodzą one z Guérande. Każdy artysta, a nawet każdy mieszczuch, przejeżdżając przez Guérande doznaje, tak samo jak podróżny w Wenecji, krótkotrwałego zresztą pragnienia, by dokonać tu dni swoich w spokoju i ciszy, w czas pogodny przechadzając się od bramy do bramy po pięknych plantach, które od strony morza okalają miasto. Niekiedy obraz tego miasta powraca, stukając do świątyni wspomnień; powraca przystrojony wieżami, w pasie warownych murów; rozpościera suknię usianą pięknymi kwiatami, otrząsa płaszcz utkany ze złotych wydm, technie upajającą wonią ślicznych dróg, ciernistych, krętych i zdobnych niezliczonymi kępami drzew, które rozrzuciła tu ręka przypadku; zaprzęta was i przywołuje niczym boska kobieta, ujrzana przelotnie w dziwnym kraju, który mieści się w zakątku serca.

Nie opodal kościoła w Guérande stoi dom będący dla miasta tym, czym owo miasto jest dla swojej okolicy – dokładnym obrazem przeszłości, symbolem upadłej wielkości, poezją. Dom ten należy do najszlachetniejszej z tutejszych rodzin, do Guaisników, którzy w czasach du Guesclinów o tyle przewyższali ich fortuną i dawnością rodu, ile Trojanie przewyższali Rzymian. Guaisqlainowie (pisano ich również ongi du Glaicquinowie), z których zrobiono du Guesclinów, wywodzą się z Guaisników. Starzy niby granit Bretanii, Guaisnikowie nie są ani Frankami, ani Galami: są Bretończykami, a właściwie Celtami. Musieli być niegdyś druidami, zbierać jemiołę w świętych lasach i na dolmenach składać ludzi w ofierze. Nie warto zresztą dociekać, kim byli. Dziś ten ród, niegorszy od Rohanów – tylko że nie raczył przyjąć tytułu książęcego – potężny, nim wróble świergotały o przodkach Hugona Capeta, ta familia nie skażona żadnym mezaliansem, posiada ze dwa tysiące liwrów renty, dom własny w Guérande i zameczek du Guaisnic. Wszystkie włości zawisłe od baronii du Guaisnic, najpierwszej w Bretanii, przynoszą, puszczone w dzierżawę, około sześćdziesięciu tysięcy liwrów – mimo wadliwej gospodarki. Du Guaisnikowie nie zaprzestali zresztą być właścicielami swoich dóbr, ale że nie mogą zwrócić kapitału zdeponowanego u nich przed dwustu laty, nie otrzymują ani grosza, wszystko bowiem zabierają obecni wierzyciele. Są w sytuacji, jaką dla korony francuskiej stworzyli przed rokiem 1789 jej wierzyciele, odcinający kupony od kapitałów państwowych. Gdzie i kiedy baronowie znajdą milion, który niegdyś wypłacili im dzierżawcy? Przed rokiem 1789 lenna podległe zamkowi du Guaisnic, wznoszącemu się na wzgórzu, wartały jeszcze pięćdziesiąt tysięcy liwrów; ale Zgromadzenie Narodowe skasowało jednomyślnie podatek zwany należytościami na rzecz suzerena. Przy podobnym układzie stosunków rodzina ta, choć we Francji nie znaczy już nic, a w Paryżu stanowiłaby ogólne pośmiewisko, jest wszystkim w całej Bretanii i w Guérande. W Guérande baron du Guaisnic jest jednym z wielkich baronów Francji, należy do ludzi, nad którymi istnieje tylko jeden człowiek: król francuski obrany niegdyś wodzem. Dziś nazwisko du Guaisnic, jakże znaczące dla Bretończyka, nazwisko, którego korzenie ukazaliśmy zresztą w „Szuanach, czyli Bretanii w roku 1799”, przekreślono jak i nazwisko du Guaisqlain. Poborca podatkowy pisze, jak wszyscy, Guénic.

U końca cichej, wilgotnej i mrocznej uliczki, którą tworzą dwa rzędy domów o spiczastych dachach, widnieje łuk furtki na tyle wysokiej i szerokiej, by mógł pod nią zmieścić się jeździec na koniu; sama ta okoliczność wskazuje, że w czasach, kiedy ukończono ową budowlę, nie istniały powozy. Łuk ten, wsparty dwoma węgarami, jest z litego granitu. Drzwi dębowe, spękane jak i kora drzew, co dostarczyły na nie materiału, nabito olbrzymimi ćwiekami, które tworzą figury geometryczne. Łuk jest wydrążony. Oglądamy pod nim tarczę herbową du Guaisników tak wyraźną i czystą, jakby rzeźbiarz wykończył ją właśnie. Tarcza ta zachwycałaby amatora sztuki heraldycznej prostotą świadczącą o dumie i dawności rodu. Nie zmieniła się nic a nic od owego dnia, kiedy krzyżowcy świata chrześcijańskiego wynaleźli ten rodzaj symbolów, aby rozpoznawać się między sobą; Guaisnikowie nigdy jej nie dzielili, pozostała

w stanie czystym, jak klejnot domu francuskiego, odkrywany przez koneserów pośrodku albo na jednym z pól tarcz herbowych zdobiących najstarsze rody. Oto jaką tarczę możecie dotąd jeszcze oglądać w Guérande: na szkarłatnym polu ręka ze srebrnym mieczem wzniesionym pionowo – i dewiza groźna, choć zwięzła: *fac*²⁴ Czyż to nie wielkie i piękne? Baronowska korona góruje nad tą prostą tarczą, gdzie linie pionowe, którymi w rzeźbie zaznacza się szkarłat, do dziś błyszczą polerunkiem. Artysta nadał ręce ruch rycerski i dumny. Jak sprężyste dzierży ona miecz, którym ten ród posługiwał się jeszcze niedawno! Doprawdy, jeśli przeczytawszy tę historię pojedziecie do Guérande, nie zdołacie na widok tego herbu opanować drżenia. Tak, najzatarwadszego republikanina wrzuciłyby wierność, szlachetność i wielkość utajone w głębi tej uliczki. Du Guaisnikowie czynili dobrze wczoraj i są gotowi czynić dobrze jutro. Czyn to wielkie słowo rycerstwa. „Pięknych czynów dokonałeś podczas bitwy” – mawiał konetabl nad konetablę, wielki du Guesclin, który na pewien czas wypędził Anglików z Francji. Głęboki sens rzeźby, chronionej przed niepokodą wystającym okrągło łukiem, jest nierozłączny w duszy tego rodu z głębokim sensem moralnym dewizy. Cecha to wzruszająca dla każdego, kto zna du Guaisników. Przez otwartą furtkę widać dość obszerny dziedziniec, ze stajniami po prawej i kuchnią po lewej stronie. Pałac zbudowano z ciosowego kamienia – od fundamentów po strychy. Fasadę zdobi od dziedzińca ganek, na który z obu stron prowadzą schody; na podmurówce ganku widnieją gęste ślady rzeźb, które czas już zatartł, a jednak oko antykwariusza dojrzy pośrodku wyraźny zarys ręki dzierżącej miecz. U dołu tej wdzięcznej podmurówki, obramowanej zębrowaniami tu i ówdzie spękany, a tu i tam jakby wypolerowanej od starości, mieści się nisza, gdzie wylegiwał się ongi pies podwórzowy. W kamiennych poręczach powstały szczeliny, skąd wyziera trawa, kwiatuszki jakiegoś mech – tak samo jak spomiędzy kamiennych stopni, które czas obłuzował, lecz nie nadkruszył. Drzwi musiały być kiedyś bardzo gustowne. Jeśli można sądzić po zatartym deseni, rzezał je artysta wychowany w wielkiej szkole weneckiej trzynastego wieku. Dostrzegamy tam jakąś niezdecydowaną mieszaninę stylu bizantyjskiego i mauretańskiego. Góruje nad nimi półkolistą wypukłość, pełna roślin: bukiet różowy, żółty, brunatny lub niebieski, zależnie od pory roku. Drzwi dębowe, nabijane ćwiekami, prowadzą do obszernej sali, u której końca drugie drzwi wychodzą na takież ganek i na ogród. Sala jest cudem konserwacji. Boazerie, tworzące linię równą z parapetami okien, są z kasztanowca. Ściany pokrywa wspaniała skóra hiszpańska, ożywiona wypukłym wzorem – złocenia jednak wykruszyły się albo zrużniały. Plafon ułożono z desek łączonych artystycznie, malowanych i złoczonych. Złoto ledwie da się tam dostrzec, wykruszyło się jak i z kurdybanu, ale dojrzysz tam jeszcze kilka czerwonych kwiatów i trochę zielonego listowia. Gdyby ten plafon oczyścić, wystąpiłyby zapewne malowidła w guście tych, jakie zdobią plafon domu Tristana w Tours, co stanowiłoby dowód, iż owe deski zmieniano lub restaurowano za Ludwika XI. Kominek tu olbrzymi, kamienny, rzeźbiony i opatrzony gigantycznymi kozłami, wykutymi ze znakomitym kunsztem. Zmieściłyby się tam łącznie wasąg drzewa. Meble w tej sali są bez wyjątku dębowe, na oparciach widnieje herb rodu. Na ścianach wiszą trzy fuzje angielskie, dobre zarówno na wojnę, jak na łowy, trzy szable, dwie torby myśliwskie, a także inne przybory bądź łowieckie, bądź rybackie.

Obok znajduje się jadalnia połączona z kuchnią drzwiami w narożnej wieżycze. W rysunku fasady wychodzącej na dziedziniec wieżyczka ta odpowiada drugiej wieżycze, przylepionej do drugiego węgła, w której zbudowano kręte schody wiodące na wyższe piętra. Jadalnię obito tapiserią datującą się z XIV wieku, czego dowodem styl i ortografia napisów umieszczonych na banderolach pod każdą z osobistości; ale że napisy te odznaczają się jędrnością charakterystyczną dla języka przypowieści średniowiecznych, niesposób ich tu dziś zacytować. Tapiserie, dobrze zakonserwowane w miejscach, dokąd światło miało niewielki dostęp,

²⁴ *F a c* (łac.) – czyń.

ujęto ramami z rzeźbionego dębu, który szerniał jak heban. Plafon składa się z wystających belek ozdobionych bogatym ornamentem roślinnym: na każdej belce inny rodzaj liści; luki między belkami wypełniają deski malowane w girlandy złotych kwiatów, wijące się na błękitnym tle. Dwa sędziwe kredensy z serwantkami stoją naprzeciw siebie. Na półkach, które kucharka Maryśka pucuje z bretońskim uporem, oglądamy, jak i w roku 1200, czyli w czasach, kiedy bieda królów dorównywała akurat biedzie du Guaisników a.d. 1830, cztery stare kubki, starą brzuchatą wazę i dwie srebrne solniczki, następnie mnóstwo cynowych talerzy, mnóstwo kamionkowych kufli, niebieskich i szarych, z deseniem w arabeski, które otaczają herb du Guaisników, i z cynowymi pokrywami osadzonymi na zawiaskach. Kominek zmodernizowano. Stan jego dowodzi, że rodzina przesiaduje w tej sali od jakich stu lat. Kominek to kamienny, rzeźbiony wedle gustów epoki Ludwika XV, ozdobiony wysokim lustrem w cienkich złotych ramach z bisiorakami. Anachronizm obojętny mieszkańcom, który jednak zasmuciłby poetę. Na czerwonym aksamicie przykrywającym kominek stoi zegar szylkretowy, inkrustowany miedzią, a z dwóch jego stron dwa srebrne lichtarze dziwnego kształtu. Szeroki, czworokątny stół o pokrętnych nogach zajmuje środek komnaty. Krzesła obite gobelinem wykonał tokarz. Na okrągłym stole o jednej nodze, wyobrażającej winną latorośl, i przysuniętym do okna z widokiem na ogród, oglądamy szczególniejszą lampę. Jest to kula z ordynarnego szkła, trochę mniejsza niżli strusie jajo, która zwęza się w szklany trzon tkwiący w metalowym postumencie. Z górnego otworu wychyla się płaski knot; ujęty czymś w rodzaju miedzianego munsztuczka i złożony poniżej zygzakowato niczym soliter w słoju, ssie olej orzechowy, który wypełnia rzeczoną kulę. Okno z widokiem na ogród i okno z widokiem na dziedziniec są położone naprzeciw siebie i mają kamienne ramy o sześciokątnych szybkach wpuszczonych w ołów; udrapowano w nich firanki z lambrekinami i wielkimi chwastami, uszyte ze staroświeckiej jedwabnej materii, czerwonej o żółtych odcieniach, zwanej ongi burgatelą albo też brokatelą.

Na obu piętrach znajdują się tylko po dwa takie pokoje. Pierwsze piętro zajmuje głowa rodziny, drugie było przeznaczone niegdyś dla dzieci. Pod strychami ciągnęły się pokoje gościnne, na poddaszu mieszkała służba. Spiczasty dach, przybrany po rogach ołowiem, podtrzymywany smukłymi i delikatnymi wspornikami, których rzeźbę zżarły wyziewy salin unoszące się w powietrzu, zaleca się parą wspaniałych okien, jedno od strony dziedzińca – drugie od strony ogrodu, wyciętych w ostrołuki sięgające niemal do kalenicy. Nad koronkowym tympanem jednego z tych okien, podzielonych czterema kamiennymi filarkami, skrzypi na wietrze kurek szlachecki.

Nie zapomnijmy o pewnym szacownym i wielce naiwnym szczególe, który zaciekałby oko archeologa. Wieżyczka z krętymi schodami zdobi węgiel wysokiej szczytowej ściany, w której nie ma ani jednego okna. Schody prowadzą przez ostrołukowe drzwiczki na podwórko wysypane piaskiem, dzielące dom od ogrodu, do którego przybudowano stajnię. Zmierzając od ogrodu, napotkamy drugą wieżyczkę, pięciokątną, ażurową u góry i zdobną w latarenkę, podczas gdy jej siostra ma dach stożkowy. Oto jak owi przemili architekci umieli odmieniać symetrię. Na wysokości pierwszego piętra obie te wieżyczki łączy kamienny krużganek podparty jakby dziobami okrętu, na którym wyrzeźbiono ludzkie twarze. Zewnętrzny ten krużganek zdobi balustrada kowana z cudownym wykwinem i delikatnością. Następnie, u góry, ze ściany szczytowej, gdzie tuż pod kalenicą przebito tylko jedno owalne okienko, zwiisa ornament kamienny, wyobrażający baldachim, podobny do tych, jakie oceniają figury świętych w portalu kościoła. Z obu wieżyczek prowadzą na ów taras gustowne drzwi o łukach dwuspadowych. Tyle efektów umiała architektura trzynastego stulecia wydobyć z zimnej i nagiej płaszczyzny, jaką przedstawia ślepa ściana domu. Czyż nie widzicie kobiety przechadzającej się rankiem po tej galerii i spoglądającej ponad dachami Guérande, jak słońce rozświetla złoto piasków i jarzy się w tafli oceanu? Czyż nie zachwycacie się tym murem, u którego szczytu widnieją rzeźbione kwiaty, a na węglach para wieżyczek, jakby żłobkowanych?

Jedna z nich zaokrąglą się niespodzianie w jaskółcze gniazdo, drugą zdobią wdzięczne drzwi z gotyckim łukiem, nad którym wznosi się ręka dzierżąca miecz. Druga ściana szczytowa pałacu du Guaisników przylega do sąsiedniego domu. Harmonia poszukiwana z takim staraniem przez ówczesnych mistrzów zachowała się w fasadzie od dziedzińca, widzimy tu bowiem wieżyczkę podobną do wieżyczki ze schodami wewnątrz, a która łączy jadalnię z kuchnią; ale schody te sięgają tylko do pierwszego piętra, gdzie ukoronowaniem ich jest ażurowa kopułka, pod którą króluje czarna figura świętego Kalista.

W posesji tak starej ogród musi być bujny. Ma on z pół morgi, otaczają go mury przystrojone szpalerami; grzędy jarzyn, wokół których rosną konopie, uprawia sługa nazwiskiem Gasselin, doglądający również koni. Na końcu ogrodu jest altanka, a w niej ławka. Pośrodku wznosi się zegar słoneczny. Alejki wysypano piaskiem. Od ogrodu fasada nie ma wieżyczki, która odpowiadałaby wieżycze pnącej się po ścianie szczytowej. Brak ten uzupełnia kręta kolumnienka, w której tkwiła ongi chorągiew rodowa, na co wskazuje zardzewiały i potężny pierścień u wierzchołka, skąd sterczy pęk mizernej trawy. Charakter kolumnienki, zgodny z fragmentami rzeźby, dowodzi, że domostwo to budował architekt wenecki. Smukły ten filarek stanowi jakby podpis mówiący o Wenecji, rycerstwie i wykwiatach trzynastego wieku. Gdyby w tym względzie ktoś powziął wątpliwości, rozproszyłby je sam charakter ornamentu. Pałac du Guaisników zdobi koniczyna czterolistna, a nie trójlistna. Różnica ta wskazuje szkołę wenecką: architekci jej, skażeni wpływami wschodnimi, na poły mauretańscy, nie troszcząc się zbyt o wielką myśl katolicką, obdarzali koniczynę czterema listkami, podczas gdy architekci chrześcijańscy dochowywali wierności Trójcy. Z tego punktu widzenia fantazja weneccy była heretycka. Jeśli ten obraz podziałał na waszą wyobraźnię, zastanawiacie się może, czemu w obecnych czasach nie odnawiamy podobnych cudów sztuki. Dziś piękne pałace, sprzedawane i rozbierane, ustępują miejsca ulicom. Nikt nie wie, czy jego pokolenie zachowa swój dom rodzinny, dokąd każdy wchodzi jak do karczmy; dawniej natomiast, budując dom, pracowano, a przynajmniej wierzono, że pracuje się dla wieczystej rodziny. Stąd piękno pałaców. Wiara w siebie czyni cuda, tak samo jak wiara w Boga.

Rozkład i umeblowanie wyższych pięter możemy sobie wyimagować li tylko na podstawie opisu komnat parterowych, a także zapoznawszy się z obyczajami i fizjonomią mieszkańców. Od lat pięćdziesięciu du Guaisnikowie nie wpuścili nikogo poza obręb tych dwóch sal, tchnących – jak dziedzińiec i zewnętrzne akcesoria domu – duchem, wdziękiem i prostotą starej, szlacheckiej Bretanii. Gdybyśmy nie podali topografii i opisu miasta, nie odmalowali szczegółowo pałacu, przedziwne figury, z jakich składa się ta rodzina, byłyby zapewne gorzej zrozumiane. Toteż najpierw ramy, a potem portrety. Każdy pomyśli, że przedmioty zawładnęły tu ludźmi. Istnieją budowle, które wywierają widomy wpływ na osoby, żyjące w ich sąsiedztwie. Trudno być niereligijnym w cieniu takiej katedry jak w Bourges. Jeśli symbole co chwila przypominają duszy o jej przeznaczeniu, nie tak łatwo go wtedy chybić. Taki pogląd głosili nasi przodkowie, ale zarzuciło go pokolenie nie mające już ani godeł, ani dystynkcji, a którego obyczaje zmieniają się co dziesięć lat. Nie spodziewajcie się, że zastaniecie barona du Guaisnic z mieczem w ręce – inaczej wszystko tutaj byłoby kłamstwem.

W roku 1836, w momencie, kiedy zaczyna się niniejsza opowieść, na początku sierpnia, rodzina du Guaisnic składała się jeszcze z państwa du Guénic, panny du Guénic – starszej siostry barona – i z syna-jedynaka, liczącego dwadzieścia jeden lat, trojga imion Godberta Kalista Ludwika, według odwiecznej tradycji rodzinnej). Zmieniano tylko ostatniego patrona. Święci Godbert i Kalist byli zawsze i zawsze być mieli opiekunami Guéników. Baron du Guénic opuścił Guérande, kiedy Wandea i Bretania chwyciły za broń, i wojował pod takimi wodzami, jak Charette, Cathelineau, La Rochejaquelein, d'Elbée, Bonchamps i księżę de Loudon. Nim wyruszył, sprzedał wszystkie swoje dobra starszej siostrze, pannie Zefirynie du Guénic, dając tym jedyny dowód przezorności zanotowany w annałach rewolucyjnych. Po śmierci bohaterskich przywódców Zachodu baron, ocalawszy tylko cudem, nie pokłonił się

Napoleonowi. Wojował aż do roku 1802, kiedy to, o mało nie wpadłszy w zasadzkę, powrócił do Guérande, skąd udał się do Croisic, a następnie, wierny zastarzałej nienawiści Bretończyków do Anglii, wylądował w Irlandii. Mieszkańcy Guérande udawali, że nic nie wiedzą o istnieniu barona: przez dwadzieścia lat nikt nie popełnił najmniejszej niedyskrecji. Panna du Guénic inkasowała dochody i przysyłała je bratu za pośrednictwem rybaków. Pan du Guénic wrócił do Guérande w roku 1813 tak zwyczajnie, jak gdyby spędził parę miesięcy w Nantes. Bawiąc w Dublinie, nasz Bretończyk zakochał się, mimo lat pięćdziesięciu, w uroczej Irlandce, córce jednego z najszlachetniejszych i najbiedniejszych domów tego nieszczęśliwego królestwa. Miss Fanny O'Brien miała natenczas dwadzieścia jeden lat. Baron du Guénic pojechał po dokumenty konieczne do zawarcia mariażu, wrócił, aby ożenić się, i po dziesięciu miesiącach, z początkiem roku 1814, przybił znów do wybrzeży francuskich razem z żoną, która urodziła Kalista w tym akurat dniu, kiedy Ludwik XVIII zawitał w Calais; okoliczność ta tłumaczy, że dziecku dano imię Ludwik. Stary i lojalny Bretończyk ma w obecnym momencie siedemdziesiąt trzy lata; ale wojna partyzancka, jaką toczył z republiką, trudy poniesione w pięciu przeprawach łodzią rybacką, życie w Dublinie – zaciążyły nad jego głową: wygląda na starca przeszło stuletniego. Nigdy więc jeszcze żaden z du Guéników nie pasował bardziej do tego antycznego domostwa, zbudowanego w epoce, kiedy do Guérande zjeżdżał dwór królewski.

Pan du Guénic to starzec wysoki, chudy, zasuszony, żylasty; trzyma się prosto. Twarz pociągłą okrywa sieć zmarszczek, które, tworząc zawile fałdki pod oczyma i nad brwiami, upodobniają go do starców tak wypieszczonych pędzlem Van Ostade'a, Rembrandta, Mierisa i Gerarda Dow, że trzeba lupy, aby wizerunki te podziwiać należycie. Fizjonomia ta ginie jakby w licznych bruzdach, które pozostawiło życie pod otwartym niebem i nawyk obserwowania pól i lasów przy świetle słońca to wschodzącego, to zmierzającego. Niemniej obserwator dostrzeże niezniszczalne cechy ludzkiej twarzy, które mówią coś jeszcze o duszy, choćbyśmy nawet oglądali głowę umarłego. Suchy owal, zarys czoła, powaga rysów, równa linia nosa, cały układ twarzy, który mogą naruszyć tylko głębokie szramy, zwiastują niewyrachowaną i nieustraszoną odwagę, bezgraniczną wiarę, absolutne posłuszeństwo, bezkompromisową wierność i nieugiętą stałość w miłości. Uczłowieczył się w nim granit bretoński. Baron stracił już zęby. Wargi, dawniej szkarłatne, a dzisiaj sinawe, wsparte li tylko na zdrowych dziąsłach, którymi przeżuwa chleb – żona rozmiękcza go dlań starannie, owijając zwilżoną serwetką – choć mocno zapadły, potrafią wygiąć się lekko w uśmiechku groźnym i dumnym. Broda chętnie zesłaby się z nosem, lecz linia tego nosa z garbkiem pośrodku zdradza upór bretoński i bretońską energię. Skóra w czerwone plamy, przebijające spod zmarszczek, wskazuje na temperament sangwiniczny, gwałtowny, stworzony do trudów, które z pewnością uchroniły barona przed niejednym atakiem apopleksji. Nad czołem korona srebrzystych włosów, co rozdzielając się spływają puklami na ramiona. Twarz, dziś już przygasła, żyje blaskiem czarnych oczu, które, jarząc się w głębi brunatnych orbit, rzucają ostatnie płomienie duszy szlachetnej i prawej. Brwi i rzęsy powypadały. Naskórek, stwardniały już, nie może się rozprostować. Trudności związane więc z goleniem zmusiły starca, by zapuścił brodę, która układa się w wachlarz. W tym starym lwie bretońskim malarza zachwyciłyby nade wszystko szerokie bary, zwięzła pierś i wspaniałe ręce żołnierskie: takie ręce musiał mieć du Guesclin – szerokie, grube, włochate; ręce, które ujęły gardę miecza, aby, za przykładem Joanny d'Arc, odłożyć go dopiero w tym dniu, kiedy sztandar królewski załopotałby na katedrze w Reims; ręce te często drapał do krwi cierń gąszczy w Bocage, ręce te w Marais brały się do wiosel, by zaskoczyć Błękitnych, i kierowały żaglem na pełnym morzu, aby ułatwić przybycie Georges'a²⁵; ręce partyzanta, kanoniera, prostego żołnierza, wodza; ręce teraz białe, choć Burbo-

²⁵ Błękitnymi nazywano w okresie rewolucji francuskiej żołnierzy Republiki, którzy nosili niebieskie mundury: Georges [Cadoval] (1771–1804) – jeden z przywódców rojalistycznego rokoshu w Wandei i uczestnik spisku przeciw Napoleonowi w r. 1804.

nowie z linii starszej są na wygnaniu; przyjrząwszy się im jednak dobrze, zauważylibyście świeże ślady, które powiedziałyby wam, że niedawno baron odwiedził był Jej Księżęcą Mość²⁶ w Wandei. Ręce te są żyjącym komentarzem do pięknej dewizy, której nie uchybił żaden z du Guéników: *Fac!* Skronie zwracają uwagę złotawą karnacją kontrastującą z brunatnym kolorem czoła niskiego, wąskiego, upartego, które łysina powiększyła na tyle, by tej pięknej ruinie przydać jeszcze majestatu. Fizjonomię tę, skądinąd nieco przyziemną, bo i jakżeżby mogło być inaczej! – cechują, jak i wszystkich Bretończyków skupionych wokół barona, pozory dzikości, pierwotny spokój podobny do nieprzejednania Huronów, jakaś nieokreślona tępota, wynika zapewne z absolutnego spoczynku, który, następując po nadmiernych trudach, dozwala objawić się samemu tylko zwierzęciu. Myśl rzadko tu gości. Przypomina raczej wysiłek, ma swoją siedzibę nie tyle w głowie, ile w sercu, zmierza bardziej do czynu niż do idei. Ale badając tego pięknego starca z niesłabnącą uwagą, dojdziecie sekretu owej zasadniczej sprzeczności między nim a duchem jego czasów. Przekonania religijne i polityczne, by tak rzec wrodzone, zwolniły go od rozmyślań. Nauczył się swoich obowiązków, ucząc się życia. Instytucje, religia myślały za niego. Musiał więc zachowywać swój umysł – on i jego najbliżsi – dla działania, nie rozpraszając się na żadne sprawy, w jego mniemaniu bezużyteczne, którymi jednak zaprzętały się inni. Dobywał myśl z serca jak szpadę z pochwy, myśl olśniewająco czystą i czystą, niby mlecz na jego tarczy herbowej. Kiedy raz odkryjemy sekret, wszystko się wyjaśni. Zrozumiemy głębię postanowień, które zrodziła myśl jasna, wyraźna, otwarta i nieskalana. Zrozumiemy tę transakcję z siostrą, transakcję dokonaną z uwagi na wszystko: śmierć, konfiskatę, wygnanie. Piękna charakteru obojga starców, bo siostra żyła jedynie bratem i dla brata, nie zdołają już dziś w całej jego istocie pojąć ludzie hołdujący egoistycznym obyczajom, które uczyniły naszą epokę aż tak niepewną i niestałą. Archanioł, któremu nakazano by czytać w sercach tego rodzeństwa, nie doszukałby się tam ani jednej myśli nacechowanej sobkostwem. W roku 1814, kiedy pleban z Guérande napomknął baronowi du Guénic o wyjeździe do Paryża po nagrodę, stara panna, choć rada zagarniać wszystko dla rodziny, zawołała:

– Też coś! Czyż mój brat potrzebuje wyciągać rękę, jak żebrak?

– Pomyślano by, żem służył królowi dla interesu – dodał starzec. – A zresztą jego to rzecz przypomnieć sobie. Poza tym nasz biedny król ma dość ambarasu z tymi wszystkimi, którzy mu się naprzykrzają. Zanudzano by go nadal, choćby rozdał całą Francję po kawałku.

Ten wierny sługa, troszczący się tak szczerze o Ludwika XVIII. był pułkownikiem, miał order Ludwika Świętego i otrzymywał dwa tysiące franków emerytury.

– Król przypomniał sobie! – rzekł, kiedy doreczono mu jego patenta.

Nikt nie wyprowadził go z błędu. Sprawę tę załatwił diuk de Feltre na podstawie rejestrów armii wandejskiej, w których znalazł nazwisko du Guénic, a także kilka innych nazwisk bretońskich na ic. Toteż, jakby w podziękę królowi Francji, baron bronił Guérande, kiedy w roku 1815 bataliony generała Travot obiegły miasto, i za nic nie chciał oddać tej fortecy; a kiedy przyszło ją ewakuować, schronił się do lasu z bandą szuanów, którzy pozostali pod bronią aż do drugiego powrotu Burbonów. Guérande zachowuje do dziś w pamięci to ostatnie oblężenie. Gdyby nadciągnęły stare bandy bretońskie, wojna rozbudzona tym bohaterskim oporem rozgorzałaby w całej Wandei. Wyznać musimy, że baron du Guénic to gruntowny nieuk, lecz nieuk na sposób chłopski: umie czytać, pisać i po trosze rachować, zna sztukę wojenną i herbarz, ale poza swoim modlitewnikiem nie przeczytał w życiu i trzech książek. Ubiór jego, tu raczej nieobojętny, nigdy się nie zmieniał: grube buty, foluszowane pończochy, pludry z zielonawego aksamitu, sukienka kamizelka i surdut z wyłogami, do których przypina order Ludwika Świętego. Zachwycająca pogoda gości na tej twarzy. Baron, już od roku nawiedzany

²⁶ Jej Księżęca Mość – księżna de Berry (1798–1870), córka króla Neapolu, a żona ks. de Berry, drugiego syna Karola X, w okresie monarchii lipcowej (w r. 1832) próbowała wzniecić w Wandei powstanie przeciw Ludwikowi Filipowi na rzecz starszej linii Burbonów.

sennością, tym zwiastunem śmierci, przygotowuje się snadź do wiecznego spoczynku. Zaspia co moment, z dnia na dzień częściej, lecz owe drzemki nie przejmują niepokojem ani jego żony, ani ślepej siostry, ani przyjaciół, którzy nie mogą jednak szczycić się głębszą znajomością medycyny. Dusza pana du Guénic, nieskazitelna, lecz utrudzona, miewa wzniosłe chwile nieobecności, otoczenie zaś tłumaczy to sobie w sposób całkiem naturalny: baron spełnił obowiązek. Wszystko zawiera się w tych słowach.

W pałacu tym sprawą najwyższej wagi jest los linii wydziedziczonej. Przyszłość wygnanych Burbonów i przyszłość religii katolickiej, wpływ nowinek politycznych na Bretanię – oto czym zaprzęta się wyłącznie familia barona. Z powyższymi kwestiami łączy się tylko jeszcze jedna: miłość całej rodziny do Kalista, jedynaka, spadkobiercy, jedynej nadziei wielkiego domu du Guéników. Stary Wandejczyk, stary szuan, przeżywał kilka lat temu jak gdyby nawrót młodości, wdrażając syna w ryzykowne ćwiczenia, niezbędne dla szlachcica, którego w każdej chwili mogą wezwać na wojnę. Kiedy Kalist ukończył szesnaście lat, ojciec począł zabierać go na mokradła i do lasu, ukazując mu w uciechach polowania rudymenta wojny; świecił tu przykładem: odporny na znużenie, nieporuszony w siodle, pewny swojego strzału, jakkolwiek byłaby zwierzyna – czworonożna czy skrzydlata, nieustraszony w pokonywaniu przeszkód, pchał syna w niebezpieczeństwo, jakby mógł ryzykować życiem dziesięciorga dzieci. Toteż kiedy księżna de Berry zjawiła się we Francji, chcąc odwojować królestwo, ojciec zabrał syna ze sobą, aby Kalist wprowadził w czyn dewizę wypisaną na tarczy rodowej. Baron wyruszył nocą nie uprzedzając żony, gdyż ubłagałaby go może, Gasselin, jego jedyny wasal, pomknął za nim wesoło – i tak powiódł syna w ogień jakby na zabawę. Trzej mężczyźni przepadli bez wieści na pół roku, baronowa czytywała co dzień „Quotidienne”, drząc przy każdej linijce, stara ciotka trzymała się bohatersko, czoło jej bowiem nie zasępiło się przy tej głośniejszej lekturze ani razu. Trzy fuzje wiszące w wielkiej sali niedawno więc były w robocie. Baron, uznawszy ten zbrojny rokosz za bezużyteczny, wycofał się przed rozprawą pod Pénissière; inaczej dom du Guéników wygasłby zapewne.

Kiedy ojciec, syn i sługa, pożegnawszy Jej Księżęcą Mość, wrócili w noc wietrzną i słotną do domu, sprawiając niespodziankę najbliższym – baronowej i sędziwej panie du Guénic, co dzięki wyćwiczonemu słuchowi, właściwość wszystkich ślepców, rozpoznała kroki trzech mężczyzn w ulicze, a także przyjaciółom, niespokojnym, skupionym wokół okrągłego stolika, na który padał blask owej staroświeckiej lampy, baron, podczas gdy Gasselin rozwieszał na swoim miejscu fuzję i szablę, wyrzekł słowa pełne feudalnej prostoty: „Nie wszyscy baronowie spełnili swój obowiązek”, po czym, uściskawszy żonę i siostrę, rozsiadł się w starym fotelu i zawołał o wieczerzę dla Kalista, Gasselina i siebie. Gasselin osłaniając Kalista otrzymał w ramię cios szablą; rzecz tak zwyczajna, że panie zaledwie raczyły podziękować słudze. Baron i zebrana u niego kompania nie zlorzeczyli zwycięzcom ani też ich nie przeklinali. Milkliwość to cecha charakterystyczna dla Bretończyka. Czterdzieści lat nikt nigdy nie przyłapał barona na choćby jednym wzgardliwym słowie pod adresem wrogów. Niechże trudnią się swoim rzemiosłem, jak on spełnia swój obowiązek. Głęboka ta powściągliwość świadczy o niewzruszonej woli. Ów ostatni wysiłek, ów przebłysk gasnącej energii wywołał słabość, która nęka obecnie barona, ponowne zaś wygnanie familii Burbonów, cudem wypędzonej i cudem na tron przywróconej, przyprawia go o gorzką melancholię.

Około szóstej po południu, w chwili gdy zaczyna się nasza opowieść, baron, starym zwyczajem zjadłszy obiad o czwartej, zdrzemnął się właśnie, słuchając lektury „Quotidienne”. Głowa jego spoczęła na oparciu fotela – fotel stoi przy kominku, od strony ogrodu.

Baronowa, siedząca na starym krześle przy kominku, obok tego pnia sędziwego i sękatego, jest typową przedstawicielką owych prześlicznych stworzeń, które spotkasz li tylko w Anglii, Szkocji lub Irlandii. Tam jedynie rodzą się te śnieżnobiałe dziewczęta o złocistych lokach zwijanych ręką aniołów, bo światło niebiańskie splywa jakby po tych puklach, którymi igra wietrzyk. Fanny O'Brien należała do tych sylfid; pełna tkliwości, niezwyciężona w nieszczę-

ściu, łagodna jak jej melodyjny głos, czysta jak błękit jej oczu, zaleca się urodą subtelną, wytworną i wdzięczną, ciało ma w dotknięciu jedwabiste, pieści wzrok karnacją, której nie zdoła odmalować ani pędzel, ani słowo. A że piękna jest jeszcze w czterdziestym drugim roku życia, wielu mężczyzn patrząc na ów sierpień bujny, gorący i barwny, pełen owoców i kwiatów, chłodzony niebiańską rosą, poczytałoby sobie za szczęście, gdyby mogło ją poślubić. Baronowa trzyma gazetę w ręce wabiącej dołeczkami, w ręce o palcach podgiętych i paznokciach ściętych równo – jak u posągu antycznego. Na wpół leżąc na krześle – nie ma w tym przykrego zaniedbania lub afektacji – wysunęła stopy do przodu, by je ogrzać, i ma na sobie czarną aksamitną suknię, oziębiło się bowiem od paru dni. Obcisły stanik modeluje przepyszne ramiona i wydatną pierś, nic a nic nie zdeformowaną, gdyż wykarmiła tylko jedno dziecko. Włosy opadają w puklach – wzdłuż policzków – na angielską modłę. Włosy te, zwinięte po prostu na czubku głowy i przytrzymywane szylkretowym grzebieniem, nie są bynajmniej rudawe, lecz iskrzą się w słońcu niby plecionka z polerowanego złota. Baronowa splata loczki wijące się figlarnie na karku – znamię rasy. Ten prześliczny warkoczyk, ginąc wśród bujnych włosów, starannie podczesanych do góry, pozwala oku śledzić z rozkoszą łabędią linię szyi, osadzonej na pięknych ramionach. Szczegółik wskazujący nieustanną dbałość o toaletę. Zależy jej, aby cieszyć oko starca. Urocza i przemiła atencja! Kiedy ujrzycie kobietę roztaczającą w życiu domowym zalotny czar, który inne kobiety czerpią li tylko z uczucia, wiercie, że jest ona równie szlachetną matką, jak żoną, że stanowi radość i kwiat pożycia małżeńskiego, że pojmuje obowiązki niewieście, że wykwint postaci godzi się z urodą i tkliwością duszy, że pod sekretem czyni wiele dobra, że potrafi wielbić bez wyrachowania i że miłuje bliźnich, jak miłuje Boga, to znaczy dla nich samych. Jakoż wydaje się, że Dziewica z raju, opiekunka baronowej, wynagrodziła czystą miłość i świątobliwy żywot tej kobiety przy boku szlachetnego starca, otoczywszy ją czymś w rodzaju aureoli i strzegąc przed zębem czasu. Platon sławiłby zapewne tę przejrzłość, jako nowe wdzięki. Płeć jej, ongi śnieżna, nabiera ciepłych i perłowych tonów, jakie ubóstwiają malarze. Na wysokim i ładnie sklepionym czole odbija się miłośnie światło, uwydatniając atlasowe lśnienia. Oko turkusowe błyszczy pod łukiem jasnych, aksamitnych brwi niewysłowianą łagodnością. Powieki leciutko nabrzmiały i nieco wiotczące skronie budzą jakąś nieokreśloną melancholię. Pod oczami blade, matowe kręgi usiane są niebieskawymi żyłeczkami, które biegną ku nasadzie nosa. Nos ów, orli, cienki, ma w sobie jakąś królewskość, która przypomina o szlachetnym pochodzeniu tej kobiety. Wargi o czystym i pięknym wykroju rozjaśnia uprzejmy uśmiech, dyktowany nieprzebraną życzliwością dla świata. Ząbki są białe i drobne. Przytyła trochę, lecz nie ucierpiały na tym ani jej spadziste biodra, ani smukła talia. Jesień jej urody wydała więc kilka świeżych kwiatów zapomnianych wiosną i bogaty plon gorącego lata. Ramiona mają szlachetną krągłość, płeć jędrna i lśniąca zachwyca tkanką nad wyraz delikatną; kształty osiągnęły swoją pełnię. Na koniec twarz otwarta, pogodna, subtelnie zaróżowiona, oczy błękitne, których niewinność uraziłoby każde śmielsze spojrzenie, tchną nieprzebraną łagodnością i bezmierną słodyczą aniołów.

Z drugiej strony kominka stara panna, licząca lat osiemdziesiąt, podobna kubek w kubek do brata, słucha robiąc na drutach pończochę – praca, do której nie potrzeba wzroku – jak Fanny czyta gazetę. Ma na oczach bielmo, lecz mimo nalegań bratowej nie zgadza się z uporem na operację. Ona jedna zna tajemnicę tego uporu: obwiniając się o brak odwagi, nie chce, aby wydano na nią dwadzieścia pięć ludwików. Ekspens ten zubożyłby przecież rodzinę. A jednak bardzo by pragnęła spoglądać na brata. Uroda baronowej uwydatniała się prześlicznie na tle tych dwojga starców. Bo i któraż kobieta nie wydałaby się piękną i młodą siedząc między panem du Guénic i jego siostrą? Panna Zefiryra, ośleplszy już dość dawno, nie wiedziała, jakie zmiany osiemdziesiąty rok życia wprowadził w jej fizjonomii. Oczy w głębokich orbitach i w czerwonych obwódkach, zasnutę bielmem, znieruchomiałe i nie widzące, upodobały tę twarz bladą i zapadniętą do twarzy trupa, kilka wystoperczonych zębów czyniło ją

niemal groźną, a siwe kłaczki wschodzące na brodzie i w okolicy ust – niemal męską. Lico to spokojne i zimne okala czepeczek z brunatnego cycu, pikowany niby kapa, ugarniowany perkalową riuszką i związany pod brodą tasiemkami, zawsze przyrudziały. Panna Zefiryra nosi stale dwie spódnice: z wierzchu grubą, sukienną, pod spodem drugą – pikowaną; ten istny materac, kryjówkę jej złotych dublonów, obwiesza jeszcze kieszeniami przyfastrygowanymi do paska, które odpruwa co wieczór, a rankiem znów przyszywa; stanowią one nieodłączną część jej ubioru. Stanik obciska serdakiem popularnym w Bretanii, serdakiem z podobnego sukna co spódnica, ozdobionym kreską w tysiączne pliski, której pranie stanowi jedyny przedmiot sporu między panną Zefiryra a jej bratową, gdyż właścicielka chciałaby zmieniać ów kołnierzyk tylko raz na tydzień. Z grubych, watowanych rękawów serdaka wynurzają się przeguby wyschłe, lecz muskularne, u końca których poruszają się szybko ręce barwy czerwonawej, co podkreśla biel przedramienia, mającą odcień drzewa topolowego. Palce zrobiły się szponiaste, tak nawykły do drutów; działają jak warsztat trykotarski – aż dziw byłoby zobaczyć je w spoczynku. Od czasu do czasu panna du Guénic brała drut zatknięty na piersi i, wrażając go pod czepek, gmerała w siwych włosach. Ktoś obcy uśmiechnąłby się widząc, jak niefrasobliwie i bez obawy skaleczenia wpinała drut na dawne miejsce. Jest prosta jak dzwonnica. Ma w sobie wyniosłość kolumny, mogącą uchodzić za starczą kokieteryę lub jedną z jej odmian; dowodzi ona, że duma jest uczuciem koniecznym dla życia. Panna Zefiryra ma uśmiech wesoły; ona także spełniła swój obowiązek.

W chwili gdy baron zasnął, Fanny przerwała czytanie. Promień słoneczny, przesuwając się od okna do okna, dzielił złocistym pasem półmrok tej starej komnaty, niecąc ognie w meblach prawie czarnych. Światło lśniło na krawędziach rzeźbionego belkowania, igrało na skrzyniach, rozpościerało błyszczący obrus na dębowym stole, rozweselało to wnętrze ciemne i spokojne, a głos Fanny wlewał w duszę staruszki muzykę równie świetlistą i wesołą jak słońce. Niebawem promienie nabrały tonów czerwonawych, które subtelną gradacją przechodzą w melancholię zmierzchu. Wśród absolutnego milczenia, które stara panna dostrzegała już chyba od dwóch tygodni, starając się wytłumaczyć je sobie i nie pytając o nic, baronowa zapadła w poważną zadumę; niemniej panna du Guénic usiłowała poznać przyczynę tej troski, poznać na sposób ślepców, czytających jakby w czarnej księdze pisanej białymi literami. W duszy ślepeca bowiem wszystko znajduje odbicie, jak w echu proroczym. Ślepa staruszka, nad którą mrok nie miał już władzy, robiła dalej pończochę i zapadła cisza tak głęboka, że słychać było szcęk stalowych drutów.

– Upuściłaś, moja siostrze gazetę, choć nie śpisz – ozwała się chytrze staruszka.

Noc zapadła, Maryśka zapaliwszy lampę postawiła ją na czworokątnym stole, przed kominkiem, po czym przyniosła kądziel, kłębek nici, zydelek i siadła pod oknem od podwórza, przedąc pilnie, jak co wieczór. Gasselina, kręcąc się jeszcze po zabudowaniach gospodarskich, zajrzał do koni barona i Kalista, sprawdził, czy w stajni wszystko w porządku, dał dwóm pięknym psom myśliwskim wieczorną strawę. Psy zaszczekały wesoło, zmiłkły i potem niczyj głos nie budził już echa wśród czarnych murów starego domu. Te dwa psy i dwa konie były ostatnim śladem rycerskiej świetności. Człowiek obdarzony wyobraźnią, który siadłby na stopniach ganku i dał się ponieść poezji obrazów żywych jeszcze w tym domostwie, zdrżałby może słysząc, jak ujadają psy i postukują kopyta rżących koni.

Gasselina zalicza się do kmiotków bretońskich – kucych, ocieężałych, przysadzistych, czarnowłosych, śniadych, milkliwych, powolnych, upartych jak osły, ale zdążających zawsze wytkniętą im drogą. Ma czterdzieści dwa lata, dwudziesty piąty rok służy w tym domu. Panna du Guénic najęła piętnastoletniego Gasselina, dowiedziawszy się o mariażu i prawdopodobnym powrocie brata. Sługa ten uważa się za członka rodziny: wyniańczył Kalista, kocha tejsze konie i psy, przemawia do nich, dogadza im, jakby stanowiły jego własny dobytek. Nosi zimą i latem niebieską płócienną kapotę z kieszeniami, luźną na biodrach, kamizelkę i pantalon z tejże materii, niebieskie pończochy i grube, podkute buty. W dni mroźne lub deszczo-

we wkłada kozi tułub, używany powszechnie w tych stronach. Maryśka, osoba również po czterdziestce, jest po prostu żeńską odmianą Gasselina. Nie spotkałbyś lepiej dobranego zaprzęgu: wzrost i maść identyczne, takie same oczka – bystre i czarne. Licho wie czemu Maryśka i Gasselin nie poszli do ołtarza; może byłby to incest, wyglądali niemal na rodzeństwo. Maryśka zarabia trzydzieści dukatów, Gasselin – sto liwrow; lecz i tysiąc liwrow zasługi nie skłoniłoby ich do rozstania się z państwem du Guénic. Obojgiem dyrygowała stara panna, która od wojny wandejskiej aż do powrotu barona przywykła prowadzić dom. Toteż dowiedziawszy się, że brat przywiezie panią domu, przejęła się mocno, sądząc, iż będzie musiała oddać berło gospodarskie i abdykować na rzecz baronowej du Guénic, dla której stałaby się najpierwszą poddanką.

Panna Zefiryra doznała jak najmilszego rozczarowania: Fanny O'Brien okazała się dziewczyną stworzoną do najwyższych pozycji; brzydziła się nad wyraz drobnymi troskami związanymi z prowadzeniem ubożego gospodarstwa i, podobna w tym do dusz najpiękniejszych, przekładała suchy chleb nad przewyborny posiłek, który musiałaby sporządzić sama; zdolnej spełniać najcięższe obowiązki macierzyństwa, wytrzymałej na wszelkie konieczne prywacie, opadały ręce wobec pospolitych zajęć. Kiedy w imieniu swojej nieśmiałej żony baron poprosił Zefiryne, by nadal zarządzała domem, stara panna wycalowała baronową jak siostrę; uczyniła z niej swoją córkę i ją wielbić, szczęśliwa, iż może nadal czuwać nad prowadzeniem domu, którym władała stosując rygory i przepisy niewiarygodnej oszczędności, a godząc się na odstępstwa jedynie od wielkiego dzwonu – jak na przykład połóg, pożywienie dla bratowej i to wszystko, co dotyczyło Kalista, chłopca adorowanego przez całą rodzinę i służbę. Aczkolwiek para służących wdrożyła się w tę surową dyscyplinę i choć obojgu nie można było nic zarzucić, bardziej bowiem pilnowali interesów pańskich niż własnych, panna Zefiryra miała zawsze na wszystko baczenie. Nie była to bacność pozorna, nie oszukałbyś Zefiryry: nie wchodząc na strych, znała rozmiary ułożonego tam stosu orzechów, wiedziała, ile owsa pozostało w stajennej skrzyni, nie zanurzając w niej żyłastego ramienia. Serdak ściąga paskiem, u którego wisi na sznurku potężny gwizdek: Maryskę wzywa jednym gwizdnięciem, a Gasselina dwoma. Gasselin, to dla niego najwyższe szczęście, uprawia ogród, uzyskując piękne owoce i smaczne jarzyny. Ma tak mało roboty, że nudziłby się bez tego zajęcia. Kiedy rankiem nakarmi i oczyści konie, sprząta i froteruje podłogi w dwóch salach parterowych; nie przysparza mu to wiele kłopotu, gdyż „państwo nie brudzi”. W ogrodzie nie znalazłbyś zieliska i szkodliwych robaków choćby na lekarstwo. Stoi często nieruchomy, z gołą głową mimo skwarne słońca, tropiąc mysz polną albo groźne pędraki, po czym przybiega uradowany jak dziecko, aby pokazać państwu szkodnika, który pochłaniał jego uwagę cały tydzień. Lubi też w dni postne chodzić po ryby do Croisic, gdzie są one tańsze niż w Guérande. Tak to nie spotkałbyś ludzi lepiej rozumiejących się wzajemnie, zgodniejszych i solidarniejszych aniżeli u świątobliwa i szlachetna rodzina. Państwo i służba są tu jakby stworzeni dla siebie. Od dwudziestu pięciu lat nie wybuchła między nimi żadna sprzeczka czy kłótnia. Jedyne troski to niedomagania dziecka; jedyne dni grozy przeżyli z racji wypadków roku 1814 i 1830. Wszystko odbywa się tu niezmiennie i zawsze w tych samych godzinach, stół zależy od regularnego następstwa pór roku, monotonię tę jednak, przypominającą monotonię natury, urozmaicaną tylko przemianami dnia w noc i pogody w niepogodę, ożywia miłość, która włada we wszystkich tych sercach, miłość tym płodniejsza i bardziej dobroczynna, że wynika z praw przyrody.

Po zmroku Gasselin wszedł do komnaty, pytając z szacunkiem barona, czy będzie jeszcze potrzebny.

– Masz wychodne albo po modlitwie możesz iść spać – odpowiedział pan du Guénic, budząc się – chyba że jaśnie pani albo moja siostra...

Obie panie dały znak przyzwolenia. Gasselin ukląkł na podłodze, widząc, że państwo powstali, aby uklęknąć na krzesłach. Maryśka uklęknęła również na swoim zydelku. Sędziwa pan-

na du Guénic zmówiła głośno pacierz. Kiedy skończyła, ktoś zastukał do furtki. Gasselin poszedł otworzyć.

– To na pewno ksiądz proboszcz – rzekła Maryśka – zawsze przychodzi pierwszy.

Rzeczywiście, każdy poznał krok plebana z Guérande, dudniący na stopniach ganku. Ksiądz skłonił się z respektem trojgu gospodarzom, witając barona i dwie panie słowami pełnymi namaszczonej dystynkcji, jakie duchowni zawsze mają w zapasie. Baronowa odpowiedziała na to z takim roztargnieniem, że zatopił w niej wzrok z inkwizytorska-księży.

– Czyżby pani baronowa niepokoiła się czymś albo niedomagała? – spytał.

– Dziękuję za troskliwość, ale nic mi nie dolega – odrzekła.

Ksiądz Grimont ma lat pięćdziesiąt i jest średniego wzrostu. Spod obfitej sutanny wysuwają się grube trzewiki opatrzone srebrnymi klamrami, znad jej rabatu wygląda twarz tłuściutka, na ogół blada, lecz o złotawej karnacji. Rękę ma pulchną. Postać ta, całkiem już opacka, ma w sobie również coś z burmistrza holenderskiego, dzięki stonowanemu kolorytowi i rzeczonyj karnacji, a także z bretońskiego chłopca, o czym decydują czarne, przylizane włosy i ogień piwnych oczu, chociaż go przygasza *decorum*²⁷ kapłaństwa. Wesół, jak i wszyscy ludzie spokojnego i czystego sumienia, nie stroni od żartu. W zachowaniu jego nie dopatrzyłbyś się owej nerwowości i kanciatości, jakie cechują ubogich proboszczów, którym parafianie zaprzeczają prawa do bytu czy władzy: traktuje się tych księży jak wrogów, aczkolwiek, w myśl pięknej maksymy Napoleona, winni być przywódcami moralnymi ludności i sędziami pokoju wyznaczonymi przez naturę. Nawet największy niedowiarek spośród podróżnych, widząc, jak ksiądz Grimont przechadza się po Guérande, uznałby w nim udzielnego władcę tego katolickiego miasta, lecz ów suweren podporządkował był swój rząd dusz feudalnej supremacji du Guéników. Jest w tej komnacie kapelanem u swojego barona. W kościele, udzielając błogosławieństwa, wyciąga zawsze najsampierw rękę w kierunku kaplicy du Guéników, gdzie u szczytu sklepienia wyrzeźbiono ich klejnot i dewizę.

– Myślałem, że panna de Pen-Hoël już nadeszła – ozwał się pleban i siadając pocałował baronową w rękę. – Coś ostatnio niepunktualna. Czyżby moda na lekkomyślność była zaraźliwa? Bo jak widzę, pan kawaler znowu dzisiaj w Touches.

– Niech ksiądz aby nie wspomni o tych wizytach przy paninie de Pen-Hoël – zapowiedziała mu łagodnie Zefiryna.

– E, proszę panienki – wtrąciła Maryśka – czy panienka przyniesie ozory całemu miastu?

– I cóż mówią? – spytała baronowa.

– Młode panny, kumoszki, no, słowem wszyscy, myślą, że kocha się w paninie des Touches.

– Chłopak tak manierny jak nasz Kalist spełnia tylko swoją powinność, zdobywając serca – powiedział baron.

– O, panna de Pen-Hoël już idzie – ozwała się Maryśka.

Rzeczywiście, piasek na dziedzińcu szeleścił pod lekkim krokiem tej osoby, której towarzyszył lokajczyk przyświecając latarnią. Ujrawszy lokajczyka, Maryśka przeniosła się z robotą do dużej sali, by pogawędzić z nim przy żywicznym stoczku, bo pałac go na koszt bogatej i skąpej panny de Pen-Hoël przysparzała oszczędności swoim państwu.

Panna ta, zasuszona i cienka, żółta jak pergamin olim, pomarszczona niby jezioro na wietrze, szarooka, dość niska, nieco przygięta, a może i garbata, ma rękę męską i potężną, wystające zęby; ale nikogo nie ciekawia ani przymioty, ani wady jej urody. Odziana w guście panny du Guénic, wprawia w ruch olbrzymią ilość halek i spódnic, jeśli którymś z otworów sukni zamierza sięgnąć do jednej z mnogich kieszeni. Spod owych płócien i welen dobywa się wtedy przedziwny klekot monet i kluczy. Ma zawsze z jednego boku całe żelastwo skrzętnej gospośi, a z drugiego srebrną tabakierkę, napaśtek, druty do robienia pończoch oraz inne

²⁷ *Decorum* (łac.) –godność, względy przyzwoitości.

brzęczące utensylia. Nie nosi, jak panna du Guénic, pikowanego czepka, lecz kapelusz, w którym z pewnością dogląda swoich melonów; przeszedł on – niby dojrzewający melon – od zieleni do jasnej żółtości, co zaś do jego fasonu, to po dwudziestu latach moda znowu wprowadziła w Paryżu podobne kapelusze, pod nazwą budek. Kapelusz ten sporządzają pod okiem panny Jacynthy własnoręcznie jej siostrzenice, używając zielonej tafty, kupowanej w Guérande, i drucianego szkieletu, który właścicielka zmienia co pięć lat, nabywając go w Nantes i przyznając mu trwałość Izby Deputowanych. Siostrzenice szyją jej również suknie skrajane według niezmiennych patronów. Stara panna wspiera się na laseczce z zakrzywioną rączką; laskami takimi posługiwały się kobiety w pierwszych latach panowania Marii Antoniny. Należy do najstarszej szlachty bretońskiej. W herbie ma gronostaj dawnych diuków. Na niej i na jej młodszej siostrze wygasa znakomity dom bretoński Pen-Hoëlów. Siostra jej poślubiła jednego z Kergarouëtów, który nie zważając na dezaprobatę tutejszego ziemiaństwa złączył dwa nazwiska, każąc nazywać się wicehrabią de Kergarouët-Pen-Hoël. – Bóg go skarał – mawiała stara panna – ma tylko córki, i ród Kergarouëtów-Pen-Hoël wygaśnie. – Panna de Pen-Hoël posiada około siedmiu tysięcy liwów renty z kapitału ulokowanego w majątkach ziemskich. Pełnoletnia od trzydziestu sześciu lat, administruje osobiście swoimi dobrami, jeździ tam konno na inspekcję i w każdej sprawie wykazuje stanowczość znamiennej dla większości garbusów. Skąpstwem jej zachwycają się na sześć mil wokół, nigdy nie spotkało się ono z najlżejszą choćby przyganą. Trzyma jedną służącą i znanego nam już lokajczyka. Ekspens jej, nie licząc podatków, nie wynosi nawet i tysiąca franków rocznie. Toteż przymilają się do niej Kergarouët-Pen-Hoëlowie, którzy zimę spędzają zawsze w Nantes, a lato w swoich włościach położonych nad Loarą, poniżej Indret. Wiadomo bowiem, że skłania się zapisać swój majątek i oszczędności tej spomiedzy siostrzenic, którą sobie upodoba. Jacyntha de Pen-Hoël, przyjaciółka Zefiryny du Guénic, wzrósłszy w uwielbieniu dla świętości bretońskiej du Guéników, umyśliła sobie w dzień urodzin Kalista przekazać mu swój majątek żeniąc go z siostrzenicą, której spodziewała się od wicehrabiny de Kergarouët-Pen-Hoël. Zamierzała odkupić któryś z najlepszych majątków rodowych barona, splacając dzierżawców. Kiedy skąpstwo wyznaczy sobie cel, przestaje być wadą, zaczyna wieść do cnoty, nadmierne prywacje odmieniają się w nieustającą ofiarę, ukryte pod małostkowością intencje nabierają wielkości. Może Zefiryna знаła sekret Jacynthy. Może baronowa, pochłonięta li tylko miłością do syna i serdecznym afektem dla ojca, odgadła to i owo widząc, z jak chytrym uporem panna de Pen-Hoël przeprowadza co dzień swoją piętnastoletnią faworytkę, Szarlotę de Kergarouët. Ksiądz Grimont, na pewno w rzecz wtajemniczony, dopomagał starej paninie lokować z korzyścią pieniądze. Ale choćby panna de Pen-Hoël miała trzysta tysięcy franków w złocie – na taką sumę szacowano jej oszczędności – choćby posiadała dziesięć razy więcej ziemi, du Guénikowie nie pozwoliliby sobie na żaden odcień atencji, z którego zdołałaby wnieść, że myślą o jej fortunie. Powodując się uroczą dumą bretońską, Jacyntha de Pen-Hoël, szczęśliwa z feudalnej supremacji, którą miała nad nią stara jej przyjaciółka Zefiryna i du Guénikowie, okazywała stale, że czuje się zaszczycona wizytami, z jakimi od czasu do czasu raczą wybierać się do niej córka królów irlandzkich i Zefiryna. Kryje się nawet starannie z ofiarą, na jaką zgadza się co wieczór: pozwala przecież lokajczykowi palić u du Guéników *oribus*, ową świeczkę barwy piernika, używaną w niektórych prowincjach zachodnich. Owóż ta stara i bogata panna jest uosobieniem szlachetności, dumy i wielkości. W chwili kiedy oglądacie jej wizerunek, dowiadujemy się dzięki drobnej niedyskrecji księdza Grimont, że tegoż wieczora, kiedy ku przerażeniu Fanny i nieopisanej radości Bretończyków stary baron, Kalist i Gasselin, uzbrojeni w karnardierę i szablę, ruszyli do Wandei, aby połączyć się z oddziałami Jej Książęcej Mości, panna de Pen-Hoël wręczyła baronowi dziesięć tysięcy liwów złotem – olbrzymia ofiara, wsparta jeszcze drugimi dziesięcioma tysiącami, pochodzącymi z dziesięcin zebranych przez plebana, które baronowi, jako dawnemu wandejczykowi, zlecono ofiarować matce Henryka V w imieniu Pen Hoëlów i parafii Guérande. Jednakowoż traktowała Kalista tak, jakby rościła

sobie don jakieś prawa; rzeczony plany upoważniały ją do czuwania nad nim nic dlatego, by odnosiła się do miłostek z pruderią – wyznawała w tych kwestiach pobłażliwość starej kobiety wychowanej za *ancien régime*'u²⁸ – ale brzydziła się obyczajami rewolucyjnymi. Kalist zyskałby może w jej oczach romansując z Bretonkami, ale straciłby znacznie, gdyby skłonił się ku tak zwanym przez nią nowinkom. Panna de Pen-Hoël wygrzebałaby trochę pieniędzy, aby zamknąć usta uwiedzionej dziewczynie, ale uznałaby Kalista za hulakę, gdyby prowadził *tilbury*²⁹ i wspominał o wyjeździe do Paryża. Nie wiadomo, czym by się skończyło, gdyby przyłapała go na czytaniu bezbożnych periodyków i gazet. Dla niej nowe poglądy to płodzmian i głęboka orka, to ruina zwana melioracją i metodą, to wreszcie – prędzej czy później – majątek obciążony hipotecznym skutkiem eksperymentów. Dla niej mądrość – to skuteczny sposób zbijania fortuny; dla niej dobra administracja polega na tym, by gromadzić w spichrzach grykę, żyto i konopie, by czekać zwyczajki, choćby miano jej nawymyślać od lichwiarek, by sypiać wytrwale na workach. Szczególnym zrzędzeniem zdarzały jej się często pomysłyne spekulacje, utwierdzając ją w tych zasadach. Uchodziła za chytrą, będąc przynajmniej nieinteligentną; ale była przy tym systematyczna jak Holender, roztropna niby kotka i wytrwała niczym ksiądz – przymioty, które w tych okolicach, jakże hołdujących szablonowi, wartają tyle, co najgłębszy rozum.

– Czy przyjdzie pan du Halga? – zagadnęła stara panna, zdejmując, po wymianie zwykłych powitań, wełniane mitenki robione na drutach.

– Przyjdzie, proszę pani. Widziałem, jak na plantach spacerował ze swoją suczką – odpowiedział pleban.

– No, to nasz pamfil będzie dziś ożywiony! – ucieszyła się. – Wczoraj było nas tylko czworo.

Na te słowa pleban wstał i wydobyl z szuflady w komodzie okrągły koszyczek z cieniutkiej wikliny, liczmany z kości słoniowej, tak poźółkłe skutkiem dwudziestoletniego użycia, że przypominały barwą tytoń turecki, i talię kart tak wytłuszczonych, jakby grywali nimi celnicy z Saint-Nazaire, którzy zmieniają je tylko raz na dwa tygodnie. Rozłożył na stole liczmany przypadające na każdego gracza, postawił koszyczek pośrodku, obok lampy, czyniąc to wszystko z dziecięcym pośpiechem i z wprawą, która świadczyła, że zawsze spełniał tę drobną przysługę. Mocne stukanie, tak zwykli stukać wojskowi, rozbrzmiało w cichych głębokościach starego dworu. Lokajczyk wstał i z powagą skierował się ku drzwiom. Po chwili w półmroku, jaki zalegał jeszcze ganek, zarysowała się wysoka sylwetka. Był to kawaler du Halga, eks-kapitan spod bandery admirała de Kergarouët, chudy, opatulony metodycznie – w zależności od zmian pogody.

– Przybywaj, rycerzu! – zawołała panna de Pen-Hoël.

– Wszystko już gotowe – dodał ksiądz.

Kawaler jest człekiem chorowitym, odziewa się we flanelę, bo cierpi na reumatyzm, nosi czarną jedwabną myckę, aby zabezpieczyć głowę od mgły, i spencer, którym chroni swój szacowny tors od porywistych wiatrów oziębiających powietrze w Guérande. Przechadza się zawsze uzbrojony w trzcinkę ze złotą gałką, aby odpędzać psy sunące w niewczesne zaloty do jego ukochanej suczki. Drobiazgowy niczym wykwintnisia, zniechęcający się najmniejszą przeszkodą, mówiący cicho dla oszczędzania resztek głosu, był ongi jednym z najbardziej nieustraszonych i najcześniejszych oficerów naszej dawnej marynarki. Bajliw de Suffren zaszczycał go swoją estymą, a hrabia de Portenduère – przyjaźnią. Świetne jego czyny z czasów, kiedy był kapitanem pod banderą admirała de Kergarouët, widnieją znaczone głębokimi głoskami na twarzy całej w bliznach. Ale teraz nikt nie poznałby głosu, co zagłuszał burzę, oka, które ogarniało morski horyzont, i wspaniałej odwagi marynarza bretońskiego. Kawaler nie pali i nie klnie; jest łagodny i spokojny jak panienka, z pieczołowitością starej kobiety

²⁸ *Ancien régime* (fr.) – dawny ustrój (ustrój polityczny Francji sprzed rewolucji r. 1789).

²⁹ *Tilbury* (ang.) – lekki jednokonny powozik.

zajmuje się swoją suczką Tysbe i jej drobnymi kapryсами. Daje to nam wysokie pojęcie o jego wygasłej galanterii. Nie mówi nigdy o swoich zadziwiających czynach, którymi zdumiewał się hrabia d'Estaing. Choć zachowuje się jak inwalida i stawia każdy krok, jak gdyby lękał się nadebrać na jajko, choć uskarża się na chłodną bryzę, skwar słoneczny i wilgotną mgłę, błyska zdrowymi zębami wprawionymi w czerwone dziąsła, to zaś uspokaja nas co do jego choroby, trochę skądinąd kosztownej, gdyż objawiającej się co dnia czterema posiłkami tak obfitymi, że nie pogardzono by nimi w klasztorze. Jest, jak i baron, człowiekiem kościstym, o szkielecie niezmożonej siły; skóra sucha i mocna jak pergamin oblepia, niczym u konia arabskiego, kości i mięśnie, które w słońcu zdają się błyszczeć. Płeć jego zachowała odcień brązu: pozostałość po wojazach do Indii, skąd nie przywiózł ani jednej maksymy i ani jednej opowieści. Wyemigrował, stracił majątek, po czym dostał order Ludwika Świętego i dwa tysiące franków emerytury, słusznie należnej za jego zasługi, a wypłacanej z kasy inwalidów marynarki. Lekka hipochondria, która każe mu wynajdować tysiące imaginacyjnych chorób, tłumaczy się łatwo cierpieniami, jakich zaznał na emigracji. Służył w marynarce rosyjskiej aż do dnia, kiedy cesarz Aleksander polecił mu walczyć z Francją; złożyłszy dymisję, zamieszkał w Odessie – jak i książę de Richelieu, z którym powrócił; książę wyrobił emeryturę należną temu sławnemu niedobitkowi dawnej marynarki bretońskiej. Po śmierci Ludwika XVIII kawaler du Halga wrócił do Guérande i został tam merem. Pleban, pan du Halga, panna de Pen-Hoël mają od piętnastu lat zwyczaj spędzać wieczory w pałacu du Guéników, gdzie bywa także kilka rodzin szlacheckich z miasta i okolic. Każdy łatwo się domyśli, że du Guénikowie przewodzą w tym powiecie miniaturowemu Przedmieściu Saint-Germain – powiecie, dokąd nie dotarł jeszcze żaden z urzędników administracji, których rozsyła nowy rząd. Od sześciu lat pleban kaszle znacząco w krytycznym miejscu *Domine, salvum fac regem*³⁰. Polityka w Guérande nie posuwa się na krok.

W pamfila gra się pięcioma kartami i wyświęconą kartą, która staje się atutem. W każdej rozgrywce graczowi wolno próbować szczęścia albo pasować. Pasując, traci tylko swoją początkową stawkę, gdyż – póki w puli nie ma przegranych – gracz ryzykuje drobną sumę. Grając obowiązany jest zrobić lewę, za którą mu się płaci w stosunku do sumy znajdującej się w puli. Jeżeli w puli jest pięć su, za lewę otrzymuje jeden su. Gracz, który lewy nie weźmie, płaci karę i winien jest całą sumę stawek, która wzbogaci pulę w następnej rozgrywce. Długi te zapisuje się, a potem wpłaca kolejno, zależnie od wysokości; większe mają pierwszeństwo przed mniejszymi. Ci, którzy pasują, dodają karty podczas rozgrywki, ale nie bierze się ich pod uwagę. Karty wymienia się – jak w *écarté* – ale wedle kolejności graczy. Każdy bierze tyle kart, ile chce, tak że gracz pierwszy i drugi mogą wespół zabrać wszystkie. Wyświęcona karta należy do tego, kto rozdawał karty; jest on w kolejności ostatni i ma prawo wymienić ją za jedną ze swych kart. Mistigris, straszliwa karta, bije wszystkie inne. Mistigris to walet treflowy. Gra nadzwyczaj prosta, lecz mimo to interesująca. Można w niej rozwinąć zarówno chciwość, wrodzoną człowiekowi, jak nauczyć się przebiegów dyplomatycznych i maskowania uczuć. W pałacu du Guéników każdy gracz bierze dwadzieścia liczmanów i przyjmuje zobowiązanie na pięć su, co w sumie ogólnej daje za każdym razem stawkę wynoszącą pięć liardów: kwota w oczach tych osób bardzo znaczna. Przy wielkim szczęściu można było wygrać pięćdziesiąt su, czyli kapitał, którego nikt w Guérande nie wyda przez cały dzień. Toteż panna de Pen-Hoël wkłada w tę grę, którą pod względem naiwności – jak powiada nomenklatura Akademii – przewyższa tylko gra w wojnę, namiętność równą ekscytacji myśliwych na wielkich łowach. Panna Zefiryra, grając do spółki z baronową, przywiązuje do pamfila niemierniejszą wagę. Zaryzykować grosz, aby wygrać pięć, stanowi dla starej skąpicy olbrzymią operację finansową, w którą wkłada tyleż wysiłku wewnętrznego, ile najchciwszy spekulant wkłada go na giełdzie, grając na zwyżkę czy zniżkę obligacji państwowych. Na mocy traktatu

³⁰ *Domine, salvum fac regem* (łac.) – Boże, zbaw króla.

dyplomatycznego z września 1825 roku, kiedy to pewnego wieczora panna de Pen-Hoël przegrała trzydzieści siedem su, grę się przerywa, jeśli ktokolwiek o to poprosi, straciwszy dzieśnięć su. Grzeczność nie dopuszcza, by gracz odczuwał lekką przykrość patrząc, jak inni grają, i nie biorąc w tym udziału. Ale każda namiętność ma swój jezuityzm. Kawaler du Halga i baron, dwaj wytrawni politycy, znaleźli sposób, aby odstępować od konstytucji. Jeśli wszyscy gracze pragną gorąco prowadzić dalej grę pełną wyjątkowych emocji, dzielny kawaler du Halga, pan rozrzutny i skory do szerokiego gestu pozbawionego jakichkolwiek praktycznych następstw, ofiarowuje pannie de Pen-Hoël albo pannie Zefiryńie, skoro przegrywają już swoje pięć su, dziesięć liczmanów, pod warunkiem, że zwrócą mu je w razie powodzenia. Stary kawaler może sobie pozwolić wobec panien na tę galanterię. Baron ofiarowuje obu starym pannom także dziesięć liczmanów pod pozorem, aby przedłużyć partyjkę. Dwie skąpice przyjmują zawsze, choć każą się prosić, jak to u panienek w zwyczaju. Baron i kawaler, nim dadzą się ponieść owej rozrzutności, muszą wprzód wygrać, gdyż inaczej oferta byłaby poniekąd obraźliwa. Pamfil był olśniewający, kiedy siostrzenica starej panny, panna de Kergarouët „po prostu”, bawiła przejazdem u ciotki; powiadam „po prostu”, gdyż tutaj Kergarouëtowie nie zdołali uzyskać od nikogo, by nazywano ich Kergarouët-Pen-Hoëłami, nawet od służby, która otrzymała w tym względzie wyraźny zakaz. Ciotka nauczyła siostrzenicę grać w pamfila, by panna mogła zabłysnąć nim u du Guéników; zapewniła ją, że to przyjemność wyjątkowa. Małej zapowiedziano, że ma być miła: rzecz nietrudna, skoro wpatrywała się w pięknego Kalista, za którym szaleją cztery panny de Kergarouët. Te osóbkę, wychowane nowocześnie, nie dbały o pięć su i grały zapamiętale. Rozgrywano wtedy partie z zapisami, pula sięgała czasem pięciu franków, zapisy zaś piętrzyły się od dwóch i pół su aż do dziesięciu. Były to dla ślepej staruszki wieczory wielkich wzruszeń. Lewy w Guérande nazywa się jeszcze bierkami. Baronowa tyle razy trącała Zefiryńę nogą, ile miały zapewnionych lew. Grać albo nie grać, zależnie od tego, czy koszyczek był pełny, pociągało za sobą duszne spory, w których strach walczył o lepsze z chciwością. Zadawano sobie pytania: grasz? – okazując zazdrość tym, którym przypadły tak dobre karty, iż mogli popróbować szczęścia, lub rozpaczając, kiedy należało spasować. Jeśli poszczęściło się Szarlocie de Kergarouët, na ogół pomawianej o szaleństwo, i dziewczyna w zuchwalstwie swoim wygrała, ciotka, jeśli sama akurat się spłukała, w powrotnej drodze była dla niej oziębła i udzielała jej nauk: ma charakter nazbyt zdecydowany, młoda osoba nie powinna sprzeciwiać się ludziom czcigodnym, brać koszyczka gestem bezczelnym i bezczelnie wychodzić w karty; obyczaj młodej osoby wymaga większej powściągliwości i modestii; nie należy śmiać się z niepowodzenia innych, etc. Przy wpłacaniu przegranych do wysokiej już puli powtarzano wieczyste żarty tysiąc razy do roku, lecz po dwudziestu latach nikt już nie dostrzegał, jak odgrzewane są te dowcipy odnoszące się do gry. Wywoływały one stale ten sam uśmiech. To samo dotyczyło słów żalu, jaki wyrażali ci, którzy napchawszy pulę nic na tym nie zyskiwali. Kary rozdawano z automatyczną powolnością. Gawędzono, pokasując. Te godne i szlachetnie urodzone osoby odznaczają się uroczą małostkowością: nikt nikomu nie ufa w trakcie gry. Kiedy ksiądz bierze koszyczek, panna de Pen-Hoël oskarża go niemal zawsze o oszustwo. – To dziwne – odpowiada pleban – że nie szachruję nigdy, kiedy mi karta nie idzie. – Nikt nie rzuca karty na stół nie przeprowadziwszy chytrych kalkulacji, nie rozejrzawszy się bystro i nie wypowiedziawszy kilku mniej lub więcej sprytnych słów, paru uwag pomysłowych a subtelných. Grę przerywały, domyślacie się naturalnie, opowiadania o wypadkach zaszłych w mieście i debaty nad polityką. Gracze gawędzili często dobry kwadrans, oparłszy na brzuchu karty ułożone w wachlarzyk. Jeśli po takiej przerwie okazywało się, że w koszyczku brak jednego liczmana, każdy twierdził, że nie on zapomniał go wpłacić. Najczęściej uzupełniał bank pan du Halga, wszyscy bowiem oskarżali go, że dumając nad swoim dzwonieniem w uszach, szumami w głowie, ćmieniem w oczach, zapomniał dać stawki. Kiedy kawaler oddał liczman, starą Zefiryńę albo prześcipną garbuskę ruszało sumienie: zastanawiały się wtedy, czy to nie któraś z

nich zawiniła, medytowały, powątpiewały, wreszcie dochodziły do wniosku, że kawaler jest dość zamożny, by przeboleć tę drobną stratę. Czasami gubił się znów baron, kiedy mówiono o nieszczęściach dynastii. Zdarzało się niekiedy, że rezultat dziwił mocno całą kompanię, każde bowiem liczyło na identyczną wygraną, i że po kilku czy kilkunastu partyjkach wszyscy, odzyskawszy swoje liczmany, rozchodzili się, ponieważ godzina była już nazbyt późna; nikt nie wygrał i nikt nic nie przegrał – choć każdy zaznał emocji. Podczas tych okrutnych wieczorów uskarżano się na pamfila – partyjka nie dostarczyła dość silnych przeżyć; gracze oskarżali pamfila, jak Murzyni, co biją odbicie księżycy w wodzie, jeśli pogoda im nie dogadza. Wieczór uchodził wtedy za bezbarwny. Napracowali się uczciwie i nic z tego. Kiedy podczas pierwszej wizyty wicehrabiostwo de Kergarouët wspomnieli o wiście i o bostonie, powiadając, że to gry ciekawsze niż pamfil, i pokazali je, zachęceni przez baronową, którą pamfil nudził śmiertelnie, bywalcy z pałacu państwa du Guénic przystali nie bez protestów na te nowinki; nie zdołali jednak zrozumieć tych gier, a gdy Kergarouëtowie odeszli, nazwali je łamigłówkami, zadaniami algebraicznymi, rozrywką niesłychanie trudną. Każdy wolał swojego ukochanego pamfila, najmilszego pamfilka. Pamfil zatriumfował nad grami nowoczesnymi, jak wszędzie w Bretanii obyczaj dawny triumfuje nad nowym.

Kiedy proboszcz rozdawał karty, baronowa rozpytywała kawalera o zdrowie w taki sam sposób jak co dnia. Pan du Halga uważa sobie za punkt honoru cierpieć wciąż na coś nowego. O ile zadawane pytania były zawsze mniej więcej te same, odpowiedzi były ogromnie urozmaicone. Dziś strzykało go w boku. Warto zauważyć, iż godny kawaler nie uskarża się nigdy na swoje bliźny. Rozumie się i zna na wszelkich rzeczach poważnych, a jednak straszliwie niepokoją go choroby urojone: bóle głowy, ssania w żołądku, dzwonięcie w uszach i tysiące innych fantastycznych niedomagań. Podaje się za nieuleczalnie chorego z tym większym powodzeniem, iż doktorzy nie znają leków na jego nie istniejące dolegliwości.

– O ile się nie mylę, wczoraj strzykało pana w nogach – ozwał się pleban z najpoważniejszą miną.

– To wędruje – oświadczył kawaler.

– Z nóg do żeber? – podchwyciła panna Zefiryra.

– A nie zatrzymało się aby w drodze? – zażartowała panna de Pen-Hoël.

Kawaler skłonił się uroczyście, ale że towarzyszył temu gest przeczący i dość filuterny zarazem, obserwatorowi wnieść wolno, że nasz kapitan marynarki był za młodu człekiem dowcipnym, kochał wiele, i to z wzajemnością. Kto wie, czy jego życie kopalne w Guérande nie tai przeróżnych wspomnień. Kiedy tkwi odrętwiały na plantach, a tykowane nogi czynią go podobnym do czapli wygrzewającej się w słońcu, kiedy przygląda się morzu lub figlom swojej suczki, bawi zapewne w raju ziemskim przeszłości bogatej we wspomnienia.

– No i zmarło się staremu księciu de Lenoncourt – powiedział baron, nawiązując do słów, na których przerwała żona czytając głośno „Quotidienne”. – Ha cóż, pierwszy szambelan królewski pośpieszył za swoim panem. I ja też niedługo odejdę.

– E, mój drogi, mój drogi!... – obruszyła się baronowa klepiąc łagodnie kośćcistą i stwardniałą rękę męża.

– Nic się nie bój, moja siostró – rzekła Zefiryra – póki ja nie zejdem pod ziemię, nie zejdziesz i on; toć młodszy ode mnie.

Wesoły uśmiech błakał się po wargach starej panny. Kiedy baronowi wyrwie się uwaga w tym stylu, wszyscy obecni spoglądają po sobie z wielkim przejęciem, tak ich niepokoi smutek króla Guérande. Znajomi, którzy akurat złożyli mu wizytę, wychodzą, powiadając między sobą: – Pan du Guénic był jakiś nieswój. Widziałeś pan, jak drzemał? – I następnego dnia całe Guérande rozprawia o tym wydarzeniu: – Baron du Guénic znów się posunął! – Zdaniem tym rozpoczynają się pogawędki we wszystkich domach.

– A jak Tysbe? Dobrze się miewa? – zagadnęła panna de Pen-Hoël, kiedy rozdano już karty.

– To biedne maleństwo jest zupełnie jak ja – zapewnił kawaler. – Cierpi na nerwy: biegnąc podnosi wciąż jedną nóżkę. Ot tak, spojrzysz pani!

I demonstrując nerwowy tik suchki, skurczył rękę, a tym samym pokazał swoje karty garbusce, która chciała wy badać, czy jest w nich atut lub Mistigris. Był to pierwszy fortel, na który dał się dziś złapać.

– Oho! – rzekła baronowa – księdzu dobrodziejowi bieleje koniec nosa: Mistigris w kartach!

Gracz, u którego zawita Mistigris, raduje się tak serdecznie, że i poczciwy pleban nie zdołał utaić miłej emocji. W każdej twarzy ludzkiej istnieje punkt zdradzający sekretne poruszenia serca – I grono to, przywykłe obserwować się wzajem, wykryło po paru latach ów słaby punkt u księdza: kiedy dostał mu się Mistigris, bieleł koniec jego nosa. Wtedy wszyscy starali się pasować.

– Miała pani dziś gości? – zwrócił się do Halga do panny de Pen-Hoël.

– Tak, był kuzyn mojego szwagra. Zaskoczył mnie nowiną o powtórnym zameściu hrabiny de Kergarouët, z domu de Fontaine...

– Córka Wielkiego Jacka! – zawołał kawaler, który za swojej bytności w Paryżu nie odstępował admirała choćby na krok.

– Hrabina odziedziczyła majątek po mężu, a teraz poślubiła eks-ambasadora. Opowiadał mi przedziwne historie o naszej sąsiadce, pannie des Touches, tak szczególnie, że wierzyć się wprost nie chce. Kalist nie odwiedzałby jej tak często, ma zbyt wiele zdrowego rozsądku, żeby nie spostrzec takich potworności.

– Potworności?... – zagadnął baron, którego zbudziło to słowo.

Baronowa i pleban wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Karty rozdano, a że starej pannie przypadł Mistigris, nie chciała rozwodzić się dalej, uszczęśliwiona, iż może ukryć swoją radość dzięki ogólnemu osłupieniu, jakie wywołała powyższym słowem.

– Pan baron wychodzi – rzekła, pochrzając.

– Mój bratanek nie zalicza się do młodzieńców, którzy lubią potworności – oznajmiła Zefiryra, gmerając sobie drutem we włosach.

– Mistigris! – wykrzyknęła panna de Pen-Hoël, nie zważając na uwagę przyjaciółki.

Pleban, jak się zdaje, świadom spraw Kalista i panny des Touches, nie wyruszył w szranki.

– I cóż ta panna des Touches robi takiego nadzwyczajnego? – spytał baron.

– Pali – oświadczyła panna de Pen-Hoël.

– To bardzo zdrowo – powiedział kawaler.

– Puszczą z dymem swoje włości?... – spytał znów baron.

– Puszczą z dymem i przejada – dodała stara panna.

– Wszyscy tam bywają, a tu wszyscy przegrali, król, dama, walet atutowy, Mistigris i jeszcze jeden król są u mnie, zabieramy pulę, moja siostrze – obwieściła baronowa.

Partia tak rozegrana, choć nikt nie rzucił ani jednej karty, przygnębiła mocno pannę de Pen-Hoël; dała więc pokój Kalistowi i pannie des Touches. O dziewiątej pozostała już tylko w sali baronowa i proboszcz. Czworo starców poszło spać. Kawaler odprowadził jak zwykle pannę de Pen-Hoël na rynek, do jej domu, roztrząsając po drodze, jak subtelnym był ostatni cios, jak to człowiek miewa mniej lub więcej szczęścia i jak na licach panny Zefiryry maluje się za każdym razem zadowolenie, bowiem ślepa staruszka, zsypując wygraną do przepastnej kieszeni, nie ukrywa już uczuć. Debatowali również, czemu baronowa była dziś tak roztrągniona. Kawaler zauważył był już dawniej, iż urocza Irlandka jest chwilami jak gdyby nieobecna. Na progu, kiedy lokajczyk zniknął za drzwiami, stara panna odpowiedziała w zaufaniu na supozycje kawalera do Halgi, dotyczące niezwyklego zachowania baronowej, rzuciwszy takie oto nadzwyczaj ciekawe słowa:

– Znam przyczynę. Kalist będzie zgubiony, jeśli nie ożenimy go zaraz. Kocha się w tej komediantce, pannie des Touches.

- No to niechże pani sprowadzi Szarlotę.
- Siostra dostanie jutro mój list – oznajmiła panna de Pen-Hoël, zegnając kawalera ukłonem.

Skoro byliście na tej normalnej wieczorynce, osądźcie teraz, jaki zgiełk musiał powstawać w domach Guérande, gdy do miasta tego zawitał ktoś obcy, gdy zabawił tam i odjechał lub tylko wstąpił przejazdem.

Gdy zmiłkły wszelkie odgłosy w pokojach barona i jego siostry, pani du Guénic spojrzała na księdza, który w zamyśleniu przesypywał liczmany.

- Odgadłam, że i ksiądz podzielił w końcu mój niepokój dotyczący Kalista – rzekła.
- Zauważyła pani, jaka panna de Pen-Hoël była dziś odęta? – spytał proboszcz.
- Tak – odparła baronowa.
- Żywi, wiem to – podjął ksiądz – wobec naszego miłego Kalista jak najlepsze intencje, kocha go jak rodzzonego syna; uczucie to wzmogło się jeszcze, gdy powiadomiono ją, jak pięknie spisywał się u boku ojca w Wandei i jak Jej Wysokość zachwalała jego oddanie. Podać ciepłą ręką całą swoją fortunę tej z siostrzenic, która wyjdzie za Kalista, Wiem, że ma pani w Irlandii partię o wiele bogatszą dla swojego ukochanego syna; lepiej jednak mieć w łuku dwie cięciwy. W wypadku, gdyby rodzina pani nie zechciała zając się Kalistem, majątek panny de Pen-Hoël nie będzie rzeczą do pogardzenia. Znajdzie pani zawsze dla swojego ukochanego dziecka pannę posażną, z siedmioma tysiącami liwrow renty, ale nie znajdzie pani oszczędności składanych przez czterdzieści lat ani też majątku ziemskiego z takimi zabudowaniami, tak administrowanego i odrestaurowanego jak folwarki panny de Pen-Hoël. Ta bezbożnica, panna des Touches, napsuła wiele! No i w końcu dowiedzieliśmy się o niej różnych rzeczy.

– Jakichże to? – spytała baronowa.

– O, to wydra, ladacznica – rozzłościł się ksiądz – kobieta dwuznacznych obyczajów, zajmująca się teatrem, składająca wizyty komediantom i komediantkom! Przejada swój majątek po społu z pismakami, malarzami, muzykusami, z całą tą diabelską zgrają! Wydając książki, przybrała fałszywe nazwisko, pod którym ponoć jest bardziej znana niż jako Felicjta des Touches. To istna błaznica; od czasu pierwszej komunii po to tylko przestępuje progi kościoła, żeby oglądać figury i obrazy. Wyszepiała się z fortuny, żeby udekorować Touches w sposób jak najbardziej niestosowny, żeby urządzić tam raj mahometański, gdzie hurysy nie są kobietami. Więcej tam podczas jej pobytu wypiją przednich win niż w Guérande przez okrągły rok. Panny Bougniol gościły przecie zeszłego roku jakichś mężczyzn z kozłimi brodami, jakoby Błękitnych, co u niej bywali, a wyśpiewywali takie pieśni bezbożne, że się od nich zapłakiwały i czerwieniły te cnotliwe panienki. Oto jaką damę wielbi w tym momencie nasz pan kawaler! Gdyby tej osobie zażądało się dziś wieczór jednej z haniebnych ksiąg, gdzie terazniejsi ateusze natrzęsają się ze wszystkiego, pan kawaler osiodłałby konia i pognał galopem do Nantes. Wątpię, czy Kalist uczyniłby to samo dla Kościoła. Na koniec, ta Bretonka nie jest rojalistką. Gdyby znów przyszło wyruszyć z fuzją dla dobrej sprawy, a panna des Touches, czy też imć pan Kamil Maupin – przypomniałem sobie teraz to drugie nazwisko – zechciała zatrzymać Kalista przy sobie, pan kawaler dopuściłby, żeby jego stary ojciec odjechał sam.

– Nie – zaprzeczyła baronowa.

– Wolałbym nie wystawiać go na próbę, mogłabyś pani zbyt cierpieć – odpowiedział ksiądz. – W Guérande wszyscy chodzą jak błędne owce z powodu namiętności kawalera do tej istoty ziemnowodnej, ni mężczyzny, ni kobiety, która pali jak huzar, pisuje jak żurnalista i w tej chwili gości u siebie najjadowitszego z pisarzy – tak twierdzi naczelnik poczty, ten umiarkowany, co czytuje gazety. Gadają już o tym w Nantes. Dziś rano ów kuzyn Kergarouëtów, który chciałby wyswatać Szarlotę z kimś, co ma sześćdziesiąt tysięcy liwrow renty, był u panny de Pen-Hoël i dobrze jej musiał nakręcić w głowie historyjkami o pannie des To-

uches, bo rozmowa trwała siedem godzin. Na dzwonnicy bije za kwadrans dziesiąta i pan Kalist nie wraca; jest w Touches, może wróci dopiero nad ranem.

Baronowa słuchała wywodów księdza, który bądź monologował, bądź przechodził w dialog, nie spostrzegając tego; popatrywał na swoją owieczkę – na twarzy jej malował się niepokój. Baronowa czerwieniła się, coraz przejmowało ją drżenie. Kiedy dwie łzy stoczyły się z oczu zgnębionej matki, rozczulił się ksiądz Grimont.

– Niech się pani nie martwi, zobaczę się jutro z panną de Pen-Hoël – rzekł pocieszająco. – Zło może nie jest jeszcze tak wielkie, jak mówią; dowiem się prawdy. Bo i zresztą panna Jacynta ma do mnie zaufanie. Następnie Kalist to nasz uczeń, nie da się więc usidlić demonowi. Nie zechce zakłócić spokoju, jakim cieszy się rodzina, ani też pokrzyżować planów, które powzięliśmy co do jego przyszłości. Niechżeż więc pani nie płacze, bo nie wszystko jeszcze stracone: błąd to nie występki.

– Informujesz mnie ksiądz jedynie o szczegółach – odparła baronowa. – Czyż nie ja pierwsza dostrzegłam w Kaliście odmianę? Matka boleje, kiedy syn odsunie ją w sercu swoim na ostatnie miejsce, albo smuci się, że nie jest już w sercu synowskim sama. Ta faza w życiu mężczyzny zalicza się do nieszczęść matki; spodziewając się tego, nie myślałam jednak, że stanie się to tak wcześnie. I w końcu wołałabym, żeby chociaż oddał serce jakiejś pięknej i szlachetnej dziewczynie, a nie tej komediantce, błaznicy, teatralnej damie, autorce przywykłej udawać uczucia, złej kobiecie, która go zdradzi i unieszczęśliwi. Miała już miłości...

– I to z niejednym – dokończył ksiądz Grimont. – A przecież ta bezbożnica urodziła się w Bretanii. Hańbi swoją ziemię. Już ja w niedzielę powiem o niej z ambony!...

– Niech księdza Bóg zachowa! Solarze i chłopcy byliby zdolni urządzić zajazd na Touches. Kalist jest godzien swojego nazwiska i jest Bretończykiem: jeśliby tam był akurat, mogłoby się zdarzyć nieszczęście, gdyż broniłby tej osoby jak Najświętszej Panny.

– Już dziesiąta, życzę więc pani dobrej nocy – powiedział ksiądz Grimont, zapalając *oribus* w swojej latarni, której szyby i metalowa oprawa lśniły od czystości: dowód, jak staranna i drobiazgowo była jego gospodyni we wszelkich rzeczach dotyczących porządku domowego. – Kto by powiedział, proszę pani – rzekł jeszcze – że młodzieniec wykarmiony przez panią, a przeze mnie wychowany po chrześcijańsku, gorliwy katolik, dziecię niewinne jak baranek, pograży się w takim bagnie?

– Ale czy to całkiem pewne? – powiedziała baronowa. – A zresztą jakże to możliwe, żeby jakaś kobieta nie pokochała Kalista?

– Wystarczy sam pobyt tej wiedźmy w Touches, innych dowodów nie trzeba. Nigdy jeszcze nie siedziała tam tak długo od dwudziestu czterech lat, czyli od czasu, jak ją usamodzielniono. Szczęściem dla nas, wpadała dotąd jak po ogień.

– Kobieta czterdziestoletnia – zasępiła się baronowa. – Słyszałam kiedyś w Irlandii, że kobieta w tym wieku jest dla młodego mężczyzny kochanką najbardziej niebezpieczną.

– Nie znam się na tym – zapewnił ksiądz. – I chyba nawet umrę w tej niewiedzy.

– I ja też, niestety! – wyrwało się naiwnie baronowej. – Żałuję teraz, że nie przeżyłam gorącej miłości, bo mogłabym obserwować Kalista, służyć mu radą, pociechą.

Ksiądz nie sam przeszedł przez czyściutki dziedzińczyk: baronowa odprowadziła go do furtki, mając nadzieję, że na ulicach Guérande rozlegnie się krok syna; usłyszała jednak tylko ciężkie kroki proboszcza, stąpającego ostrożnie, kroki, których odgłos coraz bardziej słabł w oddali i umilkł wśród ciszy miasta, kiedy zamknęły się z łoskotem drzwi plebanii. Biedna matka wróciła zrozpaczona, dowiedziała się bowiem właśnie, że miasto jest poinformowane o tym, o czym, jak sądziła dotąd, wiedziała tylko ona. Siadła, objaśniła lampę przyciąwszy knot starymi nożyczkami i zabrała się do haftu, nad którym zawsze ślęczała, oczekując Kalista. Baronowa łudziła się, że tym sposobem zmusi syna do wcześniejszych powrotów, że nie będzie spędzał tylu godzin u panny des Touches. Bezużyteczny był ów rachunek macierzyńskiej

zazdrości. Kalist jeździł do Touches coraz częściej i coraz później wracał wieczorami; poprzedniego dnia zjawił się dopiero o północy. Baronowa, pogrążona w macierzyńskich medytacjach, haftowała z szybkością osoby rozmyślającej nad czymś przy robótce. Ujrawszy ją tak pochyloną w świetle lampy, pod czterechsetletnimi sztukateriami komnaty, zachwyciłbyście się tym prześlicznym obrazem. Czoło Fanny jest jakby przezroczyste, można zeń wyczytać bieg jej myśli. Chwilami, podekscytowana ciekawością, która miewa też dostęp do cnotliwych kobiet, zastanawia się, jaki to diabelski sekret posiadły te córki Baala, aby aż tak omamić mężczyznę, kazać mu zapomnieć o matce, rodzinie, ojczyźnie, interesach – chwilami znów pragnęłyby nawet spotkać tę kobietę, ażeby osądzić ją bezstronnie. Wymierza zasięg spustoszeń, jakimi nowatorski duch czasów – sądząc z barwnych argumentów proboszcza, nader niebezpieczny – dotknął jedyne jej dziecko, do tej pory naiwne i niewinne niby czysta dziewczyna, jaśniejące nie mniej świeżą niż dziewczęca urodą.

Kalist, ów świetny potomek najstarszego z rodów bretońskich, młodzieniec, w którego żyłach płynie najszlachetniejsza krew irlandzka, otrzymał od matki staranne wychowanie. Nim oddała go pod opiekę plebanowi z Guérande, była pewna, że żadne nieczyste słowa i żadne złe myśli nie skaziły ani uszu, ani pojęć jej syna. Matka wykarmiła go swoim mlekiem, dwakroć więc dała mu swoją krew – mogła zatem powierzyć Kalista, czystego jak dziewica, pasterzowi, który, czcząc tę rodzinę, obiecał udzielić mu edukacji kompletnej i chrześcijańskiej. Kalist otrzymał więc takie wykształcenie, jakie dawało seminarium, w którym ksiądz Grimont ukończył studia. Matka nauczyła go po angielsku. Wśród urzędników z Saint-Nazaire znaleziono nie bez trudu nauczyciela matematyki. Kalista nie zaznajamiano rozmyślnie z literaturą współczesną, a także z kierunkami i postępem obecnych nauk ścisłych. Wiedza jego ogranicza się więc do historii i geografii tak okrojonych, jak się to robi na użytek panienek, do łaciny i greki w zakresie seminarium duchownego, do literatury języków martwych i do szczupłego wyboru pisarzy francuskich. Kiedy szesnastoletni Kalist rozpoczął to, co ksiądz Grimont nazywał najwyższą klasą swej szkoły, nie był mniej niewinny niż w momencie, kiedy matka powierzyła go plebanowi. Kościół jest równie macierzyński jak matka. Nie będąc ani bigotem, ani jakąś pocieszną figurą, młodzieniec nasz jest żarliwym katolikiem. Baronowa pragnęła urządzić swojemu ślicznemu i niewinnemu synowi życie szczęśliwe i wolne od rozgłosu. Spodziewała się fortunki po starej ciotce – ze trzy tysiące funtów szterlingów. Suma ta, złączona z obecnym majątkiem du Guéników, pozwoliłaby jej znaleźć dla Kalista żonę, która wniosłaby mu dwanaście do piętnastu tysięcy liwrowych dochodu. Szarlota de Kergarouët z fortuną swojej ciotki, jakaś bogata Irlandka czy inna dziedziczka – osoba przyszłej synowej wydawała się Fanny obojętna; nie wiedząc nic o miłości, widziała w małżeństwie – jak i całe jej otoczenie – środek, który prowadzi do majątku. Namiętność była nie znana tym katolickim duszom, tym ludziom starym i starej daty, zajmującym się wyłącznie sprawami Boga, króla i własnego majątku. Nikt nie zdziwi się więc powadze myśli, jakie towarzyszyły zranionym uczuciom w sercu tej matki, która żyła zarówno przyszłością swojego syna, jak i jego uczuciem. Gdyby młode małżeństwo zechciało posłuchać mądrych rad, zgodziło się na prywatację i oszczędzało tak, jak umieją oszczędzać na prowincji, następne pokolenie du Guéników wykupiłoby swoje ziemie, odzyskało świetność i bogactwa. Baronowa chciała dożyć późnej starości, aby ujrzeć wschodzącą jutrzeńkę dobrobytu. Panna du Guénic pojęła i zaaprobowała ów plan, któremu obecnie stoi na przeszkodzie panna des Touches. Baronowa usłyszała z przerażeniem, jak dzwoni północ. Godzinę jeszcze dręczyła ją okrutna trwoga, bo choć pierwsza wybiła na kościele, Kalist nie wracał.

„Czyżby tam został na noc? – pomyślała. – Zdarzyłoby się to pierwszy raz. Biedny dzieciak!”

W tejże chwili krok Kalista ożywił uliczkę. W sercu biednej matki niepokój ustąpił radości. Pomknęła do furtki i otworzyła synowi.

– Och! – zmartwił się Kalist – czemuś czekała, najdroższa mamó? Mam przecież klucz i krzesiwko.

– Wiesz doskonale, moje dziecko, że i tak nie zmrużyłabym oka, póki nie ma cię w domu – rzekła, całując go.

Wróciwszy do sali, baronowa spojrzała na syna, by wyczytać z jego twarzy, co zaszło tego wieczoru, ale przyprawił ją jak zawsze o wzruszenie, co nigdy nie słabnie, choć powtarza się stale, wzruszenie, jakiego doznają wszystkie matki na widok arcydzieła, które zrodziły. I zawsze im ono przyćmiewa wzrok na moment.

Kalist odziedziczył po ojcu tylko czarne oko pełne energii i słońca, po matce zaś wziął bujne jasne włosy, nos orli, prześliczne usta, smukłe palce, delikatną karnację, subtelność i białość. Choć przypomina nieco dziewczynę przebraną za chłopca, cechuje go siła herkulesowa. Mięśnie jego mają moc i giętkość stalowych sprężyn, a dziwny wyraz czarnych oczu nie jest pozbawiony wdzięku. Zarost nie sypie mu się jak dotąd. Opóźnienie takie zapowiada podobno długowieczność. Kawaler, odziany w krótki surdut z czarnego aksamitu – z podobnego uszyta jest suknia baronowej – ze srebrnymi guzikami, w gustowne kamasze i w pantalon z popielatego drelichu, owija szyję niebieskim fularem. Śnieżnobiałe czoło zdradza w tej chwili ślady wielkiej fatygi, choć nie dostrzegłbyś na nim nawału smutnych myśli. Matka, niezdolna podejrzewać, że serce Kalista zre okrutny frasunek, przypisuje tę przelotną zmianę szczęściu. Tak czy inaczej, Kalist jest piękny jak bożek grecki, piękny, lecz nie zarozumiały: przede wszystkim nawykł do piękna, spoglądając na matkę, a ponadto nie dba o urodę, wiedząc, iż to rzecz nieprzydatna.

„A więc te piękne policzki, takie niewinne – pomyślała baronowa – które zdrowa i bujna krew krasuje rumieńcem, należą już do innej kobiety. Zawładnęła ona również tym dziewczęcym czołem. Namietność sprowadzi okropny nieład, przygasł blask tych oczu, wilgotnych jak u małego dziecka.”

Gorzkie te myśli ścisnęły serce baronowej i zamały jej radość. Ludziom umiejącym liczyć wyda się czymś niewiarygodnym, że w rodzinie złożonej z sześciu osób, rodzinie, która musi żyć z trzech tysięcy liwrowej renty, syn nosi na codzień aksamitny surdut, a matka aksamitną suknię. Ale Fanny O'Brien ma w Londynie zamożne ciotki i zamożnych krewnych, którzy przypominają się Bretonce prezentami. Kilka jej siostr, bogato wydanych za mąż, interesuje się żywo Kalistem, zamyślając znaleźć mu majątną dziedziczkę, wiedzą bowiem, że jest piękny i szlachetny, tak samo jak ich najukochańsza Fanny-wygnanka.

– Zabawiłeś w Touches dłużej niż wczoraj, mój najmilszy – rzekła na koniec z pewnym wzburzeniem w głosie.

– Tak, droga mamó – odparł, nie dodając żadnych wyjaśnień.

Baronowa odłożyła wyjaśnienia na dzień następny, choć oschły ton odpowiedzi sprowadził chmurę na jej czoło. Matka przejęta podobnym niepokojem, jaki nękał obecnie panią du Guénic, drży niemal w przytomności syna; przeczuwając instynktownie następstwa wielkiej emancypacji miłosnej, domyśla się wszelkich strat wynikłych dla niej z tego nowego afektu; lecz mimo to raduje się szczęściem syna: w sercu jej toczy się coś na kształt walki. Prawdziwa matka nie lubi tej milczącej abdykacji – aczkolwiek w rezultacie syn dorośnie i dojrzej; woli, żeby dziecko jej było wciąż małe i potrzebowało opieki. Tu może kryje się sekret, iż matka wyróżnia dzieci słabe, upośledzone lub nieszczęśliwe.

– Zmęczony jesteś, kochasiu, idź spać – rzekła, wstrzymując łzy.

Matka nie wszystkiego świadoma, co robi syn, sądzi, że wszystko wtedy stracone – szczególnie zaś matka równie kochająca i kochana jak Fanny. Skądinąd każda matka drżałaby zapewne tak samo jak pani du Guénic. Trudy dwudziestu lat mogły przecież obrócić się na marne. Uczłowieczone arcydzieło mądrej, szlachetnej i nabożnej edukacji – Kalist – mogło zniszczyć; jakaś kobieta zdołałaby zrujnować na zawsze szczęście jego życia, budowane z tak wielkim staraniem!

Nazajutrz Kalist wysypiał się aż do południa; matka zabroniła go budzić, Maryśka przyniosła rozpieszczonemu dziecku śniadanie do łóżka. Niezmienny, jakby klasztorny regulamin rządzący godzinami posiłków ustępował przed lada kaprysem kawalera. Jeśli więc ktoś chciał wydrzeć pannie du Guénic pęk jej kluczy, aby urozmaicić posiłek – unikając przy tym nieskończonych wyjaśnień – musiał tłumaczyć się jedynym tutaj skutecznym pretekstem: fantazjami Kalista. Około pierwszej baronostwo i panna Zefiryra zgromadzili się w jadalni; obiad podawano dopiero o trzeciej. Baronowa wzięła „Quotidienne”, by powrócić do wczorajszej lektury: baron bywał zawsze przed posiłkami nieco rzeświejszy. Pod koniec czytania posłyszano na piętrze odgłos kroków syna; gazeta wysunęła jej się z rąk.

– Kalist – rzekła – z pewnością znów wybiera się na obiad do Touches. Przed chwilą dokończył toalety.

– Skoro to naszego chłopaka bawi... – to mówiąc, stara panna dobyteła z kieszeni srebrny gwizdek i zaświstała.

Maryśka, przeszedłszy pod sklepieniem wieżyczki, stanęła w drzwiach zasłoniętych portierą z jedwabnej materii, podobnej do brokateli firanek.

– Słucham – powiedziała. – Czy panienka życzy sobie czegoś?

– Panicz będzie na obiedzie w Touches. Nie podawaj frykasika.

– Ależ nic jeszcze nie wiadomo – wtrąciła Irlandka.

– Wydajesz mi się poirytowana, moja siostrze; odgaduję to z twojego głosu – zauważyła ślepa staruszka.

– Książd Grimont zebrał w końcu poważne wiadomości o pannie des Touches. Nasz Kalist bardzo zmienił się od roku pod jej wpływem.

– W czymże to? – zagadnął baron.

– Czyta bez wyboru wszystkie książki!

– Aha! Aha! – zawołał baron. – Ot i dlaczego zaniedbuje tak polowanie i konną jazdę!

– Obyczaje tej panny są karygodne i przybrała męskie nazwisko – dodała pani de Guénic.

– Przydomek i basta – powiedział starzec. – Ja też na wojnie miałem przydomek: Pozwany; hrabia de Fontaine mienił się Wielki Jacek, a margrabia de Momauran – Gars. Przyjaźniłem się z Ferdynandem, który nie złożył broni tak samo jak ja. Dobre to były czasy! Strzelało się z fuzji, no i pohulał sobie człowiek, raz tu, raz tam.

Fanny zasmuciła się na chwilę: baron miał niepokoić się z ojcowska – wspominał wojnę. Bo jej spędziły sen z powiek wynurzenia proboszcza i powściągliwość syna.

– I cóż by w tym było strasznego, gdyby pan kawaler zakochał się w pannie des Touches? – spytała Maryśka – Dziewka urodna i ma trzydzieści tysięcy dukatów renty.

– Cóż ty wygadujesz! – zachnął się starzec. – Du Guénic miałby poślubić jakąś des Touches? Des Touches'owie nie bywali jeszcze naszymi giermkami, kiedy du Guesclin poczytywał już sobie parantelę z nami za honor znamienity.

– Pannica, która przybrała męskie nazwisko, Kamil Maupin! – obruszyła się baronowa.

– Maupinowie to stara szlachta – powiedział starzec. – Pochodzą z Normandii, mają szkarłatną tarczę podzieloną na trzy... – Urwał. – Ale niesposób nazywać się jednocześnie des Touches i Maupin.

– Maupin to pseudonim teatralny.

– Panna des Touches komediantką! – zachnął się starzec. – Gdybym cię nie znał, Fanny, myślałbym, że pleciesz.

– Pisze sztuki teatralne, książki... – dorzuciła baronowa.

– Książki? – tu starzec spojrział na żonę z takim zdumieniem, jakby wspomniwała, że stał się gdzieś cud. – Słyszałem, że panna de Scudéry i pani de Sévigné też pisały, ale nie za to należy im się największy komplement; no i takie nadzwyczajności mogły dziać się tylko za Ludwika XIV i na jego dworze.

– Jaśnie panicz będzie chyba na obiedzie w Touches, prawda? – spytała Maryśka wchodzącego Kalista.

– Możliwe – odparł młodzieniec.

Maryśka nie była wścibska – należała do rodziny; wyszła tedy nie starając się usłyszeć pytania, jakie pani du Guénic miała właśnie zadać Kalistowi.

– Znów się wybierasz do Touches, mój drogi? – Położyła nacisk na to mój. – A przecież des Touches'owie nie są rodem ani zacnym, ani przyzwoitym. Ta panna prowadzi życie rozwiązłe i zepsuje nam naszego Kalista. Kamil Maupin dał mu do przeczytania wiele książek i miał niejedną przygodę miłosną! Wiedziałeś to wszystko, niedobry chłopcze! Nie wspomnieliśmy nic o tym naszym starym przyjaciołom.

– Kawaler jest dyskretny – zauważył baron – to cnota czasów dawnych.

– Przesadnie dyskretny – rzekła zazdrosna Irlandka widząc, jak czoło syna okrywa się rumieńcem.

– Droga mamó – ozwał się Kalist, klękając przed baronową – nie wydaje mi się tak bardzo konieczne, bym rozgłaszał moje porażki. Panna des Touches, albo, jeśli wolisz, Kamil Maupin, wzgardziła moją miłością półtora roku temu, za ostatnim tutaj pobytym. Natrząsała się wtedy ze mnie dobrotliwie: mogłaby być moją matką – mówiła; czterdziestoletnia kobieta popełniłaby, zakochawszy się w małoletnim, coś w guście incestu, nie potrafiłaby więc dopuścić się podobnej zdrożności. I zgnębiła mnie mnóstwem żartów, bo dowcipna jest jak anioł. Ale kiedym rozplakał się serdecznie, pocieszyła mnie, proponując mi przyjaźń w jak najszlachetniejszej formie. Ma ona jeszcze więcej serca niż talentu, jest wielkoduszna jak ty. Traktuje mnie teraz niczym przybrane dziecko. Postawiłem już na tym wszystkim krzyżyk, dowiedziawszy się po jej powrocie, że ma kogo innego. Nie powtarzaj tych oszczerstw o niej krążących: Felicita jest artystką, ma talent, prowadzi tryb życia wyjątkowy, którego nie powinniśmy mierzyć życiem zwyczajnym.

– Mój chłopcze – odparła nabożna Fanny – nic nie może zwolnić kobiety od prowadzenia się takiego, jakie nakazuje Kościół. Uchybia obowiązkowi wobec Boga i społeczeństwa zrywając słodkie więzy, konieczne dla naszej płci. Kobieta grzeszy już bywając w teatrze, ale wypisywać bezceństwa, które powtarzają aktorzy, upędzać się po świecie to z wrogiem papieża, to z jakimś muzykantem... ach! Kaliście, z trudem byś mnie przekonał, że te czyny są aktami wiary, nadziei lub miłosierdzia. Bóg obdarzył ją fortuną, aby czyniła dobrze; i na cóż ona obraca swój majątek?

Kalist zerwał się, spojrzał na matkę i powiedział:

– Mamó, Felicita jest moją przyjaciółką; nie powinienem słuchać o niej takich rzeczy, gdyż oddałbym za nią życie.

– Życie? – powtórzyła baronowa, wpatrując się w syna z przerażeniem. – Twoje życie jest życiem nas wszystkich.

– Mój bratanku, nie rozumiem właściwie twoich słów – obruszyła się łagodnie ślepa starszuszka, zwracając twarz ku Kalistowi.

– A gdzie się tego nauczył? – rzekła matka. – W Touches.

– Ależ, mamó najdroższa, kiedy mnie poznała, był ze mnie kompletny hebes.

– Wiedziałeś o rzeczach zasadniczych, znając doskonale obowiązki, jakich naucza nas religia – odparła baronowa. – Ach! Ta kobieta zniszczy twoją szlachetną i świętą wiarę.

Stara panna wstała i wyciągnęła uroczyście ręce w stronę drzemiącego brata.

– Kaliście – rzekła głosem dobywającym się z głębi serca – twój stary ojciec nigdy nie zaglądał do książek, mówi po bretońsku, bił się, nie bacząc na niebezpieczeństwo, za króla i Boga. Ludzie wykształceni siali zło, uczona szlachta porzuciła ojczyznę. Ucz się więc, jeśli wola!

Usiadłszy jąła znów robić pończochę z energią, w którą przelała swoje wewnętrzne wzburzenie. Kalist osłupiał na tę tyradę w stylu Focjona³¹.

– Widzisz, mój aniele, przeczuwam, że w tamtym domu zdarzy ci się nieszczęście – powiedziała matka z alteracją i roniąc łzy.

– Kto przywiódł do łez moją Fanny? – zawołał starzec ocknąwszy się raptem na głos żony. I spoglądając na siostrę, żonę i syna zapytał: – Co się stało?

– Nic, mój drogi – odrzekła baronowa.

– Mamo – szepnął jej Kalist na ucho – niesposób mi tłumaczyć się w tej chwili, ale pomówimy wieczorem. Kiedy dowiesz się wszystkiego, będziesz błogosławić pannę des Touches.

– Matki nie lubią przeklinać – odpowiedziała baronowa – toteż nie przekleńabym nigdy kobiety, która pokochałaby mojego syna.

Młodzieniec pożegnał się ze starym ojcem i wyszedł. Baronostwo wstali, aby wyjrzyć za nim: Kalist podążył przez podwórze i znikł za furtką. Baronowa nie powróciła do gazety – tak była wzburzona. W tym życiu jednostajnym i spokojnym przytoczona wymiana zdań odpowiadałaby w innej rodzinie kłótni. Niepokój matki nacichł, ale się nie rozwiął. Dokąd zaprowadzi Kalista owa niebezpieczna przyjaźń, za którą w potrzebie oddałby życie? Za cóż to baronowa miałaby błogosławić pannę des Touches? Oba te pytania przejmowały naiwną duszę Fanny troską nie mniej poważną niż kłopoty dyplomatów podczas rozszalałej rewolucji. Kamil Maupin był w tym cichym i miłym domu niby rewolucja.

– Bardzo się boję, żeby ta kobieta nie zepsuła nam Kalista – rzekła, biorąc gazetę do ręki.

– Moja droga Fanny – odpowiedział krotocwilnie stary baron – nazbyt jesteś anielska, żeby rozumieć się na tych rzeczach. Nasz Kalistek powinien był przecież zwrócić się do tej panny des Touches, czterdziestoletniej i ponoć czarnej jak kruk, a jurnej jak Turek. Ot, nakłamię raz i drugi, co nie przynosi w tym przypadku żadnej ujmy, aby zataić swoje szczęście. Pozwólże mu się radować jego pierwszym oszustwem miłosnym.

– Gdyby to była inna kobieta...

– Moja droga Fanny, gdyby to była kobieta święta, nie przyjmowałaby twojego syna. – Tu baronowa wzięła znów gazetę. – Pójdę ja ją obejrzeć – dodał starzec – i zdam ci relację.

Słowa te mają wartość li tylko smacznej anegdoty. Znając biografię Kamila Maupin, czy wyobrazicie sobie, jak stary baron wyklócałby się z tą sławną kobietą?

Miasto Guérande obserwując, jak od dwóch miesięcy Kalist, jego duma i kwiat, chodził co dzień po południu lub rankiem – a często i rankiem, i po południu – do Touches, myślało, że panna Felicjta des Touches, rozkochawszy się na zabój w tym pięknym chłopcu, odprawia nad nim czary. Niejedna panienska i niejedna młoda kobieta zastanawiała się, mocą jakiego to przywileju starzejąca się kobieta może władać aż tak niepodzielnie naszym aniołem. Toteż kiedy Kalist mijał ulicę Główną, kierując się ku bramie Croisic, odprowadzało go niejedno spojrzenie.

Musimy z kolei wyjaśnić, czemu aż taki rozgłos otaczał osobę, do której zmierza Kalist. Plotki te, wyolbrzymione bretońską intrygą, jątrzone publiczną ciemnotą, dotarły aż do uszu proboszcza. Poborca podatkowy, sędzia pokoju, naczelnik urzędu celnego w Saint-Nazaire jako też inni ludzie wykształceni, zamieszkali w powiecie, nie pocieszyli bynajmniej księdza Grimont opowieściami o dziwnym życiu artystki ukrywającej się pod nazwiskiem Kamila Maupin. Jak dotąd nie jadała dzieci, nie zabijała niewolników niby Kleopatry, nie kazała wrzucać kochanków do rzeki, o co oskarża się fałszywie pewną znakomitą mieszkankę wieży Nesle³²; ale dla księdza Grimont to monstrum, mające w sobie coś z syreny i z ateusza razem, niemoralna mieszanina kobiety i filozofa, uchybiało wszelkim prawom społecznym,

³¹ F o c j o n (ok. 400–317 p.n.e.) – wódz i polityk, zaciekły i bezwzględny przeciwnik wielkiego mówcy Demostenesa.

³² Mieszkanka wieży Nesle – patrz przypis 19.

które wynaleziono w tym celu, aby temperować lub wykorzystywać słabości znamionujące pleć piękną.

Klara Gazul to pseudonim kobiety pewnego utalentowanego pana³³, George Sand to pseudonim męski pewnej genialnej kobiety, a Kamil Maupin to maska, pod którą ukrywała się długo czarująca dziewczyna, doskonale urodzona, Bretonka nazwiskiem Felicjta des Touches; ona to przyprawia obecnie baronową du Guénic i pocziwego plebana o tak okrutny niepokój. Rodziny tej nie łączyła żadna więź pokrewieństwa z des Touches'ami tureńskimi, z których wywodził się ów ambasador Regenta, słynący dziś bardziej talentem literackim niż ongi dyplomatycznym. Kamil Maupin – jedna z kilku sławnych kobiet dziewiętnastego stulecia – uchodził długi czas za autora; pióro jego bowiem nie nosiło już od początku cech kobiecych. Każdy dziś zna dwa tomy sztuk niescenicznych, pisanych na modłę Szekspira czy Lope de Vegi, opublikowanych w roku 1822, a które wywołały rodzaj rewolucji literackiej, kiedy wielki problem romantyków i klasyków dyskutowano na gorąco w dziennikach, klubach i w Akademii. Następnie Kamil Maupin wydał znów parę sztuk teatralnych i powieść, które nie zaprzeczyły bynajmniej sukcesom, jakie zyskała owa pierwsza publikacja, dziś już nazbyt zapomniana. Wyjaśniając, jaki to splot okoliczności doprowadził do wcielenia młodej panny w mężczyznę, w jaki sposób Felicjta des Touches została autorem, dlaczego, szczęśliwsza od pani de Staël, zachowała wolność, dzięki czemu łatwiej wybaczają jej sławę – czyż nie zaspokoimy ogólnej ciekawości i nie uzasadnimy jednego z tych potwornych zjawisk, co wystają wśród ludzi na kształt monumentalnych pomników, zjawisk tym słynniejszych, że spotykanych rzadko? Bo na przestrzeni dwudziestu wieków z trudnością zliczyłbyś dwadzieścia wielkich kobiet. Toteż choć wyznaczaliśmy jej tu rolę poślednią, panna des Touches wywiera tak zasadniczy wpływ na Kalista i zajmuje tak poważne miejsce w historii literatury naszych czasów, że nie pożałujecie zatrzymawszy się przy tej postaci trochę dłużej, niżby sobie życzyła nowoczesna poetyka.

W roku 1793 Felicjta des Touches utraciła swoich najbliższych. Skutkiem tego majątek państwa des Touches uniknął konfiskaty, której nie omieszkało by przeprowadzić za ich życia. Ojciec padł dziesiątego sierpnia, w drzwiach pałacu, wśród innych obrońców króla, do którego został wezwany jako major straży przybocznej. Brata, młodego gwardzistę, zamordowano w Carmes, po czym dwuletnia Felicjta straciła matkę, która umarła ze zgrzyoty w parę dni po drugim ciosie. Umierając pani des Touches powierzyła córeczkę swojej siostrze, zakonnicy z Chelles. Zakonnica ta, nazwiskiem de Faucombe, zabrała przezornie sierotę do Faucombe, dużego majątku ziemskiego pod Nantes, który stanowił własność pani des Touches. Osiedliła się tutaj z trzema innymi siostrami klasztornymi. Jednego z ostatnich dni Terroru pospólstwo z Nantes napadło na Faucombe, zburzyło zamek, wywlokło mniszki i wspólnie z małą Felicjtą uwięziło w Nantes pod oszczerczym zarzutem konszachców z emisariuszami Pitta i Koburga³⁴. Wyzwolił je Dziewiąty Termidor³⁵. Ciotka Felicjty umarła z przerażenia. Spośród owych zakonnicy dwie opuściły Francję, trzecia zaś, powierzywszy Felicjtę panu de Faucombe, najbliższemu z jej krewnych, a zarazem ciotecznemu dziadkowi, zamieszkałemu w Nantes, połączyła się z towarzyszkami na wygnaniu. Pan de Faucombe poślubił, licząc sobie lat sześćdziesiąt, młodą kobietę i oddał jej zarząd nad interesami. Zajmował się już tylko archeologią. Jedna to z namiętności, a właściwie manii, niezmiernie starcom pomocnych, pozwalają im bowiem łudzić się rzekomą żywotnością. Edukacja jego pu-

³³ Pseudonim kobiety pewnego utalentowanego pana – pisarz francuski Prosper Mérimée (1803–1870) pierwsze swe dzieło, zbiór niewielkich sztuk scenicznych, wydał w r. 1825 jako „Teatr Klary Gazul, aktorki hiszpańskiej”.

³⁴ Koburg – książę Fryderyk Sasko-Koburski (1737–1815), feldmarszałek i wódz armii austriackiej, nieprzejednany wróg rewolucji francuskiej.

³⁵ Dziewiąty Termidor – tj. 27 lipca 1794, przełomowy moment w historii rewolucji francuskiej; kontrrewolucyjna burżuazja obaliła dyktaturę jakobinów i sama objęła władzę.

pillki była całkowicie rzeczą przypadku. Felicjta wychowywała się sama, niby chłopiec, gdyż młoda pani, pogrążona w uciechach okresu Cesarstwa, nie pilnowała jej zbyt. Przesiadując z panem de Faucombe w bibliotece, czytała, co jej wpadło w rękę. Poznała więc życie w teorii i tak umysł Felicjty utracił niewinność, aczkolwiek pozostała dziewicą. Choć inteligencja bujała wśród nieczystości nauki, serca nic nie skaziło. Erudycja jej, wspomagana pasją czytania i wybora pamięcią, stała się zadziwiająca. Toteż mając lat osiemnaście zdobyła tyle wiedzy, ile powinniśmy wymagać od młodych dzisiejszych autorów, nim zaczną pisać. Nadzwyczaj obfita lektura stała się znacznie lepszym hamulcem dla jej namiętności niż rygory życia klasztornego, które rozpalał imaginację dziewcząt. Mózg, nafaszerowany wiadomościami nie przetrwonionymi i nie uporządkowanymi, dominował nad sercem dziecięcym. Zdeprawowana inteligencja, nie mająca wpływu na czystość obyczajów, zdumiała filozofów i obserwatorów, gdyby ktokolwiek w Nantes mógł podejrzewać przymioty panny des Touches. Skutek był tu odwrotny do przyczyny: Felicjta nie miała żadnych złych skłonności, każdą rzecz ujmowała myślowo i wstrzymywała się od czynów; stary Faucombe był nią zachwycony, pomagał mu w jego pracach; wyręczyła zacnego szlachcica w napisaniu trzech dzieł, które nasz archeolog i tak poczytywał za swoje, gdyż jego ojcostwo duchowe było ślepe. Wyteżona praca, za którą nie nadał rozwój fizyczny, przyniosła właściwe sobie skutki: Felicjta zachorowała, krew jej nadmiernie zagrzana groziła płucem suchotami. Lekarze zalecili przejażdżki konne i rozrywki światowe. Panna des Touches stała się bardzo zręczną amazonką i wyzdrowiała w parę miesięcy. Mając lat osiemnaście wystąpiła po raz pierwszy w świecie i wywarła takie wrażenie, że w Nantes nikt nie nazywał jej inaczej, jak piękną panną des Touches; pozostała jednak obojętna na wszelkie hołdy. Doszła do tego dzięki uczuciu, niezniszczalnemu u kobiety bez względu na jej wyższość. Ciotka i kuzynki uraziły Felicjtę, wyszydając jej prace i wykpiwając pustelniczny żywot w mniemaniu, że uczona panna nie potrafi się podobać – postanowiła więc okazać się zalotną i lekkomyślną, słowem: kobietą. Felicjta liczyła na jakąś wymianę myśli, spodziewała się duserów tak lotnych i wytwornych, jak wysoka była jej inteligencja i rozległym wykształcenie; doznała niesmaku słuchając banalnej konwersacji i głupich komplementów, a nade wszystko mierzyła ją arystokracja wojskowa, której wszędzie podówczas ustępowano pierwszeństwa. Zaniedbała naturalnie sztuk pięknych. Spostrzegłszy, że nie dorównuje lalkom, które grały na fortepianie i mizdrząc się wyśpiewywały romances, zapragnęła nauczyć się muzyki; wróciła tedy znów do swojej głębokiej samotni i z zapalem zabrała się do studiów pod kierunkiem najlepszego metra w Nantes. Była bogata, ku wielkiemu więc zdumieniu całego miasta sprowadziła samego Steibelta³⁶, by wydoskonalić swoją grę. Dotąd jeszcze opowiadają w Nantes o tych fumach książęcych. Pobyt mistrza kosztował ją dwanaście tysięcy franków. Ale grata potem jak wirtuoz. Później, w Paryżu, brała lekcje harmonii i kontrapunktu, dzięki czemu skomponowała dwie opery cieszące się olbrzymim sukcesem, choć publiczność nie dowiedziała się nigdy ich sekretu. Oficjalnym autorem tych oper jest Conti, jeden z najznamienitszych artystów naszej epoki; lecz okoliczność tę wyjaśnimy potem, gdyż wiąże się ona z historią serca panny des Touches. Przeciętność prowincjonalnej socjety nudziła ją tak okrutnie, imaginacja jej rodziła tyle wspaniałych myśli, że Felicjta porzuciła salony, gdzie zjawiała się po raz wtóry, by przyćmić kobiety blaskiem urody, nacieszyć się triumfem nad muzykalnymi damami i zbierać hołdy od mężczyzn inteligentnych; wykazawszy więc dwóm kuzynkom swoją potęgę i przywiódłszy do desperacji dwóch konkurentów, wróciła do książek, fortepianu, dzieł Beethovena i do starego Faucombe. W roku 1812, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, nasz archeolog zdał jej rachunek z opieki; jakoż tego roku objęła zarząd nad majątkiem, na który składało się piętnaście tysięcy liwów renty, jaką dawało Touches, wieś jej ojca; dwanaście tysięcy franków – dochód z włości Faucombe, który wzrósł potem o jedną trzecią, kiedy zawarła nowe kontrakty dzierżawne,

³⁶ Daniel Steibelt (1765–1823) – niemiecki kompozytor i pianista.

i kapitał wynoszący trzysta tysięcy franków, które zaoszczędził jej opiekun. Z życia prowincjonalnego Felicycyta wyniosła tylko zrozumienie dla majątku i ową rządność, która reguluje może wzmagający się wciąż napływ kapitałów do stolicy. Wycofała trzysta tysięcy franków z domu bankowego, gdzie archeolog umieścił je był na procent, i ulokowała w obligacjach państwowych, akurat w momencie klęski i rejterady moskiewskiej. Podwyższyło to jej rentę o trzydzieści tysięcy franków. Odliczywszy wszelkie wydatki, pozostawało jej pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie do lokaty. Tę dwudziestojednoletnią pannę cechowała wola godna trzydziestoletniego mężczyzny. Umysł jej rozwinął się niebywale, a nawykłszy do krytyki, mogła wydawać zdrowy sąd o mężczyznach, sztuce, świecie i polityce. Z tą chwilą opuściłaby Nantes, gdyby stary Faucombe nie zapadł na przewlekłą i śmiertelną chorobę. Była dla tego starca jak gdyby żoną, pielęgnowała go półtora roku z poświęceniem iście anielskim i zamknęła mu oczy w momencie, kiedy Napoleon walczył z Europą na trupie Francji. Odłożyła więc wyjazd do Paryża, czekając na zakończenie tych zmagania. Jako rojalistka, pognęła do stolicy, aby oglądać powrót Burbonów. Udzielili jej tam gościny książęta de Grandlieu, których była krewniaczką; ale nadeszła katastrofa marcowa – i wszystko stanęło przed nią pod znakiem zapytania. Obejrzała z bliska ostatni i malowniczy okres Cesarstwa, zachwyciły ją szeregi Wielkiej Armii, która przeciągając Polem Marsowym pozdrawiała – niby gladiatorzy w cyrku – swojego Cezara, nim padła pod Waterloo. Wielką i szlachetną duszę Felicycyta urzekło to czarodziejskie widowisko. Wstrząsy polityczne, feeria teatralnego dramatu w trzech miesiącach, który historia zatytułowała Stoma Dniami, pochłonęły ją i uchroniły od wszelkich namiętności pośród gwałtownych zaburzeń, kiedy to rozpierzchnęły się rojalistyczne salony, gdzie stawiała pierwsze kroki. Państwo de Grandlieu podążyli za Burbonami do Gandawy, zostawiając swój pałac na opiece panny des Touches. Felicycyta, nie życząc sobie pozycji podrzędnej, nabyła za sto trzydzieści tysięcy franków jeden z najpiękniejszych pałaców przy ulicy Mont-Blanc, dokąd przeprowadziła się w roku 1815, za drugim powrotem Burbonów. Sam ogród przynależny do tej posesji wart jest dziś dwa miliony. Przywykłszy do samodzielności, wzięła wkrótce udział w poczynaniach, które dotąd były na ogół wyłącznym przywilejem mężczyzn. W roku 1816 miała dwadzieścia pięć lat. Nie wiedziała nic o małżeństwie, a pojmując je tylko teoretycznie, osądzała jego przyczyny, a nie płynące zeń korzyści, i dostrzegała w nim jedynie wady. Umysł jej nieprzeciętny wzdygał się przed wyrzeczeniami, od których mężatka rozpoczyna życie; miłowała gorąco i ceniła niezależność, obowiązki macierzyńskie budziły w niej więc tylko niesmak. Szczegóły to niezbędne, aby czytelnik zrozumiał anomalie charakterystyczne dla Kamila Maupin. Nie zaznała opieki rodzicielskiej, od dzieciństwa była panią własnej woli, opiekował się nią stary archeolog, przypadek pchnął ją w dziedzinę nauki i wyobraźni, w świat literacki – miast utrzymać w kręgu nakreślonym przez bagatelną edukację, jaką daje się kobietom, i przez nauki macierzyńskie dotyczące toalet, obłudnej przyzwoitości i powabów Diany-łowczyni. Jakoż, nim jeszcze została sławną, widziało się już na pierwszy rzut oka, że nigdy nie bawiła się lalkami. Pod koniec roku 1817 panna des Touches zorientowała się, że choć jeszcze nie wieździe, widać już na niej pierwsze ślady znużenia. Pojęła, iż uparty celibat skazi niebawem jej urodę, a pragnęła pozostać piękną, gdyż akurat zależało jej na tym. W nauce znalazła potwierdzenie wyroku, jaki natura wydała na swoje twory: marnieją one zarówno skutkiem nadużycia, jak zapoznania jej praw. Zadrzała wspomniawszy wyniszczoną twarz ciotki. Mając do wyboru mariaż lub namiętne uczucie, pragnęła zachować wolność; i przestała być obojętną na hołdy, którymi ją otaczano. Nic się niemal nie zmieniła od roku 1817 do momentu, w którym rozpoczynamy tę opowieść. Okres osiemnastoletni potraktował ją z szacunkiem. Skończywszy rok czterdziesty, mogła się przyznawać do lat dwudziestu pięciu. Toteż obecny jej wizerunek jest wizerunkiem z roku 1817. Kobiety, świadome, w jakich warunkach sprzyjających temperamentowi i urodzie winna znajdować się kobieta, aby oprzeć się zębowi czasu, rozumieją, jak i dlaczego Felicycyta des

Touches cieszyła się tak wielkim przywilejem, przestudiowawszy portret, dla którego zachowałem najświetniejsze odcienie palety i najbogatszą ramę.

Bretania nasuwa szczególny problem do rozwiązania: w tym kraju, sąsiadującym z Anglią, a więc niezbyt od niej różnym pod względem warunków atmosferycznych, przeważają ciemne włosy, ciemna cera i ciemne oczy. Czy problem ten wiąże się z wielkim zagadnieniem ras i z nie zaobserwowanymi dotąd wpływami fizycznymi? Uczeni wyszukają może kiedyś przyczynę tej osobliwości, której nie spotykamy już w Normandii, prowincji graniczącej z Bretanią. Póki nie wyjaśni się tego, mamy przed oczyma taki oto fakt dziwaczny: dość rzadko spotkasz Bretonki jasnowłose i prawie wszystkie mają ogniste oczy kobiet z Południa, postać ich jednak nie odznacza się smukłością, wysokim wzrostem i wężową linią Hiszpanek czy Włoszek: są na ogół niskie, krępe, przysadziste i muskularne, z wyjątkiem szlachcianek, w których pokrzyżowały się alianse arystokratyczne. Panna des Touches, jako rodowita i rasowa Bretonka, jest niska, nie ma pięciu stóp wzrostu, które jej dają. Omyłkę tę powoduje sama budowa ciała, która ją podwyższa. Ma cerę oliwkową w dziennym, a białą w sztucznym świetle: cecha to pięknych Włoszek; powiedziałbyś, ożywiona kość słoniowa. Światło ześlizguje się po tym cieple i błyszczy w nim jak w polerowanym kamieniu; trzeba gwałtownego wzruszenia, aby jagody podbarwił blady rumieniec, który zresztą szybko znika. Właściwość ta czyni jej lico niewzruszonym, jak twarz dzikiego. Lico to bardziej wydłużone niż owalne, niczym u jakiejś pięknej Izydy z płaskorzeźb eginejskich. Powiedziałbyś, że to głowa sfinksa – tak jest czysta w zarysie – wypolerowana żarem pustyni, wypieszczona płomieniem egipskiego słońca. Smągła płeć harmonizuje tedy z jej foremnością. Czarne, obfite włosy spływają warkoczami wzdłuż szyi; przypomina to egipską fryzurę ujętą podwójnym pasem wstążki, fryzurę, jaką widzimy u posągów z Memfis – znakomite dopełnienie surowej całości. Czoło pięknie sklepione, wysokie, o skroniach z lekka wypukłych, czoło dosłownie promienne – gdyż światło stale się w nim odbija – przecina pionowa bruzda jak u Dianylowczyni; czoło to potężne tchnie siłą woli, milkliwością i spokojem. Gęsta brew o zdecydowanej linii ocienia oczy, których ogień iskrzy się chwilami ogniem gwiazdy stałej. Białko oka nie jest ani niebieskawe, ani usiane czerwonymi żyłeczkami, ani też czysto białe; odznacza się spoistością rogu, lecz ton ma ciepły. Żrenicę okala pomarańczowa obwódka. To brąz oprawiony w złoto, ale złoto jest żywe, a brąz pełen życia. Głęboka to żrenica. Nie przeziera spod niej, jak u niektórych ludzi, jakby błysk stali odbijającej światło i upodobniającej ją do oczu tygrysów i kotów; nie ma w niej owego strasznego nieprzejednania, które ludzi wrażliwych przejmuje dreszczem, ale ta głębia ma swoją nieskończoność, tak samo jak ów blask oczu lustrzanych ma swój absolut. Wzrok obserwatora może zagubić się w tej duszy, co błyskawicznie skupia się lub ucieka – tak samo jak błyskawicznie tryska z tych aksamitnych oczu. Wspaniale jest oko Kamila Maupin w momentach uniesienia: złoto żrenicy rozpala kremową biel i wszystko płonie; ale w chwilach spokojnych przygasa, zaduma i jej odrętwienie przydają mu często pozorów tępoty, a kiedy brak w nim światła duszy, lico również posępnieje. Rzęsy są krótkie, lecz gęste i czarne jak ogon gronostaja. Brunatny odcień powiek, pokrywająca je sieć czerwonych żyłek dodają wdzięku i świadczą zarazem o sile: dwa przymioty, które z trudnością kojarzą się u kobiet. Skóra wokół oczu nie przywiedła nic a nic i nie znajdziesz tam choćby jednej zmarszczki. Tu także dostrzeżesz granit egipskiego posągu, z biegiem lat wydolikacony. A jednak wypukłość policzków, choć łagodna, jest bardziej wydatna, niż bywa na ogół u kobiet, i jakby raz jeszcze świadczy o sile, którą wyraża to lico. Nos cienki i prosty. Wycięte ukośnie nozdrza, przez które prześwituje światło, rozdymają się namiętnie, ukazując różowe wnętrza. Nos tworzy prześliczną linię z czołem i jest idealnie biały, o koniuszku jak gdyby ruchomym, zdolnym wprawić w zachwyt, kiedy Kamil oburza się, gniewa czy buntuje. Tu przede wszystkim, jak zauważył Talma³⁷, odbija się złość lub

³⁷ François-Joseph Talma (1762–1826) – znakomity aktor francuski, ulubieniec Napoleona.

ironia dusz wielkich. Nozdrza nieruchome wskazują na swoistą oschłość. Nigdy jeszcze nie drgnął nos skapca: jest zaciśnięty jak usta, bo w twarzy skapca wszystko jest zamknięte, jak w jego domu. Usta, wygięte w kącikach, są intensywnie czerwone, krwiste; krew dostarcza im owej czerwieni pełnej życia i myśli, przydają one wargom tyle powabu, że niech uspokoi się kochanek, przerażony majestatyczną powagą tej twarzy. Górna warga jest wąska, zagłębienie, łączące ją z nosem, sięga nisko jak w łuku i używa jej szczególnego wyrazu w chwilach pogardy. Felicycie niewiele trzeba, żeby objawić gniew. Śliczną tę wargę obrzeża szeroki skraj wargi dolnej; tai się tu urocza dobroć i wielka zdolność kochania, zdaje się, że Fidiasz wyrzeźbił ją na kształt pękniętego granatu, od którego zapożyczyła barwy. Owal jest pełen zdecydowania; broda, choć nieco pulchna, wyraża stanowczość i znakomicie dopełnia ów profil królewski, jeśli nie boski. Musimy powiedzieć, że pod nosem smuży się leciutko wdzięczny puszek. Natura popełniłaby błąd, zapomniawszy o tej słodkiej mgielce. Delikatne linie ucha świadczą o bogatej i utajonej subtelności. Ramiona szerokie, biust dość obfity, talia cienka. Biodra niezbyt wydatne, ale powabne. Smukłością swoją przywodzą bardziej na myśl Bachusa niż Wenus Callipygos. Tu występuje rys, którym od swojej płci różnią się niemal wszystkie sławne kobiety: są pod tym względem w jakiś nieokreślony sposób podobne do mężczyzn, nie mają ani miękkości, ani ociążałości kobiet przeznaczonych od natury do macierzyństwa, z ruchów ich nie przebija powabna miękkość. Spostrzeżenie to ma, jak medal, dwie strony: kobiece biodra cechują mężczyzn wyrafinowanych, przebiegłych, nieszczerych i tchórzliwych. Głowa Felicyty osadzona jest na karku z lekka wypukłym, przechodzącym w ramiona linią nie wklęsłą, ale spadzistą: niewątpliwe to znamię siły. Na karku tym występują chwilami fałdy imponujące jak u atlety. Przeguby ramion, wspaniale związane, przywodzą na myśl kobietę-kolosa. Zakończeniem muskularnych ramion jest dłoń istic angielskiej delikatności, pulchna, ozdobiona dołeczkami i paznokciami przyciętymi w kształt migdałów, dłoń, która zdradza swoją białością, że ciało Felicyty, tak jędrne, nabite i proporcjonalne, ma całkiem inny odcień aniżeli twarz. Stanowczy i zimny wyraz twarzy łagodzi ruchliwość warg, które co chwila zwiastują jakąś odmianę, i subtelna gra rozdymających się nozdrzy. Ale mimo ekscytujących obietnic, przed okiem profana raczej utajonych, w spokoju tej fizjonomii czai się jakby wyzwanie. Na twarzy tej, nie tyle wdzięcznej, ile melancholijnej i poważnej, gości wciąż smutek zadumy. Przy tym panna des Touches woli słuchać niż mówić. Przeraża swoją milkliwością i spojrzeniem mądrym, pełnym głębokiej i rozumnej baczności. Każdy człowiek prawdziwie wykształcony patrząc na nią, myśli o Kleopatrze, owej drobnej brunetce, przez którą o mało się nie zmieniło oblicze świata, ale w pannie des Touches tyle jest niekłamanej i skoncentrowanej zwierzęcości, tak bardzo samą swoją naturą przypomina lwicę, iż mężczyzna choćby tylko trochę brutalny żałuje, że z tym świetnym ciałem połączył się wielki umysł, i pragnąłby w niej wyłącznie kobiety. Każdy lęka się, by nie spotkać dziwnego zepsucia, którego źródłem jest dusza diabelska. Czyż chłodna analiza i rzeczowa myśl nie rzucają u niej refleksów na uczucie? Czy ta panna nie analizuje miast odczuwać? Albo też – zjawisko bez porównania groźniejsze – czy nie odczuwa, analizując jednocześnie? Mózg jej ma nieograniczone możliwości, czyż więc winna zatrzymywać się tam, gdzie inne kobiety? Czy ta siła intelektualna osłabia serce? Czy ma wdzięk? Czy zniża się do wzruszających drobiazgów, jakimi kobieta zaprzęta, bawi i ciekawi ukochanego mężczyznę? Czy nie łamie uczucia, jeśli nie harmonizuje ono z nieskończonością, którą ogarnia i kontempluje? Kto zdoła zapełnić otchłań jej oczu? Obawiamy się, by nie znaleźć tam czegoś dziewiczego, nieujarzmionego. Kobieta silna, która winna być tylko symbolem, przeraża nas w rzeczywistości. Felicyta jest po trosze żywym wcieleniem owej Izydy Szyllera; u stóp tego bóstwa, ukrytego głęboko w świątyni, kapłani znajdowali dogorywających zapaśników, którzy wazyli się przyjść po radę. Świat uważa niektóre romanse panny des Touches za prawdziwe, ona zaś bynajmniej nie zaprzecza, potwierdzając tym sposobem wątpliwości powstałe na jej widok. Kto wie, może lubi te oszczerstwa? Uroda panny des Touches taki już ma charakter, że wpły-

nęła do pewnego stopnia na jej renomę; przysłużył on jej się, podobnie jak majątek i pozycja utrzymały ją w centrum wytwornego świata. Gdyby rzeźbiarz zechciał wykuć prześliczny posąg Bretanii, mógłby wziąć za model pannę des Touches. Jedynie taki temperament jak jej, sangwiczny, popędliwy, może powstrzymać działanie czasu. Ustawicznie odżywiana tkanka tej skóry gładkiej i lśniącej to jedyna broń przed zmarszczkami, w jaką natura wyposażyla tę kobietę. Pannę des Touches chroni zresztą także od nich jej kamienna twarz.

W roku 1817 ta czarująca dziewczyna otworzyła podwoje znanym literatom, uczonym i dziennikarzom, ku którym kierował ją instynkt. Miała salon – podobnie jak baron Gerard – gdzie arystokracja mieszała się ze sławnymi ludźmi i gdzie bywały najpiękniejsze i najwykwintniejsze paryżanki. Dzięki swoim koligacjom i fortunie powiększonej schedą po ciotce-zakonniczy panna des Touches bez jakiegokolwiek wysiłku zgromadziła wokół siebie towarzystwo: przedsięwzięcie w Paryżu nader trudne. Przyczyną jej powodzenia była niezależność. Niejedna ambitna matka powzięła nadzieję, że zyska jej rękę dla syna, którego majątek wziął rozbrat ze świetnością klejnotu. Ten i ów par Francji, zwabiony osiemdziesięcioma tysiącami renty, zachwycony przepychem i elegancją domu, przyprowadzał najbardziej krnąbrnego i wymagającego ze swoich krewniaków. Upodobali sobie ten salon dyplomaci, zawsze żądni rozmów ciekawych i dowcipnych. Panna des Touches, otoczona mnóstwem osób zainteresowanych, mogła więc obserwować przeróżne rodzaje komedyj, jakie namiętność, chciwość lub ambicja każą odgrywać mężczyznom, nawet stojącym u szczytu. Wczesnie poznała świat takim, jakim jest, i szczęście dopisało jej na tyle, iż nie od razu zapłonęła ową miłością całkowitą, która, chłonąc inteligencję i zdolności kobiety, pozbawia ją zdrowego sądu o rzeczach. Zazwyczaj kobieta najpierw kocha, potem się bawi, a na końcu wyciąga wnioski; są to trzy oddzielne okresy jej życia, z których ostatni zbiega się ze smutną starością. U panny des Touches porządek ten był odwrotny. Młodość jej spowijał śnieg nauki i chłód zadumy. Odmiennością tą tłumaczy się również istota talentu Felicyty i jej przedziwne życie. Poddawała mężczyzn obserwacji w tych wypadkach, kiedy inne kobiety dostrzegają tylko jednego mężczyznę, gardziła tym, co one wielbiły, wyławiała kłamstwo w pochlebstwach przyjmowanych przez nie za dobrą monetę, śmiała się z tego, co one traktowały poważnie. Długo żyła tą przekorą – i koniec był straszny: Felicyta – nieubłaganą koleją losu – odkryła w sobie pierwszą miłość, naiwną i świeżą, w momencie, kiedy natura wzywa kobietę do wyrzeczenia się miłości. Jej pierwszy romans osłaniała taka tajemnica, że nikt nie dowiedział się o nim. Felicyta, jak wszystkie kobiety zdające się bardziej na rozsądek niż na serce, wyrozumowała, że w pięknym ciele musi gościć piękna dusza, zadurzywszy się więc w urodziwej powłoce, poznała gruntownie głupotę kobieciarza, który w kochance widział tylko kobietę. Po jakimś czasie otrząsnęła się jednak z niesmaku, którym zaczął napawać ją ten bezsensowny związek. Inny mężczyzna, odgadłszy jej ból, pocieszał ją bez ubocznej myśli – albo też umiał maskować swoje plany. Felicycie zdawało się, że znalazła szlachetność serca i rozum, których nie miał dandys. Mężczyzna ów to jeden z najoryginalniejszych umysłów naszej epoki. On też pisywał pod pseudonimem, występując w pierwszych swoich dziełkach jako wielbiciel Włoch. Felicyta musiała wozajować, inaczej bowiem ostatnia nie znana jej dziedzina wiedzy pozostałaby nadal nietkniętą. Ów kpiarz i sceptyk zabrał Felicytę, aby pokazać jej ojczyznę sztuki. Słynny nasz nieznajomy może uchodzić za twórcę Kamila Maupin. Wprowadził ład w ogromną erudycję Kamila, dodał do niej studia nad arcydziełami, jakich pełno we Włoszech; od mężczyzny tego Kamil przejął ów ton subtelny i wymyślny, ironiczny i głęboki, nieco dziwny w formie i znamionujący jego talent – przejął, lecz i zmodyfikował nasycając delikatnością uczucia i wzbogacając przemyślnymi zwrotami, charakterystycznymi dla pióra kobiecego. Ów pan rozmiłował Felicytę w literaturze niemieckiej i angielskiej, skłonił, aby podczas wozaju uczyła się obu tych języków. W roku 1820, w Rzymie, porzucił ją dla jakiejś Włoszki. Gdyby nie ten dramat osobisty, Felicyta nigdy by może nie zasłynęła. Napoleon zwał nieszczęście akuszerką geniuszu. Wypadek ów natchnął pannę des Touches ową pogar-

dą dla mężczyzn, która czyni ją tak silną. Zmarła Felicjta, narodził się Kamil. Wróciła do Paryża z Contim, wielkim muzykiem, dla którego skomponowała dwa libretta operowe. Straciwszy jednak wszelkie iluzje, stała się, o czym świat nie wiedział, kimś w guście kobiecego Don Juana – ale bez długów i bez podbojów. Zachęcona powodzeniem, opublikowała dwa tomy sztuk teatralnych, które od pierwszej chwili postawiły Kamila Maupin w rzędzie znakomitych anonimów. Odmalowała swój zawód uczuciowy w krótkiej i prześlicznej powieści: to jedno z arcydzieł naszej epoki. Książkę tę, siejącą zgubny przykład, porównano z „Adolfem”³⁸; straszliwy ów lament znalazł replikę w dziełku Kamila. Nikt nie zrozumiał jeszcze delikatności, z jaką Felicjta dokonała swojej metamorfozy literackiej. Jedynie kilka subtelnych umysłów dostrzega ową wielkoduszność, która, wydając mężczyznę na żer krytyki, chroni kobietę przed rozgłosem i dozwala jej pozostawać w ukryciu. Felicjta, bynajmniej sobie tego nie życząc, stawała się sławniejsza z dnia na dzień, zarówno dzięki wpływom swojego salonu, jak szybkim i ciętym odpowiedziami, słuszności sądu i gruntownej wiedzy. Była autorytetem, powtarzano sobie jej słowa, nie mogła uwolnić się od funkcji, jakimi obdarzyło ją towarzystwo paryskie. Stała się wyjątkiem dopuszczalnym. Świat ugiął czoła przed talentem i fortuną tej dziwacznej panny; uznał i usankcjonował jej niezależność, kobiety podziwiała jej dowcip, a mężczyźni urodę. Podporządkowała zresztą swoje postępowanie wszelkim konwenansom towarzyskim. Miłostki jej wydawały się czysto platoniczne. Nie miała w sobie skądinąd nic z kobiety piszącej. Panna des Touches to urocza dama światowa – w miarę ulegająca swoim słabościom, leniwa, zalotna, zaprzątająca się toaletami, rozmiłowana w bagatelkach, które mają tyle czaru dla poetów i dla kobiet. Pojęła wybornie, że po pani de Staël nie ma w naszej epoce miejsca dla nowej Safony i że Ninon³⁹ zginęłaby w Paryżu pozbawionym magnatów i rozwiązłego dworu. Jest pod względem inteligencji jak Ninon: uwielbia sztukę i artystów, raz wyróżnia poetę lub muzyka, innym razem rzeźbiarza albo powieściopisarza. Nad wyraz wielkoduszna i szlachetna, łatwo daje się nawet oszukiwać, litując się naiwnie nad nieszczęściem i gardząc szczerze ludźmi szczęśliwymi. Od roku 1830 przebywa wśród wybranego grona przyjaciół, którzy kochają się serdecznie i darzą wzajemnym szacunkiem. Obca zarówno zgielkowi, jaki wokół siebie robiła pani de Staël, jak i walkom politycznym, kpi zdrowo z Kamila Maupin, owego młodszego brata George Sand, którego nazywa Kainem, zabił bowiem swoją świeżą sławą sławę pani Sand. Panna des Touches podziwia swoją szczęśliwą rywalkę z anielską nonszalancją, nie czując zazdrości i nie tając żadnych złych myśli.

Aż do momentu, w którym zaczyna się nasza opowieść, wiodła najszcześniejszy żywot, jaki może sobie wymarzyć kobieta dość silna, by bronić się sama. W latach 1817 – 1834 zawiątała w Touches ze sześć razy. Pierwszy raz wybrała się tam w roku 1818, po pierwszym zawodzie miłosnym. Dwór w Touches nie nadawał się wtedy do zamieszkania, odesłała więc swojego administratora do Guérande i zajęła jego dom. Nie przewidywała w tym czasie, że zostanie sławną, smęciła się, unikała ludzi, chciała niejako rozpatrzeć się w sobie po tej wielkiej klęsce. Napisała do jednej z paryskich przyjaciółek, prosząc o zakup najkonieczniejszych mebli, jakimi należałoby zapełnić dwór. Meble przywieziono statkiem do Nantes, stamtąd stateczkiem do Croisic, a z Croisic przetransportowano nie bez trudności po piaskach do Touches. Sprowadziła robotników z Paryża i zamknęła się w Touches, gdyż majątek ten niezmiernie przypadł jej do gustu. Pragnęła medytować tutaj nad sprawami życia, niby w swoim prywatnym eremie. Z początkiem zimy wróciła do Paryża. W miasteczku Guérande rozpętała się tymczasem diabelska ciekawość: gadano wciąż o azjatyckim przepychu, wśród którego żyła panna Felicjta. Rejent prowadzący jej interesy wydawał pozwolenia tym, którzy pragnęli

³⁸ „Adolf” – powieść francuskiego pisarza Beniamina Constant (1767–1830); są to dzieje wielkiej, tragicznej miłości, będące odbiciem stosunku, jaki łączył autora z panią de Staël.

³⁹ Ninon de Lenclos (1620–1705) – znana z inteligencji i urody kurtyzana francuska; salon jej skupiał najwybitniejsze umysły epoki.

zwiedzać Touches. Ściągano z Batz, z Croisic i z Savenay; W ciągu dwóch lat ciekawość ta przyniosła olbrzymi dochód rodzinom stróża i ogrodnika: siedemnaście franków. Dziedziczka zawitała w Touches dopiero po dwóch latach, wróciwszy z Włoch, a nadjeżdżając od Croisic. Nie wiadomo więc jakiś czas w Guérande, że towarzyszył jej kompozytor Conti. Zjawiała się w Guérande raz i drugi, lecz wizyty te nie wzbudziły zbytniego zainteresowania. Administrator jej i co najwyżej rejent byli wówczas wtajemniczeni w sławę Kamila Maupin. Z czasem jednak nowe idee, udzielając się jak choroba, rozprzestrzeniły się nieco w Guérande i kilka osób wiedziało już o podwójnym życiu panny des Touches. Naczelnik poczty otrzymywał listy adresowane do Kamila Maupin w Touches. Na koniec zasłona się rozdarła. W okolicach do gruntu katolickich, zacofanych, zabobonnych osobliwe życie tej sławnej panny musiało nabrać rozgłosu, którym zaniepokoił się wreszcie ksiądz Grimont, a nigdy nie mogło być zrozumiane; toteż wydało się ono każdemu potwornym. Obecnie Felicjta nie była w Touches sama, miała gościa. Był nim Klaudiusz Vignon, pisarz wzgardliwy i pyszny, który choć zajmował się wyłącznie krytyką, znalazł sposób, aby nadać swojemu dziełu pozór pewnej wyższości i przekonać o niej społeczeństwo. Felicjta przyjmując Klaudiusza od lat siedmiu, jak i stu innych autorów, dziennikarzy, artystów i światowców, znała jego słaby charakter, lenistwo, głęboką małostkowość, niedbalstwo i ogólny przesyt. Sądziłbyś jednak z jej postępowania, że rada by go poślubić. Politykę tę, niezrozumiałą dla przyjaciół, tłumaczyła sobie ambicjami i lękiem przed starością; chciała zawierzyć ostatni okres życia człowiekowi wybitnemu, który znalazłby odskocznnię w jej majątku i odziedziczył po niej wpływy w świecie literackim. Porwała więc Klaudiusza Vignon ze stolicy do Touches – jak orzeł unosi w szponach koźlę – aby go wysondować i powziąć szybko jakieś postanowienie; zwodziła jednak i Kalista, i Klaudiusza: ani myślała o małżeństwie, dręczyły ją najgwałtowniejsze niepokoje, jakie mogą targać duszą tak silną, skoro zawiedzie się na własnej inteligencji, skoro ujrzy, jak spóźnione promienie słońca miłości padają na jej życie, błyszcząc niby w sercu dwudziestolatki. Opiszemy z kolei erem Felicjty.

O kilkaset kroków od Guérande kończy się bretońska gleba, zaczynają się saliny i wydmy. Droga wąwozistą, która nigdy nie widziała pojazdów, schodzimy między pustynne piachy, będące jakby pasem granicznym wytyczonym tu przez morze. W pustyni tej napotkasz jałowe piachy, kapryśnie rozlane bajora otoczone podmokłymi wzgórzami, gdzie warzy się sól, i łachę morską dzielącą kontynent od wyspy Croisic. Croisic to pod względem geograficznym półwysp, że jednak łączy go z Bretanią i miasteczkiem Batz jedynie piaski jałowe i lotne, niełatwe do przebycia, może uchodzić za wyspę. W miejscu, gdzie rozgałęzia się droga z Croisic do Guérande, tworząc bity trakt, stoi dwór wiejski otoczony wielkim ogrodem, który zwraca uwagę mnogością krzywych i pogiętych sosen. Konary jednych układają się w parasol, z drugich opadły gałęzie, a wszystkie świecą czerwonymi pniami tam, gdzie odłupała się kora. Drzewa te, ofiary huraganów, drzewa nie zrażające się wiatrem ani przypliwem, przygotowują – rzekłbyś – duszę do smutnego i dziwnego widoku wydmy i salin, podobnych zakrzepłym falom morza. Dwór, dość porządnie zbudowany z łupku spajanego zaprawą murarską i wzmocnionego granitowymi słupami, nie ma żadnej określonej architektury: szara nieozdobna ściana, w niej symetryczne otwory okien. Na pierwszym piętrze okna zaszkłono wielkimi szybami, na parterze kwadratowymi szybami. Pod olbrzymim, spadzistym dachem ciągną się strychy, w obu ścianach szczytowych widnieją wielkie okna. Pod trójkątami obu szczytowych ścian dwa okna okrągłe, jak oko cyklopa: jedno spoziera na zachód – na morze, drugie w kierunku Guérande. Jedna fasada wychodzi na drogę do Guérande, druga na pustynię, gdzie z dala, na horyzoncie widać Croisic. Za miasteczkiem tym rozpościera się bezmiar morza. Otworem w murze ogrodu wymyka się strumień, płynie wzdłuż drogi do Croisic, przecina ją i, częściowo wsiąkając w piaski, wpada do słonego jeziorka okolonego wydmy i mokradłami. Łacha morska wdarła się tutaj, tworząc to jezioro. Droga szeroka na kilka sążni, przeprowadzona ową rozpadliną, wiedzie od gościńca do dworu. Dostaniecie się tu potęż-

ną bramą. Dziedziniec otaczają zabudowania wiejskie, raczej skromne: stajnia, wozownia, domek ogrodnika z kurnikami i komórkami, bardziej przeznaczonymi na użytek stróża niż dziedzica. Szarawy odcień dworu harmonizuje prześlicznie z kolorytem pejzażu. Park stanowi oazę na tej pustyni, u której wrót podróżny spotyka budkę ulepioną z błota, gdzie czuwają celnicy. Dziedzic tego majątku bez gruntów, a raczej majątku, którego grunta leżą na terenie gminy Guérande, otrzymuje z salin dziesięć tysięcy franków rocznego dochodu i jeszcze coś niecoś z folwarków rozsianych na łądzie stałym. Oto dobra lenne Touches, którym rewolucja odjęła dochody feudalne. Dziś Touches to tylko jakiś tam majątek ziemski; ale solnicy mówią nadal z a m e k i mówiliby nadal k a s z t e l a n , gdyby dziedzicem lenna nie była kobieta. Feliccyta, wielka artystka, odnawiając Touches nie zmieniła nic a nic posepnej szaty, która nadaje temu samotnemu domostwu wygląd więzienia. Tylko drzwi wejściowe ozdobiła dwiema ceglanyimi kolumnami wspierającymi galeryjkę, pod którą zmieści się powóz. Na dziedzińcu zasadziła drzewa.

Rozkład pokoi parterowych jest taki jak w większości dworów wiejskich, wzniesionych przed stu laty. Oczywiście dwór ten powstał na ruinach zameczku, który górując nad okolicą łączył niby ogniwo łańcucha Croisic, miasteczko Batz i Guérande – i władał salinami. U podnóża schodów zbudowano kolumnadę. W obszernej sieni, wykładanej tarcicami, Feliccyta urządziła bilard; za sienią jest ogromny salon o sześciu oknach – dwa z nich, w ścianie szczytowej, przerobiono na drzwi wiodące do ogrodu; schodzi się tam po dziesięciu stopniach; drzwi te znajdują się naprzeciwko drugiej pary drzwi – jednymi wchodzimy do jadalni, a drugimi do sali bilardowej. Kuchnię, położoną na przeciwległym końcu, łączy z jadalnym pokojem kredensowy. Schody dzielą bilard od kuchni; kuchnia miała ongi drzwi wychodzące na kolumnadę, lecz panna des Touches kazała je zamurować i wybić inne drzwi, od podwórza. Wysokość i rozmiary pokoi parterowych pozwoliły urządzić je ze szlachetną prostotą. Przyjęła za zasadę, aby nie ustawiać tutaj mebli kunsztownych. Salon, malowany w całości na perłowo, zdobią stare mahonie kryte zielonym jedwabiem, firanki z białego kartunu obszyte zieloną wstążką, dwie konsole i okrągły stół; pośrodku dywan w szachownicę; na potężnym kominku z olbrzymim lustrem stoi między dwoma empirowymi kandelabrami zegar, wyobrażający rydwan słońca. W sali bilardowej mamy w oknach firanki z szarego kartunu, obrzeżone zielono, i dwie sofy. Umeblowanie jadalni składa się z czterech pokaźnych mahoniowych kredensów, stołu i dwunastu mahoniowych krzeseł krytych włosiem. Rozwieszono tu wspaniałe ryciny Audrana⁴⁰ w mahoniowych ramach. Z pułapu zwisa wykwintna latarnia, jakimi oświetlano schody w wielkich pałacach, mieszcząca w środku dwie lampy. W obu tych pokojach belkowania powały mają naturalny kolor drzewa. Stare schody opatrzone solidną drewnianą balustradą wyścięła od góry do dołu zielony chodnik.

Na pierwszym piętrze są dwa apartamenty rozdzielone klatką schodową. Feliccyta zajęła pokoje z widokiem na mokradła, wydmy i morze. Apartament jej składa się z saloniku, obszernej sypialni, gotowalni i gabinetu do pracy. W drugiej części domu znalazła dość miejsca na dwa apartamenty – każdy z nich ma przedpokój i gotowalnię. Służba mieszka w pokojach na poddaszu. W dwóch apartamentach gościnnych znajdowały się zrazu tylko najkonieczniejsze sprzęty. Zbytkowne przedmioty wartości artystycznej, sprowadzone z Paryża, zarezerwowała dla siebie, pragnąc, aby w tym posepnym i melancholijnym domostwie, wśród tego posepnego i melancholijnego krajobrazu otaczały ją jak najbardziej fantastyczne twory sztuki. Ściany saloniku pokrywają piękne tapiserie z Gobelins, ujęte precudnie rzeźbionymi ramami. W oknach kazała udrapować najbardziej mięsistą tkaninę czasów dawnych: wspaniały brokat o dwojakim połysku, czerwono-złotym i żółto-zielonym, układający się w obfite i grube fałdy, obsyty królewską frędzlą, ozdobiony chwastami godnymi najprzepyszniejszych baldachimów kościelnych. Stoi tu średniowieczna skrzynia, którą wyszukał administrator,

⁴⁰ A u d r a n – nazwisko kilku rytowników francuskich, z których najbardziej znany był Gérard Audran (1640–1703).

wartająca dziś siedem do ośmiu tysięcy franków, stół hebanowy, rzeźbiony, kantorek o mnóstwie szuflad, inkrustowany w arabeski z kości słoniowej a przywieziony z Wenecji, wreszcie najpiękniejsze meble gotyckie, jakie można wymarzyć. Znajdziesz tutaj obrazy i statuetki – słowem wszystko, co pewien malarz, przyjaciel Felicyty, zdołał wybrać spośród najszacowniejszych przedmiotów u antykwariuszy, którzy w roku 1818 ani się domyślali, jakiej ceny nabiorą kiedyś te skarby. Umieściła na stołach piękne wazy japońskie w deseń fantastyczny. Kobierzec – to kobierzec perski kupiony od przemytników, którzy grasują na pobliskich wydmach. Sypialnię urządziła w stylu Ludwika XV, z nieomylną dokładnością. Łóżko rzeźbione, białe, o łukowatych oparciach – na których igrają amorki obrzucając się kwiatami – wyściełanych, obitych pikowanym jedwabiem. Nad łóżkiem baldachim z czterema pióropuszcami. Na ścianach oryginalny cync, przyozdobiony jedwabną pasmanterią, pełną kunsztownych węzłów; rokokowy garnitur kominka; matowo złożony zegar między dwoma wazonami – najprzedniejszy błękit sewrski – na mosiężnych postumentach; zwierciadło oprawione w tymże stylu; toaleta Pompadour ze swoimi koronkami i lustrem; a następnie te frymuśne meble, szeslong, diuszesy, wąska kanapka, niskie krzesło z wyściełanym oparciem przystawiane do kominka, parawan z laki, firanki z tegoż jedwabiu, co pokrycie mebli, a podszyte różowym ałtasem i udrapowane za pomocą grubych sznurów; dywan z fabryki w Savonnerie – słowem, wszelkie wykwintne przedmioty, bogate, wspaniałe, kruche, wśród których śliczne kobiety z osiemnastego wieku oddawały się miłostkom. Gabinet, całkowicie nowoczesny, przeciwstawia bibelotom z okresu Ludwika XV wdzięczne mahonie; bibliotekę zapelniają książki, ale że stoi tu otomana, gabinet przypomina buduar. Wabi tu wzrok mnóstwo czarujących drobiazgów, nieodzownych dla współczesnej kobiety: książki ze skrytkami, szkatułki do chustek i rękawiczek, umbrele ozdobione litofanią, statuetki, chińskie figurki, ekrytuary, dwa albumy, przyciski, słowem, niezliczona ilość modnych fidrygałów. Ciekawi oglądają z niespokojnym zdziwieniem pistolety, nargile, szpicrutę, hamak, fajkę, strzelbę myśliwską, bluzę robotniczą, tytoń, tornister żołnierski – dziwaczne zbiorowisko przedmiotów, oddające charakter właścicielki.

Każdy człowiek o wrażliwej duszy zawitawszy tutaj przejmie się do głębi szczególną urodą pejzażu, którego sawany rozpościerają się poza granicą parku – ostatnie zbiorowisko roślinności na kontynencie. Smutne czworokąty solanki przedzielone są białymi drózkami, po których przechadza się solarz, od stóp do głów odziany biało, zgrabiając sól i usypując z niej kopczyki; wyziewy solne nie pozwalają ptakom przelatywać nad tym obszarem, niweczając także wszelki wysiłek flory; na piachach tych oko pocieszy się jedynie widokiem suchej i upartej trawki o różowych kwiatkach i goździków kamiennych; jezioro morskiej wody, piaszczyste wydmy i panorama Croisic, miniaturowego miasta, rzuconego, jak Wenecja, na pełne morze, wreszcie olbrzymi ocean, okalający granitowe rafy koronkami piany, by tym mocniej podkreślić dziwaczność ich kształtu – cały ten krajobraz podnosi myśl zasmucając ją zarazem: szlachetna surowość kontemplowana czas dłuższy budzi tęsknotę za rzeczami nieznanymi, które ukazują się duszy przelotnie na wyżynach tak dalekich, że zdolnych przyprawić o desperację. Tak więc ta pierwotna harmonia natury odpowiada tylko wielkim umysłom albo wielkiej tragedii. Felicyta wpatrywała się całymi dniami w tę pustynię pełną efektów malarzkich, gdzie promienie słońca odbite od wód i piachu pobielają miasteczko Batz, spływają z dachów Croisic i jarzą się okrutnym blaskiem. Rzadko zwracała oczy ku rozkosznym i świeżym pejzażom, ku gajom i ukwieconym żywopłotom, które spowijają Guérande, niby pannę młodą, kwiatami, wstęgami, wieńcami i welonem. Trawiła ją wtedy boleść okropna, boleść o nieznaną przyczynę.

Dostrzegłszy z gościńca ponad janowcami i krzywymi łbami sosen dwa kurki obracające się na dachu, Kalist odetchnął swobodniej. Guérande wydawało mu się więzieniem, żył naprawdę w Touches. Któż nie zrozumiałby powabów, jakie ciągnęły tam naiwnego młodzień-

ca? W przypląwie miłości padł jak Cherubin⁴¹ do stóp osoby, która była dlań wielkością, zanim ujrzał w niej kobietę, i afekt ów miał przetrwać, choć panna des Touches odtrącała go z niewytłumaczonych względów. Uczucie to, bardziej potrzeba kochania niż miłość, nie uszło, rzecz jasna, przed bezlitosną analizą Felicyty; stąd zapewne odmowa – szlachetność, której nie mógł pojąć Kalist. Ponadto występowały tu w całym blasku cuda cywilizacji współczesnej, tworząc tym żywszy kontrast z Guérande, gdzie ubóstwo du Guéników uchodziło za świetność. Tutaj zachwyconym oczom młodego prostaczka, który znał tylko janowce Bretanii i wrzosa Wandei, ukazała się cała gama bogactw paryskich, bogactw nowego dlań świata; usłyszał tu również język melodyjny i tajemniczy. Wsłuchiwał się w poetyczne brzmienia najpiękniejszej muzyki, zdumiewającej muzyki dziewiętnastego wieku, gdzie melodia i harmonia walczą o lepsze, instrumentacja zaś i śpiew doszły do niebywałej perfekcji. Ujrzał tam najszczerzejsze dzieła sztuki: obrazy szkoły francuskiej, dzisiaj spadkobierczyni Włochów, obrazy hiszpańskie i flamandzkie, gdzie talent stał się czymś tak pospolitym, że nasze oczy i serca – znużone – domagają się wielkim głosem geniuszu. Przeczytał tam owe dzieła wyobraźni, zadziwiające płody literatury współczesnej, które z całą swoją mocą oddziałują na serca naiwne. Wreszcie nasz wielki wiek dziewiętnasty pojawił mu się w całej swojej wspaniałości: krytyka i wysiłki zmierzające do odnowy we wszelkich kierunkach, próby gigantyczne i wszystkie niemal na miarę olbrzyma, który, kołyszając pośród sztandarów dzieciństwo naszego stulecia, śpiewał mu hymny przy akompaniamencie straszliwych basów armatnich. Wtajemniczony przez Felicytę w całą tę wielkość, która uchodzi zapewne uwagi tych, co ją tworzą i wyprowadzają na scenę, Kalist dogadzał w Touches swoim upodobaniem do cudowności, tak potężnym w jego wieku, i wpadał w naiwną admirację: pierwsza to miłość młodzięcza, nie cierpiąca krytyki. Płomień wystrzela do góry, to całkiem naturalne! Przysłuchiwał się wdzięcznej paryskiej drwinie, zaznajamiał z wykwintną satyrą, która, objawiwszy mu francuski dowcip, obudziła również tysiące myśli drzemających w głowie tego chłopca, odrętwionego słodkim życiem rodzinnym. Panna des Touches była matką jego inteligencji, matką, którą mógł kochać, nie dopuszczając się występku. Była dlań tak dobra! Kobieta jest zawsze cudem dla mężczyzny, którego natchnie miłością, choćby nie zdawała się jej podzielać. W obecnym momencie Felicyta uczy Kalista muzyki. Przestronny parter, rozszerzony jeszcze dzięki zręcznemu rozplanowaniu trawników i drzew parku, klatka schodowa zdobna arcydziełami cierpliwości włoskiej, drewniane figury, mozaiki weneckie i florenckie, płaskorzeźby z kości słoniowej lub marmuru, osobliwe przedmioty sporządzone jakby na rozkaz wróżek średniowiecznych, apartament Felicyty, jakże przytulny, rozkoszny i pełen artystycznego smaku, wszystko to dla Kalista żyło i pulsowało światłem, duchem i atmosferą, które cechują coś nadnaturalnego, dziwnego, nieokreślonego. Świat współczesny i jego poezja kontrastowały gwałtownie z posepnym i patriarchalnym światem Guérande, wydobywając na jaw dwa systemy: tu niezmierną różnorodność oddziaływania sztuki, tam jednolitość dzikiej Bretanii. Nikt więc już nie zapyta, czemu biedny chłopak, znudzony jak i jego matka subtelnościami pamfila, drżał, ilekroć wchodził do tego domu, pociągał za dzwonek u bramy, przemierzał dziedziniec. Należy podkreślić, że przecucia w tym guście nie nurtują ludzi dojrzałych, otrząskanych z przeciwnościami życia, ludzi niczemu się już nie dziwiących i na wszystko przygotowanych. Otwierając drzwi, Kalist usłyszał dźwięki fortepianu – pomyślał tedy, że Felicyta jest w salonie; ale gdy wszedł do pokoju bilardowego, muzyka umilkła. Felicyta grała więc na pianinie, które Conti przywiózł jej z Anglii, ustawionym w saloniku na górze. Kalist wchodził coraz wolniej na schody, gdzie puszysty kobierzec tłumił całkowicie odgłos kroków. Zastanowiło go w tej muzyce coś niezwykłego. Felicyta grała tylko dla siebie, rozmawiała ze sobą. Miast wejść – młodzieniec przysiadł na gotyckiej ławie przyrzucanej zielonym aksamitem i ustawionej na podeście schodów pod oknem, którego rama, wernikso-

⁴¹ Cherubin – postać z „Wesela Figara” Beaumarchais'go, młody, piękny chłopiec, rwący się do życia i miłości.

wana pod kolor orzecha, zwraca uwagę artystyczną rzeźbą. Nie masz nic bardziej melancholijnego nad improwizację panny des Touches: to dusza śpiewa w otchłani grobu *De profundis* do Boga. Zakochany młodzieniec rozpoznał modlitwę miłości i rozpaczy, czułość pokornej skargi, westchnienia tłumionej zgryzoty. Felicjta rozszerzyła, opatrzyła wariantami i zmodyfikowała introdukcję do kawatyny „Łaski dla ciebie, łaski dla mnie”, która wypełnia prawie cały akt czwarty „Roberta Diabła”⁴². Zanuciwszy ten fragment głosem rozdierającym, urwała nagle. Kalist wszedł i dowiedział się, czemu zamilkła. Biedny Kamil Maupin! Kalist ujrzał twarz pięknej Felicjty odartą z zalotnej maski, twarz skąpaną łzami; wzięła chusteczkę, otarła nią oczy i rzekła po prostu: – Dzień dobry. – Zachwycająca była w porannym stroju. Miała na głowie siatkę z czerwonego aksamitu, podówczas modną, spod której wymykały się lśniące czarne pukle; żakiecik skrojony na kształt nowoczesnej bluzy greckiej, batystowe pantalony z haftowanymi mankietami i najśliczniejsze, czerwono-złote, tureckie pantofelki.

– Co się pani stało? – zapytał Kalist.

– Nie wrócił – odrzekła, stojąc przy oknie i spoglądając na piaski, łąkę morską i bagna.

Odpowiedzią tą tłumaczył się jej strój. Panna des Touches, czekając oczywiście na Kladiusza Vignon, irytowała się, jak to kobieta, która napracuje się niepotrzebnie. Dostrzegłby to mężczyzna trzydziestoletni, Kalist widział jedynie boleść Felicjty.

– Niepokoi się pani? – zagadnął.

– Tak – odrzekła z melancholią, której ten dzieciuch zanalizować nie umiał.

Kalist poskoczył ku drzwiom,

– No, dokądże to? – spytała.

– Poszukam go – oznajmił.

– Drogi chłopcze – rzekła, a biorąc go za rękę przytrzymała go przy sobie i rzuciła mu wilgotne spojrzenie, jakie dla młodej duszy stanowi najpiękniejszą nagrodę. – Czyś ty oszalał? I gdzieżbyś go znalazł na tym wybrzeżu?

– Znajdę.

– Pańska matka niepokoiłaby się śmiertelnie. A poza tym zostań pan. Tak, życzę sobie tego – dodała, sadzając go na otomanie. – Nie roztkliwiaj się nade mną. Te łzy należą do tych, które nam się podobają. Istnieje w nas pewna zdolność, której nie mają mężczyźni: dajemy się ponosić naszym drażliwym nerwom, posuwając uczucia do ostatnich granic. Imaginujemy sobie niektóre sytuacje, ulegamy biernie wyobraźni i wtedy wybuchamy płaczem, a czasami też przybiera, to poważniejszy obrót: odchodzimy od zmysłów. Fantazja nie jest u nas igraszką umysłu, ale serca. Przyszedłeś pan w porę, samotność nic mi nie dała. Nie potrafił ukryć przede mną, że pragnie zwiedzić sam Croisic i skały, miasteczko Batz i piaszczyste wydmy, a także saliny. Wiedziałam od razu, że zabawi tam nie jeden dzień, lecz kilka. Chciał nas zostawić samych; jest zazdrosny albo raczej gra komedię zazdrości. Bo jesteś pan młody i piękny.

– Czemu mi pani nie powiedziała wcześniej? Może nie trzeba, żebym przychodził? – zapytał Kalist i łza, której nie zdołał powstrzymać, stoczyła mu się z policzka. Wzruszyło to Felicję do głębi.

– Jest pan aniołem! – zawołała. Po czym zaśpiewała wesoło „Zostań!” Matyldy z „Wilhelma Tella”⁴³, aby odjąć patos tej wspaniałej odpowiedzi, jaką niczym księżna obdarzyła poddanego. – Chciał mi w ten sposób dać do poznania – ciągnęła – że kocha mnie bardziej, niżli rzecz się ma naprawdę. Wie, jak dobrze mu życzę – tu spojrzała na Kalista z uwagą – ale chyba czuje się upokorzony, że pod tym względem stoi niżej ode mnie. A może też, posądzając nas o coś, chciałby nas przyłapać. Ale choćby nawet zawinił jedynie tym, że szukając rozrywek na tej dzikiej eskapadzie, nie poprosił nawet, abym towarzyszyła mu w czasie owych spacerów, że nie dzieli ze mną myśli, jakie budzą w nim te krajobrazy, i że przyprawia mnie o

⁴² „Robert Diabeł” – opera Giacomo Meyerbeera (1791–1864), której premiera odbyła się w r. 1831.

⁴³ „Wilhelm Tell” – opera Gioacchino Rossiniego (1792–1868), której premiera odbyła się w r. 1829.

śmiertelny niepokój, czyż przestępstwo jego nie jest ciężkie? Nie kocha mnie już ten wielki umysł, tak jak przestał mnie kochać pewien muzyk, pewien człowiek utalentowany i pewien wojskowy. Sterne⁴⁴ ma rację: imię coś znaczy, a w moim imieniu tai się najokrutniejsza drwina. Umrę – i żaden mężczyzna nie odwzajemni miłości, jaką taję w sercu, i nie pojmie poezji, którą mam w duszy.

Zwiesiła ręce, głowę wsparła o poduszkę, oczy utkwione w rozecie dywanu zaszyły mgłą zadumy i odretwienia. Boleść u ludzi wyższego umysłu odznacza się czymś wzniosłym, imponującym, odsłania ogromne połacie duszy, które obecni wyolbrzymiają jeszcze w myśli. Duszom tym dany jest przywilej królów, uczucia ich oddziałują na losy ludzkie i wzbudzają cały świat.

– Dlaczego mnie pani... – zaczął Kalist i nie mógł dokończyć.

Rozpalona i piękna dłoń Felicyty spoczęła na jego ręce, przerywając mu wymownie.

– Natura zmieniła swoje prawa przyznając mi jeszcze parę lat młodości. Odepchnęłam pana kierując się egoizmem. Prędzej czy później rozłączyłyby nas lata. Jestem o trzynaście lat starsza od niego, i to już całkiem wystarczy.

– Będiesz pani piękną, mając nawet lat sześćdziesiąt! – zawołał bohatersko Kalist.

– Obyż Bóg cię wysłuchał! – odparła z uśmiechem. – A zresztą, drogi chłopcze, ja chcę go kochać. Choć nie jest wrażliwy i brak mu wyobraźni, choć tyle w nim podłej niefrasobliwości i zżera go zawiść, sądzę jednak, że pod tymi łachmanami kryje się jakaś wielkość i spodziewam się zgalwanizować to serce, ocalić tego człowieka przed nim samym, przywiązać go do siebie. Niestety! Umysł mój umie patrzeć w przyszłość, lecz serce mam ślepe.

Rozeznawała się w sobie z przeraźliwą jasnością. Cierpiała, analizując własne cierpienie jak Dupuytren i Cuvier przedstawiali przyjaciółom nieuchronne postępy swojej choroby, wyliczając, ile im jeszcze pozostało życia. Kamil Maupin nie gorzej zna się na uczuciach, niż owi dwaj uczeni znali się na anatomii.

– Przyjechałam tutaj, by osądzić go bezstronnie, a on już się nudzi. Brak mu Paryża, powiedziałam mu to: tęskni za pisaniem krytyk, nie może tu schlastać któregoś z autorów, podkopać jakiegoś systemu, uśmiercić jakiegoś poety, a brak mu odwagi, by pogрузić się tutaj w rozpuście i na jej łonie złożyć tłoczący ciężar myśli. Niestety, moja miłość nie jest może dość prawdziwa, skoro nie potrafię nic zdziałać, by odprężył się ten umysł. Tak, tak, nie upajam go! Upij się pan z nim dziś wieczór, powiem, żem chora, nie wyjdę ze swojego pokoju, a wtedy przekonam się, czy się nie mylę.

Kalist pokraśniał jak wiśnia, oblał się rumieńcem, uszy mu płonęły.

– O Boże! - zawołała. – I ja deprawuję bezmyślnie twoją niewinność dziewczęcą! Przebac mi, Kaliście! Kiedy pokochasz, dowiesz się, że człowiek potrafiłby podpalić Sekwanę, byle tylko sprawić choćby najbliższą przyjemność l u b e m u, jak powiadają babki wróżące z kart. – Zamilkła na chwilę. – Są natury wspaniałe i konsekwentne, które w pewnym wieku powiadają sobie z mocą: „Gdybym znów rozpoczął życie, postępowałbym tak samo!” Ale ja, nie poczytująca się za słabą, mówię: „Byłabym, Kaliście, taką jak twoja matka”. Mieć Kaliста, co za szczęście! Choćbym wyszła za największego głupca, byłabym cichą i uległą żoną. A przecież niczym nie zawiniłam społeczeństwu, krzywdziłam jedynie samą siebie. Niestety, drogi chłopcze, teraz już kobieta może być samodzielna tylko w tak zwanym społeczeństwie pierwotnym. Uczucia będące w dysharmonii z prawem społecznym czy naturalnym, to znaczy uczucia, które nie nakładają na nas żadnych obowiązków, przestają być naszym przywilejem. Cierpieć dla samego cierpienia – żaden z tego pożytek. Cóż mnie obchodzą córki moich kuzynów Faucombe: nie należą już do tego rodu, przed dwudziestu laty straciłam je z oczu, a zresztą powychodziły za kucpów! Pan nigdy nie przysporzył mi trosk macierzyńskich,

⁴⁴ Laurence Sterne (1713–1768) – powieściopisarz angielski, wybitny przedstawiciel kierunku zwanego sentymentalizmem, autor m. in. „Podróży sentymentalnej” i „Tristrama Shandy”, wywarł znaczny wpływ na Balzaka.

traktuję cię jak syna, zapiszę ci więc moją fortunę i przynajmniej tym sposobem cię uszczęśliwię, drogi klejnocie urody i wdzięku, klejnocie, którego nic nie zdoła zepsuć ani skazić!

Wyrzekłszy to głosem niskim, piersiowym, opuściła piękne powieki, by nic nie dało wyczytać się z jej oczu.

– Nie stawiałaś mi pani żadnych żądań – powiedział Kalist – zwrócę majątek twoim spadkobiercom.

– Dzieciaku! – rozczuliła się Feliccyta i z policzków jej stoczyły się łzy. – Nic tedy nie ocali mnie przede mną samą?

– Miała mi pani coś opowiedzieć, napomknęłaś o jakimś liście, który... – odezwał się szlachetny chłopak, aby rozproszyć ów smutek; nie dokończył jednak, przerwała mu bowiem:

– Ma pan rację, nade wszystko muszę być uczciwą. Wczoraj zrobiło się późno, ale dziś chyba starczy czasu dla nas obojga – wyrzekła żartobliwie, lecz i z goryczą. – Ale spełnię obietnicę, tak usiadłszy, żeby wzrok mój tonął w drodze wiodącej na urwiska.

Kalist obrócił więc w tym kierunku potężny fotel gotycki i otworzył okno zdobne witrażami. Feliccyta, dzieląca wschodnie upodobania innej sławnej pisarki, wzięła wspaniałe perskie nargile – dar od ambasadora; nabiła lulkę paczulą, przetkała *bocchettino*⁴⁵, wsunęła w cybuch perfumowane piórko, które zmieniała przy każdym paleniu, zapaliła żółte liście, postawiła o kilka kroków od siebie naczynie – źródło rozkoszy – z wysmukłą szyją emaliowaną we wzory błękitno-złote i zadzwoniła, żeby podano herbatę.

– A może zapali pan papierosa?... Ach! Zapominam zawsze, że pan nie palisz. Rzadko spotyka się taką niewinność jak pańska! Atlasowy puszek na twoich policzkach mogłyby, jak mi się zdaje, głaskać tylko palce Ewy, co właśnie wyszła z rąk Boga.

Kalist pokraśniał – ale sadowiąc się na taborecie nie spostrzegł, że i Feliccyta zarumieniała się z głębokiego wzruszenia.

– Osoba, od której otrzymałam list wczoraj, przybędzie tu zapewne jutro – oznajmiła Feliccyta. – Jest nią margrabina de Rochefide. Wydawszy starszą córkę za magnata portugalskiego, osiadłego na stałe we Francji, stary Rochefide (nie może on zresztą chwalić się tak dawnym szlachectwem jak pańskie) postanowił ożenić syna z arystokratką, aby tym sposobem wyrobić mu parostwo, którego sam uzyskać nie zdołał. Hrabina de Montcornet dała mu znać, że w departamencie Orne mieszka panna Beatrix Maksymiliana Róża de Casteran, młodsza córka margrabiego de Casteran, który chciał obie swoje córki wydać bez posagu, aby cały majątek zachować dla syna – hrabiego de Casteran. Casteranowie wywodzą swoje szlachectwo niemal od praojca Adama. Beatrix, urodzona i wychowana w zamku Casteran, miała w roku 1828, wychodząc za męża, ze dwadzieścia lat. Cechowało ją to, co wy na prowincji zowiecie oryginalnością, czyli po prostu miała lotny umysł, wycucie piękna, pewien pociąg do sztuki i była egzaltowana. Jeśli biedna kobieta da się ponieść tym skłonnościom, wierz mi pan, nie ma dla niej nic bardziej niebezpiecznego; hołdując im, znajdziemy się tam, gdzie mnie pan widzisz i gdzie znalazła się margrabina... w otchłaniach! Tylko mężczyzna ma łaskę, na której się wspiera wędrując brzegiem przepaści, ma siłę, której nam brak; bo jeśli ją mamy, stajemy się potworami. Pani de Casteran, sędziwa jej babka, spoglądała łaskawym okiem na ów mariaż, w którym Beatrix miała przewyższać męża umysłem i urodzeniem. Rochefide'owie załatwili wszystko jak najlepiej, Beatrix mogła doprawdy być z nich kontenta; lecz i Casteranowie, krewniacy Verneuilów, d'Esgignonów i Troisville'ów, wygodzili Rochefide'om: pamiętali o zięciu, kiedy Karol X wypuszczał ostatnią i nader obfitą edycję parów, którą unieważniła oficjalnie rewolucja lipcowa. Rochefide to raczej dureń, jednakże zapoczątkował małżeństwo spółdzeniem syna, ale że zamęczał żonę swoją osobą, miała go wprędce dość. Pierwsze dni mariażu to mielizna, na której grzęzną zarówno ludzie małoduszni, jak wielka miłość. Będąc durniem, Rochefide wziął nieuświadomienie żony za oziębłość,

⁴⁵ *Bocchettino* (wł.) – ustnik.

zaliczył ją do kobiet limfatycznych i zimnych – Beatrix jest blondynką – i tak sobie umyśliwszy poczuł się raz na zawsze bezpiecznym i jał wieść żywot kawalerski, uzasadniając to rzekomym chłodem margrabiny, jej dumą, pychą i licząc na wspaniały tryb życia, który w Paryżu otacza kobietę tysiącem barier. Zrozumie pan, co mam na myśli, kiedy poznasz stolicę. Ci, którzy zamierzali wykorzystywać jego beztroską spokojność, powiadali mu: „Szczęściarz z pana: żonę masz chłodną, zdolną jedynie do uczuć wyrozumowanych; wystarczy jej błyszczące, kaprysy ma wyłącznie natury artystycznej; ukoj zazdrość, zaspokoi pragnienia stworzywszy sobie salon, gdzie otoczy się pięknoduchami, nie będzie pławić się w rozpuście, ale w muzyce, w orgiach literatury”. I mąż brał za dobrą monetę te żarty, którymi Paryż mistyfikuje dudków. Ale Rochefide nie należy do zwyczajnych durniów: jest próżny i pyszny nie mniej niż człowiek inteligentny, z tą różnicą, że ludzie inteligentni przywdziewają płaszczyk skromności i są przymilni jak koty: łaszą się, żeby ich głaskano, natomiast Rochefide to wcielenie miłości własnej – pocziwej i chamskiej, rumianej i czerstwej, która publicznie zachwyca się sobą i wciąż się uśmiecha. Próżność jego tarza się w stajni i z donośnym młaskaniem jada u żłobu, wyciągając stamtąd paszę. Ma ten rodzaj wad, które znają i są w stanie osądzić tylko ludzie wprowadzeni w czyjeś życie prywatne, wad rażących jedynie w sekretnym półmroku życia domowego – podczas gdy w świecie, wśród ludzi, jegomość wydaje się uroczy. Rochefide musi być nie do zniesienia od momentu, gdy uzna, że coś mu zagraża we własnym ognisku domowym, cechuje go bowiem owa zazdrość brudna i małostkowa, grubiańska, jeśli ją zaskoczyć, tchórzliwa przez sześć miesięcy, a mordercza w siódmym. Wyobrażał sobie, że zwodzi żonę, a zaczęłyby się jej lękać – dwie przyczyny tyranii – spostrzegłszy, że margrabina, powodując się miłosierdziem, udaje obojętną na jego zdrady. Analizuję ten charakter, aby wyjaśnić panu motywy postępowania Beatryczy. Margrabina darzyła mnie jak najżywszą admiracją, lecz admirację od zawiści dzieli tylko krok. Mam w Paryżu jeden z najciekawszych salonów, margrabina chciała mieć podobny i usiłowała przeciągnąć do siebie moje grono. Nie umiem zatrzymać tych, którzy chcą mnie opuścić. Zabrała mi więc osoby powierzchowne, przyjaźniące się przez lenistwo z każdym, kto się nadarzy, osoby, które postawiły sobie za cel wpadać do każdego salonu jak po ogień, ale nie zdążyła zgrupować wokół siebie towarzystwa. Sądziłam w tych czasach, że trawi ją żądza jakiegokolwiek sławy. Tak czy inaczej, odznacza się ona pewną wielkością duszy, królewską dumą, ma jakieś tam poglądy, a chwytą i pojmuje wszystko z cudowną łatwością; będzie rozprawiać o muzyce i metafizyce, malarstwie i teologii. Poznasz pan dojrzałą kobietę, bo myśmy znali tylko młodą mężatkę, ale jest w niej i trochę afektacji: zbyt afiszuje swoją wiedzę o rzeczach trudnych, jak na przykład chińszczyzna czy hebrajszczyzna, swoje domysły na temat hieroglifów lub możliwość odczytania papirusów, którymi spowijano mumie. Beatrix należy do tych jasnowłosych kobiet, przy których jasnowłosa Ewa uchodziłaby za Murzynkę. Jest wysmukła, prosta jak świeca, a biała jak hostia, twarz ma pociągłą, zaostrzoną, płeć jej zależy w pewnym sensie od pogody: dziś biała jak płótno, jutro smagła i pokryta setkami punkcików prześwitujących spod skóry, jak gdyby krew nocą naniósł tam kurzu; czoło ma wspaniałe, ale chyba zbyt wysokie, oczy często podkrążone, koloru morskiej wyblakłej zieleni – i jakby rozbełtane w białku, brwi rzadkie, powieki ciężkie. Nos orli, bardzo regularny i subtelny, zwęzający się w nozdrzach, jest przy tym impertynencki. Usta habsburskie: górna warga bardziej wystająca niż dolna – dolna zaś wywinięta wzgardliwie. Blade policzki barwi tylko najsilniejsze wzruszenie. Podbródek dość pulchny; ja też nie mam twarzy zbyt pociągłej i choć to może z mojej strony niewłaściwość, powiem panu, że kobieta o pulchnym podbródku jest wymagająca w miłości. Ma najpiękniejszą talię, jaką zdarzyło mi się widzieć; plecy, olśniewająco białe, były kiedyś płaskie, ale dziś już wypełniły się ponoć, nabrały ciała; biustowi jednak nie poszczęściło się tak jak plecom, a i ramiona pozostały chude. Niewymuszoność ruchów i zachowania okupuje skądinąd to, co w margrabinie mogłoby razić, i prześlicznie podkreśla jej wdzięki. Ma wzięcie księżnej – dar to od natury, którego nabyć niesposób. Pasuje ono do niej, ukazu-

jąc chwilami, jak szlachetną jest ta kobieta, i harmonizując z jej sylwetką: biodra szczupłe, lecz o najrozkoszniejszej linii, najśliczniejsza nóżka pod słońcem, włosy obfite, anielskie, z tych, które tak ulubił pędzel Girodeta⁴⁶, podobne do fal światła. Nie będąc nieskazitelnie piękną ani nawet ładną, pozostawia, jeśli zechce, niezapomniane wrażenie. Niech tylko włoży wiśniowy aksamit ustrojony pianą koronek, niech ozdobi włosy czerwonymi różami, a już jest boska. Gdyby jakimś cudem mogła przywdziać strój z owych czasów, kiedy wiotka i smukła kibić kobiety, ujęta gorsetem wyciętym w szpic i sznurowanym wstążkami, wykwiatała ponad spódnicą z brokatu, ułożoną w mięsiste i sute fałdy, kiedy szyję kobiecą osłaniała karbowana kreza, ramiona tonęły w rozciętych rękawach, dłonie zaś podobne słupkowi kwiatu wychylały się z koronkowych mankietów, kiedy wreszcie gęste loczki wymykały się spod siatki naszywanej klejnotami i wiążącej kok – rywalizowałyby wtedy zwycięsko z idealnymi pięknościami, które pan tu widzi.

I Felicjta wskazała Kalistowi doskonałą kopię obrazu Mierisa. Kobieta w białych atlasach stoi obok magnata brabanckiego, trzymając nuty – śpiewają oboje; Murzyn tymczasem nalewa w puchar stare hiszpańskie wino, a sędziwa służąca układa biszkopty.

– Blondynki – podjęła – mają nad nami, brunetkami, przewagę bezcennej różnorodności; można być na sto sposobów blondynką, brunetką zaś tylko na jeden. Blondynki są od nas bardziej kobiece, my zaś, brunetki francuskie, zbyt przypominałyśmy mężczyzn. No i cóż – zagadnęła – nie zakocha się pan w Beatrycy na podstawie portretu, który odmalowałam przed tobą, zupełnie jak przed księciem z „Tysiąca i jednej nocy”? Lecz i tak spóźniłbyś się, biedny chłopcze. Ale pociesz się: to najpierwszemu z przybyłych dostają się kości!

W słowach tych krył się pewien zamysł. Twarz młodzieńca jaśniała zachwytem wywołanym bardziej przez malowidło aniżeli przez malarza, którego r o b o t a chybiła celu.

– Beatrycy – ciągnęła Felicjta – zbywa na subtelności koloru, choć to blondynka z profesji; sylwetkę jej cechuje surowość linii, jest elegancka i sztywna zarazem; to postać jak z rysunku piórkim, a jednak powiedziałbyś, że w duszy jej kryje się żar krain południowych. To anioł, który płonąc, wysycha. Toteż oczy jej zdradzają pragnienie. Najlepsza jest *en face*; profil ma ostry jak nóż do papieru. Przekonasz się pan, czy się mylę. A oto dlaczego zaprzyjaźniłyśmy się serdecznie. W ciągu trzech lat, od 1828 do 1831, Beatrix, poniesiona wirem ostatnich zabaw Restauracji, wojażowała od salonu do salonu, bywała u dworu, uświetniała bale kostiumowe w pałacu Elysée-Bourbon, osądzając z wyżyn swojej myśli ludzi, rzeczy, wypadki i życie. Umysł jej ciągle był czymś zaprzątnięty. Te pierwsze chwile oszołomienia wielkim światem wzbraniały zbudzić się jej sercu, odrętwiałemu jeszcze z powodu wstępnych przykrości pożycia małżeńskiego: półóg, dziecko i zachody macierzyństwa, których nie lubię, o nie! W tym punkcie nie jestem bynajmniej kobietą. Nie znoszę dzieci, przyczyniają mnóstwa kłopotów i ustawicznych trosk. Uważam więc, że jednym z największych przywilejów, jakie daje nam świat współczesny, przywilejów, których pozbawił nas ten obłudnik Jan Jakub, jest wolność: możemy być lub nie być matkami. Nie ja jedna tak myślę, ale ja jedna to mówię. Burzę lat 1830 i 1831 margrabina przeczekała we włościach mężowskich, zanudzając się tam niby święty w raju. Wróciwszy do Paryża osądziła, może i słusznie, z pozoru, że rewolucja, w oczach pewnych osób czysto polityczna, odmieni się w rewolucję obyczajową. Świat jej, który nie zdołał odbudować się podczas piętnastu lat niespodzianego triumfu Restauracji, rozpadnie się w drobne kawałki od uderzeń tarana wprawionego w ruch przez mieszczaństwo. Zrozumiała należycie wielkie słowa pana Lainé: „Królowie odchodzą!” Pogląd ów nie pozostał, jak sądzę, bez wpływu na jej postępowanie. Wzięła część intelektualną z nowych doktryn, co w ciągu trzech lat po rewolucji lipcowej rozmnożyły się niby muchy w słońcu, siejąc spustoszenia w niejednej kobiecej głowie; ale, jak i cała szlachta, dopatrzwszy się wspaniałości w tych nowinkach, zapragnęła ocalić szlachtę. Nie widząc już miejsca dla

⁴⁶ Anne-Louis Girodet de Roussy (1767–1824) – ceniony przez współczesnych malarz historyczny i portrecista.

swoich atutów osobistych, widząc, że cała szlachta rodowa przechodzi znów do niemej opozycji, jak za Napoleona – jedyna to była jej rola w owych czasach czynu i faktu, ale w okresie rewolucji obyczajowej równała się rezygnacji – margrabina przełożyła szczęście nad ową niemotę. Kiedy odetchnęliśmy swobodniej, poznała u mnie człowieka, z którym, jak sądziłam, miałam dokonać dni swoich. Był to Gennaro Conti, wielki kompozytor, z pochodzenia neapolitańczyk, lecz urodzony w Marsylii. Conti jest nader inteligentny, jako zaś kompozytor – utalentowany, choć nigdy nie zdoła wybić się do pierwszego szeregu. Gdyby nie Meyerbeer i Rossini, uchodziłby może za geniusza. Ma nad nimi pewną przewagę, będąc w muzyce wokalnej takim wirtuozem, jakim jest Paganini jako skrzypek, Liszt jako pianista, a Taglioni jako tancerka. Ci wreszcie, którzy słyszeli sławnego Garata, porównują z nim Contiego. To nie głos, mój przyjacielu, to dusza. Kiedy ten śpiew kojarzy się z pewną myślą, ze skłonnościami trudnymi do odmalowania, które nachodzą nas czasem, jesteśmy zgubione słuchając Gennara. Margrabina, zapalawszy doń jak najszlachetniejszą namiętnością, sprzątnęła mi go. Postępek to na wskroś parafiański, lecz dozwolony. Odniosła się wtedy jednak do mnie w taki sposób, że zyskała moją estymę i przyjaźń. Myślała, że będę bronić mojego dobra, nie wiedząc, że w takiej sytuacji kość niezgody to dla mnie najśmieszniejsza rzecz pod słońcem. Zjawiała się u mnie. Ta niezwykle dumna kobieta była tak zadurzona, że zdradziła mi swoją tajemnicę, czyniąc mnie panią swojego losu. Uroczą była: pozostała w moich oczach kobietą i margrabinią zarazem. Powiem ci, przyjacielu, że kobiety czasami bywają złe – ale mają w sobie jakąś utajoną wielkość, której żaden mężczyzna nigdy oszacować nie potrafi. A jako że mogę sporządzać już mój testament kobiety stojącej u progu starości, która mnie czeka, powiem ci, że byłam Contiemu wierna, że byłabym mu wierna do śmierci, choć przecież go znałam. To charakter z pozoru czarujący, a w gruncie rzeczy wstrętny. Szarlatan w sprawach serca. Zdarzają się mężczyźni, jak Natan, o którym ci kiedyś mówiłam, będący szarlatanami widomymi i uczciwymi. Ludzie ci okłamują samych siebie. Chodząc na szczydłach, są pewni, że chodzą na nogach, i dlatego żonglują poniekąd niewinnie, mają próżność we krwi, urodzili się komediantami, samochwałami, są dziwacznymi, jak dziwacznym jest kształt chińskiej wazy; kto wie, czy nie szydzą z siebie. Egotyzm ich, skądinąd szlachetny, kusi niebezpieczeństwem, jak ścierał je pozłocisty, królewski uniform Murata. Ale szelmostwo Contiego będzie znane zawsze li tylko jego kochance. Tkwi w jego sztuce słynna włoska zawiść, która zmusiła Carlona, by zamordował Piołę, a Paesiella⁴⁷ zabiła ciosem sztyletu. Ta straszliwa zawiść kryje się pod płaszczkiem najserdeczniejszego koleżeństwa. Conti nie ma odwagi okazywać tej swojej przywary: uśmiecha się do Meyerbeera, prawi mu komplementy, choć akurat rozszarpałby go w kawałki. Czuje własną słabość, udając mocarza; w próżności swojej gotów jest pozorować sentymenty jak najdalsze jego sercu. Podaje się za artystę, na którego spływa natchnienie z nieba. Sztuka jest dlań czymś uświęconym i świętym. To fanatyk umiejący dworować genialnie z ludźmi światowymi, ma dar elokwencji: słowa jego zdają się wypływać z głębokiego przekonania. To wizjoner, demon, bóg, anioł. Toteż oszuka cię, Kaliście, choć jesteś już uprzedzony. Ten południowiec, ten żarliwy artysta jest zimny jak łańcuch od studni. Powiada: artysta jest misjonarzem, sztuka to religia, która ma swoich kapłanów i musi mieć męczenników. Raz się tak rozgadawszy, wpada w rozkiełznany patos, jakim nawet gardziel niemieckiego profesora filozofii nie chlusnęłaby na audytorium. Zachwycasz się siłą jego przekonania, on zaś w nic nie wierzy. Śpiewając, unosi cię do nieba jakby na falach tajemniczego, miłosnego fluidu i przesyła ci co i raz ekstatyczne spojrzenie; ale śledzi twój zachwyty, zadając sobie pytanie: „Czy naprawdę jestem dla nich bogiem?” Czasami w tejsze chwili powiada sobie: „Zjadłem za dużo makaronu”. Myślisz, że cię kocha, a on cię nienawidzi i nie wiesz, dlaczego; no, ale ja zawsze wiedziałam: spotkał w przeddzień jakąś kobietę, zakochał się w niej

⁴⁷ J. B. Carlone (1598–1680) – malarz włoski z Genui, który w roku 1640 zabił swego ziomka, również malarza, Pellegro Piołę; Giovanni Paesiello (1741–1816) – kompozytor włoski, rywalizował z Piccinim, Cimarosą, a później z Rossinim.

dla kaprysu, obraził mnie jakąś rzekomą miłością i obłudnymi pieszczotami, każąc mi płacić za swoją przymuszoną wierność. Nigdy wreszcie nie dość mu oklasków, małpuje wszystko i kpi sobie ze wszystkiego; udaje radość równie dobrze jak ból; ileż w tym mistrzostwa! Podobą się, lubią go, a jeśli się o to postara – wielbią. Kiedy się z nim rozstawałam, nienawidził swojego głosu, choć zawdzięczał mu więcej triumfów aniżeli talentowi kompozytora; woli być geniuszem jak Rossini niż wirtuozem o sile Rubiniego⁴⁸. Popelniłam błąd, związując się z nim, ale zrezygnowana stroiłam to bóstwo do końca. Conti, jak wielu artystów, jest łakomy, lubi wygody i uciechy, jest zalotny, afektowany, ubiera się gustownie; no cóż! schlebiałam wszelkim jego namiętnościom, pokochałam ten charakter słaby i perfidny. Zazdroszczono mi, a ja często uśmiechałam się z politowaniem. Ceniłam jego odwagę; jest brawurowo odważny: jedyna to ponoć w nim cecha pozbawiona hipokryzji. Zdarzyło mi się raz w podróży być tego świadkiem: kocha życie, lecz potrafił nim ryzykować, ale, rzecz osobliwa, w Paryżu dopuszczał się tego, co nazywam tchórzostwem cywilnym. Mój przyjacielu, wiedziałam to wszystko. Rzekłam więc do biednej margrabiny: „Nie zdajesz sobie pani sprawy, w jaką schodzisz przepaść. Jesteś Perseuszem biednej Andromedy, uwalniasz mnie od głazu. Jeśli panią kocha, tym lepiej! Ale jak sądzę, kocha on tylko siebie”. Gennaro, rozpierany dumą, był w siódmym niebie. Nie jestem margrabinią, z domu Casteran, zapomniał więc o mnie w dzień jeden. A ja z dziką rozkoszą zgłębiałam tę naturę. Pewna, że to już koniec, obserwowałam umyślnie kręctwa Contiego. Mój biedny chłopcze, po tygodniu dostrzegłam uczucia monstualne, haniebną bufonadę. Cóż mam panu o tym opowiadać, sam poznasz tutaj tego człowieka. Dodam tylko, że dziś nienawidzi mnie, wiedząc, jak dobrze go znam. Gdyby mógł mnie zasztyletować, nie ponosząc odpowiedzialności, zginęłabym w sekundę. Nic nigdy nie wyjawiałam Beatryczy. Gennaro jednak myśli, że jestem zdolna dzielić się z margrabinią moimi smutnymi doświadczeniami: ostatnia to zniewaga, jaką wciąż mi zadaje od pewnego czasu. Niepokoi się więc ustawicznie i wciąż jest zadumany, gdyż nie wierzy w niczyją przyzwoitość. Wobec mnie udaje nadal nieszczęśliwego, że rozstał się ze mną. Znajdziesz w nim pan kordialność przenikającą w głąb duszy; jest przymilny, rycerski. Każda kobieta to dla niego Madonna. Trzeba z nim zjeść beczkę soli, aby zdemaskować tę fałszywą dobroduszość i odkryć niewidzialny sztylet hipokryzji. Wzniosłością oszukałby samego Boga. Toteż opęta cię swoimi kocimi fortelami – i nigdy nie uwierzysz, jak błyskawicznie i przewidująco umie rachować gdzieś na dnie duszy. Zostawmy go. Posunęłam się już tak dalece w obojętności, że przyjmuję Gennara u siebie. Dzięki tej sytuacji paryżanie, najprzenikliwsi z ludzi, nie dowiedzieli się nic o całej intrydze. Gennaro, choć upojony dumą, musiał niemniej odgrywać wobec Beatryczy komedię; zadziwiał aż, tak był dyskretny. Zaskoczył mnie tym, spodziewałam się, że będzie szukał rozgłosu. I to margrabina skompromitowała się po roku szczęścia uzależnionego od wszelkich kolei i przypadków życia stolicy. Jednego razu nie widziała się z Gennarem kilka dni. Zaprosiłam go na obiad, ona zaś miała zjawić się wieczorem. Rochefide nie domyślał się niczego; ale Beatrix, doskonale znając męża, wolałaby, powtarzała mi to często, najgorszą biedę od życia, jakie by ją czekało w wypadku, gdyby ten człowiek zyskał prawo, żeby nią gardzić lub ją dręczyć. Wybrałam dzień, w którym przyjmuje nasza wspólna przyjaciółka, hrabina de Montcornet. Kiedy mężowi jej podano kawę, Beatrix wyszła z salonu, aby się przebrać, choć nigdy nie rozpoczynała toalety tak wcześnie. „Twój fryzjer nie przyszedł jeszcze” – zauważył Rochefide dowiedziawszy się, dlaczego żona opuszcza salon. – „Teresa mnie uczesze” – odparła. – „Ale dokądże ty się wybierasz? Toć nie jedziesz na ósmą do pani de Montcornet”. – „Owszem – odrzekła – ale chcę wysłuchać pierwszego aktu u Włochów”. Dociekliwy sędzia Wolterowskiego Hurona to niemowa w porównaniu z mężem-próżniakiem. Beatrix uciekła, by uniknąć dalszych pytań; nie dosłyszała więc mężowskiej odpowiedzi: „No to pojedziemy razem”. Nie było w tym żadnego podstępu, nie miał żadnych

⁴⁸ Giambattista R u b i n i (1795–1854) – słynny tenor włoski, w latach 1831 – 1843 występował w Paryżu.

tytułów do podejrzeń: pozostawiał żonie tyle wolności, starał się nie krępować jej w niczym, poczytując to sobie za punkt honoru. A zresztą najsurowszy krytyk nie zdołałby się przyczepić do zachowania Beatryczy. Licho wie, do kogo wybierał się margrabia, może do kochanki! Wystroiwszy się przed obiadem, miał już tylko wziąć cylinder i rękawiczki, gdy na dziedzińcu zaturkotał powóz margrabiny i zatrzymał się pod markizą ganku. Wszedł do niej; była już gotowa i zdziwiła się niepomrotnie na jego widok. „Dokądże to?” – spytała. – „Nie mówiłem ci, że pojedę z tobą do Włochów?” Margrabina powstrzymała objawy gwałtownej irytacji; pokraśniała jednak mocno, jak gdyby policzki natarła różem. „No to jedźmy” – rzekła. Rochefide podążył za nią, nie zwracając uwagi na wzburzenie, jakim zabrzmiał głos Beatryczy, którą żarła złość jak najmocniej stężona. „Do Włoskiego!” – zawołał mąż. – „Nie! – sprostowała żona – do panny des Touches. Mam jej powiedzieć kilka słów” – dodała, gdy zatrzaśnięto drzwiczki powozu. Ekwipaż ruszył. „Gdybyś chciał – podjęła Beatrix – zawiozłabym cię najpierw do teatru, a potem pojechałabym do panny Felicjty”. – „Nie – odparł małżonek – skoro masz jej tylko parę słów do powiedzenia, zaczekam w karecie; dopiero wpół do ósmej”. Gdyby Beatrix powiedziała do męża: „Jedź do Włoskiego i daj mi święty spokój” – usłuchałby bez protestu. Ale jak każda kobieta kierująca się rozumem, obawiała się wzbudzić podejrzenia, że zaś czuła się winną, złożyła broń. Kiedy wyszła z teatru, aby wstąpić do mnie, mąż jej towarzyszył. Weszła czerwona ze złości i zniecierpliwienia. Rzekła mi na ucho tonem najspokojniejszym w świecie: „Droga Felicjto, jutro wieczorem wyjeżdżam z Contim do Włoch; poproś go, by przygotował się do podróży, wziął paszport i zajechał tu po mnie”. Wyszła z mężem. Gwałtowna namiętność dąży za wszelką cenę do wolności. Beatrix, od roku skępowana, cierpiała, bo schadzki jej z Gennarem były rzadkie, uważała zaś, że jest z nim związana. Toteż nie zdziwiłam się wcale. Na jej miejscu i przy moim charakterze postąpiłabym tak samo. Zdecydowała się na ten skandal, kiedy Rochefide sprzeciwił jej się w sposób jak najbardziej niewinny. Uprzedziła nieszczęście jeszcze większym nieszczęściem. Radość Contiego uraziła mnie, wchodziła tu w grę jedynie jego próżność. „To się nazywa być kochanym! – powiedział mi wśród uniesień. – Niewiele kobiet umiałoby tak poświęcić życie, majątek i szacunek!” – „Owszem, kocha pana – odrzekłam – ale pan jej nie kocha!” Rozwścieczyły go te słowa, zrobił mi awanturę: perorował, wymyślał mi, odmalowywał swoją miłość, utrzymując, że nigdy nie sądził, aby mógł pokochać do tego stopnia. Nie dałam się rozczulić, pożyczylam mu pieniędzy, których potrzebował zapewne na podróż aż tak niespodzianą. Beatrix zostawiła list do męża i następnego wieczoru wyjechała do Włoch. Zabawiła tam dwa lata; pisała do mnie kilka razy, listy jej są pełne zachwycającej przyjaźni, biedactwo przywiązało się do mnie, gdyż jestem jedyną kobietą, która ją rozumie. Mówi, że mnie uwielbia. Gennaro nie mając pieniędzy skomponował operę francuską, która we Włoszech nic dostarczyła mu tych zasobów, jakie są udziałem kompozytorów mieszkających w Paryżu. Oto list od Beatryczy: będziesz pan teraz mógł ją zrozumieć, jeśli w twoim wieku można już analizować sprawę serca – rzekła, podając mu kartkę papieru.

W tejże chwili wszedł Klaudiusz Vignon. Zjawił się tak niespodzianie, że Kalist i Felicjta zamilkli na chwilę: panna des Touches była zaskoczona, młodzieńca zaś ogarnął niejasny niepokój. Wspaniałe czoło, wysokie i szerokie, tego mężczyzny młodego jeszcze – ma trzydzieści siedem lat – a już łysego, zasnuło się jakby chmurami. Na ustach jego, stanowczych i mądrych, maluje się zimna ironia. Klaudiusz Vignon imponuje, choć na twarzy jego, ongi wspaniałej, dziś sinawej, widać przedwczesne zniszczenie. Między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia przypominał niemal boskiego Rafaela; lecz nos, ten główny punkt ludzkiej fizys, który najbardziej się zmienia, stał się u Klaudiusza spiczasty, lecz jego fizjonomia zbiegła się – by tak rzec – na skutek tajemniczych zapadlin, kontur wypełnił się niezdrowym kolorem, szarawy odcień dominuje w tej wymiętej twarzy, choć nie wiemy, co właściwie zmęczyło tego człowieka, który zestarzał się może wśród gorzkiej samotności i nadmiernych wysiłków umysłu. Bada cudzą myśl, nie mając wytyczonego systemu ani celu, ostrą

krytyką zawsze burzy i nigdy nie buduje. Znużony jest więc jak rękodzielnik, a nie jak architekt. Oczy bladoniebieskie, dawniej błyszczące, przesłania nie znana nam troska, zasnuwa szary smutek. Rozpusta przyczerniła czoło nad brwiami. Skronie utraciły wiele świeżości. Pod brodą o rysunku nadzwyczaj szlachetnym wyrósł nieszlachetny podbródek. Głos osłabł, choć nigdy nie był zanadto metaliczny; nie zmatowiał i nie zachrypł: to dźwięk pośredni między szeptem a chrypką. Nieprzenikniony wyraz tej pięknej twarzy, wzrok nieruchomy maskują niezdecydowanie i słabość, która zdradza się w dowcipnym i drwiącym uśmiechu, słabość godząca w czyn, a nie w myśl; z czoła tego przebija umysł encyklopedyczny, dostrzeżesz go w układzie rysów owej twarzy wspaniałej i dziecinnej zarazem. To szczegól, który może wyjaśnić dziwactwa charakteru. Klaudiusz jest wysoki, z lekka już przygarbiony, jak każdy człowiek noszący brzemień myśli. Nigdy ci ludzie wysocy i smukli nie odznaczają się wytrwałą energią, aktywnością twórczą. Karol Wielki, Narzes, Belizariusz i Konstantyn to w swoim rodzaju wyjątki, zwracające specjalną uwagę. A więc w Klaudiuszu istnieją tajemnice, które odgadnąć by trzeba. Jest bardzo prosty, a zarazem przesubtelny. Aczkolwiek przebiera miarę z łatwością kurtyzany, myśl jego pozostaje nietknięta. Inteligencja ta potrafi krytykować sztukę, naukę, literaturę, politykę, a nie potrafi kierować sprawami życia. Klaudiusz przegląda się w swoim królestwie intelektualnym jak w lustrze, zaniedbując swoją postać z niefrasobliwością godną Diogenesa. Kontent, że wszystko przenika, że wszystko rozumie, gardzi kwestiami materii; ale kiedy przyjdzie mu tworzyć, ogarniają go wątpliwości, dostrzega przeszkody, a nie dając się porwać pięknu, opuszcza bezradnie ręce, pogrążony w medytacji nad środkami – i bezpłodna to medytacja. Jest niby mocarz inteligencji uśpiony własnym dumanie. Krytyka to dlań opium; harem gotowych książek zniechęcił go do wszelkiego dzieła, które trzeba by stworzyć. Obojętny zarówno na rzeczy najbłahsze, jak i najważniejsze, musi pod ciężarem własnej głowy zapadać w rozpustę, gdyż pozwala mu to na krótką chwilę zrezygnować z fatalnej władzy, jaką stanowi jego wszechpotężna analiza. Nazbyt go zaprzęta podszywka geniuszu: rozumiecie teraz, że Kamil Maupin starał się skierować ów dar analizy ku jego istocie. Urzekające zadanie. Klaudiusz Vignon poczytuje się za równie wielkiego polityka jak pisarza; ale ten zapoznany Makiawel śmieje się w duchu z ambicjuszy, zna wszystkie swoje możliwości, wymierza instynktownie własną przyszłość łokciem swoich zdolności, widzi się wielkim, ogląda przeszkody, przenika głupotę parweniuszów, przeraża się albo zraza i, nie biorąc się do dzieła, patrzy spokojnie, jak czas mija. Pochodzi z mieszczaństwa – jak Stefan Lousteau, felietonista, jak Natan, słynny dramatopisarz, jak Blondet, inny dziennikarz – mieszczaństwa, któremu zawdzięczamy większość świetnych literatów.

– Którędy pan wszedłeś? – zapytała panna des Touches pokraśniewszy z niespodzianego szczęścia.

– Drzwiami – odparł lakonicznie Klaudiusz.

– Ależ – zawołała, wzruszając ramionami – wiem doskonale, że nie zaliczasz się pan do ludzi, którzy wchodzą przez okno!

– Kto wchodzi oknem, nadaje ukochanej kobiecie coś na kształt orderu.

– Dość! – zachnęła się Felicyna.

– Przeszkadzam pani? – zagadnął Vignon.

– Proszę pana – ozwał się naiwny młodzieniec – ten list...

– Niechże pan go zachowa, o nic nie pytam, w naszym wieku to rzeczy zrozumiałe – przerwał, drwiąco Klaudiusz Kalistowi.

– Ależ, mój panie... – oburzył się Kalist.

– Uspokój się, młodzieńcze, dla uczuć jestem nadzwyczaj pobłażliwy.

– Drogi Kaliście... – zaczęła mówić Felicyna.

– Drogi? – przerwał jej Vignon.

– Klaudiusz żartuje – ciągnęła Felicyna, zwracając się nadal do Kalista – niesłusznie postępując wobec pana, który nie znasz się na paryskich igraszkach dowcipu.

– Nie wiedziałem, że ze mnie żartowniś – odparł poważnie Vignon.
 – Którą wrócił pan drogą? Od dwóch godzin spoglądałam bez przerwy w stronę Croisic.
 – Widać nie bez przerwy – odpowiedział Vignon.
 – Trudno wytrzymać z pańskimi drwinami.
 – To ja drwię?
 Kalist podniósł się z taboretu.
 – Nie tak panu tu źle, żebyś musiał odchodzić – rzekł Vignon,
 – Przeciwnie! – odparł młodzieniec. Zagotowało się w nim, Felicycya podała mu rękę, którą ucałował miast uściskać, pozostawiając na niej gorącą łzę.
 – Jakżebym chciał być tym młokosem – powiedział krytyk i siadając wziął ustnik nargilu.
 – Ależ on będzie kochał!
 – Zbyt namiętnie, toteż nie będzie kochany – rzekła panna des Touches. – Pani de Rochefide przyjeżdża tutaj.
 – Doskonale! Czy z Contim?
 – Conti jej towarzyszy, ale zaraz odjedzie.
 – Pokłócili się?
 – Nie.
 – Zagraj mi którąś sonatę Beethovena; nie znam nic z jego muzyki pisanej na fortepian.
 I Klaudiusz jął nabijać tytoniem tureckim kominek nargilu, popatrując na Felicycę bacznie, niżby sądziła; zaprzętał się okropną myślą: zdradziła go kobieta uczciwa. Nowa sytuacja.
 Po drodze Kalist nie myślał już ani o Beatryczy de Rochefide, ani o jej liście – wściekał się na Vignona, sierdził się o jego rzekomy brak delikatności, użalał się nad biedną Felicycą. Jakżeż można być kochanym przez tę wzniosłą kobietę i nie wielbić jej na kolanach? Nie dać wiary jej spojrzeń lub uśmiechowi? Był uprzywilejowanym świadkiem bólesci, jaką napawało Felicycę oczekiwanie, widział, jak spoglądała wciąż w kierunku Croisic – z ochotą więc teraz rozszarpałby tego bladego i zimnego upiora, nieświadom – jak napomknęła panna des Touches – owych igraszek myślowych, w których celują kpiarze z prasy. Miłość była dlań religią ludzką. Ujrzawszy matkę na dziedzińcu, krzyknął z radości. Zaraz więc sędziwa panna du Guénic gwizdnęła, przywołując Maryskę.
 – Maryśka, dziecko wróciło, dawaj kaprysik!
 – Widziałam, proszę panienki – odpowiedziała kucharka.
 Fanny, zaniepokojona nieco smutkiem na czole Kalista, siadła do robótki, nie domyślając się, że usposobiło go tak zachowanie Vignona, co jakoby zmaltretował Felicycę. Stara ciotka wzięła się do drutów. Baron, wskazawszy swój fotel synowi, jął przechadzać się po salonie, jak gdyby chciał naoliwić sobie nogi przed codziennym spacerem w ogrodzie. Żaden obraz flamandzki czy holenderski nie przedstawił jak dotąd wnętrza o tonach tak doskonale brunatnych, zaludnionego postaciami tworzącymi tak miłą harmonię. W ramach tej staroświeckiej komnaty młodzieniec odziany w czarny aksamit, matka wciąż jeszcze tak urodziwa i dwoje starców stanowili uosobienie wzruszającej harmonii domowej. Fanny chętnie wypytałaby syna, lecz młodzieniec wyciągnął z kieszeni list od Beatryczy. Kto wie, czy pismo to nie zrujnuje szczęścia naszej szlachetnej rodziny. Rozkładając papier, Kalist ujrzał oczyma namiętnej imaginacji margrabinę tak ubraną, jak odmalowała ją fantazja Kamila Maupin.

BEATRIX DO FELICYTY

Genua, 2 lipiec.

Nie pisałam do Ciebie, droga Przyjaciółko, od czasu jak byliśmy we Florencji, ale Wenecja i Rzym pochłonęły mi moje dni – a jak Ci wiadomo, szczęście zabiera też wiele miejsca w życiu. Ale co do listów nie jesteśmy sobie nic dłużne. Zmęczyłam się trochę. Chciałam

wszystko obejrzyć, a choćby się nie miało duszy łatwej do znudzenia, nużą powtarzające się wciąż uciechy. Nasz przyjaciel święcił piękne triumfy w La Scala, a także w Fenice, ostatnio zaś w operze neapolitańskiej. Trzy opery włoskie w półtora roku! Nie możesz powiedzieć, że miłość go rozleniwiła. Zgotowano nam wszędzie uroczę przyjęcia, lecz ja wolałabym samotność i ciszę. Czyż to nie jedyny rodzaj życia odpowiedni dla kobiet, które bezpośrednio przeciwstawiły się światu? Spodziewałam się, że tak będzie. A tymczasem, moja droga, miłość to władca bardziej wymagający niż małżeństwo, ale jak słodko być mu powolną! Uczyniłam całe życie moje miłością, nieświadoma, że trzeba będzie znowu widywać ludzi, choćby chwilami, a każda grzeczność – których mi nie szczędzono – zadawała mi ranę. Nie jestem już na równi z kobietami najbardziej dystyngowanymi. Im więcej okazywano mi względów, tym dotkliwiej odczuwałam moją niższość. Gennaro nie pojmował tych odcieni, ale był tak szczęśliwy, że skrzywdziłabym go nie poświęciwszy mojej drobnej próżności czemuś tak wielkiemu jak życie artysty. Żyjemy tylko miłością, natomiast mężczyźni żyją miłością i czynem – inaczej nie byłiby mężczyznami. A jednak dla nas, kobiet, wynika wielka niekorzyść z pozycji, którą ja zajęłam; uniknęłaś tej niekorzyści, pozostając nadal wielką wobec świata, który nie miał do Ciebie żadnego prawa, zachowałaś swoją wolną wolę, a ja nie mam już mojej. Mówię o tym jedynie w związku ze sprawami serca, a nie ze sprawami natury towarzyskiej, na których raz na zawsze postawiłam krzyżyk. Mogłaś być zalotna i własnowolna, mieć wszelkie przymioty kobiety, która kocha i może, jeśli jej się spodoba, wszystkim obdarzyć albo wszystkiego odmówić; zachowałaś przywilej kaprysu tam nawet, gdzie w grę wchodzi interes miłości i mężczyzny, którego sobie upodobałaś. Na koniec i dziś jeszcze możesz wybierać, ja zaś utraciłam już wolność serca, którą zawsze w miłości poczytywałam za rozkosz, choćby nawet uczucie było wieczne. Nie mam już prawa do tych wesołych kłótni, na których tak nam zależy, i nie bez racji, bo czyż to nie sonda, którą badamy serce? Nie mam już czym grozić, wszelkie moje powaby muszę czerpać z bezgranicznego posłuszeństwa i słodocy, muszę imponować wielkością mojego afektu; wolałabym umrzeć niż porzucić Gennara, choć przebaczenie zyskam li tylko dzięki świętości mojego uczucia. Nie wahałam się między godnością towarzyską i moją nieważką godnością, utajoną na dnie sumienia. Jeśli czasem nawiedza mnie melancholia podobna obłokom przeciągającym po najczystszy niebie, melancholia, w której my, kobiety, lubimy się pogrążyć, milcząc, aby nie posądzono mnie o wyrzuty. Mój Boże, tak dokładnie zmierzyłam zakres moich obowiązków, że uzbroidła się w całkowitą pobłażliwość, lecz do tej chwili Gennaro nie podrażnił niczym mojej zazdrości, choć bardzo ona wrażliwa. A zresztą nie wyobrażam sobie, by ten piękny i drogi geniusz mógł mi sprawić jakikolwiek zawód. Przypominam nieco, drogi aniele, tych nabożnych ludzi, którzy wiedzą dyskursa z Bogiem, bo czyż nie Tobie zawdzięczam moje szczęście? Toteż nie powinnaś wątpić, że często myślę o Tobie. Zobaczyłam na koniec Włochy, jak Ty je widziałeś, jak oglądać je trzeba, opromienione w mojej duszy miłością, niby właściwym temu krajowi pogodnym słońcem i arcydziełami. Żal mi ludzi wciąż porywanych zachwytem, jakiego Włochy domagają się na każdym kroku – a którzy nie mają ani ukochanej ręki, by ją uścisnąć, ani bliskiego serca, by przelać w nie nadmiar wzruszeń, co przycichają tam lub rosną. Te półtora roku to dla mnie całe życie, wspomnienia moje zbiorą bogaty plon z tych miesięcy. Czyż nie projektowałaś, jak ja, żeby zamieszkać w Chiavari, kupić pałac w Wenecji, w Sorrento domek, a we Florencji willę? Czyż nie każda zakochana kobieta lęka się świata? Ale czyż ja, raz na zawsze wyrzucona poza jego obręb, nie powinnam pragnąć, aby pochowano mnie wśród pięknego pejzażu, pod kopcem kwieciami, nad morzem albo w dolinie takiej, jaką widać z Fiesole, dolinie pięknej jak morze? Ale niestety, jesteśmy tylko stadłem ubogich artystów, brak pieniędzy przygnał dwoje cyganów do Paryża. Nie chcąc, abym odczuła, że nie otacza mnie już dawny zbytek, Gennaro wystawił tu właśnie nowe dzieło, wielką operę. Rozumiesz więc, drogi aniele, nie gorzej niż ja, że nie powinnam teraz pokazać się w stolicy. Klnę się moją miłością, że nie chciałabym spotkać się ze spojrzeniem kobiety czy mężczyzny,

które kazałoby mi powziąć myśl o morderstwie. Tak, każdego, kto zaszczyciłby mnie litością, okazał łaskawą przychylność, porąbałabym w kawałki – podobnie jak za Henryka III, jeśli się nie mylę, owa czarująca Châteauneuf najechała konno na przewota Paryża i stratowała go, ponieważ dopuścił się zbrodni w tym stylu. Piszę więc, aby Cię powiadomić, że niebawem zawitam u Ciebie w Touches i w pustelni tej oczekiwać będę naszego Gennara. Widzisz, jak zuchwale sobie poczynam z moją dobrodziejką i siostrą? Ale to z tej przyczyny, że wielkość obliżu nie przywiedzie mnie, jak bywa z niektórymi sercami, do niewdzięczności. Naopowiadałaś mi tyle o waszych wyboistych drogach, że postaram się przybyć morzem do Croisic. Pomysł ten zaświtał mi w głowie, kiedy dowiedziałam się, że duński stateczek naładowany marmurem wraca stąd na Bałtyk, zawijając w drodze po sól. Wożąc tak, uniknę fatygi i kosztów podróży dylizansem. Wiem, że nie jesteś sama, i wielka to radość dla mnie: wśród szczęśliwości mojej miałam wyrzuty. Jesteś jedyną osobą, z którą winnam być sama i bez Contiego. Czyż i Ty nie ucieszysz się, mając przy sobie kobietę, która zrozumie Twoje szczęście i nie będzie zazdrosną? A więc do rychłego zobaczenia. Wiatr nam sprzyja, wyruszając przesyłam Ci pocałunek.

„A więc i ta też kocha!” – pomyślał Kalist i ze smutną miną złożył papier.

Smutek ów padł na serce matki, jak gdyby światełko błysło przed nią w przepaści. Baron wyszedł właśnie. Fanny, zamknawszy wieżyczkę na rygielek, przysiadła na poręczu fotela, w którym usadowił się Kalist. Przypominała w tej chwili siostrę Dydony z obrazu Guérina. Pocałowała go w czoło, pytając:

– Co cię tak zasmuciło, synku? Obiecałeś mi wytłumaczyć przyczynę tych nieustannych wizyt w Touches. Mam, jak mówisz, błogosławić tameczną dziedziczkę.

– A tak, na pewno – odparł. – Wykazała mi, droga mamó, jak zasadnicze braki ma moja edukacja w czasach, kiedy szlachcic winien zdobyć walor osobisty, aby przywrócić do życia swoje nazwisko. Jestem tak oddalony od mojej epoki, jak daleko z Guérande do Paryża. Felicycja jest po trosze matką mojej inteligencji.

– Za to błogosławić jej nie będę – rzekła baronowa i oczy jej napelniły się łzami.

– Mamó! – zawołał Kalist uczuwszy na czole dwie łzy gorące, perły zboląłego macierzyństwa. – Mamó, nie płacz! Przed chwilą, by wyświadczyć jej przysługę, chciałem przetrząsnąć okolicę od wybrzeża i komory celnej do miasteczka Batz: lecz ona mi rzekła: „Jakże zanepokoiliby się tym pańska matka!”

– Tak powiedziała? Mogę więc wybaczyć jej niejedno.

– Felicycja pragnie tylko mojego dobra – podjął Kalist. – Powstrzymuje się nieraz od owych słów dosadnych i śliskich, jakie często wymykają się artystom, aby nie zachwiać we mnie wiary, o której nie wie, że jest niezachwiana. Opowiedziała mi, jak to w Paryżu radzi sobie kilku młodzieńców z najlepszej szlachty: pochodzą oni z prowincji, którą i ja opuścić mogę, rozstali się z ubogą rodziną i zdobywają teraz potęgą inteligencji i woli wielki majątek. Mogę dokonać tego, co zdołał baron de Rastignac, jeden z obecnych ministrów. Felicycja daje mi lekcje włoskiego, uczy mnie grać na fortepianie i wtajemnicza w mnóstwo sekretów towarzyskich, o których w Guérande nikt nie ma pojęcia. Nie mogła mi dać skarbu miłości, obsypuje mnie przeto skarbami swojego wszechstronnego umysłu, inteligencji, geniuszu. Chce być dla mnie światłem, a nie rozkoszą: nie zawadza o żadne z moich przekonań; wierzy w szlachtę, kocha Bretanię, prócz tego zaś...

– Prócz tego zaś odmieniła naszego Kalista – przerwała niewidoma staruszka – bo nic nie rozumiem z tych słów. Masz, mój bratanuku, dom porządnie zbudowany, starych krewniaków, którzy cię wielbią, starą, wypróbowaną służbę; możesz poślubić jakąś znaną Bretoneczkę, panienkę religijną i bez zarzutu, która cię uszczęśliwi; ambicje swoje przenieś więc na syna pierworodnego, który będzie trzykrotnie bogatszy od ciebie, jeśli potrafiś żyć statecznie, oszczędnie, na uboczu, w pokoju Bożym, aby oddłużyć nasz majątek rodowy. To proste jak

serce bretońskie. Bogactwo szlacheckie zbudujesz sobie tym sposobem nie tak prędko, ale za to solidniej.

– Ciotka ma rację, mój aniele. Budowała ci szczęście nie mniejszym niż moje staraniem. Gdyby nie udało mi się ożenić cię z miss Margaret, twoją kuzynką, córką lorda Fitz-William, twojego wuja, jest niemal pewne, że panna de Pen-Hoël odda swój majątek tej z siostrzenic, którą pokochasz.

– A zresztą i tu znajdzie się parę groszy – rzekła stara ciotka cicho i z tajemniczą miną.

– Mam się żenić w moim wieku?... – tu Kalist rzucił matce jedno z owych spojrzeń zdolnych skruszyć macierzyński rozsądek.

„Czyż nie zaznam więc tych pięknych, szalonych amatorów? Czyż nie będę drżał, dygotał, dyszał pod nieubłaganymi spojrzeniami, aby je wzruszyć, i czy nie będę się ich lękał? Czyż nie będzie mi dane poznać piękna wolnego, fantazyj duszy, obłoków biegnących pod lazurem szczęścia, obłoków, które rozwiewa technienie rozkoszy? Czyż nie będę chodził po zapadłych ścieżkach wilgotnych od rosy? Czyż nie będę wystawał pod kapiącą rynną, nie wiedząc, że deszcz pada, niby kochankowie u Diderota? Czyż nie wezmę w dłoń rozżarzonego węgla, jak uczynił to diuk lotaryński? Czyż nie będę wdrapywałem się po jedwabnych drabinkach? Czyż nie zawisnę na starej drewnianej kracie tak, że się nie zegnie? Czyż nie będę krył się w szafie albo pod łóżkiem? Czy zaznam od kobiety li tylko uległości małżeńskiej, od miłości tylko jej równomiernego płomienia lampy? Czyż moja ciekawość zostanie zaspokojona, nim cokolwiek ją pobudzi? Czy będę żył nie doświadczając owej namiętności serca, która wzmaga potęgę mężczyzny? Czy będę mnichem małżeńskim? Nie! Skosztowałem paryskiego jabłka cywilizacji. Czyż nie widzicie, że wasz czysty i niemądry obyczaj rodzinny przygotował ogień, co mnie pożera, i że spalę się nie adorując bóstwa, choć widzę je wszędzie: wśród zielonych liści, na rozświetlonych piaskach i w każdej pięknej, szlachetnej, wykwintej kobiecie, takiej, jaką odmalowują poematy i książki, które pochłaniam u Kamila? Niestety, z tych kobiet jedna jest tylko w Guérande – i to w dodatku ty, moja mamó! Piękne błękitne ptaki moich marzeń nadlatują z Paryża, wychodzą spomiędzy kart książek lorda Byrona i Waltera Scotta: to Parisina, Effie, Minna! Wreszcie to księżna krwi, którą widziałem na landach poprzez janowce i wrzosa. Na sam jej widok serce moje gorzało!”

Baronowa odgadywała wszystkie te myśli pod postacią jaśniejszą, piękniejszą i żywszą, sztuka bowiem daje czytelnikowi tylko błady ich obraz. Ogarnęła je w ich błyskawicznym pędzie, kiedy padały z oczu niby z odwróconego kołczana. I choć nigdy nie czytała Beaumarchais'ego, pomyślała – a myśl ową podzieliłyby wszystkie kobiety – że byłoby zbrodnią żenić tego Cherubina.

– O, mój drogi chłopcze – rzekła wzięwszy go w objęcia i całując jego piękne włosy, które jeszcze należały do niej – możesz się ożenić, kiedy zechcesz, bylebyś tylko był szczęśliwy! Nie moja to rola cię dręczyć.

Maryśka nakryła do stołu. Gasselin wyszedł, żeby przeprowadzić konia, gdyż Kalist nie dosiadał go już od dwóch miesięcy. Trzy kobiety – matka, ciotka i Maryśka – porozumiewały się z niewieścią chytrą, by fetować Kalista, kiedy jadł obiad w domu. Ubóstwo bretońskie, zbrojne nawykami i wspomnieniami dzieciństwa, starało się walczyć z cywilizacją paryską, której wierne odbicie młodzieniec spotykał o dwa kroki od Guérande, w Touches. Maryśka usiłowała zrazić paniczka do wymyślnych recept kuchni Kamila Maupin, a matka i ciotka prześcigały się wzajem, by – oplątawszy ukochane dziecię siatką czułych zabiegań – udaremnić mu wszelkie porównanie.

– No, ma pan Kalist swój kaprysyk (był to rodzaj smakowitej ryby morskiej, zwanej bar) i pieczonego kszyka, i naleśniki, jakie ja tylko potrafię usmażyć – powiedziała chytrze Maryśka i z triumfującą miną spojrzała na obrus tak wyprasowany i biały, że lśnił niby lustro. Jakby na stół spadł śnieg.

Po obiedzie, kiedy stara ciotka znów się zabrała do drutów, kiedy zjawił się proboszcz, a za nim kawaler du Halga, znęceni partyjką pamfila, Kalist podążył do Touches, tłumacząc, że musi zwrócić list od Beatryczy.

Klaudiusz Vignon i panna des Touches siedzieli jeszcze przy stole. Wielki krytyk miał skłonność do smakoszostwa i Felicycyta dogadzała tej słabostce, wiedząc, jak niezastąpioną staje się kobieta, która schlebia gustom mężczyzny. Jadalnia, uzupełniona przed miesiącem dodatkami nader istotnymi, świadczyła, jak subtelnie i szybko kobieta przystosowuje się do charakteru, profesji, namiętności i upodobań mężczyzny, którego kocha albo pokochać by chciała. Stół przedstawiał się bogato i świetnie: nowoczesny zbytek połączony z udoskonaleniami przemysłowymi cechował zastawę. Biedny i szlachetny ród de Guéników nie wiedział, z jakim adwersarzem ma do czynienia; jakiej trzeba by fortuny, żeby walczyć ze srebrem przerobionym na nowo w Paryżu i przywiezionym tutaj przez pannę des Touches, z porcelaną, którą uznała jeszcze za dobrą na wiejski użytek, z pięknymi obrusami, ze złożonym serwisem, z figurynkami zdobiącymi stół i z wiedzą kucharza. Kalist wymówił się od likierów ustawionych w przepysznym kredensiku z kosztownego drzewa, który przypominał tabernakulum.

– Odnoszę list – powiedział z naiwną ostentacją, spoglądając na Klaudiusza, który rozkoszował się właśnie zamorskim likierem.

– No i cóż pan sądzisz o nim? – spytała Kalista panna des Touches, rzucając nad stołem list Vignonowi. Krytyk jął czytać, to biorąc kieliszek do ręki, to znów odstawiając.

– Chyba to... że paryżanki są bardzo szczęśliwe. Mogą wielbić geniuszów, a ci ludzie genialni je kochają.

– No toś jeszcze nie ruszył się ze swojej wioski – roześmiała się Felicycyta. – Jak to? Nie widzisz pan, że miłość jej słabnie już i że...

– To jasne – ozwał się Klaudiusz nie przeczytawszy jeszcze pierwszego arkusika. – Czyż, kochając naprawdę, przyglądamy się choć trochę naszemu położeniu? Czy tak jak margrabina wydziwiamy, rachujemy, dzielimy włos na czworo? Nasza kochana Beatrix nie rzuciła jeszcze Contiego, gdyż powoduje nią duma: zapadł wyrok, że musi kochać go mimo wszystko.

– Biedactwo! – ulitowała się Felicycyta.

Kalist wbił oczy w stół i nic już nie widział. Piękna kobieta w stroju fantastycznym, naszkicowanym rano przez Felicytę, zjawiła mu się promieniejąca aureolą; uśmiechała się doń, poruszała wachlarzem, drugą ręką, biała i smukła, spoczywała na bufiastych fałdach przepysznej sukni, wyzierając z jasnowisniowego mankietu obszytego suto koronką.

– A teraz pan z kolei przystąpi do interesu – powiedział Vignon, przesyłając Kalistowi sardoniczny uśmiech.

Kalista zraniło słowo i n t e r e s .

– Nie podsuwaj pan temu dziecku myśli o podobnej intrydze, nie zdajesz sobie sprawy, jak niebezpieczne są takie żarty. Znam Beatrycę, zbyt wzniosły to charakter, by przystała na odmianę, a zresztą Conti nie dopuściłby do tego.

– Ach! Zazdrość maleńka taka?... – zagadnął kpiąco Klaudiusz.

– Czyżbyś pan tak sądził? – obruszyła się dumnie Felicycyta.

– Jesteś pani bardziej przenikliwa niż matka – zakpił znowu Klaudiusz.

– Ale czyż to możliwe? – tu panna des Touches wskazała Kalista.

– Owszem – podchwycił Vignon – pasowaliby do siebie. Ona jest o dziesięć lat starsza od niego, on zaś wygląda na panienkę.

– Ta panienka, mój panie, widziała już dwakroć ogień w Wandei. Gdyby tylko znalazło się dwadzieścia tysięcy podobnych dziewcząt...

– Pochwaliłem pana, a to znacznie łatwiej niż cię ogolić – odparł Vignon.

– Za to moja szpada każdemu przytnie brodę – powiedział Kalist.

– A ja tnę wybornie dowcipem – uśmiechnął się Vignon – jesteśmy Francuzami, dogadamy się więc jakoś.

Panna des Touches przesłała Kalistowi błagalne spojrzenie, opanował się więc natychmiast.

– Czemu – zagadnęła Felicjta, by położyć kres waśni – ludzie tak młodzi jak mój Kalist darzą zawsze pierwszym afektem kobietę w pewnym wieku?

– Nie znam uczucia bardziej niewinnego i szlachetnego – odrzekł Vignon – a rodzi się ono z prześlicznych zalet młodości. Jakże zresztą stare kobiety dokonywałyby dni swoich bez tego uczucia? Jesteś pani młoda i piękna, nie zmienisz się i za dwadzieścia lat, mogę więc rzecz wyłożyć w twojej obecności – dodał, popatrując chytrze na gospodynię. – Przede wszystkim półmatrony, do których uderzają młodzi ludzie, umieją kochać o wiele wprawniej niż młode kobiety. Gołowus nazbyt przypomina młodą kobietę, aby młoda kobieta mogła mu się podobać. Uczucie takie trąciłoby baśnią o Narcyzie. Prócz tej odrzy młodzińca i dziewczynę rozdziela, jak sądzę, obopólny brak doświadczenia. Z tej racji serce młodej kobiety zrozumieć zdoła jedynie mężczyzna, u którego miłosna eksperjencia ukrywa się pod uczuciem szczerym lub rzekomym – i z teje racji kobiecie doletniej przychodzi z większą łatwością uwieść młokosa; wyczuwa on doskonale, że odniesie tutaj triumfy, jego zaś wytrwale starania schlebiają znakomicie próżności niewieścjej. Jest w końcu rzeczą całkiem naturalną, że młódź rzuca się na owoce, a jesień kobiety wydaje owoce prześliczne i nadzwyczaj smakowite. Czyżby więc nic nie znaczyły te spojrzenia zuchwale i powściągliwe zarazem, w porę tęskne, nasycone ostatnimi blaskami miłości, jakże gorącymi i słodkimi? Ta wyszukana elegancja słowa, te ramiona złociste, wspaniałe, pełne szlachetnej krągłości, te bujne kształty, ten kontur mięsisty i jakby falujący, te ręce z dołeczkami, ta skóra soczysta i atlasowa, to czoło bogate w sentyment – czoło, w którym smużą się światła, ta koafiura tak doskonale ułożona, zadbana, gdzie włosy rozdzielając się wąską linią, ukazują biel ciała, ta szyja o wspaniałych fałdach, ten kark powabny i kuszący, gdzie sztuka rozwija wszelkie swoje sposoby, aby – podkreśliwszy kontrast między barwą włosów a tonem karnacji – uwypuklić całe zuchwalstwo życia i miłości? Nawet brunetki przybierają wtedy karnację blondynek, bursztynową, ciepłą. Jakoż owe kobiety objawiają w uśmiechu i rozwijają w słowach swoją wiedzę o świecie: umieją gawędzić, aby cię rozweselić, roztaczają przed tobą obraz całego świata, odznaczają się szlachetną godnością i dumą, wydają okrzyki rozpacz, że serce pęka, potrafią tak żegnać się z miłością, iż daremne to pożegnanie, bowiem znów tylko podsyca namiętność; młodziej potrafią wprowadzać odmiany w rzeczach najbeznadziejniej prostych; lada drobiazg może je odmłodzić, o czym głoszą zalotnie, upojenie zaś wywołane ich triumfami jest zaraźliwe; przyjaźń ich jest absolutna: wysłuchają cię, no i pokochają; chwytają się miłości, jak skazaniec czepia się najbłahszych przejawów życia; są podobne owym adwokatom, którzy nie pomijają niczego, przemawiając za oskarżonym i nie nudzą przy tym trybunału; nie zapominają o żadnym ze swoich środków – słowem, gdyby nie te kobiety, nikt nie zaznałby miłości absolutnej. Nie sądzę, aby można kiedykolwiek wymazać je z pamięci, tak jak nie zapominamy o rzeczach szlachetnych i wzniosłych. Młode kobiety mają tysiące rozrywek, tamte zaś nie mają żadnych. Nie znajdziesz w nich już ani miłości własnej, ani próżności czy małości; afekt ich jest jak ujście Loary: olbrzymi, nasycony wszelkimi rozczarowaniami, dopływami życia, a oto dlaczego... moja córka zaniemówiła⁴⁹ – powiedział, widząc, że panna des Touches, pogrążona jakby w ekstazie, ściska mocno rękę Kalista; może mu chciała podziękować, przeżywszy dzięki niemu podobny moment, wysłuchawszy pochwalnego hymnu, w którym nie mogła dopatrzeć się żadnej zasadzki.

Cały wieczór Klaudiusz i Felicjta błyszczeli dowcipem i, opowiadając Kalistowi anegdoty, odmalowywali przed nim wielki świat paryski. Młodzienc zakochał się w Klaudiuszu, gdyż lotny umysł urzeka nade wszystko ludzi kierujących się sercem.

⁴⁹ A oto dlaczego... moja córka zaniemówiła... – aluzja do sceny z aktu II „Lekarza mimo woli” Moliera, w której udający lekarza Sganarel, po długim a niedorzecznym wywodzie, zwraca się do ojca rzekomo chorej Lucyndy: „I oto właśnie przyczyna, że pańska córka jest niema”.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby jutro margrabina de Rochefide i Conti, który jej towarzyszy na pewno, przybili do brzegu – powiedział Vignon pod koniec wieczoru. – W Croisic marynarze zapowiadali mi na odjeźdźnym stateczek duński, szwedzki czy tam norweski.

Słowa te wywołały lekki rumieniec na policzkach opanowanej Felicyty. Tej nocy pani du Guénic oczekiwała znów do pierwszej powrotu syna, nie pojmując, co Kalist robi w Touches, skoro Felicyta go nie kocha.

„Ależ on im przeszkadza” – powiadała sobie ta urocza matka.

– No, aleś się zasiedzia! – rzekła, gdy wszedł.

– Och, mamó, nigdy jeszcze nie spędził rozkoszniejszego wieczoru. Geniusz to rzecz bardzo wielka, bardzo wzniosła! Czemuż nie obdarzyłaś mnie geniuszem? Kto ma geniusz, może wybrać spomiędzy kobiet tę, którą pokocha, ona zaś należeć doń musi.

– Za to jesteś urodziwy, mój synu.

– Uroda ma swój sens tylko u ciebie. A zresztą i pan Vignon jest urodziwy. Człowiek genialny ma świetliste czoło, a z oczu jego tryskają błyskawice; a ja, nieszczęsny, umiem tylko kochać.

– Ponoć to wystarczy, mój aniele – rzekła, spuszczając głowę.

– Doprawdy?

– Nigdy tego nie doświadczyła, lecz tak słyszałam.

Kalist ucałował z czcią rękę matki.

– Będę cię kochał za tych wszystkich, od których należało ci się uwielbienie – zapewnił.

– Drogi chłopcze, to po trosze twój obowiązek, odziedziczyłeś wszelkie moje uczucia! Ale bądźże roztropny: staraj się kochać jedynie kobiety szlachetne, skoro już kochać musisz.

Któryż młodzieniec pełen kipiących uczuć i hamowanej żywotności nie wpadłby na pomysł – który wpłynąć mógłby na przyszłe zwycięstwo – żeby udać się do Croisic i tam, nie zdradziwszy incognito, przyjrzeć się pani de Rochefide wysiadającej na ląd? Kalist ogromnie zaskoczył rodziców, do których nie dotarła jeszcze wieść o przybyciu pięknej margrabiny, wychodząc nazajutrz rano bez śniadania. Bóg jeden wie, jak nasz Bretończyk wstał nie narobiwszy najmniejszego hałasu! Powiedziałbyś, że wspomagany jakąś tajemniczą siłą, uczuł się lekki; przemknął pod murami parku w Touches tak, aby nikt go nie zobaczył. Uroczy chłopak wstydział się swoich zapałów i lękał się straszliwie, aby zeń potem nie żartowano; Felicyta i Klaudiusz Vignon są tacy domyślni! W podobnym wypadku każdy zresztą młodzieniec wyobraża sobie, że czoło ma przezroczyście. Podążał krętą drogą poprzez labirynt salin, dotarł do piasków, przebył je jakby jednym susem, choć iskrzyło się w nich upalne słońce. Stał na solidnie podmurowanym brzegu, u którego stóp wzniesiono dom chroniący podróżnych przed burzą, wichrem morskim, ulewą lub huraganem. Nie zawsze można przepawić się przez wąski zalew morski, nie zawsze czekają tu łodzie, a nim nadpłyną z portu, trzeba czasem wprowadzić konie i osły do stajni, umieścić w szopie towar czy bagaże. Roztacza się stąd widok na pełne morze i miasto Groisic, toteż Kalist ujrzał po chwili dwie łodzie z ładunkiem manatków, paczek, worków z pościelą, kufrów i skrzyń tak niezwyklego kształtu i tak ułożonych, że tubylcy domyślili się, że mogą one należeć tylko do znakomitych podróżnych. W jednej z łodzi siedziała młoda kobieta w słomkowym kapeluszu z zielonym woalem. Towarzyszył jej mężczyzna. Łódź ich przybiła pierwsza do brzegu. Kalist zadrżał – ale przyjrząwszy im się rozpoznał lokaja i pokojową; nie śmiał pytać ich o nic.

– Jedzie pan Kalist do Croisic? – zaczęli go znajomi marynarze. Odpowiadał, kręcąc przecząco głową i wstyd mu było nieco, że wymieniają jego imię.

Kalista zahipnotyzował kufer obciążony smółkowym płótnem i noszący napis: MARGRABINA DE ROCHEFIDE. Nazwisko to zabłysło mu przed oczyma niby talizman, wyczuł w nim jakąś fatalność; wiedział, nie wątpił ani przez moment, że pokocha tę kobietę; zaprzętał się już najbogatelniejszymi drobiazgami jej dotyczącymi, interesowały go, podniecały w nim ciekawość. Dlaczego? Czyż na skwarnej pustyni naszych bezmiernych i bez-

przedmiotowych pożądań młodość nie koncentruje wszystkich swoich sił w pierwszej kobiecie, jaka się pojawi? Beatrix odziedziczyła miłość, którą wzgardziła Felicjta. Kalist przyglądał się, łak wyładowywano łódź, wypatrując od strony Croisic drugiej łodzi, w nadziei, że wynurzy się ona z portu, podpłynie do niewielkiego półwyspu, gdzie huczą morskie fale, i ukaże mu ową Beatrix, co stała się już dlań w myśli jakby Beatrycą Dantego, niezniszczalnym marmurowym 'posągiem, na którego ramionach będzie wiesział kwiaty i wieńce. Stał skrzyżowawszy ręce, pogrążony w zadumie i oczekiwaniu. Fakt godzien uwagi, a jednak dotąd nie zauważony: często podporządkowujemy nasze uczucia jakiejś nieokreślonej woli, zaciągamy wobec siebie rodzaj obliżu i w ten sposób tworzymy swój los; przypadek nie ma tu z pewnością tak wielkiego udziału, jak myślimy.

– Koni jak nie widać, tak nie widać – rzekła pokojowa siedząca na kufierku.

– A ja nie widzę tu żadnej przetartej drogi – dodał lokaj.

– Ale przecież docierają tu konie – rzekła pokojowa wskazując ślady ich pobytu. – Czy to, proszę pana, droga do Guérande? – zwróciła się do Kalista.

– Tak – odpowiedział. – A na kogo pani czeka?

– Powiedziano nam, że przyjadą po nas z Touches. Jeśli się spóźnią, nie wiem, kiedy pani margrabina zdąży się ubrać – rzekła do lokaja. – Powinien pan pójść do panny des Touches. Co za dziki kraj!

Kalistowi zaświtało niejasno w głowie, że sytuacja jego jest raczej fałszywa.

– To pani margrabina jedzie do Touches? – zagadnął.

– Paniuszka była tu po nią dziś o siódmej rano. Otóż i konie!...

Kalist pomknął ku Guérande lekko i szybko jak jeleń, żeby nie wypatrzyła go służba z Touches, ale choć kluczył niby zając, i tak spotkał dwóch lokajów na wąskiej ścieżce wiodącej przez mokradła. „Wstąpić czy nie wstąpić?” – pomyślał ujrzawszy wierzchołki znajomych sosen. Zląkł się, stracił kontenans, wrócił zmartwiony do Guérande i tu przechadzając się po plantach, medytował dalej. Drżał, widząc z daleka dachy Touches, przyglądał się bacznie blaszanym kurkom. „Nie domyśla się nawet, jak jestem rozgorączkowany!” – powiadał sobie. Myśli kapryśne zapadały mu w serce pękami drobniutkich kotwic, przyszpilając tam margrabinę. Tych wstępnych obaw i radości nie zaznał wobec Felicjty; kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, jechała konno i pragnienie jego zrodziło się jak na widok pięknego kwiatu, który zerwać miałby ochotę. Dla duszy nieśmiałej takie chwile niepewności składają się jakby w poemat. Rozgrzana pierwszymi płomieniami wyobraźni, burzy się, gniewa, uspokaja i znów zaczyna buzować, a w ciszy i samotni osiąga najwyższy stopień afektu, zanim dotrze do celu swoich licznych zabiegów. Kalist dostrzegł kawalera du Halgę spacerującego opodal z panną de Pen-Hoël; skrył się na dźwięk swojego imienia. Stary szlachcic i stara panna rozprawiali głośno, spodziewając się, że są sami na plantach.

– Skoro Szarlota przyjeżdża – mówił kawaler – zatrzymaj ją tu pani na trzy do czterech miesięcy. I jakżeż miała, według pani, kokietować Kalista? Nie zdążyła nawet nigdy zabrać się do tego, a teraz, jeśli ta parka będzie widywać się co dzień, zakochają się w sobie na zabój i w zimie pożenisz ich pani. Jeśli szepniesz dwa słowa Szarlocie o swoich planach, Szarlota szepnie Kalistowi cztery, a szesnastoletnia dziewczyna z pewnością zapędzi w kozie róg czterdziestoparoletnią kobietę.

Dwoje starców zawróciło i Kalist nie usłyszał już nic, lecz i tak dowiedział się o zamiarach panny de Pen-Hoël. W tym stanie ducha nie mogło go spotkać nic gorszego. Któryż młodzieniec, powziąwszy nadzieje na wymarzoną miłość, zechce poślubić narzuconą mu pannę? Szarlota de Kergarouët była Kalistowi obojętna, skłaniał się więc, by nią wzgardzić. Nie dawał przystępu względem majątkowym, nawykłszy od dziecka w domu rodzinnym do skromnych warunków, a widząc ponadto, że panna de Pen-Hoël żyje nie mniej ubogo niż du Guénikowie, nie miał pojęcia o jej bogactwach. Wreszcie młodzieniec z edukacją Kalista mógł zważać tylko na uczucie, toteż margrabina pochłaniała wyłącznie jego myśli. Czymże

była mała Szarlota wobec wizerunku, który nakreślił mu Kamil? Towarzyszką zabaw dziecińczych, którą traktował jak siostrę. Wrócił do domu dopiero koło piątej. Kiedy wszedł do sali, matka podała mu ze smutnym uśmiechem list od panny des Touches.

Mój drogi Kaliście, margrabina de Rochefide przyjechała. Liczymy, że ufetujesz z nami jej przybycie. Klaudiusz, kpiarz jak zawsze, twierdzi, że to Pan będziesz Bice, ona zaś – Dante m. Bretania i du Guénikowie winni sobie poczytać za punkt honoru, by przyjąć godnie Casteranównę. Do rychłego więc zobaczenia.

Przyjazny Ci
KAMIL MAUPIN

Przyjdź bezceremonialnie, jak jesteś; inaczej byśmy się ośmieszyli.

Młodzieniec pokazał list matce i wyszedł.

– Cóż to za jedni, ci Casteranowie? – spytała męża.

– Stary ród normandzki, krewniacy Wilhelma Zdobywcy – objaśnił. – Tarcza dzielona w poprzek na trzy pola, lazuruowe, szkarłatne i czarne, na niej srebrny koń ze złotymi podkowiakami, stojący dęba. Piękna dziewczka, dla której Gars dał się zabić w Fougères w roku 1800, wywodziła się po kądzieli z Casteranów. Matka, porzuciwszy księcia de Verneuil, wstąpiła do klasztoru w Séez, gdzie została abatysą.

– A Rochefide'owie?

– Takich nie znam, trzeba zajrzeć do herbarza.

Baronowa odetchnęła lżej, dowiedziawszy się, że margrabina Beatrix de Rochefide pochodzi ze starego rodu, odczuwała jednak nadal coś na kształt przerażenia, wiedząc, że Kalist wpadnie w sidła nowej uwodzicielki.

W drodze do Touches Kalista ogarnął gwałtowny a zarazem słodki niepokój, gardło miał ściśnięte, serce nabrziałe, umysł zmacony, trawiła go gorączka. Chciał zwolnić kroku, lecz jakaś siła wyższa gnała go nieprzerwanie. Każdy młodzieniec zna ów impetyczny pęd zmysłów pobudzonych świecąca nadzieją; ogień subtelny płonący w duszy, roztacza się jakby nimbem malowanym na świętych obrazach wokół wybrańców bożych, nimbem, poprzez który młodzieniec widzi świat w miłosnej poździe, a kobietę w promieniach. Czyż nie jest on wtedy jak święci – pełen wiary, nadziei, zapału i niewinności?

Nasz młody Bretończyk zastał całą kompanię w saloniku Felicyty. Dochodziła szóstka, słońce kryjąc się w morzu, wlewało oknem szkarłatny blask, przesiany wśród liści; nie było wiatru, salon tonął w półmroku, który tak lubią kobiety.

– Oto nasz wysłannik Bretanii – rzekła z uśmiechem panna des Touches i wskazała przyjaciółce Kalista, gdy młodzieniec uniósł portierę z gobelinu. – Punktualność iście królewska.

– Poznałaś pani jego krok – powiedział Vignon do Felicyty.

Kalist skłonił się margrabinie nie patrząc na nią, ona zaś powitała go skinieniem głowy; uściśnęła wyciągniętą rękę Klaudiusza...

– A oto Gennaro Conti, wielki człowiek, o którym tyleśmy mówili – rzekła Felicyta nie odpowiadawszy Vignonowi.

Kalist ujrzał mężczyznę średniego wzrostu, szczupłego i wątłego, o kasztanowatych włosach, oku niemal czerwonym, twarzy białawej i piegowanej. Muzyk tak bardzo przypominał lorda Byrona, że zbyteczne go tutaj portretować, fizys angielskiego poety wszyscy bowiem dobrze znamy. Głowę jednak trzymał szlachetnie. Szczycił się poniekąd owym podobieństwem.

– Cieszę się niezmiernie, że w dniu, który spędzam w Touches, poznaję pana – oświadczył Gennaro.

– To ja powinienem to raczej powiedzieć – odparł młodzieniec z dostateczną swobodą.

– Jest piękny jak anioł – rzekła margrabina do Felicyty.

Stojąc przy sofie, między dwiema paniami, Kalist dosłyszał niemal te słowa, choć margrabina szepnęła je Felicycie na ucho. Usiadłszy w fotelu, jał ukradkiem popatrywać na margrabinę. W łagodnych blaskach zachodu dostrzegł na otomanie kształt biały i węzowy – jakby postać tę ułożył tam rzeźbiarz. Doznał olśnienia. Opisem swoim Felicycie wyświadczyła bezwiednie przyjaciółce dobrą przysługę: Beatrix przewyższała wizerunek, nieprzesadnie zresztą pochlebiony, jaki w przeddzień nakreśliła panna des Touches. Czy to przypadkiem nie dla naszego Bretończyka Beatrix powpinała w swoje królewskie włosy bukieciki bławatków, które wydobyły bladą złocistość drobniutko wijących się pukli, tak ułożonych, aby spływały figlarnie wzdłuż policzków? Płeć pod oczami, podkrążonymi ze zmęczenia, przypominała najczystsza masę perłową, mieniającą się najdelikatniejszymi tony, które tworzyły harmonię z blaskiem oka. Pod skórą białą, cienką jak atlasowa błonka jaja, iskrzyło się życie, krążąc w błękitnawych żyłkach. Niesłyszana była subtelność tych rysów. Czoło wydawało się przezroczyste. Twarz łagodna i słodka. Głowa, prześlicznie osadzona na szyi długiej i o cudownym rysunku, umiała wymownymi ruchami wyrażać najrozmaitsze uczucia. Talia tak cienka, że objąłbyś ją dłońmi, przeginała się z zachwycającą i niedbałą swobodą. Nagie ramiona lśniły w mroku niczym biała kamelia w czarnych włosach. Jasna chusteczka, przysłaniając chytrze biust, modelowała dwie uroczo frywolne wypukłości. Suknia z białego muślinu w niebieskie kwiaty, sute rękawy, luźny stanik pokryty angielskim haftem, pantofelki na koturnach i z rzemyczkami krzyżującymi się na fildekosowej pończoszce – wszystko to wskazywało godną podziwu wiedzę o elegancji. Srebrne plecione kolczyki, cud genueńskiego złotnictwa, które miały akurat rzecz jasna wejść w modę, tworzyły bezbłędną całość z rozkoszną płynnością tych jasnych włosów, ugwieżdżonych bławatkami. Jednym rzutem chciwego oka Kalist zagarnął te cuda – wryły mu się w duszę. Jasnowłosa Beatrix i ciemnowłosa Felicycie przypominały kontrastowy obrazek z *keepsake'u*, wykonany z nadzwyczajnym staraniem przez rytownika lub rysownika angielskiego. Były jak siła i słabość kobiety, siła i słabość w pełnym rozkwicie: antyteza doskonała. Nie mogłyby nigdy rywalizować ze sobą, każda z nich miała zbyt odrębne królestwo. Delikatny pierwiosnek albo lilia obok przepysznego maku, turkus obok rubinu. W tym momencie Kalistem zawładnęła miłość stanowiąca ukoronowanie sekretnego dzieła jego nadziei, obaw i niepewności. Panna des Touches obudziła w nim zmysły, Beatrix rozplomieniła serce i umysł. Miody Bretończyk uczył, jak rośnie w nim siła, która wszystko zwycięży, nic nie respektując. Spojrzał więc na Contiego zazdrośnie i z nienawiścią, posepnie i lękliwie: spojrzeniem tak wyzywającym nie obrzucił nigdy jeszcze Klaudiusza Vignon. Zebrał całą energię, by się opanować, myśląc jednak, że Turcy słusznie zamykają swoje kobiety i że stworzeniom tym powinno się zabronić, by pełne ekscytującej kokieterii ukazywały się młodzieńcom, których ogarnął pożar miłości. Porywy tego huraganu nacichały, kiedy wzrok Beatryczy padał na Kalista i rozbrzmiewał jej słodki głos; biedny chłopak bał się już tej kobiety jak samego Boga. Dzwonek obwieścił obiad.

– Kaliście, podaj ramię margrabinie – rzekła panna des Touches, wskazując Contiemu miejsce na prawo od siebie, a Vignonowi na lewo. Stanąwszy tak we trójkę, przepuścili przodem młodą parę.

Zejsć teraz po starych schodach dworu w Touches było dla Kalista jak gdyby pierwszą batalią: omdlewało mu serce, język odmawiał posłuszeństwa, na czole perliły się drobniutkie krople potu i pot wilżył mu plecy; ramię drżało mu tak nerwowo, że kiedy już byli na dole, margrabina spytała:

– Co z panem się dzieje?

– Nigdy w życiu – odparł głosem więznącym w gardle – nie widziałem kobiety równie pięknej jak pani, oprócz mojej matki, i dlatego nie panuję nad uczuciami.

– To nie masz pan tutaj Felicycie?

– E, nie ma żadnego porównania! – wyrwało się naiwnie Kalistowi.

– Doskonale, kochasiu – szepnęła mu Felicjta na ucho – mówiłam ci, że zapomnisz o mnie tak, jakbym w ogóle nie istniała. Siądź obok niej na prawo, a Vignon siądzie na lewo. A ciebie, Gennaro, ja zagarniam – dodała z uśmiechem – będziemy pilnować tej kokietki.

Szczególny nacisk, z jakim Felicjta wymówiła ostatnie słowa, zastanowił Klaudiusza. Przesłał jej spojrzenie chytre i pełne rzekomego roztargnienia, spojrzenie, które zawsze zdradza u niego pilną obserwację. Podczas obiadu nie odrywał baczego wzroku od panny des Touches.

– No cóż – odparła margrabina, zdejmując rękawiczki i ukazując przepiękne ręce – mam kogo kokietować. Z jednej strony poeta – tu wskazała Klaudiusza – a z drugiej poezja.

Conti obrzucił Kalista przypoehlebnym spojrzeniem. W sztucznym świetle Beatrix wydawała się jeszcze piękniejszą. Białawy blask świec mienił się atłasowo w jej czole, niecił iskierki w oczach gazeli, przenikał poprzez jedwabiste loki, zapalając w nich łagodne lśnienia, tu i ówdzie darząc rozbłyskiem cieniutkie złote pasma. Wdzięcznym ruchem odrzuciła gazowy szal, odsłaniając szyję. Kalist ujrzał kark delikatny, biały jak mleko, przedzielony wyraźną bruzdą, która niby dwie zanikające fale rozchylała się ku ramionom, pełna miękkiej i zwodniczej symetrii. Prawem każdej kobiety jest odmieniać kształt, w jakim się raz już ukazała; nie robi to szczególnego wrażenia w świecie zblazowanych spojrzeń, ale potrafi spustoszyć okrutnie duszę tak naiwną jak u Kalista. Szyja ta, jakże różna niżli szyja Felicjty, świadczyła, że Beatrix ma zgoła odmienny charakter. Dostrzegłbyś tu dumę rodową, niezłomność właściwą szlachcie, w owym zaś wiązaniu karku z ramionami jakąś twardą surowość, stanowiącą może ostatni ślad siły dawnych zdobywców.

Kalist udawał z nieopisanym trudem, że je, nerwowe wstrząsy odbierały mu apetyt. Jak to bywa u każdego młodzieńca, organizm jego dręczyły skurcze, które, poprzedzając pierwszą miłość, sprawiają, że zapada ona głęboko w duszę. W tym wieku zapal serca, hamowany zapalem duchowym, przywodzi do wewnętrznej walki, którą tłumaczy się długi okres wahań kryjących w sobie szacunek, głębokie i tkliwe medytacje, brak wszelkiego wyrachowania: uroki spotykane tylko u młodzieńców czystego życia i serca. Rozpatrując – acz ukradkiem, żeby nie wzbudzić podejrzeń zazdrosnego Gennara – owe szczegóły, czyniące margrabinę de Rochefide tak szlachetnie piękną, Kalist dał się wprędce przytłoczyć majestatowi ukochanej kobiety: uczył się pomniejszony wyniosłością niektórych jej spojrzeń, imponującym wyrazem twarzy pełnej wykwintu, pewną dumą, jaką kobiety umieją nadawać lekkim poruszeniom, sposobem trzymania głowy, zachwycającą powolnością gestów; efekty te mniej są wystudowane, niż się ogólnie mniema. Te urzekające, choć drobne zmiany fizjonomii kobiecej kojarzą się z subtelnościami i rozlicznymi niepokojami kobiecej duszy. W każdej odmianie wyrazu tai się jakiś afekt. Dwuznaczna sytuacja, w jaką popadła Beatrix, nakazywała jej czuwać nad sobą, onieśmielać nie wpadając w śmieszność – i każda kobieta z wielkiego świata umie osiągnąć ów cel, podczas gdy w podobnym wypadku potknie się zawsze kobieta z gminu. Beatrix wyczytała z oczu Felicjty, jak wielką i cichą admirację budzi w swoim sąsiedzie, że zaś ośmielać go byłoby jej niegodnym, przesiała Kalistowi w sposobnej chwili kilka owych karcących spojrzeń, co spadły nań niby lawina śnieżna. Nieszczęśnik pożalił się wzrokiem pannie des Touches. Odgadłszy w jego oczach łzy serdeczne, tłumione z nadludzką energią, spytała przyjacielskim tonem, czemu nic nie je. Kalist opchał się jak na komendę i zaczął nadrabiać miną udając, iż uczestniczy w rozmowie. Być natrętnym zamiast się podobać – ta myśl nie do zniesienia kołatała mu boleśnie pod czaszką. Wstydził się tym mocniej, że za krzesłem margrabiny stał lokaj, którego rano widział na molo. Sługa naplotkował z pewnością o zaciekawionym młodzieńcu. Mógł być znekany i mógł być radosny – pani de Rochefide nie zwracała nań i najmniejszej uwagi. Kiedy panna des Touches zatrafiła w rozmowie o Włochy, Beatrix uznała to za pretekst, by opowiedzieć dowcipnie, jak we Florencji pewien rosyjski dyplomata począł darzyć ją afektem nagłym i gorącym; wydrwiła przy tej okazji młokosów, co rzucają się na kobiety jak szarańcza na liście. Zaśmiewał się Klaudiusz, Genna-

ro, a nawet Felicycy, choć te złośliwe strzały godziły w serce Kalista, który poprzez szum w uszach i w głowie chwycił tylko pojedyncze słowa. Biedny chłopak nie poprzysiągł sobie zwyczajem ludzi upartych, że zdobędzie tę kobietę za wszelką cenę; nie, nie oświadczył jej miłości, nie, nie owładnął nim gniew, cierpiał tylko. Spostrzegłszy, że Beatrix zamierza złożyć go w ofierze u stóp Gennara, pomyślał: „Obym przydał się jej na coś!” – i łagodny jak baranek pozwolił się maltretować.

– Czemu pani, taka admiratorka poezji – zagadnął Klaudiusz margrabinę – przyjmujesz ją tak niezyczliwie? Czyż naiwna admiracja, prześliczna w swoim wyrazie, bezinteresowna i pełna oddania, nie jest poezją serca? Przyznaj, pani, że napawa cię ona radością i wewnętrznym zadowoleniem.

– Zapewne – odrzekła. – Ale byłybyśmy bardzo nieszczęśliwi, a nade wszystko bardzo niegodne, gdybyśmy ustępowały każdemu uczuciu, jakie tylko wzbudzimy.

– Gdybyście nie przebierały – ozwał się Conti – nie szczycilibyśmy się tak waszą miłością. „Kiedyż wybierze mnie i wyróżni jakaś kobieta?” – pomyślał Kalist, tłumiąc z trudem bolesne wzruszenie. Zacerwienił się jak ranny, kiedy ktoś przez nieuwagę dotknął palcem skałeczenia. Panna des Touches, zaniepokojona wyrazem, jaki malował się na twarzy Kalista, spróbowała go pocieszyć, śląc mu spojrzenie pełne sympatii. Vignon przyłapał ją na tym i wtedy ogarnęła go wesołość, którą przelał w sarkazmy, tłumacząc margrabinie, że miłość bez pożądania nie istnieje, że przeważnie kobiety kochając, oszukują się same, że kochają dla przyczyn częstokroć nie znanych zarówno mężczyznom, jak im samym, że czasami chciałyby się mylić i że najszlachetniejsza z kobiet i tak chwytła się forteli.

– Pozostań pan lepiej przy książkach i uczuć naszych nie krytykuj – rzekła Felicycy, rzucając mu władcze spojrzenie.

Wszyscy posmutnieli. Kobiety zamyśliły się, słuchając drwin Klaudiusza. Wśród szczęścia, jakim napawał go widok Beatrycy, Kalist cierpiał straszliwie. Conti starał się z oczu margrabinę wyczytać jej myśli. Po obiedzie panna des Touches ujęła Kalista pod ramię, margrabinę zaś, powierzony opiece dwóch panów, przepuściła przodem, by powiedzieć młodemu Bretończykowi:

– Mój drogi chłopcze, jeśli Beatrix cię pokocha, wyrzuci Contiego przez okno; na razie jednak robisz, co możesz, by zacieśnić łączące ich więzy. Otoczona twoją adoracją, czyż ma na nią zwracać uwagę? Panuj nad sobą!

– Okrutna była dla mnie, nie pokocha mnie nigdy – powiedział Kalist – a jeśli mnie nie pokocha, umrę.

– Umrzesz?... Ty? Dzieciak jesteś, mój drogi Kaliście! A dla mnie byś nie umarł?

– Toć ofiarowałaś mi pani swoją przyjaźń! – odparł.

Kiedy skończyły się pogawędki, zwykle przy kawie, Vignon poprosił Contiego, by coś zaśpiewał. Panna des Touches siadła do fortepianu. Akompaniując Gennarowi zaśpiewała z nim razem „*Dunque, il mio bene, tu mia sarai*”⁵⁰, ostatni duet z „*Romea i Julii*” Zingarellego – jedna to z najbardziej patetycznych kart muzyki współczesnej. Urywek „*Di tanti palpiti...*”⁵¹ wyraża całą potęgę miłości. Kalist słuchał z nabożeństwem, siedząc w tymże fotelu, co dnia poprzedniego, kiedy Felicycy opowiadała mu dzieje margrabinę. Beatrix i Vignon stali po dwóch stronach fortepianu. Szlachetny głos Contiego łączył się umiejętnie z głosem Felicycy. Oboje często śpiewali ów duet, a znając jego możliwości, porozumiewali się wybornie, by je uwydatniać. W tym to momencie kompozytor pragnął stworzyć poemat boskiej melancholii, śpiew dwojga łabędzi żegnających się z życiem. Kiedy pieśń umilkła, każdy pogrążył się we wrażeniach nie dających się wyrazić wulgarnym aplauzem.

– O, muzyka to spośród sztuk najpierwsza! – zawołała Beatrix.

– Kamil wysuwa na pierwsze miejsce młodość i urodę, rzecz najdoskonalszą wśród wszelkiej poezji – oznajmił Vignon.

⁵⁰ *Dunque, il mio bene, tu mia sarai* (wł.) – Zatem, mój skarbie, będziesz moją.

⁵¹ *Di tanti palpiti...* (wł.) – Tylu wzruszeń...

Felicyta spojrzała na Klaudiusza, tając niejasny niepokój. Beatrix, nie widząc nigdzie Kalista, rozejrzała się ciekawa, jakie wrażenie wywarł na nim śpiew Contiego. Więcej interesowało ją zadowolenie Gennara niżli przeżycia Kalista; ujrzała pod oknem wybladłą twarz, po której spływały grube łzy. Wtedy, jakby przejęta nagłym bólem, odwróciła szybko głowę i spojrzała na Włocha. Kalistowi nie tylko objawiła się muzyka, nie tylko dotknęła go boską pałeczką, zepchnęła w odmęt twórczości, zrzuciła przed nim zasłony – młodzieńca oszołomił jeszcze geniusz Contiego. Wbrew temu, co Felicyta mówiła o jego charakterze, pomyślał, że to dusza piękna i serce przepojone miłością. Jakże walczyć z takim artystą? Każda kobieta będzie wielbić go póki życia. Ten śpiew przenikał do duszy jak inna dusza. Biedny chłopak był tyleż przytłoczony poezją, co rozpaczą; okazało się, że znaczy tak niewiele! To naiwne przekonanie o własnej nicości mieszało się z admiracją – mogłeś to wyczytać. Nie dostrzegł gestu Beatryczy, która, uczuwszy nagle do młodzieńca skłonność szczerą i tkliwą, wskazała go pannie des Touches.

– O, to zachwycające serce! – rzekła Felicyta. – Nigdy, mój Gennaro, nie otrzymasz brawa, które byłoby warte hołdu tego dziecka. Zaśpiewajmyż trio! Beatrix, moje złoto, zaśpiewasz z nami?

Kiedy margrabina, Felicyta i Conti stanęli przy fortepianie, Kalist wstał tak cicho, że nikt nie zauważył tego, rzucił się na sofę w sypialni – drzwi były otwarte – i tu pograżył się w rozpacz.

CZĘŚĆ DRUGA

DRAMAT

Co ci się stało, mój chłopcze? – zapytał Klaudiusz wśliznąwszy się cicho za Kalistem i ujmując go za rękę. – Kochasz, wyobraziłeś sobie, że tobą wzgardzono; nic podobnego. Za parę dni będziesz miał tu wolne pole, zaczniesz rządzić, darzony miłością nie tylko jednej osoby; słowem, jeśli mądrze pokierujesz swoją polityką, będziesz tu sułtanił.

– Cóż pan opowiada? – zawołał Kalist i zerwawszy się pociągnął Vignona do biblioteki.

– Kto mnie tu kocha?

– Felicycyta.

– Czyżby Felicycyta mnie kochała? – zdumiał się Kalist. – A pana?

– Mnie... – podjął Klaudiusz – ...mnie... – Przerwał. Usiadł i w głębokiej melancholii wsparł czoło o poduszkę. – Znudziło mi się życie, ale rozstać się z nim nie mam odwagi – rzekł po chwili milczenia. – Chciałbym się mylić w tym, co powiedziałem, lecz od kilku dni co i raz nowe światło błyska mi w duszy. Nie przechadzałem się po skałach Croisic dla przyjemności. Wróciwszy, zastałem pana gawędzącego z Felicycytą i gorycz moich słów miała wtedy źródło w głębiach zranionej ambicji. Niebawem rozmówię się z nią ostatecznie. Dwoje ludzi tak bystrych jak my nie może się oszukiwać. Między dwoma fehmistrzami pojedynk jest krótki. To też mogę już panu zapowiedzieć mój wyjazd. Tak, zapewne jutro wyjadę z Touches, zabierając się z Contim. Kiedy już nas nie będzie, zaczną się tu dziać, nie wątpię, rzeczy dziwaczne, a kto wie, czy nie straszne, i będę żałował, że nie jestem świadkiem tych starć miłosnych, tak rzadkich we Francji i jakże dramatycznych. Jesteś pan za młody, nie zaprawiony jeszcze do walki tak niebezpiecznej, interesujesz mnie. Gdyby nie głęboki niesmak, jaki budzą we mnie kobiety, pozostałbym, żeby dopomagać panu w tej rozgrywce; trudna będzie, możesz pan przegrać, masz do czynienia z dwiema nieprzeciętnymi kobietami, jesteś już nazbyt zakochany w jednej, aby zdobywać ją, pozorując miłość do drugiej. Charakter Be-atryczy cechuje na pewno upór, a Felicycy – wielkość. Może, kruchy i delikatny, podruzgoczesz się pan między tymi dwiema rafami, kiedy porwie cię rozhukany strumień namiętności. Uważaj więc.

Kalist tak osłupiał, słuchając tych słów, że Vignon, wypowiedziawszy je, mógł niepostrzeżenie opuścić młodzieńca, przypominającego w tej chwili podróżnika, któremu przewodnik ukazał w Alpach głębie przepaści, rzucając tam kamień. Dowiedzieć się z ust samego Vigno-

na, że kocha się w nim Felicycy, i to dowiedzieć się w momencie, gdy zakochał się bez pamięci, na wieki w margrabinie – było w tej sytuacji ciężarem zbyt tłoczącym dla młodej i naiwnej duszy. Trawiony bezmiernymi wyrzutami dotyczącymi przeszłości, dziś uśmiercony niemal trudną pozycją między ukochaną Beatrix a nie kochaną już Felicycy, która według Vignona miała się w nim kochać, biedny chłopak desperował, a gubiąc się w chaotycznych rozważaniach, nie mógł powziąć decyzji. Daremnie głowił się, dla jakich pobudek Felicycy, wzgardziwszy jego miłością, pognała co koń wyskoczy do Paryża i przywiozła Klaudiusza Vignon. Chwilami czysty i jasny głos Beatryczy dolatywał jego uszu, przyprowadzając go o gwałtowne wzruszenia, których uniknął był opuszczając salonik. Co moment porывała go nieprzeparta i okrutna chęć, by porwać i uwięzić margrabinę. Ale cóż by wtedy począł? Czy wróciłby do Touches? Świadom, że kocha go Felicycy, jakże mógłby wielbić Beatrycę? Dla tych trudności nie znajdował żadnego rozwiązania. Nie wiedział nawet, kiedy w całym domu zaległa cisza. Nie zwracał uwagi, jak otwierały się lub zamykały coraz to inne drzwi. Potem nagle zliczył dwanaście uderzeń północy na zegarze w sąsiednim pokoju – a głosy Felicycy i Klaudiusza wyrwały go z odrętwiającej zadumy nad własną przyszłością, w której mrokach nie błyszczało ani jedno światelko. Nim wyszedł, wysłuchał niechętny bezlitosnych słów Klaudiusza Vignon.

– Zjawiałaś się pani w Paryżu – mówił Klaudiusz – zakochana do szaleństwa w Kaliście; przerażały cię jednak następstwa takiego uczucia powziętego w twoim wieku, pchnęłoby ono panią do przepaści, do piekła, a może do samobójstwa! Miłość trwa tylko wtedy, jeśli sądzimy, że jest wieczna, a pani przewidziałaś straszliwe i rychłe rozstanie: wzniosły poemat skończyłby się niebawem starością i rozczarowaniami. Przypomniałaś sobie „Adolfa”, przerażający koniec amorów pani de Staël i Beniamina Constant, choć ta para znacznie bardziej była dobrana wiekiem niż pani i Kalist. Wzięłaś mnie pani wtedy, jak się bierze faszynę, żeby odgrodzić się od wroga. Ale czyż nie dlatego chciałaś rozmiłować mnie w Touches, bym wspólny z tobą adorował tu sekretnie twojego boga? Aby ziścił się twój zamysł, obrzydliwy i szlachetny zarazem, musiałaś znaleźć albo człowieka wulgarnego, albo tak pochłoniętego głęboką myślą, żeby dał się łatwo oszukiwać. Mniemałaś, że jestem nieskomplikowany, że łatwo mnie zwodzić, jak gdybym był geniuszem. Zdaje się, że jestem tylko człowiekiem inteligentnym, i dlatego przejrzałem panią. Kiedy wczoraj słałem przed panią kobiety w twoim wieku, tłumacząc, czemu Kalist cię kocha, czy wyobrażasz sobie, że brałem na swój rachunek te spojrzenia pełne zachwyty, błyszczące, urzeczony? Toć już wcześniej wyczytałem wszystko w twojej duszy. Oczy wpatrywały się, owszem, we mnie, ale serce było dla Kalista. Nigdy cię nikt nie kochał, moja biedna Maupin, i nikt cię już nigdy nie pokocha, skoroś odmówiła sobie pięknego owocu, który przypadek zostawił ci pod drzwiami, bo drzwi te prowadzą do piekła kobiet i obracają się na zawiasach zwanych pięćdziesiątką!

— Dlaczegoż więc miłość uciekła przede mną – spytała z alteracją w głosie – powiedz mi ty, który wiesz wszystko.

– Bo pani nie nadajesz się do kochania, nie naginasz się do miłości, lecz miłość musi nagiąć się do ciebie – odparł. – Kto wie, czy nie potrafiłabyś zbyt kochać pełną zapału, skora do psoty, jak mali chłopcy; ale nie masz dziecięctwa w sercu, zbyt wielką jest głębia twojego umysłu, a że nigdy nie byłaś naiwna, to i od dziś naiwną nie zostaniesz. W twoim wdzięku kryje się pewna tajemnica: jest abstrakcyjny, a nie zmysłowy. A wreszcie siła twoja odpycha mężczyzn co silniejszych, przeczuwają bowiem walkę. Twoja potęga może podobać się młodym duszom, takim jak dusza Kalista, szukającym ochrony, ale na dłuższy dystans to nuży. Jesteś wielka i szlachetna, musisz więc się pogodzić z pewną nieodłączną od tych przedmiotów wadą: są nudne.

– Cóż za wyrok! – zawołała Felicycy. – Czyż nie mogę być kobietą i czy zaliczam się do monstrów?

– To możliwe.

– Zobaczymy! – wykrzyknęła, dźgnięta do żywego.

– Do widzenia, moje złoto, wyjeżdżam jutro rano. Nie mam do pani żalu, uważam cię za najwybitniejszą z kobiet, ale gdybym ci nadal służył za parawan lub ekran – mówił Klaudiusz akcentując specjalnie dwa ostatnie słowa – zaczęłabyś mną gardzić, jak nikim. Możemy się rozstać bez wyrzutów i pretensyj: nie było między nami szczęścia, którego żałować byśmy mogli, i nadzieje nasze nie doznały zawodu. Dla pani jak i dla paru mężczyzn genialnych, nader nielicznych, miłość nie jest tym, czym uczyniła ją natura: przemożnym pędem do zaspokojenia, z którym wiążą się żywe, lecz i przelotne rozkosze – pędem, co umiera zresztą; pani zaś widzisz miłość taką, jaką stworzyło chrześcijaństwo: królestwo idealne, pełne szlachetnych uczuć, wielkiej małości, poezji, doznań duchowych, poświęcenia, kwiatów duszy, czarodziejskiej harmonii – królestwo rozciągające się wysoko ponad błotnistą wulgarnością, a dokąd wzlatają na skrzydłach rozkoszy stworzenia złączone w anioła. A oto jakie były moje nadzieje: zdawało mi się, że uchwycił jeden z kluczy otwierających nam drzwi zamknięte dla tylu ludzi, drzwi, przez które wzbijamy się w nieskończoność. Pani już tam byłaś! Toteż oszukałaś mnie. Wracam do nędzy, do mojego obszernego paryskiego więzienia. Gdybym z takim oszustwem zetknął się na początku mojej kariery, wystarczyłoby ono, żebym raz na zawsze zbrzydził sobie kobiety, dziś pozostawia w mojej duszy rozczarowanie, które pograży mnie na amen w straszliwej samotności, znajdę się tam bez wiary, jaka pomagała świętym pustelnikom zapełniać pustkę nabożnymi wizjami. Oto, droga Felicyto, dokąd nas wiedzie wyższość umysłu: oboje możemy zaśpiewać hymn straszliwy, który poeta włożył w usta Mojżesza przemawiającego do Boga: „Uczyliście mnie, Panie, samotnikiem potężnym!”

W tymże momencie wszedł Kalist.

– Powinni państwo wiedzieć, że jestem tutaj.

Panna des Touches wstrząsnął lek, twarz jej kamienną zabarwił ognisty rumieniec. W czasie tej rozmowy była piękniejsza niż kiedykolwiek.

– Myśleliśmy, że pan już odszedł, panie Kaliście – ozwał się Klaudiusz – lecz ta obustronna niedyskrecja, za którą nikt z nas nie ponosi winy, nie jest groźna; może, poznawszy Felicytę do głębi, będziesz czuł się swobodniej w Touches. Milczenie jej świadczy, że nie pomyliłem się, jaką wyznaczyła mi rolę. Kocha pana, jak ci powiedziałem, ale kocha cię nie dla siebie, tylko dla ciebie – uczucie, które u niewielu kobiet może się zrodzić i ugruntować, niewiele z nich zna boleść podsycaną pragnieniem, to jedna ze wspaniałych namiętności zastrzeżonych dla mężczyzny, lecz Felicyta jest po trosze mężczyzną! – powiedział drwiąco. – Miłością, jaką żywisz pan dla Beatrix, będzie się gryźć i radować zarazem.

Panna des Touches nie śmiała spojrzeć ani na okrutnego Vignona, ani na pocziwego Kalistę, lzy stanęły jej w oczach. Wystraszyła się, że przejrano ją tak dokładnie, nie sądziła, by mężczyzna zdołał – nawet przy największej bystrości – wykryć subtelność aż tak okrutną, heroizm aż tak szczytny jak u niej. Kalist podzielił emocje tej kobiety, którą stawiał bardzo wysoko, a teraz widział tak pogiębioną, tak upokorzoną: zdarto bowiem zasłonę z jej wielkości. Nie mogąc się pohamować, padł do nóg Felicycie, całował jej rękę, tuląc w nich twarz zalaną łzami.

– Klaudiuszu – rzekła – nie porzucaj mnie, cóż się ze mną stanie?

– Czegóż się masz pani lękać? – zagadnął krytyk. – Kalist zakochał się już w margrabinie do szaleństwa. Na pewno nie znajdziesz między sobą a nim bariery silniejszej niż ta miłość, którą wywołałaś sama. Uczucie to wydaje mi się nie byle jakie. Wczoraj groziło niebezpieczeństwo i pani, i Kalistowi, lecz od dziś wszystko dla ciebie będzie macierzyńską radością – tu rzucił drwiące spojrzenie. – Będziesz pani się szczycić jego triumfami.

Panna des Touches popatrzyła na Kalistę, który, gdy padły te słowa, uniósł nagle głowę. Klaudiuszowi sprawiało przyjemność pomieszanie Kalistę i Felicytę, komentował się taką zemstą.

– Pchnęłaś go pani ku margrabinie – ciągnął Vignon – jest teraz pod jej urokiem. Sama sobie grób wykopałaś. Gdybyś mi zaufała, uniknęłabyś oczekujących cię nieszczęść.

– Nieszczęść!... – zawołała Felicyna i, przyciągnawszy głowę Kalista, okryła pocałunkami jego włosy, roniąc obfite łzy. – Nie, Kaliście, zapomnisz o wszystkim, coś tu usłyszałaś, i nie będziesz się ze mną liczyć!

Zerwała się, stanęła przed obu mężczyznami, spiorunowała ich wzrokiem, w którym rozbrzmiała cała jej dusza.

– Kiedy Klaudiusz mówił – rzekła – pojęłam piękno i wielkość miłości beznadziejnej, bo czyż nie jedyne to uczucie, które zbliża nas do Boga? Nie kochaj mnie, Kaliście, a ja tak cię pokocham, jak nie pokocha żadna kobieta!

Nawet zraniony orzeł nie wydałby w swoim gnieździe krzyku tak rozdzierającego. Kalist ugiął kolano i ucałował rękę Felicyny.

– Odejdź już, mój drogi – rzekła panna des Touches – twoja matka niepokoi się pewnie.

Kalist wracał wolno do Guérande, oglądając się wciąż, bowiem w oknach Beatryczy paliło się światło. Dziwił się mocno, że tak mało w nim współczucia dla Felicyny, miał do niej niemal pretensję, że pozbawiła go piętnastu miesięcy szczęścia. Chwilami jednak drżał jej drżeniem, czuł na włosach jej łzy, cierpiał jej cierpieniem, wydawało mu się, że słyszy westchnienia tej niezwyklej kobiety, tak jeszcze przed paroma dniami pożądanego. Otwierając furtkę domu rodzicielskiego, gdzie panowała głęboka cisza, ujrzał w oknie, przy świetle znanej nam, prymitywnej lampy, matkę pochyloną nad haftem. Czekala. Oko młodzieńca zwiłgotniało na ten widok.

– Cóż tam się takiego stało? – zapytała Fanny, a na twarzy jej malował się straszliwy niepokój.

Miał odpowiedzieć Kalist objął matkę, ucałował jej policzki, czoło i włosy z serdecznym wylaniem, przenikającym jak subtelny płomień życia, które kiedyś dała.

– To ciebie kocham – rzekł do matki zawstydzonej niemal i splonionej – ciebie, która żyjesz tylko dla mnie, ciebie, którą chciałbym uszczęśliwić.

– Ale ty jesteś jakiś nieswój, moje dziecko – powiedziała baronowa, wpatrując się w syna.
– Co ci się stało?

– Felicyna mnie kocha, a ja już jej nie kocham – odpowiedział.

Baronowa przyciągnęła Kalista, pocałowała go w czoło – i wśród głębokiej ciszy, co zalegała w tej brunatnej, wybitej gobelinem komnacie, Kalist usłyszał, jak mocno bije macierzyńskie serce. Irlandka, będąc zazdrosną o Felicynę, domyślała się prawdy. Ta matka, wyczekując po nocach na syna, zgłębiała uczucie Felicyny; wiedzioną światłem wytrwałej medytacji, przeniknęła serce panny des Touches, lecz nie zdoławszy go pojąć, wyobraziła sobie u niej fantazję macierzyństwa. Opowiadanie syna zatrwożyło tę prostą i naiwną matkę.

– No tak – ozwała się po chwili – kochaj panią de Rochefide, nie przyprawi mnie ona o troskę.

Beatrix nie była wolna, nie krzyżowała więc planów dotyczących Kalistowego szczęścia – tak przynajmniej rozumowała Fanny widząc w margrabinie rodzaj synowej, którą mogłaby pokochać, a nie drugą matkę, z którą musiałaby walczyć.

– Ależ Beatrix nigdy mnie nie pokocha! – zawołał Kalist.

– Kto wie – odrzekła chytrze baronowa. – Nie mówiłaś mi, że od jutra ma być sama?

– Mówiłem.

– To doskonale, moje dziecko – dorzuciła Fanny, rumieniąc się. – Zazdrość zawsze drzemie w głębi serca kobiecego, a jeśli nigdy nie umiałam znaleźć jej na dnie mojego serca, to z tej racji, że nie sądziła, aby ktoś miał mi kiedyś zabrać uczucie mojego Kalista! – Tu westchnęła. – Myślałam, że mariaż będzie dla ciebie tym, czym był dla mnie. Ileż ty od dwóch miesięcy rzuciłaś światła na moją duszę! Ilomaz odbłaskami barwi się twoja miłość, tak natu-

ralna, mój biedny aniele! A więc udawaj, że kochasz nadal pannę des Touches, niech margrabinę ogarnie zazdrość, bo wtedy będziesz ją miał.

– O, moja zacna mamó, Felicjta nie powiedziałyby mi tego! – zawołał Kalist objąwszy matkę wpół i całując jej szyję.

– Zmuszasz mnie do przewrotności, zły chłopcze – rzekła uradowana promiennym wyrazem, jakim nadzieja rozjaśniła twarz syna. Kalist biegł już wesoło po schodach wieżyczki.

Nazajutrz rano Kalist rozkazał Gasselinowi strażować przy drodze wiodącej z Guérande do Saint-Nazaire. Sługa miał czekać, aż nadjedzie karetka panny des Touches, i policzyć osoby siedzące w środku. Wrócił, gdy cała rodzina zebrała się już przy śniadaniu.

– Co się dzieje? – zagadnęła panna de Guénic. – Gasselin pędzi, jakby paliło się w mieście.

– Pewnie złapał mysz polną – ozwała się Maryśka, wnosząc kawę, mleko i grzanki.

– Wraca z miasta, a nie z ogrodu – odpowiedziała stara panna.

– Ale mysz ma norkę z drugiej strony muru – rzekła domyślnie Maryśka.

– Paniczu, było pięć osób, czworo w środku i stangret.

– Czy w środku siedziały dwie panie? – spytał Kalist.

– Dwie panie i dwóch panów – objaśnił Gasselin.

– Osiodłaj konia, pędź za kareta aż do Saint-Nazaire i w przystani, skąd wyrusza statek do Paimboeuf, zobacz, czy odpłyną nim obaj panowie. I wracaj co koń wyskoczy, żeby zdać mi relację.

Gasselin wyszedł.

– Chyba diabeł w ciebie wstąpił, mój bratanku! – rzekła stara Zefiryra.

– Pozwólże mu się bawić, moja siostró – skarcił ją baron – był osowiały, że coś okropnego, a teraz – wesół jak szczygieł.

– Pewnieś mu powiedziała, że przyjeżdża nasza kochana Szarlota? – rzekła stara panna, zwracając twarz ku szwagierce.

– Nie – odrzekła baronowa.

– Myślałam, że chciał wyjechać naprzeciw niej – powiedziała chytrze panna du Guénic.

– Skoro Szarlota ma zabawić trzy miesiące u ciotki, Kalist nie potrzebuje się znów tak kwapić – odparła baronowa.

– Słuchaj, moja siostró, cóż to się stało od wczoraj? – zaniepokoiła się lekko stara panna. – Tak się cieszyłaś wiadomością, że panna de Pen-Hoël pojedzie dziś rano po siostrzenicę, by przywieźć nam ją tutaj!

– Panna Jacynta chce mnie ożenić z Szarlota, by ocalić od zguby, moja ciociu – roześmiał się Kalist, rzucając matce porozumiewawcze spojrzenie. – Byłem na plantach, kiedy panna de Pen-Hoël gawędziła o tym z panem du Halga, nie pomyślałwszy jednak, że większą zgubą byłby dla mnie ożenek.

– Pisano mi widać – zawołała stara panna przerywając Kalistowi – że nie umrę ani spokojna, ani szczęśliwa! Chciałabym doczekać się wnuków, chciałabym zobaczyć część naszych włości wykupioną z cudzych rąk, ale nic z tego. Na jednej szali, mój synowcze, leżą twoje obowiązki; cóż byś mógł położyć na drugiej?

– Ależ – powiedział baron – czy panna des Touches przeszkodzi ożenić się Kalistowi w sposobnym czasie? Muszę się z nią zobaczyć.

– Mogę cię zapewnić, ojczco, że Felicjta nigdy nie stanie na przeszkodzie mojemu małżeństwu.

– To już nic nie wiem – rzekła ślepa staruszka, nieświadoma naglej namiętności, jaką Kalist zapalał do margrabiny de Rochefide.

Matka dochowała sekretu synowi; w podobnej materii każda kobieta milczy instynktownie. Stara panna zamyśliła się głęboko, nasłuchując ze wszystkich sił, łowiąc wszelkie głosy, aby dociec tajemnicy, której nie chciano przed nią odsłonić. Gasselin, zjawiwszy się niebawem, oznajmił paniczowi, że nie musiał jeździć aż do Saint-Nazaire, aby dowiedzieć się, czy

panna des Touches i jej przyjaciółka będą wracać same; poinformował go o tym na miejscu Bernus, woźnica, któremu obaj panowie powierzyli swój bagaż.

– Będą wracać same! – uradował się Kalist. – Osiodłaj mojego konia.

Z tonu słów panicza Gasselin wywnioskował, że dzieje się coś poważnego; osiodłał więc dwa konie, naładował cichcem pistolety i przebrał się, żeby towarzyszyć Kalistowi. Młodzieniec, nie posiadając się ze szczęścia, że Klaudiusz i Gennaro odjechali, nie zastanowił się, kogo jeszcze mógłby spotkać w Saint-Nazaire: ponosiła go radość, iż będzie asystował margrabinie; chwycił ojca za rękę, ściskając je czule, całował matkę, obejmował wpół starą ciotkę.

– No, to już cię wolę takiego niż ten twój smutek – rzekła stara Zefiryra.

– Dokądże to, panie kawalerze? – spytał ojciec.

– Do Saint-Nazaire.

– A niech cię piorun! Kiedyż więc ślub? – powiedział baron mniemając, że Kalistowi tak śpieszno do Szarloty de Kergarouët. – Trzeba mi zostać dziadkiem, już czas.

Kiedy wszedł Gasselin zdradzając ochotę towarzyszenia Kalistowi, młodzieniec pomyślał, że w takim wypadku mógłby wrócić kareta z panną des Touches i Beatryczą, zostawiwszy słudze swojego konia; klepnął więc Gasselina w ramię, mówiąc:

– Nie brak ci dowcipu.

– Ja myślę – odparł Gasselin.

– Mój chłopcze – ozwał się baron wyszedłszy z żoną na ganek – oszczędzaj koni, mają przed sobą dwanaście mil.

Kalist odjechał wymieniwszy z matką spojrzenie, którym porozumieli się jak nigdy.

– Drogi mój skarb – ozwała się, kiedy młodzieniec nachylił głowę pod sklepieniem bramy.

– Niech go Bóg zachowa – dodał baron – bo drugiego już nie zmajstrujemy.

Baronowa wzdrygnęła się na ten żart nieco sprośny, w stylu prowincjonalnej szlachty.

– Mój bratanek nie kocha aż tak Szarloty, żeby wyjechać na jej spotkanie – rzekła stara panna do Maryśki, sprzątajacej ze stołu.

– Do Touches zjechała jedna wielka dama, margrabina, to i lata za nią, jak to młody! – odparła Maryśka.

– Zabiją nam go! – przeraziła się panna du Guénic.

– To go nie zabije, proszę panienki, przeciwnie – odpowiedziała Maryśka, ciesząc się jakby szczęściem Kalista.

Młodzieniec tak pędził, że koń padłby zapewne, gdyby Gasselin nie spytał w porę, czy młody pan chce zdążyć przed odjazdem statku; nie byłoby to wcale po myśli Kalista: nie pragnął pokazać się ani Contiemu, ani Klaudiuszowi. Ściągnął tedy cugle i jał z lubością wpatrywać się w koleiny pozostawione przez koła karety na piaszczystych partiach drogi. Radował się do szaleństwa tą jedną myślą: przejeżdżała tędy i tędy wróci, spojrzenia jej zatrzymywały się na tych gajach i drzewach!

– Prześliczna droga – powiedział do służącego.

– O, paniczu, Bretania to najpiękniejszy kraj pod słońcem. Gdzie panicz znajdzie takie kwietne żywopłoty i takie drogi ocienione, kręte?

– Nigdzie, mój Gasselin.

– Ot i karetka Bernusa – zauważył Gasselin.

– A w niej panna de Pen-Hoël z siostrzenicą. Schowajmy się – powiedział Kalist.

– Tu? Czy panicz zwariował? W tych piachach?

Ekwipaż, istotnie wspinający się po dość piaszczystym zboczu wznoszącym się nad Saint-Nazaire, ukazał się oczom Kalista w całej naiwnej prostocie, z jaką Bretończyk buduje powozy. Był, ku zdumieniu Kalista, pełny.

– Zostawiliśmy pannę de Pen-Hoël, jej siostrę i siostrzenicę bardzo zmartwione, bo wszystkie miejsca zajęli celnicy – powiedział stangret do Gasselina.

– Masz ci los! – zawołał Kalist.

Rzeczywiście, pojazd był wypchany urzędnikami, którzy zapewne podążali na saliny, by złuzować kolegów. Przybywszy na placyk przed kościołem w Saint-Nazaire, placyk, skąd widać Paimboeuf i majestatyczne ujście Loary zmagającej się z morzem, Kalist ujrzał, jak Felicyta i margrabina powiewały chusteczkami, żegnając obu panów, których unosił parostatek. Beatrix była w tej chwili zachwycająca: na twarz jej padał łagodny cień słomkowego kapelusza, przystrojonego pękiem czerwonych maków i pąsową wstążką; spod muślinowej sukni w kwiaty wysuwała się smukła stopa w zielonym kamaszu; wspierała się na cieniutkiej parasolce, podając do przodu piękną, urękawiczoną dłoń. Nic bardziej nie zaimponuje oku niż kobieta stojąca na szczycie skały, niby posąg na piedestale. Conti mógł jeszcze dojrzeć Kalistę przystępującego do Felicyty.

– Pomyślałem – ozwał się młodzieniec do panny des Touches – że będą panie -wracać same.

– Dobrześ uczynił, Kaliście – odrzekła, ściskając mu rękę.

Beatrix obejrawszy się popatrzyła na zakochanego młodzieńca w sposób najbardziej władczy, jaki miała w repertuarze. Z przelotnego uśmiechu na wymownych wargach Felicyty zrozumiała, jak wulgarny był ów środek, godzien mieszczki. Rzekła więc z uśmiechem do Kalista:

– Czy nie popełniłeś pan maleńkiej impertynencji sądząc, że mogłabym znudzić Felicytę w powrotnej drodze?

– Moje złotko, jeden mężczyzna na dwie wdowy to nie tak wiele – odparła Felicyta, biorąc młodzieńca pod ramię i nie przeszkadzając Beatrycy wpatrywać się nadal w statek.

W tymże momencie ze stromej ulicy wiodącej do tak zwanego portu w Saint-Nazaire doleciały Kalista głosy panny de Pen-Hoël, Szarloty i Gasselina; wszyscy troje poskrzekiwali jak sroki. Stara panna rozpytywała służbę, zaciekawiona, co robi ze swoim młodym panem w Saint-Nazaire, gdzie karetą panny des Touches budziła nie lada sensacja. Nim Kalist zdążył się ukryć, wypatrzyła go Szarlota.

– O, nasz Kalist! – zawołała młoda Bretonka.

– Niech pan im zaproponuje mój powóz; pokojówka siądzie obok stangreta – ozwała się panna des Touches wiedząc, że pani de Kergarouët, jej córka i panna de Pen-Hoël nie dostały się do dylżansu.

Kalist wypełnił misję, nie mógł bowiem okazać Felicycie nieposłuszeństwa. Pani de Kergarouët, powiadomiona, iż odbędzie podróż z margrabinią de Rochefide i sławnym Kamilem Maupin, nie pojmowała ani rusz uporcu, z jakim jej siostra wykręcała się przed tym wojażem, nazywając ekwipaż Felicyty „kariolką diabelską”. W Nantes jesteście pod szerokością bardziej cywilizowaną niż w Guérande. Podziwiano tam Felicytę, traktowano ją jako muzę Bretanii, przynosiła zaszczyt rodzinnym stronom, budząc tyleż zainteresowania, co zazdrości. Wielki świat i moda rozgrzeszyły przecież pannę des Touches w oczach Paryża, uświęciła ją wielka fortuna, a może i dawne sukcesy w Nantes, gdzie chlubiono się, że wzrósł tam Kamil Maupin. Toteż wicehrabina, pełna nieposkromionej ciekawości, pociągnęła za sobą Jacyntę, nie bacząc na jej jeremiady.

– Dzień dobry, Kaliście – rzekła Bretoneczka.

– Dzień dobry, Szarloto – odpowiedział Kalist, nie podając jej ramienia.

Zaniemówili oboje: on – zmrożony własnym okrucieństwem, ona zaś jego chłodem. Szli w milczeniu pod górę za dwiema siostrami, podążając wózkiem zwanym w Saint-Nazaire ulicą. W momencie tym szesnastoletnia dziewczyna uczuła, że zamki, które wzniosła jej roman-sowa wyobraźnia, były zbudowane na lodzie: runęły. W dzieciństwie tak często bawiła się z Kalistem, łączyła ich tak mocna więź, iż uważała swoją przyszłość za coś nienaruszalnego. Przyjechała tu w szczęsnym i ślepym uniesieniu – podobnie ptak sfruwa na łany; zatrzymana w locie, nie pojmowała przeszkody.

– Co ci jest, Kaliście? – spytała, biorąc go za rękę.

– Nic – odpowiedział cofnąwszy dłoń z okrutną skwapliwością na samą myśl o projektach matrymonialnych panny de Pen-Hoël i ciotki.

W oczach Szarlotty zakręciły się łzy. Spojrzała bez urazy na pięknego Kalista, miała jednak doświadczyć zaraz pierwszego odruchu zazdrości i poznać, czym jest szaleńcza rywalizacja, bowiem na widok dwóch pięknych paryżanek domyśliła się powodu oziębłości Kalista.

Szarlota de Kergarouët była osobką wzrostu średniego, zdrową jak rzepa. Czarnym oczom tkwiącym w niedużej, krągłej twarzyczce nie brakło sprytu. Bujne kasztanowate włosy, krągła talia, płaskie plecy, chude ręce, sposób wysłowienia lakoniczny i zdecydowany, jak zwykle u prowincjonalnych dziewcząt, które nie chcą uchodzić za gęsi. Rodzice ją rozpieszczali, gdyż była faworytką ciotki. Wzięła na podróż parostatkiem kraciasty płaszczyk z merynosu, opatrzoney jedwabną zieloną podszewką – i ma go w tej chwili na sobie. Podróżna suknia z dość pospolitej błyszczącej wełny, ozdobiona cnotliwą kamizeleczką bez dekoltu i drobniutko plisowaną kreską, wyda jej się wnet obrzydliwa w porównaniu z nowiutkimi toaletami Beatryczy i Felicyty. Jakże cierpieć będzie z racji białych pończoch, zbrudzonych wędrowką wśród skał i hycaniem z łodzi do łodzi, z racji grubych skórzanych trzewików, słowem, stroju wybranego specjalnie, żeby co piękniejszych sukien nie zniszczyć w podróży: z dawna to praktykowany zwyczaj na prowincji. Wicehrabina de Kergarouët jest typową parafianką. Wysoka, chuda, przywidła, pełna utajonych pretensji, które tylko wtedy wychodzą na jaw, jeśli je zranić; gada jak najęta, że zaś przy tej okazji łapie tę lub ową myśl – przypomina to karambole bilardowe – ma reputację osoby inteligentnej; usiłuje wykazywać paryżanom ich niższość, popisując się rzekomą poczciwością małomiasteczkowego rozumu i swoim domniemanym szczęściem, które wciąż wysuwa jako przykład; korzy się, by jej kadzono, wścieka się, gdy zostawić ją na klęczkach; łowi, jak powiadają Anglicy, komplementy na wędkę, lecz nie zawsze z dobrym skutkiem; ubiera się pretensjonalnie, będąc przy tym niechlujną; kto jej nie nadskakuje, ten impertynent; wyobraża sobie, iż nie zwracając na ludzi najmniejszej uwagi wprawia ich tym w zakłopotanie; odrzuca to, czego zażądała, żeby zaoferowano jej dwa razy tyle; chciałaby uchodzić za osobę, którą trzeba prosić ponad wszelką miarę; zaprzatając się kwestiami, o których już dawno przestano mówić, zdumiewa się, że nie zna modnych tematów; nie wytrzyma dłużej niż godzinę, żeby nie wszcząć pogawędki o Nantes, o dandysach z Nantes, o sprawach wielkiego świata Nantes, żali się na Nantes, ktytykuje Nantes, bierze za osobiste przytyki słowa, które ten lub ów człowiek uprzejmy wykrztusi li tylko ze względu na nią, upierając się jednak przez roztargnienie przy swoim. Maniery jej, sposób wysłowienia i poglądy odbiły się w mniejszym lub większym stopniu na czterech córkach. Poznać Kamila Maupin i panią de Rochefide – to na przyszłość niewyczerpany temat rozmów!... Toteż marszerowała w stronę kościoła, jak gdyby zamierzając wziąć go szturmem; powiewała chustką dokładnie rozwiniętą, aby każdy mógł zauważyć rogi ciężkie od domowego haftu i przybrane mizerną koronką. Postawę ma buńczuczną, ale u czterdziestosiedmioletniej kobiety rzecz to już bez znaczenia.

– Pan kawaler – rzekła do Felicyty i Beatryczy wskazując Kalista, który nadchodził żałośnie z Szarlotą – był łaskaw powtórzyć nam przemiłą propozycję, boimy się jednak, moja siostra, córka i ja, że będziemy paniom zawadzać.

– Ja tam, moja siostrze, tym damom zawadzać nie będę – ozwała się cierpko stara panna – znajdę tu gdzieś konika i wrócę do domu.

Felicyta i Beatrix popatrzyły na siebie z ukosa. Kalist uchwycił to spojrzenie: wystarczyło, by zniweczyć wszystkie jego wspomnienia z dzieciństwa, wiarę w Kergarouët-Pen-Hoëlów i aby unicestwić raz na zawsze plany małżeńskie obu rodzin.

– Doskonale pomieścimy się w piątkę – odrzekła panna des Touches, choć Jacynta odwróciła się do niej plecami. – Gdybyśmy nawet miały cierpieć okropną niewygodę, a to zresztą niemożliwe, bo panie są bardzo szczupłe, radość, że mogę wyświadczyć przysługę znajomym

Kalista, byłaby mi nagrodą. Pokojówka pani też znajdzie miejsce; jeśli panie mają bagaż, można go przytroczyć z tyłu kolasy, bo nie wzięłam lokaja.

Wicehrabina rozpląnawszy się w podziękowaniach zburczała Jacyntę, że ściągając tak spieszenie siostrzenicę udaremniła im podróż łądem i we własnym powozie; co prawda, dyliżans nie tylko jechałby dłużej, lecz wojaż byłby kosztowniejszy; musi czym prędzej wracać do Nantes, gdzie zostawiła trzy inne koteczki oczekujące jej z niecierpliwością – tu pogładziła córkę po szyi. Szarlota wznosząc wzrok na matkę zrobiła minę ofiary; stąd wniosek, że wicehrabina potężnie zanudzała córki, nie rzadziej popisując się nimi aniżeli w „Tristramie Shandy” kapral Trim swoją czapkę.

– Szczęśliwą pani jesteś matką i musisz... – Felicycja nie dokończyła przypomniawszy sobie, że margrabina uciekła z Contim musiała wyrzec się swojego syna.

– O, choć to nieszczęście mieszkać całe życie na wsi i w Nantes, doznaję tej pociechy, że wielbi mnie moja dziatwa. A pani masz dzieci? – spytała wicehrabina.

– Jestem panna des Touches – przedstawiła się Felicycja. – A to pani margrabina de Rochefide.

– No, to godnaś pani pożałowania, że nie zaznałaś największego szczęścia, jakim obdarzono nas, zwykłe kobiety, nieprawdaż, pani margrabino? – zwróciła się do Beatryczy, żeby naprawić nietakt. – Ale masz pani tyle innych rodzajów zadośćuczynienia!

„W oku margrabiny zakreśliła się gorąca łza. Zawróciła raptem aż do prymitywnego parapetu, który wykuto w skale. Kalist podążył za nią.

– Czyż nie wiadomo pani – szepnęła Felicycja wicehrabinie na ucho – że margrabina wzięła separację z mężem, że już od dwóch lat nie widziała swojego syna i że nie wiadomo, kiedy go zobaczy?

– O biedactwo! – ulitowała się pani de Kergarouët. – I to sądownie?

– Ech nie, tylko tak się złożyło – odrzekła Felicycja.

– A no cóż, rozumiem, rozumiem – odrzekła nieustraszenie zacna dama.

Stara Jacynta, zrozpaczona, że znalazła się w obozie wroga, zajęła obronną pozycję o cztery kroki dalej – wraz ze swoją ukochaną Szarlotą. Kalist, rozejrzawszy się, czy nikt nie patrzy, chwycił rękę margrabiny i ucałował ją, pozostawiając na niej łzę. Beatrix odwróciła się – oko miała suche od gniewu; jeszcze moment i z ust jej padłoby jakieś okrutne słowo, ale nic wyrzec nie zdołała, zobaczywszy łzy swoje na pięknej twarzy Kalista. Ten anioł był nie mniej boleśnie dotknięty niż ona.

– O Boże, i ty byś, Kaliście, miał to babsko za teściową i tę gęś za żonę? – szepnęła mu Felicycja na ucho, gdy wracał z panią de Rochefide.

– A tak, bo jej ciocia jest bogata – odpowiedział z ironią.

Wszyscy skierowali się ku oberży. Po drodze wicehrabina uznała za swój obowiązek wykpiwać, zwracając się do panny des Touches, dzikusów z Saint-Nazaire.

– Kocham Bretanię, łaskawa pani, urodziłam się w Guérande – odparła poważnie Felicycja.

Kalista owładnął mimowolny zachwytem: radował go dźwięk głosu panny des Touches, jej spojrzenie pełne spokoju i powściągliwe maniery, choć w nocy był świadkiem straszliwych wyznań. Niemniej wydawała się trochę znużona: w rysach znać było noc nieprzespaną, zgrubiałe bowiem jakby, ale surowa pogoda malująca się na czole ujarzmiła burzę wewnętrzną.

– Ależ to królowe! – ozwał się do Szarloty i, ku wielkiemu zadowoleniu panny de Pen-Hoël podając ramię dziewczynie, wskazał Felicytę i Beatrix.

– Co twojej matce strzeliło do głowy – rzekła stara panna, podając również swoje wyschłe ramię Szarlocie – żeby wdawać się z tą przeklętnicą!

– Przecież, ciociu, ta kobieta przynosi sławę Bretanii...

– Hańbę, nie sławę, smarkulo! Może będziesz także przymilać się do niej?

– Panna Szarlotą ma rację, nie jesteś pani sprawiedliwa – powiedział Kalist.

– E, bo pana to ona zaczarowała! – zachnęła się panna de Pen-Hoël.

– Mam dla niej tyleż przyjaźni, co dla pani – odparł Kalist.
– Tak? Odkądże to du Guénikowie kłamią? – zagadnęła stara panna.
– Od czasu, jak Pen-Hoëlowie ogłuchli – odparował Kalist.
– To się w niej już nie kochasz? – rozpromieniła się Jacynta.
– Kochałem się, ale już się nie Kocham.
– Niedobry chłopcze! Czemuż nabawiłeś mnie tylu trosk? Zawszem wiedziała, że miłość to głupota, jedyną rzeczą solidną jest małżeństwo – rzekła, spoglądając na Szarlotę.

Szarlotą, uspokojoną już nieco, spodziewała się odzyskać przewagę w oparciu o wspomnienia z dzieciństwa. Ścisnęła więc ramię Kalista, lecz młodzieniec obiecał sobie, że rozmówi się bez ogródek z majątną Bretonieczką.

– Ach! Jakież nas czekają piękne partyjki pamfila, jak się będziemy, Kaliście, weselić – powiedziała.

Zaprężono do karety. Felicjta posadziła wicehrabinę i Szarlotę w głębi powozu, Jacynta bowiem przepadła bez wieści, po czym usadowiła się z margrabiną naprzeciw obu pań. Kalista ominęła przyjemność, którą tak sobie obiecywał. Musiał jechać wierzchem obok karety, że jednak zmęczone konie szły stępa, mógł do woli wpatrywać się w margrabinę. Kronikarz nie zanotował osobliwej pogawędki, którą cztery damy, złączone tak dziwnym trafem, wiodły w karecie, trudno zaś dać wiarę choćby jednej ze stu kilku wersji, jakie krążą po Nantes na temat opowiadań, replik i dowcipów przypisywanych przez wicehrabinę sławnemu Kamilowi Maupin – w e w ł a s n e j o s o b i e. Pani de Kergarouët woli zresztą nie powtarzać i nie rozumieć odpowiedzi panny des Touches na groteskowe pytania, jakie autorzy słyszą tak często, a które stanowią dla nich okrutną pokutę za rzadkie chwile uciechy.

– Jak pani piszesz swoje książki? – zagadnęła wicehrabina.
– Ależ tak samo jak pani robi swoje robótki, haftuje lub wyszywa – objaśniła Felicjta.
– A skąd pani bierzesz te nadzwyczaj głębokie obserwacje i usidlające obrazy?
– Z głowy: tak samo jak pani dowcipne słowa, którymi nas zasypujesz. Nic łatwiejszego jak pisać; gdyby pani zechciała...

– Ach! To wystarczy chcieć? Nigdy bym nie sądziła! A które ze swoich dzieł najwyżej szacujesz pani?

– Trudno doprawdy darzyć któreś z nich specjalnymi względami. Są one jak pani koteczki.
– Znudziły już panią na pewno komplementa, nie wiadomo, jakby tu powiedzieć coś nowego...

– Niech mi pani wierzy, że wzrusza mnie forma, jaką nadajesz swojemu uznaniu.

Pani de Kergarouët, nie chcąc, aby margrabina pomyślała, że ją lekceważy, obrzuciła ją chytrym spojrzeniem, powiadając:

– Nigdy nie zapomnę tego wojażu między Duchem a Pięknem.
– Pochlebia mi pani – roześmiała się Beatrix. – Nie byłoby rzeczą naturalną zauważyć dowcip obok geniuszu, a ja jeszcze nic osobliwego nie powiedziałam.

Szarlocie dopiekała do żywego śmieszność matki. Spoglądając na nią wymownie, próbowała ją pohamować, lecz wicehrabina staczała nadal dzielne boje z dwiema wesółymi paryżankami. Kalist, jadący wolnym i niedbałym kłusem obok karety, widział tylko Felicję i Beatrix. Ogarniał je kolejno wzrokiem, który zdradzał myśl dość bolesną. Nie mogąc ująć spojrzeniem młodzieńca, Beatrix unikała wciąż jego wzroku, stosując manewr zdolny przywieść do rozpaczki: skrzyżowawszy szal, a na nim ręce, udawała pogrążoną w jak najgłębszej zadumie. W miejscu, gdzie droga staje się cienista, wilgotna i zielona, niby rozkoszna ścieżka wiodąca przez las, gdzie listowie muska zasłony powozu, a wiatr przynosi balsamiczne wonie, Felicjta, zwracając uwagę towarzyszek na te uroki, wsparła dłoń o kolano Beatryczy i rzekła wskazawszy Kalista:

– Prześlicznie jeździ konno.

– Kalist? – podchwyciła wicehrabina. – O, to uroczy młodzian.

- O, Kalistek jest przemiły – zapewniła Szarlota.
- Widziałam tylu Anglików podobnych... – odparła niedbale margrabina, nie kończąc zdania.
- Jego matka jest Irlandką, z domu O'Brien – oznajmiła cierpko Szarlota uczuwszy się dotkniętą osobiście.

Ku niebywałemu osłupieniu całego miasta Felicyna i margrabina wjechały do Guérande w towarzystwie wicehrabiny de Kergarouët i jej córki; zostawiły obie panie u wejścia do uliczki du Guéników, gdzie o mało nie zebrał się tłum. Kalist przynagliwszy konia zjawił się w domu wcześniej, aby uprzedzić matkę i ciotkę o rychłym przybyciu gości, spodziewanych na obiad. Konwenans nakazywał zwlekać z posiłkiem aż do czwartej. Młodzieniec czekał, aby podać ramię paniom, wysiadającym z powozu; następnie ucałował dłoń Felicyny, mając nadzieję, że uda mu się ucałować i dłoń margrabiny, lecz ona trzymała nadal ręce skrzyżowane i nic nie pomogły spojrzeń wilgotne i pełne próśb najgorętszych.

– Głuptasie! – szepnęła Felicyna musnąwszy mu ucho pocałunkiem skromnym i pełnym przyjaźni.

„To prawda – pomyślał Kalist, kiedy kolasa zawracała – nie pamiętałem o zaleceniach matki, ale, jak mi się zdaje, nigdy nie będę o nich pamiętał”.

Nieustraszona panna de Pen-Hoël przyjechała na wynajętym koniu. Wicehrabina i jej córka zastały stół nakryty. Du Guénikowie podejmowali je kordialnie, jeśli nie z przepychem. Stara Zefiryna wskazała, gdzie w głębiach piwnicy kryje się przednie wino, Maryśka przeszła samą siebie w przyrządzeniu bretońskich potraw. Pani de Kergarouët, nie posiadając się z zachwyty, że odbyła podróż w kompanii sławnego Kamila Maupin, usiłowała wyłożyć zasady piśmiennictwa współczesnego i oznaczyć w nim miejsce słynnego autora; ale ze światem literackim było tu podobnie jak z wistem: du Guénikowie, pleban, który nadszedł właśnie, i kawaler du Halga nie zrozumieli ani słowa. Książd Grimont i stary marynarz, trafiwszy na wety, pociągali likier. Kiedy Maryśka, dyrygując Gasselinem i pokojówką pani de Kergarouët, sprzątnęła ze stołu, podniósł się okrzyk entuzjastyczny: „Do pamfila!”. W domu zapanowała radość. Wszyscy myśleli, że serce Kalista jest wolne i że młodzieniec poślubi niedługo Bretoneczkę. Kalist milczał uparcie. Pierwszy raz w życiu przeprowadzał porównanie między paniami de Kergarouët a dwiema damami eleganckimi, dowcipnymi, obdarzonymi wytwornym smakiem, które w tej chwili natrząsały się zapewne z dwóch parafianek – wystarczyło wspomnieć choćby pierwsze spojrzenia, jakie wymieniły. Fanny, znając sekret Kalista, obserwowała owo zasmucenie, którego nie zdołała rozproszyc ani zalotność Szarloty, ani szturm, jaki do młodzieńca przypuszczała wicehrabina. Drogi chłopak nudził się, rzecz jasna, ciałem był obecny w tej komnacie, gdzie ongi bawiły go żarty grających w pamfila, lecz duch jego błędził w Touches. Jakżeby wysłać go do Felicyny? – zastanawiała się matka, gdyż połączona z synem więzią sympatii, nudziła się jak i on. Czułość poruszonego serca natchnęła ją dowcipem.

– Oddałbyś życie, żeby pójść do Touches i ją zobaczyć – szepnęła Kalistowi na ucho. Chłopak odpowiedział uśmiechem, na twarzy wykwitł mu rumieniec tak wymowny, że zadrgały struny ukryte w najgłębszym kąteczku serca tej czarującej matki.

– Łaskawa pani – zwróciła się do wicehrabiny – cierpiałaby jutro w dylizansie wielką niewygodę, a przede wszystkim musiałaby wstać do dnia; czyż nie lepiej byłoby wypożyczyć kolosę panny des Touches? Idź, Kalistku – tu spójrzała na syna – do Touches załatwić tę sprawę, tylko zaraz wracaj.

– Będę tam w dziesięć minut! – zawołał Kalist i wybiegł na ganek. Matka podążyła za nim; uściskał ją w przyływie szaleńczej radości.

Pomknął do Touches lekko jak jelonek, wpadł do przedsionka, kiedy Felicyna i Beatrix wychodziły po obiedzie z paradnego salonu. Był na tyle przytomny, że podał ramię gospodyni.

– Porzucił pan dla nas wicehrabinę i jej córkę – rzekła, przytulając jego rękę – doceniamy bezmiar tego poświęcenia.

– Czy ci Kergarouëtowie są skoligaceni z Portènduere'ami i wdową po starym admirał de Kergarouët, która wyszła za Karola de Vandenesse? – zagadnęła Beatrix Felicytę.

– Szarlota to cioteczna wnuczka admirała – odrzekła panna des Touches.

– Urocza osóbką – stwierdziła pani de Rochefide, sadowiac się w gotyckim fotelu – pan du Guénic zrobi wymarzoną partię.

– Nigdy nie dojdzie do tego mariażu – zapewniła energicznie Felicytę.

Kalist zaniemówił, zmrożony obojętnością i chłodem margrabiny; przygnębiło go do cna, że Beatrix określiła Bretoneczkę jako stworzenie dlań wymarzone.

– A czemuż to, Kamilku? – spytała pani de Rochefide.

– Moja droga – odparowała Felicytę, widząc desperację Kalista – nie doradzałam Contiemu, żeby się żenił, i byłam, zdaje się, dla ciebie czarująca; a ty nie poczynasz sobie szlachetnie.

Beatrix zerknęła na przyjaciółkę ze zdziwieniem, nie wolnym od niejasnych podejrzeń. Kalist zrozumiał poniekąd ofiarę Felicyty, na policzki jej bowiem wystąpił ów blady rumieniec, zwiastujący najgwałtowniejsze emocje. Podeszedłszy dość niezręcznie do panny des Touches, pocałował ją w rękę. Felicytę siadła niedbale do fortepianu i jak gdyby nie wątpiąc ani o przyjaciółce, ani o uwielbieniu, które wzięła rzekomo na swój rachunek, odwróciła się do Kalista i margrabiny plecami, pozostawiając ich w ten sposób prawie samych. Zaimprovizowała wariacje na parę tematów, które duch jej wybrał instynktownie, gdyż przepojone były nadmierną melancholią. Margrabina udając, że słucha, obserwowała Kalista, który – zbyt młody i zbyt naiwny, by odgrywać rolę, jaką wyznaczyła mu Felicytę – zapadł w ekstazę przed swoim prawdziwym bóstwem. Po godzinie, kiedy to panna des Touches dawała upust naturalnej zazdrości, Beatrix poszła do swojego pokoju. Felicytę zaprowadziła niezwłocznie Kalista do swoich apartamentów, aby nikt podsłuchać jej nie zdołał, kobiety bowiem cechuje zadziwiający instynkt nieufności.

– Mój chłopcze – rzekła – udawaj, że mnie kochasz; inaczej będziesz zgubiony. Jesteś jeszcze dzieckiem, nie wiesz nic o kobietach, umiesz tylko kochać. Kochać i obudzić w kimś miłość to dwie rzeczy bardzo różne. Zgotujesz sobie straszliwe cierpienia, a ja chcę, żebyś był szczęśliwy. Jeśli nie przełamiesz nie tyle dumy, ile uporu Beatryczy, gotowa pofrunąć za Contim i osiedlić się o kilka mil od Paryża. I co wtedy?

– Będę kochał ją nadal.

– Ależ już nigdy jej nie zobaczysz.

– A właśnie, że zobaczę!

– Jakim cudem?

– Pojadę za nią.

– Toć, mój chłopcze, jesteś biedny jak mysz kościelna!

– Mój ojciec, Gasselin i ja obywaliliśmy się przez trzy miesiące w Wandei stoma pięćdziesięcioma frankami, maszerując dniem i nocą.

– Posłuchaj mnie uważnie – rzekła panna des Touches. – Widzę, że jesteś zbyt uczciwy, aby udawać. Nie chcąc zepsuć tak pięknej natury jak twoja, biorę wszystko na siebie. Beatrix cię pokocha.

– Czyż to możliwe? – powiedział, składając ręce.

– Tak, trzeba przełamać w niej obliży, które zaciągnęła wobec samej siebie. Będę kłamać za pana. Nie przeszkadzaj mi tylko w dość trudnym dziele, które rozpocznę. Margrabina odznacza się arystokratyczną drażliwością, jest nieufna z przyrodzenia; żaden myśliwiec nie spotka płochliwszej i przebieglejszej zwierzyny, tu więc, mój biedny chłopcze, myśliwy musi zawierzyć swojemu psu. Przyniesiesz mi ślepe posłuszeństwo? Będę twoim Foxem – rzekła, tak się bowiem wabił najlepszy z chartów Kalista.

– A ja co mam robić?

– Bardzo niewiele. Będziesz tu przychodził co dzień w południe. Jako stęskniona kochanka będę wystawać w oknie korytarza, skąd widać drogę do Guérande, którą będziesz nadchodził. Będę uciekać do mojego pokoju, abyś ujrzawszy mnie, nie dowiedział się, jak wielką obarczam cię namiętnością; ale spostrzeżesz mnie raz i drugi i wtedy zaczniesz powiewać chusteczką. Na dziedzińcu i na schodach będziesz miał minę nieco lekceważącą i dość znużoną. Nie będzie cię, mój chłopcze, wiele kosztowała ta komedia, nieprawdaż? – tu nagłym ruchem wsparła głowę o jego pierś. – Nigdy nie śpiesz się zbyt; odpoczniesz chwilę na schodach i wyjrzysz oknem, wypatrując w ogrodzie Beatryczy. Jeśli ją tam zobaczysz – a będzie się przechadzać, możesz liczyć na to! – i jeśli ona cię spostrzeże, odskoczysz i ociągając się pójdziesz do saloniku, a stamtąd do mojego pokoju. Jeśli ujrzysz, że śledzę cię z okna, cofniesz się jak oparzony, abym cię nie przyłapała, jakieś żebrał u Beatryczy o spojrzenie. U mnie w pokoju stajesz się bezapelacyjnie moim więźniem. Ach! Zabawimy tu razem aż do czwartej. Poczytasz sobie, a ja będę palić; będzie ci przykro, że jej nie widzisz, ale wybiorę dla ciebie zajmujące książki. Nie czytałeś nic George Sand, pošlę dziś wieczór lokaja do Nantes, żeby zakupił dzieła jej i tych autorów, których nie znasz dotąd. Wyjdę pierwsza, a pan nie oderwiesz się od książki i dopiero wtedy zjawisz się w saloniku, jak usłyszysz, że gawędzę z Beatryczą. Ilekroć zobaczysz nuty otwarte na fortepianie, poprosisz, żebym została. Możesz traktować mnie grubiańsko, jeśli potrafisz – a wszystko pójdzie jak z płatka.

– Darzysz mnie, Felicycy, najrzadszym z afektów, wiem o tym i żałuję teraz, że poznał Beatrycę – oznajmił z czarującym przekonaniem. – Ale co wyniknie z tego wszystkiego?

– Za tydzień Beatrix będzie szaleć za tobą.

– O Boże! Czyżby to było możliwe? – powiedział, padając na kolana i złożony ręce przed Felicytą, rozczuloną, szczęśliwą, że własnym kosztem dała mu tyle radości.

– Słuchaj pan uważnie: jeśli nie będziesz prowadził z margrabiną długich rozmów, a tylko wymieniał urywane słowa, jeśli dopuścisz, aby stawiała ci pytania, i zapomnisz o roli młodzieńca niemego, którą ci wyznaczam, a z pewnością łatwa jest ona do odegrania, utracisz margrabinę na zawsze – rzekła z powagą.

– Nic nie rozumiem z tego, co mi powiedziałaś, Felicycy – zawołał, wpatrując się w nią, pełen naiwnego wdzięku.

– Gdybyś rozumiał, nie byłbyś szlachetnym chłopakiem, urodziwy i zacny Kaliście – odparła, całując go w rękę.

Kalist uczynił wtedy to, czego jeszcze nigdy nie zrobił: objąwszy Felicytę w pól, pocałował ją w szyję – nie było w tym pocałunku miłości, ale przymilność i tkliwość, tak całował matkę. Panna des Touches, nie panując już nad sobą, wybuchnęła płaczem.

– No, idź teraz, mój chłopcze, i powiedz wicehrabinie, że karetą jest do jej dyspozycji.

Kalist chciał pozostać, Felicycy odprawiła go jednak gestem rozkazującym i władczym; wrócił radosny, za tydzień miał zyskać wzajemność pięknej pani de Rochefide. Grający w pamfila poznali dawnego Kalista, który przepadł był gdzieś przed dwoma miesiącami. Szarlota przypisała sobie tę odmianę. Panna de Pen-Hoël jeła przekomarzać się z nim figlarnie. Książdz Grimont usiłował wyczytać z oczu baronowej przyczynę uspokojenia, które w nich dostrzegł. Kawaler du Halga. zacierał ręce. Dwie stare panny okazywały żywość jaszczurek. Wicehrabina przegrała w sumie sto su. Chciwość tak rozgorzała w Zefiryńie, że staruszka, rozgoryczona swoją ślepotą, rzuciła kilka ostrych słów pod adresem bratowej, Fanny bowiem, myśląc o szczęściu Kalista, zapadała w roztargnienie i chwilami zadawała synowi pytania, lecz nic nie pojmowała z jego odpowiedzi. Partyjka przeciągnęła się do jedenastej. Nie wszyscy jednak wytrzymali tak długo: baron i pan du Halga zapadli w drzemkę, kiwając się w fotelach. Maryśka upiekła gryczane placki, baronowa poszła po swoje pudełko z herbatą. Nim odeszły panie de Kergarouët i panna de Pen-Hoël, prześwietny dom du Guéników wystąpił z wieczerzą składającą się ze świeżutkiego masła, owoców i śmietany. Na tę również uroczy-

stość wydobyto ze skrzyni srebrny imbryk do herbaty i serwis z angielskiej porcelany, który baronowej przysłała jedna z ciotek. Uroczy obraz: w starej komnacie rozbłysnął nagle nowoczesny przepych, Fanny krząta się, zaparzając herbatę – obrządek u Anglików nader doniosły – i jako dobra Irlandka czyni to z prześlicznym wdziękiem. Najszałeńszy zbytek nie zyskałby nigdy tego wyrazu prostego, skromnego i szlachetnego, jaki cechuje szczerą i wesołą gościnność. Kiedy Kalist pozostał sam z matką w komnacie, Fanny spojrzała nań pytająco.

– I cóż ci się przydarzyło dziś po południu w Touches? – zagadnęła.

Kalist powiedział, jaką nadzieję wlała mu Felicita w serce, i przytoczył dziwaczne instrukcje.

– Biedna kobieta! – zawołała Irlandka, składając ręce. Ulitowała się po raz pierwszy nad panną des Touches.

Beatrix tymczasem, usłyszawszy kroki odchodzącego Kalista, udała się zaraz do przyjaciółki. Zastała ją z oczyma załzawionymi, pół leżącą na sofie.

– Co ci jest, Felicito? – zapytała margrabina.

– Mam czterdzieści lat i kocham, moja droga! – odparła z okrutną i zacieklą pasją, oczy jej wyschły i załśniły. – Gdybyś wiedziała, Beatryczo, ile łez wylewam co dzień nad moją zmarnowaną młodością! Być kochaną z litości, wiedzieć, że zawdzięcza się szczęście li tylko ciężkim zabieganiem, fortelom godnym kotki, sidlom zastawionym na niewinność i cnoty dziecka, czyż to nie haniebne? Znajduję na pociechę coś na kształt rozgrzeszenia w mojej bezmiernej namiętności, w potędze szczęścia, w pewności, że zwyciężyłam raz na zawsze wszystkie kobiety, zaszczepiając dzięki niezapomnianym rozkoszom i szaleńczemu oddaniu pamięć o mnie w sercu młodym. Tak, gdyby tego zażądał, gdyby dał choć jeden znak, rzuciłabym się w morze. Chwilami przyłapuję się na myśli, że pragnęłabym, aby zażądał tego: nie byłoby to samobójstwo, lecz ofiara. Ach, Beatryczo! Ciężki dałaś mi problem do rozwiązania, przyjechawszy tutaj. Wiem, jak trudno zatriumfować nad tobą; ale kochasz Contiego, jesteś szlachetna i wielkoduszna, nie zdradzisz mnie, przeciwnie, pomożesz mi zachować Kalista. Spodziewałam się, jakie zrobisz na nim wrażenie, lecz nie popełniłam błędu okazując zazdrość, gdyż inaczej podsyciłabym zło. Przeciwnie, zapowiadając twój przyjazd odmalowałam cię w kolorach tak żywych, że oryginał nigdy nie dorówna portretowi. Ale wypiękniałaś na nie-szczęście.

Ta gwałtowna skarga, gdzie prawda mieszała się z kłamstwem, zwiódła całkowicie panią de Rochefide. Klaudiusz Vignon wyjawiał Contiemu przyczynę swojego odjazdu, a Beatrix, rzecz naturalna, dowiedziawszy się o niej, jęła popisywać się wielkoduszością, okazując chłód Kalistowi, w tym jednak momencie dusza jej drgnęła radością, serce zakołatało gdzieś w głębi, jak u każdej kobiety, która dowie się, że jest kochana. Miłość, jaką kobieta wzbudzi w mężczyźnie, zawiera zawsze najszczęśliwszy hołd i trudno w nim nie smakować; ale kiedy ów mężczyzna należy do przyjaciółki, hołdy te wywołują już nie radość, lecz rozkosz niebiańską. Beatrix usiadłszy tedy obok Felicity nie szczędziła jej drobnych przymileń.

– Nie masz ani jednego siwego włosa – rzekła – ani jednej zmarszczki, twoje skronie są wciąż gładkie, a znam przecież niejedną kobietę trzydziestoletnią, która musi zakrywać skronie. Patrz, moje złotko – tu podniosła loki – widzisz, ile mnie kosztował ten wjazd?

I margrabina pokazała skroń niedostrzegalnie przywiedłą, ślad zmęczenia na jej delikatnej karnacji. Odsunawszy mankiet pokazała podobne przywiednięcie na przegubie ręki. Tu delikatna skóra utraciła już jędrność, prześwitywała sieć zgrubiałych żyłek, trzy głębokie zmarszczki tworzyły jak gdyby bransoletę.

– Czyż to nie te dwa miejsca, jak powiada ów autor śledzący nasze nieszczęścia, miejsca, które nigdy u nas nie kłamią? – rzekła. – Trzeba było wycierpieć wiele, żeby uznać prawdę jego bezlitosnej obserwacji; ale szczęściem dla nas większość mężczyzn nic nie zna się na tym, no i nie czytuje tego niegodziwca.

– Twój list powiedział mi wszystko – odrzekła Felicycja – szczęście nie zna samochwalstwa, a ty pisząc do mnie chęłpiłaś się zbytnio, że jesteś szczęśliwa. Czyż w miłości prawda nie jest głucha, niema i ślepa? Toteż wiedząc, że masz wiele powodów, by rozstać się z Contim, lękałam się twojego tutaj pobytu. Moja droga, Kalist to anioł, jest równie piękny jak dobry, biedne niewiniątko nie oparłoby się pierwszemu twojemu spojrzeniu, zbyt cię wielbi, by cię nie pokochać, jeśli tylko spróbujesz go zachęcić; zachowa mi tego chłopca jedynie twoja pogarda. Wyznam ci z tchórzostwem, jakie cechuje każdą prawdziwą namiętność, że zabiłabyś mnie, gdybyś mi go wydarła. „Adolf”, ta przerażająca książka Beniamina Constant, mówi nam tylko o cierpieniach Adolfa; a gdzie są cierpienia kobiety? No cóż, nie zaobserwował ich z wystarczającą dokładnością, by nam je odmalować, i któraż kobieta ośmieliłaby się je odślonić? Zhańbiłyby naszą płęć, poniżyły cnotę, zasiały występki. Ach, kiedy cierpienia te mierzą swoją obawą, przypominają męki piekielne. Ale gdyby mnie porzucił, mam temat gotów.

– I co zdecydowałaś? – spytała Beatrix z takim ożywieniem, że Felicycja zdrżała.

Przyjaciółki popatrzyły na siebie z uwagą dwóch inkwizytorów weneckich: dwa błyskawiczne spojrzenia, w których dwie dusze uderzyły o siebie, krzesząc iskry niby krzemienie. Margrabina spuściła oczy.

– Po mężczyźnie pozostaje tylko Bóg – odpowiedziała poważnie znakomita kobieta. – Bóg... to nieznane. Rzucę się w nie jak w otchłań. Kalist poprzysiągł mi właśnie, że zachwycy się tobą tylko tak, jak zachwycamy się obrazem; ale masz rok dwudziesty ósmy i jesteś w pełnym rozkwicie urody. A więc walka między mną a nim zaczyna się od kłamstwa. Wiem na szczęście, co zrobić, żeby zwyciężyć.

– I co zrobisz?

– To mój sekret, kochanie. Pozwól mi korzystać z dobrodziejstw mojego wieku. Vignon zepchnął mnie brutalnie w przepaść, lecz ja dostawszy się na miejsce, które miałam dotąd za niedostępne, zbiorę przynajmniej wszystkie kwiaty blade, przywiedle, ale rozkoszne – kwiaty rosnące na dnie przepaści.

Panna des Touches urabiała margrabinę jak wosk, omotywała ją swoimi podstępami, smakując w tym z okrutną rozkoszą. Uczyniwszy to, pożegnała przyjaciółkę mocno zaintrygowaną, wahającą się między zazdrością i szlachetnością, lecz na pewno zainteresowaną urodziwym Kalistem.

„Będzie zachwycona, oszukując mnie” – pomyślała Felicycja ucałowawszy margrabinę na dobranoc.

Ale gdy pozostała sama, autorka ustąpiła kobiecie; zalała się łzami, naładowała opiumowanym tytoniem kominek nargilu i paliła niemal do rana, oszołamiając tym sposobem swój ból i swoją miłość, widząc wśród kłębow dymu prześliczną twarz Kalista.

„Napisałabym piękną książkę, opowiadając o swoich cierpieniach – rzekła sobie w duchu – ale już mnie uprzedzono. Safo żyła wcześniej, Safo była młoda. Czyż kobieta czterdziestoletnia mogłaby naprawdę być piękną i wzruszającą heroiną? Pal swoje nargile, moja biedna Felicyto, nie masz nawet możliwości, by własne nieszczęście przetworzyć na poezję: sięgnęło ono szczytu!”

Położyła się dopiero nad ranem – mieszając tak do łez wybuchy wściekłości i wzniosłe postanowienia; długa to była medytacja, gdzie chwilami rozpatrywała tajemnice religii katolickiej, o których w swoim życiu niefrasobliwej artystki i niewierzącej pisarki nigdy przedtem nie myślała.

Nazajutrz Kalist, któremu matka przykazała stosować się ściśle do rad Felicyty, zjawił się w południe i zakradł się do jej pokoju, gdzie znalazł książki. Felicycja siedziała w fotelu przy oknie i paliła wpatrując się to w dziki bagnisty pejzaż, to w morze, to w Kalista, z którym zamieniła parę słów na temat Beatryczy. W pewnym momencie, widząc, że margrabina wy-

szła na przechadzkę do ogrodu, rozwiązała sznury firanek i zasłoniła okna, zostawiwszy jednak przy tym szparę tak, aby snop światła padał na książkę Kalista.

– Dziś, mój chłopcze, poproszę cię na obiad – rzekła, burząc mu ręką włosy – a ty odmówisz popatrując na margrabinę; dasz jej bez trudu do zrozumienia, jak żałujesz, że zostać nie możesz.

Okolo czwartej Felicjta wyszła po margrabinę i wiedząc ją do salonu odgrywała okrutną komedię rzekomego szczęścia. Kalist, opuściwszy pokój, zrozumiał, jak haniebną jest jego pozycja. Spojrzenie, jakim obrzucił Beatrycę, a którego oczekiwała Felicjta, było bardziej wymowne, niżby się spodziewała. Beatrix miała na sobie prześliczną toaletę.

– Cóż tak zalotnie się wystroiłaś, moja duszko? – zagadnęła, gdy Kalist odszedł.

Manewry te trwały sześć dni; towarzyszyły im – Kalist o tym nie wiedział – rozmowy nader dyplomatyczne. Między dwiema kobietami toczył się nieprzerwany pojedynek, pełen chytrych ataków, fint, fałszywej wspaniałomyślności, kłamliwych wyznań, podstępnych wynurzeń i choć jedna tała, druga zaś obnażała swoją miłość, ostra szpada Felicjty, rozpalona do czerwoności zdradzieckimi słowy, docierała w głąb serca margrabiny, zapuszczając w niej jad owych złych intencji, które każda kobieta, nawet uczciwa, dławi w sobie z największym trudem. W końcu Beatrix poczuła się urażona: Felicjta dawała jawne dowody nieufności, nie przynoszące, zdaniem pani de Rochefide, zbyt wielkiego zaszczytu ani jednej, ani drugiej, wpadała w zachwyty, wykrywając u tej wielkiej pisarki małostkowość kobiecą, wskazywała Felicjcie z radością, gdzie kończy się jej wyższość i jak można by ją poniżyć.

– I cóż mu dziś powiesz, moja droga? – spytała, popatrując złośliwie na przyjaciółkę w chwili, kiedy jej domniemany kochanek napraszał się, by zostać. – W poniedziałek musiałyśmy pogawędzić, we wtorek obiad był niedobry, w środę nie chciałaś narażać go na gniew matki, w czwartek wolałaś iść ze mną na przechadzkę, a wczoraj pożegnałaś go, nim zdążył otworzyć usta: a więc życzę sobie, żeby dziś biedaczek pozostał!

– To już, moja mała? – rzekła Felicjta z gryzącą ironią. Margrabina zaczerwieniła się. – Możesz zostać, panie Kaliście! – zwróciła się do młodzieńca tonem urażonej monarchini.

Beatrix, znowu chłodna, nieprzystępna, jęła, sypiąc złośliwymi żartami, maltretować Kaliста, jego zaś rzekoma kochanka wyprawiała go na pamfila z udziałem panny de Pen-Hoël.

– Nie jest to osoba niebezpieczna – uśmiechnęła się Beatrix.

Zakochany młodzieniec przypomina głodomora: nie nasyci się przygotowaniami kucharza, zbyt wiele myśląc o wetach nie rozumie, iż logika każe podawać je na końcu. Wracając do Guérande Kalist miał duszę pełną margrabiny i nie pojmował głębokiej polityki kobiecej, jaką rozwinęła Felicjta, aby – użyjemy tu słów utartych – pchnąć naprzód jego sprawę. W owym tygodniu Beatrix napisała tylko jeden list do Contiego i ten przejaw obojętności nie uszedł uwagi panny des Touches. Całe życie Kalista koncentrowało się w owych krótkich momentach, kiedy widywał margrabinę. Kropla wody, która nie tylko nie gasiła pragnienia, lecz je podsyciła. Magiczne słowa: „Pokocha cię!” – które wypowiedziała Felicjta, a potwierdziła Fanny, były mu talizmanem poskramiającym rozkiełznaną namiętność. Pożerał czas, przestał sypiać, oszukiwał bezsennością lekturą, przynosząc co wieczór „kupy książek” – jak powiadała Maryśka. Zefiryra przeklinała pannę des Touches, lecz baronowa zaszedłszy raz i drugi do syna, kiedy spostrzegła światło, poznała tajemnicę tego nocnego czuwania. Aczkolwiek w rzeczach afektu pozostała naiwną i nieśmiałą dziewczyną, przed którą miłość nie otworzyła swojej księgi, wznosiła się dzięki czułości macierzyńskiej aż do pewnych pojęć, ale w uczuciu Kalista były również otchłanie ciemne i zasnuwane chmurami, przeto trwożyła się srodze jego stanem, przerażała ją to absolutne, niepojęte i trawiące pragnienie. Kalista pochłaniała już tylko myśl jedyna – rzekłbyś, że wciąż miał Beatrycę przed oczami. Wieczorem, przy pamfili, roztargnienie jego przypominało drzemkę barona. Widząc, jak bardzo się zmienił od czasu, gdy sądziła, że jest zakochany w Felicjcie, baronowa rozpoznawała z pewnym przerażeniem symptomy zwiastujące prawdziwą miłość, uczucie całkiem nieznanym w tym starym

dworze. Gorączkowa drażliwość, afekt bliski monomanii otumaniały młodzieńca. Wpatrywał się często godzinami w jakąś postać na gobelinie. Któregoś ranka doradziła mu, by zaprzestał tych wizyt i dał pokój obu paniom.

– Ja miałbym zaprzestać wizyt w Touches!?! – zawołał Kalist.

– No, więc idź tam i nie irytuj się, kochanku – odrzekła, całując go w oczy, którymi spiorunował ją właśnie.

W tych okolicznościach nasz młodzieniec o mało nie zmarnował owocu kunsztownych manewrów Felicyty, nie panując już nad furią miłosną, częstą u Bretończyków. Poprzysiągł sobie, wbrew obietnicom złożonym pannie des Touches, zobaczyć się i porozmawiać z margrabina na osobności. Pragnął czytać w jej oczach, zatopić w nich spojrzenie, wpatrywać się w drobiazgi stroju, wdychać perfumy, wsłuchiwać się w jej głos, śledzić wykwintne i harmonijne ruchy, ogarniać okiem talię, słowem, kontemplować Beatrycę tak samo, jak wielki generał studiuje teren, gdzie ma się rozegrać decydująca bitwa; pragnął tego, jak pragną zakochani; padł ofiarą ślepego pożądania, które zaćmiewa umysł, wtrąca w stan bliski chorobie, kiedy to tracimy poczucie przeszkód i odległości, a nawet zapominamy o naszym własnym ciele. Umyślił tedy zjawić się w Touches przed oznaczoną godziną, spodziewając się, że spotka Beatrycę w ogrodzie. Wiedział, że przechadza się tam rankiem, czekając na śniadanie. Panna des Touches i margrabina, zwiedziwszy rano saliny i zalew morski otoczony miałkim piaskiem, podobny do jeziora błyszczącego między wydrami, zmierzały do domu i szły teraz, gawędząc, jedną z krętych, żółtych ścieżek, jakimi poprzecinano trawnik.

– Jeżeli interesuje cię ten pejzaż – mówiła Felicyta – powinnaś w kompanii Kalista obejrzeć Croisic. Są tam prześliczne skały, kaskady granitu, rozpadliny skalne przystrojone niby misami, które wyłobiliła woda, zadziwiające bogactwo kapryśnych kształtów, a dalej morze, gęsto usiane blokami marmuru, świat zabawny i ciekawy. Zobaczysz kobiety przygotowujące opał: przyklejają one krowie łajno do muru, a gdy tam wyschnie, układają je w sterty, jak w Paryżu układają się torf; potem w zimie palą tym „torfem”.

– To nie boisz się o Kalista – roześmiała się margrabina, lecz powiedziała te słowa tonem, który dowiódł Felicycie, iż nadąsawszy się wczoraj na przyjaciółkę zmusiła ją do zajęcia się młodym Bretończykiem.

– Ach, moja droga, zrozumiesz mnie poznawszy duszę anielską tego chłopaka! Uroda jest u niego niczym, trzeba wnikać w to czyste serce, w tę naiwność, która dziwi się każdemu odkryciu w królestwie miłości. Ileż wiary! Jaka niewinność i wdzięk! Starożytni mieli rację, ustanowili kult boskiej urody. Nie pomnę już, który podróżnik powiada, że dzikie konie wyznaczają najpiękniejszego swoim prowodyrem. Uroda, moje złotko, to geniusz rzeczy; jest godłem, którym natura opatrzyła najdoskonalsze ze swoich stworzeń, to najprawdziwszy spośród symboli, no i rzecz najbardziej przypadkowa. Czy kto kiedy sobie wyobraził nieforemne anioły? Czyż nie łączą one w sobie siły i wdzięku? Cóż zatrzymuje nas całe godziny przed niektórymi obrazami we Włoszech, obrazami, gdzie geniusz realizował długie lata jeden z owych przypadków natury? Przyznaj z ręką na sercu, że ideał urody kojarzymy zawsze z wielkością ducha. Otóż Kalist jest jednym z owych urzeczywistnionych marzeń: to lew, który spoczywa, nie domyślając się swojej potęgi. Kiedy czuje się swobodnie, jest dowcipny, a poza tym lubię jego dziewczęcą nieśmiałość. Dusza moja obmyła się w jego sercu z wszelkiego zepsucia, zapomniała o poglądach naukowych i politycznych, o literaturze, konwenansach i o wszelkich bezużytecznych akcesoriach, które dławiają nasze szczęście. Jestem kimś, kim nigdy jeszcze nie byłam, jestem dzieckiem! Jestem go pewna, lubię jednak udawać zazdrosną, gdyż nie posiada się wtedy ze szczęścia. Ale to skądinąd należy do moich tajemnic.

Beatrix postępowwała naprzód, milcząca i zadumana, Felicyta cierpiąc niewysłowione udreki popatrywała na nią z ukosa i spojrzenia, jej palily jak płomień.

– Ach, szczęśliwa ty jesteś, moja duszko! – ozwała się Beatrix, opierając rękę na ramieniu Felicyty, jak gdyby znużona jakąś wewnętrzną walką.

– O tak, bardzo szczęśliwa! – odrzekła biedna Felicyta z okrutną goryczą.

Obie siadły wyczerpane na ławce. Beatrix była od tygodnia wystawiona na tyle najrzetelniejszych pokus i tyle ataków najbardziej przenikliwego makiawelizmu, jak nigdy jeszcze żadna kobieta na świecie.

– A ja, ja muszę być świadkiem zdrad Contiego i udawać, że ich nie widzę...

– No to czemu go nie porzucisz? – zagadnęła Felicyta, dostrzegając sposobną chwilę, w której mogłaby zadać cios ostateczny.

– A czyż ja mogę?

– O, biedna mała!...

I obie spojrzały z dość niemądrą miną na kępę drzew.

– Przyśpieszę śniadanie, wygłodniałam na tym spacerze – powiedziała Felicyta.

– A mnie nasza rozmowa odjęła apetyt – rzekła Beatrix.

Beatrix w porannej sukni rysowała się białym kształtem na tle gęstych, zielonych liści. Kalist, wymknąwszy się z salonu do ogrodu, szedł niespiesznie aleją, by spotkać margrabinę niby przypadkiem, Beatrix zdrząła lekko na jego widok.

– Czym zasłużyłem sobie wczoraj na niełaskę? – spytał, gdy wymienili parę banalnych zdań.

– Ależ nie zasłużyłeś sobie ani na łaskę, ani na niełaskę – odrzekła cicho.

Ton głosu, zachowanie i uroczy wdzięk margrabiny ośmieliły Kalista.

– Jestem pani obojętny – powiedział przez łzy.

– A czyż nie powinniśmy być sobie wzajem obojętni? – zagadnęła margrabina. – Oboje związani afektem...

– E, kochałem Felicytę, ale już nie Kocham – zachnął się Kalist.

– Cóż więc pan tu porabiasz co dzień -w rannych godzinach? – spytała z dość perfidnym uśmiechem. – Nie przypuszczam, aby Felicyta, choć namiętna palaczka, przekładała cygaro nad pana i abyś, mimo swojej admiracji dla pisarek, spędzał po cztery godziny na rozczytywaniu się w romansach pióra kobiecego.

– Wiesz pani tedy... – rzekł naiwnie nasz prostaczek, a twarz miał rozjaśnioną szczęściem, patrząc w swoje bóstwo.

– Kaliście – przerwała mu gwałtownie Felicyta wyrósłszy przed nim; wzięła go za rękę i odciągnęła o kilka kroków dalej. – Czy toś mi przyrzekł, Kaliście?

Margrabina mogła usłyszeć te słowa pełne wyrzutu. Panna des Touches znikła tymczasem zabierając Kalista i łając go po drodze. Pani de Rochefide, nie będąc tak inteligentną jak Vignon, zdumiała się wyznaniem Bretończyka, nic nie pojąwszy. Istota szkaradnej a zarazem szlachetnej roli, jaką odgrywała panna des Touches, kryje się w owej haniebnej wielkości, którą kobieta dopuszcza do głosu jedynie -w ostatecznych wypadkach. Tu łamią się serca i kończą uczucia kobiece, tu zaczyna się wyrzeczenie, które pogrąża kobietę w piekle albo prowadzi do nieba.

Kalista zaproszono na śniadanie. Margrabina, rzeczywiście pełna szlachetnych i dumnych uczuć, zastanowiła się już nad sobą, stłumiwszy w zarodku miłość lęgnącą się w sercu. Nie była wobec Kalista zimna i okrutna, lecz uprzejmie i raniąco obojętna. Felicyta zaproponowała, by pojutrze zwiedzili we trójkę oryginalny i malowniczy szmat ziemi zawarty między Touches, Croisic i miasteczkiem Batz. Poprosiła więc Kalista, aby nazajutrz wynajął łódź i majtków, gdyby przyszło puścić się na wycieczkę morską, ona zaś zajmie się prowiantem, koźmi i wszystkim, co zapewni wygody uczestnikom tej miłej wyprawy. Beatrix ucięła lakonicznie, powiadając, że nigdy nie zaryzykowałaby w tych okolicach wycieczki. Kalist, przed chwilą promienny, zasepił się raptem.

– A czegoż się lękasz, moja droga? – spytała Felicyta.

– Pozycja moja jest nazbyt delikatna, bym mogła narażać na szwank nie reputację, ale szczęście – rzekła z emfazą, spoglądając na młodego Bretończyka. – Wiesz, jak zazdrosny jest Conti, i gdyby się dowiedział...

– Ale któż mu doniesie?

– Czyż nie przyjedzie tu po mnie?

Kalist pobladł na te słowa. Mimo nalegań gospodyni i młodego Bretończyka pani de Rochefide była nieugięta i okazała to, co Feliccyta zwała jej uporem. Choć Feliccyta robiła mu niemałe nadzieje, Kalist opuścił Touches nurtowany gwałtowną zgryzotą, która u zakochanych przechodzi czasem w szaleństwo. Wróciwszy do domu, pokazał się tylko na obiedzie i niebawem poszedł znów na górę. O dziesiątej zaniepokojona matka, zajrząwszy do syna, zastała go bazgrzącego coś, pośród papierów podartych i poprzekreślanych; pisał do Beatrycyy, przestał bowiem ufać Feliccyce; ośmieliło go w jakiś szczególny sposób zachowanie margrabiny, kiedy spotkał ją w ogrodzie. Nigdy jeszcze żaden list miłosny nie był, jak można by sądzić, gorącym wołaniem duszy. Każdy niezsputy młodzieniec pisze podobny list i zawsze poprzedza go tyle wewnętrznego wrzenia, które przechodzi różne fazy, że list taki to jakby ekstrakt kilku listów zaczynanych, odrzucanych i przerabianych. Oto pismo, które w końcu skomponował Kalist – i przeczytał zdziwionej matce. Jej wydało się, że ten stary dom stanął w ogniu, miłość jej syna płonęła tu niby łuna pożarna.

KALIST DO BEATRYCZY

Pani, kochałem Cię, kiedy byłaś dla mnie jeszcze tylko snem, osądź więc, jak miłość moja przybrała na sile od momentu, gdy spotkałem Panią. Rzeczywistość przeszła marzenie. Smucę się, że mówiąc Pani, jak jesteś piękna, nie mogę powiedzieć o Twojej urodzie nic takiego, czego byś już nie wiedziała; ale też i może Twoja uroda nie obudziła w nikim jeszcze uczuć tak bogatych jak we mnie. Jesteś Pani piękna nie na jeden sposób; a tak Cię zgłębiłem, Pani, rozmyślając o Tobie dniem i nocą, zem przeniknąłem tajemnice Twojej osoby, sekrety Twojego serca i Twoją zapoznaną wrażliwość. Czy byłaś Pani kiedykolwiek zrozumiana i wielbiona tak, jak na to zasługujesz? Dowiedz się zatem, że nie ma w Tobie ani jednej cechy, która nie znajdowałaby echa w moim sercu: Twoja duma odpowiada mojej; szlachetność Twojego spojrzenia, wdzięk postawy, dystynkcja ruchów – wszystko w Tobie harmonizuje z myślą i życzeniami utajonymi w Twojej duszy, ja zaś, odgadłszy je, powziąłem mniemanie, że jest godzien Ciebie. Gdybym przed paroma dniami nie stał się drugim Tobą, czyż mówiłbym Pani o sobie? Czytać mój list, będzie to u Pani egoizm: chodzi tu bardziej o Panią niż o Kalista. Aby napisać do Ciebie, Beatryczo, kazałem zamilknąć moim dwudziestu latom, uwziąłem się na siebie, uczyniłem moją myśl starszą – albo to może ona postarzała się przez Ciebie, w tym tygodniu okropnych cierpień, które zadawałaś mi, nie ponosząc zresztą za to winy. Nie uważaj mnie za jednego z tych pospolitych kochanków, których wyszydzasz tak słusznie. Ładna mi zasługa kochać piękną, młodą, dowcipną i szlachetną kobietę! Niestety! Nie wyobrażam sobie nawet, bym kiedykolwiek zasłużył na Ciebie. Kim jestem dla Pani? Dzieckiem, które przywabiał, blask urody i świetność duchowa; tak samo światło przyciąga owady. Musisz więc deptać po kwiatach mojej duszy, a szczęście moje na tym polegać będzie, że depczesz po nich. Absolutne oddanie, bezgraniczna wiara, szaleńcza miłość, wszystkie te skarby kochającego i szczerzego serca nic nie znaczą, są narzędziem kochania, lecz nie sprowadzają wzajemności. Nie rozumiem chwilami, dlaczego fanatyzm tak plemienny nie rozgrzeje bóstwa, a kiedy napotkam surowy i zimny wzrok Pani, mróz mnie przechodzi. To działa Twoja, pogarda, a nie moja adoracja. Dlaczego? Nie potrafiłabyś mnie Pani nienawidzić w takim stopniu, w jakim ja Cię kocham, czyż więc słabsze uczucie mogłoby wziąć górę nad silniejszym? Kochałem Feliccytę całą mocą mojego serca, zapomniałem o niej w dniu i w momencie, kiedy ujrzałem Ciebie. Ona była pomyłką. Tyś jest prawdą. Nie wiedząc o tym zniszczyłaś moje szczę-

ście i nic mi Pani w zamian nie jesteś winna. Kochałem Felicytę beznadziejnie, a Ty nie dasz mi żadnej nadziei: nic się więc nie zmieniło, prócz bóstwa. Byłem bałwochwalcą, jestem chrześcijaninem, ot i wszystko. Nauczyłaś mnie tylko Pani, że kochać jest najpierwszym szczęściem, a wzajemność przychodzi później. Zdaniem Felicyty miłość parodniowa nie jest miłością: miłość nie wzrastająca z dniem każdym to tylko nędzna namiętność; aby wzrastała, miłość nie powinna dostrzegać swojego kresu, ona zaś dostrzegła zachód naszego słońca. Na Pani widok pojąłem te słowa, którem zwalczałem całą moją młodością, całym rozmachem moich pożądań i z całą despotyczną surowością moich dwudziestu lat. Ta wielka i wzniosła Felicyta mieszała wtedy swoje łzy z, moimi. Mogę więc kochać Panią na ziemi i w niebiesiech, jak miłuje się Boga. Gdybyś mnie Pani pokochała, nie przeciwstawiłabyś mi racyj, którymi Felicyta niweczyła moje wysiłki. Jesteśmy oboje młodzi, możemy wziąć ten sam lot pod tym samym niebem, nie lękając się burzy, której bał się ów orzeł. Ale cóż ja Pani mówię? Poniosło mnie, posunąłem się daleko poza skromność moich życzeń! Przeszanieś Pani wierzyć w poddanie, w cierpliwość i w niemą adorację, których nie rań, proszę, bez potrzeby. Wiem, Beatryczo, że nie możesz mnie pokochać, nie straciwszy szacunku dla siebie. Nie proszę więc o żadną wzajemność. Felicyta mówiła mi kiedyś, że w imionach tkwi wrodzona im fatalność – miała na myśli swoje. Dla siebie przeczulem tę fatalność w Twoim imieniu, gdy na moło w Guérande poraziło ono moje oczy blaskiem bijącym od brzegów Oceanu. Przejdziesz przez moje życie, jak inna Beatrix przeszła przez życie Dantego. Moje serce posłuży za piedestał dla bóstwa białego, mściwego, zazdrosnego i tyrańskiego. Zabroniono Ci mnie kochać; będziesz cierpieć po stokroć agonię, zdradzą Cię, poniżą, unieszczęśliwią; jest w Tobie szatańska pycha, co przykuwa Cię do kolumny, którą wybrałaś; zginiesz na niej, wstrząsnawszy posadami świątyni, jak Samson. Nie odgadłem sam tych rzeczy, moja miłość nazbyt jest ślepa: powiedziała mi je Felicyta. W tym momencie nie mój umysł do Ciebie przemawia, lecz jej; ho ja całkiem się zatracam z chwilą, gdy chodzi o Ciebie, w sercu moim zaczyna wrzeć krew i wzburzona jej fala przesłania moją inteligencję, odbiera mi, siły, paraliżuje język i podcina nogi w kolanach. Cokolwiek byś uczyniła, mogę tylko Cię wielbić. Felicyta nazywa Twoją stanowczość uporem, a ja, broniąc Cię, powiadam, że postępujesz, jak nakazuje cnota. Przez to jesteś tylko jeszcze piękniejsza w moich oczach. Znam moje przeznaczenie: duma Bretanii jest godna kobiety, która ze swojej dumy uczyniła cnotę. Tak więc, droga Beatrix, bądź dla mnie dobrą i bądź moją pocieszycielką. Kiedy wyznaczono ofiary, wieńczono je kwiatami; należą mi się od Ciebie bukiety litości, melodie poświęcenia. Czyż nie jestem żyjącym dowodem Twojej wielkości, czy nie wzniesiesz się na wyżyny mojego uczucia wzgardzonego, choć ono szczere, żarliwe i nieśmiertelne? Spytaj Felicyty, jak postępowałem od dnia, w którym oznajmiła mi, że kocha Klaudiusza Vignon. Zaniemówiłem, cierpiałem w milczeniu. A więc dla Ciebie znajdę sił jeszcze więcej, jeśli nie wpędzisz mnie w desperację i jeśli ocenisz mój heroizm. Jedna pochwała z Twoich ust dozwoliłaby mi znieść męczeństwo. Jeśli wytrwasz w tym zimnym milczeniu, w tej śmiertelnej pogardzie, gotowym pomyśleć, że lękać się mnie trzeba. Ach! Bądź ze mną taka, jak jesteś naprawdę: urocza, wesoła, dowcipna, kochająca. Opowiadaj mi o Contim, jak Felicyta mówiła mi o Kludiuszu. Mam tylko jeden geniusz – geniusz miłości, żadna z moich cech nie czyni mnie groźnym, będę zachowywał się przy Tobie tak, jakbym Cię nie kochał. Czyż odrzucisz modlitwę miłości tak pokornej, modlitwę biednego chłopca, który prosi jak o łaskę, by światło mu świeciło, a słońce go grzało? Ten, którego kochasz, będzie widywał Cię zawsze; biedny Kalist ma niewiele dni dla siebie, wkrótce się go pozbędziesz. A więc przyjdę jutro do Touches, dobrze? Nie odepchniesz mojego ramienia, zwiedzimy razem wybrzeże Croisic i miasteczko Batz. Jeśli nie przyjdiesz, będzie to odpowiedź – i Kalist ją zrozumie.

Na dalszych czterech stronicach – wypełnionych drobnym, ścisłym pismem – Kalist wyjaśniał, jak okropną groźbę zawierały ostatnie słowa, przedstawiając swoją młodość i życie; tu już jednak posługiwał się zdaniem emfatycznymi, rościło się od wykrzykników, którymi w

miejscach ryzykownych szafuje literatura współczesna, dopomagając tym sposobem wyobraźni czytelnika, jak nad przepaścią buduje się kładkę z desek. Naiwne to malowidło stanowiłoby zbyt dużą dźwignię; skoro zaś nie wzruszyło pani de Rochefide, nie zainteresowałoby również amatora silnych wzruszeń, ale matka się rozplakała mówiąc do syna: „Toś nie był szczęśliwy?”

Ten tragiczny poemat uczuć, co wpadłszy jak burza w serce Kalista miały, kłębiąc się, przejść do innego serca, przeraził baronową; przeczytała pierwszy raz w życiu list miłosny. Młodzieniec stał okrutnie zaambarasowany, nie wiedząc, jak doręczyć ów list. W komnacie rozgrywano ostatnie partyjki ożywionego pamfila, kawaler du Halga nie odszedł jeszcze. Szarlota, zrozpaczona obojętnością Kalista, wdzięczyła się do Zefiry i barona, by pozyskać ich ostatecznie dla swojego zamęścia. Kalist wszedł, podążając za matką, miał w kieszeni list, który parzył mu serce; kręcił się niby motyl, co przez nieuwagę wpadł do pokoju. Na koniec matka i syn wciągnęli kawalera du Halgę do salonu, wyprawiając stamtąd Maryskę i lokajczyka panny de Pen-Hoël.

– Czegóż oni chcą od kawalera? – zagadnęła stara Zefiryna starą Jacyntę.

– Cos mi się widzi, że Kalist zwariował – odrzekła panna de Pen-Hoël. – Tak się odnosi do Szarlotty, jakby to była jakaś solarzówna.

Baronowa, wyobraziwszy sobie jak najtrafniej, że około roku 1780 kawaler żeglował na pewno po morzach amatorów, powiedziała Kalistowi, by zasięgnął u niego rady.

– Jaki jest najlepszy sposób, żeby pod sekretem przesłać list kochance? – szepnęła Kalist kawalerowi na ucho.

– Wsuwa się list w rękę pokojowej, dodając kilka ludwików, bo prędzej czy później pokojowa wszystko wywęszy, dobrze więc zapłacić z góry – objaśnił kawaler, uśmiechając się z lekka. – A najlepiej doręczyć osobiście.

– Ludwików?... – przeraziła się baronowa.

Kalist zakręcił się na pięcie, wziął kapelusz i pobiegł do Touches, i tam, podąższy za głosem Beatryczy i Felicyty, zjawił się w saloniku jak widmo. Obie panie siedziały na sofie, gawędząc jak najprzyjaźniej. Nasz Bretończyk, jakby miłość natchnęła go raptem brawurą, rzucił się na sofę i chwyciwszy rękę margrabiny wsunął swój list tak szybko, że Felicyta, choć na wszystko baczną, nie zdołała nic dostrzec. Serce Kalista połaskotało wzruszenie ostre i łagodne zarazem, gdy uczuł, jak Beatrix uściśnawszy mu rękę wsunęła list w rękawiczkę, nie przerywając rozmowy i nie pokazując po sobie żadnego zmieszania.

– Rzucasz się pan na kobiety jak na otomanę – rzekła roześmiewszy się w głos.

– Choć nie wyznaje tureckiego wielożenstwa – dorzuciła Felicyta, nie mogąc odmówić sobie tej złośliwej strzały.

Bretończyk wstał i ucałował rękę Felicyty, za czym podszedł do fortepianu i przesunął palcem po klawiszach, wydobywając wszystkie kolejne tony. Felicytę zastanowiło to radosne ożywienie; zbliżyła się więc do Kalista.

– Co się panu stało? – szepnęła.

– Nic – odrzekł.

„Cos już uknuli” – pomyślała panna des Touches.

Margrabina była nieprzenikniona. Panna des Touches wzięła Kalista na spytki, spodziewając się, że coś wydobędzie, ale chłopak, pozorując odejście niepokojem matki, opuścił obie damy o jedenastej, nie uniknąwszy ognia badawczych spojrzeń Felicyty, której odpowiedział w taki sposób po raz pierwszy.

Noc miał niespokojną – pełną Beatryczy, rankiem wybiegał ze dwadzieścia razy na ulicę oczekując odpowiedzi, która jak nie nadchodziła, tak nie nadchodziła. „Wreszcie pokojowa margrabiny zjawiła się w domostwie du Guéników, doręczając młodzieńcowi list, który odczytał w ogrodzie, zaszywszy się w altance.

BEATRIX DO KALISTA

Jesteś Pan dzieckiem szlachetnym, lecz tylko dzieckiem. Masz obowiązki wobec Felicyty, która Cię wielbi. Nie znalazłbyś Pan u mnie ani doskonałości, która ją wyróżnia, ani szczęścia, jakim hojnie Cię darzy. Cokolwiek mógłbyś Pan myśleć, to ona jest młoda, a ja stara i to ona ma serce pełne skarbów, a ja puste; żywi dla Pana oddanie, którego nie doceniasz, nie ma w niej egoizmu, żyje tylko Tobą, a mnie dręczyłyby wątpliwości, wciągnęłabym Pana w życie nudne, nieszlachetne, skażone moim błędem. Felicyta jest wolna, robi, co jej się podoba, ja zaś jestem niewolnicą, Wreszcie zapominasz Pan, że kocham i że jestem kochana. Sytuacja moja winna mnie chronić od jakichkolwiek hołdów. Kochać mnie lub oświadczać mi się z miłością – to zniewaga. Czyż nowy błąd nie postawiłby mnie w szeregu najgorszych stworzeń płci mojej? Jakżeż Pan, taki młody i tak bardzo subtelny, mogłeś zmusić mnie do mówienia rzeczy, które wychodząc z ust rozdzierają serce? Wolałam rozgłos nieszczęścia, od którego nie masz odwołania, niż hańbę ustawicznej zdrady, wolałam zatracić siebie niżli moją uczciwość, ale w oczach wielu osób, na których estymie mi zależy, pozostałam nadal wielką: zmiana zepchnęłaby mnie o parę stopni niżej. Świat jest jeszcze pobłażliwy dla kobiet, które swoje nielegalne szczęście okrywają płaszczem stałości, lecz jest bezlitosny, gdy występek stanie się nawykiem. Nie masz we mnie ani wzdargy, ani gniewu, odpowiadam Panu otwarcie i z prostotą. Młodego, nie obeznanego ze światem, poniosła Cię fantazja i nie jesteś zdolny, jak wszyscy ludzie wiodący czyste życie, snuć refleksyj, które nasuwa nieszczęście. Powiem więcej. Byłabym najbardziej poniżaną z kobiet światowych, tailabym przeraźliwą nędzę, zdradzano by mnie, słowem, byłabym porzucona, a dziś to wszystko nie jest. Bóg łaskaw, możliwe; ale gdyby niebo zechciało się zemścić, pokarałoby mnie tak właśnie i wtedy raz na zawsze zniknęłabym dla świata. Tak, miałabym wtedy odwagę zabić mężczyznę, który mówiłby mi o miłości, gdyby w tym drugim przypadku mężczyzna zdołał jeszcze dotrzeć do mnie. Oto dno mojej myśli. Toteż może winnam podziękować Panu, żeś do mnie napisał. Po liście Pańskim, a zwłaszcza po mojej odpowiedzi, będę mogła przy Panu czuć się swobodnie, jak nakazuje mi mój charakter i jak Pan sobie życzysz. Nie mówię o gorzkiej śmieszności, jaka prześladowałaby mnie, gdyby oczy moje przestały wyrażać uczucia, na które Pan się żalisz. Okradłszy Felicytę po raz wtóry, okazałabym słabość, na którą kobieta nie decyduje się dwa razy. Choćbym kochała Pana do szaleństwa, choćbym w zaślepieniu zapomniała o wszystkim, Felicyta stałaby mi wciąż przed oczyma! Jej miłość dla Pana to jedna z owych barier za wysokich, żeby zdołała przejść nad nią jakakolwiek potęga, i nie przefrunąłby jej nawet anioł, tylko demon nie cofa się przed tak haniebną zdradą. Istnieje tu, mój chłopcze, cały świat argumentów dostępnych jedynie szlachetnym i subtelnym kobietom, argumentów, których nie pojmie ani Pan, ani żaden w ogóle mężczyzna, choćby nawet był tak podobny kobiecie, jak Ty jesteś obecnie. Na przykładzie swojej matki widzisz Pan przecież, jaką winna być w życiu kobieta; jest czysta i bez skazy, szlachetnie wypełnia swoje przeznaczenie; od tego, com się o niej dowiadywała, wilgotniały moje oczy, a w sercu chwilami rodziła się zazdrość. I ja mogłam być taka! Taką, Kaliście, winna być Twoja żona i takim winno być Twoje życie. Nie odeślę Cię już, jak to uczyniłam złośliwie, do tej małej Szarlotty, która zapewne szybko by Cię znudziła; odesłałabym Pana do jakiejś boskiej dziewczyny, godnej Ciebie. Gdybym została Twoją, zwichnęłabym Ci życie. Utraciłbyś wiarę w stałość albo zechciałbyś mi poświęcić całe swoje istnienie; jestem otwarta – wzięłabym je, zawiodłabym Cię nie wiem dokąd, z dala od świata, uczyniłabym Cię bardzo nieszczęśliwym, jestem zazdrosna, potrafię dostrzegać potwory w kropli wody; szarpia mnie nędze, z którymi wiele kobiet dochodzi do ładu; zadałaby mi cios śmiertelny myśl bezlitosna, której nie Pan byłby źródłem, lecz ja sama. Jeśli w dziesiątym roku szczęścia mężczyzna przestanie być równie uważający i delikatny jak w wilię owego dnia, kiedy zebrał, o łaskę, wyda mi się niegodziwcem i poniży

mnie w moich własnych oczach! Podobny kochanek nie wierzy już w Amadisów i Cyrusów⁵² z moich marzeń. Dziś młodość czystą kładzie się między bajki, toteż w Pańskich pragnieniach widzę tylko ambicję pożądań, które nie wiedzą jeszcze, czy zostaną nasycone. Nie mam jeszcze czterdziestu lat, nie umiem więc ugiąć dumy przed autorytetem doświadczenia, nie znam owej miłości czyniącej nas pokornymi, słowem, charakter mój jest za młody, aby nie był nieznośny. Nie mogę odpowiadać za swoje humory, a wdzięk mój to sprawa całkiem zewnętrzna. Może wycierpiałam dotąd za mało, żeby zachowywać się pobłażliwie i być pełną absolutnej tkliwości, należnej od nas okrutnym szalbierstwom. Szczęście jest na swój sposób impertynenckie, a ja jestem wielką impertynentką. Felicjta będzie zawsze Pańską oddaną niewolnicą, a ja byłabym zawsze Pańskim nierozumnym tyranem. A zresztą czy dobry anioł nie zesłał Panu Felicjcie, aby kierowała Tobą aż do momentu, gdy zaczniesz przeznaczone Ci życie, od którego nie powinienes odstępować? Znam Felicjcie! Jej tkliwość jest niewyczerpana; obca może powabom naszej płci, zapłodnią wszystko swoją siłą, odznacza się owym geniuszem stałości i szlachetną, nieustraszoną odwagą, które każą jej ze wszystkim się godzić. Ożeni Pana, cierpiąc najokrutniejszą boleść, znajdzie Ci drugą Beatrycę, jeśli Beatrycze odpowiada jej poglądom na kobiety i Twoim marzeniom, usunie wszelkie przeszkody, jakie mógłbyś napotkać w przyszłości. Sprzeda swoje place w Paryżu, spłaci Pańskich dzierżawców w Bretanii, zapisze Ci swój majątek, bo czyż Pan już nie jesteś jej przybranym synem? A ja cóż, niestety, mogę zrobić dla Pańskiego szczęścia? Nic. Nie zdradzaj więc bezgranicznej miłości, która znalazła upust w obowiązkach macierzyńskich. Uważam bowiem, że nasza Felicjta jest bardzo szczęśliwa... Zachwył, jaki budzi w Panu biedna Beatrix, to jeden z grzeszków, dla których kobiety w wieku Felicjty są pełne pobłażliwości. Jeśli nie wątpię, że są kochane, wybaczą niewierność z uwagi na stałość, odnosić zaś triumfy nad młodością rywalek – to dla nich najżywsza rozkosz. Felicjta góruje nad ogółem kobiet, słowa te nie jej więc dotyczą; powiedziała to jedynie dlatego, żeby uspokoić Pańskie sumienie. Poznałam na wskroś Felicjcie, to jedna z najwspanialszych postaci naszej epoki. Jest mądra i dobra, dwie zalety niemal nie do pogodzenia u kobiet; jest szlachetna i prosta, dwa inne wielkie przymioty, rzadko chodzące w parze. Dostrzegłam w głębi jej serca niezawodne skarby, wydaje się, że to dla niej Dante stworzył w swoim „Raju” piękną strofę o wieczystym szczęściu, którą jednego razu wyjaśniała Panu wieczorem, strofę zakończoną słowami: „Senza brama sicura ricchezza”⁵³. Mówiła mi kiedyś o swoich losach, opowiadała o swoim życiu, dowodząc, że miłość, ów przedmiot naszych dążeń i marzeń, umykała jej zawsze. Odpowiedziałam, że wykazała mi chyba, jak trudno dobierać i łączyć to, co szlachetne: oto zapewne przyczyna wielu naszych nieszczęść. Bo i Pan posiadasz jedną z owych dusz anielskich i nigdy chyba me spotka ona swojej siostry. Felicjta uchroni Cię, drogie dziecko, przed tym nieszczęściem, znalazłszy Ci, choćby miała to przyplacić życiem, dziewczynę, z którą stworzysz szczęśliwe stadło.

Wyciągam do Pana przyjazną rękę. Polegaj nie na swoim sercu, lecz na rozsądku, a wtedy będziemy się widywać jak brat i siostra – i skończmy na tym naszą korespondencję, bo przesyłanie listów z Touches do Guérande to rzecz co najmniej uciezka.

BEATRIX DE CASTERAN

Baronowa, poruszona do najwyższego stopnia zarówno szczegółami, jak przebiegiem amorów syna z piękną panią de Rochefide, nie wytrzymała w komnacie nad haftem: Kalist jawił jej się w każdym ściegu. Wstała z fotela i podeszła doń, pokorna i zuchwała zarazem. Miała w tej chwili wdzięk kurtyzany pragnącej uzyskać jakieś ustępstwo.

– No i cóż? – ozwała się drżąc, ale nie odważyła się poprosić wyraźnie o list.

⁵² Amadis z Galii – bohater rycerskich romansów, wzór stałego i czulego kochanka; Cyrus – postać z romansu panny de Scudéry (1607-1701), pt. „Wielki Cyrus”.

⁵³ Senza brama... (wł.) – gdy brak chęci, bezpieczne bogactwo.

Młodzieniec pokazał pismo i przeczytał je głośno. Obie te piękne dusze, naiwne i proste, nie dopatrzyły się w owej chytrej a perfidnej odpowiedzi żadnego fortelu ani pułapki, jakimi naszpikowała ją margrabina.

– To kobieta szlachetna i przezacna! – rzekła baronowa i oko jej zwilgotniało. – Będę się modlić za nią. Nie przypuszczałam, aby kobieta, która opuściła męża i dziecko, mogła zachować tyle cnót! Zasluguje na przebaczenie.

– Czyż nie mam więc racji, że ją wielbię? – zagadnął Kalist.

– Ale dokąd cię ta miłość zaprowadzi? – zmartwiła się baronowa. – Ach, moje dziecko, jak niebezpieczne są kobiety o szlachetnych uczuciach! Mniej trzeba się obawiać złych kobiet. Ożeń się z Szarlota, a wykupisz w dwóch trzecich majątek rodziny. Panna de Pen-Hoël, sprzedawszy kilka folwarków, osiągnie ten wielki cel, a że poczciwa to osoba, zajmie się melioracją twoich włości. Zostawisz w ten sposób swoim dzieciom piękne nazwisko i piękną fortunę...

– Zapomnieć o Beatryczy? – powiedział głucho Kalist i wbił wzrok w ziemię.

Zostawiwszy baronową poszedł do swojego pokoju, by odpisać margrabinie. List pani de Rochefide zapadł głęboko w serce pani du Guénic – chciała wiedzieć, na czym właściwie opierają się nadzieje Kalista. O tej mniej więcej porze kawaler du Halga przechadzał się ze swoją suczką po plantach; baronowa, pewna, że tam go spotka, włożyła kapelusz, narzuciła szal i wyszła. Ujrząc w Guérande panią du Guénic poza kościołem lub nie na jednej z dwóch ślicznych dróg przeznaczonych na spacery świąteczne, gdzie towarzyszyła mężowi i pannie de Pen-Hoël, było aż takim ewenementem, że po dwóch godzinach mieszkańcy podawali sobie następującą wiadomość:

– Pani du Guénic wyszła dziś na miasto, widział ją pan?

Toteż kiedy nowina dotarła niebawem do uszu panny de Pen-Hoël, ciotka rzekła do siostrzenicy:

– Jakieś nadzwyczajności muszą się dziać u du Guéników.

– Kalist kocha się na zabój w pięknej margrabinie de Rochefide – odpowiedziała Szarlota – powinnam spakować manatki i wrócić do Nantes.

W tymże momencie kawaler du Halga, zdziwiony, że szuka go baronowa, spuścił Tysbe ze smyczy, uznawszy, iż nie potrafi rozerwać się na dwoje.

– Czy pan kawaler uprawiał kiedyś miłostki? – zagadnęła baronowa.

Kapitan du Halga wyprostował się ruchem raczej chełpliwym. Baronowa, nic nie mówiąc o synu i margrabinie, zapytała, streściwszy mu ów list miłosny, jaki sens mogła zawierać podobna odpowiedź. Kawaler niuchał wiatr i głąskał się po brodzie; słuchając wykrzywił się z lekka, wreszcie spojrzął na baronową chytrze i uważnie.

– Kiedy koń rasowy ma wziąć przeszkodę, ogląda ją najpierw i obwąchuje – powiedział. – Kalist będzie najszcześniejszym bałamutem na świecie.

– Ciszej! – złąkała się baronowa.

– Ja tam nic nie rozgłoszę. Dawniej tym się wyłącznie zajmowałem – oświadczył stary szlachcic. – Ładna pogoda – podjął po chwili – wiatr północno-zachodni. Do licha! Gdyby „Belle-Poule” chwyciła była taki wiatr w dniu, kiedy... Ale – tu zmienił temat – dzwoni mi w uszach, w żebrach łamie, będzie odmiana. Jak pani wiadomo, „Belle-Poule” tak się wślawiła w boju, że kobiety nosiły potem czepki zwane „Belle-Poule”. Pani de Kergarouët pokazała się pierwsza w Operze w takim czepku. „Zdobywcy masz pani czepek” – powiedziałem wtedy. Słowa te powtarzano we wszystkich łóżach.

Baronowa słuchała uprzejmie kapitana, który, jako stary galant, odprowadził ją aż pod dom, zaniedbując Tysbe. Kawaler nie zdołał dociec sekretu urodzenia suczki. Wiadomo tylko, że była wnuczką uroczej Tysbe, suczki admirałowej de Kergarouët, pierwszej żony hrabiego de Kergarouët. Owa Tysbe dożyła lat osiemnastu. Baronowa pobiegła lekko do Kalista, radosna, jak gdyby zakochała się na jego rachunek. Pokój był pusty – Fanny dostrzegła na

stole złożony list, zaadresowany do pani de Rochefide, lecz jeszcze nie zapieczętowany. Przemozna ciekawość pchnęła zaniepokojoną matkę do przeczytania tej odpowiedzi. Niedyskrecja surowo ukarana: Fanny, przejęta straszliwym bólem, ujrzała przepaść, w którą miłość wciągała jej syna.

KALIST DO BEATRYCZY

I cóż mnie w naszych czasach, droga Beatryczo, obchodzi ród Guéników? Na imię mi Beatrix, szczęście Beatryczy jest moim szczęściem, jej życie – moim życiem, a cała moja fortuna leży w jej sercu. Włości nasze, zastawione od lat dwustu, mogą czekać drugich lat dwieście; są w ręku naszych dzierżawców, nikt nie może ich zabrać. Widywać Panią, kochać – oto moja religia. Ożenić się? Pomysł ten wstrząsnął moim sercem. Czyż istnieją dwie Beatrycze? Ożenię się tylko z Tobą, poczekam dwadzieścia lat, jeśli zajdzie potrzeba; jestem młody, a Pani zawsze będziesz piękna. Moja matka to święta, nie powinienem jej sądzić. I nigdy nie kochała! Wiem teraz, ile straciła i jakie poniosła ofiary. Nauczyłaś mnie, Beatryczo, bardziej kochać matkę, ona tylko z Tobą gości w moim sercu, nikogo tam prócz niej nie będzie, oto Twoja jedyna rywalka; powiedziałem przez to chyba, że sprawujesz w nim niepodzielną władzę... Toteż Twoje argumenty nie przekonały mnie bynajmniej. Co zaś do Felicyty, daj mi tylko znak, a poproszę, by oznajmiła Ci, że jej nie kocham; jest matką mojej inteligencji i nic więcej. Kiedym Cię ujrzał, stała się moją siostrą, przyjaciółką, jeśli wolisz, przyjacielem, i nie mamy do siebie żadnych praw oprócz praw przyjaźni. Miałem ją za kobietę, dopóki nie zobaczyłem Ciebie. Ale wykazałaś mi, że Felicyta jest mężczyzną: pływa, poluje, jeździ konno, pali, pije, pisze, analizuje serca i książki, nie zna, co to słabość, kroczy w całej swojej sile, nie ma ani Twoich subtelnych ruchów, ani kroku lekkiego jak lot ptaka, ani głosu pełnego brzmień miłosnych, ani płochliwych spojrzeń, ani wdzięcznej postawy – Kamil Maupin i basta; nie ma w niej nic kobiecego, a w Tobie są wszystkie cechy kobiece, które kocham. Już pierwszego dnia, kiedym Cię ujrzał, wydało mi się, że jesteś przeznaczona dla mnie. Śmieję się z tego uczucia, lecz ono tylko wzrasta i rozłąka nasza byłaby rzeczą potworną; jesteś moją duszą, moim życiem, umiałbym żyć tylko przy Tobie. Pozwól, żebym Cię kochał! Ucieknijmy, skryjemy się z dala od ludzi, w kraju, gdzie nie spotkasz nikogo i gdzie będziesz mogła nosić w sercu tylko mnie i Boga. Moja matka, która pokochała Cię już, przyjedzie do nas po jakimś czasie. W Irlandii są zamki, rodzina mojej matki na pewno wypożyczy mi jeden z nich. Jedźmyż, na miły Bóg! Łódź, marynarze – i dotrzemy tam, nim ktokolwiek się dowie, żeś uciekła od tych ludzi, których tak się boisz! Nie kochano Cię dotąd; uczulem to, odczytując powtórnie Twój list. i chyba odgadł z niego, że gdyby nie istniał żaden ze wspomnianych przez Ciebie argumentów, przystałabyś na moją miłość. Beatryczo, święta miłość zmazuje sprawy przeszłości. Czyż ujrzawszy Cię można myśleć o kim innym? Ach! Kocham Cię tak, że pragnąłbym, abyś dopuściła się jak najgorszej niegodziwości, bo wtedy zdołałbym okazać potęgę mojego uczucia adorując Cię niby najświętszą ze świętych. Powiedziałaś, że miłość moja to dla Ciebie obelga! O Beatryczo, sama w to nie wierzysz! Miłość szlachetnego dziecka, bo tak nazywasz mnie przecie, przyniosłaby zaszczyt królowej. A więc jutro będziemy przechadzać się jak kochankowie pod skałami i nad morzem, będziesz stąpać po piaskach starej Bretanii, by na nowo uświęcić je dla mnie! Daj mi ten dzień szczęścia i tę przelotną jałmużnę. Może to, co niestety nie pozostawi Ci żadnych wspomnień, będzie dla Kalista wiecznym bogactwem...

Baronowa upuściła list nie kończąc czytania. Klękała na krześle i zaniósła cichą modlitwę do Boga, prosząc, by zachował jej synowi rozum, ustrzegł go przed wszelkim szaleństwem, błędem i żeby zawrócił młodzieńca z tej drogi.

– Co tu robisz, mamo? – zagadnął Kalista.

– Modlę się za ciebie– odrzekła, zwracając ku niemu oczy pełne łez. – Popeliłam błąd przeczytawszy ten list. Mój syn oszalał!

– Najśłodszym szaleństwem – odparł młodzieniec, całując matkę.

– Rada bym zobaczyć tę kobietę, moje dziecko.

– Nic łatwiejszego, mamó, jutro wyruszamy do Croisic, przyjdź na molo.

Zapieczętował list i poszedł do Touches. Nic tak mocno nie trwożyło baronowej jak owo uczucie, które siłą instynktu nabrało przenikliwości wytrawnego doświadczenia. Kalist napisał do margrabiny w takim tonie, jakby zasięgał rad u kawalera du Halgi.

Człowiek małoduszny i płaski doznaje największej może radości wywiódłszy w pole albo chwyciwszy w pułapkę człowieka wielkodusznego. Beatrix wiedziała, że daleko jej do Felicyty. Niższość ta odnosiła się nie tylko do zespołu cech duchowych zwanego *talentem*, lecz i do spraw serca, zwanych *uczuciem*. Kiedy Kalist pędził do Touches na skrzydłach, jakich nadzieja używa pierwszej miłości, margrabina radowała się niepomiernie, że kocha ją ten uroczy młodzieniec. Nie pragnąc jednak ponosić współwiny za ów afekt, tłumila z całym heroizmem to – jak powiadają Włosi – *capriccio*, sądząc, że dorównuje przyjaciółce. Była szczęśliwa, iż może poświęcić coś dla niej. Wreszcie różne próżnostki właściwe kobiecie francuskiej, a składające się na słynną kokieterię, z której wywodzi ona swoją wyższość, doznawały u pani de Rochefide kontentacji miłej i pełnej; wystawiona na tysiączne pokusy, opierała się im dzielnie, toteż cnota wyśpiewywała jej nad uchem hymn pochwalny. Obie damy, z pozoru rozleniwione, leżały na sofie w owym gustownym saloniku, gdzie wszelkie szczegóły harmonizowały ze sobą, wśród kwiatów i przy otwartym oknie, ustał bowiem wiatr północny. Widziały stąd słone jezioro, na którym upajająca bryza południowa zapalała migotliwe iskierki, widziały złoty piasek prażony słońcem. W duszach ich gościł niepokój tak głęboki, jak spokojną była natura – lecz jak i natura rozpalony. Miażdżona między trybami maszyny, którą puściła w ruch, Felicyta musiała czuwać nad sobą, tyle znakomitej chytrkości rozwijała jej nieprzyjazna przyjaciółka, schwytana przez nią do klatki; aby więc nie zdradzić swojej tajemnicy, kontemplowała wciąż w milczeniu naturę, zwodziła własną boleść, doszukując się sensu w gwiazd obrotach, i na wyniosłym pustkowiu niebios odnajdowała Boga. Jeśli niedowiarek raz Boga znajdzie, pograża się w katolicyzmie absolutnym, który jako system nie ma ani jednej luki. Rankiem Felicyta ukazała margrabinie czoło skąpane jeszcze blaskiem poszukiwań, na których strawiła noc pełną westchnień. Kalist bez przerwy stał przed jej oczyma, niby obraz niebiański. Poświęcała się dla tego pięknego młodzieńca, widząc w nim anioła stróża. Czyż to nie on poprowadził ją w górne rejony, gdzie pod ciężarem niepojętego ogromu ustaje wszelkie cierpienie? A jednak zaniepokoiła się triumfującą miną Beatryczy. Kobieta, zyskawszy nad drugą kobietą przewagę tego rodzaju, zawsze się zdradzi, choć usiłuje nałożyć maskę. Trudno o większą osobliwość niż ton cichy pojedynków dwóch przyjaciółek: jedna kryła przed drugą swoją tajemnicę, jedna uważała, że druga zawdzięcza jej nieznaną ofiarę. Kalist przyszedł z listem zatkniętym za rękawiczkę, gotów go wsunąć w dłoń Beatryczy. Felicyta, spostrzegłszy wybornie odmianę, jaka zaszła w zachowaniu przyjaciółki, udawała, że nie patrzy na nią, obserwując ją w lustrze od momentu, gdy zjawił się Kalist. Na tym właśnie potykają się wszystkie kobiety. Najinteligentniejsza i najgłupsza, najszczerza i najfałszywsza nie panuje wtedy nad swoim sekretem; w momencie tym staje się on jasny jak słońce w oczach innej kobiety. Nadmierna powściągliwość lub nadmierna swoboda, spojrzenie otwarte i świetliste, tajemnicze opuszczenie powiek, wszystko zdradzi wtedy afekt najtrudniejszy do ukrycia, w obojętności bowiem istnieje coś tak doskonale zimnego, że nigdy pozorować jej niesposób. Kobiety mają geniusz odcieni, ale że szafują nimi zbyt hojnie, każdy z nich potrafimy rozeznąć; w takim wypadku kobieta ogarnia wzrokiem rywalkę od stóp do głów, odgadnie najlżejsze drgnienie nogi pod suknią, najdrobniejszy skręt talii, przenika sens tego, co mężczyźnie wyda się nic nie znaczącym. Dwie kobiety obserwujące się wzajem odgrywają najświetniejsze sceny z komedii, jakie oglądać nam się zdarza.

„Kalist strzelił baka” – pomyślała Felicjta zauważywszy u obojga skonfundowaną minę ludzi, co doszli do porozumienia.

Margrabina nie była ani sztywna, ani też nie okazywała fałszywej obojętności: spoglądała na Kalistę jak na swoją własność. Zachowanie Bretończyka nie budziło już jakichkolwiek wątpliwości: czerwił się niczym prawdziwy winowajca, lecz był to rumieniec człowieka szczęśliwego. Przygotował wszystko na jutrzejszą wycieczkę.

– To stanowczo jedziesz, moja droga? – zagadnęła Felicjta.

– Tak – odparła Beatrix.

– A pan skąd o tym wiedziałeś? – zwróciła się panna des Touches do Kalisty.

– Właściwie to miałem zapytać – odrzekł, bo spojrzenie, jakie przesłała mu pani de Rochefide, powiadomiło go, iż margrabina nie życzy sobie, aby przyjaciółka jej mogła domyślić się czegokolwiek na temat ich korespondencji.

„Porozumiewają się już – pomyślała Felicjta dostrzegłszy to spojrzenie, gdyż umiała niemal patrzeć za siebie. – Wszystko skończone, mam już się tylko usunąć.”

Straszliwie ciężka to była myśl – i Felicjta raptem jak gdyby pomizerniała. Margrabina zadrżała.

– Co ci się stało, moja droga? – spytała.

– Nic. Tak więc, panie Kaliście, wyślesz moje konie i swoje. Będą czekać za Croisic, abyśmy mogli powrócić wierzchem przez Batz. Zjemy śniadanie w Croisic, a obiad w Touches. Zajmiesz się pan przewoźnikami. Wyruszymy o wpół do dziewiątej rano. Zobaczymy przepiękne pejzaże! – zwróciła się do Beatrixy. – Odwiedzimy Cambremera, człowieka, który pokutuje na skale, z umysłu bowiem zabił swojego syna. O, bo jesteś w kraju pierwotnym, gdzie mężczyznom obce są pospolite uczucia. Kalist opowie ci tę historię.

Poszła do swojego pokoju – nie mogła złapać tchu. Młodzieniec oddał list i podążył za Felicjtą.

– Kaliście, jak sądzę, zyskałeś wzajemność, ale ukrywasz przede mną jakąś eskapadę i na pewno przekroczyłeś moje rozkazy, nieprawdaż?

Kocha mnie! – rzekł, padając na fotel.

Felicjta wyrzała przez uchylone drzwi. Beatrix gdzieś znikła: fakt osobliwy. Kobieta nigdy nie wychodzi z pokoju, gdzie znajduje się jej ukochany, nie będąc pewną, czy go jeszcze zobaczy – chyba że coś knuje. Panna des Touches pomyślała więc: „Czyżby miała list od niego?” – nie sądziła jednak, by naiwny Bretończyk ważył się na podobne zuchwalstwo.

– Jeśliś okazał mi nieposłuszeństwo, wszystko przepadnie z twojej winy – rzekła poważnie. – A teraz idź i przygotuj swoje jutrzejsze uciechy.

Słowom tym towarzyszył gest, któremu Kalist nie zdołał się sprzeciwić: istnieje niemy ból o despotycznej wymowie. Kalista ogarnęły obawy, kiedy podążał do Croisic wśród piasków i salin, ażeby nająć przewoźników. Słowa Felicjty były nacechowane jakąś fatalnością świadcząca o jasnowidzącym wzroku matki. Kiedy po czterech godzinach wrócił zmęczony, licząc na obiad w Touches, pokojówka Felicjty, strażująca specjalnie u drzwi, oznajmiła, że obie damy nie będą mogły przyjąć go dzisiejszego popołudnia. A gdy zdumiony młodzieniec próbował wziąć ją na spytki, uciekła zamknawszy mu drzwi przed nosem. Na dzwonnicy w Guérande wybiła szósta. Kalist wrócił do domu, zawołał o obiad, a potem, medytując posepnie, grał w pamfila. Te ciągle odmiany chwil szczęśliwych w nieszczęśliwe, całkowita niemal pewność, że jest kochany – i unicestwiane nadzieje łamały jego młodą duszę, co rozpostarłszy skrzydła wzbijała się pod niebo tak wysokie, iż upadek musiał być straszny.

– Co ci to, mój Kalistku? – szepnęła mu matka na ucho.

– Nic – odrzekł, spoglądając na nią oczyma, w których zamarło światło duszy i ogień miłości.

Nie nadzieja, lecz rozpacz jest miarą naszych ambicji. Pięknym poematom nadziei oddajemy się sekretnie, a ból ukazuje się bez osłony.

– Nie jesteś dziś miły, Kalistku – ozwała się Szarlota, gdy na nic się zdały jej zalotne i przekorne minki, które u prowincjonalnej panny wyradzają się zawsze w namolność.

– Zmęczyłem się – odrzekł i wstał, życząc wszystkim dobrej nocy.

– Kalist bardzo się zmienił – zauważyła panna de Pen-Hoël.

– Bo my nie mamy pięknych sukien przybranych koronką, nie poruszamy rękawami o tak, nie przybieramy tak efektownej pozy, nie umiemy spoglądać z ukosa i kręcić głową – mówiła Szarlota, naśladowując przeróżne miny, pozy i spojrzenia pani de Rochefide. – Nie mówimy cieniutko, nie pokaszujemy interesująco i dyskretnie e h e ! e h e ! : kaszelek, jakby wzdychało widmo; na nieszczęście jesteśmy zdrowe jak ryby i nie kokietując kochamy naszych chłopców; spoglądając na nich nie przesyłamy kłujących strzał i nie śledzimy ich obłudnym okiem. Pochylając głowę nie przypominamy wierzby płaczącej i nie podnosimy jej przymilnym ruchem, ot takim!

Mimika siostrzenicy rozśmieszyła pannę de Pen-Hoël; lecz ani kawaler, ani baron nie zrozumieli tej prowincjonalnej satyry wymierzonej w Paryż.

– Margrabina de Rochefide to jednak osoba bardzo piękna – rzekła stara panna.

– Mój drogi – powiedziała baronowa do męża – wiadomo mi, że margrabina wybiera się jutro do Croisic; udajmyż się tam na przechadzkę, bardzo bym chciała ją spotkać.

Kiedy Kalist głowił się, nie mogąc dociec, dlaczego zamknięto mu drzwi przed nosem, między przyjaciółkami rozgrywała się scena, która miała wpłynąć na jutrzejsze wypadki. List młodzieńca nappełnił serce margrabiny nieznanym wzruszeniem. Kobieta nie zawsze bywa przedmiotem miłości tak młodej, naiwnej, szczerzej, absolutnej jak uczucie tego chłopaka. Beatrix dotąd bardziej kochała, niż ją kochano. Była niewolnicą, a teraz odczuwała niewytłumaczone pragnienie, by zostać z kolei tyranem. Wśród radości, z jaką czytała i odczytywała list młodzieńca, dźgnęła ją myśl okrutna. Co Felicyna i Kalist robili sam na sam po odjeździe Klaudiusza? Jeśli Kalist nie kochał Felicyny i Felicyna wiedziała o tym, na czymże spędzali przedpołudnia? Pamięć porównywała zjadliwie tę uwagę z rozmaitymi odezwaniami się Felicyny. Powiedział-byś, że roześmiany diabeł ukazał w magicznym zwierciadle wizerunek bohaterskiej panny des Touches, przydając doń pewne spojrzenia i gesty, aby ostatecznie oświecić Beatrycę. Nie dorównała Felicynie – Felicyna ją zmiażdżyła; nie wyprowadziła jej w pole – to ona ją zwiodła; była tylko przyjemną zabawką, którą Felicyna chciała dać swojemu dziecku, darzonemu afektem niezwykłym i pozbawionym wulgarności. Odkrycie to musiało razić niby piorun kobietę taką jak Beatrix. Rozpatrzyła dokładnie historię ubiegłego tygodnia. W jeden moment rola Felicyny i jej własna rozwinęła się jak wstęga: panna des Touches osobliwie upodobała margrabinę. W przyływie zazdrosnej nienawiści była skłonna posądzić Felicynę o chęć wywarcia zemsty na Contim. Kto wie, czy cała przeszłość dwóch lat nie oddziaływała na rozwój wypadków tych dwóch tygodni. Folgując tak nieufności, supozycjom i gniewom, Beatrix już nie hamowała się wcale; chodziła po swoich pokojach miotana dusznym niepokojem, to znów przysiadając, usiłowała powziąć decyzję; nic jednak nie wymyśliła aż do obiadu i, nie przebrawszy się, zjawiła się w jadalni. Felicyna odgadła wszystko na sam widok wchodzącej rywalki. Beatrix była w negliżu. Twarz zimna i zamknięta zamianowała dla tak świetnego obserwatora jak Kamil Maupin wrogość rozgoryczonego serca. Felicyna wyszła i natychmiast wydała rozkaz, który tak zdziwił Kalistę; pomyślała, że gdyby naiwny Bretończyk, zakochany do szaleństwa, nadszedł wśród waśni, nigdy już może nie ujrzałby margrabiny, zniweczywszy przyszłość swojego uczucia jakąś głupią a szczerą uwagą; wolała, żeby ten pojedynek oszustw nie miał świadka. Należało wykluczyć wszelką pomoc – Beatrix musiała być zdana na jej łaskę i niełaskę. Felicyna znała oschłość tej duszy, małość tej wielkiej pychy, którą tak trafnie nazwała uporem. Obiad był posepny. Obie kobiety cechowała zbyt wielka inteligencja i smak, aby wobec służby wszcząć zasadniczą rozmowę lub narazić się, by służba podsłuchiwała pode drzwiami. Felicyna była dobra i łagodna, bo czuła swoją wyższość! Margrabina była twarda i kaśliwa, wiedząc, że gospodyni igra z nią

jak z dzieckiem. Przy stole toczył się bój spojrzeń, gestów, półsłów, całkiem niezrozumiałych dla służby, a które zwiastowały gwałtowną burzę. Kiedy wracały na górę, Felicjta podała złośliwie ramię margrabinie, która udając, że nie dostrzega gestu przyjaciółki, pomknęła sama po schodach. Gdy podano kawę, panna des Touches rzekła do kamerdynera: – Chcemy zostać same! – rzucając tym hasło do walki.

– Romanse, które wprowadzasz w czyn, moja droga, są nieco niebezpieczniejsze od tych, które piszesz – ozwała się margrabina.

– Mają jednak wielką zaletę – odrzekła Felicjta, biorąc papierosa.

– Jakąż to?

– Nie wydaje się ich, mój aniele.

– A czy z tego, w którym mnie umieściłaś, będzie książka?

– Nic mnie nie korci, ażeby zostać Edypem: masz dowcip i urodę sfinks, wiem to, daj więc pokój zagadkom i mów jasno, moja droga.

– Kiedy chcąc uszczęśliwić mężczyzn, bawić ich, podobać im się, rozpraszać ich smutki, wzywamy diabła na pomoc...

– To mężczyźni wyrzucają nam później nasze wysiłki i próby, sądząc, że podszeptał nam je geniusz deprawacji – dokończyła Felicjta, odkładając papierosa.

– Zapominają o miłości, która, poniósłszy nas, usprawiedliwia nasze wybryki, bo do czegoż byśmy się posunęły!... Ale są wtedy, jak mężczyznom przystoi, niewdzięczni i niesprawiedliwi – podjęła Beatrix. – Kobiety, znając się między sobą, wiedzą, jak bardzo w każdej okoliczności postawa ich jest dumna, szlachetna i, powiedzmy to, cnotliwa. Ale, Felicjto, przekonałam się właśnie o prawdzie krytyki, na którą żalisz się czasem. Tak, moja droga, ty masz w sobie coś z mężczyzny, prowadzisz się jak mężczyzna, nie uznajesz wędzidła, a jeśli nawet nie masz wszystkich męskich atutów, umysł twój jest męski i gardzisz nami jak mężczyzna. Nie mam powodu, moja droga, być kontentą z ciebie i jestem zbyt otwarta, żeby to skrywać. Nikt już chyba nie zada mi rany tak głębokiej jak ta, od której cierpię. Nie zawsze byłaś w miłości kobietą, lecz powetowałaś to sobie w zemście. Trzeba było genialnej kobiety, żeby znaleźć nasz punkt najczulszy; mam na myśli Kalista, moja droga, a także s z e l m o - s t w a – oto właściwe słowa! – jakie wymierzyłaś przeciwko mnie. Dokądże to zaszedłeś, Kamilu Maupin, i w jakiej intencji?

– Wciąż sfinks, i to coraz bardziej tajemniczy! – uśmiechnęła się Felicjta.

– Chciałabyś, żebym narzucała się Kalistowi; za młoda jeszcze jestem na takie sposoby. Dla mnie miłość jest miłością, towarzyszy jej okrutna zazdrość i absolutna wola. Nie jestem autorką, nie potrafię tedy dostrzegać zamysłu w uczuciach...

– A czy sądzisz, że potrafiłabyś kochać głupio? – zagadnęła Felicjta. – Uspokój się, masz jeszcze dość inteligencji. Oczerniasz się, moja droga: jesteś na tyle zimna, że rozum twój będzie zawsze rozpatrywał znakomite wzloty twojego serca.

Margrabina zaczerwieniła się ugodzona tą strzałą; obrzuciła Felicjtę spojrzeniem pełnym nienawiści, pełnym jadu – i znalazła, nie trując się zbytnio w swoim kołczanie strzały najostrzejsze. Felicjta wysłuchiwała z zimną krwią, paląc papierosa za papierosem, owej tyrady wściekłej i tryskającej obelgami tak kaśliwymi, że niesposób jej tu przytaczać. Beatrix, porirytowana spokojem przeciwniczki, wyszukiwała najobrzydliwsze przytyki do lat, jakie osiągnęła panna des Touches.

– I to wszystko? – zagadnęła Felicjta, puszczając kłąb dymu. – Kochasz Kalista czy nie?

– Z pewnością nie.

– Tym lepiej. Bo ja go kocham, i to tak, że nie mam chwili spokoju. Może to z jego strony tylko kaprys, jesteś najrozkoszniejszą blondynką pod słońcem, a jam czarna jak kret; jesteś wysoka, smukła, a moja talia ma w sobie przesadną godność; wreszcie jesteś młoda! – oto wielkie słowo, i nie zaoszczędziłaś go dla mnie. Nadużyłaś swoich powabów kobiecych, nie licząc się ze mną, podobnie jak paszkwilancka gazetka nadużywa żartu. Zrobiłam wszystko,

żeby powstrzymać to, co nadchodzi – rzekła, wznosząc oczy do góry. – Choć jestem niepełną kobietą, jestem ją jeszcze na tyle, moja droga, że rywalka, by mnie zwyciężyć, potrzebuje mojej pomocy... (Margrabinę ugodziły w samo serce te okrutne słowa wypowiedziane tonem jak najniewinniejszym). Bierzesz mnie za kobietę bardzo głupią, myśląc o mnie to, co Kalist chciałby wmówić w ciebie. Nie jestem ani tak wielka, ani tak mała, jestem kobietą, i to bardzo kobiecą. Porzuć te fomy i podaj mi rękę – tu chwyciła rękę Beatryczy. – Nie kochasz Kalista, tak wygląda prawda, powiedz... No, więc nie przejmuj się wcale: bądź jutro dlań nieprzystępna, chłodna i surowa, on zaś podda się po kłótni ze mną, a zwłaszcza gdy się pojednamy, bom nie wyczerpała jeszcze zapasów naszego arsenału, a tak czy inaczej Rozkosz zwycięża zawsze Pożądanie. Lecz Kalist to Bretończyk. Jeśli wytrwa w zalotach do ciebie, powiedzcie mi to otwarcie, a wyślę was sześć mil pod Paryż, do wiejskiego domeczku będącego moją własnością; nie zbraknie wam żadnych wygod, a i Conti będzie mógł was odwiedzać. Niechże Kalist mnie szkaluje! To i cóż? Mój Boże, najczystsza miłość kłamie parę razy na dzień i te oszustwa świadczą o jej sile.

Felicyta miała w tej chwili minę tak dumną i chłodną, że margrabina zaniepokoiła się i złękła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Felicyta zadała jej ostatni cios:

– Jestem ufniejsza i nie tak zgorzkniała jak ty. Nie przypuszczam więc, abyś zamierzała osłonić się rekryminacjami, odpierając atak, od którego kto wie, czy nie zależy moje życie; znasz mnie, nie przeżyłabym utraty Kalista, a prędzej czy później będę musiała go stracić. Kalist kocha mnie zresztą, to wiem.

– Oto co odpowiedział na list, gdzie mówiłam mu tylko o tobie – rzekła Beatrix, podając jej pismo młodzieńca.

Felicyta zagłębiła się w czytaniu; oczy jej zaszyły łzami; rozplakała się, jak płacze każda kobieta przejęta najdotkliwszym bólem.

– O Boże! – westchnęła – kocha ją. A więc umrę niezrozumiana i niekochana.

Znieruchomiała na kilka chwil, z głową wspartą o ramię Beatryczy. Ból to był szczery, otrzymała prosto w trzewia cios podobny, jaki osiągnął baronową du Guénic przy lekturze owego pisma.

– Kochasz go? – spytała, prostując się i spoglądając na Beatrycę. – Czy żywisz dla niego tę beżmierną adorację, która zatriumfuje nad każdą boleścią i jest silniejsza od wzdąrdy, zdrady i pewności, że przestał cię kochać na zawsze? Czy kochasz go dla niego samego i dla samej rozkoszy kochania?

– Droga przyjaciółko – roztkliwiła się margrabina – uspokój się... jutro wyjeżdżam.

– Nie odjeżdżaj, przecież on cię kocha, ja to widzę! Kocham go tak, że wpadłabym w rozpacz widząc, jak cierpi i jak jest nieszczęśliwy. Miałam w związku z nim wiele projektów; ale skoro cię kocha, wszystko skończone.

– Kocham go, Felicyto – wyznała wtedy margrabina z uroczą naiwnością, rumieniąc się przy tym.

– Kochasz go i możesz mu się oprzeć! – zawołała panna des Touches. – Ach! Więc nie kochasz go!

– Nie wiem, jakie nowe cnoty rozbudził we mnie, ale to z pewnością przez niego wstyd mi za siebie – oświadczyła margrabina. – Chciałabym być cnotliwą i wolną, aby poświęcić mu co innego niż resztki mojego serca i te haniebne łańcuchy. Nie chcę losów niepełnych ani dla niego, ani dla siebie.

– O chłodny umyśle: kochać i kalkulować! – zawołała nie bez grozy Felicyta.

– Niech i tak będzie, ale nie chcę zwichnąć mu życia, być mu kamieniem u szyi, stać się wieczystym wyrzutem. Skoro nie mogę być jego żoną, nie będę jego kochanką. On mnie... Nie będziesz się śmiać ze mnie? A więc oczyściła mnie jego prześliczna miłość.

Felicyta obrzuciła margrabinę najdzikszym i najbardziej ponurym spojrzeniem, jakim kiedykolwiek zazdrosna kobieta obrzuciła rywalkę.

– Myślałam, że w tej dziedzinie jestem sama – odrzekła. – Te słowa, Beatryczo, rozdzielają nas na zawsze, nie jesteśmy już przyjaciółkami. Rozpoczynamy straszliwą walkę. Zapowiadam ci z góry: poddasz się lub uciekniesz...

I Felicycja wybiegła do swojego pokoju. Przed oczyma osłupiałej margrabiny mignęła twarz rozwścieczonej lwicy.

– Pojedziesz jutro do Croisic? – spytała Felicycja, uchylając portiery.

– Na pewno. Nie poddam się i nie ucieknę – odparła z pychą Beatrix.

– Wykładam karty na stół: napiszę do Contiego – odparła panna des Touches. Beatrix pobladła, zrobiła się biała jak jej szal gazowy.

– Obie postawiłyśmy tu życie na ostatnią kartę – odpowiedziała Beatrix, nie wiedząc już, co jej uczynić wypada.

Nocą uspokoiły się gwałtowne namiętności, jakie wybuchły w czasie tej sceny. W obu damach rozum przyszedł do głosu, postanowiły grać na perfidną zwłokę, mającą znakomity urok dla większości kobiet; polityka to doskonała wśród mężczyzn i kobiet, nic niewarta wśród samych kobiet. Podczas tej ostatniej burzy panna des Touches usłyszała głos, który zwycięża najnieustraszejszych. Beatrix poszła za radą jurysprudencji światowej, uległa się wzgardy salonów. Ostatnie oszustwo Felicyty, pełne akcentów najokrutniejszej zazdrości, odniosło więc całkowity sukces. Naprawiła błąd Kalista, lecz nowa nieostrożność mogła na zawsze zniweczyć jego nadzieje.

Sierpień dobiegał końca, niebo było przeczyste. Ocean lśnił na horyzoncie – niby któreś z mórz południowych – roztopionym srebrem, przy brzegu igrały drobne fale. Rodzaj migotliwego oparu, jaki dobywają z piasku promienie słoneczne padając pionowo, czynił atmosferę niemal tropikalną. Toteż na rozlewiskach wykwitwały białe goździki soli. Dzielni solarze, ubrani białą, by uchronić się przed skwarem słonecznym, stali od rana na posterunkach, zbrojni w długie grabie, wsparci o białe murki graniczne ulepione z błota, patrząc na tę pracę chemii naturalnej, znaną im od dzieciństwa: inni bawili się z dziećmi, gawędzili z żonami. Celnicy, zielone smoki, kurzyli dziś spokojnie lulki. Było w tym obrazie coś wschodniego – i na pewno paryżanin, raptownie tu przeniesiony, nie uwierzyłby, że jest we Francji. Baronstwo, przybywszy pod pozorem obejrzenia tegorocznych zbiorów soli, zatrzymali się na molo, zachwyceni pejzażem tak cichym, że słyhać było jedynie rytmiczny szum fal. Łodzie pruły wodę, a zielony pas uprawnej ziemi wyglądał tym wdzięczniej, że stanowi on wielką rzadkość na zawsze jałowych brzegach Oceanu.

– A no tak, moi przyjaciele, chciałem jeszcze przed śmiercią zobaczyć saliny Guérande – powiedział baron do solarzy, co zebrali się u wejścia do salin, by go powitać.

– E, bo tam du Guénikowie umrą! – ozwał się jeden z nich.

W tymże momencie towarzystwo z Touches pojawiło się na ścieżce. Margrabina postępowwała przodem sama, za nią Felicycja i Kalist szli pod rękę, o dwadzieścia kroków dalej Gasselina zamykał pochód.

– To moi rodzice – powiedział Kalist do Felicyty.

Margrabina przystanąła. Panią du Guénic wstrząsnęła najgwałtowniejsza odraza na widok Beatryczy, która przecież wystroiła się nader korzystnie: kapelusz włoski przybrany bławatkami z ogromnym rondem, spod którego wymykały się loczki; szarawa suknia z surowego jedwabiu przepasana błękitną powiewającą wstęgą; słowem, księżna przebrana za pasterkę.

„To kobieta bez serca” – pomyślała baronowa.

– Panno Felicyto – ozwał się Kalist – oto moi rodzice. – Następnie zwracając się do baronostwa: – Panna des Touches i pani margrabina de Rochefide, z domu de Castaran, kochany ojciec.

Baron skłonił się panie des Touches. Felicycja skłoniła się baronowej kornie i jakby z wdzięcznością.

„Ta – pomyślała Fanny – szczerze kocha Kalista. Wydaje się dziękować, że go urodziła”.

– Przyszłaś pani, jak i ja, obejrzyć zbiory – rzekł baron do Felicyty – ale masz po temu większe powody, boć to twój majątek.

– Panienska jest tu najbogatszą dziedziczką – oznajmił jeden z solarzy – i niech jej Bóg da zdrowie, bo to do b r a p a n i .

Towarzystwo rozstało się wymieniwszy ukłony.

– Nie dałbym trzydziestu lat tej pannie des Touches – powiedział starzec do żony. – Ładna bestia. I Kalist woli tę margrabinę, tę paryską wywłokę, od przezacnej Bretonki?

– Niestety, tak – westchnęła baronowa.

Łódź oczekiwała przy molo, nasi znajomi zajęli w niej miejsca, nie okazując szczególnej wesołości. Margrabina była sztywna i pełna chłodu. Felicyta zbeształa już Kalista za nieposłuszeństwo, przedstawiając mu przy tym obecną fazę jego spraw sercowych. Kalist, ogarnięty ponurą desperacją, przesyłał Beatryczy spojrzenia, w których miłość i nienawiść walczyły o lepsze. W czasie krótkiej drogi od molo w Guérande do granicy portu Croisic nie padło ani jedno słowo. Tutaj załadowuje się sól. Przynoszą ją kobiety w terynach umieszczonych na głowie, które podtrzymują sposobem kariatyd. Kobiety te chodzą boso, noszą tylko dość krótkie spódnice. Niejedna dozwala beztrudnie powiewać chusteczce przysłaniającej piersi; inne mają na sobie jedynie koszulę i te są najdumniejsze, gdyż kobieta im mniej posiada sukien, tym chętniej popisuje się szlachetnymi a wstydliwymi wdziękami. Na duńskim stateczku kończono właśnie załadunek soli. Przyjazd pięknych dam podniecił ciekawość solarzy; Felicyta, aby jej umknąć, a także wyświadczyć przysługę Kalistowi, pobiegła ku skałom, zostawiając go z Beatryczą sam na sam. Gasselin trzymał się najmniej na dwieście kroków od panicza. Półwysep Croisic obrzeżają od morza granitowe skały o kształtach kapryśnych i tak osobliwych, iż ocenić je zdoła tylko podróżny, co, zwiedziwszy już kawał świata, miał okazję porównywać imponujące pejzaże dzikiej natury. Kto wie, czy skały Croisic nie mają nad podobnymi sobie formacjami tej wyższości, jaką nad innymi wąskimi dolinami przypisujemy dolinie, którą prowadzi droga do macierzystego klasztoru kartuzów. Tak swoistego charakteru nie znajdziesz ani na wybrzeżach Korsyki, zbrojnych w dziwacznie najeżone rafy, ani na wybrzeżach Sardynii, gdzie przyroda stworzyła kształty bogate i przejmujące grozą, ani wśród bazaltowych skał mórz Północy. Fantazja zabawiła się tu komponując nie kończące się arabeski, które zwijają się i rozwijają w najbardziej fantastyczne woluty. Napotkasz tu każdą formę. Imaginacja męczy się zapewne w tej olbrzymiej galerii monstrualnych kształtów, między które, gdy rozszałają się huragany, wślizguje się morze polerując aż do skutku wszelkie chropowatości. Ujrzenie tam pod sklepieniem naturalnym i tak śmiałym, że mogłoby służyć za niedościgły wzór Brunelleschiemu, gdyż największy wysiłek sztuki to zawsze tylko nieporadne naśladowanie dzieł natury, misę wypolerowaną niby marmurowa wanna i wysłaną piaskiem zbitym, miłkim i białym, misę, w której możecie śmiało się kąpać, wypełnia ją bowiem letnia woda, głęboka na cztery stopy. Podziwiacie chłodne zatoczki w cieniu portyków ciosanych grubo, lecz majestatycznych: przypomina się pałac Pittich – inne naśladowanie kaprysów natury. Niezliczone te kształty zaspokoją rojenia i życzenia najbardziej rozkiełznanej wyobraźni. Istnieje tu nawet potężny krzew bukszpanu, a nad oceanem rzadkość to wielka, może i jedyny egzemplarz. Ów bukszpan, największa osobliwość Croisic, bo drzewa nie przyjmują się tam w ogóle, rośnie mniej więcej o pół mili od portu, na najdalszym cyplu wybrzeża. Cypel to granitowy, jakich wiele, tak wysoki, że w czasie najsroższych burz nie zalewa go fala: od południowej jego strony deszcze wymyły tuż przy krawędzi nieckę wystającą na jakieś cztery stopy. W ową szczelinę przypadek, a może człowiek, naniósł urodzajnej ziemi, z której wyrósł bukszpan niski i bujny, dając przytułek rozlicznym ptakom. Wężlaste korzenie wskazują, że krzew liczy sobie co najmniej lat trzysta. Skała pod nim jest jakby wyjąbana. Fale, przypuszczając ustawicznie szturm do tej części wybrzeża, pozostawiają niez-

tarte ślady, unoszą nie wiadomo dokąd odłamki granitu. Morze dociera więc do samych stóp owej iglicy, tworząc tu głębię na przeszło trzydzieści sążni. Wokół podwodne skały, o których świadczą bulgoczące i spienione wiry, opisują jak gdyby ogromny amfiteatr. Trzeba trochę odwagi i zdecydowania, żeby wspiąć się aż na szczyt tego małego Gibraltaru o głowicy niemal kopulastej, skąd poryw wichru może strącić ciekawych do morza lub, rzecz o wiele niebezpieczniejsza, na skały. Gigantyczna to strażnica, podobna do czatowni starego zamku, skąd obserwowano całą okolicę, by uprzedzać ataki wroga; widać z owego cyplu dzwonnice i nieurodzajne pola Croisic, piachy i wydmy zagrażające roli, które wdarły się już na terytorium gminy Batz. Starcy utrzymują, że w pradawnych czasach stał tu zamek warowny. Rybacy łowiący sardynki nadali miano owej skale widocznej z morza w szerokim promieniu; wybaczcie jednak, że zaginęło to słowo bretońskie, trudne zarówno do wymówienia, jak do zapamiętania. Kalist wiódł Beatrycę do punktu, skąd roztacza się cudowny widok, a gdzie granitowe dekoracje budzą podziw nierównie większy, aniżeli wywołują cuda wznoszące się wzdłuż piaszczystej drogi, która prowadzi brzegiem morza. Zbyteczne tłumaczyć, dlaczego Felicjta pobiegła naprzód. Lubowała się w samotności, niby zranione zwierzę. Znikała w grotach, ukazywała się na szczytach, wypląsała z nor kraby, obserwując ich oryginalne obyczaje. Aby nie krępowały jej suknie kobiece, włożyła pantalon z haftowanymi mankiecikami, krótką bluzę i kastorowy kapelusz, a zamiast podróżnej laski wzięła szpicrutę, mając zawsze wysokie mniemanie o swojej zwinności i sile; była w tym stroju sto razy ładniejsza od Beatryczy. Na piersiach skrzyżowała czerwony szalik z chińskiego jedwabiu – tak jak ubiera się dzieci. Margrabina z Kalistem przyglądali się pewien czas, jak przefruwała nad szczytami i przepaściami niby błędny ogień, stawiając czoła niebezpieczeństwu, by zapomnieć o cierpieniu. Przybyła pierwsza na skałę z bukszpanem i, siadłszy w cienistym wgłębieniu, pogrzyła się w zadumie. Cóż może uczynić ze swoją starością kobieta, co tak jak ona wychyliła już puchar sławy, który wszystkie wielkie talenty, zbyt łapczywe, by rozmieniać na drobne głupią kontentację miłości własnej, wypijają duszkiem? Wyznała później, że w tym właśnie miejscu jedna z owych refleksji, wywołana przez drobiazg, przez jeden z owych przypadków stanowiących zapewne głupstwo w oczach ludzi pospolitych, ale które przed wielką duszą otwierają otchłań zadumy, skłoniła ją do czynu, którym zamknęła raz na zawsze swoje życie światowe. Dobyła z kieszeni puzdereczko, w którym miała na wypadek pragnienia pastylki poziome; wzięła kilka z nich i mając je w ustach zauważyła mimo woli, że nie istniejące już poziomki odżywają w swoim zapachu i smaku. Wysnuła stąd wniosek, iż podobnie może być z nami. Ocean roztoczył wtedy przed nią obraz nieskończoności. Nie wyzwolił się od niej żaden wielki umysł, a jeśli wierzy przy tym w nieśmiertelność duszy, dostrzeże jakąś przyszłość religijną. Myśl ta nie odstąpiła jej, kiedy z flakona wachała wodę portugalską. Manewry zmierzające do tego, by pchnąć Beatrycę w ramiona Kalista, wydały jej się wtedy nader małostkowe; uczuła, iż umiera w niej kobieta, a rodzi się istota szlachetna i anielska, dotychczas uwięziona w cielesnej powłoce. Wspaniała umysł, wiedza, erudycja, miłość rzekoma, tylekroć przeżywana, postawiły ją oko w oko z kim? – któż by to powiedział? – z matką płodną, pocieszycielką strapionych, czyli z Kościołem rzymskim, łagodnym dla skruszonych, poetycznym dla poetów, przystępnym dla dzieci, a tajemniczym i głębokim dla umysłów niepokojnych i nieposkromionych, które mogą zawsze się weń zagłębiać i zawsze zaspokoją nienasyconą ciekawość, ustawicznie pobudzaną. Uprzytomniła sobie wybiegi, do jakich zmusił ją Kalist, porównując je z krętymi drogami, które wiją się tu wśród skał. Kalist bez przerwy stał jej przed oczyma, jako piękny wysłannik niebios, boski przewodnik. Zdławiła miłość ziemską w imię miłości niebiańskiej.

Kalist i margrabina szli początkowo w milczeniu. Kiedy jednak Beatrix jęła unosić się nad pięknem Oceanu, jakże różnym od urody Morza Śródziemnego, młodzieniec nie wytrzymał i porównał swoją miłość do tego oceanu, do jego czystości, bezmiaru, głębi i wieczności.

– Lecz obrzeżają go skały – roześmiała się Beatrix.

– Kiedy mówisz tak pani do mnie – odparł, przesyłając jej boskie spojrzenie – wpatruję się w ciebie, zasłuchany w twój głos, i mam cierpliwość aniołów, ale gdy jestem sam, ulitowała-bys się, gdybyś widzieć mnie mogła. Matka płacze wtedy nad moją zgryzotą.

– Posłuchaj, panie Kaliście, trzeba z tym skończyć – odrzekła margrabina, wchodząc znów na piaszczystą drogę. – Może dotarliśmy do jedyne go miejsca sposobnego, by omówić te rzeczy, bom nigdy jeszcze nie widziała natury bardziej harmonizującej z moimi myślami. Poznałam Włochy, gdzie wszystko tchnie miłością, zwiedziłam Szwajcarię: wszystko tam świeże i wyraża prawdziwe szczęście, szczęście pracowite – chociaż ciężar Alp uwieńczonych śniegiem przytłacza zielen, spokojne wody i najweselsze kontury; alem nie widziała dotąd nic, co trafniej odzwierciedlałoby palącą jałowość mojego życia niż ta równinka wysuszona wichrem morskim, nadżarta słonymi oparami, równinka, gdzie nędzne rolnictwo walczy o byt w obliczu bezmiarów Oceanu, w obliczu bretońskich gajów, spomiędzy których wystrzelają wieże pańskiego Guérande. No cóż, Kaliście, ot i Beatrix. Nie przywiązuj się aby do mnie. Kocham cię, lecz nigdy na żaden sposób nie będę twoją, mam bowiem świadomość mojej wewnętrznej pustki. Ach, nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jestem okrutna wobec siebie, mówiąc tak do pana. Nie, nie ujrysz swojego bóstwa, jeśli jest bóstwem, umniejszonego, nie spadnie ono z piedestału, na którym je stawiasz. Brzydę się teraz namiętnością, którą potępia świat i religia, nie chcę, aby dłużej mnie poniżano, i nie chcę taić mojego szczęścia; pozostanę przykuta tam, gdzie jestem, będę nadal pustynią piaszczystą, pozbawioną tej oto zieleni, roślinności i kwiatów.

– A gdyby panią porzucono? – zagadnął Kalist.

– Ha cóż, żebrałabym o łaskę, ukorzyłabym się przed mężczyzną, któremu obraziła. Nigdy jednak nie zaryzykowałabym rzucając się w szczęście, któremu, wiem to, mam obowiązek położyć koniec.

– Koniec! – zawołał Kalist.

Margrabina ucięła dytyramb, jaki zamierzał wygłosić młodzieniec, powtórzywszy „koniec!” takim tonem, że zamilkł rad nierad.

Nakaz ton wywołał w nim ową niemą wściekłość, jaką zna tylko ten, kto kochał bez nadziejnie. Przeszli ze trzysta kroków w głębokim milczeniu, nie patrząc już ani na morze, ani na skały, ani na pola.

– A ja tak bym panią uszczęśliwił! – ozwał się Kalist.

– Każdy mężczyzna przyrzeka nam z początku szczęście, a potem porzuca, zostawiając dyzgust i niesławę. Nie mam nic do zarzucenia temu, któremu winnam dochować wierności; nic mi nie obiecywał, to ja przyszłam do niego; ale pozostał mi tylko jeden sposób, aby umniejszyć mój błąd: uczynić go wiecznym.

– Więc powiedz, pani, że mnie nie kochasz! Bo ja, kochając panią, wiem i czuję, że miłość się nie droży i widzi tylko siebie: nie ma takiej ofiary, której bym nie poniósł. Rozkaż, a porwę się na rzeczy niemożliwe! Nie kochał swojej kochanki ten, kto nią wzgardził, kiedy rozkazała mu przynieść rękawiczkę rzuconą między lwy! Nie wiedział, że macie prawo dokonywania prób, aby upewnić się o naszej miłości, gdyż powinnyście składać broń tylko przed wielkością nadludzką. Poświęciłbym dla pani rodzinę, nazwisko i przyszłość.

– Ileż obelgi w tym słowie „poświęcić”! – rzekła z wyrzutem, a Kalist pojął, że strzelił głupstwo.

Jedynie kobieta zakochana absolutnie albo kokietka potrafi, odbiwszy się od słowa, skoczyć na zadziwiająco wysoką wysokość: umysł i uczucie zachowują się w sposób nader podobny; ale kobieta zakochana cierpi wtedy, a kokietka gardzi.

– Ma pani rację – powiedział Kalist, roniąc łzę – słowo to może stosować się tylko do wyśiłek, których ode mnie żadasz.

– Zamilknij pan – rzekła Beatrix przejęta odpowiedzią, w której młodzieniec po raz pierwszy trafnie odmalował swój afekt – dość popełniłam błędów, nie kuś mnie.

Znaleźli się akurat pod skałą z bukszpanem. Kalist doznał najupojniejszej szczęśliwości wspierając margrabinę, która wspinała się po głazach, chciała bowiem dotrzeć na szczyt. Obejmować tę kibić, czuć, jak ta kobieta drży nieco, było dla biednego chłopaka najwyższym faworem: przydawał jej się na coś! Zakreśliło mu się w głowie od tej niespodzianej radości, nie widział już nic, chwycił Beatrycę za pasek.

– A cóż to znowu? – ozwała się z miażdżącą dumą.

– Czy nigdy nie będziesz pani moja? – spytał głosem zduszonym od burzącej się krwi.

– Nigdy, miły przyjacielu – odparła. – Mogę dla ciebie być tylko Beatrycą, snem. Czyż nie powinieneś się tym radować? Nie zaznamy ani goryczy, ani smutku, ani wyrzutów.

– I wrócisz pani do Contiego?

– Tak trzeba.

– A więc nigdy niczyją nie będziesz – powiedział Kalist i z szaleńczą gwałtownością pchnął margrabinę.

Pragnął słyszeć upadek jej ciała, nim rzuciłby się za nią, lecz usłyszał tylko głuchy krzyk, suknia rozdarła się z trzaskiem – i ciało uderzyło całym ciężarem o ziemię. Beatrix nie spadła głową na dół, ale zatoczywszy się utknęła w bukszpanie; tak czy inaczej runęłaby w morze, gdyby suknia nie zaczepiła o kamień i rozdzierając się nie osłabiła pędu. Panna des Touches, świadek tej sceny, nie zdołała, przerażona, wydać z siebie głosu i tylko skinęła na Gasselina, by przybiegł. Kalist pochylał się wiedziony rodzajem okrutnej ciekawości, a widząc, w jakim położeniu znalazła się Beatrix, zadrżał: powiedziałbyś, że margrabina się modli, myślała, iż to jej ostatnia godzina, czuła, jak bukszpan uginał się coraz niżej i niżej. Z niespodzianą zręcznością, jaką daje gorący afekt, z nadnaturalną zwinnością cechującą każdego młodzieńca zagrożonego niebezpieczeństwem, Kalist ześliznął się z wysokości dziewięciu stóp, czepiając się załomów skalnych, aż do krawędzi i zdążył jeszcze podźwignąć margrabinę wzięwszy ją w ramiona. Nie baczył, że oboje mogliby wtedy wpaść w morze. Beatrix była nieprzytomna, imaginował sobie jednak, iż należy do niego w tym napowietrznym łożu, gdzie oboje długo mieli pozostać sami. Toteż najpierw przejął go dreszcz rozkoszy.

– Otwórz oczy i przebacz mi – mówił Kalist – albo umrzemy razem.

– Umierać? – rzekła, otwierając oczy i rozchylając pobladłe wargi.

Kalist powitał to słowo pocałunkiem i uczuł, jak margrabiną wstrząsnął dreszcz. Był w siódmym niebie. W tymże momencie zadudniły nad nimi podkute buty Gasselina. Za Bretończykiem biegła Felicyta, zastanawiając się, jak ocalić kochanków.

– Jest tylko jeden sposób, proszę panienki – oznajmił Gasselin. – Zleżę na dół, oni wejdą mi na ramiona, a panienka poda im rękę.

– A ty jak się wydostaniesz? – zagadnęła Felicyta. Sługę zaskoczyło, że liczy się w ogóle wśród niebezpieczeństwa, jakiego napułał sobie jego panicz.

– Lepiej przynieś z Croisic jakąś drabinę – rzekła Felicyta.

„Sprytna sztuka” – pomyślał Gasselin, schodząc.

Beatrix poprosiła słabym głosem, aby Kalist ją ułożył; czuła, że zemdleje. Młodzieniec ułożył ją więc na chłodnej ziemi, między granitową ścianą a krzakami.

– Wszystko widziałam, Kaliście – ozwała się Felicyta. – Beatrix umrze czy wyżyje, ma to być zawsze wypadkiem.

– Znienawidzi mnie – powiedział ze łzami w oczach.

– Będzie cię wielbić – odrzekła Felicyta. – Przechadzka nasza skończona; trzeba przewieźć ją do Touches. I cóż byś zrobił, gdyby umarła?

– Poszedłbym za nią.

– A twoja matka?... – I po chwili: – A ja? – spytała cicho.

Młodzieniec stał blady, nieruchomy, milczący, plecami wsparty o granitową ścianę. Gasselin nadbiegał już, niosąc drabinę, którą pożyczył w jednym z wiejskich gospodarstw, rozrzuconych wśród pól. Beatrix odzyskała nieco sił. Ustawwszy drabinę, sługa poprosił Kali-

sta, aby młodzieniec obwiązał panią de Rochefide, pod pachami, czerwonym szalem Felicyty i podał mu jego końce. Kiedy margrabinę wywindowano tak na okrągłą platformę, Gasselin wziął ją na ręce jak dziecko i zniósł na plażę.

– Nie uchylałabym się od śmierci, ale od cierpień! – rzekła słabym głosem do panny des Touches.

Beatrix była tak osłabiona i znękana, że Felicyta, rada nierada, kazała przenieść ją do zagrody, gdzie Gasselin wypożyczył był drabinę. Kalist, Gasselin i Felicyta zdjęli części ubrania, które zdjąć mogli, wymościłi nim drabinę i na tych zaimprovizowanych noszach przenieśli panią de Rochefide. Gospodarze zaofiarowali jej łóżko. Gasselin pobiegł na miejsce, gdzie czekały konie, i zaleciwszy przewoźnikom wprowadzić łódź do zatoczki najbliższej gospodarstwa, pognął wierzchem po felczera do Croisic. Kalist siedząc na zydelku, odpowiadał kiwaniem głowy lub rzadkimi monosylabami Felicycie, którą niepokoił zarówno stan jego, jak i margrabiny. Beatryczy puszczo krew i wtedy poczuła się lepiej; zdołała przemówić, godząc się na transport łodzią; jakoż około piątej przewieziono ją z Guérande do Touches, gdzie oczekiwał lekarz miejski. Wieść o wypadku rozeszła się z szybkością niewytłumaczoną w tych okolicach bezludnych, gdzie mieszkańców nie spotykasz prawie.

Młodzieniec spędził noc w Touches, czuwając z Felicytą u łoża Beatryczy. Lekarz zapewnił, że pani de Rochefide będzie nazajutrz już tylko osłabiona. Poprzez desperację Kalista przebiegała gorąca i głęboka radość: siedział przy łóżku margrabiny, spoglądając, jak się budziła i po chwili znów zapadała w drzemkę; mógł obserwować najłżejsze drgania jej wybladłej twarzy. Felicyta uśmiechała się gorzko, rozpoznając u młodzieńca symptomy owej namiętności, która pozostawia w duszy niezatarte piętno: młodzik odmieniał się w mężczyznę, rozpoczynał okres życia, kiedy żadne refleksje czy zabiegania nie powstrzymają tej zacieklej, wewnętrznej pracy. Nigdy Kalistowi nie miało być dane ujrzeć w prawdziwym świetle kobiety, jaka tkwiła w pani de Rochefide. A z jaką naiwnością młody Bretończyk zdradzał swoje najsekretniejsze myśli!... Wyobrażał sobie, że ta kobieta należy już do niego, skoro siedzi w jej pokoju, zachwycony kochanką leżącą w pościeli. Śledził z ekstatyczną uwagą najłżejsze poruszenia Beatryczy; w zachowaniu jego przejawiała się tak urocza ciekawość, promieniał tak naiwnym szczęściem, że w pewnej chwili obie panie uśmiechnęły się, wymieniając spojrzenia. Kalist pokraśniał i odwrócił głowę, ujrawszy w pięknych oczach chorej, oczach koloru morskiej zieleni, konfuzję przemieszana z miłością i drwiną.

– Czyż nie mówiłam panu, że wy mężczyźni przyrzekacie nam szczęście, a w końcu strącacie nas w przepaść?

Kiedy padły te żartobliwe słowa, wypowiedziane tonem uroczym i zwiastujące jakąś przemianę w sercu margrabiny, Kalist padł na kolana, chwycił wilgotną dłoń – nie stawiała oporu – i ucałował ją z nadzwyczajną uległością.

– Masz pani prawo wzgardzić raz na zawsze moim afektem, a ja nie mam już prawa przemówić do ciebie.

– Ach! – zawołała Felicyta widząc, jak inny margrabina miała wyraz twarzy teraz niż w momencie jej dyplomatycznych zabiegów – miłość zawsze każdego przechytrzy. No wypijże, droga przyjaciółko, swoją miksturę nasenną i zaśnij.

Tej nocy panna des Touches czytała książki traktujące o teologii mistycznej – a Kalist obok niej „Indianę”⁵⁴. Pierwsza ta powieść znakomitej rywalki Kamila Maupin zawiera porównawczą historię o młodzieńcu zakochanym bałwochwalczo i ofiarnie, z tajemniczą spokojnością i do śmierci, w kobiecie, która podobnie jak Beatrix znajdowała się w fałszywej sytuacji – fatalny przykład dla naszego Bretończyka! Noc ta zostawiła ślad niezatarty w sercu nieboraka, Felicyta wytłumaczyła mu bowiem, że kobieta, której próżności nie dogodziłby i

⁵⁴ „Indiana” – powieść pani George Sand, wydana w r. 1832.

nie uszczęśliwił do ostatnich granic fakt, iż próbowano dopuścić się na niej zbrodni, byłaby potworem.

– Mnie to byś nie wrzucił do wody! – użaliła się biedaczka, ocierając łzę.

Nad ranem Kalist utrudzony zasnął w fotelu. Margrabina zaczęła więc z kolei wpatrywać się w tego ślicznego chłopca, wybladłego zarówno od wzruszeń, jak od pierwszego miłosnego czuwania słyszała, jak we śnie wyszeptał jej imię.

– Kocha mnie i we śnie – rzekła do Felicyty.

– Trzeba go odesłać do domu, żeby się położył – odparła pan-na des Touches i zbudziła Kalista.

Państwo du Guénic byli spokojni, gdyż Felicyta uwiadomiła baronową bilecikiem. Zjawwszy się w Touches na obiad, Kalist zastał Beatrycę na nogach, lecz wybladłą, znużoną i słabą; w jej słowach jednak nie było cienia obojętności, w spojrzeniach śladu surowości. Od tego popołudnia, wypełnionego przez Felicytę muzyką fortepianu, by Kalist mógł swobodnie ścisnąć ręce Beatryczy i by oboje mówić nie potrzebowali, nie nadciągnęła już nad Touches żadna burza. Kobiety zimne, wątłe, szczupłe i bezlitosne, jak pani de Rochefide, kobiety, u których obojczyki prześwitują spod ciała, nadając im coś kociego, mają duszę bladą jak ich oczy wyblakłe, zielone lub szare; trzeba uderzeń pioruna, by stopić i zeszklić te kamyki. Pasja miłosna Bretończyka i jego czyn szalony stanowiły dla Beatryczy ów piorun druzgoczący, który zmienia najoporniejszy charakter. Czowała głęboką skruchę, serce jej pławiło się w gorącym i jedwabistym fluidzie prawdziwej i czystej miłości. Żyła w łagodnej i ciepłej atmosferze nieznanych uczuć, od których rosła, podnosiła się wyżej; wzbijała się pod niebo, gdzie jak świat światem Bretania umieszczala kobietę. Rozkoszowała się powściągliwym uwielbieniem tego chłopca, którego szczęście kosztowało ją tak niewiele, Kalistowi bowiem wystarczał jeden gest albo spojrzenie. Wysoka cena, jaką serce wyznaczało tym błahostkom, wzruszała ją niepomierne. Kiedy ów anioł musnął rękawiczkę Beatryczy, znaczyło to dlań więcej niż ona cała dla mężczyzny, który winien był ją wielbić. Co za kontrast! Któża kobieta zdołałaby się oprzeć takiej nieustającej adoracji? Była pewna, że spotka się z posłuszeństwem i ze zrozumieniem. Gdyby zażądała od Kalista, żeby ryzykując życiem spełnił jej najdrobniejszy kaprys, młodzieniec nie namyślałby się nawet. Toteż margrabina jakoś wyszlachetniała, stała się imponująca; poznawszy miłość od strony jej wielkości, szukała jak gdyby punktu oparcia, aby pozostać najwspanialszą spośród wszystkich kobiet w oczach Kalista, nad którym pragnęła sprawować wieczystą władzę. Zalotność jej wzmagala się tedy w miarę, jak Beatrix czuła się coraz słabszą. Pełna czarującej obłudy, udawała chorą cały tydzień. Ileż razy miała ochotę obejść wokół zielony kobierzec rozpostarty między fasadą dworu w Touches a ogrodem, obejść wspierając się na ramieniu Kalista: zemściłaby się wtedy na Felicycie za cierpienia, które panna des Touches zadawała jej przez pierwszy tydzień pobytu.

– O, moja droga, nawzdycha się on jeszcze do ciebie, nawzdycha – rzekła raz Felicyta do margrabiny.

Jednego wieczora, przed wycieczką do Croisic, obie panie gawędziły o miłości, wyśmiewając różne sposoby, jakie stosują mężczyźni, by się z nią oświadczyć. Ustaliły wtedy ściśle między sobą, że mężczyźni najbardziej kuci, a więc najmniej kochający, nie bawią się w spacer po labiryntach czułości – i słusznie, gdyż kochający najpiękniej są przez pewien czas jak najbardziej maltretowani. „Tak się do tego biorą, jak La Fontaine, żeby dostać się do Akademii!” – zauważyła Felicyta. Słowa te przypomniały margrabinie rozmowę, w której zarzucała jej makiawelizm. Pani de Rochefide sprawowała nad Kalistem władzę absolutną, utrzymując go w takich ryzach, w jakich tylko zechciała: jeden jej gest czy spojrzenie przypominało mu jego straszliwy brak pohamowania nad morzem. Oczy biednego męczennika napelniały się wtedy łzami, zamykał usta, chował do kieszeni argumenty, nie wspominał o swoich życzeniach i cierpieniach – z heroizmem, co wzruszyłby każdą inną kobietę. Piekielną swoją kokieterią Beatrix przyprawiła go o tak wielką desperację, że któregoś dnia padł w ra-

miona Felicyty, prosząc o radę. Margrabina, zbrojna w list od Bretończyka, cytowała zdanie, w którym powiadał, że największym szczęściem jest kochać, a wzajemność to rzecz drugorzędna; posługiwała się tym pewnikiem, by namiętność Kalista utrzymywać w granicach pełnej szacunku idolatrii, gdyż podobała jej się ona ogromnie. Słodkie koncerty pochwał i wonie kadzideł, czyli nabożeństwo, jakie odprawia każdy młodzieniec, rozkosznie pieściły jej duszę; w niewinnych zalotach młokosa, w jego prośbach, okrzykach i powściąganym afekcie, w rojeniach o przyszłości tyle jest niekłamanego piękna, że Beatrix wystrzegąca się pilnie odpowiedzi. Rzekła to: wątpiła! – a nie chodziło jeszcze o szczęście, lecz o przyzwolenie na miłość, którego domagał się wciąż ten dzieciak upierając się, by zająć pozycję od strony najmocniejszej, strony moralnej. Kobieta bardzo mocna w słowach bywa częstokroć bardzo słaba w uczynkach. Nasz Bretończyk porobił znaczne postępy zepchnąwszy margrabinę do morza, dziwne więc, że dążąc do szczęścia nie stosował nadal środków gwałtownych; lecz miłość jest u młodych ludzi tak ekstatyczna i pełna kultu religijnego, że pragnie uzyskać wszystko obudziwszy przekonanie moralne – stąd jej szlachetność.

Niemniej, któregoś dnia Kalist, rozjątrzony nad miarę pożądaniem, zalił się gorzko Felicycie na nieustępliwość margrabiny.

– Próbowalam cię uleczyć, ukazując ci ją co prędzej we właściwym świetle – odparła panna des Touches – a tyś zepsuł wszystko swoją niecierpliwością. Dziesięć dni temu byłeś jej panem, a dziś, mój biedny chłopcze, jesteś jej niewolnikiem. Toteż nie zdobędziesz się nigdy, by wykonywać moje rozkazy.

– A co mam robić?

– Pokłócić się z nią za jej nieustępliwość. Kobieta zawsze daje się ponieść słowom, doprowadź do tego, żeby cię obraziła, po czym nie pokazuj się w Touches, dopóki cię nie wezwie.

W każdej ciężkiej chorobie nadchodzi chwila, kiedy pacjent zgadza się przyjmować najobrzydliwsze lekarstwa i poddaje się najokrutniejszej operacji. W takim stanie był Kalist. Usłuchawszy rad Felicyty, siedział dwa dni w domu; ale już trzeciego zastukał do drzwi pani de Rochefide oznajmiając, że on i Felicyta czekają na nią ze śniadaniem.

– Znowu przegrałeś jeden punkt – powiedziała panna des Touches, gdy zjawił się tchórzliwie.

W czasie tych dwóch dni Beatrix często stawała w oknie spoglądając na drogę do Guérande. Przyłapywana na tym przez przyjaciółkę, mówiła, że nie może się napatrzeć przydrożnym janowcom okrytym złocistym kwieciem, wśród którego migocze wrześnie słońce. Felicyta, poznawszy tym sposobem jej tajemnicę, mogła wyrzec tylko słowo, by uszczęśliwić Kalista, milczała jednak: była wciąż jeszcze nazbyt kobietą, aby skłaniać go do czynu, którym trwożą się młode serca, świadome jakby wszystkiego, co zdołałoby pomniejszyć ich ideał. Beatrix kazała na siebie czekać dość długo. Spóźnienie margrabiny w każdym wypadku byłoby znaczące: toaleta jej wskazywała, że Beatrix pragnie zafascynować Kalista i zapobiec jego ponownej nieobecności. Po śniadaniu, przechadzając się w ogrodzie, uniosła zakochanego chłopca pod siódme niebo miłości, wyrażając chęć odwiedzenia tej skały, gdzie o mało nie zginęła.

– Chodźmy tam we dwoje – poprosił Kalist zdławionym głosem.

– Gdybym odmówiła, pomyślałbyś pan, że jesteś niebezpieczny – odrzekła. – Niestety! Powtarzałam już panu sto razy, że należę do innego i do niego tylko należeć mogę; wybierając, nie wiedziałam nic o miłości. Podwójny błąd – dwojaka musi być kara.

Kiedy tak mówiła i oko zachodziło jej skąpymi łzami, bo kobiety tego rodzaju płaczą z trudem, Kalist litował się, co łagodziło buzujący w nim żar miłosny; adorował ją wtedy niczym Madonnę. Nie żądajmy od różnorodnych charakterów, aby w sposób podobny wyrażały uczucia – nie wymagajmy od gruszy, aby rodziła jabłka. Margrabina przechodziła akurat okres duchowych zmagań: nie wiedziała, kogo wybrać – siebie czy Kalista, wielki świat, do-

każdą spodziewała się wrócić kiedyś, czy też całkowite szczęście; zatracić się na zawsze w nowym i niewybaczalnym uczuciu – czy też uzyskać od społeczeństwa przebaczenie. Zaczynała już przysłuchiwać się, bez jakiegokolwiek irytacji, nawet udanej, dyskursom ślepej miłości, dozwalała, by litość pieściła ją łagodnymi dłońmi. Kilka już razy wrzuciła się do łez, gdy Kalist przyrzekał wynagrodzić jej miłością to wszystko, co utraciłaby w oczach świata, gdy żalił się nad nią, że związała się z geniuszem niemoralnym, z człowiekiem tak fałszywym jak Conti. Nie raz jeden zamykała młodzieńcowi usta, opowiadając o krzywdach i cierpieniach, jakich zaznawała we Włoszech, przekonawszy się, że Conti ma serce zbyt obszerne. W tej materii Felicjta udzieliła Kalistowi wielu nauk i Kalist z nich profitował.

– Ja też – powiadał – będę kochał panią absolutnie. Nie zaznasz ze mną triumfów, jakie daje sztuka, radości, która ogarnia nas wśród tłumu wrzuszonych cudami talentu; jedyny mój talent polega na tym, że cię kocham, jedyne moje radości to radości twoje i choćby wielbiła mnie najpiękniejsza kobieta, nie wyda mi się ona godna mojej wzajemności; nie będziesz potrzebowała się lękać żadnej haniebnej rywalizacji; nie znają cię, a tam, gdzie cię uznają, i ja będę wciąż zabiegał o uznanie.

Słuchała tych słów z opuszczoną głową, pozwalając mu całować ręce, przyznawała w skrytości, ale szczerze, iż ona jest utajonym aniołem.

– Jestem zbyt poniżona – odpowiadała – moja przeszłość odbiera przyszłości wszelkie nadzieje.

Piękny to był dla Kalista poranek, kiedy młodzieniec, przybywając o siódmej do Touches, ujrzał w oknie, między dwoma janowcami, Beatrycę ubraną w tenże słomkowy kapelusz, który włożyła na poprzednią wycieczkę. Doznał jakby olśnienia. Drobiazgi te związane z uczuciem wyolbrzymiają świat. Może tylko Francuzki posiadają sekret owych efektów teatralnych; zawdzięczają to powabnym zaletom swojego umysłu, zaletom, które łączą z uczuciem, miarkując je tak trafnie, iż nie traci ono nic na sile. Jakże leciutko wspierała się o ramię Kalista! Wyszli furką ogrodową, która prowadzi na wydmy. Margrabinie nie spodobały się piaski; narwała drobnego ziela o twarde łodygi i różowych kwiatuśkach i zmieszawszy je z kamiennymi goździkami, rosnącymi również na tym jałowym piachu, podzieliła tę wiankę między Kalista i siebie: owe kwiaty i liście, rozdzielone w sposób wymowny, miały być dlań złowróbnym i wiecznym symbolem.

– Dodamy jeszcze do tego gałązkę bukszpanu – rzekła z uśmiechem. Kiedy spacerowali po molo, czekając na łódź, Kalist opowiedział, jak dziecinnie postąpił w dzień jej przybycia. – Wiedziałam o tej eskapadzie, dlatego pierwszego dnia była taka surowa – odrzekła.

Na przechadzce pani de Rochefide mówiła tonem z lekka żartobliwym – tonem zakochanej kobiety, była swobodna i sentymentalna. Kalist mógł mniemać, że go kocha. Ale kiedy postępując wzdłuż skał zeszli do jednej z owych prześlicznych kotlinek gdzie fale układają zadziwiające mozaiki z najrzadszych marmurów, i tam bawili się niby dwoje dzieci, szukając najpiękniejszych kamieni, a Kalist u szczytu upojenia zaproponował wprost, aby uciekli do Irlandii, margrabina, przybrawszy znów minę godną i zagadkową, poprosiła go o ramię i podążyła ku skale, którą nazwała swoją Skałą Tarpejską.

– Drogi przyjacielu – rzekła, wspinając się z wolna na ten wspaniały blok granitu, z którego zamierzała uczynić swój piedestał – nie mam odwagi skrywać dłużej, czym jesteś dla mnie. Od dziesięciu lat nie zaznałam tak wielkiego szczęścia, jakim rozkoszujemy się tutaj, wybierając muszle ze skalnych sadzaweczek, zamieniając się kamykami, z których każę zrobić naszyjnik cenniejszy dla mnie niż diamentowy. Stałam się tu dziewczyną, dzieckiem czternasto- lub szesnastoletnim, a więc godnym ciebie. Miłość, jaką natchnęłam cię ku mojemu szczęściu, podniosła mnie we własnych oczach. Masz rozumieć te słowa w całym ich czarodziejskim brzmieniu. Uczyniłeś ze mnie najdumniejszą i najszczęśliwszą kobietę pod słońcem i na pewno będziesz żył dłużej w moim wspomnieniu niż ja w twoim.

W tejsze chwili stanęła na skale, skąd z jednej strony widać bezmiar oceanu, a z drugiej Bretanię, jej złociste wysepki, feudalne wieże i kępy janowca. Żadna kobieta nie znalazłaby świetniejszej sceny dla wielkich wynurzeń.

– Ale – mówiła – nie należę do siebie, bardziej mnie wiąże moja wola, niż wiązało prawo. Bądźże więc ukarany moim nieszczęściem, komentuj się, że będziemy cierpieć wspólnie. Dante nigdy po raz drugi nie ujrzał swojej Beatryczy, Petrarca nigdy nie posiadał Laurę. Klęski takie nie osłabiają dusz wielkich. Ach! Gdyby mnie porzuciono, gdybym spadła o tysiąc stopni niżej w hańbie i niesławie, gdyby świat zapoznał okrutnie twoją Beatrycę i zbrzydł jej do cna, gdyby została ostatnią z kobiet!... wtedy, dziecię uwielbiane – tu wzięła go za rękę – dowiesz się, że Beatrix to z kobiet najpierwsza i że wsparta na tobie potrafi się wznieść aż do nieba; ale wtedy, przyjacielu – tu spojrzała nań wzniosłe – jeśli zechcesz ją stracić, niech ci ręka nie zdrzy: po twojej miłości – śmierć!

Kalist obejmował Beatrycę w pól, a teraz przycisnął ją do serca. Aby dać świadectwo swoim słodkim słowom, pani de Rochefide złożyła na czole młodzieńca przeczysty i nader nieśmiały pocałunek. Po czym zszedłszy wracali wolno, gawędząc jak dwoje ludzi, którzy zrozumieli i pojęli się wybornie: ona sądziła, że zapewniła sobie spokój, on nie wątpił już o swoim szczęściu, w błędzie zaś byli oboje. Ze słów Felicjty młodzieniec wniósł, że Conti uraduje się lada pretekstem, który pozwole mu zerwać z Beatrycą. Margrabina jakby pogodziła się ze swą niejasną pozycją, czekając na jakiś przypadek. Kalist był zbyt naiwny i zakochany, aby przypadek ów stworzyć. Delektując się swoją jak najrozkoszniejszą sytuacją duchową, znaleźli się znów przy furtce. Kalist miał klucz. Była mniej więcej szósta. Upajające zapachy, ciepły powiew, żółtawe tony zachodu pasowały do ich nastroju i do czułych gruchań. Krok ich był równy i harmonijny, jak to zwykle u kochanków, ruchy zdradzały zgodność myśli. W Touches zalegała cisza tak wielka, że skrzypnięcie furtki musiało rozleć się w całym ogrodzie. Margrabina i Kalist powiedzieli sobie wszystko, szli zwolna i w milczeniu, znużeni tą przechadzką pełną silnych wzruszeń. Raptem, na zakręcie alei, straszliwy lęk chwycił Beatrycę za gardło, owa zaś trwoga – zaraźliwa, podobna do tej, jaką odczuwamy na widok płaza – zmroziła Kalistę, nim poznał jej przyczynę. Na ławce, pod płaczącym jesionem, Conti gwarzył z Felicjty. Margrabinę ogarnęło konwulsyjne drżenie, bardziej widoczne, niżby sobie tego życzyła; Kalist przekonał się wtedy, jak drogim był tej kobiecie, która wzniosła między nimi barierę, aby, nim ją przekroczy, bawić się jeszcze kilka dni kokieterią. Wystarczył jeden moment, aby w sercach zaczęła w całej swojej okazałości rozgrywać się tragedia.

– Nie spodziewałaś się pani zapewne, że wrócę tak prędko? – powiedział artysta, podając ramię Beatryczy.

Margrabina puściła, rada niarada, ramię Kalistę, przyjmując ramię Contiego. Ta niegodna zamiana, wynikła z wyższej konieczności, a hańbiąca nową miłość, przygnębiła Kalistę. Młodzieniec, wymieniwszy z rywalem jak najzimniejsze ukłony, rzucił się na ławkę obok Felicjty. Miotają nim tysiące sprzecznych uczuć: przekonawszy się, jak bardzo kocha go Beatrix, chciał poskoczyć ku artyście, oświadczać, że Beatrix do niego już należy, ale konwulsyjne drżenie biednej kobiety, zdradzając mu, jak bardzo cierpiała, płaciła bowiem w tej chwili za wszelkie swoje błędy, wzruszyło go tak głęboko, że zaniemówił, spiorunowany jak i ona nieubłaganą koniecznością. Dwa te sprzeczne odruchy wywołały w nim najgwałtowniejszą burzę, jakiej zaznał od czasu, gdy pokochał Beatrycę. Kiedy pani de Rochefide i Conti mijali ławkę, gdzie siedział Kalist, margrabina obrzuciła rywalkę jednym z tych straszliwych spojrzeń, którymi kobieta wszystko wyrazić potrafi: lecz unikała wzroku młodzieńca, słuchając, jak się zdawało, żartów Contiego.

– I cóż oni mogą mówić między sobą? – zagadnął Kalist.

– Drogie dziecko, nie wiesz jeszcze, jak straszliwe prawa do kobiety daje mężczyźnie wygasła miłość. Beatrix nie mogła odrzucić jego ramienia, on zaś teraz na pewno wykpiwa jej miłość, odgadłszy ją już w pierwszej chwili z twojego zachowania.

– Wykpiwa?... – rozsierdził się porywczy Kalist.

– Uspokój się – odrzekła – albo stracisz ostatnie atuty. Jeśli zbyt urazi miłość własną Beatryczy, Beatrix rozdepcze go jak robaka. Ale to człek sprytny, potrafi chytrze zabrać się do tego. Nie przypuszcza, by dumna pani de Rochefide mogła go zdradzić. Byłoby zbyt wielką deprawacją kochać mężczyznę dla jego urody! Odmaluje cię na pewno w jej oczach jako dzieciucha, który wziął na ambit, żeby osiąść margrabinę i stać się panem losu dwóch kobiet. Wreszcie zatoczy zjadliwe działa najobelżywszych domniemań. Zmusi tym margrabinę do kłamliwych zaprzeczeń, które wykorzysta, by nadal nią rządzić.

– Ach! – zawołał Kalist – toć on jej nie kocha! Ja pozostawiłbym jej wolność: w miłości zawiera się wybór ponawiany co moment, potwierdzany z dnia na dzień. Dzień wczorajszy aprobejuje dzisiejszy, pomnaża skarb naszych rozkoszy. Gdyby spóźnił się parę dni, nie zastałby nas tutaj. Cóż go sprowadziło?

– Żart dziennikarski – odrzekła Felicycyta. – Opera, na której sukces liczył, zrobiła klępkę, i to jaką! Słowa: „Ciężko tracić jednocześnie sławę i kochankę!” – które w foyer wypowiedział może Klaudiusz Vignon, rozjątrzyły jego próżność. Miłość oparta na uczuciach małych jest bezlitosna. Rozpytywałam go, ale cóż można wiedzieć o człowieku z natury tak fałszywym i wykrętnym? Wydał się zmartwiony niepowodzeniem, znudzony miłością i zniechęcony do życia. Żałuje, że związał się tak jawnie z margrabiną, i wyśpiewał mi, opowiadając o swoim dawnym szczęściu, poemat melancholii, nieprawdziwy jednak, bo nazbyt kunsztowny. Spodziewał się oczywiście, że uszczęśliwiona jego duserami wydam mu sekret waszej miłości.

– Tak, tak... – odpowiedział Kalist, nie słuchając już. Nadchodzili Beatrix i Conti, patrzali na nich.

Felicycyta, przezorna jak zwykle, zajęła pozycję obronną, toteż nie wydała sekretu Kalista i Beatryczy. Muzyk każdego wyprowadziłby w pole, panna des Touches zapowiedziała więc młodzieńcowi, by mu nie ufał.

– Drogie dziecko – rzekła – oto nadszedł dla ciebie najbardziej krytyczny moment. Trzeba tu przezorności i sprytu, których ci brak, dasz więc omotać się człowiekowi najchytrzejszemu pod słońcem, bo ja teraz dla ciebie nic już zrobić nie mogę.

Zadzwoniono na obiad. Conti podał ramię Felicycy, Beatrix wzięła Kalista pod rękę. Felicycyta przepuściła przodem margrabinę – pani de Rochefide mogła więc, mijając Kalista spojrzeć nań i, położywszy palec na ustach, zalecić mu absolutną dyskrecję. Podczas obiadu Conti był przesadnie wesół. Może sondował tym sposobem margrabinę, która źle grała swoją rolę. Kto wie, czy nie zwiodłaby go zalotnością; ale zachowywała się jak osoba zakochana, i to ją przed Contim zdradziło. Chytry muzyk nie zamierzał bynajmniej zbijać margrabinę z tropu – udawał, że nie dostrzega jej zakłopotania. Przy deserze skierował rozmowę na kobiety, wychwalając szlachetność ich uczucia. „Osoba zdolna opuścić nas w momentach powodzenia, poświęci nam wszystko, gdy wpadniemy w nieszczęście – mówił. – Kobiety mają nad mężczyznami przewagę objawiającą się w stałości; trzeba zranić kobietę bardzo boleśnie, by porzuciła pierwszego kochanka, zależy jej bowiem na nim jak na honorze; druga miłość przynosi wstyd” etc. Głosił nienaganną moralność, okadzał ołtarz, na którym leżało serce przeszyte tysiącem ciosów. Jedyne Felicycyta i Beatrix rozumiały jad i cierpkość aluzji przemycanych w każdym pochwalnym frazesie. Chwilami rumieniły się obie, musiały jednak panować nad sobą; idąc pod rękę do pokojów Felicycy, zatrzymały się zgodnie w paradnym salonie. Mroczno tu było, mogły chwilę porozmawiać same.

– Nie mogę dopuścić, żeby Conti mnie zdeptał, nie mogę dać mu nad sobą przewagi – rzekła margrabina, zniżając głos. – Galernik jest zawsze zależny od towarzysza, z którym skuwa go wspólny łańcuch. Jestem zgubiona, trzeba mi wracać na galery miłości. I to ty mnie znów

tam straciłaś! Ach! Mogłaś go sprowadzić o dzień później lub o dzień wcześniej. Poznaję twój piekielny talent autorki: zemsta jest absolutna, zakończenie bezbłędne.

– Mogłam ci powiedzieć, że zamierzam pisać do Contiego, ale uczynić to!... Nie byłabym zdolna do czegoś takiego! – zawołała Felicycya. – Cierpisz, a więc ci przebaczam!

– A co będzie z Kalistem? – zagadnęła margrabina, przejawiając tym uroczą i naiwną miłość własną.

– To Conti cię zabiera? – spytała Felicycya.

– Ach! Już ci się zdaje, że triumfujesz! – wykrzyknęła Beatrix.

Kiedy margrabina z grymasem wściekłości na pięknym licu wyrzekła te straszne słowa, Felicycya usiłowała zamaskować radość udając zasmucenie; ale blask oczu przeczył masce, a Beatrix na takich fałszach się znała! Jakoż, gdy siadły przy świetle, na sofie, gdzie od trzech tygodni rozegrało się tyle scen godnych komediopisarza i gdzie rozpoczął się dramat powściąganym namiętności, obie panie przyjrzały się sobie z uwagą po raz ostatni – i stwierdziły wtedy, że rozdzieliła je głęboka nienawiść.

– Kalist ci pozostaje – rzekła Beatrix, patrząc przyjaciółce w oczy – ale ja pozostaję w jego sercu i żadna kobieta nie wypędzi mnie stamtąd.

Felicycya odpowiedziała na to z nieopisaną ironią, której sam ton ugodził margabinę w serce, przytaczając słynne słowa synowicy Mazariniego skierowane do Ludwika XIV: „Panujesz, kochasz i odchodzisz!”

W czasie tej nader gwałtownej sceny żadna z nich nie spostrzegła nieobecności Kalista i Contiego. Muzyk pozostał z rywalem przy stole, nakłaniając go, by dotrzymywał mu kompanii i by dokończyli razem butelki szampańskiego.

– Mamy przecież do pogadania – rzekł artysta, uprzedzając tym sposobem wszelką odmowę ze strony młodzieńca.

Wobec ich wzajemnej sytuacji Bretończyk usłuchać musiał.

– Kochasiu – ozwał się przymilnie muzyk, kiedy biedny dzieciak wypił dwa kieliszki wina – pocziwi z nas chłopcy, a więc jeden drugiemu może otworzyć serce. Nie przyznała mnie tutaj nieufność. Beatrix mnie kocha – powiedział, pusząc się bezwstydnie. – Ale ja już jej nie kocham; nie przyjechałem tu po nią, ale po to, żeby z nią zerwać, biorąc winę oczywista na siebie. Jesteś pan jeszcze młody, a więc nieświadom, jak użyteczna to rzecz wyglądać na ofiarę, czując się katem. Młody człowiek robi dużo szumu, rzuca kobietę wywołując skandal, gardzi nią często i ściąga na siebie jej nienawiść, lecz ludzie stateczni dokładają starań, aby ich wypędzano; udają wtedy pokornutkich, a kobieta zaczyna mieć wyrzuty i nabiera miłego przekonania o swojej wyższości. Bóstwo niełaskawe da się przebłagać, podczas gdy na odstępstwo od wiary nie masz lekarstwa. Szczęściem dla siebie nie wiesz pan dotąd, jak bardzo krępują nas w życiu bezsensowne przyrzeczenia, którym kobiety w głupocie swojej dają wiarę, chociaż składamy je zmuszani polityką zalotów: motamy te węzły, żeby orzeźwić się jakoś wśród ospałego szczęścia. Mężczyzna i kobieta ślubują sobie wtedy wieczystą miłość. Nie ma takiej przygody miłosnej, w której nie omieszkalibyśmy zapewnić uprzejmie, że pragniemy z kobietą spędzić całe życie; udając, że z najwyższą niecierpliwością czekamy na śmierć męża, życzymy sobie, aby cieszył się jak najlepszym zdrowiem. Niech tylko mąż umrze, zaraz do ciebie przybiega parafianka, uparta głuptaska albo spryciara, wołając: „Jestem wolna!” Nikt z nas nie jest wolny. A ten martwy pocisk budzi się i wybucha wśród naszych najpiękniejszych triumfów, wśród najstaranniej przygotowanego szczęścia. Spostrzegłem, że zakochałeś się pan w Beatrycy, toteż zostawiłem ją tutaj, tak wszystko urządziwszy, aby bez szkody swojego uświęconego majestatu mogła kokietować pana, choćby po to, żeby zrobić na złość temu aniołowi, Felicycie. Kochajże ją więc sobie, mój najmilszy panie, wyświadczysz mi przysługę, bo życzyłbym sobie, żeby okrutnie obeszała się ze mną. Boję się jej dumy i cnoty. Kto wie jednak, czy mimo mojej dobrej woli nie trzeba będzie nam pewnego czasu, by dokonać tej zmiany figur. W takich wypadkach ten górą, kto się nie kwapi. Niedawno, gdyśmy krążyli

wokół gazonu, chciałem jej oznajmić, że wszystko wiem, i pogratulować szczęścia. Ale zirytowała się, nim przystąpiłem do rzeczy. Obecnie kocham się na zabój w najpiękniejszej i najmłodszej z naszych śpiewaczek, w pannie Falcon z Opery, i chciałbym ją poślubić! Tak, to już postanowione; ale też przyjechawszy do Paryża zobaczysz pan, zem zamienił margrabinę na królowę!

Szczęście rozjaśniło aureolą twarz naiwnego Kalista: wyznał swoją miłość, a tego tylko chciał dowiedzieć się Conti. Nie znajdziesz na świecie takiego mężczyzny, choćby najbardziej był zblazowany i zdeprawowany, w którym miłość nie odżyłaby, gdy zagrozi mu rywal. Chcemy porzucić kobietę, lecz nie chcemy być przez nią porzuceni. Kiedy para kochanków znajduje się w tych ostatecznych terminach, zarówno kobieta, jak mężczyzna ubiegają się o pierwszeństwo, tak ciężkie są rany zadawane ambicji. Chodzi tutaj być może o to wszystko, co społeczność stworzyła w tym poczuciu, wywodzącym się nie tyle z miłości własnej, ile z samego życia, którego przyszłość w takim wypadku jest zagrożona: wydaje nam się, że tracimy kapitał, a nie odsetki. Wypytywany przez muzyka, młodzieniec opowiedział o wszystkim, co zaszło w ciągu tych ostatnich trzech tygodni, zachwycając się Contim, który pod uroczą dobroduszością taił wściekłość.

– Chodźmy na górę – powiedział. – Kobiety są podejrzliwe. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że siedzimy sobie tutaj, a nie bierzemy się za łby; stanęłyby w końcu pode drzwiami, żeby podsłuchiwać. Będę ci służył, drogie dziecko, prowadząc podwójną grę. Przy margrabinie będę zazdrosny, grubiański, nieznośny, będę wciąż ją posądzał o zdradę, bo nie masz lepszego sposobu, by kobietę do niej nakłonić; pan będziesz szczęśliwy, a ja wolny. Odgrywaj dziś rolę niezadowolonego kochanka, ja zaś będę udawał człeka nieufnego i zazdrośnika. Płacz, użalaj się nad tym aniołem, że należy do takiego grubianina! Możesz sobie pozwolić na łzy, młody jesteś! Bo ja, niestety, płakać już nie mogę: oto jedna zaleta mniej.

Kalist i Conti poszli na górę. Na prośbę rywala artysta odśpiewał największe arcydzieło muzyczne, jakie skomponowano dla wirtuozów, słynne „*Pria che spunti l'aurora*”⁵⁵. Sam Rubini drży, nim wykona ten utwór, a Conti zawdzięcza mu liczne sukcesy. Śpiewak przeszedł sam siebie, takim uczuciem kipiała mu pierś. Kalist był w ekstazie. Przy pierwszych słowach tej kawatyny śpiewak przesiał Beatryczy spojrzenie nadające im sens okrutny – sens, który margrabina zrozumiała. Felicycy, akompaniując na fortepianie, odgadła, na czyj to rozkaz pani de Rochefide spuściła głowę; popatrzwszy na Kalista, wniosła, że chłopak mimo jej ostrzeżeń wpadł w jakąś pułapkę. Upewniła się, gdy uszczęśliwiony Bretończyk, całując na pożegnanie rękę pani de Rochefide, z ufnością i domyślną miną uściskał jej palce. Tymczasem, kiedy Kalist podążał ulicami Guérande, pokojowa i służba ładowali kufrы do podróźnej kolasy Contiego, który, jak oznajmił, miał wyruszyć do dnia uwożąc Beatrycę końmi Felicycy, aż do najbliższej poczhalterii. Mrok panujący w kolasie dozwolił pani de Rochefide zwracać oczy ku wieżom Guérande, które białły wśród szarości świtania, i pogrążyć się w głębokim smutku: pozostawiała tu jeden z najpiękniejszych kwiatów swojego życia, miłość, o jakiej marzą najniewinniejsze dziewczęta. Względy czysto ludzkie łamały jedyny prawdziwy afekt, jaki ta kobieta mogła była powziąć i powzięła w swoim życiu. Kobieta światowa podporządkowała się prawom wielkiego świata, poświęcała miłość dla konwenansu, jak inne kobiety wyrzekają jej się w imię obowiązku lub religii. Pycha wznosi się często na wyżynę cnoty. Historia ta rozpatrywana w powyższy sposób dotyczy wielu kobiet. Nazajutrz, około południa, Kalist zjawił się w Touches. Na drodze, w miejscu, skąd wczoraj ujrzał Beatrycę wyglądającą oknem, zobaczył Felicytę. Biegła na jego spotkanie. Nim weszli na schody, szepnęła mu okrutne słowo: „Odjechała!”

– Beatrix? – zawołał Kalist, jakby piorunem rażony.

– Conti cię oszukał, nic mi nie powiedziałeś, byłam bezradna!

⁵⁵ „*Pria che spunti l'aurora*” (wł.) – „Nim zaświta jutrzeńka”, aria. z opery „Sekretne zaślubiny” włoskiego kompozytora Domenico Cimarosa (1749–1801).

Powiodła biedaka do saloniku; rzuciwszy się na otomanę, gdzie tak często siadywała Beatrix, zalał się łzami. Felicjta milczała, pałac nargile. Wiedziała, że nie ma żadnej rady na pierwszy przystęp bóleści, zawsze głuchy i niemy. Kalist, niezdolny do jakiegokolwiek decyzji, przeleżał cały dzień w głębokim odrętwieniu. Przed samym obiadem Felicjta spróbowała powiedzieć mu kilka słów, poprosiwszy uprzednio, by jej wysłuchał.

– Mój drogi, przyprawiłeś mnie o jak najsrozsze cierpienia, a nie mam przed sobą, jak ty, pięknego życia, żeby się wyleczyć. Dla mnie na ziemi nie zakwitnie już wiosna, a w duszy mojej nie zrodzi się miłość. Jakoż, aby znaleźć pocieszenie, muszę udać się wyżej. Naszkicowałam ci portret Beatryczy w wilię jej przyjazdu; nie chciałam wtedy przyćmiewać kolorów, pomyślałbyś, że jestem zazdrosna. Posłuchaj dziś prawdy. Pani de Rochefide nie jest bynajmniej godna ciebie. Skandal towarzyszący jej upadkowi nie był konieczny, bez niego jednak byłaby niczym, narobiła więc z zimną krwią hałasu, żeby odgrywać jakąś rolę; należy do kobiet przekładających skandaliczny rozgłos nad ciche szczęście, kobiet, co lżą społeczeństwo, aby zyskać fatalną jałmużnę obmowy, a zapłacą każdą cenę, byleby o nich plotkowano. Żarła ją ambicja, próżność. Majątek i zalety umysłu nie mogły jej dać owego kobiecego królowania, o które zabiegała władając w swoim salonie; myślała, że wsławi się niczym księżna de Langeais albo wicehrabina de Beauséant; ale świat jest sprawiedliwy, zaszczyca swoim zainteresowaniem tylko uczucia szczere. Naszą margrabinę odgrywającą komedię osądzono jak poślednią aktorkę. Uciekając, nie sprawiła nikomu przykrości, nic więc tej ucieczki nie usankcjonowało. Miecz Damoklesa nie błyszczał wśród jej uciech, a zresztą, kto kocha pięknie i szczerze, bardzo łatwo znajdzie w Paryżu kryjówkę dla swojego szczęścia. A skądinąd, gdyby naprawdę była kochająca i tkliwa, nie podążyłaby dziś w nocy za Contim.

Felicjta przemawiała długo i kwieciście; ten ostatni wysiłek był daremny: młodzieniec zamknął jej usta gestem, którym wyraził bezgraniczną wiarę w margrabinę; zmusiła go, by zszedł na dół i towarzyszył jej przy obiedzie, ale nic przekonać nie zdołał. Podobny brak apetytu występuje jedynie u ludzi bardzo młodych. Później organy hartują się jakby. Stany duchowe nie oddziałują aż tak silnie na stan fizyczny, aby wywołać śmiertelną chorobę – chyba że konstytucja zachowa dziecięcą wrażliwość. Dorosły mężczyzna opiera się gwałtownej zgryzocie, która zabiłaby młodzika – nie dlatego, by odczuwał słabiej: ma po prostu silniejszy organizm. Toteż panna des Touches przeraziła się zrazu, kiedy po pierwszych i gorących łzach Kalist zapadł w cichą rezygnację. Zaprzagnął, nim odejdzie, wstąpić do pokoju Beatryczy i tam pogrzyzył twarz w jej poduszce.

– Oszalałem! – to mówiąc, uściśnął dłoń Felicjty i odszedł zatopiony w głębokiej melancholii.

Wróciwszy do domu zastał zwykłą kompanię przy kartach. Cały wieczór przesiedział obok matki. Pleban, kawaler du Halga i panna de Pen-Hoël byli uszczęśliwieni, wiedząc już o odejździe pani de Rochefide. Przywrócono im Kalista. A że milczał raczej, obserwowali go spod oka. Nikt w tym starym dworze nie potrafiłby sobie wyobrazić, jak owa pierwsza miłość zakończyła się w naiwnym i szczerym sercu Kalista.

Przez kilka dni Kalist bywał regularnie w Touches; kręcił się wokół klombu, po alei, którą przechadzał się był kilkakrotnie z margrabiną, wspartą na jego ramieniu. Niekiedy zapuszczał się aż do Croisic i wchodził na skałę, z której usiłował strącić ją w morze; leżał godzinami pod bukszpanem, poznawszy bowiem załomy skalne, z łatwością wspinał się po nich, przebywając tam i z powrotem szczelinę. Samotne te spacerki, milczenie i brak apetytu przeraziły w końcu matkę. Po dwóch tygodniach owych przechadzek, przypominających spacerki zwierzęcia w klatce – klatką zaś były dla zakochanego młodzieńca, jakby powiedział La Fontaine, miejsca zaszczycone stopą i oświetlone okiem Beatryczy – Kalist dał pokój przeprowom przez morski zalew; miał już tylko tyle sił, by powlec się czasem na drogę, tam, skąd ujrzał Beatrycę w oknie. Rodzina, uszczęśliwiona wyjazdem paryżan, nie dostrzegła nic złowróbnego w chorowitym wyglądzie Kalista. Stare panny i proboszcz, wierni swoim

planom, zatrzymali Szarlotę de Kergarouët, która wieczorami naprzykrzała się zalotnie Kalistowi, nic w zamian nie otrzymując prócz rad natury karcianej. Cały wieczór Kalist siedział między matką i swoją bretońską narzeczoną, pod baczным okiem proboszcza i starej Jacynty, którzy potem, wracając do domu, rozprawiali o momentach jego przygnębienia. Brali obojętność nieszczęsnego chłopca za korną zgodę na ich projekty. A kiedy któregoś wieczoru Kalist, czując się osłabionym, poszedł spać wcześniej, kiedy na górze stuknęły drzwi jego pokoju, wszyscy odłożyli karty i spojrzeli po sobie. Wsłuchiowano się niespokojnie w odgłos kroków młodzieńca.

– Kalistowi coś jest – rzekła baronowa, ocierając oczy.

– Nic mu nie jest – zaproponowała panna de Pen-Hoël – trzeba go tylko zaraz ożenić.

– Myślisz pani, że to go rozweseli? – zagadnął pan du Halga.

Szarlota spojrzała srogo na kapitana, stwierdzając, że jest nader nietaktowny, niemoralny, zdeprawowany, bezbożny i śmieszny z tą swoją suczką. Daremnie potem jej ciotka broniła starego kapitana.

– Jutro rano rozmówię się serio z Kalistem – ozwał się baron, choć wszyscy myśleli, że drzemie. – Nie chciałbym rozstać się z tym światem nie obejrzawszy wnuka, różowiuchnego Guéniczka w kołysce i w czepeczku bretońskim.

– Nie mówi ani słowa – rzekła stara Zefiryra – pan Bóg wie, co mu jest; i nigdy jeszcze nie jadał tak mało; czym się więc żywi? Jeśli jada w Touches, nie służy mu ta kuchnia diabelska.

– Zakochał się – powiedział kawaler, wysuwając ów ryzykowny pogląd nadzwyczaj nieśmiało.

– A niech cię nie znam! Aleś trafił, stary bałamucie! – obruszyła się panna de Pen-Hoël. – Jak tylko pomyślisz pan o swojej młodości, zapominasz o wszystkim.

– Proszę jutro na śniadanko – zwróciła się Zefiryra do Szarloty i starej Jacynty. – Mój brat przemówi Kalistowi do rozumu, to i ułożymy wszystko. Klin klinem.

– Ale nie u Bretończyków – zauważył kawaler.

Nazajutrz rano, kiedy pan du Guénic kończył w jadalni dyskurs matrymonialny, na który Kalist nie wiedział, co odrzec, zjawiała się Szarlota niepowszednio wystrojona. Młodzieniec znał naiwność ciotki, rodziców i przyjaciół; zbierał owoc z drzewa wiadomości, żył w odosobnieniu, nie mówił już językiem swoich najbliższych. Jakoż poprosił ojca jedynie o parę dni zwłoki. Stary pan zatarł ręce i przywrócił żonę do życia, szepnąwszy jej na ucho radosną wiadomość. Śniadanie było wesołe. Szarlota brylowała – gdyż baron uwiadomił ją znakiem. Gasselin rozgadał już był na mieście, że du Guénikowie dogadali się z Kergarouëtami. Po śniadaniu Kalist wyszedł z jadalni przez ganek do ogrodu, Szarlota podążyła za nim; podał jej ramię i wprowadził do altanki. Starsi, stojąc w oknie, popatrywali na nich z rozrzewnieniem. Szarlota skierowała wzrok ku wdzięcznej fasadzie, zaniepokojona raczej milczeniem swojego konkurenta, i wykorzystując rzeczoną okoliczność wszczęła rozmowę słowami: „Śledzą nas!”

– Ale nic nie słyszą – odparł.

– Tak, ale widzą.

– Siądźmy, droga Szarloto – powiedział łagodnie Kalist, ujmując ją za rękę.

– Czy to prawda, że w dawnych czasach sztandar du Guéników powiewał na tej krętej kolumnie? – spytała, ogarniając domostwo wzrokiem przyszłej gospodyni. – Wspaniale by tam wyglądał! Jacy byśmy tu byli szczęśliwi! Zmienisz coś niecoś umeblowanie, prawda, Kalistku?

– Nie starczy mi czasu, moja droga – odrzekł, całując ją po rękach - Zawierzę ci mój sekret. Nazbyt kocham osobę, którą widziałas, a która też mnie kocha, bym potrafił dać szczęście innej kobiecie, choć wiem, że przeznaczono nas dla siebie od dzieciństwa.

– Ależ to mężatka, Kaliście! – zawołała Szarlota.

– Będę czekał – odparł Kalist.

– I ja też – odrzekła Szarlota z oczyma pełnymi łez. – Nie potrafisz kochać długo tej kobiety, która podobno uciekła z jakimś śpiewakiem...

– Wyjdz za mąż, droga Szarloto – podjął Kalist. – Ciotka zapisała ci majątek jak na Bretanię olbrzymi, z łatwością tedy znajdziesz lepszą niż ja partię... Wybierzesz sobie młodzieńca utytułowanego. Nie zaprowadziłem cię do tej altany, żeby ci oznajmić to, co i tak wiesz; chcę cię zakląć w imię naszej przyjaźni, datującej się od dzieciństwa, żebyś to zerwanie wzięła na siebie. Powiedz, że nigdy nie wyjdiesz za człowieka, którego serce nie jest wolne, a w ten sposób mój afekt przyda się na coś, gdyż nie wyrządzi ci żadnej krzywdy. Nie wyobrażasz sobie, jak ciąży mi życie! Nie wytrzymam żadnej walki, jestem słaby, jak gdyby opuściła mnie dusza, sama zasada życia. Gdyby nie rozpacz, o jaką moja śmierć przyprowadziłaby matkę i ciotkę, już dawno rzuciłbym się do morza; nie chodzę na skały Croisic od czasu, jak pokusa ta stała się przemożną. Lecz o tym nie mów nikomu. Zegnaj, Szarloto!

Ujął głowę dziewczyny, ucałował jej włosy i boczną alejką wymknął się do Felicyty, u której przesiedział do północy. Wróciwszy o pierwszej, zastał matkę nad krosienkami. Czeakała. Wszedł cicho i uściskawszy jej rękę spytał:

– Szarlota wyjechała?

– Jutro wyjeżdża z ciotką, rozpaczają obie. Pojedź, Kalistku, do Irlandii – rzekła.

– Ileż razy myślałem, żeby tam się schronić! – powiedział.

– Ach! – wykrzyknęła baronowa.

– Z Beatrycą – dodał.

W parę dni po wyjeździe Szarlotty Kalist dotrzymywał kompanii kawalerowi du Halga w jego przechadzce po plantach. Siedząc w słońcu, na ławce, ogarniał okiem widnokrąg, od wieżyczek Touches aż po rafy, o których obecności świadczą spienione fale przyływu, przelewające się nad nimi. Był wychudły i blady, tracił siły, od niedawna przebiegał go dreszczyk zwiastujący gorączkę. Podkrążone oczy pały mu niczym u samotników nękanym upartą myślą lub też jak u namiętych zapaśników walczących w zapale o teraźniejszą cywilizację. Kawaler był jedynym człowiekiem, z którym czasami wymieniał myśli, gdyż odgadł w tym starcu apostoła swojej religii, odkrywając w jego sercu ślady miłości wieczystej.

– Kochał pan w życiu wiele kobiet, nieprawdaż? – zagadnął, kiedy po raz wtóry z egłowali wspólnie po plantach, jak mawiał sędziwy marynarz.

– Jedną jedyną – odparł kapitan du Halga.

– A czy była wolna?

– Nie. Ach! Ileż ja się wycierpiałem! Była żoną mojego najlepszego przyjaciela, protektora, dowódcy. No cóż, bardzośmy się kochali!

– I ona kochała pana?

– Do szaleństwa – oznajmił kawaler z niezwykłym jak u niego ożywieniem.

– A był pan szczęśliwy?

– Aż do jej śmierci. Umarła mając czterdzieści dziewięć lat, na emigracji, w Petersburgu, gdzie klimat ją zabił. Zimno jej musi być w trumnie. Nieraz myślałem, żeby po nią pojechać, sprowadzić i ułożyć w naszej kochanej Bretanii! Miałbym do niej blisko. Ale ona spoczywa tu, w moim sercu. – Kawaler otarł oczy, Kalist uściskał mu ręce. – Kocham tę suczkę nad życie – dodał wskazując Tysbe. – Bo to maleństwo jest kubek w kubek podobne do suczki, którą ona to głaskała ślicznymi rękami, to brała na kolana. Spoglądając na Tysbe, widzę zawsze ręce pani admirałowej.

– Widział pan kiedy panią de Rochefide? – zapytał Kalist.

– Nie. Od pięćdziesięciu ośmiu lat nie zwróciłem uwagi na żadną kobietę, z wyjątkiem pańskiej matki, której płeć przypomina po trosze karnację pani admirałowej.

W trzy dni potem kawaler rzekł na plantach do Kalista:

– Mój chłopcze, mam za cały majątek sto czterdzieści ludwików. Dowiedziawszy się, gdzie szukać pani de Rochefide, weźmiesz je ode mnie i pojedziesz do niej.

Kalist podziękował starcowi. Zazdrościł mu jego egzystencji. Stawał się posepniejszy z dnia na dzień, opędał się od wszystkich, wydawało się, że każdy go drażni, łagodny i dobry był jedynie dla matki. Baronowa śledziła coraz niespokojniej postępy tego szaleństwa, ona jedna potrafiła wymóc na nim prośbami, żeby się nie zagładał. Z początkiem października chory młodzieniec przestał chodzić na planty w towarzystwie pana du Halgi, który daremnie usiłował wyciągać go na spacer, przekomarzając się z nim, jak to starcy.

– Pogadamy o pani de Rochefide. Opowiem ci moją pierwszą przygodę miłosną – zachęcał Kalista.

– Syn pani jest ciężko chory – oznajmił kawaler baronowej w dniu, kiedy na niczym spełzły jego nalegania.

Kalist odpowiadał wszystkim, że czuje się wybornie, i jak każdy młody melancholik rozkoszował się myślą o śmierci; ale nie wychodził już z domu, przesiadywał w ogrodzie na ławce, grzejąc się w bladych i ciepłych promieniach jesienno słońca – i sam na sam ze swoimi myślami unikał wszelkiego towarzystwa.

Przestał odwiedzać Felicję. Panna des Touches uprosiła plebana, aby zachodził do niej. Ustawiczne wizyty księdza Grimont, który spędzał w Touches każde niemal przedpołudnie, a czasami bywał tam na obiedzie, stały się wielkim ewenementem; debatowano nad tym w całej okolicy, a nawet w Nantes. Niemniej ksiądz nie opuścił ani jednego wieczoru w domostwie du Guéników, jakże smutnym ostatnio. Rodzice i słudzy trapił się upartą melancholią Kalista, nie sądząc jednak, by groziło mu niebezpieczeństwo; nikomu nie przychodziło do głowy, żeby nieszczęsny młodzieniec mógł umrzeć z miłości. Kawaler nie napotkał przykładu podobnej śmierci ani w swoich wozach, ani też nie przypominał sobie o czymś takim. Chudość Kalista przypisywali wszyscy niedostatecznemu odżywianiu. Matka klękała przed nim, błagając, by jadł. Kalist usiłował przewyciężyć wstręt do jedzenia, żeby zrobić przyjemność matce. Pokarm, przyjmowany z musu, wzmagął niewysoką gorączkę, która powoli zżerała pięknego młodzieńca.

Z końcem października ów syn ukochany przestał sypiać na drugim piętrze: ustawiono mu łóżko w jadalni, gdzie spędzał większość czasu w gronie rodziny, która zdecydowała się wreszcie wezwać miejscowego lekarza. Doktor starał się przerwać gorączkę chininą i rzeczywiście ustąpiła ona na parę dni. Zalecił również Kalistowi ćwiczenia cielesne i rozrywki. Baron znalazł w sobie trochę sił, by wyrwać się z apatii: odmłodził, kiedy syn jego się starzał. Zabrał Kalista, Gasselina, dwa piękne psy myśliwskie. Kalist usłuchał ojca i polowali w trzech kilka dni, włócząc się po lesie i odwiedzając przyjaciół w pobliskich dworach, lecz Kalistowi obcą była wszelka wesołość, nikt nie zdołał wydobyć zeń uśmiechu, pokurczone i blade lico zdradzało całkowitą apatię. Baron, sfatygowawszy się, osłabł okropnie i musiał wracać do domu, przywoząc Kalista w nielepszym stanie. Po kilku dniach ojciec i syn zachorowali tak ciężko, iż na żądanie miejscowego eskulapa sprowadzono z Nantes dwóch najślawniejszych lekarzy. Widoczne pogorszenie w zdrowiu Kalista raziło barona jak gromem. Odznaczając się ową okrutną przenikliwością, jaką natura daje ludziom, którzy stoją nad grobem, drżał, że ród jego wygaśnie; milczał, składał ręce i modlił się na fotelu, do którego przygwoździła go słabość. Fotel obrócono w stronę łóżka, na którym leżał Kalist, i baron nie spuszczał go z oczu. Jeśli tylko chłopak się poruszył, baron doznawał wstrząsu, jak gdyby ktoś podsycił płomień jego życia. Baronowa nie opuszczała komnaty, przy kominku stara Zefiryra robiła na drutach, miotana okropnym niepokojem: żądano od niej drzewa, gdyż obu panom było wciąż zimno; dobierano się do jej zapasów, toteż postanowiła oddać klucze, nie mogąc już nadażyć wszędzie za Maryską, ale chciała wszystko wiedzieć i zniżając głos rozpytywała co chwila to służę, to bratową; odwoływała je na bok informując się o zdrowiu brata i bratanka. Kiedy któregoś wieczoru obaj drzemali, stara panna de Pen-Hoël szepnęła przyjaciółce, że z wszelką pewnością trzeba przygotować się na rychłą śmierć barona, jego twarz bowiem stała się papierowo blada i jakby woskowa, Zefiryra upuściła druty, pogrzebała w

kieszeni i wydobywszy czarny drewniany różaniec jęła odmawiać go z żarliwością, która użyczyła jej pomarszczonej i wyschłej twarzy blasku tryskającego taką energią, iż panna Jacynta poczęła modlić się również, po czym wszyscy na znak proboszcza wzniesli za przykładem panny du Guénic myśl do Boga.

– Ja prosiłam Boga najwcześniej – rzekła baronowa, wspominając fatalny list syna – i nie wysłuchał mnie!

– Może byłoby dobrze – ozwał się ksiądz Grimont – namówić pannę des Touches, żeby odwiedziła Kalista.

– Ją? – rozsierdziła się stara Zefiryra – ją, co sprowadziła na nas wszystkie te nieszczęścia, ją, która oderwała go od rodziny, która go nam zabrała, która dała mu do czytania bezbożne książki i wyuczyła go heretyckiej mowy? Niech będzie przeklęta i obyż Bóg nie przebaczył jej nigdy! Zniweczyła Guéników.

– Lecz może ich również podniesie – ozwał się łagodnie pleban. – To osoba świątobliwa i pełna cnót. Jestem jej gwarantem, żywi ona wobec Kalista li tylko najlepsze intencje. Obyż je tylko zdołała wprowadzić w czyn!

– Proszę mnie uprzedzić o jej wizycie, bo jeśli noga tej panny tu postanie, ja wyjdę z domu – wykrzyknęła Zefiryra. – Zabiła ojca i syna. Czy myślicie, że nie słyszę słabego głosu Kalista? Ledwie biedaczek ma siły, żeby przemówić.

W tymże momencie zjawili się trzej lekarze. Zmęczeni Kalista pytaniami, barona jednak badali krótko. Nie zastanawiali się nad orzeczeniem, dziwili się tylko, że dotąd żyje. Lekarz z Guérande oznajmił spokojnie baronowej, że co do Kalista trzeba będzie zasięgnąć rady w Paryżu u najdoświadczeńszych uczonych, ich bowiem tutaj wizyta kosztowałaby ponad sto ludwików.

– Umiera się zawsze na coś, ale nie na miłość – zauważyła panna de Pen-Hoël.

– Cóż zrobić! Kalist umiera – przyczyna jest obojętna – powiedziała baronowa. – Widzę u niego wszelkie symptomy galopujących suchot, najstraszniejszej choroby w moim kraju.

– Kalist umiera? – zagadnął baron otwarszy oczy, z których spłynęły dwie grube łzy tocząc się zwolna wśród zmarszczek; zatrzymały się koło ust – na pewno jedyne łzy, jakie uroił przez całe życie. Podźwignął się, podszedł do łóżka Kalista, wziął go za rękę, spojrzał nań.

– Czego chcesz, ojcze? – zapytał Kalist.

– Chcę, żebyś żył! – zawołał baron.

– Nie potrafię bez Beatrycy – odpowiedział starcowi, który padł wtedy na fotel.

– Skąd wziąć sto ludwików, żeby sprowadzić paryskich lekarzy? – ozwała się baronowa. – Jeszcze nie za późno.

– Sto ludwików? – zawołała stara panna. – A ocalą go?

I nie czekając na odpowiedź bratowej, wsunęła rękę w otwory kieszeni i opuściła halkę, która stuknęła ciężko o podłogę. Znajac wybornie miejsca, gdzie zaszywała swoje ludwiki, porozpruwała te skrytki z czarodziejską niemal szybkością. Sztuki złota spadały, dźwięcząc jedna po drugiej na spódnice. Na twarz starej Jacynty wypełzło głupkowate zdumienie.

– Ależ oni to widzą – ostrzegła szeptem przyjaciółkę,

– Trzydzieści siedem... – liczyła Zefiryra, nie zwracając uwagi na te słowa.

– Wszyscy się dowiedzą, ile masz...

– Czterdzieści dwa...

– Nowiuteńkie dublony? Skądżeś je wytrzasnęła, ty, która nie widzisz?

– Macałam. Sto cztery dukaty! – zawołała Zefiryra. – Wystarczy wam?

– Co się tu dzieje? – spytał, wchodząc kawaler du Halga. Nie mógł pojąć, czemu jego sędziwa przyjaciółka pokazuje podolek pełen dukatów.

Panna de Pen-Hoël wyjaśniła mu to w paru słowach.

– Dowiedziawszy się również o tym – odrzekł – przynoszę sto czterdzieści ludwików, którym zachował do dyspozycji Kalista. Wiedział przecież o nich.

I kawaler pokazał dwa rulony, dobywszy je z kieszeni. Maryśka widząc tyle bogactwa, kazała Gasseliniowi zamknąć drzwi.

– Złoto nie przywróci mu zdrowia – powiedziała z płaczem Fanny.

– Ale może mu się przydać na pogoń za margrabiną – odparł kawaler. – No, Kaliście!...

Kalist siadł na posłaniu, wołając radośnie: – W drogę!

– A więc będzie żył – ozwał się z boleścią baron – to i mogę umrzeć. Sprowadźcie mi księdza.

Słowa te przeraziły wszystkich. Kalist rozplakał się widząc bladość ojca, wstrząśniętego tą nazbyt okrutną sceną. Proboszcz, świadom decyzji doktorów, poszedł po pannę des Touches, gdyż o ile dawniej żywił do niej odrazę, o tyle teraz admirował ją i bronił, jak pasterz winien osłaniać jedną ze swoich najulubieńszych owieczek.

Na wieść o beznadziejnym stanie barona zebrał się w uliczce tłum; chłopci, solarze i mieszkańcy Guérande uklękli na dziedzińcu, a tymczasem ksiądz Grimont dysponował starego woja bretońskiego na śmierć. Całe miasto przejęło się wiadomością, że ojciec umiera obok chorego syna. Wygaśnięcie tego starego rodu bretońskiego poczytywano za klęskę publiczną. Ceremonia ta wstrząsnęła Kalistem. Boleść na moment zagłuszyła miłość; kiedy konał bohaterski obrońca monarchii, młodzieniec klęczał i płacząc obserwował postępy agonii. Starzec wyzionął ducha w swoim fotelu, wobec zgromadzonej rodziny.

– Umieram wierny królowi i religii. O Boże! Za te moje trudy zachowaj Kalista przy życiu! – zawołał.

– Będę żył, ojcze, i spełnię twoją wolę – powiedział Kalist.

– Jeśli chcesz osłodzić mi ostatnie chwile, jak Fanny osładzała mi życie, przysięgnij, że się ożenisz.

– Przyrzekam, ojcze.

Wzruszający to był widok: Kalist, a raczej jego cień, wsparty na ramieniu sędziwego kawalera du Halgi – widmo wiodące cień – otwierał kondukt postępując za trumną barona. Kosciół i placyk przed nim zapełniły się cizbą ludzi, którzy ściągnęli z całej okolicy, robiąc nieraz po dziesięć mil.

Baronowa i Zefiryra bolały srodze, widząc, że mimo wysiłków, by spełnić obietnicę daną ojcu, Kalist pozostawał nadal w złowróżnym odrętwieniu. Tego dnia, kiedy rodzina przyoblekła żałobę, baronowa zaprowadziła Kalista na ławkę w głębi ogrodu i jeła go wypytywać. Kalist odpowiadał łagodnie i z pokorą, lecz były to odpowiedzi zdolne przywieść do rozpaczy.

– Moja mamó – mówił – życie wygasło już we mnie; nie krzepi mnie jedzenie, powietrze wpadając do płuc, nie odświeża krwi, słońce wydaje mi się zimne, a kiedy rozświetla dla ciebie fasadę naszego domu, jak w tej chwili właśnie, to tam, gdzie ty widzisz rzeźby skąpane w promieniach, ja widzę kształty niewyraźne i zamglone. Gdyby Beatrix tu była, lśniłoby wszystko. Jedna tylko rzecz na świecie ma jej barwy i kształt: to te kwiaty i liście – tu wydobyl zwiędły bukiet, który nosił na piersi, bukiet – dar od margrabiny.

Baronowa nie odważyła się pytać więcej: w odpowiedziach jej syna tailo się więcej szaleństwa – niżli boleści w milczeniu. Mimo to Kalist zdrzął ujrzawszy z dala pannę des Touches, poprzez dwa umieszczone naprzeciw siebie okna: Felicjta przypomniała mu Beatrycę. Felicjcie to więc obie zrozpaczone kobiety zawdzięczały jedyny błysk radości, jaki pojawił się wśród żałoby.

– A więc, Kaliście – powiedziała bez wstępów panna des Touches – powóz gotów, poszukamy razem Beatrycy. Jedziesz?

Wymizerowaną i bladą twarz młodzieńca w żałobie zabarwił nikły rumieniec, uśmiech ożywił jego rysy.

– Ocalimy go – rzekła Felicjta do baronowej, która płacząc z radości uścisnęła jej rękę.

W tydzień po śmierci barona baronowa, panna des Touches i Kalist wyruszyli do Paryża, pozostawiając gospodarstwo na opiece starej Zefirynty.

Tkliwa miłość Felicyty do Kalista przygotowała biednemu chłopcu najpiękniejszą przyszłość. Spokrewniona z rodem de Grandlieu, którego linia książęca wygasła na pięciu córkach, Felicyta opisała księżnej de Grandlieu losy Kalista, donosząc przy tym, że sprzedaje swój dom na ulicy Mont-Blanc, spekulanci bowiem oferują jej dwa i pół miliona franków. W miejsce owej posesji plenipotent Felicyty nabył już za siedemset tysięcy franków jeden z najpiękniejszych pałaców na ulicy Burbońskiej. Z reszty owych pieniędzy otrzymanych za dom przeznaczona milion na wykup rodzowego majątku du Guéników, całą zaś fortunę zapisuje Sabinie de Grandlieu, która ma wyleczyć Kalista z jego miłości do pani de Rochefide. Felicyta wiedziała nie od dziś o projektach księstwa, którzy przeznaczili najmłodszą z córek wicehrabiemu de Grandlieu, dziedzicowi tytułów; druga z rzędu, Klotylda Fryderyka, zamierzała pozostać panną, nie wstępując jednak do klasztoru, jak uczyniła najstarsza; należało więc wydać za mąż jeszcze tylko czwartą, śliczną Sabinę, liczącą podówczas dwadzieścia lat.

W drodze Felicyta uwiadomiła baronową o tych rokowaniach Meblowano akurat pałac na ulicy Burbońskiej, który w razie pomyślnego ich wyniku stałby się własnością Kalista. Wszyscy troje zajechali do państwa de Grandlieu, gdzie baronową przyjęto z honorami należnymi zarówno nazwisku nieboszczyka barona, jak i jej panięńskiemu. Panna des Touches doradziła oczywiście Kalistowi, by zwiedzał Paryż, ona zaś tymczasem postara się dowiedzieć, gdzie obecnie przebywa Beatrix – i pogрузyła się w czekających na nią, rozlicznych uciechach. Księżna de Grandlieu, jej dwie córki i znajomi poczęli Kalista wprowadzać w wielki świat z chwilą, gdy otwierał się sezon zabaw i balów. Ruch paryski dostarczył młodemu Bretończykowi silnych emocji. Dopatrzwszy się pewnego pokrewieństwa duchowego między panią de Rochefide a Sabiną de Grandlieu, która z pewnością zaliczała się podówczas do najpiękniejszych i najbardziej uroczych panien paryskiego świata, odpowiadał na jej zaloty atencją, do jakiej nie skłoniłaby go żadna inna kobieta. Sabina de Grandlieu tym łatwiej odgrywała swoją rolę, że Kalist jej się podobał. Sprawy potoczyły się najpomyślniej: zimą 1837 roku młody baron du Guénic, odzyskawszy rumieniec i wdzięk młodości, nie wzdrygnął się ze wstrętem, kiedy matka przypomniła mu obietnicę złożoną konającemu ojcu i napomknęła o małżeństwie z Sabiną de Grandlieu. Ale choć postanowił dotrzymać przyrzeczenia, taił sekretną obojętność, znaną baronowej. Fanny spodziewała się jednak, iż apatię tę rozproszą radości szczęśliwego mariażu. W dniu, kiedy rodzina de Grandlieu zasiadła w paradnym salonie razem z baronową i jej krewnymi przybyłymi na tę uroczystość z Anglii, a Leopold Hannequin, rejent państwa de Grandlieu, wyjaśniał punkty kontraktu przed ich czytaniem, Kalist, nachmurzywszy się z lekka, oświadczył stanowczo, że żadnych prezentów od panny des Touches nie przyjmie; licząc nadal na ofiarość Felicyty, mniemał, że poszukuje ona pani de Rochefide. W tymże momencie, wśród osłupienia obu rodzin, weszła Sabina, która, choć była brunetką, odziała się na modłę Beatryczy, i wręczyła Kalistowi następujące pismo:

FELICYTA DO KALISTA

Kaliście, nim zamieszkać celę postulantki, wolno mi rzucić spojrzenie na świat, który opuszczam, by zatonać w świecie modlitwy. Spojrzenie to należy całkowicie do Ciebie, bo w ostatnich czasach byłeś mi światem. Głos mój dotrze, jeśli nie zmylą mnie obliczenia, podczas uroczystości, w której uczestniczyć nie mogę. W dniu, kiedy staniesz przed ołtarzem, oddając rękę młodej i uroczej dziewczynie, która będzie mogła Cię kochać wobec ludzi i Boga, ja także stanę przed ołtarzem, ale w klasztorze w Nantes, jako oblubienica Tego, kto nigdy nie zdradza i nie oszukuje. Nie chcę Cię zasmucać, a tylko prosić, żebyś nie bacząc na żadną fałszywą drażliwość, przyjął majątek, którym pragnęłam Cię wywianować od chwili, gdy ujrzała Cię po raz pierwszy. Nie zaprzeczaj mi prawa zdobytego za tak wielką cenę. Jeśli mi-

łość jest cierpieniem, ach! w takim razie kochałam Cię bardzo; ale nie czyni sobie żadnych wyrzutów: Tobie zawdzięczam jedyną radość, jakiej zakosztowałam w życiu, a boleść sama ściągnęłam na siebie. Daj mi zadośćuczynienie za ów miniony ból, obdarzając mnie wiecznym szczęściem. Zgódź się, aby biedna Felicjta, która już nie istnieje, miała trochę udziału w szczęściu materialnym, pisany Ci do końca dni Twoich. Pozwól, Drogi, abym była przy Tobie czymś na kształt woni kwiatów życia, to znaczy miała w nim udział, nigdy Ci się nie naprzykrzając. Tobie na pewno będę zawdzięczać szczęście życia wiecznego; czyż więc nie chcesz, bym Ci się wyplaciła darem wielce kruchym i nietrwałym? Czyż nie okażesz się wspaniałomyślnym? Czy aby nie dopatrujesz się w tym ostatniego kłamstwa wzgardzonej miłości? Kaliście, świat bez Ciebie jest dla mnie niczym, uczyniłeś zeń dla mnie najstraszliwszą samotnię, przywiodłeś mnie przed Boga, zdałeś na Jego łaskę i niełaskę Kamila Maupin, niedowiarka, autora książek i sztuk teatralnych, które potępi uroczyście, dziewczynę zuchwałą i przewrotną. Jestem dziś tym, kim należało mi być, dzieckiem pełnym niewinności. Tak, omyłam suknię płaczem skruchy, dziś Kalist, mój najukochańszy anioł, mógłby poprowadzić mnie przed ołtarz. Z jakąż rozkoszą nadaję Ci to imię, które uświęciła moja decyzja. Kocham Cię – a miłość to wolna od wszelkich względów osobistych – jak matka kocha syna, jak Kościół miłuje swe dziecko. Będę się mogła modlić za Ciebie i Twoich najbliższych, nie nie pragnąc oprócz waszego szczęścia. Gdybyś wiedział, w jakiej szlachetnej spokojności żyję obecnie, wzniosłszy się myślą ponad małe sprawy tego świata, i gdybyś wiedział również, jak słodką jest myśl o spełnionym obowiązku, myśl, którą głosi Twoja piękna dewiza, wszedłbyś, krokiem stanowczym i nie oglądając się za siebie ani wokół siebie, w swoje piękne życie! Piszę więc nade wszystko, żeby Cię prosić, byś dochował wierności sobie i najbliższemu. Drogi, społeczeństwo, w którym żyć będziesz, nie przetrwałoby bez religii obowiązku, a Ty zapoznałbyś ją, jak ja zapoznałam, dając się ponieść fantazjom i namiętności, jak ja im ulegałam. Kobieta jedynie wtedy dorówna mężczyźnie, jeśli życie swoje zamieni w nieustającą ofiarę, jak mężczyzna zamienia je w czyn nieustający. Otóż moje życie było długim pasmem egoizmu. Dlatego może Bóg rozkazał Ci pod wieczór zastukać do moich drzwi, jako wysłannikowi niosącemu i karę, i łaskę. Posłuchaj wyznania kobiety: sława była dla mnie jakby latarnią, której światło wskazało mi drogę prawdy. Bądź wielki, poświęć kaprys obowiązkom głowy rodziny, małżonka i ojca. Podnieś z ziemi sztandar dawnych du Guéników, ukaż tej epoce pozbawionej zasad i bezbożnej szlachecka w całym jego splendorze i glorii. Drogie dziecię mojej duszy, pozwól mi po trosze odegrać rolę matki: urocza Fanny nie będzie zazdrosna o dziewczynę umarłą dla świata, dziewczynę, której nigdy już nie zobaczysz – prócz jej rąk wzniesionych do nieba. Dziś szlachta bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje fortuny, przyjmij więc, Kaliście, część mojej i spożytkuj ją pięknie. To nie darowizna, lecz depozyt. Bardziej myślałam o Twoich dzieciach i starym bretońskim rodzie niż o Tobie, ofiarowując Ci profit, jaki czas wyciągnął z dóbr moich w Paryżu.

– Podpiszmy – rzekł młody baron, ku wielkiemu zadowoleniu zebranych

CZEŚĆ TRZECIA

ZDRADA MAŁŻEŃSKA Z RZUTEM OKA WSTECZ

Następnego tygodnia, po ślubie, który odbył się zwyczajem kilku rodów z Faubourg Saint-Germain o siódmej u Świętego Tomasza z Akwinu, Kalist i Sabina, wśród uścisków, powin-szowań i łez dwudziestu osób zgromadzonych, a raczej stłoczonych pod markizą pałacu księstwa de Grandlieu, wsiedli do gustownej karety podróżnej, Gratulowali czterej świadkowie i w ogóle mężczyźni, popłakiwała księżna de Grandlieu z córką Klotyldą, gdyż obie drżały dręczone jedną i tą samą myślą.

– A więc wyrusza w życie! Biedna Sabinka, zdana na łaskę i niełaskę człowieka, który ożenił się bez nadmiernego entuzjazmu.

Mariaż składa się nie tylko z uciech, przelotnych zarówno w stanie małżeńskim, jak i w każdym innym: dwoje ludzi musi dobrać się usposobieniem, musi istnieć sympatia fizyczna i muszą pogodzić się charaktery – wszystko to z owej konieczności społecznej czyni wiecznie otwarty problem. Panny na wydaniu znają, tak samo jak ich matki, warunki i ryzyko tej loterii; oto dlaczego kobiety obecne na ślubie płaczą, uśmiechają się zaś mężczyźni; mężczyzna sądzi, że niczym nie ryzykuje, kobieta zdaje sobie mniej więcej sprawę z niebezpieczeństwa.

W karecie wyprzedzającej kolosę nowożeńców jechała baronowa du Guénic, którą księżna pożegnała takimi oto słowy: „Jesteś pani matką, choć masz tylko jednego syna, postaraj się zastąpić matkę drogiej Sabinie!”

Na koźle owej karety jechał strzelec pełniący rolę forysia, a z tyłu, za pudłem, dwie pokojowe. Czterej poczytylioni – powozy były bowiem czterokonne – odziani w najparadniejsze uniformy, mieli kwiaty w butonierkach, u kapeluszy – wstążki, choć księżę de Grandlieu namówił ich z ogromnym trudem, a nawet opłacił, by owe wstążki zdjęli. Poczytylion francuski jest nadzwyczaj inteligentny, lecz upiera się przy swoich żartach: jakoż i nasi poczytylioni pieniądze wzięli, a za rogatkami znów poprzyypinali wstążki.

– A więc do widzenia, Sabinko – rzekła księżna – i pamiętaj, że obiecałaś pisywać często. Panu Kalistowi nic już więcej nie powiem, bo i tak mnie rozumie!...

Klotylda, wsparłszy się o swoją młodszą siostrę Atenais, do której uśmiechał się akurat wicehrabia Justyn de Grandlieu, poprzez łyzy spojrzała chytrze na młodą mężatkę i odprowadziła wzrokiem karete, co znikła wśród nieprzerwanej kanonady czterech biczów, głośniejszej niż pistolety na strzelnicy. Po kilku sekundach wesoły orszak był już na esplanadzie Inwali-

dów, wpadł mostem Jenajskim na bulwar, minął roгатkę Passy i z drogi Wersalskiej zjechał na główny trakt bretoński.

Rzecz osobliwa: rzemieślnicy szwajcarscy i niemieccy, wyruszając w podróż zaraz po ceremonii ślubnej, hołdują temuż obyczajowi, co arystokracja angielska i francuska. Moźni jadą stłoczeni w toczącym się pudle, maluczcy idą wesoło przez pola, odpoczywają po lasach, uczują w każdej napotkanej oberży, dopóki nie wyczerpie się ich radość, a raczej pieniądze. Moralista długo łamałby sobie głowę, nimby odpowiedział, czyj rodzaj wstydu jest piękniejszy: zacnych mieszczan inaugurujących uroczyste swoje ognisko domowe i łożę, czy też tych, co ukrywając się przed rodziną, afiszują się na gościńcu wobec nieznanym? Dusze wrażliwe szukają naturalnie samotności, uciekając zarówno przed rodziną, jak przyjaciółmi. Miłość od pierwszego wejrzenia rozpoczynająca związek małżeński – to diament, perła, klejnot wyrzeźbiony przez najpierwszą spośród sztuk, skarb, który należy zataić na dnie serca.

Któż może opowiedzieć o miodowym miesiącu, jeśli nie młoda mężatka? Ileż kobiet przyzna mi tu rację, iż ów okres przelotny – czasem trwa on tylko jedną noc! – to wstęp do całego pożycia małżeńskiego! Trzy pierwsze listy Sabiny do matki określają sytuację, nieszczęściem nienową i dla niektórych młodych mężatek, i dla wielu starych kobiet. Nie każda kobieta, która zostanie, by tak rzec, pielęgniarką serca, dostrzeże to zaraz, jak Sabina. Lecz inteligentna panna z Faubourg Saint-Germain ma częstokroć wiedzę dojrzałej umysłem kobiety. Przed zamęciem otrzymuje od matki i w salonach chrzest dobrego tonu. Księżne, bacząc pilnie, by przekazać tradycje rodu, często nie zdają sobie sprawy, jak dalekosiężny wpływ mają owe nauki udzielane córkom: – Tak poruszać się nie wypada... Z tego śmiać się nie powinnaś... Nie rzucaj się nigdy na otomanę, ale siadaj z godnością... Oduczże się w końcu tych szkaradnych manier!... Ależ tak się nie robi, moja droga! etc. Toteż krytycznie patrzący mieszczanie zaprzeczają niesłusznie cnót i niewinności owym dziewczętom, co, jak Sabina, są li tylko dziewczycami wydoskonalonymi wśród ludzi dowcipnych i gładkich, wśród manier wielkopańskich i dobrego smaku, osobkami, co już w szesnastym roku życia umieją posługiwać się lornetką. Skoro Sabina sprostowała kombinacjom matrymonialnym Felicjty des Touches, musiała być wyedukowana podobnie jak panna de Chaulieu. Wrodzona bystrość, przymioty właściwe arystokratce uczynią może tę młodą kobietę równie interesującą jak bohaterka „Listów dwóch młodych mężatek”, kiedy stanie nam przed oczyma bezużyteczność przywilejów społecznych w przełomowych momentach pożycia małżeńskiego, to znaczy, gdy przywileje te niweczy częstokroć dwojaki ciężar: nieszczęścia i miłości.

I

DO J. O. KSIĘŻNEJ DE GRANDLIEU

Guérande, w kwietniu 1838 r.

Z pewnością potrafisz zrozumieć, droga Mamo, czemu nie pisałam w podróży: umysł nasz toczy się wtedy jakby na kołach. Od dwóch dni jestem w głębi Bretanii, w pałacu du Guénik-ów: dom to rzeźbiony niczym szkatułka z kokosu. Rodzina Kalista okazuje mi serdeczną uwagę, jakże chciałabym jednak pofrunąć do Ciebie, opowiedzieć Ci mnóstwo rzeczy, z których, czuję to, można zwierzać się tylko matce. Kalist ożenił się, droga Mamo, zachowując w sercu ogromną bolesć, o której wiedzieliśmy doskonale wszyscy, a i Ty nie tailaś, jak trudną przyjdzie mi prowadzić politykę; niestety, droga Mamo, większe to trudności, niż przypuszczałaś. Ach, jakiegoż doświadczenia nabywamy w kilka dni, a właściwie w parę godzin! Wszystkie Twoje rady okazały się bezużyteczne, a czemu – wyjaśni Ci to jedno zdanie: kocham Kalista tak, jakby nie był moim mężem. To znaczy, jakbym będąc żoną innego, wołała z Kalistem, kochała go, a nienawidziła męża. Pomyśl, że kocham tego człowieka nie-

zależnie od mojej woli, absolutnie, wyłącznie, dołóż jeszcze jakie chcesz przysłówki! Tak to mimo Twoich dobrych rad popadłam w niewolę. A zalecałaś mi przecie, że mam być wspaniałą, szlachetną, godną i dumną, aby obudzić w Kaliście afekty, których życie nie zniweczy: estymę i szacunek, uświęcające kobietę wśród rodziny. Oburzałaś się, i słusznie z pewnością, na młode dzisiejsze kobiety, które pragnąc zgodnego pożycia z mężami zaczynają od ustępliwości, łatwości, pocziwości, familiarności, oddania trącacego po trosze dziewczką (przyznam Ci się, że jak dotąd, nie zrozumiałam tego słowa; zobaczy się później), kobiety, co jeśli Ci mam wierzyć, pędzą niby rozstawnymi końmi, by raptem zatrzymać się na obojętności, a może i wzgardzie. „Pamiętaj, że należysz do rodu Grandlieu!” – szepnęłaś mi na ucho. Zalecenia te, pełne macierzyńskiej elokwencji godnej Dedala, spotkał los innych podań mitologicznych. Czy mogłaś się spodziewać, najukochańsza Mamo, że zacznę od owej katastrofy, którą Twoim zdaniem kończy się miesiąc miodowy dzisiejszych młodych kobiet?

Będąc wreszcie sam na sam w karecie, zdurnieliśmy oboje, rozumieliśmy bowiem całą wartość pierwszego słowa i pierwszego spojrzenia, toteż oszołomieni sakramentem wyglądaliśmy przez okienka powozu, każde w swoją stronę. Było to tak śmieszne, że gdzieś koło rogatek pan mąż wydukał z pomieszaniem dyskurs, na pewno jak i każda improwizacja przygotowany, którego wysłuchałam z bijącym sercem. Pozwalam sobie jednak skrócić go tutaj: „Moja droga Sabino, pragnę, żebyś była szczęśliwa, i to szczęśliwa we własnym rozumieniu. W tej sytuacji, miast oszukiwać się wzajem co do naszych charakterów i uczuć, oszukiwać się za pomocą szlachetnych ustępstw, bądźmy oboje tacy, jacy będziemy za lat parę. Wyobraź sobie, że masz pani we mnie brata, jak ja chciałbym mieć w tobie siostrę”. Choć wiele w tym pierwszym speech'u było delikatności, nie dopatrzyłam się w nim afektu małżeńskiego odpowiadającego zapałom mojej duszy – zadumałam się więc, odparłszy, że i mnie ożywiają podobne sentymenta. Po tym wzajemnym oświadczeniu, że jedno drugiemu ma prawo okazywać chłód, rozprawialiśmy o pogodzie, kurzu, postojach i krajobrazach. Niezwykle urocza była to pogawędka: ja krasilałam ją wymuszonym uśmiechem, on zaś nader rozmarzonym.

Na koniec, tuż za Wersalem, spytałam bez ogródek Kalista – nazywałam go „drogim Kalistem”, on zaś mnie „swoją drogą Sabiną” – czy może mi opowiedzieć o wypadkach, które o mało nie wpędziły go do grobu, a którym, o ile mi wiadomo, zawdzięczam swoje szczęście małżonki. Wahał się długo. Wywołało to między nami sprzeczkę lekką, ale ciągnącą się przez trzy postoje: ja starałam się być arbitralną i zdecydowaną na dąsy, on zaś roztrząsał w duchu to fatalne pytanie, którym rzuciłam mu rękawicę, jak dziennikarze Karolowi X: „Czy król ustąpi?” Wreszcie za Verneuil, kiedy złożyłam mu przysięgi zdolne ukontentować trzy dynastie – że nigdy nie będę mu wyrzucać tego szaleństwa, że nie będę traktować go chłodno etc., odmalował mi swoją miłość do pani de Rochefide. „Nie życzę sobie – zakończył – aby istniały między nami sekrety”. Kochany biedaczek nic tedy nie wiedział, że jego przyjaciółka, panna des Touches i Ty musiałyście mi wszystko wyjawić, bo nie przebiera się młodej osoby w dzień zawarcia intercyzy tak, jak ja byłam przebrana, nie zdradziwszy jej, jaką ma odegrać rolę. Matce tak tkliwej jak Ty trzeba powiedzieć wszystko. A więc poczułam się głęboko dotknięta, że, jak się przekonałam, mówił o tej nieznannej miłości bardziej powodowany chęcią zwierzeń aniżeli posłuszny moim życzeniom. Czy zganisz mnie, kochana Mamo żem zapragnęła poznać rozmiary tej zgryzoty, tej piekającej rany serca, o której mnie uprzedziłaś? Tak to w osiem godzin po tym jak pobłogostawił nas proboszcz od Świętego Tomasza, Twoja Sabina znalazła się w sytuacji dość osobliwej: jako młoda małżonka musiałam wysłuchiwać z ust rodzzonego męża wynurzeń na temat zawodu miłosnego, który sprawiła mu moja występna rywalka. Tak, stałam się bohaterką dramatu o młodej kobiecie, która dowiaduje się oficjalnie, że poślubiono ją, ponieważ jej mężem wzgardziła podstarzała blondyna. Ale szukałam guza, tom go sobie nabiła! „Co takiego?...” – oburzysz się. E, droga Mamo, dość widziałam amorków szamoczących się na zegarach i na kominkach, bym nie wykorzystwała praktycznie tej nauki. Kalist zakończył swój poemat wspomnień zapewniając gorąco, że puścił całkowicie w

niepamięć to swoje tak zwane szaleństwo. Każde zapewnienie wymaga podpisu. Szczęsny nieszczęśnik ujął moją rękę i podniósł do warg, po czym długo jeszcze trzymał ją w dłoniach. Nastąpiło oświadczenie. Wydało mi się ono stosowniejsze niż poprzednie, z uwagi na nasz stan cywilny, choć usta nasze nie wypowiedziały przy tym ani jednego słowa. Zawdzięczałam to szczęście żywiołowemu oburzeniu na zły gust oślicy, która nie pokochała mojego pięknego, mojego zachwycającego Kalista...

Wołają mnie na karty – lecz tej gry nie nauczyłam się jeszcze. Jutro będę pisać dalej. Przerwać rozmowę z Tobą, żeby zagrać – jako piąta – w pamfila, to możliwe tylko w bretońskim zaścianku!...

Maj.

Podejmuję tok mojej Odysei. Trzeciego dnia Twoje dziatki przestały już traktować się ceremonialnie, zachowywaliśmy się, jak na kochanków przystało. Moja świekra, zachwycona naszym szczęściem, usiłuje zastąpić mi Ciebie, droga Mamo, i udaje jej się to niemal, jak i wszystkim, którzy podejmują rolę zacierania wspomnień. Jest urocza! Odgadła zapewne moją heroiczną politykę, gdyż od początku podróży zbyt starannie ukrywała swój niepokój aby nie stał się on widoczny – z nadmiaru ostrożności.

Kiedy wieże Guérande wyrosły mi przed oczyma, szepnęłam Twojemu zięciowi na ucho: „Czyś naprawdę o niej zapomniał?” Mój mąż, a właściwie już mój anioł, nigdy widać nie spotkał się z bogactwem prostego i szczerego uczucia, gdyż na to słówko o mało nie oszalał z radości. Niestety, posunęłam się za daleko, pragnąc aby zapomniał, o pani de Rochefide. Cóż robić? Kocham, w żyłach moich płynie krew portugalska, bom jest podobniejsza do Ciebie niż do ojca. Kalist wszystko znosi ode mnie, tak jak znoszą zepsute dzieci; bo to przede wszystkim jedynek. Mówiąc między nami, nigdy nie dam córki, jeśli będę ją miała, jedynekowi. Dość ściągnąć sobie na kark jednego tyrana, a w jedynaku drzemie ich kilku! Tak więc odwróciliśmy role: zachowuję się jak oddana małżonka. W oddaniu, z którego ktoś korzysta, kryje się niebezpieczeństwo: można stracić godność. A więc oświadczam Ci, że już utonęła mi ta połowiczna cnota. Godność to tylko parawan ustawiony przez dumę, za którym możemy wściekać się do woli. No cóż, droga Mamo, nie ma Cię tu ze mną, a ja stanęłam nad przepaścią. Gdybym nie wyzbyła się godności, bolałabym i zimna byłaby to boleść, coś w rodzaju braterstwa, które na pewno przerodziłoby się po prostu w obojętność. I jakąż bym sobie zgutowała przyszłość? W rezultacie mojego oddania stałam się niewolnicą Kalista. Czy wydobędę się z tej sytuacji? Zobaczymy. W obecnej chwili podoba mi się ona. Kocham Kalista, kocham szalenie, jak matka, która pochwała wszelkie postęпки swojego syna, choćby nawet ją bił.

15 maja.

Aż do tej chwili, droga Mamo, małżeństwo przedstawia mi się pod uroczym kształtem. Otaczam najcieplejszą tkliwością najpiękniejszego z mężczyzn, którym ta oślica wzgardziła dla jakiegoś muzykusa, bo ta kobieta jest niewątpliwie oślicą, i to oślicą zimną, z najgorszego gatunku oślic. Jestem w swoich uczuciach małżonki miłosierna, leczę rany, raniąc samą siebie na wieki. Tak, im bardziej kocham Kalista, tym jaśniej zdaję sobie sprawę, że umarłabym ze zgryzoty, gdyby nadszedł kres obecnemu szczęściu. Cała ta rodzina adoruje mnie zresztą, jak również i osoby bywające w naszym domu: wszyscy oni jak gdyby wyszli ze średniowiecznego arrasu, oderwali się odeń, by dowieść, że są rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Któregoś dnia, jak będę sama, odmaluję Ci ciotkę Zefiryne, pannę de Pen-Hoël, kawalera du Halgę, panny de Kergarouët, etc. Wszyscy oni nadają się do gablotki, nawet para służących,

Maryśka i Gasselin, których – spodziewam się – będzie mi wolno zabrać do Paryża. Spoglądają oni na mnie jak na anioła, co sfrunął z nieba, i wciąż jeszcze drżą, kiedy do nich przemówię.

Moja świekra wprowadziła nas uroczyście do apartamentów, które zajmowała dawniej z nieboszczykiem mężem. Wzruszająca to była scena. „Mieszkałam tu jako małżonka zawsze szczęśliwa – rzekła do nas – niechże to wam będzie szczęśliwą wróżbą, moje drogie dzieci”. Sama zajęła pokój Kalista. Ta świątobliwa kobieta wyrzekła się jakby umyślnie wspomnień swojego szlacheckiego pożycia z mężem, aby nas nimi wyposażyć. Prowincja bretońska, to miasto i ta rodzina hołdująca dawnemu obyczajowi, słowem to wszystko, co może tu śmieszyć nas, wesołe paryżanki, ma coś niewytłumaczonego, wielkiego nawet w małościach, coś, co da się określić jednym tylko słowem – r z e c z y u ś w i ę c o n e. Dzierżawcy rozległych włości rodowych, wykupionych, jak Ci wiadomo, przez pannę des Touches, którą mamy odwiedzić w jej klasztorze, przyszedli nam się pokłonić *in corpore*⁵⁶. Zacni ludzie, świątecznie odziani, radowali się szczerze, że Kalist został znowu ich panem: zrozumiałam wtedy Bretonię, feudalizm i dawną Francję. Nie będę odmalowywać Ci tej uroczystości, opowiem Ci o niej. Sami k m i e c i e ułożyli kontrakty dzierżawne, podpiszemy je po inspekcji n a s z y c h ziem, które były zastawione od lat stu pięćdziesięciu!... Panna de Pen-Hoël powiedziała nam, że spisują dochody z akuratnością nieznaną w Paryżu. Za trzy dni wyjeżdżamy, podróż odbędziemy wierzchem. Po powrocie napiszę do Ciebie, droga Mamo, ale cóż będę mogła jeszcze napisać, skoro szczęście moje sięgnęło szczytu? Napiszę więc to, o czym wiesz doskonale – jak bardzo Cię kocham.

II

SABINA DO MATKI

Nantes w lipcu.

Odegrawszy rolę kasztelanki otoczonej hołdami wasali – jak gdyby rewolucje roku 1830 i 1789 nie zmiotły sztandarów – po kawalkadach w lesie, gościnie to na tym, to na tamtym folwarku, ucztowaniu przy sędziwych stołach nakrytych stuletnimi obrusami uginających się pod homeryckim jądłem podawanym na przedpotopowej zastawie, nasycona przednim winem pitym z kubków, jakimi posługują się kuglarze, ogłuszona palbą z fuzyj przy wetach, okrzykami „Wiwat du Guénikowie!”, wymęczona balami, gdzie za całą orkiestrę ktoś przygrywa na kobzie dziesięć godzin z rzędu!... i te bukiety!... i nowożeńcy proszący nas o błogosławieństwo!... i przyjemne znużenie, na które najlepszym lekiem jest łóżko i sen mocny, jakiegom dotąd nie znała!... i te rozkoszne przebudzenia, wśród których miłość promienieje w nas niby słońce, iskrząc się razem z rojami muszek, co bzykają w narzeczu dolno-bretońskim!... na koniec, po groteskowym pobycie na zamku du Guéników, gdzie okna mają rozmiary bram wjazdowych, a krowy mogłyby skubać trawę porastającą komnaty (ale uznaliśmy, że trzeba wszystko odremontować i urządzić, gdyż będziemy zjeżdżać tu co rok, witani wiatami „garsów” z klanu du Guéników, a mamy wśród nich nawet chorążego), uf, jestem już w Nantes!...

Ach! Cóż to był za dzień, kiedy przybyliśmy do Guenic! Witał nas, moja Mamo, pleban w asyście kleru; wszyscy byli ustrojeni wieńcami z kwiatów, radowali się nam, błogosławili... mam łzy w oczach, pisząc te słowa. I mój dumny Kalist zachowywał się jak wielmoża, postać z Waltera Scotta. Kasztelan przyjmował hołdy, jakby przeniesiono nas żywcem w trzynaste stulecie. Słyszałam jak dziewczęta i kobiety powtarzały niby chór w operze komicznej: „Pięknego mamy pana!” Starcy debatowali nad podobieństwem Kalista do jego ojca i dziad-

⁵⁶ *In corpore* (łac.) – wszyscy razem, w pełnym składzie.

ka, których pamiętają. O piękna, i szlachetna Bretanio, kraju wierności i wiary! Ale i tu wdarł się już postęp, budują mosty i drogi; niebawem zjawią się nowinki i żegnaj, szlachetności! Tutejsi chłopcy tracą swoją dumę i swobodę, kiedy im się dowiedzie, że są równi Kalistowi; wątpię jednak, czy raczą w to uwierzyć. Kiedy zakończył się ów poemat pokojowego odzyskania włości, kiedy podpisaliśmy kontrakty dzierżawne, opuściliśmy ów kraj, to kwietny i wesoły, to na przemian posepny i bezludny, i przybyliśmy tu, aby uklęknąć przed kobietą, której zawdzięczamy nasze szczęście. Pragnęliśmy oboje bardzo podziękować postulantce Panien Wizytek. Przez pamięć dla niej Kalist połączy swoją tarczę herbową z klejnotem des Touches'ów, przydając do niej ich barwy – złoto i zieleń – a także srebrnego orła, na którym wesprze swoją tarczę, wkładając mu w dziób banderolę z uroczą, kobiecą dewizą: „Wspominaj!” Poszliśmy więc wczoraj do klasztoru Panien Wizytek, a ksiądz Grimont, stary przyjaciel du Guéników, prowadząc nas tam oznajmił, że Twoja droga Felicycy, Mamo, to święta; nie może być dlań inaczej, skoro temu głośnemu nawróceniu zawdzięcza godność wikariusza kapitulnego. Panna des Touches nie zechciała przyjąć Kalista, zobaczyła się jedynie ze mną. Zmieniła się trochę, wybladła, zmizerniała; lecz, jak się zdaje, była uszczęśliwiona moimi odwiedzinami. „Powiedz Kalistowi – rzekła cicho, ale z naciskiem – że nie przyjąłem go, choć mi pozwolono, a więc to sprawa sumienia, nie zaś posłuszeństwa; nie chcę płacić miśsiacami udręki za kilkuminutową radość. Ach! Gdybyś wiedziała, jak trudno odpowiadać mi na pytanie: O czym myślisz? Przełożona nowicjatu nie może pojąć ogromu myśli kłębiących się wciąż w mojej głowie. Chwilami widzę Włochy albo Paryż w całym ich bogactwie, dumając bez przerwy o Kaliście, boć – powiedziała z owym dobrze Ci znanym wdziękiem poezji – to słońce moich wspomnień... Okazałam się za stara na karmelitankę, obrałam tedy zgromadzenie świętego Franciszka Salezego jedynie z tej racji, że powiada on: „Miał pozbawiać obuwia, obnażę wam głowy!” – sprzeciwiając się owym umartwieniom, które wyniszczają ciało. Bo w istocie głowa grzeszy najwięcej. Święty biskup dobrze więc uczynił ustanawiając regułę surową dla umysłu i okrutną wobec woli!... Oto czegom chciała, gdyż to moja głowa jest prawdziwą winowajczynią: zwodziła moje serce aż do tej fatalnej czterdziestki kiedy to, jeśli jesteśmy przez chwilę czterdzieści razy szczęśliwsze niż młode kobiety, stajemy się później pięćdziesiąt razy od nich nieszczęśliwsze... No i jakże, moja mała, kontenta jesteś?” – zagadnęła, przestając z wyraźną satysfakcją mówić o sobie. „Jestem pod urokiem miłości i szczęścia!” – odparłam. – „Kalist to chłopak równie dobry i prosty, jak szlachetny i piękny – rzekła z powagą. – Wzięłaś całe po mnie dziedzictwo: obdarzyłam cię nie tylko fortuną, lecz i moim wymarzonym ideałem... Winszuję sobie tego uczynku – dodała po chwili milczenia. – Ale teraz, moje dziecko, niech cię aby nie poniesie zaślepienie. Łatwo schwyciłaś szczęście, sięgnąwszy tylko po nie, ale myśl nad tym, jak je zachować. Gdybyś przyjechała do mnie tylko po rady, jakie dyktowałoby mi doświadczenie, i tak bardzo opłaciłby ci się ten wójaz. Zaraziłaś Kolistę uczuciem, a trzeba w nim je wzbudzić, moja mała, skojarzyć te dwa zasadnicze rodzaje afektu. Tym sposobem utrwalisz swoje szczęście. W interesie was obojga popróbuj być kapryśną, bądź kokietką nieco nawet okrutną, to potrzebne. Nie doradzam ani szkaradnego wyrachowania, ani tyranii, politykuj z nim po prostu. Między sknerstwem a rozrzutnością, moja mała, istnieje oszczędność. Postaraj się w sposób uczciwy zdobyć trochę wpływu na Kalista. Oto moje ostatnie słowa świeckie, innych już nigdy nie wypowiem, zachowywałam je na Twój wyłączny użytek, bo sumienie mnie gryzło, żem poświęciła cię, aby ocalić Kalista! Przywiąż go do siebie, postarajcie się o dzieci, niech szanuje w tobie matkę... Na koniec – tu w głosie jej zabrzmiało wzburzenie – masz tak wszystko urządzić, żeby już nigdy nie ujrzał Beatryczy!...” Zdrętwialiśmy obie, gdy padło to imię, patrzyłyśmy sobie w oczy, wymieniając spojrzenia pełne jakiegoś nieokreślonego niepokoju. „Wracacie teraz do Guérande?” – spytała. „Tak” – odrzekłam. – „A więc niech noga wasza nie postanie w Touches!... Żłem uczyniła, dając wam ten majątek”. – „A to czemu?” -

”Głuptasie! Touches to dla ciebie gabinet Sinobrodego: boć najniebezpieczniej jest obudzić uśpioną namiętność.”

Podaję Ci tu, moja Mamo, treściwy wyciąg z naszej rozmowy. Panna des Touches wydo-
była ze mnie wiele, ale też dała mi jeszcze więcej do myślenia; upojona wojażem i zalotami
do Kalista, zapomniałam o poważnym problemie moralnym, który przedstawiłam Ci w moim
pierwszym liście.

Zachwyciło nas Nantes, miasto wspaniałe i urocze. Odwiedziwszy plac Bretoński, gdzie
Charette⁵⁷ poniósł tak szlachetną śmierć, umyśliliśmy popłynąć Loarą i wrócić przez Saint-
Nazaire, bo wojaż z Guérande do Nantes odbyliśmy łądem. Stanowczo nie ma porównania
między parostatkiem i kolasą. Podróż publiczna to wynalazek współczesnego potwora, zwa-
nego Monopolem. Trzy młode damy z Nantes, niebrydkie, miały się na pokładzie do-
tknięte tym, co nazywam kergarouëtyzmem: zrozumiesz ten żart, kiedy odmaluję Ci Kergaro-
uëtów. Kalist zachowywał się bez zarzutu. Nie popisywał się mną, boć to pan z panów. Acz-
kolwiek rada z jego taktu, pomyślałam, jak dziecko, któremu po raz pierwszy podarowano
bębenek, że nadarza mi się wspaniała okazja, by wypróbować system zalecany przez Kamila
Maupin, gdyż to na pewno nie mówiła do mnie postulantka. Nadałam się więc nieco, a Ka-
list bardzo miło się tym zaniepokoił. „Co ci jest?” – szepnął mi zaraz na ucho; a ja odpowie-
działam prawdę: „Nic!” – I tu przekonałam się, jak mało skuteczną jest prawda. Kłamstwo to
broń decydująca, kiedy błyskawiczne działanie ma zbawić kobietę lub imperium. Kalist jął mi
gorliwie nadskakiwać, zaniepokoił się mocno. Zawiodłam go na dziób statku, nie opodał sto-
su lin; i tu głosem nabrzmiałym niespokojnością, jeśli nie łzami, opowiedziałam mu o nie-
szczęściach i obawach kobiety, której trafił się na męża najpiękniejszy spośród mężczyzn!...
„Ach! Kaliście – zawołałam – istnieje w naszym związku straszliwa skaza: nie kochałeś mnie
i nie wybrałeś! Ujrzawszy mnie po raz pierwszy, nie stanąłeś jak wryty! Moje serce, przywią-
zanie, tkliwość zabiegają o twój afekt, a ty ukarzesz mnie któregoś dnia, zem ofiarowała ci
skarb mojej czystej i niczym nie nakazanej miłości dziewczęcej!... Winnam być przewrotną
kokietką, ale nie czuję się na siłach, gdy chodzi o ciebie... Gdyby ta szkaradna kobieta, co
wzgardziła tobą, znalazła się tu na moim miejscu, nie zauważyłbyś nawet tych wstrętnych
Bretonek, które na rogatkach paryskich zaliczono by do bydła...” W oczach Kalista, moja
Mamo, zalśniły łzy, odwrócił się, żebym ich nie dostrzegła, a zobaczywszy, że zbliżamy się
do Basse-Indre, pobiegł do kapitana prosząc, by zatrzymał statek, bo wysiadamy. Nic nie
można mieć przeciw takim replikom, zwłaszcza jeśli spowodują one trzygodzinny pobyt w
lichej oberży w Basse-Indre, gdzie na śniadanie zjedliśmy gotowaną rybę, siedząc w pokoiku,
jaki malują malarze rodzajowi, przez którego okna, ponad szeroką i piękną wstęgą Loary,
nadlatywało ku nam dudnienie kuźnic w Indret. Widząc, jaki przybierają obrót doświadczenia
wielkiego Doświadczenia, zawołałam: „O droga Felicyto!” Nie mogąc domyślać się ani rad
zakonnicy, ani przewrotności mojego postępowania, Kalist przerwał mi żartem, który wypadł bo-
sko: „Chcesz zachować ten pejzaż w pamięci? Przyślemy artystę, żeby go skopiował”. Tak się
uśmiełam, moja Mamo, że aż Kalist się stropił i o mało nie rozzłościł. „Ależ – odpowiedziałam –
ten pejzaż i ta scena zapadły mi w serce niezatartym obrazem, niewypowiedzianie barwnym!”

Ach, moja Mamo, niesposób mi nadawać mojej miłości pozorów nieprzyjaźni czy walki.
Kalist owinie mnie sobie naokoło palca. Ta łza, pierwsza chyba, jaką mi ofiarował, czyż nie
jest więcej warta od powtórnej deklaracji naszych wzajemnych uprawnień?... Po scenie na
statku kobieta bez serca stałaby się władczynią, lecz ja znów się zatraciłam. Zgodnie z Twoim
systemem, dojrzewając jako kobieta, staję się coraz bardziej d z i e w k ą, gdyż okropnie się
lękam o swoje szczęście, uginam się pod spojrzeniem mojego pana i władcy! Nie, nie zaśle-
piam się w miłości, przywiązuję się do niej, jak matka tuli dziecko do łona w obawie katastro-
fy.

⁵⁷ François-Athanase Charette de La Contrie (1763–1796) – jeden z przywódców kontrewolucyjnych ru-
chów w Wandei w okresie rewolucji francuskiej.

III

SABINA DO MATKI

Guérande w lipcu.

Ach, droga Mamo, przekonać się po trzech miesiącach, co to zazdrość! Sercu mojemu nic już nie brak, czuję w nim głęboką nienawiść i głęboką miłość! Jestem bardziej niż zdradzona: nie kocha mnie już!... Jakież, to szczęście, że mam matkę, serce, przed którym mogę się wypłakać do woli!... Nam, kobietom, co jeszcze poniekąd jesteśmy dziewczętami, wystarczy powiedzieć: „Oto zardzewiały klucz wspomnień, jedyny spośród kluczy twojego pałacu, wchodź wszędzie, korzystaj ze wszystkiego, ale niech noga twoja nie postanie w Touches!” – abyśmy pognały tam jak na skrzydłach, z okiem rozplamionym ciekawością Ewy. Jakąż ekscytacją panna des Touches przesyciła moją miłość! Ale czemuż było wzbraniać mi wstępu do Touches? Cóż znaczyłoby szczęście zależne od jakiejś przechadzki, od pobytu w jakiejś bretońskiej dziurze? I czegoż miałam się lękać? A w końcu przydaj do argumentów pani Sinobrodziny chęć, jaka pali każdą kobietę, chęć sprawdzenia, czy jej władza jest niepewna, czy też ugruntowana, to i pojmiesz, żem któregoś dnia spytała z lekceważącą i obojętną miną: „A cóż to takiego to Touches?” – „To twój majątek” – odpowiedziała moja prześliczna świekra. „I Kalist ani razu nie zajrzał do Touches!” – zawołała ciotka Zefiryra, kiwając głową. „Nie zajrzał z uwagi na mnie” – odrzekłam ciotce. „To wiesz, co się tam działo?” – zagadnęła chytrze moja świekra. „To dom rozpusty – oznajmiła panna de Pen-Hoël – panna des Touches nagrzeszyła tam, że coś okropnego, a teraz przeprasza Boga”. – „Czyż tym sposobem szlachetna ta panna nie zbawiła duszy i nie pomnożyła majątku klasztorowego? – wzięła ją w obronę kawaler du Halga. – Słyszałem od księdza Grimont, że dała Pannom Wizytom sto tysięcy franków”. – „Nie chciałabyś obejrzeć Touches, bo to warto?” – rzekła moja świekra. „Nie, nie!” – zachnęłam się. Czyż ta scenka nie wydaje Ci się fragmentem jakiegoś diabelskiego dramatu? Powtarzała się ona pod najrozmaitszymi pretekstami. W końcu świekra powiedziała do mnie: „Rozumiem, dlaczego nie chcesz obejrzeć Touches, i masz rację”. O, przyznasz mi. Mamo, iż otrzymawszy ten niezamierzony cios sztyletem, postanowiłabyś zbadać, czy Twoje szczęście spoczywa na fundamencie aż tak kruchym, że zawali się od byle powiewu. Muszę oddać Kalistowi sprawiedliwość, że nigdy nie namawiał mnie na wycieczkę do tej pustelni, której stał się właścicielem. Ale kiedy kochamy, opuszcza nas rozum, gdyż to milczenie, ta powściągliwość tak mnie drażniły, żem powiedziała któregoś dnia: „Czy aż tak się boisz wizyty w Touches, że nawet o niej nie wspomnisz?” – „No to chodźmy tam” – odrzekł. Połknęłam więc haczyk, jak i każda kobieta napraszająca się o to, kobieta, która zawiera przypadkowi, by rozciąć gordyjski węzeł niepewności. I poszliśmy do Touches.

Rozkoszne miejsce, stworzone dla dusz artystycznych: spodobała mi się ta przepaść, do której panna des Touches wzbronila mi zstępować. Każdy trujący kwiat jest uroczy. Posiał go szatan, bo są kwiaty diabelskie i kwiaty Boże. Wystarczy nam zastanowić się nad sobą, żeby stwierdzić, że połowa świata jest szatańska. Ileż cierpkiej rozkoszy w owych momentach, kiedy igrałam nie z ogniem, ale z popiołami!... Zgłębiałam Kalista, chciałam się przekonać, czy wszystko aby wygasło, i baczylam, wierz mi, nawet na przeciagi. Wpatrywałam się w jego twarz, kiedy przechodził z pokoju do pokoju, oglądał meble, zupełnie jak dzieciak, co szuka schowanej zabawki. Wydał mi się zadumany, w pierwszej jednak chwili byłam pewna zwycięstwa. Uczułam dość sił, żeby mówić o pani de Rochefide. Wreszcie poszliśmy obejrzeć słynny bukszpan, o który zaczęła się margrabina, gdy Kalist stracił ją w morze, by nie należała już do nikogo. „Musi to być bardzo lekka osoba, skoro utrzymywał ją taki krzaczek” – roześmiałam się, lecz Kalist milczał. „Uszanujmy zmarłych” – rzekłam, lecz on i to zmil-

czał. „Sprawiłam ci przykrość?” – „Nie, ale przestań galwanizować ten afekt” – odpowiedział. Co za słowa!... Widząc, że się zasmuciłam, podwoił uwagę i czułość.

Sierpień.

Znalazłszy się, niestety, na dnie przepaści, zabawiałam się zbieraniem kwiatków, jak pierwsza naiwna w melodramacie. Nagle myśl straszliwa wdarła się w moje szczęście, niczym rozhukany rumak z niemieckiej ballady. Odgadłam, jak mi się wydało, że miłość Kalista pomnożyła się o jego reminiscencje i że to na mnie przenosił burze, które wywoływałam przypominając mu moimi zalotami ową szkaradną Beatrycę. I ta kobieta o charakterze niezdrowym i zimnym, namolnym i miękkim, mięczak i koral zarazem, ośmiela się nosić imię Beatryczy!... I oto, moja Mamo, muszę spoglądać podejrzliwie, gdy serce moje całe należy do Kalista, i czyż to nie straszna klęska, gdy oko góruje nad sercem, a podejrzenia okazują się w końcu usprawiedliwione? Posłuchaj dlaczego. „Pokochałam to miejsce – rzekłam raz do Kalista – jemu bowiem zawdzięczam moje szczęście, toteż wybaczyłam ci, że bierzesz mnie czasem za inną... Mój uczciwy Bretończyk zaczerwienił się, a ja rzuciłam mu się na szyję – lecz opuściłam Touches i nigdy tam nie wrócę.

Pałając nienawiścią, pragnę, aby pani de Rochefide umarła (o mój Boże, oczywiście na zapalenie płuc lub nagle, w jakimś wypadku); pałając nienawiścią, poznałam też ogrom i potęgę mojej miłości dla Kalista. Ta kobieta zakłóca mi sen, widuję ją we śnie, czyżbyśmy więc miały się spotkać?... Ach, postulantka od Panien Wizytek miała rację: Touches to miejsce fatalne, Kalist odnalazł tam swoje przeżycia i są one silniejsze niż rozkosze naszej miłości. Dowiedz się, droga Mamo, czy pani de Rochefide jest w Paryżu, bo jeśli tak, nie ruszam się z naszego majątku w Bretanii. Biedna panna des Touches i tak się zamartwia, że kazała mi się przebrać za Beatrycę w ów dzień intercyzy, aby powiódł się jej plan – a dopierożby się gryzła i co by powiedziała dowiedziawszy się, że Kalist kocha we mnie moją ohydłą rywalkę? Ależ to prostytutka! Nie jestem już sobą, wstyd mi. Owładnęła mną szalona chęć, żeby uciec z Guérande i od tych piasków Croisic.

25 sierpnia.

Stanowczo, wracam do ruin Guénic. Zabiera mnie tam Kalist, niepokojąc się wyraźnie moim niepokojem. Jeśli nic się nie domyśla, to nie zna prawie świata, a jeśli zna przyczynę mojej ucieczki, nie kocha mnie. Kiedy szukam okrutnej pewności, tak drzę, aby jej nie znaleźć, że przypominam dziecko, które zasłania sobie oczy, by nie słyszeć detonacji. O, moja Mamo, nie kocha mnie on taką miłością, jaką czuję w sercu! Kalist jest uroczy, to prawda; ale któryż mężczyzna – chyba tylko potwór – nie byłby jak i Kalist miły i pełen wdzięku, otrzymując wszystkie kwiaty rozkwitłe w duszy dwudziestoletniej dziewczyny, wychowanej przez Ciebie, czystej, zakochanej i – jak mówiło Ci wiele znajomych pań – pięknej...

Guénic, 18 września.

Czy zapomniał o niej? Oto jedyna myśl rozbrzmiewająca smutnym echem w mojej duszy! O, droga Mamo, czy wszystkie kobiety muszą jak ja walczyć ze wspomnieniami?... Młode i czyste dziewczęta trzeba wydawać tylko za niewinnych młodzieńców! Ale to zwodna utopia, lepiej mieć rywalkę w przeszłości aniżeli w przyszłości. Ach, pożaluj mnie, Mamo, choć obecnie jestem szczęśliwa – szczęśliwa jak kobieta, która uczepiła się szczęścia w obawie, że je utraci!... To sposób, aby zabić je czasem, jak powiada mądra Klotylda.

Spostrzegłam, że od pięciu miesięcy myślę wyłącznie o sobie, to znaczy o Kaliście. Powiedz Klotyldzie, że jej smutna mądrość nieraz mi się przypomina: szczęśliwa ona, że dochowuje wierności zmarłemu: nie lęka się już rywalki. Całuję moją ukochaną Atenais, wiem, że Justyn szaleje za nią. Z Twojego ostatniego listu wynika, iż lęka się, że jej nie dostanie! Hoduj tę obawę, niby szacowny kwiat. Atenais będzie władać, a ja stanę się sługą ze strachu, żeby Kalist nie odsunął się ode mnie. Tysiące całusów, kochana Mamo. Ach! Jeśli nie są czcze moje obawy, Felicjta bardzo drogo sprzedała mi swój majątek. Ojca pozdrawiam serdecznie i z szacunkiem.

Listy te wyjaśniają w zupełności intymną sytuację obojga małżonków. Tam, gdzie Sabina widziała małżeństwo z miłości, Kalist widział małżeństwo dla konwenansu. Trzeba dodać, iż uciechy miodowego miesiąca nie całkiem godziły się z ulegalizowaną teorią. Kiedy małżonkowie przebywali w Bretanii, sławny architekt Grindot odnawiał i urządzał – pod nadzorem Klotyldy i księstwa de Grandlieu – paryską ich rezydencję. Tak pokierowano sprawami, żeby w grudniu 1838 roku młode małżeństwo mogło zjechać do Paryża. Sabina z przyjemnością zamieszkała na ulicy Burbońskiej – nie dlatego jednak, by odgrywać rolę pani domu: chciała się dowiedzieć, co rodzina myśli o jej mariażu. Kalist, urodziwy obojętniś, zgadzał się chętnie, by Klotylda i teściowa oprowadzały go po salonach, one zaś były mu wdzięczne za tę powolność. Uzyskał tam pozycję należną jego nazwisku, fortunę i aliansom. Sukcesy pani du Guénic, którą zaliczano do najbardziej uroczych kobiet, rozrywki właściwe wysokim sferom, obowiązki, jakie należało wypełniać, zimowe bale i rauty przywróciły nieco sił szczęściu małżonków, dając to momenty emocji, to znów spokoju. Matka i siostra uznały Sabinę za szczęśliwą, dopatrując się w oziębłości Kalista skutków angielskiego wychowania, a i ona sama porzuciła czarne myśli: tyle młodych kobiet, nieszczęśliwych w małżeństwie, zazdrościło jej losu, iż odesłała swój lęk do krainy urojeń. Wreszcie ciąża zagwarantowała do reszty ów związek rodzaju nijakiego – lecz kobiety doświadczone rokują pomyślność właśnie takim stadłom. W październiku roku 1839 młoda baronowa du Guénic urodziła syna i w szaleństwie swoim postanowiła go karmić, boć taką w podobnych przypadkach decyzję podejmują wszystkie kobiety: jakże tu nie być całkowicie matką, skoro ojcem dziecięcia jest mąż ubóstwiany? W sierpniu więc następnego roku Sabina miała odstawić swojego pierworodnego od piersi. Bawiąc już dwa lata w Paryżu, Kalist wyzbył się do cna owej naiwności, która opromieniała takim czarem jego pierwsze kroki w świecie uczucia. Zbliżywszy się z młodym księciem Jerzym de Maufrigneuse, ożenionym jak i on niedawno z bogatą dziedziczką – Bertą de Cinq-Cygne, z wicehrabią Sawinianem de Portenduère, z księstwem de Rhétoré, z księstwem de Lenoncourt-Chaulieu i ze wszystkimi bywalcami salonu teściowej, dostrzegł różnice dzielące życie prowincjonalne od paryskiego. Bogacz miewa swoje godziny melancholii, leniwej nudy, które Paryż lepiej niż inne stolice potrafi umilić, uczynić zajmującymi. Niejedna z cnót domowych młodego szlachcica bretońskiego ucierpiała tedy w styczności z owymi młodymi mężami, co zaniedbują najszlachetniejsze i najpiękniejsze żony dla rozkoszy cygara lub wista, dla wzniosłych pogawędek w klubie albo dla niezmiernie interesującego turfu. Żona, pragnąc w swoich uczuciach macierzyńskich, aby młody mąż się nie nudził, dopomaga zawsze pośrednio w owych hulankach. Kobieta nie posiada się z dumy, gdy powraca do niej mężczyzna, któremu zostawiła całkowitą wolność!...

Był wieczór październikowy 1840 roku. Aby uciec od krzyków dziecka odstawionego od piersi, Kalist poszedł do Rozmaitości, gdzie dawano nową sztukę, poszedł za radą Sabiny, która cierpiała zawsze, widząc zmarszczkę na jego czole. Lokaj wziął dla pana fotel na parterze, niedaleko proscenium. Rozglądając się w pierwszym antrakcie, ujrzał w jednej z łóż parterowych, o cztery kroki od siebie, panią de Rochefide. Beatrix w Paryżu! Beatrix pokazuje się publicznie! Obie te myśli przeszły serce Kalista niby dwie strzały. Ujrzeć ją znów po bez mała trzech latach! Po cóż tłumaczyć wstrząs, jaki nastąpił w duszy kochanka, który nie tylko

nie zapomniał o Beatryczy, ale tylekroć poślubił ją w swojej żonie, że żona musiała to spoznać! Komuż trzeba tłumaczyć, że poemat miłości utraconej, zapomnianej, ale wiecznie żywej w sercu Kalista, przyćmiewał rozkosze małżeńskie, niweczył niewysłowioną tkliwość, jaką otaczała go młoda żona! Margrabina stała się światłem, dniem, energią, życiem i nieznanym, a Sabina była obowiązkiem, ciemnością i czymś w guście diety! Kochanka stała się w moment uciechą, żona – nudą. Był to cios pioruna.

Lojalnego męża Sabiny tknęła szlachetna myśl, aby opuścić salę. wyszedłszy ujrzał jednak uchylone drzwi łoży i wbrew woli nogi Poniosły go tam same. Młody Bretończyk zastał Beatrycę między dwoma niezmiernie dystygowanymi panami, Canalisem i Natanem – politykiem i literatem. Pani de Rochefide zmieniła się zadziwiająco w ciągu tych trzech ostatnich lat; lecz owa metamorfoza choć zaszkodziła urodzie, była dla Kalista tym bardziej poetyczna i pociągająca. Do trzydziestego roku życia ładnej paryżance wystarczy całkowicie elegancka toaleta, ale przekroczywszy fatalny próg trzydziestki paryżanka szuka broni w sztucznych powabach upiększeniach i łaskach; tworzy swój wdzięk, znajdując po temu środki, wdzięk ów zaczyna decydować o jej charakterze – paryżanka odmładza się w nim, obmyśla najdrobniejsze akcesoria, słowem, przechodzi od natury do sztuki. Pani de Rochefide miała właśnie za sobą perypetie dramatu, który w tej historii francuskich obyczajów dziewiętnastego stulecia nosi tytuł: „Kobieta opuszczona”. Porzucił ją Conti – i naturalnie stała się wielką artystką w materii toalet, zalotności oraz innych sztucznych kwiatów wszelakiego gatunku.

– A gdzie Conti? – szepnął Bretończyk do Canalisa, złożony banalny ukłon, od jakiego zaczyna się każda ceremonialna wizyta w miejscu publicznym.

Eks-wielki poeta z Faubourg Saint-Germain, który dwakroć już piastował tekę ministra, obecnie zaś po raz czwarty błyszczał na trybunie, zabiegając o jakiś nowy resort, położył znacząco palec na ustach. Ów gest wytłumaczył wszystko.

– Bardzom szczęśliwa, że widzę pana – rzekła margrabina do Kalista z kocią przymilnością. – Powiedziałam sobie, ujrawszy tam pana, bom dostrzegła cię pierwsza, że pan nie wyprze się mnie, o nie! Ach! I czemuż ożeniłeś się, Kaliście? – szepnęła mu na ucho. – I to w dodatku z taką gęsią...

Kiedy w łoży kobieta zaczyna szeptać z nowoprzybyłym i wskazuje mu miejsce przy sobie, obecni tam ludzie światowi zostawiają ich zawsze samych, zmyślając lada jaki pozór.

– Idziesz ze mną? – zagadnął Canalis Natana. – Pani margrabina mi wybacz, ale mam interes do d'Artheza, który siedzi tam z księżną de Cadignan: chodzi o pewną parlamentarną kombinację w związku z jutrzejszą sesją.

Taktowne to pożegnanie dozwoliło Kalistowi ochłonąć z gwałtownego wstrząsu; ale całym już postradał zmysły i opadł z sił, wdychając czarowną dłoń, choć zatrutą woń poezji, jaką skomponowała sobie Beatrix. Pani de Rochefide stała się koścista i łykowata pod oczami ma sińce, a płeć raczej zniszczoną: wychudła i przywiędła: lecz ową przedwczesną ruinę ukwiecała tego wieczoru najwymyślniejsza sztuka stworzona ręką paryskich modystek. Wykoncypowała sobie, jak i wszystkie kobiety opuszczone, postać dziewczęcą, upodobniwszy się dzięki zwojom białej gazy do dziewcząt z Osjana, które tak poetycznie malował Girodet. Jasne włosy okalały pociągłą twarz falami loków tak nasyconych wonnym olejkiem, że migotały w nich, ociekając jakby, światła rampy. Lśniło jej blade czoło. Dyskretny obłoczek różu nadawał jej cerze olśniewającą białość; złudzenie: była to białość wymokła, pielęgnowana starannie wodą z otrąbkami. Jedwabny szal, niezmiernie cienki, spowijał szyję w taki sposób, aby ją skrócić, ukryć i wyzywająco przysłonić skarby zręcznie opracowane w gorset. Talia była arcydziełem kunsztu. Pozę wystarczy określić zwięźle: wynikała ona ze studiów żmudnych, lecz nader owocnych. Stwardniałe i wychudłe ręce wysuwały się zaledwie z rękawów szerokich i bufiastych: efekt obliczony. Stanowiła jakby mieszaninę zapożyczonego blasku i lśniących jedwabi, zwiewnej gazy i trefionych włosów, ożywienia, spokoju i ruchu, mieszaninę zwaną c z y m ś n i e o k r e ś l o n y m. Każdy jednak wie, na czym polega to n i e o k r e ś l o -

ne. Chodzi o wiele dowcipu, gustu i temperamentu. Beatrix była tedy dekoracją – zmienną i przesuwaną się na znakomitych kółkach. Feerie w tym stylu, zalecając się również arcyzręcznym dialogiem, przyprawiają o szaleńczy zachwyt wszystkich mężczyzn uczciwych i prostych, na mocy bowiem prawa kontrastu odczuwają oni namiętną ochotę zabawy z tymi kunsztownymi cackami. Fałszywe to, ale wciągające, wyszukane, ale przyjemne; i niektórzy mężczyźni wielbią te kobiety, uprawiające grę uwodzenia tak samo, jak się gra w karty. Oto dlaczego pożądanie to u mężczyzny sylogizm wynikły z wiedzy mieszczącej się poza obrębem utajonych teorematów rozkoszy. Umysł powiada sobie: „Kobieta, która potrafi uczynić się tak piękną, musi kochać jakoś inaczej”. I to prawda. Opuszczamy te kobiety, które kochają, zatrzymują nas przy sobie te, co kochać umieją. Otóż chociaż Włoch porzucając Beatrycę, dał okrutną nauczkę jej miłości własnej, Beatrix była z natury nazbyt przemyślna, aby z niej nie wyciągnąć profitu.

– Nie w tym rzecz, by was kochać – mówiła na chwilę przed wejściem Kalista – trzeba was dręczyć, kiedy jesteście zdani na naszą łaskę: oto tajemnica kobiet, które chcą was zatrzymać. Smok strzegący skarbu ma pazury i skrzydła!...

– Z tych myśli można by złożyć sonet – powiedział Canalis w momencie, gdy zjawił się nasz Bretończyk.

Beatryczy wystarczyło jedno spojrzenie, żeby odgadnąć stan duszy Kalista: odnalazła na jego szyi czerwone i jeszcze świeże ślady obrozy, którą nałożyła mu w Touches. Kalist, urażony epitetem, jakim Beatrix uczciła Sabinę, zawahał się chwilę: zagrała w nim godność męża, chciał bronić żony – ale jakże ugodzić ostrym słowem to serce, które tchnęło dlań tyłoma wspomnieniami i, jak sądził, krwawiło. Margrabina obserwowała to wahanie – nazwała bowiem Sabinę gęsią, aby przekonać się, jak daleko sięga jej władza nad Kalistem; widząc go aż tak słabym, przysłała mu na pomoc i wybawiła z ambarasu.

– Tak, tak, mój przyjacielu – rzekła, kiedy odeszli obaj dworacy – odnalazłeś mnie samą, samą jak palec!...

– Toś nie pomyślała pani o mnie? – zagadnął Kalist.

– O panu? Czyżes się nie ożenił?... Była to jedna z boleści, jakie spadły na mnie od czasu naszego ostatniego widzenia. Nie tylko powiedziałam sobie, że tracę miłość, lecz i przyjaźń, którą miałam za bretońską. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Teraz już mniej cierpię i tylko złamana. Otwieram serce, a nie czyniłam tego już dawno. Musiałam być dumna wobec ludzi obojętnych, a wobec tych, co zalecali się do mnie – arogancka, jakbym nigdy nie popełniła błędu; straciwszy moją ukochaną Felicję, nie miałam komu szepnąć na ucho: „Cierpię!” Teraz więc mogę panu powiedzieć, jakiej doznałam udręki widząc cię o cztery kroki od siebie i nie będąc dostrzeżoną, i jak się raduję, widząc cię tutaj, tak blisko... Tak – rzekła, odpowiadając na gest Bretończyka – to niemal wierność! Jacyśmy nieszczęśliwi! Bagatela, wizyta jest dla nas wszystkim. Ach, bo pan mnie kochałeś, jak ja zasługiwałam na miłość tego, któremu się spodobało podeptać skarby, jakimi go darzyłam! A na swoje nieszczęście nie umiem zapominać, kocham, chcę być wierną tej przeszłości, która nie powróci już nigdy.

Wypowiadając ową tyradę, improwizowaną już ze sto razy, przewracała oczyma, aby wzmocnić tym efekt słów, które zdawały się wyrywać z głębin jej duszy potokiem gwałtownym, od dawna wstrzymywanym. Kalist nie odpowiedział, a tylko uronił kilka łez; Beatrix wzięła go za rękę, ścisnęła ją, wtedy Bretończyk zbladł.

– Dzięki, o dzięki, Kaliście, moje biedne dziecię! Oto jak prawdziwy przyjaciel odpowiada na ból przyjaciela!... Rozumiemy się. Nie, nie dorzucaj ani słowa!... Odejdź już, patrz na nas, twojej żonie byłoby bardzo przykro, gdyby dowiedziała się przypadkiem, żeśmy się widzieli, choć to spotkanie nader niewinne, w przytomności tysiąca osób... Żegnaj! Widzisz, jakim silna!...

Otarła oczy, stosując to, co w retoryce kobiecej winniśmy nazywać wprowadzoną w czyn antytezą.

– Pozwól pan, żebym się zaśmiała śmiechem potępieńczym wraz z obojętnymi, którzy mnie bawią – ozwała się znowu. – Widzę artystów, pisarzy, ludzi znanych mi z salonu naszego biednego Kamila Maupin, który ma z pewnością rację! Obdarować bogactwami tego, którego się kocha, i zniknąć powiadając sobie: „Jam za stara dla niego!” – to skończyć męczeństwem. A to już lepiej, skoro komuś niesposób umrzeć w dziewictwie.

Wybuchnęła śmiechem, pragnąc jak gdyby rozproszyć smutek, o który przyprawiła swojego adoratora.

– Ale – zapytał Kalist – gdzie będę panią mógł widywać?

– Skryłam się na ulicy de Chartres, niedaleko parku Monceaux, w pałacyku stosownym do mojej fortuny, gdzie faszuję sobie głowę literaturą, ale tylko dla siebie, dla własnej rozrywki. Niech mnie Bóg uchwata przed manią tych dam!... No, niechże pan już idzie, nie chcę na siebie zwracać uwagi, a czegoż by nie nagadano widząc nas razem? A zresztą słuchaj, Kalisście, jeśli pozostaniesz jeszcze choć moment, rozplączę się na dobre.

Kalist odszedł, ale kiedy podał rękę Beatryczy, doznał po raz wtóry owego głębokiego i przedziwnego wrażenia: dwukrotny uścisk pełen kuszących łaskotek.

„Mój Boże! Sabina nigdy nie potrafiła tak mi poruszyć serca” – obiegła go natrętna myśl w korytarzu.

Do końca spektaklu margrabina de Rochefide nie przesyłała Kalistowi spojrzeń bezpośrednich – lecz ukośne, raniące duszę temu mężczyźnie, w którym odżył już całkiem jego pierwszy wzgardzony afekt.

Znalazłszy się w swoich wspaniałych apartamentach, baron du Guénic pomyślał, że Beatrix cierpi poniekąd ubóstwo, toteż powziął nienawiść do swojej fortuny, skoro nie mógł wywianować nią tego upadłego anioła. Dowiedział się, że Sabina śpi już od dawna, i uradował się tym ogromnie: spędzi noc li tylko ze swoimi wzruszeniami. Przeklął dar proroczy, jakiego miłość użyczyła Sabinie. Jeśli przypadkiem kobieta wielbi mężczyznę, czyta w jego twarzy jak w księdze, zna najdrobniejsze jej drgnięcia, wie, czemu przypisać spokój, spostrzega najmniejszą troskę i zastanawia się, czy nie ona to jest przyczyną najbliższego smutku, wpatruje się bacznie w oczy; dla niej oczy zabarwia myśl dominująca: kochają albo nie kochają. Wiedząc, że jest przedmiotem kultu głębokiego, naiwnego i zazdrosnego, Kalist wątpił, czy potrafi nadać licom wyraz dyskretny, który nie zdradziłby przemian duchowych. „I co ja zrobię jutro rano?” – głowił się, zasypiając; obawiał się, by tak rzecz, inspekcji, do jakiej przystąpi zapewne Sabina. Podchodząc bowiem do Kalista nieraz w dzień, pytała: „Czy kochasz mnie zawsze?” Albo: „Czy ci się nie sprzykrzyłam?” Pytania to wdzięczne i różnorakie, w zależności od charakteru lub umysłu kobiet tających niepokój istotny lub udany.

Nawet na powierzchni nieskałanych i najszlachetniejszych serc wydobywa się czasem błoto, które podnoszą huragany. Toteż nazajutrz rano Kalist, choć szczerze kochał syna, zdrzął z radości dowiedziawszy się, że Sabina czuwa nad malcem, który dostał konwulsji, i nie odstępował go na krok, obawiając się krupu. Baron wyszedł więc pod pozorem jakichś interesów i nie wrócił do domu na śniadanie. Wymknął się jak złodziej i szczęśliw, że podąży piechotą, skierował się przez most Ludwika XVI i Pola Elizejskie do bulwarowej kawiarni, gdzie lubił śniadać za kawalerskich czasów. Cóż tedy jest istotą miłości? Czy natura staje dęba pod jarzmem społecznym? Czy chce, aby pęd życia, które dajemy, był spontaniczny, wolny niby bieg rozhukanego potoku, co rozpryskuje się o skały przeciwności i kokieterii, aby nie przypominał wody płynącej leniwie, ujętej w brzegi Merostwa i Kościoła? Czy żywi jakieś zamiary przygotowując wybuchy wulkaniczne, którym zawdzięczamy może wielkich ludzi? Trudno by znaleźć młodzieńca wychowanego nabożniej niż Kalist, młodzieńca obyczajniejszego i mniej skażonego sceptycyzmem – a przecież rwał się do niegodnej go kobiety, choć los łaskawy i promienny ofiarował mu w Sabinie pannę naprawdę arystokratycznej urody, subtel-

nego i wrażliwego umysłu, nabożną, kochającą, przywiązaną li tylko do niego, pannę, której anielską słodycz udelikatniała jeszcze miłość – a miłość ta mimo kilku lat małżeństwa stała się tak namiętna, jak miłość Kalista do Beatryczy. Lecz może i najwięksi ludzie zachowali we krwi trochę gliny, toteż błoto podoba im się nadal. Istotą zatem mniej niedoskonałą byłaby kobieta, mimo właściwych jej błędów i nierozumu. Tak czy inaczej, pani de Rochefide, krocząca wśród orszaku poetycznych pretensji, należała, mimo swojego upadku, do najwyższej szlachty, naturę miała nie tyle błotnistą, ile eteryczną – i nawet ambicje kurtyzany umiała maskować fumami arystokratki. Niedostateczne to wytłumaczenie dla osobliwej namiętności Kalista. Znaleźlibyśmy może jej przyczynę w próżności zagrzebanej tak głęboko, że moralisci nie zaznajomili się dotąd z tą stroną owej przywary. Istnieją mężczyźni nader szlachetni – jak Kalist, i jak on urodziwi, dystyngowani, dobrze wychowani i bogaci, którzy bezwiednie nudzą się związkiem małżeńskim z kobietą podobnego charakteru, tak szlachetni, że nie dziwi ich szlachetność drugiej istoty, a wielkość i delikatność, stale współbrzmiające z ich wielkością i delikatnością, nie wywołuje w nich żywszego wrażenia; otóż mężczyźni tacy szukają u istot niższych lub upadłych usankcjonowania swojej wyższości, jeśli po prostu nie żebrzą o pochwały. Kontrast między upadkiem moralnym a wzniosłością stanowi rozrywkę dla ich spojrzeń. Czyżby czystość aż tak lśniła w sąsiedztwie nieczystości? Bawią się tym przeciwieństwem. Cóż miał Kalist bronić w Sabinie? Była bez skazy, a więc zagubione struny jego serca miały zabrzmieć zgodnym tonem dla Beatryczy. Skoro wielcy ludzie odgrywają w naszych oczach rolę Jezusa podnoszącego cudzołożną żonę, czemuż ludzie zwykli mieliby odznaczać się większą statecznością?

Kalist wałęsał się do drugiej, żyjąc tą jedynie myślą: „Znów ją zobaczę!” – poemat, co zakochanym pozwala odbywać najdalsze podróże!... Udał się lekkim krokiem na ulicę Courcelles, rozpoznał ów dom, choć nigdy go nie widział – i on, zięć księcia de Grandlieu, bogacz, szlachcic nie gorszy od Burbonów, musiał zatrzymać się, nim wszedł na schody, nie wpuścił go bowiem stary sługa, pytając: „Nazwisko pańskie?” Pojawszy, że musi pozostawić Beatryczy swobodę, obejrzał ogród i mury pełne czarniawych i żółtych zacieków, jakie na tynkach paryskich tworzą się od deszczu.

Pani de Rochefide uciekła pozostawiając mężowi swoją fortunę: tak postępują niemal wszystkie wielkie damy, urywając się z łańcucha: nie chciała wyciągać ręki do tyrana. Dzięki Contiemu i pannie des Touches nie zaznała kłopotów materialnych, a zresztą matka przesyłała jej coraz jakąś sumę. Obecnie, będąc samą, musiała podporządkować się oszczędnościom dość uciążliwym dla kobiety nawykłej do przepychu. Wdrapawszy się więc na szczyt wzgórza okrytego parkiem Monceaux, wynajęła domeczek, który należał ongi do jakiegoś magnata – posesja ta stała co prawda bezpośrednio przy ulicy, lecz miała przesłiczny ogródek, a komorne nie przekraczało tysiąca ośmiuset franków. Obsługiwał ją nadal stary lokaj, miała pokojową i kucharkę rodem z Alençon, które również nie opuściły jej w ubóstwie, a zresztą podobna bieda stanowiłaby bogactwo dla niejednej ambitnej mieszczki. Kalist wszedł po kamiennych, wypolerowanych schodach, podesty były tu pełne kwiatów. Na pierwszym piętrze stary lokaj, wpuszczając barona do apartamentów, otworzył podwójne drzwi obite czerwonym aksamitem, na którym taśmy z czerwonego jedwabiu, umocowane złotymi ćwiekami, przepłatały się skośnie. Szedł przez jedwabne i aksamitne pokoje. Ciemne kobierce, draperie krzyżujące się w oknach, portiery, całe to wnętrze kontrastowało z odrapaną ruderką, o którą nie dbał właściciel. Czekał na margrabinę w salonie urządzonego surowo, gdzie przepych miał pozory prostoty. Pokój ten, obity wiśniowym aksamitem, któremu przydawały świetności draperie z matowożółtego jedwabiu, wyłożony ciemnoczerwonym dywanem, przypominał oranżerię, tyle pod oknami, w żardinierach, stało kwiatów. Panował tu półmrok. Kalist z trudnością dojrzał na kominku dwa wazony z czerwonego starego celadonu, a między nimi srebrny puchar przypisywany Benvenuto Celliniemu, który margrabina przywiozła z Włoch. Złoczone meble wyściełane aksamitem, wspaniałe konsole – na jednej z nich osobliwy

zegar, stół nakryty perskim dywanem, wszystko to świadczyło o dawnym bogactwie, którego resztki porozmieszczano umiejętnie. Na stoliczku Kalist spostrzegł klejnoty i rozpoczętą książkę, z której wystawała rękojeść sztyletu wysadzana drogimi kamieniami: sztylet służył za nóż do papieru – symbol krytyki. Na ścianie dziesięć akwrel bogato oprawionych: każda z nich przedstawiała sypialnię w rozmaitych pomieszkaniach, jakie zajmowała margrabina w czasie swojego wędrownego żywota – obrazki te dawały miarę bezczelności wyższego rządu. Szelest jedwabnej sukni zapowiedział nieszczęsną damę: ukazała się w wystudiowanej toalecie, z której rozpustnik mógłby wnieść, iż akurat nań czekano. Suknia ta bowiem, skrojona jak robdeszan, ukazywała rąbek białej piersi. Suknia z perłowej mory; ręce wynurzały się z podwójnych bufiastych rękawów, poprzesywanych wzdłuż taśmą i przybranych koronkowym mankietem. Śliczne włosy, którym grzebień nadał puszystość, wymykały się spod koronkowego czepeczka przystrojonego kwiatami.

– Już?... – powiedziała z uśmiechem. – Kochanek nie byłby taki skwapliwy. Masz mi pan wyznać jakieś sekrety, prawda?

Usadowiła się na kozetce, wskazując mu miejsce obok siebie. Przypadek to, albo i nie (kobiety mają dwojaką pamięć – Jedną od anioła, drugą od diabła), Beatrix woniała perfumami, którymi skrapiała się w Touches, gdy bywał tam Kalist. Młodzieniec stracił głowę, kiedy poczuł ów zapach, dotknął tej sukni i spojrzął w te oczy, które w półmroku chłonęły światło, błyszcząc tym intensywniej. W nieszczęśniku jęła buzować gwałtowność, która już raz o mało nie przywiodła go do zbrodni; ale tym razem margrabina znalazła się na brzegu kozetki, a nie nad brzegiem Oceanu. Wstała, żeby zadzwonić, przytykając palec do ust. Kalist otrzeźwiał, przywołany tym znakiem do porządku; pojął, że Beatrix nie żywiła żadnych wojowniczych intencji.

– Antoni, nie ma mnie dla nikogo – oznajmiła staremu lokajowi. – Dołóżcie drzewa na kominek. Jak pan widzi, panie Kaliście, traktuję cię jak przyjaciela – rzekła z godnością, kiedy stary wyszedł – więc i pan nie odnoś się do mnie jak do kochanki. Mam dwa zastrzeżenia, których wysłuchać musisz. Po pierwsze, nie certowałabym się głupio z ukochanym człowiekiem; po drugie, nie chcę już należeć do żadnego mężczyzny na świecie. Myślałam, że kocha mnie ktoś w guście Rizzia⁵⁸, mężczyzna z nikim nie związany, całkowicie wolny, i widzisz, dokąd zaprowadziło mnie to fatalne zaślepienie? Jesteś pan pod władzą najświętszego z obowiązków, masz młodą, miłą i rozkoszną żonę; wreszcie, jesteś ojcem. Nie miałabym żadnego wytłumaczenia, tak samo jak i pan – i bylibyśmy parą szaleńców...

– Moja droga Beatryczo, wszystkie te argumenty upadają wobec jednego: ciebie tylko jedną kochałem i kocham w życiu; ożeniono mnie wbrew mojej woli.

– Ten figiel spletała nam panna des Touches – rzekła z uśmiechem.

Minęły trzy godziny, w czasie których pani de Rochefide nie dopuściła, by Kalist zdradził żonę, stawiając mu straszliwe ultimatum: ma raz na zawsze rozstać się z Sabiną. Nie zaznała by chwili spokoju, zapewniała, w sytuacji tak okropnej, do jakiej przywiodłaby ją miłość Kalista. Sabinę można zresztą poświęcić, to głupstwo, zna ją przecież dobrze!

– To, mój drogi chłopcze, kobieta, która nigdy nie przestanie być podlotkiem. Typowa Grandlieu: czarna jak i jej matka-Portugalka, by nie rzec pomarańczowa, a sucha jak jej ojciec. Prawdę mówiąc, pańskiej żonie nic nigdy nie będzie groziło, bo to chłopak, który może żyć samodzielnie. Biedny Kaliście, czyż takiej trzeba było ci żony? Ma piękne oczy, ale takich oczu znajdziesz na kopy w Hiszpanii, Włoszech czy Portugalii. Jakże można pieścić czule takiego chudzielca! Ewa była blondynką: brunetki pochodzą od Adama, blondynki zaś od Boga, którego ręka, gdy już całe stworzenie było gotowe, zostawiła na Ewie swój widomy ślad.

Okolo szóstej Kalist, na dobre zdesperowany, wziął cylinder i zaczął się żegnać.

⁵⁸ R i z z i o (David Riccio, około 1533–1566) – muzyk i sekretarz Marii Stuart.

– A tak, idź, mój biedny przyjacielu; zmartwiłbyś ją, nie zjawiwszy się na obiad!...

Kalist pozostał. Był tak młody, że każdy mógł łatwo wykorzystać jego złe skłonności.

– Odważyłbyś się pan zostać u mnie na obiedzie? – zagadnęła margrabina z wyzywającym zdziwieniem. – Mój chudy wikt nie przeraziłby pana i byłżebyś aż tak niezależny, żeby uradować mnie tym drobnym dowodem sympatii?

– Pozwól mi tylko pani napisać słówko do Sabiny, żeby nie czekała na mnie aż do dziewiątej.

– Oczywiście, tu mój stolik do pisania...

Zapaliła dwie świece i jedną z nich umieściła na stole, żeby podpatrywać, co Kalist będzie pisał.

„Droga Sabino...”

– Droga! To żona wciąż jest panu droga? – zapytała, spoglądając na Kalista tak zimno, że mróz przeniknął go do szpiku. – No to niechże pan z nią zje obiad!...

„Zjem obiad w knajpie z przyjaciółmi...”

– Kłamstwo. A więc nie jesteś pan godzien ani jej, ani mojej miłości!... Mężczyzna jest zawsze tchórzem wobec kobiety! Idźże pan prędzej na obiad do tej swojej drogiej Sabiny.

Kalist opadł na oparcie fotela, zbladł jak trup. Bretończyków, odważnych z natury, nie zrażają trudności, wzmagają tylko ich upór. Młody baron wyprostował się, podparł się łokciem o stół, ujął ręką brodę i spojrzał roziskrzonymi oczyma na nieubłaganą Beatrix. Był tak imponujący, że kobieta z Północy czy Południa padłaby przed nim na kolana, wołając: „Weź mnie!” Ale Beatrix, urodzona na pograniczu Bretanii i Normandii, należała do rasy Casteranów, a ponadto samotność rozwinęła w niej okrucieństwo godne Franka i złośliwość godną Normanda; zemsta jej musiała być straszliwie efektowna, nie ustąpiła więc bynajmniej wobec szlachetnego odruchu.

– Podyktuj mi, pani, co mam napisać, a usłucham – ozwał się biedny chłopak. – Lecz w takim razie...

– A więc dobrze, skoro masz mnie kochać tak, jak kochałeś w Guérande, napisz: „Nie czekaj na mnie, zjem obiad w mieście!”

– I...? – zapytał Kalist, spodziewając się dalszych słów.

– I basta! Podpisz! – rzekła, wrywając mu bilecik z tłumioną radością. – Dam umyślnemu, żeby zaniósł.

– A teraz!... – wykrzyknął Kalist i zerwał się uszczęśliwiony.

– Ach, jak sędzę, nie utraciłam jeszcze wolności!... – rzekła, oglądając się i zatrzymując w pół drogi między stołem a kominkiem. Zadzwoń! – Każ zanieść to, Antoni, pod wskazany adres. Pan baron zostaje na obiedzie.

Kalist wrócił do domu około drugiej nad ranem. Sabina czekała do wpół do pierwszej, po czym zasnęła znużona; spała, choć lakoniczny bilecik od męża ugodził ją do żywego, ale wytłumaczyła Kalista!... Kobieta kochająca zawsze najpierw tłumaczy wszystko na korzyść ukochanego. „Kalistowi się spieszyło” – pomyślała. Nazajutrz rano malec wyzdrowiał całkiem, ucichł więc niepokój matki. Na kilka minut przed śniadaniem Sabina weszła roześmiana do męża, niosąc dziecko na rękach – żartowała uroczo, plotła, jak to zwykle młode matki. Ów obrazek pożycia małżeńskiego pozwolił Kalistowi zachować kontenans: był przemiły dla żony, myśląc jednocześnie, że sam jest potworem. Bawił się jak dziecko z „panem kawalerem”, bawił się zbyt gorliwie, szarżował swoją rolę, ale Sabina nie osiągnęła jeszcze tego stopnia nieufności, kiedy to kobieta potrafi się rozegnać w aż tak subtelnym odcieniach.

Spytała wreszcie przy śniadaniu:

– I cóżeś ty wczoraj porabiał?

– Portenduère zatrzymał mnie na obiedzie – odparł – a potem poszliśmy na wista do klubu.

– Dość to głupi tryb życia, mój Kaliście – obruszyła się Sabina. – Dzisiejsza młoda szlachta winna myśleć, jak odzyskać pozycje, które stracili wasi ojcowie. Niewiele zwojujecie

kurząc cygara, grając w wista, próżniacząc się, choć i tak wiedziecie żywot próżniaczy, prawiąc z uporem impertynencji parweniuszom, którzy wypierają was ze wszystkich stanowisk, odrywając się od ludu – zamiast mu służyć całą duszą i umysłem, być dla niego opatrnością. Przestaniecie być stronnictwem, zaczniecie wyrażać tylko poglądy – jak powiada de Marsay. Ach, gdybyś wiedział, jak rozszerzyły się moje horyzonty myślowe, odkąd niańczę i karmię twojego malca. Chciałabym, żeby pradawne nazwisko du Guéników stało się nazwiskiem historycznym! – I nagle, zatapiając wzrok w oczach męża, który słuchał zadumany, zmieniła temat: – Przyznaj, że ten pierwszy bilet, jaki do mnie napisałeś, był nieco oschły.

– Dopiero w klubie przyszło mi do głowy, żeby cię uprzedzić...

– A jednak papier, na którym do mnie napisałeś, pochodził od kobiety, pachniał kobietą...

– Widać dyrektor klubu ma swoje dziwactwa!...

Wicehrabiostwo de Portenduere, uroczą parą, tak serdecznie zaprzyjaźnili się z du Guénikami, iż oba małżeństwa wynajęły wspólnie łożę we Włoskim. Urszula i Sabina nawiązały tę przyjaźń wymieniając doświadczenia, rady i zwierzenia, które dotyczą dzieci. Kiedy Kalist, nowicjusz w kłamstwie, myślał: „Trzeba uprzedzić Sawiniana”, Sabina pomyślała: „Zdaje się, że na bilecie była korona!...” Spostrzeżenie to przemknęło jej błyskawicznie przez głowę i Sabina sama strofowała się za nie; postanowiła jednak odnaleźć ów papier, który wczoraj, miotana niepokojem, wrzuciła do szkatułki z listami.

Po śniadaniu Kalist, zapowiadając żonie, że niedługo wróci, wsiadł do niskiego jednokonnego wolanta. Ekwipaż w tym guście zaczął wypierać nieporęczny kabriolet naszych ojców. Po kilku minutach był już na ulicy des Saints-Pères u Portenduère'ów; zastawszy Sawiniana w domu, poprosił go o drobną przysługę w postaci kłamstwa – z obietnicą rewanzu – na wypadek, gdyby Sabina wypytywała wicehrabinę. Wyszedłszy stamtąd kazał jechać co koń wyskoczy i niebawem znalazł się na ulicy de Chartres: był ciekaw, jak margrabina spędziła noc do rana. Szczęśliwa ofiara losu wyszła właśnie z kąpeli wyświeżona, wypiękniona i z apetytem jadła śniadanie. Zachwycił się gracją, z jaką ten anioł jadł jajko na miękko, podziwił szczerozłoty serwis do śniadania. Był to prezent od pewnego lorda-melomana, dla którego Conti skomponował kilka romanc pod lordowskie pomysły; Anglik ów opublikował je jako własne dzieło. Bożyszcze Kalistowe wysyłało tymczasem zjadliwe strzały, poczytując sobie za główną rolę albo zabawiać kochanka, albo zżymać się i płakać, gdy odchodził. Zdawało mu się, że siedział u niej pół godziny, a wrócił do domu dopiero o trzeciej. Piękny koń angielski, dar od wicehrabiny de Grandlieu, wyglądał jakby wyszedł z wody, tak ociekał potem. Przez przypadek, który zawsze umieją sprowadzić zazdrosne kobiety, Sabina stała w oknie spoglądając na dziedziniec, zniecierpliwiona spóźnieniem Kalista i zaniepokojona bez widomej przyczyny. Koń toczył pianę z pyska, zastanowiło ją to. „Skądże on wraca?” Pytanie to szepnęła jej na ucho owa potęga nie będąca ani świadomością, ani aniołem, ani diabłem; potęgą, która widzi, przeczuwa, ukazuje nam nieznaną, każąc nam wierzyć w istoty duchowe, stworzenia zrodzone w naszym mózgu, stworzenia, co uwijają się wciąż, a żyją w niewidzialnej sferze idei.

– Skądże wracasz, drogi aniele? – rzekła do Kalista wyszedłszy na jego spotkanie i zatrzymując się na podeście schodów. – Abd-el-Kader jest niemal ochwacony, miałeś być poza domem tylko chwilę, a ja czekam już od trzech godzin...

„Ejże – powiedział sobie Kalist, coraz wprawniejszy w sztuce maskowania, wykpijmy się prezentem”. – Droga nianiu – rzekł objąwszy ją z przywilnością, która byłaby mniej ostentacyjna, gdyby nie nabroił – jak widzę, niesposób utrzymać przed tobą sekretu, choćby najniewinniejszego, ale takie już wy jesteście, kobiety zakochane...

– Nikt nie wyjawia sekretów na schodach – roześmiała się – chodź...

Pośrodku salonu przylegającego do sypialni ujrzała w lustrze twarz Kalista, z której znikł uśmiech, a wystąpiło znużenie i prawdziwe uczucia; baron sądził bowiem, iż nie jest obserwowany.

– A sekret?... – rzekła, oglądając się.

– Jako piastunka spisywałaś się tak bohatersko, że uczyniło mi to jeszcze droższym infantu du Guéników. Chciałem więc zrobić ci niespodziankę, zupełnie jak mieszcuch z ulicy Świętego Dionizego. Wykańczają właśnie dla ciebie toaletę, nad którą pracowali artyści; matka i ciotka Zefiryra przyłożyły się do tego...

Sabina opłotła Kalista ramionami, przycisnęła go do serca. Wtuliła twarz w jego szyję, omdlewając pod ciężarem szczęścia – nie dla prezentu, lecz dlatego, że rozproszyły się jej pierwsze podejrzenia. Był to jeden z owych wspaniałych porywów, porywów, o jakich się pamięta, a którymi nie może szafować każda miłość, nawet ogromna, życie bowiem splonęłoby wśród nich nazbyt szybko. Męczyzna winien wówczas paść do nóg kobiety, aby ją wielbić, bo to chwila podniosła, kiedy moc serca i umysłu tryska niby woda z nachylonej kruży, którą trzyma kamienna nimfa. Sabina załżała się łzami.

Raptem odskoczywszy, jakby ukąsiła ją żmija, rzuciła się na sofę i zemdląła, gdyż nagły mróz, który ogarnął rozplómięte serce Sabiny, o mało jej nie zabił. Trzymając Kalista w ramionach, tuląc twarz w jego kamizelkę, poczuła, zatopiona w tej radości, zapach owego bileciku!... Twarz innej kobiety ocierała się więc o jej męża, włosy i policzki pozostawiły tu zapach wiarołomstwa. Całowała przed chwilą to miejsce, ciepłe jeszcze od pocałunków rywalki!..

– Co ci się stało?... – zapytał Kalist. Ocucił ją, przykładając Sabinie do twarzy zmoczoną chustkę.

– Sprowadź pan zaraz mojego lekarza i akuszerę, obydwu! Tak, czuję to, pokarm zagrzał mi się w piersi... Zjawią się natychmiast, jeśli pan sam o to poprosisz...

To pan poraziło Kalista – wybiegł przerażony. Usłyszawszy trzaśnięcie bramy, Sabina poderwała się niby spłoszona lania i jęła jak szalona krążyć po salonie, wołając: „O Boże, Boże, Boże!...” Słowa te wyrażały całą jej myśl. Pojawiła się choroba, którą zapowiedziała tylko dla pozorów. Głowę objął ogień nerwowy, każdy włos kłuł ją niczym rozżarzona szpilka. Krew kipiąc, przenikała jakby do nerwów, usiłując jednocześnie trysnąć porami skóry. Zaniewidziała na moment. Zawołała „Umieram!”

Na ten straszliwy krzyk skrzywdzonej kobiety i matki wbiegła pokojowa. Odzyskawszy w łóżku wzrok i przytomność, Sabina, powodując się pierwszym przebłysem inteligencji, wysłała pokojową po swoją przyjaciółkę, panią de Portenduère. Czuła, że myśli wirują jej w głowie niby żdźbła porwane trąbą powietrzną. „Pojawiały mi się – stwierdziła później – miriadami.” Zadzwoiła na lokaja i podekscytowana gorączką zdołała napisać list, tak zaciekle, tak bezwzględnie pragnęła się upewnić!...

DO PANI BARONOWEJ DU GUÉNIC

Droga Mamo, kiedy przyjedziesz do Paryża, jak byłaś łaskawa nam obiecać, podziękuję osobiście za piękny podarek, jakim Mama, ciotka Zefiryra i Kalist postanowiliście okazać mi wdzięczność za to, że spełniła swoje obowiązki. Piękną już otrzymałam nagrodę, a jest nią moje osobiste szczęście!... Nie będę tu rozpisywać się, jak cieszy mnie owa toaleta, powiem to, kiedy będziemy razem. Wierz mi, że wystroiwszy się w to arcydzieło będę i tak zawsze myśleć, jak owa matrona rzymska, że najpiękniejszym moim klejnotem jest nasz drogi anioleczek, etc.

Dała ów list pokojowej, zalecając wysłać go pocztą do Guérande. Kiedy nadeszła wicehrabina de Portenduère, Sabina drżała w straszliwej gorączce, którą wyprzedził ów pierwszy paroksyzm szaleństwa.

– Ja chyba umrę, Urszulo – rzekła.

– A cóż ci jest, moja droga?

– Co Sawinian i Kalist robili wczoraj u was po obiedzie?
– Jakim obiedzie? – zdziwiła się Urszula, której mąż nie zdążył jeszcze uprzedzić, nie spodziewając się tak szybkich zwiadów. – Wczoraj po obiedzie byliśmy z Sawinianem we Włoskim, ale bez Kalista.
– Urszulko najmiłsza, przez miłość twoją dla Sawiniana zachowaj w sekrecie to, co mi powiedziałaś, i to, co jeszcze ja ci powiem. Ty jedna będziesz znać przyczynę mojej śmierci... Zdradzono mnie pod koniec trzeciego roku małżeństwa, a w dwudziestym trzecim roku mojego życia!...
Szczękała zębami, oczy jej się zaszklily, przygasty, lico nabrało tonów zielonawych, przypominających stare lustro weneckie.
– Ciebie, taką piękną!... I dla kogo?...
– Nie wiem! Lecz Kalist okłamał mnie już dwakroć... Ale ani słowa! Nie użalaj się nade mną, nie wpadaj w gniew, udawaj, że nic nie wiesz; może wyciągniesz od Sawiniana, kto to. Och! Ten list wczorajszy!... – Drżąc, podskoczyła w koszuli ku sekretarzycy i wyjęła stamtąd list. – Korona margrabiny! – rzekła, kładąc się znów do łóżka, – Dowiedz się, czy pani de Rochefide jest w Paryżu... Będę więc miała serce, przed którym wypłacę się zawsze i wyżalę!... O moje złotko, moja wiara, poezja, bóstwo, cnota, szczęście, wszystko to skażone, stracone, legło w gruzach!... Nie ma już Boga w niebie, miłości na ziemi, życia w sercu, nie ma już nic... Nie wiem, czy teraz jest dzień i czy słońce świeci... Tyle boleści mam w sercu, że nie czuję już prawie okrutnych cierpień, które szarpia mi pierś i rozsadzają głowę. Na szczęście malec już odstawiony, bo zatrulałbym go pokarmem!
Na tę myśl strumienie łez trysnęły z jej oczu, suchych do tej pory.
Śliczna pani de Portenduère trzymała w ręku fatalny ów list. Urszula osłupiała jak gdyby na widok tego szczerego bólu, przejęła się tą agonią miłości, nic jednak pojąć nie mogła, chociaż Sabina, w chaotycznych co prawda słowach, usiłowała jej rzecz wyłożyć. Nagle oświeciła ją jedna z tych myśli, które przychodzą do głowy tylko prawdziwym przyjaciółkom.
„Trzeba ją ratować!” – pomyślała. – Zaczekaj, Sabino – rzekła z energią – dowiem się prawdy.
– Ach! Będę cię kochać nawet jeszcze w grobie! – zawołała Sabina.
Wicehrabina poszła do księżnej de Grandlieu i, poprosiwszy ją o jak najgłębszą dyskrecję, uwiadomiła o położeniu Sabiny.
– Czy łaskawa pani nie sądzi – zakończyła wicehrabina – że aby uchronić ją od straszliwej choroby, a kto wie, czy nie od szaleństwa!... powinnyśmy zawierzyć wszystko lekarzowi i wykoncypować jakieś bajki, które chwilowo wybieliłyby w jej oczach tego niegodziwego Kalista?
– Moje drogie dziecko – odparła księżna, czując po tych wynurzeniach mróz w sercu – przyjaźń uczyniła ci na moment doświadczenia kobiety w moim wieku. Wiem, jak bardzo Sabina kocha męża, masz rację, mogłaby zwariować.
– Ależ tak, a co gorsza, zbrzydnąć!
Pędźmy więc do niej! – zawołała księżna.
Szczęściem wicehrabina i księżna wyprzedziły o kilka minut słynnego Dommangeta, akuszerza, jego tylko bowiem spotkał Kalist.
– Urszula zawierzyła mi wszystko – powiedziała księżna do córki – i otóż mylisz się... Przede wszystkim Beatryczy nie ma w Paryżu... A twój mąż, aniołku, przegrał wczoraj mnóstwo pieniędzy i nie wie, skąd wydestać nowe na twoją toaletę...
– A to?... – odparła, podając matce list.
– To? – roześmiała się księżna. – Przecież to papier listowy Jockey-Clubu, każdy teraz używa papieru z koroną, niedługo nasz mydlarz będzie utytułowany...

I roztropna matka cisnęła w ogień ów złowieszczy bilecik. Kiedy Kalist i Dommanget nadeszli, służba, pouczona już przez księżną, uprzedziła ją o tym, zostawiła więc Sabinę pod opieką pani de Portenduère i zatrzymała w salonie Kalista i akuszerza.

– Chodzi o życie Sabiny, mój panie – rzekła do zięcia – zdradziłeś ją z panią de Rochefide...

Kalist zaczerwienił się niby dziewczyna, jak dotąd uczciwa, ale przyłapaną na gorącym uczynku.

– A że nie umiesz pan oszukiwać – ciągnęła księżna – zdążyłeś już strzelić tyle bąków, że Sabina domyśliła się wszystkiego, ale ja wszystko naprawiłam. Nie życzysz pan sobie, aby moja córka umarła, nieprawdaż?... To wszystko, panie Dommanget, dopomoże panu wykryć właściwą chorobę i naprowadzi cię na jej przyczynę... Co zaś do pana, panie Kaliście, stara kobieta, jak ja, pojmuję twój błąd, ale przebaczyć nie zamierza. Takie przebaczenie uzyskasz, jeśli na resztę życia uczynisz pan moją córkę szczęśliwą. Skoro pragniesz pan mojego szacunku, uratuj najpierw Sabinę, a następnie zapomnij o pani de Rochefide, bo i dobra ona, ale na jeden raz!... Musisz kłamać umiejętnie, być odważny i bezczelny jak złoczyńca. Bo jam umiejętnie skłamała, ale grzech to śmiertelny i dostanę za to srogą pokutę.

Poinformowała go, jakie wynalazła kłamstwa. Wytrawny akuszer, siedząc u wezgłowia Sabiny, wyprowadzał z symptomatów środki dla zaradzenia złu. Kiedy dawał zalecenia, których pomyślny skutek zależał od jak najszybszego wykonania, Kalist siedział w nogach łóżka i wpatrywał się w Sabinę, usiłując przepoić spojrzenie gorącą tkliwością.

– To od gry masz pan takie podkrążone oczy? – spytała słabym głosem.

Na te słowa lekarz, księżna i wicehrabina zadrżeli i popatrzyli po sobie ukradkiem, a Kalist zrobił się czerwony jak piwonia.

– Ot i skutki karmienia – powiedział Dommanget w porę i rubasznie zarazem. – Mężowie odstawieni od żon nudzą się, chodzą do klubu na karty... Ale niech pani nie żałuje tych trzydziestu tysięcy franków, które pan baron przegrał dziś w nocy.

– Trzydzieści tysięcy franków!... – zawołała naiwnie Urszula.

– Tak, wiem o tym – mówił Dommanget. – Opowiadano mi dziś przed południem u księżnej Bertie de Maufrigneuse, że to pan de Trailles tak obszelmował pana barona. Jak pan może grać z takim człowiekiem? Otwarcie mówiąc, panie baronie, rozumiem wstyd pański.

Widząc, jak jego teściowa – nabożna księżna, młoda wicehrabina – kobieta szczęśliwa, i stary akuszer – egoista, kłamią niczym antykwariusze, poczciwy i szlachetny Kalist pojął, że wielkiej naputał biedy. Uronił dwie grube łzy i to zmyliło Sabinę.

– Mój panie – rzekła, siadając na łóżku i spoglądając ze złością na Dommangeta – baron du Guénic może przegrać trzydzieści, pięćdziesiąt albo i sto tysięcy, jeśli mu się spodoba, i nikt nie ma prawa ganić go za to i udzielać mu nauk. Lepiej, że pan de Trailles wygrał od nas trochę pieniędzy, niż gdybyśmy to my mieli wygrać od pana de Trailles.

Kalist wstał, objął żonę za szyję, ucałował ją w oba policzki i szepnął jej na ucho:

– Sabino, jesteś aniołem!...

Po dwóch dniach można było uważać Sabinę za ocaloną. Nazajutrz Kalist będąc u pani de Rochefide zachwalał jej swoje łotrostwo.

– Beatryczo – mówił – zawdzięczasz mi szczęście. Wydałem w twoje ręce moją biedną żonę, wykryła wszystko. Fatalny papier, na którym kazałaś mi napisać, zdobyło twoje nazwisko i korona, a ja tego nie zauważyłem!... Widziałem tylko ciebie. Monogram, litera B, zatarł się szczęśliwym trafem. Ale przesiąknęłam twoimi perfumami, omotałem się w kłamstwa jak dureń – i to zdradziło moje szczęście. Sabina o mało nie umarła, pokarm uderzył jej do głowy, ma różę piersi i kto wie, czy nie pozostawi jej ona śladów na całe życie...

Słuchając tej tyrady Beatrix popatrywała tak lodowato, że gdyby spojrziała na Sekwanę, Sekwana by zamarzła.

A więc tym lepiej – odparła – może to ją panu wybieli.

I margrabina stała się sucha jak własny szkielet, kapryśna jak jej karnacja, ostra jak jej własny głos – i w tymże ostrym tonie zasypała Kalista gradem zjadliwych dowcipów. Mąż popełnia najpotworniejszą niezręczność prawiąc kochance o swojej żonie, jeśli to żona cnotliwa; tak samo jak nie powinien opowiadać żonie o kochance, jeśli kochanka jest piękna. Lecz Kalist nie odebrał jeszcze tego rodzaju paryskiej edukacji, który można by nazwać dobrymi manierami namiętności. Nie umiał ani okłamywać żony, ani mówić prawdy kochance, a wyszkolić się w tym musi najpierw każdy, kto chce powodować kobietami. Trzeba mu więc było przywołać całą potęgę namiętności, aby po dwugodzinnych błaganiach uzyskać u Beatrixy przebaczenie, którego wciąż odmawiał ten gniewny anioł, wznosząc oczy do sufitu, by nie dostrzegać winowajcy, i wytaczając argumenty właściwe margrabinom, głosem usianym jednakowymi łezkami, ocieranymi ukradkiem koronkową chusteczką.

– Mówić mi o żonie na drugi dzień niemal po tym, jak dopuściłam się błędu!... Czemuż mi pan nie oznajmisz, że to perła cnoty? Wiem o tym; admirując pana uważa, że jesteś piękny! A to właśnie dowód deprawacji! Bo ja, zapamiętaj to, drogi panie, kocham twoją duszę! Jesteś pan obrzydliwy w porównaniu z niektórymi pasterzami z Kampanii Rzymskiej! etc.

Frazesy te mogą zaskoczyć: stanowiły one jednak system głęboko przemyślany przez Beatrixę. W trzecim swoim wcieleniu kobieta, każdy bowiem kolejny afekt odmienia ją do gruntu, robi postępy w szelmostwie, gdyż to jedynie słowo określa trafnie plon eksperencji, jaką dają podobne przygody. Owóż margrabina de Rochefide osądzała siebie, spoglądając bez ustanku w zwierciadło. Kobieta inteligentna nigdy sobie nie schlebia: liczy zmarszczki, obserwuje, jak najpierw rodzą się one w kątach oczu, dostrzega, jak spod skóry zaczynają prześwitywać żółte plamki, umie samą siebie na pamięć, a wkładając ogromny wysiłek w konserwację urody, wydaje sama aż nazbyt wyraźne świadectwo, że straciła złudzenia. Owóż, aby walczyć ze wspaniałą młodą kobietą, aby sześć razy na tydzień święcić nad nią triumfy, Beatrix przyrzuciła blasku swoim powabom, sięgając do wiedzy kurtyzan. Zamknawszy oczy na tak brudną kalkulację, stosowała te środki, opętana chutliwą namiętnością do pięknego Kalista, obiecując sobie wmawiać weń, że jest paskudny, brzydki, niewydarzony, i okazywać mu rzekomą nienawiść. Nie masz taktyki skuteczniejszej w zastosowaniu do mężczyzn z natury zdobywczych. Napotykać taką wypracowaną wzgardę i przewycięzać ją oznacza dla nich odnosić co dzień triumfy dnia pierwszego. Więcej: to przymilność pod maską nienawiści, owiana jak gdyby jej urokiem; to prawda, w którą nieznani a szlachetni poeci przyoblekają wszelkie metamorfozy. Czyż mężczyzna nie mówi sobie wtedy: „Żadna mi się nie oprze!” – albo: „Umiem kochać, skoro poskramięm w niej odrazę”. Jeśli zakwestionujecie tę zasadę znaną kokietkom i kurtyzanom ze wszelkich sfer społecznych, zaprzeczmyż namiętnym badaczom, poszukiwaczom sekretów, czyli ludziom zmagającym się latami z nieubłaganą tajemnicą. Beatrix podwoiła dozę wzgardy, zastosowała tłok moralny, porównując ustawicznie swój poetyczny i wygodny apartamencik z nieprzytulnym pałacem du Guéników. Każda porzucona małżonka zaniedbuje, ogarnięta zniechęceniem, zarówno siebie jak i swoje mieszkanie. Przewidziawszy to, pani de Rochefide rozpoczęła ataki pośrednie, krytykując przepych Dzielnicy Saint-Germain, który nazwała głupim. Scena pojednania, kiedy to Beatrix rozkazała Kalistowi poprzysiąc nienawiść żonie, komediantce, która rzekomo cierpiała, rozegrała się w istnym gaiku, gdzie margrabina mizdrzyła się, otoczona zachwycającymi kwiatami, żardinierami, których przepychu opisać niesposób. Znajomość drobiazgów i spraw bagatelnych graniczyła u niej z egzaltacją. Beatrix, doświadczywszy ogólnej wzgardy, kiedy porzucił ją Conti, pragnęła przynajmniej sławy, jaką daje przewrotność. Tragedia młodej żony, bogatej i pięknej, z domu Grandlieu, miała stać się dla Beatrixy piedestałem.

Kiedy kobieta odstawiwszy pierwsze dziecko od piersi powraca do normalnego życia, pojawia się w salonach urocza i jeszcze niż dawniej piękniejsza. Ta faza macierzyństwa, odmładzając kobiety doletnie, obdarowuje młode kobiety rumieńcem świetności, wesołą energią, owym *brio*, jeśli wolno do rzeczy cielesnych zastosować słowo, które Włosi wynaleźli dla

spraw ducha. Sabina nie odnalazła jednak już tego samego Kalista, usiłując wprowadzić na nowo czarujący obyczaj miodowych miesięcy. Miast upoić się szczęściem, biedaczka wszystko czujnie obserwowała. Szukała fatalnych perfum, czuła je. Przestała w końcu dowierzać przyjaciółce i matce, które oszukały ją tak miłosiernie. Pożądała pewności – i pewność nie kazała na siebie długo czekać. Pewność nigdy nie zawodzi, jest jak słońce, trzeba zapuszczać story. To bajka o drwalu wzywającym śmierci, przeniesiona na grunt miłości: błagamy Pewność, by nas osłepiła.

Któregoś ranka, w dwa tygodnie po pierwszym ataku choroby, Sabina otrzymała taki oto straszliwy list:

DO PANI BARONOWEJ DU GUÉNIC

Guérande.

Droga Córuchno, gubimy się z Zefiryną w domysłach, o jakiej to piszesz nam toalecie; pi-szę również o tym do Kalista, Ciebie zaś proszę, abyś wybaczyła nam naszą niewiedzę. Nie możesz przecie wątpić o naszych sercach. Gromadzimy dla Was fortunę. Dzięki radom panny de Pen-Hoël, odnoszącym się do administrowania Waszą fortuną, otrzymacie za parę lat po-każny kapitał, a przy tym nic nie ucierpią Wasze dochody.

Twój list, moja Córko tak ukochana, jakbym nosiła Cię w łonie i wykarmiła własną pier-sią, zdumiał mnie lakonizmem, a zwłaszcza tym, że nic nie wspominasz o moim drogim Ka-listku; wiem, że nie masz mi nic szczególnego do powiedzenia, znam jego szczęście, ale, etc...

Sabina opatrzyła kopertę napisem biegnącym ukośnie: „Nie wszyscy kłamią w szlachtetnej Bretanii!”... – i położyła list na biurku męża. Kalist znalazł go i przeczytał. Rozpoznawszy pismo Sabiny, młody baron rzucił list w ogień, zdecydowany nie przyjmować go do wiadomości. Sabinę dławiał cały tydzień niepokój zrozumiały tylko dla dusz anielskich lub samotnych, których nie musnęło nigdy skrzydło szatana. Przerazało ją milczenie Kalista.

„Zirytowałam go, zraniłam – ja, która winnam być dla niego wcieleniem słodczy i rado-ści!... Moja cnota przesiąkła nienawiścią, upokorzyłam na pewno moje bóstwo!” – myślała.

Myśli te wżerały jej się w serce. Chciała już prosić o przebaczenie, ale Pewność uraczyła ją niebawem nowymi dowodami.

Beatrix, zuchwała i bezczelna, przysłała któregoś dnia bilet Kalistowi do domu. Pani du Guénic odebrała ów liścik i nie otwierając wręczyła go mężowi: rzekła jednak zrozpaczona, z alteracją w głosie:

– Mój kochany, list do ciebie z Jockey-Clubu... Poznałam zapach i kopertę...

Tym razem Kalist zaczerwienił się i schował list do kieszeni.

– Czemuż nie czytasz?...

– Wiem, czego chcę ode mnie.

Młoda kobieta siadła. Nie dostała gorączki, nie zapłakała, lecz ogarnęła ją biała pasja, któ-ra istoty słabe przywodzi czasem do zadziwiających zbrodni, daje im w ręce arszenik – dla siebie lub dla rywalek. Przyprawiono małego Kalistka, wzięła go na ręce i jęła kołysać. Dziecko, niedawno odłączone, poczęło dotykać sukni, szukając piersi.

– On nie zapomniał, o nie! – wyrzekła cicho.

Kalist poszedł do siebie, żeby przeczytać bilet. Kiedy zamknął drzwi, nieszczęśliwa ko-bieta wybuchnęła płaczem, ale były to łzy kobiety, na którą nikt nie patrzy.

Ból, podobnie jak rozkosz, ma swoje stopnie wtajemniczenia. Pierwszy atak, który o mało nie zabił Sabiny, nie powrócił, bo żadna rzecz nie wraca do nas w swej pierwszej postaci. Cios sięga potem tylko do wierzchniej warstwy serca, gdyż następnego spodziewamy się już:

kiedy mija załamanie nerwowe, przelewamy jakby kapitał naszych sił na rzecz energicznego oporu. Jakoż Sabina, upewniwszy się o zdradzie, przesiadła trzy godziny przy kominku, z malcem na rękach, i zdziwiła się, gdy Gasselín, obecnie kamerdyner, oznajmił:

- Proszę jaśnie pani, podano do stołu.
- Powiedźcie o tym jaśnie panu.
- Jaśnie pan zje obiad na mieście, proszę pani baronowej.

Czy zdajecie sobie sprawę, jak okrutnie w podobnych okolicznościach cierpi młoda kobieta, siedząc samotnie w olbrzymiej jadalni starego pałacu, kobieta, której usługują wtedy milczący lokaje?

- Każcie zaprzęgać – ozwała się nagle – jadę do Włoskiego.

Włożyła wspaniałą toaletę, chciała wystąpić samotnie, z uśmiechem na ustach, udając kobietę szczęśliwą. Wśród wyrzutów, o jakie przyprawiał ją dopisek na kopercie, postanowiła zwyciężyć, odzyskać męża, uciekając się do nieopisanej słodyczy, do cnót małżonki, do tkliwej łagodności jagnięcia. Pragnęła okłamać cały Paryż. Kochała, jak kochają kurtyzany i aniołowie, z pychą i z pokorą. Lecz akurat dawano „Otella”⁵⁹! Wyszła czym prędzej, kiedy Rubini zaśpiewał „*Il mio cor si divide*”⁶⁰. Muzyka bywa często potężniejsza niż poeta i niż aktor – dwie najstraszniejsze potęgi złączone ze sobą. Sawinian de Portenduère odprowadził Sabinę do przedsionka i wsadził do karety, nie umiając sobie wytłumaczyć tej raptownej ucieczki.

Dla pana du Guénic nastał wtedy okres cierpień typowych wśród arystokracji. Kiedy człek zawistny, biedny, cierpiący widzi na ramionach i szyjach kobiet złote węży o diamentowych oczach, kolie i brosze, niech sobie powie, że te żmije kąsają, że te kolie mają jadowite żądła i że te klejnoty, jakże lekkie, wżerają się w delikatne ciało. Za każdy zbytek się płaci. W położeniu Sabiny kobieta złorzeczy rozkoszom, jakie daje bogactwo, nie dostrzega już złociń swojego salonu, jedwabisty kobierzec zamienia się w pakuły, kwiaty egzotyczne w pokrzywę, perfumy śmierdzą, cuda kuchni drapią gardło jak czarny chleb, życie staje się gorzkim jak Morze Martwe. Kilka przykładów odmaluje ową zależność między wyglądem salonu lub kobiety a chwilą szczęścia, odmaluje w taki sposób, że każda kobieta, która zetknęła się z nimi osobiście, odnajdzie tu swoje przeżycia małżeńskie. Będąc pewną owej straszliwej rywalizacji, Sabina przyglądała się bacznie mężowi, kiedy wychodził, aby odgadnąć, jak ułoży się reszta dnia. I z jakąż tłumioną furią kobieta rzuca się na te rozżarzone ostrza, które zadają jej okrutną torturę!... Ileż radości szaleńczej, jeśli nie wybierał się na ulicę Chartres! Czy Kalist wróci? Obserwując jego uczesanie, czoło, oczy, fizjonomię, ruchy, śledziła z zajadłym uporem każdy drobiazg, rozpatrywała nawet intymne szczegóły garderoby – a to właśnie odbiera kobiecie szlachetność i godność. Wyniki tych złowróżbnych obserwacji, tajone na dnie serca, tworzyły tam kwas, co zatruwał delikatne korzenie, które dają początek błękitnemu kwieciciu świętej ufności, złotym gwiazdom jedyne afektu i wszelkim kwiatom wspomnienia.

Któregoś dnia Kalist rozejrzał się ze złością po domu i został! Sabina okazała kocią przywilność, była pokorna, dowcipna i wesoła.

– Dąsasz się na mnie? – spytała. – Czyż nie jestem dobrą żoną? Cóż ci się w domu nie podoba?...

- Zimne są te pokoje i nagie. Nic się nie rozumiesz na tych rzeczach.
- A czego brak?
- Kwiatów.

„Z tego wniossek – pomyślała Sabina – że pani de Rochefide lubi kwiaty.”

Po dwóch dniach pokoje w pałacu du Guéników odmieniły charakter: nikt w Paryżu nie mógł się pochwalić piękniejszymi kwiatami.

⁵⁹ „Otello” – opera Rossiniego, po raz pierwszy wystawiona w Neapolu w r. 1816.

⁶⁰ *Il mio cor si divide* (wł.) – Serce mi się kraje.

Minęło znów kilka dni. Któregoś wieczoru, po obiedzie, Kalist jął się uskarżać na zimno. Wiercił się na kozetce, wypatrując źródła przeciągów, szukał czegoś wokół siebie. Sabina głowiła się czas jakiś nad przyczyną tych nowych fanaberii, bo przecież w pałacu kaloryfer ogrzewał schody, przedsionki i korytarze. Wywnioskowała wreszcie po trzydniowych rozważaniach, że margrabina otacza się zapewne parawanem rzucającym półcień na jej postarzale lico – sprawiła sobie tedy parawan, ale z luster i bogaty, jak u Żydów.

„Skąd teraz nadejdzie burza?” – medytowała. Rywalka tymczasem nie zaprzestawała pośredniej krytyki. Kalist jadał obecnie w sposób, który przywodził Sabinę do szału: oddawał lokajowi talerz po talerzu, s k u b n ą w s z y coś niecoś za ledwie.

– Nie smakuje ci? – pytała Sabina, rozpaczając, że idą na marne jej starania: zniżała się do narad z kucharzem.

– Tego nie mówię, mój aniele – odpowiadał Kalist, nie irytując się bynajmniej – nie jestem głodny, i basta!

Kobieta trawiona słuszną namiętnością i walcząca w opisany sposób, aby zwyciężyć rywalkę, popada w rodzaj zaciekłości i często mija się z celem, nawet w sekretnych rejonach małżeństwa. Ta walka, tak okrutna, żarliwa, nieustanna w – by tak rzec – dostrzegalnych i zewnętrznych rzeczach małżeństwa, toczyła się nie mniej zajadle w rzeczach serca. Sabina studiowała pozy i toaletę, roztaczała nadzór nad sobą i w najdrobniejszych sprawach miłości.

Kłopoty z kuchnią trwały prawie miesiąc. Sabina, wspomagana przez Maryskę i Gasselina, wynajdowała fortele godne wodewilu, aby dowiedzieć się, jakimi potrawami pani de Rochefide raczy Kalista. Gasselin zastąpił stangreta, który zachorzał na rozkaz. Dzięki temu Gasselin mógł się pokumać z kucharką Beatryczy i Sabina zaczęła traktować męża jadłem podobnym, a nawet lepszym. Ale zjawily się nowe fanaberie.

– Czegóż ci znów brak?... – pytała.

– Nic, już nic... – odpowiadał, szukając na stole przedmiotu, którego tam nie było.

– Ach! – zawołała Sabina zbudziwszy się nazajutrz. – Kalist chciał tych tłuczonych chlebąszczy, tych angielskich ingrediencji, które sprzedają aptekarze, wlewając je w takie flakony jak od oliwy. Pani de Rochefide przyzwyczajają go do wszelkich ostrych przypraw!

Kupiła angielski przybór do oliwy, iskrzące się flakony, ale w odkrywaniu tych rozlicznych sekretów trudno jej było nadażyć za wszystkimi sztuczkami, jakie wynajdowała pani de Rochefide.

Ów okres trwał kilka miesięcy – nie dziwcie się, walka zawsze wciąga. Takie jest życie i lepsze ono ze swoimi ranami i boleścią niżli czarne mroki rozczarowania, trucizna wzgardy, otchłań rezygnacji i owa śmierć serca zwana obojętnością. Niemniej, odwaga opuściła ze wszystkim Sabinę jednego wieczoru, kiedy wystroiła się z ową zalotnością, do jakiej potrafi skłonić kobietę namiętna chęć triumfu nad rywalką, lecz Kalist roześmiał się:

– Choćbyś, Sabino, stanęła na głowie, będziesz zawsze tylko piękną Andaluzyjką!

– Niestety! – odrzekła, osuwając się na kozetkę – nigdy nie zdołam być blondynką: wiem jednak, że jeśli to potrwa dłużej, będę miała niebawem trzydzieści pięć lat.

Rozmyśliła się, nie poszła do Włoskiego, postanowiła spędzić cały wieczór w domu. Kiedy pozostała sama, wyrwała kwiaty z włosów i podeptała je, rozebrała się i podeptała suknię, szarfę i całą toaletę, przypominając kozę, która szamocze się na postronku, póki całkiem z sił nie opadnie. I położyła się do łóżka. Weszła pokojowa, osądźcie sami jej zdumienie.

– Drobiazg, to pan zrobił! – rzekła Sabina.

Każda nieszczęśliwa kobieta jest pełna wzniosłej, choć niemądrej pychy, każda z nich kłamie, w każdej zmagają się dwa rodzaje wstydu, przy czym zwycięża wstyd bardziej kobiecej.

Wśród tej okrutnej zabawy Sabina chudła, zżerała ją zgryzota, lecz ani razu nie odstąpiła od roli, którą narzuciła sobie sama. Podtrzymywał ją w tym rodzaj gorączki, a kiedy ból podsuwał jej gorzkie słowa, tłumiała je, wtłaczając aż do gardła; wspaniałe czarne oczy nie ciskały

już błyskawic, umiała im nadać wyraz łagodny, a nawet pokorny. Marniała i niebawem zaczęło to zwracać uwagę. Księżna, matka jak najlepsza, choć wpadała coraz bardziej w iście portugalską dewocję, dostrzegła zaródź śmierci w tym stanie – bez przesady – chorobowym, który Sabina zdążyła już upodobać sobie. Wiedziała, że margrabina i Kalist utrzymują intymne stosunki. Zatrzaszczyła się więc, by ściągnąć córkę do siebie, opatrzyć rany jej serca, a nade wszystko położyć kres męce, ale Sabina milczała czas jakiś uparcie, nie chcąc wspominać o swoim nieszczęściu, w obawie, by ktoś nie podjął prób interwencji między nią a Kalistem. Mówiła, że jest szczęśliwa!... Na dni nieszczęścia odnajdywała dumę i wszystkie swoje cnoty. Ale po miesiącu czulej opieki, jaką otoczyły ją matka i Klotylda, wyznała na koniec swoją zgrzyotę, zwierzyła się z boleści, przekleła życie i z na poły przytomną radością oznajmiła, że widzi już nadchodzącą śmierć. Poprosiła Klotyldę, która postanowiła umrzeć w panieństwie, aby zastąpiła matkę małemu Kalistkowi, dziecku tak pięknemu, iż ród królewski mógłby wymarzyć je sobie na infanta.

Jednego wieczoru, w gronie rodzinnym, między młodszą siostrą, Atenais, która pod koniec postu miała poślubić wicehrabiego Justyna de Grandlieu, matką i Klotylda, Sabina dała upust rozpacz, gdyż konało jej serce, tak okrutnych doznała ostatnio upokorzeń.

– Atenais – powiedziała, kiedy koło jedenastej odszedł wicehrabia Justyn – wychodzisz za mąż, niechże ci posłuży mój przykład. Nie pokazuj swoich zalet, wystrzegaj się tego jak zbrodni, wielka to przyjemność się stroić, żeby podobać się mężowi, lecz opieraj się tej pokusie. Bądź spokojna, godna i zimna, miarkuj szczęście, które dasz, wedle szczęścia, jakie będziesz otrzymywać. Haniebne to, ale konieczne. Jak widzisz, gubią mnie moje zalety!... Wszystko, co we mnie jest wielkie, piękne, święte, wszelkie moje cnoty to rafy, o które rozbiło się moje szczęście. Przystaję się podobać, gdyż nie mam lat trzydziestu sześciu! W oczach niektórych mężczyzn młodość to wada. W naiwnym licu nie ma nic tajemniczego. Śmieję się szczerze – i to źle! Chcąc uwodzić, musisz wystudiować ów melancholijny uśmiešek upadłego anioła, który winien skrywać długie i żółte zęby. Świeża płeć jest mdła. Mężczyzna woli twarz jak u lalki, uróżowaną, wysmarowaną olbrottem i cold-creamem. Jestem rzetelna, a tu podoba się przewrotność! Pałam prawym uczuciem, jak każda przyzwoita kobieta, a tu mam być sztuczna, nieszczerza, zmanierowana jak aktorka z prowincji. Upaja mnie szczęście, boć moim mężem jest jeden z najbardziej uroczych ludzi we Francji, powiadam mu naiwnie, jaki jest dystyngowany, ile wdzięku mają jego ruchy, uważam, że jest piękny; tymczasem, żeby mu się podobać, trzeba odwracać głowę z udanym obrzydzeniem, nie kochać nic w miłości, powiadać mu, że jego dystynkcja to po prostu wygląd chorowity, suchotniczy, zachwalać bary Herkulesa Farnezyjskiego, przywozić go do złości i bronić się, jak gdybym musiała walczyć, żeby w momencie szczęścia ukryć tę lub ową ułomność fizyczną, która mogłaby zabić miłość. Na moje nieszczęście zachwygam się pięknymi rzeczami, ani myśląc podnosić się w oczach ludzkich za pomocą gorzkiej i zawistnej krytyki tego wszystkiego, co błyszczy poezją i pięknem. Nie potrzebuję, żeby Canalis czy Natan zachwalali wierszem czy prozą moją subtelną inteligencję! Jestem biedną, naiwną dziewczyną, znam tylko Kalista. Ach! Gdybym włóczyła się po świecie jak o n a, gdybym mówiła jak o n a „Kocham cię!” we wszystkich językach europejskich, pocieszano by mnie, wielbiono i uzalano by się nade mną, a ja urządzałabym Sardanapalowe uczyty miłości kosmopolitycznej. Nikt nie podziękuje ci za tkliwe względy, jeśli nie przyprawisz ich złośliwością. I tak ja, kobieta szlachetna, muszę uczyć się nieskromności i wyrachowania właściwego d z i e w k o m !... A Kalista zwodzi ten małpi cyrk! O mamó, o droga Klotyldo, otrzymałam śmiertelną ranę. Moja duma to rzekoma tarcza, jestem bezbronna wobec boleści, kocham nadal mojego męża jak szalona, a żeby odzyskać go dla siebie, winnam zasięgać rad u obojętności.

– Głupia jesteś – szepnęła jej Klotylda na ucho – udawaj, że szukasz zemsty...

– Chcę umrzeć nieskalaną, nie chcę, żeby padł na mnie cień winy – odrzekła Sabina. – Nasza zemsta musi być godna naszej miłości.

– Moje dziecko – rzekła księżna do Sabiny – matka musi spoglądać na życie trochę chłodniej niż ty. Miłość nie jest celem sama w sobie, lecz tylko nieodzownym elementem życia rodzinnego; nie naśluduj aby tego biedactwa, baronowej de Macumer. Zbyt gorąca namiętność jest jałowa i śmiercionośna. Wreszcie, Bóg zsyła nam strapienia i wie, dlaczego... Sprawa mariażu Atenais już załatwiona, będę więc mogła zająć się tobą... Mówiłam już o twojej drażliwej sytuacji z ojcem, z księciem de Chaulieu i z d'Ajuda; znajdziemy na pewno sposoby, żeby ci przywrócić Kalista...

– Z margrabiną de Rochefide nie ma tak wielkiego ambarasu – rzekła Klotylda uśmiechając się do siostry – zmienia adoratorów jak rękawiczki.

– D'Ajuda, mój aniele – podjęła księżna – był szwagrem margrabiego de Rochefide... Jeśli nasz kochany spowiednik zaaprobuje intryżki, jakich trzeba będzie się chwycić, żeby powiódł się plan, który przedstawiłam ojcu, mogę ci zagwarantować powrót Kalista. Moje sumienie wzdraga się przed podobnymi środkami, muszę więc poddać je krytyce księdza Brossette. Żeby ci, moje dziecko, przyjść z pomocą, nie będziemy czekać, aż znajdziesz się *in extremis*⁶¹. Nie trać nadziei! Tak się dziś trażyłaś, że zdradziłam swój sekret: ale muszę przecież dodać ci otuchy.

– A czy to nie zrobi przykrości Kalistowi? – zapytała Sabina patrząc z niepokojem na matkę.

– Boże! Czy ja też tak zdurnieję? – zawołała naiwnie Atenais.

– O moja mała, nie wiesz, w jakie wąwozy spycha nas cnota, kiedy daje się powodować miłości – odrzekła Sabina, kończąc jakby werset, niemal już obłąkana z bóleści.

W tonie tych słów było tyle przejmującej goryczy, że księżna, tknięta brzmieniem głosu i spojrzeniem baronowej du Guénic, domyśliła się jakiegoś utajonego nieszczęścia.

– Moje małe, już północ, idźcie spać... – powiedziała do dwóch córek, których oczy rozbłyły nagle.

– Czyżbym była zbyt duża, choć mam trzydzieści sześć lat? – zagadnęła kpiąco Klotylda. A gdy Atenais całowała matkę, pochyliła się ku Sabinie i szepnęła jej na ucho: – Spróbuj mi tylko nie powiedzieć... Przyjdę do ciebie jutro na obiad. Jeśli matka nie zechce narażać sumienia, to ja wyzwolę Kalista z rąk Saracenki.

– No i cóż tam znów nowego, Sabino? – spytała księżna, wiodąc córkę do swojej sypialni.

– E, mam, teraz już koniec ze mną!

– Czemuż to?

– Próbowałam pokonać tę straszną kobietę, jestem w ciąży, a Kalist tak się zakochał, że pewno porzuci mnie całkiem. Jeśli dowiodę mu niewierności, ona się wścieknie. Ach! Zbyt wielkie to męczarnie, nie zdołam ich przetrzymać. Wiem zawsze, kiedy wybiera się do niej, odgaduję to z jego radości, a kiedy jest ponury, wiem, że od niej wrócił. Wreszcie, przestał się już krępować: okazuje mi antypatię. Ona ma na niego wpływ tak niezdrowy, jak niezdrowe są jej dusza i ciało. Przekonasz się – za cenę jakiegoś pojednania zażąda, żeby mnie rzucił publicznie, mniej więcej tak, jak ona zerwała z mężem, a wtedy uwiezie mi go z pewnością do Szwajcarii lub do Włoch. Zaczyna już napomykać, że to śmieszne nie znać Europy, zgaduję, co znaczą te z góry obmyślane słowa, i jeśli Kalist nie wyzdrowieje za trzy miesiące, nie wiem, co się stanie... a raczej wiem: odbiorę sobie życie!

– Nieszczęsne dziecię! A twoja dusza? Samobójstwo to grzech śmiertelny!

– Niech mama zrozumie, że ona potrafi obdarzyć go dzieckiem! I Kalist będzie gotów pokochać to dziecko bardziej niż moje! O, wtedy wyczerpie się moja cierpliwość, nadejdzie kres wyrzeczeniu.

Osunęła się na krzesło. Otworzyła serce do ostatka, nie tajiła już żadnej ze swych bóleści, a boleść jest jak ów żelazny pręt, który rzeźbiarz wbija w glinę posągu: podtrzymuje – to siła!

⁶¹ *In extremis* (łac.) – w ostatniej chwili, przed śmiercią.

– No, wracaj do domu, moje ty udręczone biedactwo! Dowiedziawszy się o tylu nieszczęściach, ksiądz odpuści mi na pewno grzechy powszednie, do jakich przywiodą mnie fortele nieodzowne w naszej sferze. Zostaw mnie już, córko, samą – tu podeszła do klęcznika – modląc się, będę błagać Boga i Najświętszą Pannę o specjalną łaskę dla ciebie. Dobranoc, kochana Sabinko, nie zaniedbuj obowiązków religijnych, zwłaszcza jeśli chcesz, żeby nam się powiodło...

– Choćbyśmy nawet zatriumfowały, mamó, i tak ocalimy tylko rodzinę. Kalist uśmiercił we mnie zapał miłosny, zniechęcił mnie pod każdym względem, przywykłam nawet do bólu. Ależ miałam miesiąc miodowy: już pierwszego dnia zaznałam goryczy, przewidziawszy to wiarołomstwo – wiarołomstwo z rzutem oka wstecz!

Nazajutrz około pierwszej jeden z proboszczów arystokratycznej Dzielnicy Saint-Germain, ksiądz Brossette, desygnowany kolejno na biskupstwo wakuujące od roku 1840, które trzykroć odrzucał, kapłan zaliczany do luminarzy kleru paryskiego, przemierzał dziedziniec pałacu księstwa de Grandlieu krokiem, by tak rzec, eklezjastycznym, tyle było zeń roztropności, dyskrecji, spokoju, powagi i niekłamanego dostojenstwa. Człek to był niski i chudy, lat około pięćdziesięciu, o twarzy bladej bladeścią starych kobiet, wymizerowanej kapłańskimi postami, zapadłej od ludzkich cierpień, którymi przejmował się gorąco. Oczy czarne, pełne płomiennej wiary, których wyraz łagodziła mgielka bardziej tajemnicza niż mistyczna, ożywiały tę twarz apostoła. Wchodząc na stopnie ganku, uśmiechał się z lekka, wątpił bowiem, czy dostojna owieczka wezwała go w sprawie aż tak olbrzymiej wagi, ale że księżna nader hojną ręką rozdzielala jałmużnę, czas, jaki kradła mu na niewinne wyznania, opłacał się sownie biedakom parafii. Kiedy oznajmiono proboszcza, księżna wstała i powitała go w salonie, postąpiwszy kilka kroków naprzód: wyróżnieniem tym darzyła jedynie kardynałów, biskupów, zwykły kler, księżne starsze wiekiem od siebie i książąt krwi królewskiej.

– Mój drogi księżo – powiedziała, wskazując mu osobiście fotel i zniżając głos – zanim rozpocznę brzydką intrygę, z której wynikać musi rzecz piękna, chciałam się odwołać do osoby o takim jak u księdza autorytecie i doświadczeniu. Otóż pragnęłabym wiedzieć, czy z tego względu nie wyrosną ciernie na mojej drodze zbawienia...

– Niech księżna pani – przerwał ksiądz – nie miesza spraw duchowych ze świeckimi, gdyż nieczęsto dają one się pogodzić. Ale przede wszystkim, o co chodzi?

– Jak księdzu wiadomo, Sabina marnieje ze zgryzoty, pan du Guénic zaniedbuje ją dla pani de Rochefide.

– To rzecz okropna, rzecz poważna; wiadomo pani, co powiada w tej materii nasz ukochany święty Franciszek Salezy. A wreszcie niech księżna pomyśli o pani Guyon, która uskarżała się na brak mistycyzmu w stosunkach miłosnych między małżonkami. Pani Guyon nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby jej mąż znalazł sobie jakąś panią de Rochefide.

– Sabina wykazuje łagodność aż przesadną, jest aż nazbyt małżonką chrześcijańską, ale nie ma najmniejszego upodobania do mistycyzmu.

– Biedactwo! – ulitował się chytrze ksiądz. – I cóż księżna wykoncypowała, żeby temu nieszczęściu zaradzić?

– Zgrzeszyłam, mój drogi spowiedniku, projektując, żeby nasłać na panią de Rochefide jakiegoś przystojnego a despotycznego pana, pełnego przykrych narowów, który na pewno wykurzyłby mojego zięcia.

– Moja córko – odparł, głaszcząc się po brodzie – nie jesteśmy tu przy konfesjonale, nie będę więc traktował cię jak sędziego. Przyznam, zważywszy stosunki światowe, że byłby to cios skuteczny...

– Ależ to naprawdę wydaje mi się wstrętne!...

– A dlaczego? Rzecz jasna, że rolą chrześcijanki jest raczej sprowadzić kobietę upadłą ze złej drogi aniżeli popychać ją dalej; skoro jednak ktoś zaszedł tak daleko jak pani de Rochefi-

de, to nie ludzka już ręka, ale Boża pokieruje naszą grzesznicą. A takie panie zasługują na grom specjalny.

– Dziękuję ci, mój ojczy, za tyle pobłażliwości, ale pomyślałam, że mój zięć to dzielny i typowy Bretończyk, boć spisywał się bohatersko, kiedy ta biedaczka, Jej Książęca Mość, dopuściła się lekkomyślnego kroku. Otóż gdyby jakiś młody wartogłów podjął się emablować panią de Rochefide, powaśniłby się z Kalistem i doszłoby do pojedynku...

– Mądrze księżna pani pomyślała. Dowód to, że na krętych drogach są zawsze niebezpieczne wyboje.

– Toteż odkryłam, drogi księżo, sposób, żeby pani de Rochefide wyświadczyć znakomitą przysługę, sprowadziwszy ją z fatalnej drogi, na której utknęła, Kalista zaś przywrócić żonie. No i może w dodatku tę biedną zbłąkaną osobę ocalimy od piekła...

– Po cóż więc zasięgać u mnie rady? – uśmiechnął się ksiądz.

– Ach! Będę musiała dopuścić się uczynków dość brzydkich...

– Nie zamierza chyba księżna nikogo okraść?

– Przeciwnie, raczej wydam mnóstwo pieniędzy.

– I nie zamierza też księżna nikogo oczernić?

– Och!

– I nie skrzywdzi księżna bliźniego?

– Hm, tu właśnie mam wątpliwości.

– No więc jakież to plan? – zaciekawił się ksiądz.

– A gdybym, zamiast wybijać klin klinem, tak pomyślałam na moim kłęczniku, błagając Najświętszą Pannę o radę, wygoniła Kalista za pośrednictwem pana de Rochefide, przekonawszy go, żeby przebaczył żonie? Nie przyłożyłabym wtedy ręki do złej sprawy, żeby córce wyświadczyć znakomitą przysługę, ale spełniłabym dobry uczynek, uciekając się do innego, nie mniej dobrego uczynku...

Ksiądz popatrzył na panią de Grandlieu i zadumał się.

– Myśl ta na pewno przyszła z tak daleka, że...

– Toteż podziękowałam Najświętszej Pannie! – zapewniła przezacna i pokorna księżna. – I ślubowałam, nie licząc nowenny, że jeśli mi się powiedzie, dam jakiejś ubogiej rodzinie tysiąc dwieście franków. Ale kiedy przedstawiłam ten plan mojemu mężowi, roześmiał się i powiedział: „Na honor, mimo twojego wieku masz chyba diabła po swojej stronie”.

– Księżę wyjął mi z ust słowa, które miałem powiedzieć, kiedy mi pani przerwała – odparł ksiądz, uśmiechając się mimo woli.

– Ach, mój ojczy, jeśli aprobujesz pomysł, czyż nie zaaprobujesz środków, które pozwolą go urzeczywistnić? Chodzi o to, żeby niejakej pani Schontz – to taka Beatrix Dzielnicy Świętego Jerzego – zrobić to samo, co zamierzałam zrobić pani de Rochefide, żeby margrabia odzyskał żonę.

– Jestem przekonany, że nie potrafiłaby księżna zrobić nic złego – powiedział dyplomatycznie ksiądz, gdyż nie życzył sobie dalszych informacji, uznawszy rzecz za konieczną. – Zasięgnie u mnie księżna rady w wypadku, gdyby zaczęło szemrać jej sumienie – przydał. – A gdyby tak, miast podsuwać tej damie z ulicy Świętego Jerzego nową okazję do zgorszenia, obdarowała ją pani mężem?...

– Ach, drogi mój przewodniku, poprawiłeś jedyny wadliwy szczegół w moich projektach! Godzien jesteś arcybiskupstwa i chyba dożyję tych dni, kiedy będę tytułować księdza emincją.

– Widzę w tym wszystkim tylko jedno niebezpieczeństwo – rzekł.

– Jakież?

– A jeśli pani de Rochefide powróci do męża, zatrzymując pana barona?

– To już moja rzecz. Mało się w życiu intrygowało, ale skoro już się intryguje...

– To będzie się to robić nieumiejętnie, bardzo nieumiejętnie – dokończył ksiądz – bo we wszystkim trzeba wprawy. Niech księżna postara się zwerbować jednego z tych obwiesiów żyjących intrygą, niech nim księżna kieruje, sama pozostając w ukryciu.

– Ach, proszę księdza, czy niebo będzie z nami, jeśli posłużymy się piekłem?...

– Nie jest pani u konfesjonału – powtórzył ksiądz – masz ratować córkę, i basta!

Przeznacza księżna, zachwycona swoim spowiednikiem, odprowadziła go aż do drzwi salonu.

Tak to zbierała się burza nad głową pana de Rochefide, który cieszył się akurat największą sumą szczęścia, jakiego może pożądać paryżanin: żył sobie z panią Schontz w małżeńskim stadle i, jak słusznie zauważył ksiądz de Grandlieu, wydawało się niemożliwym rozbić egzystencję tak uroczą i pozbawioną jakichkolwiek braków. Wobec tych domniemań winniśmy podać trochę szczegółów z życia, jakie prowadził pan de Rochefide od momentu, kiedy Beatrix uczyniła go mężczyzną opuszczonym. Zrozumiemy wtedy dobrze, jak olbrzymią różnicę nasze prawa i obyczaje robią między dwiema osobami płci odmiennej, znajdującymi się w identycznym położeniu. Wszystko, co sprzysięga się przeciw kobiecie opuszczonej, wychodzi na dobre mężczyźnie opuszczonemu. Ten uderzający kontrast nakłoni z pewnością niejedną młodą kobietę, aby nie rozbijała swojego małżeństwa i walczyła o nie jak Sabina du Guénic, wprowadzając w akcję cnoty najbardziej mordercze albo najbardziej nieszkodliwe – stosownie do wyboru.

W kilka dni po eskapadzie Beatrycy Artur de Rochefide stał się jedynakiem, gdyż umarła go bezdzietna siostra, margrabina d'Ajuda-Pinto. Odziedziczył po niej pałac rodowy Rochefide'ów przy ulicy d'Anjou-Saint-Honoré, a następnie – po ojcu – dwieście tysięcy franków renty. Ta bogata sukcesja połączona z fortuną, którą pan Artur posiadał, żeniąc się, a także z majątkiem Beatrycy, podniosła jego dochody do tysiąca franków dziennie. Dla szlachcica obdarzonego charakterem, który panna des Touches odmalowała Kalistowi w paru słowach, sama taka fortuna stanowiła szczęście. I kiedy jego żona zaprzętała się to miłością, to macierzyństwem, Rochefide profitował z olbrzymiego majątku, nie szafując nim jednak, tak samo jak nie szafował dowcipem. Jego pocziwa prostacka próżność, usatysfakcjonowana piękną powierzchownością, której zawdzięczał kilka sukcesów miłosnych (dlatego uważał, iż ma prawo gardzić kobietami), znajdowała również całkowity upust w dziedzinie inteligencji. Wyposażony w ów rodzaj umysłu, który trzeba nazwać lustrzanym, przywłaszczał sobie cudze dowcipy albo żarty ze sztuk teatralnych i z gazetek, powtarzając je wokół; udawał, że nimi gardzi, szarżował, odwoływał się do nich jako do formuł krytyki; wreszcie swoją wesołością żołnierską (służył był w Gwardii Królewskiej) tak umiejętnie przyprawiał rozmowę, że kobiety tępe ogłosiły go człowiekiem dowcipnym, inne zaś nie śmiały im zaprzeczać. Pan Artur stosował ów system w każdym wypadku; zawdzięczał naturze wygodny geniusz naśladowania – nie był jednak małpą, naśladował poważnie. Toteż, choć pozbawiony smaku, umiał zawsze pierwszy przyjąć modę i pierwszy ją porzucić. Pomawiany, że zbyt wiele czasu poświęca toalecie i że nosi gorset, był wzorem ludzi, co zawsze każdemu się podobają, stale dając wyraz utartym poglądom i powszechnej głupocie, a płynąc zawsze z prądem, nie starzeją się nigdy. To bohaterowie przeciętności. Użalano się nad tym mężem, mówiono, że dla Beatrycy nie masz usprawiedliwienia, skoro porzuciła najlepszego chłopaka pod słońcem – i tak śmieszność godziła tylko w żonę. Członek wszystkich klubów, subskrybent wszelkiej bredni, jaką płodzi patriotyzm albo źle pojęta stronniczość, ów szlachcic dzielny, zacny i arcygłupi, którego nieszczęściem przypomina tyłu bogaczy, wysuwał się dzięki wrodzonej uczynności zawsze do pierwszego szeregu i musiał oczywiście odznaczać się jakąś modną manią. Szczycił się więc głównie, że sułtani czworonogiemu haremu, który, pod zarządem starego koniuszego, Anglika, pochłaniał cztery do pięciu tysięcy franków miesięcznie. Specjalność margrabiego polegała na koniach, protegował końską rasę, subwencjonował periodyk poświęcony zagadnieniom hippicznym; ale sam znał się miernie na koniach i w

każdej kwestii – od uzdy do podków – radził się swojego koniuszego. Dość powiedzieć, że ten półkawaler nie odznaczał się niczym charakterystycznym – ani umysłem, ani gustem, ani pozycją, ani śmiesznością, a majątek zawdzięczał przodkom! Zakosztowawszy wszelkich przykrości małżeństwa, był tak kontent, kiedy wrócił do kawalerskiego stanu, że mawiał między przyjaciółmi: „W czepku się urodziłem!” Radując się nade wszystko, iż nie ponosi wydatków reprezentacyjnych, do jakich zmuszeni są ludzie żonaci, nie dbał o swój pałac, nic się tam więc nie zmieniło od śmierci jego ojca i pokoje wyglądały tak, jakby właściciel był wiecznie w podróży; bo zresztą nie zagrzewał tam miejsca, w domu sypiał rzadko, a jadał poza domem. Oto przyczyna tej obojętności.

Po wielu przygodach miłosnych, znudzony się damami światowymi – gdyż są one rzeczywiście nudne, a szczęście otaczają zbyt wielką liczbą cierniowych płótków – ożenił się, o czym jeszcze opowiemy, ze słynną panią Schontz, głośną w świecie takich kobiet, jak Fanny Beaupré, Zuzanna du Val-Noble, Marietta, Florentyna, Jenny Cadine i inne. O świecie tym powiedział dowcipnie jeden z naszych rysowników, wskazując wir toalet na balu w Operze: „Kiedy pomyśleć, że wszystko to mieszka, ubiera się i żyje przyzwoicie, człowiek ma powód, żeby zadzierać nosa!” Ów świat bardzo niebezpieczny wdarł się już w niniejszą historię obyczajów dzięki figurom tak typowym jak Floryna i słynna Malaga z „Córki Ewy” i z „Fałszywej kochanki”, lecz aby odmalować go wiernie, historyk winien dobierać te osoby wedle różnorodnego zakończenia ich szczególniejszych egzystencji; zakończenie takie stanowić będzie to najohydniejszy rodzaj ubóstwa, to przedwczesna śmierć, to dobrobyt, to szczęśliwy mariaż, a czasem nawet wielkie bogactwo.

Pani Schontz, znana z początku jako Aurelka, dla odróżnienia od jednej z rywalek o wiele mniej sprytniej niż ona, należała do najwyższej sfery tych kobiet, których użyteczności społecznej nie może poddać w wątpliwość ani prefekt departamentu Sekwany, ani ktokolwiek, komu leży na sercu pomyślność miasta Paryża. Na pewno „szczur”, pomawiany, że niszczy majątki (często domniemane), rywalizuje z kurtyzaną. Gdyby nie te Aspazje z Dzielnicy Notre-Dame-de-Lorette, nie budowano by w Paryżu tylu domów. Pionierki nowych tynków, posuwają się one za przewodem Spekulacji pod wzgórzami Montmartre'u, wbijając kolki swoich namiotów wśród pustkowi rzeźbionego piaskowca, składającego się na europejskie ulice Amsterdamu, Mediolanu, Sztokholmu, Londynu i Moskwy – architektoniczne pustacie, gdzie wiatr wyje szarpiąc niezliczonymi tabliczkami z napisem „Mieszkanie do wynajęcia!”, tabliczkami, które świadczą o pustce. Sytuację tych dam określa ich pozycja w owych podejrzanych dzielnicach; jeśli dom zbliża się do linii wytyczonej ulicą Prowanską, zamieszkała w nim dama posiada rentę i nie potrzebuje łątać budżetu, lecz jeśli dama zmierza ku linii bulwarów zewnętrznych, kierując się ku szkaradnemu miasteczku Batignolles, znaczy to, że nie ma środków do życia. Owóż kiedy pan de Rochefide poznał panią Schontz, mieszkała ona na trzecim piętrze jedyne domu, jaki istniał podówczas przy ulicy Berlińskiej, czyli obozowała na pograniczu nędzy i Paryża. Domyśliliście się już na pewno, że tej kobiecie-pannie nie było na imię Aurelia i że nie nazywała się Schontz. Ukrywała nazwisko ojca; był to stary żołnierz Napoleoński, odwieczny pułkownik, który patronuje zawsze jutrzence tych egzystencji kobiecych bądź w charakterze ojca, bądź uwodziciela. Pani Schontz korzystała z bezpłatnej edukacji w Saint-Denis, gdzie młode osoby odbierają prześliczne wychowanie, lecz opuszczają tę szkołę bez żadnych perspektyw na mariaż czy przyzwoitą egzystencję; ta szkoła to c u d o w n y t w ó r Cesarza, w którym jednakże brak tylko jednej rzeczy: Cesarza! „Będę w tym, aby dać wiano każdej z córek moich legionistów” – odpowiedział na obiekcje pewnego przewidywanego ministra. Napoleon zapewnił również kiedyś owym „Będę w tym!” członków Instytutu, którym koniec końców nie przyznano żadnej pensji okrom d z i e w i ę d z i e s i ę c i u t r z e c h f r a n k ó w miesięcznie – czyli mniej, niż otrzymują w pewnych wypadkach woźni biurowi. Aurelia była jak najrodzszą córką nieustraszonego pułkownika Schiltza, przywódcy partyzantów alzackich, którzy o mało nie uratowali Cesarza podczas kampanii francuskiej.

Schiltz umarł w Metz, ograbiony, okradziony, zrujnowany. W roku 1814 Napoleon umieścił w Saint-Denis dziewięcioletnią Józefinę Schiltz. Jako sieroty bez ojca i matki, bezdomnej, biednej jak mysz kościelna, nie wyrzucono jej z zakładu za drugim powrotem Burbonów. Do roku 1827 była tam młodszą damą klasową – ale wtedy wyczerpała się jej cierpliwość, a zresztą zachwyciła się własną urodą. Osiągnąwszy pełnoletność, Józefina Schiltz, chrześniaczka cesarzowej, rozpoczęła awanturnicze życie kurtyzany, zachęcona, choć dawało to wątpliwe widoki na przyszłość, fatalnym przykładem kilku koleżanek, biednych jak i ona, a które winszowały sobie owej decyzji. Zmieniwszy w nazwisku il na on, obrała sobie za patronkę świętą Aurelię. Żywa, dowcipna, wykształcona, narobiła więcej błędów aniżeli jej głupie towarzyski, których wybrykami powodował zawsze interes. Żyła z pisarzami biednymi, lecz nieuczciwymi, utalentowanymi, lecz zadłużonymi; poświęciwszy z początku dobrobyt dla prawdziwej miłości, puszczała się później z bogaczami równie głupimi, jak wyrachowanymi, nie pomijając żadnej ze szkół, które uczą doświadczenia. Popadłszy w skrajną nędzę, tańczyła kiedyś u Valentina – następnym etapem jest już Musard – odziana w pożyczoną suknię, kapelusz i mantylę; tutaj zwróciła uwagę Artura, który przyszedł zobaczyć słynny galop. Rozentuzjzmowała swoim dowcipem owego szlachcica, który nie wiedział już, w jaką namiętność się rzucić; jakoż w dwa lata od rozstania z Beatryczą, której inteligencja upokarzała go często, nikt już nie potępił margrabiego, że poślubił na wiarę Beatrycę okazyjną.

Naszkuje tutaj cztery etapy owego szczęścia. Koniecznym jest wykazać, że teoria małżeństwa na wiarę dotyczy jedynie wszystkich swoich wyznawców. Możesz być osiemdziesięcioletnim margrabią, sześćdziesięcioletnim kupcem, który wycofał się z interesów, nababem lub rentierem (patrz „Pierwsze kroki”), magnatem lub mieszczuchem, strategia uczucia nie zmienia się, a tylko należy brać pod uwagę różnice właściwe poszczególnym sfery społecznym. Serce i kieszeń pozostają zawsze w regularnych i ściśle określonych stosunkach. Ocenicie teraz, na jakie trudności miała natknąć się księżna, przeprowadzając swoje zbożne plany.

Nie zbadano dotąd, z jaką siłą oddziałuje we Francji ulotne słówko na ludzi zwykłych, ani też, ile szkody wyrządzają ludzie dowcipni, wynajdując je. Żaden więc księgowy nie zdoła określić w przybliżeniu sumy, co pozostała zamrożona w sercach szlachetnych, zaszpuntowana na ich dnie, jak również na wieki zamknięta w kasach z winy jednego, szkaradnego słówka: naciągać!... Czasownik ten stał się tak popularny, że warto nim zanieczyścić tę kartkę. A zresztą, wchodząc w krainę małżeństw nielegalnych, trzeba przyjąć ich malowniczą gwarę. Pan de Rochefide drżał wciąż, jak wszyscy ludzie małoduszni, że jest „naciągany”. Zapłonawszy uczuciem do pani Schontz, jął się pilnować i stał się arcyszczurem, by zapożyczyć innego trafnego słowa, używanego tak w pracowniach ludzkiego szczęścia, jak i w pracowniach malarskich. „Szczur” w odniesieniu do młodej dziewczyny oznacza współbiedniczkę, lecz w odniesieniu do mężczyzny – amfitriona-sknerę. Pani Schontz była zbyt inteligentna i zbyt dobrze obznajmiona z mężczyznami, by nie powziąć najświetniejszych nadziei po takim oto początku: pan de Rochefide wyznaczył jej pięćset franków miesięcznie, umebłował skąpo mieszkanie za tysiąc dwieście franków, na drugim piętrze przy ulicy Coquenard – i przystąpił do studiów nad charakterem swojej Aurelii, ona zaś, połapawszy się w tym szpiegowaniu, dostarczyła mu natychmiast do nich materiału. Jakoż Rochefide cieszył się, że poznał dziewczynę tak pięknego charakteru, ale też nie widział w tym nic osobliwego: matka była osobą dystygowaną, z domu Barnheim, pochodziła z Baden. Aurelia odebrała zresztą tak staranne wychowanie!... Mówiła po angielsku, niemiecku i włosku, znała gruntownie literaturę obcą. Mogła śmiało walczyć o lepsze z pośledniejszymi pianistkami. I zanotujcie to sobie w pamięci, odnosiła się do swoich talentów jak osoba dobrze urodzona, nigdy o nich nie wspominając. Chwyciwszy dla żartu pędzel, potrafiła, ku zdziwieniu obecnych, machnąć niezgorszą głowę. Biedując jako dama klasowa, ciekawiła się dla zabicia czasu różnymi dziedzinami nauki i choć życie utrzymanki przykryło ten posiew warstwą soli, darzyła naturalnie

swojego Artura kwiatami wyrosłymi z owych cennych ziaren, pielęgnując je z powrotem na jego intencję. Aurelia zapoczątkowała bezinteresownością równą dawanej rozkoszy i dzięki temu słaba korweta wczepiła solidnie swoje haki w barierę potężnego okrętu. Niemniej, pod koniec pierwszego roku, przedpokój rozbrzmiewał co i raz ordynarnym stukaniem jej wysokich korków: urządziła się tak, by wracać, kiedy margrabia czekał na nią, a skraj przesadnie zabłoconej spódnicy ukrywała w taki sposób, aby właśnie go pokazać. Zdołała w końcu wytłumaczyć dokładnie swojemu „grubemu papciowi”, że po tylu wzlotach i upadkach jedyną jej ambicją jest zdobyć godziwymi środkami skromną egzystencję zacnej mieszczki; jakoż w dziesięć miesięcy od ich spotkania zarysowała się druga faza.

Pani Schontz otrzymała wtedy piękny apartament na ulicy Neuve-Saint-Georges. Artur, nie mogąc już dłużej taić przed panią Schontz swojej fortuny, sprawił jej piękne meble, kompletną srebrną zastawę, wyznaczył tysiąc dwieście franków miesięcznie i nie bez ochoty dodał do tego jednokonny niski powozik – ale wynajęty, i gruma. Schontzówna nie odczuwała żadnej wdzięczności za te hojne dary, odkrywszy bowiem pobudki, jakimi kierował się jej Artur, dopatrzyła się w nich wyrachowania kutwy. Sprzykrzywszy sobie wikt restauracyjny, na ogół obrzydliwy – obiadek godny smakosza kosztuje sześćdziesiąt franków na osobę, musimy więc zapłacić dwieście, jeśli zaprosimy trzech przyjaciół – Rochefide zaproponował pani Schontz czterdzieści franków dziennie za obiad dla siebie i dla przyjaciela, licząc w tym wszelkie koszty. Aurelia przystała. Znalazłszy pokrycie na wszystkie weksle moralne, opiekujące na jeden rok, a wystawione na przyzwyczajenia pana de Rochefide, spotkała się z łaskawą odpowiedzią: dodatkowo pięćset franków miesięcznie na toalety – ażeby nie przynosić wstydu swojemu „grubemu papciowi”, którego przyjaciele byli jak jeden mąż członkami Jockey-Clubu. „Ładna byłaby to historia – rzekła – gdyby Rastignac, Maksym de Trailles, d'Esgrignon, La Roche-Hugon, Ronquerolles, Łagiński, Lenoncourt i inni zastawali cię w towarzystwie jakiejś pani Everard⁶²! A zresztą zaufaj mi, gruby papciu, to zyskasz na tym!” Istotnie, Aurelia dokładała starań, by w tej nowej fazie rozblysnąć nowymi zaletami. Obrala rolę gosposi, ciągnąc z tego profit olbrzymi. Wiązała – jak mówiła – co miesiąc koniec z końcem, nie zadłużając się przy sumie dwóch i pół tysiąca franków, czego nigdy jeszcze dotąd nie widziano wśród elity małżeństw na wiarę, i występowała z obiadami nierównie wykwintniejszymi niż obiady u Nucingenów. Pani Schontz podawała przednie wina, od dziesięciu do dwunastu franków flaszka. Toteż Rochefide, zachwycony i uszczęśliwiony, iż może tak często spraszać przyjaciół do swojej oszczędnej metresy, mawiał, obejmując ją wpół: „To mi skarb!...” Niebawem zakupił dla niej trzecią część łoża u Włochów, a w końcu zaczął wozić panią Schontz na premiery. Zaczynał się radzić swojej Aurelki, uznawszy, że rady to zawsze doskonałe, ona zaś pozwalała mu się okradać z dowcipnych słówek, jakie rzucała za lada okazją; a że nikt nie znał ich autorki, podniosła się reputacja Rochefide'a jako człowieka zabawnego. Nabył wreszcie pewności, że jest kochany szczerze i dla swoich osobistych przymiotów. Aurelia nie zgodziła się bowiem uszczęśliwiać pewnego rosyjskiego księcia, za opłatą pięciu tysięcy franków miesięcznie.

– Szczęściarzu jesteś, drogi margrabio! – zawołał stary książę Galation, kończąc w klubie partię wista. – Zostawiłeś nas wczoraj samych z panią Schontz, próbowałem ci ją sprzątnąć, lecz ona odrzekła: „Mości książę, nie jesteś piękniejszy od Rochefide'a, ale za to starszy; będziesz mnie bił, a Rochefide jest dobry dla mnie jak rodzony ojciec; znajdźże chociaż cień argumentu, abym dokonała zamiany... Nie kocham Artura szaloną miłością, jaką darzyłam błaznów w lakierowanych butach, za których płaciłam długie, ale kocham go tak, jak żona kocha męża, kiedy jest uczciwą kobietą.” I wyrzuciła mnie za drzwi.

Słowa te, nie trącające bynajmniej s z a r z ą, przyczyniły się znakomicie do opuszczenia i upadku, w jakim znajdował się pałac Rochefide'ów. Wkrótce Artur przeniósł się z całym

⁶² P a n i E v e r a r d – postać guwernantki, usiłującej znaleźć sobie męża, z komedii Colin d'Harleville'a „Stary kawaler”, wystawionej po raz pierwszy w Paryżu w r. 1792.

swoim życiem i rozrywkami do pani Schontz – i czuł się u niej świetnie, gdyż po trzech latach mógł ulokować czterysta tysięcy franków.

Rozpoczęła się trzecia faza. Syn Artura znalazł w pani Schontz najczulszą z matek, odprowadzała go do kolegium i przychodziła po niego: dziecko, zasypywane prezentami, łańcuchami i pieniędzmi, wielbiło ją, nazywając m a m u s i ą. Jeła też administrować fortuną swojego Artura: namówiła go więc, aby zakupił obligacje państwowe w czasie zniżki, jaka wyprzedziła słynny traktat londyński, po którym upadł gabinet Thiersa. Artur zarobił dwieście tysięcy franków, Aurelia nie upomniała się nawet o grosz. Jako prawdziwy szlachcic Rochefide umieścił sześćset tysięcy w banku, zapisawszy połowę na nazwisko Józefiny Schiltz. Wynajął pałacyk na ulicy La Bruyère'a i zalecił Grindotowi, wielkiemu architektowi od małych dekoracji, przekształcić go w rozkoszną bombonierkę. Od tego czasu Rochefide zaprzestał rachunków z panią Schontz, która przejmowała dochody i płaciła za wszystko. Stała się jego żoną... zaufania, zasługując w pełni na ów tytuł, bo nasz „gruby papcio” nigdy jeszcze nie był taki szczęśliwy; poznawszy jego kaprysy, wygadzała mu, jak pani de Pompadour schlebiała fantazjom Ludwika XV. Słowem, będąc oficjalną metresą, władała niepodzielnie. Pozycja ta dozwoliła jej protegować uroczych młodzieniaszków, artystów, literatów zrodzonych świeżo dla sławy, którzy, negując zarówno dorobek starożytnych jak i współczesnych, usiłowali tani kosztym zyskać wielką reputację. Postępowanie pani Schontz, będące arcydziełem taktyki, wykaże wam, jak znakomity umysł cechował tę kobietę. Po pierwsze, dziesięciu do dwunastu młodzieńców zabawiało Artura, dostarczało mu dowcipów, podsuwało subtelny sąd o każdej sprawie, zachowując się przy tym tak, iż wierność pani domu nie ulegała kwestii; po drugie, sławili w niej nad wyraz inteligentną kobietę. Jakoż te żyjące ogłoszenia, te wędrujące artykuły wyrobiły pani Schontz reputację najmiłszej osoby, jaka kiedykolwiek mieszkała na pograniczu dwóch krain – małżeństwa legalnego i nielegalnego. Rywalki jej, Zuzanna Gaillard, od roku 1838 mająca nad nią przewagę jako prawowita małżonka prawowitego męża – pleonazm konieczny, by podkreślić, czym jest małżeństwo oparte na solidnych fundamentach – Fanny Beaupré, Marieta czy Antonia, rozpuszczały najżywotniejsze kalumnie na temat urody owych młodzieńców i upodobania, z jakim przyjmował ich pan de Rochefide. Pani Schontz dystansując o trzy ż a r t y, jak mawiała, cały dowcip tych dam, wyjaśniwszy wprzód przyczynę swoich sukcesów i wzbogacenia, zagadnęła je pewnego razu podczas kolacji, którą wydał Natan u Floryny po balu w Operze: „A wy tak nie potraficie?...”; zapamiętano te słowa. Pani Schontz kazała w tym okresie sprzedać konie wyścigowe, podawszy margrabiemu argumenty, które zawdzięczała niewątpliwie zmysłowi krytycznemu Klaudiusza Vignon, jednego ze swoich stałych bywalców.

– Rozumiem jeszcze – rzekła raz wieczorem, osmagawszy wprzód konie szpicrutą żartu – gdy ta końska mania opęta książąt i bogaczy, lecz i to z uwagi na dobro kraju, a nie dla zaspokojenia dziecinnych ambicji gracza. Gdybyś miał w swoich włościach stadninę, gdybyś hodował tysiąc do tysiąca dwustu koni, gdyby każdy z was posyłał na wyścigi najpiękniejsze okazy, gdyby wszystkie stadniny Francji i Nawarry uświetniały każdą uroczystość, byłoby to wielkie i piękne; ale wy, kupując konie jak dyrektorzy teatrów zawierają kontrakty z artystami, tak pograżyliście instytucję, że stała się już tylko hazardem, macie giełdę wyścigową, tak samo jak macie giełdę spekulacji na rentach!... To niegodne. Czy wydałbyś przypadkiem sześćdziesiąt tysięcy franków, żeby przeczytać w gazecie: „Lelia pana de Rochefide wzięła o jedną długość Kwiat Janowca pana de Rhétoré?...” Lepiej już dać te pieniądze poetom, wprowadzą cię wierszem czy prozą do nieśmiertelności, jak nieboszczyka Monthyona⁶³!

Kąsany tak zjadliwie, margrabia uznał nicość turfu, zaoszczędził owe sześćdziesiąt tysięcy franków, a w rok później pani Schontz rzekła mu: „Nic już cię nie kosztuję, Arturze!” Wielu bogaczy zazdrościło podówczas margrabiemu pani Schontz i usiłowało ją odbić; ale żaden nic

⁶³ Jean-Baptiste Monthyon (1733–1820) – filantrop francuski, ustanowił nagrody za cnotę i nagrodę literacką za książki o budującej treści.

nie wskórał – jak ów książę rosyjski. „Posłuchaj, mój drogi – powiedziała dwa tygodnie wcześniej do Finota, który wzbogacił się ogromnie – jestem pewna, że Rochefide wybaczyłby mi jakąś miłość, gdybym dla kogoś oszalała, ale nie rzuca się margrabiego tak pocziwego dla takiego parweniusza jak ty. Nie zdołałbyś utrzymać mnie na takiej pozycji, jaką dał mi Artur: uczynił mnie swoją półzoną, kobietą dystygowaną – tobie zaś nigdy by się to nie udało, gdybyś nawet mnie poślubił.” Był to ostatni gwóźdź, jakim przybiła raz na zawsze łańcuch tego szczęśliwego skazańca. Słowa te doszły do nieobecnych uszu, dla których były przeznaczone.

Rozpoczęła się tedy czwarta faza - faza przyzwyczajenia – ostatnie zwycięstwo w planowej kampanii, które pozwala kobietom tego autoramentu powiadać o mężczyźnie: „Je mi z ręki!” W takiej oto sytuacji był Rochefide, kiedy księżna powzięła znane nam projekty. Nabył akurat na nazwisko Józefiny Schiltz pałacyk, bagatelkę kosztującą osiemdziesiąt tysięcy franków, pragnął bowiem chętnie się swoją metresą, którą nazywał Ninon II, a także uczcić w ten sposób jej wzorową uczciwość, wyborne maniery, edukację i dowcip. Sporządziwszy wykaz jej wad i zalet, jej upodobań, a także chwil szczęśliwych, jakimi go darzyła, znajdował się właśnie w owych momentach życia, kiedy mężczyzna, powodowany bądź obojętnością, bądź znużeniem, bądź filozofią, nie zmienia się już i trzyma się kochanki lub żony.

Zrozumiecie, jakiego znaczenia nabrała w ciągu pięciu lat pani Schontz, skoro wam powiem, że ktokolwiek chciał złożyć jej pierwszą wizytę, musiał o to długo zabiegać. Nie raczyła przyjmować bogatych nudziarzy i ludzi skompromitowanych; łagodziła te rygory jedynie wobec wielkich nazwisk arystokratycznych. „Arystokraci – mawiała – mają prawo być głupcami, bo to ludzie z towarzystwa!” Posiadała oficjalnie trzysta tysięcy franków, dar od Rochefide'a, którymi spekulował Gobenheim, pocziwości agent giełdowy, jedyny, jakiego wpuszczala do domu; lecz operowała też po cichu sekretnym fundusikiem, wynoszącym dwieście tysięcy franków, uciulanym zaś w ciągu trzech lat z rozmaitych profitów i z odsetek od sumy, którą obracał wieczyście Gobenheim; przyznawała się jednak tylko do rzeczonych trzystu tysięcy. „Im więcej pani zarabiasz, tym mniej się bogacisz” – dziwił się któregoś dnia Gobenheim. „Woda jest taka droga” – odrzekła. Nieznany skarb powiększał się o klejnoty, diamenty, które Aurelia nosiła miesiąc, a potem odprzedawała, jak również o przeróżne sumy – nagroda za minione fantazje. Kiedy mówiono, że jest bogata, pani Schontz odpowiadała, iż co do renty, trzysta tysięcy franków dają jej dwanaście tysięcy odsetek i że wyekspensowała je w najszerszym okresie swojego życia, kiedy kochała się w Stefanie Lousteau.

Postępowanie takie wskazywało, że pani Schontz ma jakieś plany – i miała je rzeczywiście, bądźcie tego pewni. Serce Aurelii, zazdroszczącej od dwóch lat pani du Bruel, kąsała ambicja, by wziąć ślub w merostwie i w kościele. Każda pozycja społeczna ma swój owoc zakazany i zazwyczaj rzecz to niewielka, ale tak pożądana, iż ciąży jak bryła świata. Ambicję te podwajały jeszcze ambicje drugiego Artura, którego nie zdołało wykryć najchytřejsze szpiegowanie. Bixiou dopatrywał się wybrańca w malarzu Leonie de Lora, a malarz w Bixiou, który, przekroczywszy już czterdziestkę, winien był pomyśleć o spokojnej przyszłości. Podejrzenia krążyły również wokół Wiktora de Vernisset, młodego poety ze szkoły Canalisa, którego uczucie do pani Schontz trąciło szaleństwem, poeta zaś twierdził, że szczęśliwym jego rywalem jest rzeźbiarz Stidmann. Ów artysta, śliczny chłopak, pracował dla złotników, jubilerów i brązowników, usiłując wznović tradycje Benvenuta Celliniego. Posądzano, a następnie uniewinniano Klaudiusza Vignon, młodego hrabiego de La Palférine, Gobenheima, Vermantona – filozofa-cynika – jak również innych bywalców tego wesołego salonu. Nikt nie zdołał przeniknąć pani Schontz, nawet Rochefide, który podejrzewał ją o feblik do młodego i dowcipnego La Palférine; była cnotliwa z wyrachowania i myślała tylko o korzystnym mariażu.

Widywano u pani Schontz tylko jednego człowieka dwuznacznej reputacji. Był to Couture, co nie raz jeden wywołał wrzaskliwe protesty pośród giełdjarzy. Ale Couture zaliczał się do pierwszych przyjaciół pani Schontz i ona jedna nie zapomniała o nim. Falszywy alarm w roku 1840 zagarnął ostatnie kapitały temu spekulantowi, który liczył wtedy na spryt Thiersa; Aurelia, widząc, że mu się nie wiedzie, kazała Rochefide'owi postawić na przeciwnego konia. Couture był kontent, że ma zapewniony wikt u Aurelii. Finot, człek zręczny lub, jeśli wolicie, najszcześniejszy spośród parweniuszów, dawał czasem Couture'owi po kilka tysięcy frankówek – Couture zaś, sprytny a zarazem wyrachowany, skłonny był ofiarować swoje nazwisko pani Schontz, która obserwowała go bacznie, pragnąc wy badać, czy ów śmiały spekulant okaże się na tyle potężny żeby utorować sobie drogę polityczną, i na tyle wdzięczny, by nie porzucić żony. Couture, mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, bardzo zniszczony, nie kompensował gminnie brzmiącego nazwiska dobrym urodzeniem, toteż nie rozwodził się zbytnio nad autorami dni swoich. Pani Schontz martwiła się brakiem zdolnych ludzi, Couture osobiście przedstawił jej tedy pewnego pana z prowincji. Okazało się, że ma on dwoje uszu, za które kobieta bierze dzban tego rodzaju, jeśli zatrzymać go pragnie.

Szkicując tę osobistość, odmalujemy pewien odłam dzisiejszej młodzieży. Dygresja tu będzie historią.

W roku 1838 Fabian du Ronceret, syn prezydenta trybunału koronnego w Caen – prezydent ów zmarł rok wcześniej – podał się do dymisji i opuścił Alençon, gdzie piastował był godność sędziego. Ojciec – jak powiadał – kazał mu marnować czas na tym urzędzie. Pan Fabian przybył do Paryża, umyśliwszy podążać swoją drogą, robiąc wokół siebie wiele hałasu: pomysł czysto normandzki, a do zrealizowania trudny, gdyż Fabian mógł liczyć zaledwie na osiem tysięcy franków renty; stara pani du Ronceret żyła jeszcze bowiem, zajmując i użytkując bardzo znaczną posesję, położoną w centrum Alençon. Fabian, odbywszy już kilka wozów do stolicy, próbował tu niczym linoskoczek swojej liny i zorientował się, jak ogromnie wadliwym był remont społeczny z roku 1830; spodziewał się więc, że zacznie eksploatować go z korzyścią dla siebie, na wzór lisów mieszczańskich. Wymaga to błyskawicznego spojrzenia na skutki wynikłe z nowego ładu.

Nowoczesna równość, rozprzestrzeniwszy się nadmiernie za naszych dni, rozwinęła oczywiście w życiu prywatnym, na linii równoległej do życia politycznego, pychę, miłość własną i próżność, które w zasadniczy sposób podzieliły „ja” socjalne. Głupcy chcą uchodzić za ludzi inteligentnych, ludzie inteligentni za utalentowanych, utalentowani zaś domagają się, by traktowano ich jak geniuszów; geniusze są jednak rozsądniejsi; godzą się, by miano ich tylko za półbogów. Ta skłonność duchowa obecnej publiki sprawia, że w Izbie fabrykant zazdrości mężowi stanu, urzędnik zaś poecie; popycha ludzi inteligentnych do szkalowania ludzi utalentowanych, utalentowanym zaś każe oczerniać każdego, kto wśród nich przerasta resztę choćby o parę cali; półbogów natomiast judzi przeciw instytucjom, tronowi i temu wszystkiemu wreszcie, co nie adoruje ich bezwarunkowo. Skoro tylko naród obali w sposób nader niepolityczny wszelką uznaną wyższość socjalną, otwiera śluzy, które wpada potok ostatnich ambicji, spomiędzy zaś nich i najędzniejsze chciałyby dzierżyć prym; arystokracja, jak twierdzą demokraci, była złem – ale złem określonym, ograniczonym; zamiast jednej arystokracji naród ma ich teraz dziesięć, waśniących się i uzbrojonych; trudno o gorsze położenie. Proklamując równość powszechną, ogłoszono deklarację praw Zawiszczi. Korzystamy dzisiaj z saturnaliów rewolucji przeniesionych w dziedzinę na pozór spokojną – w dziedzinę ducha, przemysłu i polityki, toteż wydaje nam się, że reputacja nabyta pracą, zasługami, talentem to przywilej udzielany z krzywdą dla mas. Prawo agrarne obejmie niebawem nawet pole sławy. Nigdy jeszcze w żadnych czasach nie domagano się z pobudek bardziej dziecinnych publicznego przesiewania nazwisk. Każdy chce za wszelką cenę wyróżnić się śmiesznością: to przesadza swoją miłość dla kwestii polskiej, to zbyt gorliwie nastaje na system karny, to troska się o przyszłość wypuszczonych galerników, to znów gardłuje w sprawie

młodocianych, mniej więcej dwunastoletnich przestępców – każdy z nas przejmuje się jakąś społeczną biedą. Te różnorakie manie stwarzają dętą godności – prezydentów, wiceprezydentów, sekretarzy takiego lub innego towarzystwa, godności, których w Paryżu jest więcej niż problemów społecznych, jakie usiłujemy rozstrzygnąć. Obalono wielką społeczność, aby – na obraz i podobieństwo nieboszczki – stworzyć tysiąc małych. Czyż te pasożytnicze organizmy nie świadczą o rozkładzie? Czyż robaki nie roją się na tym trupie? Wszystkie te społeczeństwa są córami jednej i tej samej matki – Próżności. Nie tak postępuje miłosierdzie katolickie albo prawdziwa dobroczynność: badają one zło w samych ranach, lecząc je, i nie perorują na sesjach na temat pierwiastków chorobotwórczych, dla samej przyjemności perorowania.

Fabian du Ronceret, nie będąc człowiekiem wybitnej inteligencji, odgadł, jaką korzyść mógłby wyciągnąć z owej kłęski publicznej, odznaczał się bowiem owym zmysłem chciwości, właściwym Normandom. Każda epoka ma jakieś cechy charakterystyczne, które eksploatują spryciarze. Fabian myślał tylko o tym, żeby stać się głośnym. „Mój drogi, jeśli chcesz zostać kimś, trzeba, żeby o tobie mówiono! – rzekł rozmawiając z du Bousquierem; był to król Alençon i przyjaciel jego ojca. – Za pół roku będę bardziej znany niż pan!” Fabian wyraził w tych słowach ducha swoich czasów; nie panował nad nim, lecz mu ulegał. Zapoczątkował wśród cyganerii. W topografii duchowej Paryża osobny to powiat (patrz: „Król cyganerii” – „Sceny z życia paryskiego”), a przezwano go tam Dziedzicem, gdyż raz i drugi z umysłu popisał się rozrzutnością. Du Ronceret skorzystał z szaleństw, jakie Couture popełniał dla ślicznej pani Cadine, młodej aktorki błyszczącej talentem uznanym na ostatnich scenach, a dla której w okresie swojego efemerycznego bogactwa urządził przy ulicy Białej urocze parterowe mieszkanie z ogrodem. W tych to okolicznościach du Ronceret i Couture zawarli znajomość. Normand, żądny gotowego przepychu, odkupił od Couture'a meble jak również upiększenia, które giełdziarz musiał w apartamencie zostawić: kiosk, gdzie była palarnia, i galerię z desek zbudowaną na wzór ludowy, ozdobioną matami indyjskimi i ceramiką. W dni deszczowe przechodziło się ową galerią do kiosku. Kiedy komplementowano Dziedzica za ów apartament, nazywał go norą. Prowincjusz trzymał język za zębami, nie wyjawiając nikomu, iż urządzając ten domek architekt Grindot rozwinął wszelkie swoje umiejętności, że Stidmann nie mniej się starał, by udekorować go rzeźbami, a Leon de Lora freskami, główną bowiem wadą Fabiana był ów rodzaj miłości własnej, która pożądamy sławy nie cofa się przed kłamstwem. Dziedzic uzupełnił te wspaniałości oranżerią, którą zbudował pod murem z wystawą południową – nie dlatego, by kochał kwiaty, lecz chciał zaatakować opinię publiczną od strony ogrodnictwa. W tym momencie osiągał niemal już cel. Został wiceprezsem jakiegoś tam towarzystwa ogrodniczego, któremu przydawał księżę de Vissembourg, brat księcia de Chiavari, młodszy syn nieboszczyka marszałka Vernon, a po wystawie produktów przyozdobił swój frak wiceprezydencki wstążeczką legii honorowej. Wystawę tę otworzył przemówieniem zakupionym za pięćset franków od Stefana Lousteau, a gadając, nie zająknął się nawet, jakby sam ułożył całą orację. Zwrócił na siebie uwagę pewnym kwiatem, który dał mu stary Blondet z Alençon, ojciec Emila Blondet. Fabian przedstawił tę roślinę jako produkt pochodzący z jego szklarni. Był to jednak sukces bez żadnego znaczenia. Dziedzic, żądny zabłysnąć inteligencją, uplanował sobie, by zbliżyć się z różnymi znakomitościami i odbijać ich sławę: przedsięwzięcie trudne do wykonania, jeśli podstawą jest budżet wynoszący tylko osiem tysięcy franków. Toteż Fabian du Ronceret zwracał się kolejno i bezskutecznie do Stidmanna, do Bixiou i do Leona de Lora, aby zaprezentowali go pani Schontz, dzięki czemu wszedłby w skład owej menażerii lwów wszelkiego autoramentu. Fundował tak często obiad Couture'owi, że Couture wykazał Aurelii czarno na białym, iż powinna przyjąć owego oryginała choćby po to, żeby zrobić zeń jednego z tych eleganckich i darmowych lokajów, którym pani domu powierza sprawy, jakich nie podjąłby się załatwić żaden służący.

Przeniknąwszy Fabiana w trzy wieczory, pani Schontz pomyślała: „Gdyby Couture mi się sprzykrzył, jestem pewna, że włożę jarzmo tamtemu. Teraz już moja przyszłość stanęła na dwóch nogach!” Ów dureń, z którego szydzili wszyscy, został więc faworytem, lecz intencja czyniła to wyróżnienie obraźliwym, wyboru zaś nikt domyślić się nie mógł, aż tak był nieprawdopodobny. Pani Schontz upajała Fabiana uśmiechami przesyłanymi ukradkiem, scenkami odgrywanymi na progu drzwi, do których odprowadzała go, gdy już rozeszli się wszyscy goście, a pan de Rochefide zostawał na noc. Zapraszała często Fabiana do łoży u Włochów, zasiadali w trójkę z Arturem – i to na premierach; tłumaczyła się wtedy, powiadając, że wyświadczył jej pewną przysługę i że nie wie, jak się odwdziaczyć. Każdy mężczyzna jest zarozumiały, mniemając, iż kobieta kocha jego wyłącznie, ów zaś rodzaj zarozumialstwa cechuje zresztą i kobiety. A spomiędzy wszelkich uczuć schlebających ambicji i tak najbardziej szacownym był afekt, jaki powzięła pani Schontz, przeciwstawiła tu bowiem miłość serdeczną innej miłości. Kobieta bawiąca się, jak pani Schontz, w wielką damę, kobieta w rzeczywistości więcej warta, niżli wskazywały pozory, musiała wbijać i wbijała Fabiana w dumę, toteż tak się w niej zadurzył, że przychodził zawsze w uroczystym stroju: buty lakierowane, paliowe rękawiczki, haftowana koszula z żabotem, coraz to inna kamizelka – czyli wszelkie objawy zewnętrzne czci głębokiej. Na miesiąc przed naradą księżnej ze spowiednikiem pani Schontz zawierzyła Fabianowi sekret swojego urodzenia i swoje prawdziwe nazwisko, lecz on nie pojął celu tych wynurzeń. Po dwóch tygodniach pani Schontz, zdumiona tępotą Normanda, zawołała: „O Boże! Jakaż ja głupia! Myśli, że kocham go dla pięknych oczu!” I zawiozła Dziedzica karetką do Lasku Bulońskiego, miała bowiem od roku karetkę i dwukonny wolant. W czasie tego publicznego sam na sam wyłożyła sprawę swojej przyszłości, oznajmiając, że chce wyjść za mąż. „Mam siedemset tysięcy franków – rzekła – i wyznam panu, że gdybym znalazła mężczyznę nader ambitnego i który zdołałby zrozumieć mój charakter, odmieniłabym moją pozycję, bo wiesz pan, o czym marzę? Chciałabym zostać uczciwą mieszczką, wejść do porządnej rodziny i uszczęśliwić, ach, jak uszczęśliwić, męża i dzieci!” Fabian pragnął ogromnie, by pani Schontz go wyróżniła, lecz poślubić ją... Uznał, że szaleństwo to podlega dyskusji: był kawalerem, miał trzydzieści osiem lat, rewolucji lipcowej zawdzięczał stanowisko sędziego. Widząc, że Dziedzic się waha, pani Schontz wyszydziła go, wykpiła, okazała mu wzgardę, po czym uderzyła do Couture'a. Dała mu powąchać swoją kasę i po tygodniu spekulant ofiarował pani Aurelii rękę, serce i przyszłość, wszystko to psu na budę zdatne.

Oto jakie manewry przeprowadzała pani Schontz, gdy pani de Grandlieu wywiadywała się o życie i obyczaje owej Beatryczy z ulicy Świętego Jerzego.

Stosownie do rady księdza Brossette księżna poprosiła margrabiego d'Ajudę, by przyprowadził jej króla rzezimieszków politycznych – słynnego hrabiego Maksyma de Trailles, arcyksięcia cyganerii, najmłodszego z młodych ludzi, choć miał już pięćdziesiątkę. Pan d'Ajuda, zaprosiwszy Maksyma na obiad do klubu przy ulicy de Beaune, namówił go następnie, by zagrał z „dziadkiem” u księcia de Grandlieu, który przed obiadem dostał ataku podagry i siedział sam w domu. Aczkolwiek zięć państwa de Grandlieu, a zarazem kuzyn księżnej, miał zupełne prawo wprowadzić go do salonu, którego progów nigdy dotąd nie przekroczył, Maksym de Trailles nie łudził się, iż nagła ta inwitacja jest bezinteresowna, i pomyślał, że księżę czy księżna mają doń jakąś sprawę. Życie klubowe to objaw dość charakterystyczny dla naszych czasów: gramy w klubie z ludźmi, których nie wpuszczamy do domu.

Księżę de Grandlieu uczynił Maksymowi ten honor, że pozorował chorobę. Po piętnastu robrach wista poszedł spać, zostawiając Maksyma z żoną i z d'Ajudą. Księżna, wspomagana przez margrabiego, wyłożyła panu de Trailles swoje plany i poprosiła o współpracę, prosząc niby tylko o radę. Maksym wysłuchał do końca, nie wtrąciwszy ani jednej uwagi, po czym nie wypowiadał się również, czekając, aż księżna poprosi wyraźnie o współdziałanie.

– Zrozumiałem wszystko doskonale, łaskawa pani – ozwał się wtedy, ogarnawszy księżnę i margrabiego spojrzeniem chytrym, sondującym, szczwanym, stawiającym kropkę nad i, spojrzeniem, jakim każdy frant wielkiej miary umie zbić z tropu rozmówców. – D'Ajuda powie pani, że ja jeden w Paryżu potrafię przeprowadzić tę podwójną negocjację, nie mieszając w to pani, ba, tak nawet, że nikt się nie dowie o mojej dzisiejszej tu wizycie. Przede wszystkim jednak omówimy warunki wstępne, jak w Leoben⁶⁴. Co księżna zamierza poświęcić?

– Wszystko, czego tylko będzie trzeba.

– Wybornie. A więc za moje starania wyświadczy mi księżna pani zaszczyt, przyjmując u siebie i zajmując się nią serio, panią hrabinę de Trailles.

– Toś ty się ożenił?... – zdumiał się d'Ajuda.

– Żenię się za dwa tygodnie. Panna z rodziny bogatej, lecz potwornie mieszczańskiej; ale czegoż się nie robi dla opinii! Realizuję podstawowy program rządu! Chcę zmienić skórę. Rozumie więc księżna pani, jak ogromnie zależy mi na tym, żeby raczyli państwo przygarnąć moją żonę. Jestem pewien, że zostanę deputowanym, dzięki temu mój teść złoży rezygnację ze swoich funkcji, obiecano mi też placówkę dyplomatyczną, stosowną do mojej przyszłej fortuny. Nie widzę, dlaczego moją żonę miałoby spotkać gorsze przyjęcie niż panią de Portenduère w tym towarzystwie młodych kobiet, które usświetnia pani de La Bastie, Jerzowa de Maufrigneuse, pani de l'Estorade, pani du Guénic, pani d'Ajuda, pani de Restaud, pani de Rastignac i pani de Vandenesse! Moja żona jest ładna, a ja podejmuję się ją o d b a w e ł n i ć!... Czy to odpowiada księżnej pani? Jest pani nabożna, skoro więc powie pani „tak”, wiem, że będzie to święta obietnica, i bardzo mi ona dopomoże w odmianie mojego życia. A więc spełni księżna jeszcze jeden dobry uczynek!... Niestety, długo byłem królem obwiesiów, ale postanowiłem z tym skończyć. Tak czy inaczej, mamy lazurową tarczę ze złotą chimera wyrzucającą z pyska ogień – od czasów Franciszka I, który uznał za konieczne nobilitować pokojowca Ludwika XI, a hrabiami jesteśmy od czasów Katarzyny Medycejskiej.

– Przyjmę pańską żonę i będę jej patronować – obiecała solennie księżna – a moi najbliżsi też nie odwrócą się do niej plecami; masz pan moje słowo.

– O pani! – zawołał Maksym, nie skrywając wzruszenia – gdyby jeszcze książę zechciał traktować mnie z jakąś dobrocią, ręczę za pomyślny wynik i niewiele będzie to państwa kosztować. Ale – dodał po chwili – musi księżna być posłuszna moim instrukcjom i wziąć rzecz na siebie... Ostatnia to intryga w moim kawalerskim życiu i tym staranniej muszę ją przeprowadzić, że idzie o czyn piękny – powiedział z uśmiechem.

– Być panu posłuszną?... – zaniepokoiła się księżna. – A więc wezmę w tym bezpośredni udział?

– Ależ nie skompromituję wcale księżnej pani – zapewnił gorąco Maksym – zbyt szacuję panią, abym w tym względzie nie obwarował się jak należy. Chodzi jedynie o to, żeby księżna stosowała się do moich rad. I tak na przykład trzeba, żeby pani Sabina ukryła gdzieś Kalista, niby przenajświętszy sakrament; żeby dwa lata był nieobecny, żeby pokazała mu Włochy, Szwajcarię, Niemcy, no, możliwie jak najwięcej krajów...

– Ach! uspokaja tu pan obawy mojego spowiednika – zawołała naiwnie księżna przypominawszy sobie o słusznych obiekcjach księdza Brossette.

Maksym i d'Ajuda uśmiechnęli się na samą myśl o tej zgodności poglądów między niebem a piekłem.

– Ażeby więc pani de Rochefide nie zobaczyła więcej Kalista – podjęła – wyruszymy w podróż wszyscy razem, Justyn i jego żona, Kalist, Sabina i ja. Klotyldę zostawię ojcu...

– Nie czas jeszcze otrąbiać zwycięstwa – ozwał się Maksym – dostrzegam olbrzymie trudności, ale z pewnością je pokonam. Estyma i protekcja księżnej to cena, za którą dopuszczę się wielu świństw; ale będzie to...

⁶⁴ W Leoben – zawarte zostały w r. 1797 preliminaria pokojowe traktatu w Campo-Formio, między Francją a Austrią.

– Świństw?... – przerwała księżna owemu współczesnemu kondotierowi, a na twarzy jej odmalowało się tyleż niesmaku, co zdumienia.

– Księżna pani też przyłoży do nich rękę, skoro jestem jej plenipotentem. Ale czy pani wie, do jakiego stopnia pani de Rochefide potrafiła zaślepić du Guénika?... Dowiedziałem się o tym od Natana i Canalisa, między którymi wahała się akurat, kiedy Kalist rzucił się w paszczę naszej lwicy! Beatrix potrafiła wmówić dzielnemu Bretończykowi, że zawsze kochała tylko jego, że jest cnotliwa i że Conti był miłością duchową, w której serce i reszta nie miały specjalnego udziału, no, taką miłością muzyczną!... Co zaś do Rochefide'a, spełniała jedynie obowiązek. Toteż, jak pani pojmuję, jest dziewicą. Daje tego dowody zapomniawszy o synu, od dwóch lat bowiem nie poczyniła żadnych starań, żeby się z nim zobaczyć. Co prawda, hrabiątko skończy już niedługo lat dwanaście. Malec znalazł w pani Schontz matkę tym lepszą, że, jak księżnej wiadomo, macierzyństwo jest namiętnością dziewcząt tego autoramentu. Dla Beatryczy du Guénic porąbałby żonę i sam dałby się porąbać w kawałki! I pani sobie wyobraża, że łatwo wyciągnąć mężczyznę, skoro wpadł w otchłań łatwowierności? Ależ pani, Jago Szekspira pogubiłby tam wszystkie swoje chustki do nosa. Myśli się na ogół, że Otello i jego młodszy brat Orosman, że Saint-Preux, René, Werter i inni renomowani kochankowie są wyrazicielami miłości. Ojcowie ich o lodowatym sercu nie mieli pojęcia, czym jest miłość absolutna, jeden Moliere domyślał się tego. Miłość, proszę księżnej pani, to nie jest kochać jakąś szlachetną kobietę, jakąś Klarysę, wielka mi sztuka, na honor!... Miłość to powiedzieć sobie: „Moja ukochana jest łajdaczką, zdradza mnie i będzie zdradzać, to flądra, cuchnie wszelką fryturą piekła”... i latać za nią, i odnajdować u niej błękit niebiański i kwiaty rajy. Oto jak kochał Moliere i jak my, obwiesie, kochamy; gdyż ja płaczę w czasie wspaniałej sceny z Arnolfem!⁶⁵... I oto jak zięć pani kocha Beatryczę!... Będę miał kłopot, żeby rozdzielić Rochefide'a i panią Schontz, choć pani Schontz zapewne pójdzie na to; rozpatrzę się w jej wnętrzu. Ale Kalista i Beatryczę trzeba rozdzielić ciosami siekiery, trzeba tu zdrady wyższego rzędu, trzeba podłości tak niskiej, że cnotliwa imaginacja pani się tym nie skala, chyba że spowiednik poda pani rękę... Zażądała pani rzeczy niemożliwej i będzie pani obsłużona... A choć postanowiłem użyć ognia i miecza, nie ręczę z całą pewnością za skutek. Znam kochanków, którzy nie cofną się przed najokrutniejszymi rozczarowaniami. Jesteś pani zbyt cnotliwa, żeby wiedzieć, jaką władzę roztaczają kobiety niecnotliwe...

– Niech pan nie wszczyna tych okropnych kroków, póki nie poradzę się księdza Brossette. Muszę się dowiedzieć, jak dalece zostanę pańską współniczką – powiedziała księżna, z naiwnością odsłaniającą cały egoizm dewocji.

– Bo droga mama nic nie wie – wtrącił d'Ajuda.

Na ganku, kiedy zajeżdżała karetą margrabiego, d'Ajuda rzekł do Maksyma:

– Przeraziłeś tę poczciwą księżnę.

– Ależ ona się nie domyśla, jak trudnej zażądała rzeczy!... Jedźmyż do Jockey-Clubu. Trzeba, żeby Rochefide zaprosił mnie na jutro na obiad do Schontzówny, gdyż w nocy plan mój będzie gotów i wybiorę pionki, którymi, rozgrywając tę partię, będę suwał po szachownicy. Beatrix nie chciała mnie przyjmować za czasów swojej świetności, wyrównam teraz z nią swój rachunek i tak okrutnie pomszczę twoją szwagierkę, że uzna się pewnie za nazbyt pomszczoną...

Nazajutrz Rochefide oznajmił pani Schontz, że będą mieć na obiedzie Maksyma de Trailles. Tym samym uprzedził Aurelię, żeby rozbłysnęła przepychem i przygotowała najwykwintniejsze jadło dla tego wytrawnego smakosza, którego bały się wszystkie kobiety w jej rodzaju; pani Schontz pomyślała więc zarówno o swojej toalecie, jak o tym, by przysposobić dom na wizytę tak znacznej osobistości.

⁶⁵ Scena z Arnolfem – ze „Szkoly żon” Moliere.

W Paryżu istnieje prawie tyleż królestw, co i sztuk rozmaitych, co specjalności moralnych, naukowych i zawodowych, a człek najrzęczniejszy z tych, co parają się daną dziedziną, otoczony jest pewnego rodzaju majestatem; równi mu cenią go i szanują, znając trudności rzemiosła – podziwiają zaś tego, kto może sobie kpić z ich podziwu. Maksym był w oczach „szczurów” i kurtyzan człowiekiem przepotężnym i utalentowanym, umiał bowiem cudownie zdobywać serca. Podziwiali go wszyscy ludzie świadomi, jak trudno żyć w Paryżu w dobrej komitywie z wierzycielami; wreszcie pod względem elegancji, wzięcia i dowcipu miał tylko jednego rywala: był nim słynny de Marsay, który powierzał mu różne misje polityczne. Tłumaczy to samo przez się jego rozmowę z księżną, mir, jakiego zażywał u pani Schontz, autorytet, o którym przekonacie się z pewnej narady. Postanowił odbyć ją na bulwarze Włoskim z młodzieńcem już sławnym, choć nowicjuszem wśród paryskiej bohemy.

Nazajutrz, kiedy Maksym wstawał, oznajmiono mu Finota, którego wezwał był w przeddzień; poprosił go, aby rzekomym przypadkiem zorganizował śniadanie w Café Anglais, podczas którego Finot, Couture i Lousteau paplali mu nad uchem. Finot, będąc wobec hrabiego de Trailles w położeniu podporucznika wobec marszałka Francji, nie mógł mu odmówić; z nadto ryzykowałby zresztą, uraziwszy tego lwa. Jakoż, kiedy Maksym zjawił się w restauracji, Finot i jego dwaj przyjaciele siedzieli już przy stole, rozmowa zaś zmierzała ku pani Schontz. Couture, nieświadom, że Finot jest kumem Stefana Lousteau, wygadał, umiejętnie przez nich kierowany, to wszystko, co hrabia de Trailles chciał wiedzieć o pani Schontz.

Około pierwszej Maksym, gryząc wykałaczkę, gwarzył z du Tillem na tarasie u Tortoniego, gdzie spekulanci urządzili sobie małą giełdę, przedsionek wielkiej. Zdawał się zaprzętać interesami, czekał jednak na młodego hrabiego de La Palférine, który o tej mniej więcej porze miał tędy przechodzić. Bulwar Włoski jest dziś tym, czym w roku 1650 był Nowy Most: wszyscy ludzie znani zaglądają tu co najmniej raz na dzień. Istotnie, po dziesięciu minutach Maksym puścił ramię du Tilleta i skinął głową młodemu królowi cyganerii, powiadając z uśmiechem:

– Dwa słowa, hrabio!...

Dwaj rywale – gwiazda zachodząca i wschodzące słońce – zasiedli na czterech krzesłach przed Café de Paris. Maksym ulokował się w przyzwoitej odległości od kilku staruszków, którzy mają zwyczaj sadzić się szpalerem, susząc od południa swoje cierpienia reumatyczne. Strzegł się starców, mając po temu nie byle jakie powody. (Patrz „Aferzysta”, „Sceny z życia paryskiego”.)

– Masz pan długi? – zwrócił się Maksym do młodego hrabiego.

– Czyż byłbym pańskim godnym następcą, gdybym ich nie miał?...

– Stawiając podobne pytanie, ani myślę wątpić o tym – odparł Maksym. – Chcę się jedynie dowiedzieć, czy całość jest szacowna; ilu więc sięga, pięciu czy sześciu?

– Sześciu czego?

– Sześciu cyfr! Jesteś pan dłużny pięćdziesiąt czy sto tysięcy?... Bo ja jestem ludziom winien sześćset tysięcy.

La Palférine uchylił kapelusza z pociesznym uszanowaniem.

– Gdyby mi ktoś pożyczył sto tysięcy franków – oznajmił młodzieniec – zapomniałbym o wierzycielach i wyjechałbym na całe życie do „Wenecji, by spędzać czas między dziełami sztuki; wieczory w teatrze, noc z ładnymi kobietami...

– A w moim wieku co byś pan zrobił? – przerwał Maksym.

– Nie puszczałbym się tak daleko.

Maksym odwzajemnił tę uprzejmość, uchylając nieco kapelusza gestem pełnym komicznej powagi.

– To inny punkt widzenia na kwestie życia – odparł tonem konesera gwarzącego z koneserem. – Jesteś więc pan winien?...

– E, to bagatelka, niegodna, by przyznać się do niej wujowi, bo gdybym miał wuja, wydziedziczyłby mnie z powodu cyfry tak nędznej; sześć tysięcy!...

– Bardziej nam przeszkadza sześć aniżeli sto tysięcy franków – powiedział sentencjonalnie Maksym. – La Palférine! Masz pan inteligencję śmiałą, a jeszcze więcej inteligencji niż śmiałości, możesz zejść bardzo daleko, zostać politykiem. Posłuchaj pan... z tych wszystkich, co obrali karierę mającą się u mnie już ku końcowi, z tych wszystkich, których próbowano mi przeciwstawić, ty jeden spodobałeś mi się.

La Palférine poczerwieniał, tak mocno pochlebiło mu to wyznanie, które król awanturników paryskich wyrzekł z uroczą dobroduszością. Ale też zranił go ów odruch miłości własnej, którym zdradził swoją niższość. Maksym odgadł tę piekącą refleksję, naturalną u młodzieńca tak bystrego, i od razu znalazł lekarstwo, zdając się na łaskę rozmówcy.

– Jeśli chciałbyś pan coś zrobić dla mnie, to opuszczając ten cyrk olimpijski, dzięki korzystnemu małżeństwu, wiele zrobię dla pana – podjął.

– Wbijesz mnie pan w wielką dumę: urzeczywistni się bajka o szczurze i lwie – odrzekł La Palférine.

– Zacznę od tego, że pożyczę panu dwadzieścia tysięcy franków – nawiązał do tematu Maksym.

– Dwadzieścia tysięcy franków?... Wiedziałem dobrze, że spacerując po tym bulwarze... – wtrącił jakby nawiasem La Palférine.

– Kochasiu, musisz rozpocząć życie na pewnej stopie – uśmiechnął się Maksym – nie chodź na dwóch nogach, postaraj się o sześć, naśladowaj mnie, co nigdy nie wysiadam z mojego *tilbury*...

– Ależ w takim razie będziesz pan żądał czegoś nad moje siły!

– Nie. Masz w dwa tygodnie usidlić kobietę.

– Czy to kurtyzana?

– Nie rozumiem tego pytania.

– Bo w tym wypadku byłoby to niemożliwe; ale gdyby chodziło o kobietę bardzo, bardzo dystyngowaną i nader inteligentną...

– To przesławna margrabina!

– Chciałbyś pan zdobyć jej listy?

– Ach!... ranisz mnie – zawołał Maksym. – Nie w tym rzecz.

– Trzeba więc ją kochać?

– Tak, i to dosłownie...

– Bo gdybym miał wyjść poza ramy estetyki, byłoby to całkiem niemożliwe – zapewnił La Palférine. – Cechuje mnie, widzi pan, w stosunku do kobiet pewna uczciwość; możemy je zwodzić, ale nie...

– Ach, nie oszukano mnie tedy! – zawołał Maksym. – Czy wyobrażasz pan sobie, że ja proponowałbym ci jakieś dwugroszowe świństewka?... Nie, trzeba tam iść, olśnić, zwyciężyć. Mój kumie, dziś wieczór daję ci dwadzieścia tysięcy franków i dziesięć dni, w czasie których masz odnieść zwycięstwo. Spotykamy się wieczorem u pani Schontz.

– Będę tam na obiedzie.

– Doskonale. Gdybyś mnie kiedyś potrzebował, panie hrabio, nie zawiodę – dorzucił tonem monarchy, który zaciąga obług zamiast obiecywać.

– Ta biedaczka bardzo się więc panu naraziła?

– Nie próbuj zapuszczać sondy w moje wody, mój mały, i pozwól sobie powiedzieć, że w razie powodzenia znajdziesz protektorów tak możliwych, że jak ja będziesz mógł wycofać się dzięki pięknemu małżeństwu, kiedy sprzykrzysz sobie życie cygańskie.

– To nadchodzi taki moment, że nudzi nas zabawa? – zdziwił się La Palférine. – Przykrzemy sobie, że jesteśmy niczym, że żyjemy jak ptaki, polujemy w Paryżu jak dzicy i kpimy sobie ze wszystkiego?!...

– Wszystko nuży, nawet piekło – uśmiechnął się Maksym. – A więc spotykamy się wieczorem!

Obaj franci, stary i młody, wstali. Wsiadając do jednokonnego wolantu, Maksym pomyślał; „Pani d'Espard nie może ścierpieć, Beatryczy, dopomoże mi...” – Do państwa de Grandlieu! – zawołał, widząc przechodzącego Rastignaka.

Któryż wielki człowiek nie ma swoich słabostek?... Maksym zastał księżnę, panią du Guénic i Klotyldę zalane łzami.

– Co się stało? – zwrócił się do księżnej.

– Kalist nie wrócił, zdarzyło się to po raz pierwszy, moja biedna Sabina rozpacza.

– Łaskawa pani – powiedział Maksym, wiodąc nabożną damę pod okno – w imię Boga, który nas osądzi, zachowaj w najgłębszej tajemnicy moją ofiarność, zażądaj od d'Ajudy, aby nigdy nie wspomniał Kalistowi o naszych knowaniach, gdyż inaczej dojdzie między nami do pojedynku na śmierć i życie... Wspominając, że sprawa nie będzie kosztować wiele, rozumiałem, że nie wydadzą państwo sum szalonych, trzeba mi ze dwadzieścia tysięcy franków; ale cała reszta mnie obchodzi i trzeba będzie wystarać się o znaczne urzędy, kto wie, czy nie o miejsce poborcy generalnego.

Maksym i księżna wyszli. Wróciwszy do córek, pani de Grandlieu wysłuchiwała nowego dytyrambu Sabiny, naszpikowanego faktami domowymi jeszcze boleśniejszymi od tych, w których młoda małżonka widziała koniec swojego szczęścia.

– Uspokój się, moja mała – rzekła do córki – Beatrix bardzo drogo zapłaci za twoje łzy i cierpienia, ręka szatana zaciążyła już na niej, za każde z twoich upokorzeń spadnie na nią ich dziesięć!...

Pani Schontz kazała uwiadomić Klaudiusza Vignon, który nieraz już okazywał chęć zawarcia znajomości z Maksymem de Trailles; zaprosiła Couture'a, Fabiana, Bixiou, Leona de Lore, La Palférine'a i Natana, którego zresztą na rachunek Maksyma ściągnął Rochefide. Aurelia miała więc dziewięciu biesiadników najpierwszej sorty, z wyjątkiem du Roncereta, ale próżność normandzka i bezwzględne ambicje Dziedzica nie ustępowały potędze literackiej Klaudiusza Vignon, poezji Natana, subtelności La Palférine'a, sprytowi finansowemu Couture'a, dowcipowi Bixiou, głębokim talentom dyplomatycznym Maksyma i geniuszowi Leona de Lory.

Pani Schontz zależało na tym, aby zabłysnąć urodą i młodością – wystąpiła więc w toalecie, jaką umieją komponować kobiety tego autoramentu. Peleryna z pajęczej gipiury, niebieska aksamitna suknia z obcisłym stanikiem, spiętym opalami. Włosy ułożyła w pasma lśniące jak heban. Pani Schontz słynęła urodą dzięki karnacji świeżej i olśniewająco białej, a zarazem o tonach ciepłych jak u Kreolek, dzięki twarzy wesołej o rysach wyrazistych i zwięzłych; za ideał takiej urody właściwej kobietom Południa uważaliśmy długo słynną i młodą hrabinę Merlin. Ale na nieszczęście maleńka pani Schontz okazywała skłonność do tycia od czasu, jak żywot jej stał się pogodny i spokojny. Szyja krągła i powabna zaczynała się robić ciastowata – tak samo jak i ramiona. Ale że we Francji delektujemy się głównie pięknnością kobiecego lica, zapominamy o zdeformowanym ciele.

– Drogie dziecko – ozwał się na wstępie pan Maksym, całując Aurelię w czoło – Rochefide zechciał pokazać mi twój zakład, którego dotąd nie znałem; ależ on niemal odpowiada jego czterystu tysiącom renty!... Ale choćby nie miał nawet pięćdziesięciu, kiedy poznał panią, w niespełna pięć lat uskładałby dzięki tobie więcej, niżby przejadła jakaś Antonia, Malaga, Cantine czy Florentyna.

– Nie jestem kurtyzana, lecz artystką! – zapewniła nie bez godności pani Schontz. – Mam niepłonną nadzieję, jak powiadają na scenie, zostać matką zacnego rodu...

– Okropność! Wszyscy kiedyś wступujemy w związki małżeńskie – podjął Maksym, rozpierając się w fotelu nie opodal kominka. – Bo i ja tylko patrzeć sprokuruję sobie hrabinę Maksymową.

– Och! Jakże chciałabym ją poznać!... – zawołała pani Schontz. – Ale niechże pan pozwoli, że mu przedstawię pana Klaudiusza Vignon. Pan Klaudiusz Vignon – pan de Trailles.

– A, to pan wyprawileś do klasztoru Felicyle, oberżystkę literatury?... – zagadnął Maksym. – Pan Bóg po panu!... Nigdy jeszcze nie spotkał mnie taki zaszczyt. Panna des Touches potraktowała pana niczym Ludwika XIV...

– Oto jak powstaje historia!... – odparł Vignon. – To pan nie wie, że Felicyle przeznaczyła swoją fortunę na wykup włości du Guénika?... Gdyby się dowiedziała, że Kalist wpadł w ręce jej eks-przyjaciółki – tu Maksym trącił krytyką nogą, wskazując mu Rochefide'a – wystąpiła-by, jak sądzę, z klasztoru, żeby go jej wydrzeć.

– Miły Arturku – rzekł Maksym widząc, że nie pohamował Vignona – będąc na twoim miejscu, oddałbym żonie jej majątek, by ludzie nie gadali, że uderza do Kalista zmuszona koniecznością.

– Maksym ma rację – powiedziała pani Schontz popatrując na Rochefide'a, który zaczerwienił się po uszy. – Nie mógłbyś pan lepiej spożytkować paru tysięcy franków renty, które zarobiłam dla ciebie. A ja uszczęśliwiłabym i żonę, i męża, ot i tytuł do chwały!...

– Nigdy mi to jakoś nie przyszło na myśl – odpowiedział margrabia – ale winienem być najpierw szlachcicem, a potem mężem.

– Pozwól, że przypomnę ci te słowa, gdy trzeba będzie okazać hojność – rzekł Maksym.

– Arturku – powtórzyła Aurelia – Maksym ma rację. „Widzisz, mój pocziwcze – mówiła spoglądając w lustro, czy nikt nie nadchodzi – nasze czyny szlachetne są jak akcje Couture'a: trzeba lokować je w porę.

Wszedł Couture, a za nim Finot. Zaraz też biesiadnicy zebrali się w pięknym błękitno-złotym salonie pałacu Schontzówny, tak bowiem nazywali artyści swoją oberżę od czasu, jak Rochefide nabył go dla Ninon II. La Palférine zjawił się ostatni. Maksym podążył naprzeciw młodzieńca i zaprowadziwszy go pod okno wręczył mu dwadzieścia banknotów.

– Nade wszystko, mój mały, nie cackaj się z nimi – powiedział z wdziękiem właściwym obwiesiom.

– Tylko pan umie podwoić wartość tego, co niby sam dajesz – odrzekł La Palférine.

– Zdecydowałeś się więc?

– Skorom wziął – odparł młody hrabia z żartobliwą wyniosłością.

– A więc Natan, tu obecny, przedstawi cię za dwa dni pani margrabinie de Rochefide – szepnął mu na ucho.

La Palférine drgnął na dźwięk tego nazwiska.

– Nie zapomnij oświadczyć, że kochasz się w niej jak wariat; żeby zaś nie wzbudzić podejrzeń, upij się na umór winem, likierami, powiem Aurelii, żeby posadziła cię obok Natana. Ale, mój mały, będziemy teraz widywać się co noc, o pierwszej, na bulwarze Magdaleny: ty będziesz mi zdawał relację ze swoich postępów, a ja ci będę udzielał instrukcyj.

– Nie skrewię, o mój mistrzu... – powiedział, kłaniając się młody hrabia.

– Cóż to zaprosiłaś za błazna ubranego jak pierwszy garson z restauracji? – szepnął Maksym pani Schontz na ucho, wskazując du Roncereta.

– Toś nigdy nie widział Dziedzica? To du Ronceret z Alençon.

– Musisz pan znać mojego przyjaciela d'Esgrignon – zwrócił się Maksym do Fabiana.

– Wikturnian już dawno przestał mnie znać – odparł! Fabian – ale za młodu przyjaźniliśmy się bardzo serdecznie.

Obiad zaliczał się do tych, jakie wydają w Paryżu tylko wielkie rozrzutnice, bowiem ich wyszukana kuchnia zadziwia nawet ludzi najbardziej wymagających. Przypominał pewną kolację u kurtyzany pięknej i bogatej jak pani Schontz, kolację, po której Paganini oświadczył, że nigdy u żadnego z monarchów nie jadł wykwintniej, u żadnego zaś z książąt nie pił win tak przednich, nie przysłuchiwał się tak dowcipnej rozmowie i nie widział tak urzekającego przepychu,

Okolo dziesiątej Maksym i pani Schontz przeszli we dwójkę do salonu, pozostawiając biesiadników, którzy nie owijali już dykteryjek w bawełnę, zachwalali swoje przymioty i przyklepali oślizłe wargi do kieliszków, nie będąc w stanie ich opróżnić.

– No tak, moja mała – ozwał się Maksym – nie pomyliłaś się, przyszedłem dla twoich pięknych oczu, sprawa jest ważna: trzeba się rozstać z Arturem, lecz postaram się, aby ci ofiarował sto tysięcy franków, w tym moja głowa.

– A czemuż miałabym opuścić tego biedaczka?

– Żeby wyjść za tego durnia, który specjalnie po to przyjechał z Alençon. Był sędzią, zostanie prezesem na miejsce starego Blondeta, który niedługo skończy osiemdziesiąt dwa lata, już ja to przeprowadzę; jeśli potrafisz pokierować łodzią, twój mąż zostanie deputowanym. Będziecie personatami, zdołasz zaćmić panią hrabinę du Bruel...

– Nigdy w życiu! Ona przecież jest hrabiną!

– A w nim nie ma materiału na hrabiego?...

– No tak, przecież ma herb – rzekła Aurelia, grzebiąc we wspaniałym koszu zawieszonym w rogu kominka. Podała Maksymowi list: – Co to znaczy? Są tu grzebień.

– Tarcza srebrna podzielona na cztery pola, gdzie szkarłatne grzebień krzyżują się z winogronami: owoc purpurowy, liście zielone, po trzy grzebień; złoty pióropusz w lazurowej oprawie i dewiza: SŁUŻYĆ. Hełm giermka. Nic osobliwego. Nobilitował ich Ludwik XV, dziadek handlował norymberszczyzną, babka zrobiła majątek na winie, pierwszy du Ronceret uszlachcony musiał być pisarzem sądowym... Ale jeśli ci się uda puścić kantem Artura, du Ronceretowie zostaną co najmniej baronami, przyrzekam ci to, moja sarenko. Widzisz, drogie dziecko, będziesz musiała marynować się ze sześć lat na prowincji, żeby pochować Schontzównę a urodzić prezesową... Ten błazen rzucał ci niedwuznaczne spojrzenia, trzymasz go w garści.

– Nie – odrzekła Aurelia. – Kiedym mu się oświadczyła, tyle się tym upoił, co wódką z ogłoszenia.

– Jeśli się ululał, namówię go z pewnością... Zobacz no, w jakim są stanie...

– Nie warto tam chodzić. Słyszę już tylko Bixiou: dowcipkuje, lecz nikt nie słucha; ale znam Arturka, uważa, że musi być grzeczny dla Bixiou, zamknął więc oczy, ale jeszcze patroluje na niego.

– Wracajmy więc!...

– A w czyim interesie mam działać, Maksymie? – zagadnęła zniecierpliwiona pani Schontz.

– W interesie pani de Rochefide – odparł bez ogródek Maksym – niesposób jej skojarzyć z Arturem, póki ty go trzymasz; powinna stanąć na czele swojego rodu i korzystać z czterystu tysięcy franków renty!

– I proponuje mi tylko dwieście tysięcy? Ponieważ to o nią chodzi, żądam trzystu! Jak to! Opiekowałam się jej bębniem i jej mężem, zastępuję ją we wszystkim i ona by się ze mną targowała? Bo widzisz, mój drogi, miałabym wtedy milion. Jeśli do tego obiecujesz mi prezesurę trybunału w Alençon, zdołam wystąpić godnie jako pani du Ronceret.

– Niech będzie – powiedział Maksym.

– Ależ mi się będą naprzykrzać w tym miasteczku!... – wyrzekła filozoficznie Aurelia. – Tyle naopowiadali mi o tej prowincji d'Esgrignon i ta Val-Noble, że już jakbym tam mieszkała.

– A jeśli zapewnię ci poparcie szlachty?...

– Ach, Maksymie, aż tyle!... Owszem, ale ten gołąbek nie chce ogarnąć mnie skrzydełkiem...

– Paskudny on jest z tą fioletową gębą, faworyty jak szczecina, to warchlak, choć ma oczy drapieżnego ptaka. Będzie najśliczniejszym prezesem na świecie. Nie martw się. Za dziesięć minut zaśpiewa arię Izabeli z czwartego aktu „Roberta Diabła”: „U stóp się twoich ściele...”, ale ty podejmujesz się odesłać Artura do stóp Beatryczy.

– Trudne to będzie, ale w kilkoro damy radę...

Około wpół do jedenastej biesiadnicy przeszli do salonu na kawę. Zważywszy wzajemne położenie pani Schontz, Couture'a i du Roncereta, nie trudno sobie wyobrazić, jakich emocji dostarczyła ambitnemu Normandowi rozmowa, którą Maksym przeprowadził w kącie ze spekulantem. Rozmawiali półgłosem, żeby nikt nie usłyszał, lecz du Ronceret podsłuchał.

– Jeśli raczysz zmańdrzeć, kochasiu, przyjmiesz w jakimś odległym departamencie stanowisko poborcy generalnego, które wyrobi ci pani de Rochefide; milion Aurelii posłuży ci za kaucję, w intercyzie ślubnej rozdzielicie majątek. Zostaniesz deputowanym, jeśli potrafisz pokierować swoją łodzią, a w nagrodę, żem cię ocalił, oddasz mi swój głos w Izbie.

– Będę zawsze z dumą pańskim żołnierzem.

– Udało ci się, kochasiu! Wyobraź sobie, że Aurelia, zadurzona w tym Normandzie z Alençon, zażądała dla niego baronostwa, prezesury trybunału w jego rodzinnym mieście i oficerskiego krzyża legii honorowej. Mój głupiec nie domyślił się, ile jest warta pani Schontz, zawdzięczasz więc fortunę pomyłce; toteż nie pozwól się namyślać tej sprytniej dziewczynie. Bo ja bym kuł żelazo, póki gorące.

I Maksym odszedł pozostawiając Couture'a w siódmym niebie. Powiedział do Palférine'a:

– Jedziesz ze mną, synku?

O jedenastej Aurelia gawędziła z Couture'em, Fabianem i Rochefide'em. Artur drzemał w fotelu, Couture i Fabian usiłowali bezowocnie wyprawić się wzajem. Pani Schontz zakończyła tę walkę, powiadając do Couture'a: „A więc jutro, najdroższy?...” – on zaś wziął to za dobrą monetę.

– Panno Aurelio – wyszeptał Fabian – zadumałem się nad ofertą uczynioną mi pośrednio, nie myśl jednak, aby to było najłżejsze choćby wahanie; nie znasz pani mojej matki, nigdy by ona nie przystała na moje szczęście...

– A tak, bo jesteś pan w wieku, kiedy trzeba prosić o pozwolenie na mariaż – odpaliła Aurelia. – Ale skoro się boisz mamusi, przestałam się tobą interesować.

– Myślałem, że mnie kochasz, Józefino! – powiedział czule Dziedzic, obejmując ją śmiało wpół.

– No i co z tego?

– Może da się ułagodzić moją matkę i otrzymać od niej zezwolenie.

– A to jakim cudem?

– Gdybyś zechciała użyć swoich wpływów...

– Żebyś został baronem, oficerem legii honorowej, prezesem sądu, mój synku, nieprawdaż?... Posłuchaj, tyle nabroiłam w życiu, że potrafię być cnotliwą! Mogę zostać uczciwą kobietą, wierną żoną i pohlować daleko mojego męża; ale chcę, żeby mnie kochał nie sprzeniewierzając mi się ani jedną myślą, spojrzeniem czy nawet intencją. Odpowiada ci to?... Nie wiąż się nierozważnie, chodzi o twoje życie, mój miły.

– Z taką kobietą jak ty przybijam nie bacząc na nic – powiedział Fabian upojony zarówno jej spojrzeniem, jak i zamorskimi likierami.

– Nie pożałujesz nigdy tego słowa, mój jelonku, zostaniesz parem Francji... A z tym biednym starym – tu spojrzała na Rochefide'a, co spał jak zabity – od dziś skończone na amen!

Powiedziała to tak uroczo i ładnie, że Fabian nie zdzierzył i wycalował ją namiętnie i z radością: upoiła go najpierw miłość i wino, lecz brały nad tym górę szczęście i ambicja.

– Pamiętaj, drogi chłopczyku – rzekła – byś od tej chwili ładnie postępował ze swoją żoną. Nie zalecaj się do mnie, zaczekaj, aż przyzwócicie wydobędę się z mojego bagna. A ten Couture uważa się już za bogacza i poborcę generalnego!

– Brzydzą się tym człowiekiem – oznajmił Fabian – wołałbym już go nie spotykać.

– Nie przyjmę go więcej – zapewniła kurtyzana, mizdrząc się z pruderią. – A teraz, mój Fabianku, skoro doszliśmy do porozumienia, żegnaj, bo już pierwsza.

Scenka ta zrodziła w stadle Aurelii i Artura, aż dotąd absolutnie szczęśliwym, fazę wojny domowej, jaka zawsze wybucha między małżonkami, skoro którymś z nich zaczyna powodować utajony interes. Nazajutrz Artur obudził się sam, a pani Schontz okazała mu chłód, jaki umieją okazywać jedynie kobiety tego autoramentu.

– Cóż to się stało w nocy? – zagadnął, popatrując przy śniadaniu na Aurelię.

– A nic, jak to w Paryżu. Zasypiasz – mży, budzisz się – na ulicy bruk taki obmarznięty i taka suchość, że nawet kurz się podnosi; nie trzeba ci szczotki?

– Ale co cię ugryzło, moja maleńka?

– Wracaj do tej gidii, swojej żony...

– Do żony?... – zdumiał się biedny margrabia.

– Cóż to, myślisz, zem nie odgadła, po coś mi tu sprowadził Maksyma?... Chcesz się pogodzić z panią margrabiną, pewnie cię potrzebuje, bo jakiś niepożądany bęben w drodze... A ja, na której sprycie tak polegasz, radziłam, żebyś jej zwrócił majątek!... O, przejrzałam twoje zamysły: po pięciu latach sprzykrzyłam się jaśnie panu. Jam pulchna, margrabina jest kościasta, będziesz miał odmianę. Nie pierwszy raz w życiu widzę taki gust do szkieletów. Twoja Beatrix ubiera się zresztą nieźle, a ty należysz do mężczyzn, co lubią wieszaki. Następnie chciałbyś wykurzyć pana du Guénic. To byłby triumf!... Dałoby ci to świetną pozycję. Gadałoby o tobie jak o bohaterze!

Mimo protestów Artura potok tych drwin płynął z ust pani Schontz aż do drugiej. Oznajmiła, że zaproszono ją do kogoś na obiad. Poprosiła swojego wiarołomcę, żeby sam był łaskaw pojechać do Włochów, gdyż ona wybiera się na premierę do Ambigu-Comique, gdzie ma zawrzeć znajomość z uroczą kobietą, panią de La Baudraye, kochanką Stefana Lousteau. Na dowód wieczystego przywiązania do Aureliki i wstrętu do żony Artur zaproponował, żeby już nazajutrz wyjechali do Włoch i jako para małżonków zamieszkali w Rzymie, Florencji lub Neapolu, gdzie zresztą Aurelii się spodoba, i dołożył do tego sześćdziesiąt tysięcy franków renty.

– Wszystko to e c i e - p e c i e – powiedziała. – I tak pogodzisz się z żoną, i dobrze zrobisz.

Po tym groźnym dialogu rozstali się Artur i Aurelia: on poszedł do klubu na karty i na obiad, ona zaś wystroiła się i spędziła wieczór sam na sam z Fabianem.

Spotkawszy Maksyma w klubie, pan de Rochefide uzalił się, jak to człowiek, któremu w darto szczęśliwość zakorzenioną głęboko w sercu. Maksym wysłuchał lamentów margrabiego, jak to ludzie grzeczni słuchać umieją – to znaczy myśląc o czym innym.

– Umieć udzielać dobrych rad w podobnych sprawach, mój złoty – odpowiedział. – No tak, zrobiłeś fałszywy krok, pokazując Aurelii, jak bardzo jest ci droga. Pozwól, żebym cię przedstawił pani Antonii. To serce do wynajęcia. Zobaczysz sam, jak prędko zapomnisz o Schontzównie: toć ona ma trzydzieści siedem lat, a pani Antonia najwyżej dwadzieścia sześć! I kobieta, palce lizać! Dowcip u niej nie tylko w głowie!... Moja zresztą elewka. Jeśli pani Schontz nadal będzie wojować swoją dumą, wiesz ty, co ci powie?

– Na honor, nie.

– Że pewnie wyszłaby za męża, a wtedy żadna siła nie utrzyma jej przy tobie. Po sześciu latach dzierżawy ta kobieta będzie miała do tego, rzecz jasna, prawo... Ale gdybyś mnie posłuchał, zrobiłbyś coś lepszego. Twoja żona warta dziś tysiąc razy więcej od wszystkich Schontzównien i Antoni! z Dzielnicy Świętego Jerzego. To zdobycz trudna, ale w końcu dostępna i uszczęśliwiłaby cię teraz jak Orgona⁶⁶! Tak czy inaczej, jeśli nie chcesz wyjść na durnia, musisz dziś zjeść kolację u Antonii.

– Nie. Zbyt kocham Aurelię, nie chcę, żeby miała mi cokolwiek do zarzucenia.

– E, mój drogi, coż ty za los sobie gotujesz!... – zachnął się Maksym.

⁶⁶ O r g o n – poczciwy mieszczuch z komedii Moliera „Świętoszek”.

– Już jedenasta, Aurelka na pewno wróciła z Ambigu – rzekł z uśmiechem Rochefide i wyszedł.

Wrzasnął na stangreta, żeby jechał co koń wyskoczy na ulicę La Bruyere'a.

Pani Schontz wydała tymczasem ściśle instrukcje: pan mógł wrócić, jak gdyby w ogóle nie poróżnił się z panią; lecz pani, uprzedzona w momencie, gdy pan przekraczał progi, postarała się, by usłyszał, jak trzasnęły drzwi gotowalni, zamykając się w sposób taki, jak zamykają się drzwi, gdy przyłapiemy kobietę na gorącym uczynku. Następnie pokojówka zabrała z celową niezręcznością cylinder Fabiana pozostawiony na fortepianie – zabrała, jak tylko państwo zaczęli rozmowę.

– Toś nie była w Ambigu, mój ptaszku?

– Nie, mój drogi, rozmyśliłam się i grałam na fortepianie.

– A któż tu był?... – zagadnął dobrodusznie margrabia widząc, jak pokojowa sprząta cylinder.

– Nie było nikogo.

Gdy padło to bezczelne kłamstwo, Artur spuścił głowę i przeszedł przez kaudyńskie wrota⁶⁷ pobłażliwości. Prawdziwą miłość cechuje czasem ów rodzaj szlachetnego tchórzostwa. Artur postąpił z panną Schontz, jak Sabina postępowała z Kalistem, a Kalist z Beatryczą.

Motyl wyfrunął z poczwarki, a metamorfoza ta dokonała się w tydzień u młodego, pięknego i nadzwyczaj dowcipnego hrabiego Karola Edwarda Rusticoli de La Palférine, bohatera powieści „Król cyganerii” (patrz „Sceny z życia paryskiego”). Darujemy sobie więc tutaj jego wizerunek i charakter. Żył dotąd nędznie, dopełniając deficyt bezczelnością w stylu Dantona; ale spłacił długi, nabył za radą Maksyma wolancik, został przyjęty do Jockey-Clubu i do klubu przy ulicy Grammont, zabłysnął wyjątkową elegancją, wreszcie ogłosił w „Journal des Débats” nowelę, która zyskała mu w parę dni sławę, jakich autorzy z profesji, pracujący regularnie, nie zdobędą nawet po kilku latach; Paryż najbardziej bowiem zapala się do wszelkich efemeryd. Natan, mając pewność, że hrabia nigdy już nic więcej nie opublikuje, tak zachwalił u pani de Rochefide owego wdzięcznego impertynenta, iż Beatrix, podekscytowana opowiadaniem poety, zapragnęła poznać króla hultajów dystyngowanych.

– Tym bardziej będzie zachwycony tą wizytą – zapewnił Natan – że o ile wiem, popełnił z miłości dla pani niejedno szaleństwo.

– Słyszałam, że już popełnił wszystkie.

– Nie, nie wszystkie: nigdy jeszcze tak nie oszalał, żeby zakochać się w uczciwej kobiecie.

W kilka dni po tym, jak Maksym i czarujący hrabia Karol Edward uknuli spisek na bulwarze Włoskim, ów młodzieniec, obdarzony od natury chyba dla żartu rozkosznie melancholijną twarzą, wtargnął po raz pierwszy do gniazda naszej gołębiczy, która na tę okazję wybrała wieczór, kiedy Kalist musiał złożyć z żoną jakąś wizytę. Spotkawszy La Palférine'a albo kiedy dobrniecie do „Króla cyganerii”, mieszczącego się w trzeciej księdze tej długiej historii naszych obyczajów, zrozumiecie niezawodnie, dlaczego w jeden wieczór osiągnął triumfy ten umysł błyskotliwy, ten człowiek tryskający niebywałą werwą, zwłaszcza jeśli wyobrazicie sobie zręczność kornaka, który go wprowadził. Natan był dobrym kolegą, młody hrabia zajął dzięki jego pochwałom niby diamentowa kolia w rękach jubilera, który zamierza ją sprzedać. La Palférine dyskretnie wycofał się pierwszy, pozostawiając Beatryczę z Natanem; liczył na pomoc znakomitego autora. Natan spisał się cudownie. Widząc oszołomienie margrabiny, rozniecił ogień w jej sercu metodą przemilczeń, które poruszyły strunę ciekawości nie znaną jej samej. Natan dał więc do zrozumienia, że La Palférine zawdzięcza swoje sukcesy u kobiet nie tyle inteligencji, ile wyższej sztuce kochania – i wyolbrzymił go ponad miarę. W tym miejscu należy skonstatować nie zauważone dotąd działanie wielkiego prawa przeci-

⁶⁷ Kaudyńskie wrota – tzn. wrota uległości i hańby; aluzja do epizodu drugiej wojny samnickiej, kiedy w r. 321 p.n.e. wojsko rzymskie, otoczone w Wąwozie Kaudyńskim, musiało poddać się i przejść pod skrzyżowanymi lancami.

wieństw, które powoduje tak wiele krytycznych momentów w sercach ludzkich i tłumaczy tyle osobliwości, że musimy niekiedy przypominać o nim, tak samo jak o prawie podobieństw. Kurtyzany – by objąć tym mianem całą pleć żeńską nazywaną w każdym ćwierćwieczu inaczej – zachowują na dnie serca kwitnące pragnienie, by odzyskać wolność i pokochać niewinnie, szlachetnie i święcie człowieka, któremu ze wszystkiego złożą ofiarę (patrz „Blański i nędze życia kurtyzany”). Dążą w owym przeciwnym kierunku z taką gwałtownością, iż nie spotkałbyś zapewne kurtyzany, która nie starałaby się odzyskać cnoty poprzez miłość. Nie zniechęcają się, choć są okrutnie oszukiwane. Przeciwnie zaś, kobiety, którym edukacja nałożyła wodze, ograniczane rangą społeczną, spętane szlachetnością urodzenia, żyjące wśród dostatków, opromienione aureolą cnoty, odczuwają pociąg, oczywiście sekretny, ku tropikalnym rejonom miłości. Dwa są więc rodzaje natur kobiecych i różnią się one zasadniczo między sobą: u jednych drzemie na dnie serca lekka skłonność do cnoty, u drugich zaś do rozpusty – ten ostatni przypadek odważył się zasygnalizować pierwszy Jan Jakub Rousseau. W pierwszym wypadku ostatni promień boży nie wygasł jeszcze, drugi – to resztki błota, z któregośmy powstałi. Natan z niezwykłym sprytem podrażnił ów ostatni pazur bestii, pociągnął włos diabelski. Margrabina jęła zastanawiać się poważnie, czy aż do tej pory nie łudził jej rozsądek i czy odebrała kompletną edukację? Grzech?... a może to pragnienie wszechwiedzy? Nazajutrz Kalist pojawił się Beatryczy we właściwym świetle: szlachcic zacny, doskonały, lecz pozbawiony inteligencji i werwy. Człowiek zwany w Paryżu inteligentnym winien tryskać dowcipem niby fontanna wodą, gdyż ludzie światowi i paryżanie w ogóle są dowcipni; lecz Kalist nazbyt był zakochany i pochłonięty miłością, by zauważywszy w Beatryczy odmianę, zdołał sprostać jej, sięgając do nowych zasobów; w świetle wczorajszego wieczoru wydał się bardzo błady i nie dał zgłodniałej kochance najłżejszego wzruszenia. Wielka miłość to kredyt otwarty dla potęgi tak żarłocznej, że zawsze pojawia się moment bankructwa. Dzień ten był okropnie męczący (dzień, w którym kobieta nudzi się przy boku kochanka!), lecz Beatrix zadrżała ze strachu, pomyślawszy, że La Palférine, następca Maksyma de Trailles, spotka się z Kalistem, człowiekiem odważnym i obcym furfanterii. Zawahała się więc, czy zobaczyć się znów z młodym hrabią; ale węzeł ten przeciął fakt decydujący. Beatrix wynajęła trzecią część łoży u Włochów. Nie chcąc, aby ją widziano, wybrała łożę parterową, mroczną. Od kilku dni Kalist, rozzuchwaliwszy się, przywoził margrabinę do teatru i siadał w owej łoży za nią, tak się urządzając, aby zjawiali się późno, a więc i niepostrzeżenie. Beatrix wychodziła jedna z pierwszych, przed końcem ostatniego aktu, a Kalist podążał za nią w pewnej odległości i nie spuszczał jej z oka, choć stary Antoni czekał zawsze na panią. Maksym i La Palférine wysledzili ów manewr dyktowany nie tylko szacunkiem dla konwenansów i potrzebą sekretu, którą odznaczają się czciciele nieśmiertelnego Dziecięcia, lecz i bojaźnią, jaką dławiała margrabinę: zna ją każda kobieta: ongi gwiazda salonowych konstelacji, dziś na skutek miłości strącona z zodiaku. Lęka się ona poniżenia jak agonii, okrutniejszej aniżeli sama śmierć. Otóż Maksym postarał się, aby ta agonია dumy, aby ta obelga, jaką kobiety pozostałe na Olimpie rzucają kobietom, które zeń spadły, dotknęła margrabinę w najokrutniejszych warunkach. Dnia tego Antoni nie zdążył na porę. Podczas przedstawienia „Łucji”⁶⁸, które kończy się, jak wiadomo, jednym z najwspanialszych triumfów Rubiniego, pani de Rochefide przemknęła się korytarzem aż pod kolumnadę teatru. Na schodach roilo się od ślicznych kobiet, stały grupami jedne wyżej, drugie niżej, czekając, aż lokaj zapowie, że nadjeżdża karetą. Wszystkie na raz poznały Beatryczę, rozległy się szepty, które przeszły w gwar. W oka mgnieniu tłum się rozproszył, Beatrix pozostała sama, jak gdyby zapowietrzona. Spozstrzegłszy żonę na schodach, Kalist nie odważył się dotrzymać towarzystwa potępionej kobiecie. Na próżno dwakroć przesłała mu zażawione spojrzenie, błagając, by podszedł. W tymże mo-

⁶⁸ „Łucja z Lammermooru” – opera Donizettiego, wystawiona po raz pierwszy w Neapolu w r. 1835.

mencie La Palférine, elegancki, świetny, uroczy, pożegnał dwie panie, skłonił się Beatryczy i wszczął z nią pogawędkę.

– Niech się pani wesprze na moim ramieniu i wyjdzie z dumą. Potrafię odszukać karetę pani – powiedział.

– Czy zechcesz pan u mnie dokończyć wieczoru? – odrzekła wsiadłszy do karety i robiąc mu miejsce przy sobie.

La Palférine powiedział do grooma: „Będziesz jechał za karetą jaśnie pani” – i ku zdumieniu Kalista usiadł obok margrabinie. Du Guénic wrósł w ziemię, jakby nogi wypełnił mu olów, margrabina zaś, dostrzegłszy, że jest trupioblady, wskazała młodemu hrabiemu miejsce obok siebie. Każda gołębica to białopióry Robespierre. Trzy ekwipaże mknęły z błyskawiczną szybkością na ulicę de Chartres.

– Ach, to pan tu?... – ozwała się Beatrix, wchodząc do salonu wsparta na ramieniu młodego hrabiego. Kalist bowiem wyprzedził oba pojazdy.

– Ten pan to pani znajomy? – zagadnął z wściekłością Kalist.

– Dziesięć dni temu Natan przedstawił mi pana hrabiego de La Palférine – objaśniła Beatrix – a pan znasz mnie przecie od lat czterech...

– I jestem gotów, łaskawa pani – ozwał się Karol Edward – mścić się na margrabinie d'Espard aż do trzeciego pokolenia, ona to bowiem pierwsza odwróciła się od pani...

– Ach, to o n a !... zawołała Beatrix. – Już ja jej za to zapłacę.

– Ażeby się zemścić, musiałabyś pani odzyskać męża, a ja jestem w stanie przyprowadzić go do pani – szepnął młodzieniec Beatryczy na ucho.

Rozmowa tak zaczęta przeciągnęła się do drugiej nad ranem. Przez cały ten czas Kalist nie zdołał zamienić z margrabiną dwóch słów na osobności, wściekał się więc, lecz ona tłumiała te wybuchy spojrzeniem. La Palférine, który zresztą Beatryczy nie lubił, okazywał tyleż taktu, dowcipu i wdzięku, ile Kalist nieopanowania. Du Guénic wił się, zmieniając wciąż miejsce, niby robak przecięty na dwoje, i podrywał się trzy razy, żeby spoliczkować La Palférine'a. Za trzecim razem, gdy poskoczył ku rywalowi, młody hrabia zapytał: „Czy panu baronowi coś dolega?” Wtedy Kalist siadł na krześle i pozostał już tam do końca, jak wrośnięty. Margrabina gawędziła ze swobodą Celimeny, udając, że nie widzi Kalista. La Palférine dokazał cudu zręczności, rzuciwszy bowiem jakieś dowcipne słowo, wyszedł, zostawiając poważnionych kochanków.

Tak to dzięki zręczności Maksyma ogień niezgody zapłonął w podwójnym stadle państwa de Rochefide. Dowiedziawszy się nazajutrz od La Palférine'a o tym sukcesie – było to w Jockey-Clubie, gdzie młody hrabia grał akurat w wista i karta szła mu świetnie - udał się na ulicę La Bruyere, aby poinformować się, jak Aurelia swoją łódź prowadzi.

– Mój drogi – rzekła pani Schontz uśmiechnąwszy się na widok Maksyma – moje sposoby mają się na wyczerpaniu, Rochefide jest nieuleczalny. Kończę moją karierę zalotnicy przekonując się, że inteligencja to nieszczęście.

– Mów jaśniej...

– Przede wszystkim, kochasiu, cały tydzień kurowałam Artura kopniakami w golenie, stosowałam najgorsze piły patriotyczne i to wszystko, czym umiemy w naszej profesji zatruć życie. „Chora jesteś – powiadał mi z ojcowską pobłażliwością – boć ja chcę tylko twojego dobra i kocham cię, a właściwie uwielbiam”. – „Ale jedną masz wadę, mój drogi – odpowiedziałam – nudzisz mnie”. – „No więc czy nie masz dla rozrywki najdowcipniejszych i najprzystojniejszych młodzieńców w Paryżu?” – odpowiedział mi ten biedak. Rozbroił mnie. Uczułam, że go kocham.

– Ech! – zachnął się Maksym.

– Cóż chcesz, to silniejsze od nas, niesposób się oprzeć takiemu gadaniu. Zmieniłam więc pedał. Zaczęłam się umizgać do tego mamuta sądowego, zrobiłam z tego mojego przyszłego

takiegoż barana jak Artur, posadziłam go tu, na fotelu Rochefide'a, i przekonałam się, że to cymbał. I co za nudy!... Ale musiałam tu mieć Fabiana, żeby przyłapał mnie z nim...

– Do rzeczy!... – zniecierpliwził się Maksym. – Gadaj, kiedy cię Rochefide zaskoczył...

– Wolnego, wolnego, panie kolego. Zgodnie z twoimi instrukcjami daliśmy na zapowiedzi, intercyzę już gryzmolą, toteż Matka Boska Loretańska nie ma nam nic do zarzucenia. Skoro masz obietnicę mariażu, można zadatkować... Przyłapawszy mnie z Fabianem, biedny, Artur wycofał się na palcach aż do jadalni i tam zaczął pochrząkiwać raz za razem i pokasływać, i szurać krzesłami. A ten dureń Fabian, któremu przecież nie wszystko mówić mogę, przestraszył się... „Oto, drogi Maksymie, na czym żeśmy stanęli...” Gdyby Artur zastał nas rankiem we dwoje w sypialni, byłby zdolny zapytać: „Dobrze wam się spało, moje dziatki?”

Maksym pokiwał głową i czas jakiś bawił się laską.

– Znam te charaktery – rzekł wreszcie. – Oto co masz zrobić: pozostaje ci już tylko wyrzucić Artura przez okno i starannie zamknąć drzwi. Powtórzysz tę scenę z Fabianem?...

– Przecież to pańszczyzna, bo sakrament nie daje mi jeszcze korzyści...

– Postarasz się wymienić z Arturem spojrzenie, kiedy cię przyłapie – ciągnął Maksym – jeśli się rozzłości, sprawa załatwiona. Jeśli zaczniesz pochrząkiwać i pokasływać, jeszcze lepiej...

– Jak to?

– No, bo wtedy ty się też rozzłościś i powiesz mu: „Miałam się za kochaną, szacowaną; ale pan nie żywisz dla mnie żadnych uczuć, nie będąc zazdrosnym”. Znasz tyradę: „W takim przypadku Maksym (powołaj się na mnie!) położyłby rywala trupem (i rozplącz się!). A Fabian (narób mu wstydu porównując go z Fabianem!), Fabian mój ukochany zatopiłby ci sztylet w sercu. Ach! To jest miłość! A więc żegnaj, luby, wracaj do swojego pałacu, wychodzę za Fabiana, bo on to daje mi swoje nazwisko! Depcze swoją starą matkę.” W końcu...

– Znam, to znam! Będę niezrównana! – zawołała pani Schontz. – Ach, Maksymie, jesteś niepowtarzalny, jak niepowtarzalnym był de Marsay.

– La Palférine jest zdolniejszy ode mnie – odparł skromnie hrabia de Trailles – idzie mu jak z płatka.

– Jest wygadany, ale ty masz mocną garść i lędźwie! Czyżbyś tolerował go w przeciwnym razie, czyżbyś się z nim nie załatwił?

– La Palférine ma najlepsze warunki, jest głęboko wykształcony, podczas gdy ja jestem nieukiem – odparł Maksym. – Byłem u Rastignaka, porozumiał się od razu z ministerstwem sprawiedliwości, Fabian zostanie prezesem, a po roku urzędowania zrobią go oficerem legii honorowej.

– A ja się stanę dewotką! – dodała pani Schontz, tak akcentując te słowa, by Maksym jej przytaknął.

– Księża są mocniejsi od nas – powiedział Maksym.

– Doprawdy? – zagadnęła pani Schontz. – Spotkam więc na prowincji kogoś, z kim się dogadam. Zaczęłam już grać swoją rolę. Fabian zapewnił matkę, że spłynęła na mnie łaska, zafascynował tę zacną kobietę moim milionem i swoją prezesurą; zgadza się, żebyśmy zamieszkali u niej, poprosiła o mój konterfekt, a mnie przysłała swój; gdyby Amor ją zobaczył, padłby... trupem! No, już idź, Maksymie, dziś wieczór załatwię się z moim biedakiem, serce mi pęka.

Po dwóch dniach Karol Edward rzekł do Maksyma, gdy spotkali się w drzwiach Jockey-Clubu: „Zrobione!” Hrabia de Trailles uśmiechnął się, gdy padło to słowo, zawierające tak często straszliwy, przerażający dramat, który bywa dziełem zemsty.

– Chodźmy – rzekł Maksym – wysłuchać lamentów Rochefide'a, boście osiągnęli cel jednocześnie, Aurelia i ty! Aurelia wyrzuciła Artura za drzwi, trzeba go teraz przypilić, żeby dał trzysta tysięcy franków pani du Ronceret i wrócił do żony; wytłumaczymy mu, że Aurelia ani umywa się do Beatryczy.

– Mamy jeszcze dziesięć dni – powiedział chytrze Karol Edward – doprawdy to nie za wiele; poznałem już margrabinę, ładnie wykierujemy biedaka.

– Co zrobisz, kiedy bomba wybuchnie?

– Wpadam zawsze na dowcip, gdy szukać go pora. Najlepszy jestem w momencie przygotowań.

Dwaj gracze, wszedłszy do salonu, ujrzeni margrabiego de Rochefide postarzałym o dwa lata; nie wdział gorsetu, nie błyszczał zwykłą sobie elegancją, nie ogolił się nawet.

– No i jak tam, drogi margrabio?... – zagadnął Maksym.

– O, mój drogi, serce mam złamane...

Artur monologował dziesięć minut, a Maksym słuchał z powagą, rozmyślając, że za tydzień stanie przed ołtarzem.

– Kochany Arturze, dałem ci jedyny znany mi sposób, dzięki któremu utrzymałbyś Aurelię, lecz ty nie chciałeś...

– Jaki?

– Czyż nie wysyłałem cię na kolację do Antonii?

– A tak... Cóż chcesz, kocham... A dla ciebie miłość jest tym, czym fechtunek dla Grisiera⁶⁹.

– Posłuchaj, Arturze, daj jej trzysta tysięcy franków za ten pałacyk, a obiecuję ci wytrzasnąć lepszy obiekt niż ona. Później opowiem ci o tej pięknej nieznanym, bo widzę tam d'Ajudę, a mam do niego interesik.

I Maksym pozostawił męża niepokieszonego, by podejść do przedstawiciela rodziny, którą pocieszyć należało.

– Mój drogi – szepnął d'Ajuda Maksymowi na ucho – księżna jest w rozpacz: Kalist kazał pod sekretem spakować kufry i wziął paszport. Sabina chce gonić zbiegów, dopaść Beatryczy i poorać jej twarz paznokciami. Jest w ciąży, zazdrość jej zaczyna trącić ochotą do morderstwa: kupiła właśnie, nie kryjąc się z tym, parę pistoletów.

– Powiedz księżnej, że pani de Rochefide nie wyjedzie i że za dwa tygodnie wszystko będzie skończone. A teraz, d'Ajudo, ręka!... Ani ty, ani ja nigdy nie mówiliśmy i nie wiedzieli o niczym! Podziwiamy cudowny zbieg okoliczności!...

– Księżna kazała już mi poprzysiąc na Ewangelię i na krzyż święty, że będę milczał.

– Przyjmiesz za miesiąc moją żonę...

– Z przyjemnością.

– No to wszyscy będziemy kontenci – powiedział Maksym. – Masz tylko uprzedzić księżnę o pewnej okoliczności, która opóźni jej podróż do Włoch o sześć tygodni, która dotyczy też i pana du Guénic. Szczegółów dowiesz się później.

– Ale cóż to takiego?... – zaniepokoił się d'Ajuda, spoglądając na La Palférine'a.

– Sokrates, nim umarł, wyrzekł słowa: „Jesteśmy Eskulapowi winni koguta”; ale pański szwagier wymiga się grzebieniem – odpowiedział La Palférine ani mrugnawszy.

Przez dziesięć dni Kalista tłoczyła złość tym trudniejsza do przewyciężenia, że wzmagało ją prawdziwe uczucie. Ze swojej strony Beatrix doświadczała tej miłości, którą tak brutalnie, lecz i wiernie Maksym de Trailles odmalował księżnej de Grandlieu. Każdy człowiek normalny musi chyba raz w życiu zaznać tak straszliwej namiętności. Margrabina czuła, jak ujarzmiła ją siła wyższa – młodzieniec, któremu nie imponowała swoimi zaletami, młodzieniec nie gorzej urodzony niż ona spoglądał na nią okiem spokojnym i władczym, a na jej najgorliwsze kobiece zabiegania raczył odpowiadać zaledwie pochwalnym uśmiechem. Krótko mówiąc, ciemnił panią de Rochefide tyran, który zostawiał ją zawsze zapłakaną, urażoną i przekonaną o własnych winach. Karol Edward odgrywał przed Beatryczą podobną komedię,

⁶⁹ Auguste-Edmé-François Grisier (1791–1865) – doskonały fechtmistrz, utrzymywał w Paryżu szkołę szermierki.

jaką Beatrix pół roku temu odgrywała przed Kalistem. Od momentu poniżenia w teatrze Włoskim pani de Rochefide stawiała panu du Guénic wciąż jeden i ten sam zarzut:

– Przełożyłeś pan nade mnie świat i swoją żonę, czyli mnie nie kochasz. Jeśli chcesz dać mi dowód miłości, poświęć dla mnie świat i żonę. Porzuć Sabine, zamieszkajmy w Szwajcarii, Niemczech lub Włoszech.

Obwarowując się tym srogim ultimatum, ustanowiła blokadę, która u kobiet objawia się zimnymi spojrzeniami, wzgardliwymi gesty: zachowywała się jak twierdza. Myślała, że już pozbędzie się Kalista, sądząc, iż nie odważy się on nigdy zerwać z rodem Grandlieu. Porzucić Sabine, której panna des Touches zostawiła majątek, było tym samym, co skazać się na nędzę. Lecz Kalist, oszalałszy z desperacji, wziął pod sekretem paszport i poprosił matkę, by przesała mu znaczną sumę. W oczekiwaniu przesyłki pieniężnej inwigilował Beatrycę, buzując furią bretońskiej zazdrości. Wreszcie, w dziewięć dni po fatalnej wieści, jaką La Palférine zakomunikował w klubie Maksymowi, baron, otrzymawszy trzydzieści tysięcy franków od matki, wpadł do Beatrycy, zamierzając sforsować blokadę, przepędzić La Palférine'a i wyjechać z Paryża ze swoim udobruchanym bóstwem. Była to jedna z tych straszliwych alternatyw, kiedy kobieta, jeśli zachowa choć trochę szacunku dla samej siebie, zagłębia się w otchłani występku – skąd jednak może powrócić do cnoty. Do tej chwili pani de Rochefide poczytywała się za kobietę cnotliwą, w której serce zapadły dwa uczucia; lecz wielbić Karola Edwarda i przyjmować hołdy Kalista? Straciłaby wtedy szacunek dla siebie, gdyż tam, gdzie zaczyna się kłamstwo, zaczyna się również hańba. Dała prawa Kalistowi i nie było takiej mocy, która by powstrzymała Bretończyka przed łzami absolutnej skruchy, wylewanymi na klęczkach u jej stóp. Niejeden się dziwi lodowatej obojętności, pod którą kobieta dławi swoją miłość – ale gdyby nie zacierała w ten sposób przeszłości, życie byłoby dla niej czymś niegodnym, nie mogłaby oprzeć się fatalnej poufałości, na jaką raz dozwoliła. Pani de Rochefide, znalazłszy się w sytuacji całkiem nowej, byłaby ocalona, gdyby wszedł La Palférine; ale zgubił ją spryt starego Antoniego.

Usłyszawszy, jak powóz zatrzymał się przed drzwiami, rzekła do Kalista: – Przyjechali goście! – i wybiegła, żeby nie dopuścić do awantury,

Antoni, człek roztropny, powiedział Karolowi Edwardowi, który przyjechał tylko po to, żeby usłyszeć te słowa: – Pani margrabina wyszła!

Dowiedziawszy się od starego sługi o wizycie młodego hrabiego jak również o odprawie, z jaką spotkał się La Palférine, wróciła do salonu z taką oto myślą: „Wstąpię do klasztoru!”

Kalist w tymże czasie otworzył okno i zobaczył rywala.

– Któż to był? – spytał.

– Albo ja wiem! Antoni jest jeszcze na dole.

– To był La Palférine...

– Możliwe...

– Kochasz go, dlatego wciąż mnie o coś obwiniasz; widziałem go!

– Widziałeś?...

– Tak, bom otworzył okno...

Beatrix padła jak martwa na sofę. I wtedy zaczęła paktować, żeby nie tracić widoków na przyszłość, odłożyła wyjazd na tydzień, pozorując to interesami, i poprzysięgła sobie, że jeśli zdoła ułagodzić La Palférine'a, więcej Kalista nie wpuści do domu, takie bowiem przerażające wyrachowanie i taka paląca udreka tai się w tych egzystencjach, co wyskoczyły z relsów, po których jedzie wielki pociąg społeczny.

Kiedy Beatrix pozostała sama, uczuła się tak nieszczęśliwa, tak głęboko poniżona, iż położyła się do łóżka: była chora; uznała, że gwałtowne zmagania, co rozdzierały jej serce, wywołają straszliwą reakcję – posłała więc po lekarza, w tymże jednak czasie kazała doręczyć hrabiemu La Palférine następujący list, w którym z wściekłością mściła się na du Guéniku.

Mój Miły, przyjdź do mnie, jestem w rozpacz. Antoni odprawił Cię w chwili, gdy Twoja wizyta mogłaby położyć kres jednemu z najokropniejszych koszmarów mojego życia, uwalniając mnie od człowieka, którego nienawidzę i – mam nadzieję – nigdy już nie zobaczę. Ciebie tylko jednego kocham na świecie i Ciebie już tylko kochać będę, choć na nieszczęście nie podobam Ci się tak, jakbym chciała...

W tym stylu rozpoczynając, zaczęła cztery kartki, kończąc egzaltacją nazbyt już poetyczną, czyli niezbyt stosowną do druku; nie zważała już na nic, dowodem ostatnie słowa, mocno kompromitujące: „Czy jestem zdana na Twoją łaskę? Ach! Okażę Ci, jak jesteś kochany, i nic mnie to kosztować nie będzie.” I podpisała się, czego nie uczyniła nigdy ani dla Kalista, ani dla Contiego.

Nazajutrz młody hrabia zastał margrabinę akurat w kąpiel; Antoni poprosił, żeby zaczęła. Odprawił z kolei Kalista, który łaknąc miłości zjawił się dziś wcześniej – i wyjrzał oknem, kiedy baron wsiadał zrozpaczony do powozu.

– Ach! Karolu – rzekła margrabina wchodząc do salonu – zgubiłeś mnie!...

– Wiem o tym dobrze, łaskawa pani – odparł flegmatycznie La Palférine. – Poprzysięgłeś mi pani, że kochasz tylko mnie, zaproponowałaś, że napiszesz do mnie list, gdzie wyłożysz powody, dla których popełniłabyś rzekome samobójstwo, abym, jeśli nie dochowałabyś wiary, mógł panią otruć, nie lękając się sprawiedliwości, jak gdyby ludzie wyższego rzędu musieli, mszcząc się, odwoływać się do trucizny. Napisałaś mi pani: „Okażę Ci, jak jesteś kochany, i nic mnie to kosztować nie będzie!”.. A teraz mówisz pani: „Zgubiłeś mnie!” Otóż widzę w obu tych oświadczeniach sprzeczność... Przekonam się zaraz, czy miałaś pani odwagę zerwać z du Guénikiem...

– Ach! Zemściłeś się na nim już z góry – zawołała, rzucając mu się na szyję. – I ta historia złączyła nas na zawsze...

– Jeśli łaskawa pani – odparł zimno król cyganerii – chce we mnie mieć przyjaciela, zgoda; ale pod warunkiem...

– Stawiasz warunki?

– Tak, i to następujące: pojednasz się pani z panem de Rochefide, odzyskasz godności należne twojej pozycji, wrócisz do swojego pięknego pałacu na ulicy Andegaweńskiej, zostaniesz tam jedną z królowych Paryża; uda się to pani, jeśli każesz odgrywać Rochefide'owi rolę polityczną, postępując ze sprytem i wytrwałością pani d'Espard. Oto pozycja należna kobiecie, której mam honor oddać...

– Ale zapominasz pan, że konieczna jest również i zgoda pana de Rochefide.

– E, moja mała, jużemy go urobili. Dałem mu parol szlachecki, żeś więcej warta od wszystkich Schontzówien z Dzielnicy Świętego Jerzego, a więc mój honor jest na twoim rachunku...

Od tygodnia Kalist dzień w dzień przychodził do Beatryczy, ale nie wpuszczał go Antoni, powiadając z miną okolicznościową: „Pani margrabina jest ciężko chora”. Pędził więc do La Palférine'a którego lokaj informował go niezmiennie: „Pan hrabia jest na polowaniu!” Za każdym razem Bretańczyk zostawiał list do pana Karola.

Dziewiątego dnia Kalist, wezwany biletem La Palférine'a w kwestii wyjaśnień, zastał u niego Maksyma de Trailles, któremu młody frant chciał zapewne wykazać swoje talenty dyplomatyczne, czyniąc go świadkiem tej sceny.

– Panie baronie – ozwał się ze spokojem Karol Edward – oto sześć listów, które miałem honor otrzymać od pana. Są nienaruszone, nawet nie rozpieczętowane, przewidziałem bowiem, co mogą zawierać, dowiedziawszy się, że poszukujesz mnie pan od dnia, kiedy to patrzyłem przez okno, jak stałeś pan u drzwi domu, przed którymi ja stałem dzień wcześniej, gdy pan byłeś w oknie. Pomyślałem, że nie powinienem odpowiadać na nietaktowne prowokacje. Mówiąc między nami, masz pan zbyt wiele dobrego smaku, żeby zawziąć się na ko-

biętę, ponieważ przestała pana kochać. Szukać waśni ze szczęśliwym rywalem to sposób niedobry, żeby odzyskać jej serce. W obecnym jednak wypadku pańskie listy kaził błąd zasadniczy: *n i e w a ż n o ś ć*, jak powiadają adwokaci. Masz pan zbyt wiele zdrowego rozsądku, żeby zawziąć się na męża dlatego, że chce odzyskać żonę. Pan de Rochefide rozumiał, że sytuacja jego żony jest niegodna. Nie zastanie już pan margrabiny na ulicy de Chartres, ale w pałacu państwa de Rochefide – to znaczy dopiero za pół roku, w zimie. Usiłowałeś pan nader lekko-myślnie przeszkodzić pogodzeniu się małżonków, do którego przyłożyłeś się sam, nie zaoszczędziwszy pani de Rochefide upokorzenia w teatrze Włoskim. Wychodząc stamtąd Beatrix, której już uprzednio przedstawiłem kilka przyjaznych propozycji ze strony męża, zaprosiła mnie do karety, powiadając z miejsca: „Sprowadź mi pan Artura!...”

– O Boże! – zawołał Kalist. – Miała rację, zawiodła się na mnie.

– Nieszczęściem, proszę pana, biedny Artur żył z jedną z owych okrutnych kobiet, niejaką Schontzówną, która od dawna spodziewała się z godziny na godzinę, że ją opuści. Pani Schontz, osoba całkiem innej urody niż Beatrix, żywiła z tej racji nadzieję, że zostanie kiedyś margrabinią de Rochefide, i teraz piekli się, runęły bowiem jej zamki budowane na lodzie, pałając zaś żądzą zemsty chciałyby powalić małżonków jednym ciosem. Taka kobieta, mój panie, gotowa jest wylupić sobie oko, żeby tym skuteczniej wydrapać oczy wrogowi; Schontzówna, opuściwszy niedawno Paryż, wydrapała sześcioro oczu!... A gdybym miał nieostrożność zakochać się w Beatryczy, Schontzówna dołożyłaby do nich jeszcze dwoje. Spozregłeś już pan z pewnością, że potrzebujesz okulisty...

Maksym uśmiechnął się, tak bardzo w tej chwili zmieniła się twarz Kalista. Du Guénic pobladł – otwarły mu się oczy, ujrzał swoje położenie.

– Czy wierzy pan baron, że ta podła kobieta oddała rękę człowiekowi, który dostarczył jej środków do przeprowadzenia zemsty?... O kobiety!... Rozumiesz pan teraz, dlaczego Beatrix zamknęła się z Arturem na kilka miesięcy w Nogent-sur-Marne, gdzie mają rozkoszny domeczek; odzyskają tam wzrok. W tym czasie odnowi się pałac, gdyż margrabina postanowiła zabłysnąć książęcym przepychem. Skoro ktoś kocha szczerze kobietę tak szlachetną, tak wielką, tak uroczą, ofiarę miłości małżeńskiej – z momentem, gdy ona ma odwagę powrócić do swoich obowiązków, winien, adorując ją tak, jak pan adorujesz, a podziwiając tak, jak ja podziwiam, pozostać jej przyjacielem, innego wyjścia nie ma... Niechże mi pan wybaczy, że uznaję za swój obowiązek zaprosić pana hrabiego de Trailles na świadka tych wyjaśnień, ale bardzo mi zależało, żeby sprawę wyklarować do końca. Co do mnie, chciałbym panu przede wszystkim powiedzieć, że o ile podziwiam panią de Rochefide jako inteligencję, wyjątkowo wprost nie podoba mi się ona jako kobieta.

– Oto czym się kończą nasze najpiękniejsze marzenia, nasza miłość niebiańska! – westchnął Kalist, oszołomiony tyłoma rewelacjami i tak wielkim zawodem.

– Farsą lub, co gorsza, flakonem aptekarskim! – zawołał Maksym. – Nie słyszałem jeszcze o pierwszej miłości, która nie skończyłaby się głupio. E, panie baronie, wszystko, co w człowieku niebiańskie, znajduje pokarm tylko w niebie!... Oto nasz argument rozpustników. Bo ja, panie, sporo nagrzebałem się w tej kwestii; owóż, jak pan widzisz, ożeniłem się właśnie, będę żonie wierny, pana zaś obliguję, byś wrócił do pani du Guénic... ale... dopiero za trzy miesiące. Nie żałuj Beatryczy, to wzór charakteru próżnego, rozlazłego; kokietuje ona z pyszałkowatości, o, to taka pani d'Espard, lecz bez jej głębokiej polityki, kobieta bez serca i bez głowy, odurzająca się złem. Pani de Rochefide kocha się li tylko w pani de Rochefide; poróżniłaby pana bezpowrotnie z żoną, a potem jakby nigdy nic puściła kantem; słowem, babina ani występna, ani cnotliwa.

– Nie zgadzam się z tobą, Maksymie – powiedział La Palférine – będzie ona najbardziej uroczą panią domu w całym Paryżu.

Na odchodnym Kalist uściskał jednak dłoń Karolowi Edwardowi i panu de Trailles, dziękując im, że zdjęli mu bielmo z oczu.

W trzy dni po tej rozmowie księżna de Grandlieu, która nie widziała się z córką przez ten czas, odwiedziła ją rankiem. Kalist kąpał się akurat, a Sabina siedząc obok niego haftowała nowe śliniaczki.

– No i cóż tam słyhać u was, moje dzieci? – zapytała przezacna księżna.

– Wszystko jak najlepiej, kochana mamó – odrzekła Sabina, a oczy jej promieniały szczęściem – odegraliśmy bajkę o dwóch gołąbkach.

Kalist uściskał z czułością rękę żony.

1838–1844

NOTY O WAŻNIEJSZYCH POSTACIACH „KOMEDII LUDZKIEJ”

KOBIETA PORZUCONA

Margrabia Miguel d'Ajuda-Pinto zaślubił Bertę de Rochefide („Ojciec Goriot”), a po jej śmierci, około r. 1840, ożenił się z Józefiną de Grandlieu i brał udział w intrygach mających na celu poróżnienie Kalista du Guénic z panią de Rochefide („Beatrix”).

Klara de Bourgogne, margrabina de Beauséant, za Restauracji była jedną z „królowych Paryża”; o jej zerwaniu z margrabią d'Ajuda Pinto opowiada Balzac w „Ojcu Goriot”.

HONORYNA

Hrabia Oktaw de Bauvan występuje w „Blaskach i nędzach życia kurtyzany” i „Ostatnim wcieleniu Vautrina”, gdzie wraz z panami de Granville i de Sérisy usiłuje ratować życie Lucjanowi de Rubempré, oskarżonemu o zabójstwo Estery van Gobseck.

Hrabia de Granville – patrz „Podwójna rodzina” i noty w t. III.

Książdz Loaroux – patrz noty w t. I.

Felicjta des Touches, występująca pod pseudonimem Kamila Maupin, jest jedną z głównych postaci w powieści „Beatrix”, poza tym spotykamy ją w „Straconych złudzeniach”, „Sekretach księżnej de Cadignan”, „Gabiniecie starożytności”, „Blaskach i nędzach życia kurtyzany”, „Drugim studium kobiety”, „Córce Ewy” i in.

Hrabia de Sérisy – patrz noty w t. II.

Klaudiusz Vignon, wybitny krytyk literacki, towarzysz Blondeta i Natana („Stracone złudzenia”, „Córka Ewy”), jest jedną z pierwszoplanowych postaci w „Beatrix”, gdzie Balzac opowiada o jego zerwaniu z panną des Touches. O dalszych jego losach czytamy w „Kuzynce Bietce” i „Aktorach mimo woli”; zostaje on kolejno sekretarzem ministra wojny, bibliotekarzem i profesorem Sorbony.

BEATRIX

Baron Melchior de Canalis, kawaler du Halga, Emilia du Kergarouët, z domu de Fontaine, Sawinian de Portenduère – patrz noty w t. I.

Andoche Finot, Raul Natan – patrz noty w t. II.

Klotylda Fryderyka de Grandlieu, najstarsza córka księcia de Grandlieu, brzydka, ale inteligentna i obdarzona silnym charakterem, w latach 1829–1830 zakochana była w Lucjanie de Rubempré, który widział w niej tylko szczebel w karierze. Przeżyła okrutny dramat, gdy Lucjan, posądzony o morderstwo, popełnił samobójstwo („Blaski i nędze życia kurtyzany”).

La Palférine – patrz noty w t. III.

Margrabina Beatrix de Rochefide – wspomniana jest m. in. w „Sarrazine”, „Banku Nucingena”, w „Modeście Mignon”, „Drugim studium kobiety” i „Córce Ewy”.

Hrabia Maksym de Trailles – awanturnik obracający się w najlepszym towarzystwie paryskim i cieszący się wielkim mirem w półświatku, karciarz i kobieciarz, zimny, zręczny i okrutny; mimo że zadłużony, umiał zawsze utrzymać się na powierzchni. W r. 1819 zrujnował panią de Restaud („Ojciec Goriot”, „Gobseck”); o innych jego sprawkach słyszymy m. in. w „Aferzyście”, „Urszuli Mirouët”, „Sekretach księżnej de Cadignan”, „Aktorach mimo woli”, „Straconych złudzeniach”, „Blaskach i nędzach życia kurtyzany”.